

POLLAK PAWEŁ

Niepełni

Przyciągam do łóżka wózek. Nie, nie dziecięcy. Inwalidzki.

Ale jakoś nie mogę wstać, mimo że budzik pokazuje dziesiątą. Po raz ostatni z radością zerwałam się z łóżka pełna energii i chęci do działania trzy i pół roku temu.

W dniu tego przekłętego wypadku. 2 maja 2003 roku. Każdy ma w swoim życiu ważne daty: dla jednych jest to data ślubu i narodzin ich dzieci, dla mnie dzień, w którym najechał na mnie pijany kierowca.

W trakcie długiego weekendu wybrałam się do Oławy odwiedzić Aldonę, moją najlepszą przyjaciółkę. Pożyczyłam samochód od taty. Nie myślałam o żadnym ryzyku. Człowiek niby zna statystyki wypadków, ciągle słyszy, że po polskich drogach jeździ horda pijanych kierowców, potencjalnych morderców, ale jest pewien, że akurat jemu uda się spotkania z nimi uniknąć. Zresztą o czym było myśleć? Środek dnia, sucho, idealna pogoda do jazdy, do przejechania niecałe trzydzieści kilometrów.

Wypadł zza samochodu jadącego z naprzeciwka.

Wyprzedzał, choć miał za mało miejsca. W panice nacisnęłam hamulec, ale nie zmieścił się, wracając na swój pas.

Zawadził o mój samochód, zarzuciło mną, straciłam panowanie nad kierownicą, wpadłam na pobocze i rozbiłam się o drzewo. Tamten uciekł z miejsca wypadku, wyprzedzany

7

kierowca też się nie zatrzymał. Nie ma winnych tego, że jestem sparaliżowana od pasa w dół.

Skąd wiem, że był pijany? Bo się zatrzymał. Nachylał się nade mną, wołał mnie, pytał, czy nic mi nie jest. Wtedy wyczułam od niego woń alkoholu. Jestem tego pewna, choć znajdowałam się na skraju utraty przytomności. Opierałam się głową o kierownicę, wiedziałam o tym, czułam to, a jednocześnie dziwiłam się, dlaczego opieram głowę o kierownicę, dlaczego w ogóle jestem w samochodzie, nie pamiętałam, żebym dokądkolwiek jechała.

Kiedy zjawiła się policja, już go nie było. Nie szukali go zbyt gorliwie. Dali komunikat, że proszą świadków zdarzenia o kontakt, ale nie zgłosił się nikt, kto potrafiłby udzielić informacji pozwalających zidentyfikować tego mężczyznę albo jego samochód. Ja też nie potrafiłam nic na ten temat powiedzieć. Tata, który wówczas namiętnie oglądał „Kryminalne zagadki Las Vegas”, powiedział, że ślady lakieru powinny doprowadzić do sprawcy, ale policjanci wyprowadzili go z błędu ze źle skrywanym zniecierpliwieniem.

- Panie, tu nie Ameryka, co pan myśli, że wrzucimy do komputera, jaki to lakier i wyskoczy nam, jaki to samochód? Jakbyśmy nawet mieli takie bazy danych, to u nas

to masówka, chyba nie spodziewa się pan, że będziemy sprawdzać tysiące właścicieli danego modelu?

Tata wprowadził się tego spodziewał, ale to jego ukochana jedynaczka została kaleką, a nie córka policjanta.

- Zresztą gość już pewnie dawno wyklepał blachę i polakierował bez rachunku u jakiegoś pana Józia, więc i tak byśmy nic mu nie udowodnili.

Tata widział w „Kryminalnych zagadkach”, że można udowodnić, że samochód był naprawiany, ale już wiedział, że „tu nie Ameryka” i się nie odzywał.

- Poza tym dostałby tylko zawiasy, kara żadna, a zdrowia pana córce to i tak nie wróci.

W ten sposób tata przeszedł skrócony kurs z tematu „Sprawiedliwość w Polsce a zaangażowanie policji”. I przestał płacić podatki. Jako pracujący na własną rękę architekt mógł bez problemu unikać podatków też wcześniej, bo większość klientów, zwłaszcza przy drobniejszych zleceniach, nie chciała rachunku, wychodząc z powszechnie uznawanego założenia, że żądanie rachunku jest nieuprzejme wobec sprzedawcy, gdyż ten jest wówczas stratny na podatku. Tata tłumaczył, że podatek odprowadza niezależnie od tego, czy wystawia rachunek, czy nie, bo po pierwsze jest katolikiem, a Kościół uznaje niepłacenie podatków za grzech, a po drugie od osiemdziesiątego dziewiątego jest to jego państwo, które jako obywatel czuje się w obowiązku współfinansować. Klienci i tak mu nie wierzyli, byli przekonani, że tata bierze ich za szpicli z urzędu skarbowego i mydli im oczy.

Siadam na wózek i idę - wiem, że to niezbyt adekwatne słowo - do łazienki, żeby wziąć prysznic, a potem do kuchni, żeby zrobić sobie śniadanie. Po śniadaniu włączam komputer, mam do odrobienia pańszczyznę, muszę wykonać pracę, której nienawidzę. Przed wypadkiem studiowałam na trzecim roku AWF, trenowałam biegi średniodystansowe, najlepsza byłam na 1500 metrów, ze swoim rekordem życiowym 4:10,02 miałam szansę na uzyskanie minimum olimpijskiego i zakwalifikowanie się na igrzyska, jeśli nie do Aten, to na pewno do Pekinu. Przez pijanego skurwysyna straciłam nie tylko zdrowie i szansę na sukcesy sportowe, ale i stypendium PZLA, nie mogłam dalej prowadzić kursów aerobiku, którymi sobie dorabiałam. Leczenie i rehabilitacja pochłonęły masę pieniędzy. Żeby nie być dodatkowym obciążeniem dla rodziców, którzy to wszystko finansowali, za namową koleżanki zrobiłam kurs księgowości i teraz dwudziestu kilku niewielkim firmom prowadzę księgi przychodów i rozchodów. Z początku byli to głównie znajomi taty, ale później wyrobiłam sobie markę i zdobyłam innych

9

klientów. Bo jestem rzetelna, choć nie znoszę tego zajęcia. Nie odpowiada ono mojemu temperamentowi, poza tym dzięki pracy chciałabym wyjść do ludzi, a nie pracować zamknięta w czterech ścianach. Tyle się wypisuje, że telepraca to szansa dla niepełnosprawnych, a tak naprawdę odcina ich od innych ludzi. Pewnie, że lepiej mieć taką pracę, niż nie mieć żadnej, przynajmniej jestem finansowo

niezależna, ale...

Kiedy cyferki zaczynają skakać mi przed oczyma, zamykam program księgowy i sprawdzam pocztę. Cieszę się na widok niebieskiego paska sygnalizującego, że ktoś do mnie napisał, ale to tylko korespondencja z banku, proponującego mi kartę kredytową. No tak, kto miałby do mnie napisać.

Aldona i tata wolą przyjść lub zatelefonować; Aldona jest zbyt impulsywna i nie ma cierpliwości do pisania e-maili, a tata staroświecki. A moja matka do dziś nie nauczyła się obsługi poczty elektronicznej, nie potrafi też wysłać SMS-a, na dodatek robi z tej ignorancji cnotę, twierdząc, że techniczne nowinki są dobre dla młodzieży, a nie statecznych kobiet w jej wieku. Więcej potencjalnych nadawców nie ma.

Po wypadku wszyscy się ode mnie odwrócili. Bynajmniej nie demonstracyjnie i nie od razu, ot, przestałam być towarzysko atrakcyjna. Nie mogłam pojechać na wspinaczkę w góry czy na wycieczkę rowerową, a moja obecność doskwierała, przypominając, jak kruchą konstrukcją jest człowiek, że wystarczy odpaść od skałki albo zostać najechanym przez samochód, żeby utracić zdrowie, widoki na karierę sportową, przyjaciół, partnera.

Bo mój chłopak też mnie zostawił. Sukinsyn nie miał nawet tyle przyzwoitości, żeby poczekać, aż dojdę do siebie, znaleźć jakiś pretekst, wymyślić bajeczkę, jak to zakochał się w innej, a serce nie sługa. Nie, Adrian po prostu przyszedł do szpitala i bez ogródek oświadczył, że chyba sama

rozumiem, że dziewczyna na wózku to dla sportowca niewłaściwy atrybut. Oczywiście nie użył tego słowa, musiałby sprawdzić w słowniku wyrazów obcych, co to znaczy. Wtedy dopiero dostrzegłam, że perfekcyjna powłoka dzieciobiasty skrywała całkowitą pustkę. Chłopak, którego zazdrościły mi wszystkie dziewczyny, nic sobą nie reprezentował. Ale może przed wypadkiem i ja byłam taka, skoro go wybrałam. Bo miałam wybór. Jestem... byłam atrakcyjną dziewczyną, choć nie mam urody modelki, już bardziej w typie Michelle Pfeiffer. I chłopcy się za mną uganiali, a mnie sprawiało przyjemność odrzucanie ich, rozkoszowałam się tym, że mnie pragną, zadowolona patrzyłam, jak cierpią. Cierpiał zwłaszcza Adaś. Tak, nie Adam, tylko Adaś, lekceważony tak bardzo, że nikomu nie przyszło do głowy używać niezdrobniącej formy imienia. Szachista; na tle tenisistów, kolarzy, piłkarzy wypadał blado. Przedmioty sprawnościowe zaliczał z trudem, ale tych wbrew ogólnemu przekonaniu w programie AWF-u nie ma wcale tak wiele. Nie interesował mnie do tego stopnia, że nigdy nawet nie zapytałam, dlaczego wybrał właśnie tę uczelnię. Za to on się mną interesował. Gapił się na mnie na zajęciach, przynosił upominki i kwiaty, zapraszał do kina, wyznawał miłość: „Edyta, Kocham cię, nie mogę bez ciebie żyć”. Zła byłam, bo ludzie z grupy śmiali się nie tylko z niego, ale i ze mnie. Nieraz ostro mu powiedziałam, co myślę o nim i jego zaletach. Kiedy zesliśmy się z Adrianem i kiedy stało się to oficjalne, Adaś się popłakał.

Stał przy bramie na Witelona, jakby chciał, żeby wszyscy zobaczyli jego upokorzenie, i beczał. Jak ja nim wtedy gardziłam i jaka byłam szczęśliwa, że wybrałam Adriana! Do wypadku, do chwili gdy Adrian stanął przy moim łóżku i nawet nie pytając, jak się czuję, oświadczył, że mnie rzuca, kiedy okazało się, że byłam dla niego czymś w rodzaju ozdobnego przedmiotu, którym można pochwalić się przed znajomymi.

11

Mam wrażenie, że Adaś by tego nie zrobił, że dla niego mój wypadek byłby próbą jego miłości, którą pomyślnie by przeszedł. Chociaż może idealizuję go po fakcie, chcę wierzyć, że dla kogoś byłam tak ważna, że to, czy chodzę na własnych nogach, czy jeżdżę na wózku, nie miałyby znaczenia.

Teraz często się nad tym zastanawiam, zwłaszcza że Adaś tak do końca nie znikł z mojego życia, choć wtedy, gdy dowiedział się, że chodzę z Adrianem, rzucił studia i wyjechał z Wrocławia. Pracuje w redakcji sportowej Polskiego Radia w Warszawie i nieraz słucham jego relacji wygłaszanych miękkim głosem. Jakoś na studiach nie dotarło do mnie, że ma taki idealnie radiowy głos. Śledzę też jego karierę sportową. Gdy zrezygnował ze studiów, nie zakwalifikował się też do finału szachowych mistrzostw Polski, co stanowiło sensację, bo należał do faworytów. Ale potem się pozbierał i wygrał niejeden ważny turniej.

Myślałam nawet, żeby się do niego odezwać, ale zre-

zygnowałam. Co miałabym mu powiedzieć: wtedy cię nie chciałam, ale zostałam kaleką i teraz będę dla ciebie akurat? Nawet jeśli rzeczywiście mnie kochał i wierzę, że nie odszedłby ode mnie po wypadku jak Adrian, to przecież teraz nie mogę się do niego zwracać. Nie byłoby to niczym innym jak prośbą o litość. Zdałam sobie sprawę, co znaczy być odrzucanym, należeć do tych upośledzonych, więc daj mi teraz, Adasiu, szansę? Miałby pełne prawo powiedzieć: teraz to spadaj. Poza tym minęło parę lat, z pewnością ułożył sobie życie.

Styczniowy dzień jest ciepły i słoneczny - zima jakoś \\ tym roku nie może zawitać-więc postanawiam wybrać się na spacer do Parku Szczytnickiego. Zjeżdżam na dół specjalnym dźwigiem, który zaprojektował i zamontował tata bez zgody nadzoru budowlanego. Urzędnicy uznali,

12

że dźwig będzie psuł wygląd elewacji i przeszkadzał sąsiadom. Argumenty, że mieszkam na parterze, więc dźwig nie będzie zasłaniał niczych okien oraz że pracuje nie głośniej niż zwykła winda w wieżowcu, poza tym nocami nie będę z niego korzystała, na dyskoteki nie bardzo mogę chodzić, a od elewacji ważniejszy jest chyba człowiek i możliwość samodzielnego opuszczania przeze mnie domu, urzędników nie przekonały.

Tata był bliski zawału, kiedy dostaliśmy decyzję odmowną; jako legalista chciał wynająć prawnika, żeby tę decyzję zaskarżył i doprowadził do wydania przez nadzór

budowlany zgody na zamontowanie dźwigu. Na szczęście prawnik nie okazał się legalistą.

- Panie, a co pan się będzie z nimi handryczył? Przy naszych sądach wygrasz pan sprawę za kilka lat, a i to pod warunkiem, że wszystko sprawnie pójdzie. Olej ich pan i montuj ten dźwig.

- A jak każą zdemontować?

- Tak od razu nie każą, chyba nie myślisz pan, że oni ruszają te swoje tłuste dupska z za biurek. No chyba że któryś z sąsiadów doniesie. Wtedy się pan odwołasz i opieszałość sądów będzie na pana korzyść. Po paru latach przegrasz pan sprawę, zdemontujesz ten dźwig, zmienisz pan jakieś rozwiązanie techniczne, na przykład nie będzie się uruchamiał na wajchę, tylko na guziczek, i zamontujesz na nowo, a że prawnie będzie to inny dźwig, więc kołomyjka zacznie się od nowa. Chyba że któregoś z tych urzędasów sparaliżuje, czego należy im życzyć, bo tylko wtedy do nich dotrze, że dla człowieka na wózku schody naprawdę są barierą.

Tata zadumał się nad empatią prawnika, tym bardziej że ten za poradę nie chciał pieniędzy.

- Pan ma w rodzinie kogoś niepełnosprawnego?

- Nie. Ale sam o mało nie znalazłem się na wózku. Na studiach pierwszy raz w życiu pojechałem w Tatry i wsiadłem

13

na wyciąg krzeselkowy, nie wiedząc, że mam lęk wysokości. Taki prawdziwy, a nie lekkie nieprzyjemne uczucie, jakiego doświadcza większość, kiedy ma pod sobą przepaść.

Wpadłem w panikę, chciałem zeskoczyć z tego krzeselka,
nie liczyło się, że albo się zabiję, albo złamię kręgosłup,
liczyło się, że nie będzie pode mną tej przepaści. Nie wiem,
jak to się stało, że nie skoczyłem, do dziś budzę się w nocy
złany potem i potrzebuję chwili, żeby sobie uświadomić,
że mam dwie zdrowe nogi, że wytrzymałem na tym wyciągu.
Naprawdę wierzę, że przytrzymała mnie ręka Boga. I żeby
się odwdziżyć, ludziom na wózku udzielam porad bez-
płatnie. Zdieram ze zdrowych. Tak więc montuj pan ten
dźwig i niech służy pana córce, a urzędasów pan olewaj.
Tata posłuchał tej rady i rzeczywiście do dziś nie przyszło
żadne pismo z nakazem rozbiórki samowoli budowlanej.
Kieruję się w stronę Dembowskiego, od Partyzantów mia-
łabym do parku może trochę bliżej, ale wyodrębniona ścieżka
rowerowa w alei na Dembowskiego zapewnia mi wygodny
dojazd. Szybko docieram do bramy prowadzącej na teren
sześćdziesiątej szóstej. Przynajmniej miała taki numer, kiedy
ja do niej chodziłam, teraz to gimnazjum.

Nagle mnie zaciekawia, jakie gimnazjum, bo nie pa-
miętam, choć kiedyś już sprawdzałam. Podjeżdżam pod
szkołę. Zatrzymuję się u dołu schodów. Numer 19, imienia
Zbigniewa Herberta, odczytuję z czerwonej tabliczki. Dobrze,
że nie Gombrowicza, bo szkoła znowu musiałaby zmieniać
patrona.

Rozglądam się. Pomnik upamiętniający Janka Krasickiego,
który był patronem, kiedy zaczynałam, zniknął z niewiel-
kiego skwerku jeszcze za moich czasów. Ale pamiętam, jak

w pierwszej klasie śpiewałam pełną piersią „Janek Krasicki patronem, Janek to symbol i wzór, za tym człowiekiem dziś kroczysz, jemu szacunek i cześć”, choć wiedziałam o nim tylko tyle, że zginąłwczasie II wojny światowej i powinnam

14

być dumna, że chodzę do szkoły jego imienia. Zresztą byłam i nie mogłam wyjść ze zdumienia, kiedy później okazało się, że bohaterski Janek nie jest już godzien, żeby go opiewać.

Strasznie było mi go żal, uważałam, że coś mu się należy za to, że gestapo go zabiło.

Poskarżyłam się tacie, jaka to niesprawiedliwość spotkała Janka, ale tata wytłumaczył mi, że Janek Krasicki był komunistą, a komuniści byli zbrodniarzami, trzymali nas w niewoli czterdzieści pięć lat, na szczęście Solidarność i Lech Wałęsa nas wyzwolili i dlatego teraz już nie musimy śpiewać pieśni na cześć komunistów.

-Jak był zbrodniarzem, to czemu był patronem szkoły?

- Bo jego koledzy rządzą.

- Aha. - Przyjęłam to wyjaśnienie, choć raczej dlatego, że tata był dla mnie autorytetem, a nie dlatego, żebym rozumiała te polityczne zawiłości.

Skręcam w prawo i jadę wzdłuż budynku szkoły w stronę stawku, z którego wyciągałam skrzek, żeby wyhodować kijanki, a potem żabę na olimpiadę biologiczną. Nic z tej hodowli jednak się nie urodziło i nie przeszłam poza pierwszy, teoretyczny etap. Zatrzymuję się przed bramką, bo schodki

skutecznie bronią mi dostępu do stawku. Przeszkoda, której jako dziecko w ogóle nie rejestrowałam. Zawracam do wejścia, zauważam, że nie ma już ławki, na której pozowaliśmy do naszego pierwszego klasowego zdjęcia, mijam przedszkole i jestem z powrotem na Dembowskiego.

Bez dalszych przestojów docieram do parku i wchodzę między drzewa. Pozbawione liści i bez śniegowych kożuchów wydają się bardzo nagie. I mam pecha. Pierwszą napotkaną osobą jest młoda kobieta pchająca wózek - nachyla się nad dzieckiem i coś do niego szczebioce. Ten widok skutecznie psuje mi humor. Od wypadku jestem sama i powoli dociera do mnie, że to się nie zmieni. Faceci są samolubni, nie chcą

15

ciężaru, nie chcą kobiety, którą będą musieli się opiekować, choć tak naprawdę nie wymagam wielkiej opieki, jedyne w czym trzeba mi pomagać, to we wchodzeniu w miejsca niedostępne dla ludzi na wózkach.

Z Adrianem chodziłam, bo wypadało mieć chłopaka, bo przystojnie wyglądał i inne dziewczyny się za nim oglądały, bo był dobry w łóżku, a przynajmniej tak mi się wydawało, nie miałam porównania, spałam tylko z nim, ale nie myślałam, że założę z nim rodzinę, nie wybiegałam myślą tak daleko w przyszłość, nie planowałam dzieci.

A teraz niczego innego bardziej nie pragnę niż kochającego męża i przede wszystkim dziecka. Malutkiego bobaska, dzidziusia, któremu mogłabym się poświęcić, który wypełniłby pustkę powstałą wokół mnie po wypadku. Choć nie

sądzę, by tęsknota za dzieckiem była wynikiem wypadku, myślę, że to przyszło z wiekiem, na każdą kobietę przychodzi po prostu taki moment, w którym pragnie dziecka, a te, które twierdzą inaczej, tuszują tylko fakt, że z jakiegoś powodu nie było im dane mieć dzieci.

Odwracam głowę, mijając kobietę z dzieckiem, żeby nie katować się jej szczęściem. W efekcie o mało nie wypadam ze ścieżki i nie rozbijam się na wieżycze z cegieł. Przez chwilę przyglądam się jej, usiłując dociec, jaką pełni funkcję, ale nie widzę dla niej żadnego praktycznego zastosowania. Pewnie została pomyślana jako ozdoba, choć jej wartość dekoracyjna wydaje mi się wątpliwa.

Wykręcam na skraju trawnika i czuję, jak jedno koło wpada w lekki poślizg. Trawa musiała być mokra. Ale od czego? Co najmniej od kilku dni nie padało. Wychylam się, żeby sprawdzić. Cholera! Wjechałam w psie gówno. Najpierw ogarnia mnie wściekłość na chamskich właścicieli psów, którzy nie widzą nic niestosownego w tym, że ich psy zasrywają parki, a nawet chodniki. Potem na straż miejską, że nic nie robi, by temu przeciwdziałać. Nieraz widziałam

16

strażników, którzy nie reagowali, choć pies na ich oczach walił kupę, a właściciel nie miał najmniejszego zamiaru jej sprzątnąć. Kiedy złość przechodzi, zbiera mi się na płacz. Muszę jechać na tym pobrudzonym gównem wózku, nie dam przecież rady z niego zejść i go wyczyścić. Chlipię sobie, zastanawiając się, jakie nieszczęście spotka mnie jeszcze

na tym nieudanym spacerze, i żal mi samej siebie.

- Coś się stało? Dlaczego pani płacze?

Podnoszę wzrok. Naprzeciwko mnie stoi zakłopotany mężczyzna trzymający za rękę cztero- lub pięcioletnią jasnowłosą dziewczynkę, której oczy są w tej chwili rozszerzone ze zdumienia.

Łkając, wyjaśniam, co mi się przytrafiło.

- No tak, Japonia kraj kwitnącej wiśni, Wrocław miasto psiej kupy. Proszę się nie martwić, zaraz coś zaradzimy.

Mężczyzna rozgląda się za odpowiednimi akcesoriami, po czym przyklęka przed dziewczynką.

- Zaczekaj, Joasiu, tutaj z panią. Tatuś zerwie tylko jakieś liście, żeby wytrzeć pani wózek.

Tatuś. Więc pewnie jest i mamusia. Szkoda, spodobał mi się, choć bardziej typ inteligenta niż sportowca, ale pewnie po doświadczeniu z Adrianem zmądrzałam. A może rozwodnik? E, wtedy raczej nie spacerowałby z córką w środku tygodnia, u nas przy rozwodach ojcowie nie dostają opieki nad dziećmi, a na spotkania sądy wyznaczają weekendy.

Czy mogę liczyć na to, że jest wdowcem? E nie, za młody.

- Proszę pani? - odzywa się dziewczynka, o której właśnie mi się zamarzyło, żeby była pólsierotą. Dlaczego jestem taka wredna?

-Tak?

- A czemu pani jeździ na takim wózku?

- Miałam wypadek i nie mogę chodzić.

- A wstać pani może?

- Też nie.

Joasia nad czymś się zastanawia.

- A... a czy to boli?

Łzy kręcą mi się teraz ze wzruszenia z powodu okazywanej troski.

- Nie, na początku bolało, ale teraz już nie, w ogóle nic nie czuję w nogach. - Skoro dziewczynka jest tak rozmowna i nie boi się obcych, postanawiam ją wybadać co do stanu cywilnego jej ojca. - Często tu przychodzisz z tatą?

Mała potrząsa głową.

- Nie, zawsze z mamą, ale dzisiaj mama pojechała do babci, bo babcia zachorowała.

No i tyle moich szans na złowienie faceta wracającego właśnie do nas z naręczem rozłożystych liści, które dodatkowo zmoczył w parkowym stawie. Chociaż może lepiej, że odpadłam na tym etapie, niż miałabym się dowiedzieć, że mnie nie chce, bo jestem kaleką.

- Słyszę, że moja córka już panią wypytuje... Ty chyba zostaniesz sławną dziennikarką.

Joasia przytakuje z poważną minką.

- Tak, taką jak Monika Olewnik.

- Olejnik - poprawiamy niemal jednocześnie i wybuchamy śmiechem. Sympatycznie się śmieje, nie jak wielu facetów, których śmiech przypomina rżenie konia. Naprawdę szkoda, że jest żonaty, że siedzę na wózku, że nie spotkaliśmy się w innych okolicznościach, w innym punkcie naszych egzystencji. Tylko że tak patrząc, to całe ludzkie życie jest

jednym wielkim „szkoda, że nie potoczyło się inaczej”.

- Zobaczymy. - Przykłęka koło wózka i przyniesionymi liśćmi czyści koło. - No, chyba gotowe. - Przesuwa wózek, żeby sprawdzić, czy dokładnie wytarł. - Elegancko, powód do płaczu zniknął - mówi z uśmiechem.

Zniknął tylko jeden z powodów do płaczu i to wcale nie ten najpoważniejszy. No ale mimo całej swej uczynności on nie jest Jezusem i nie sprawi, że znowu zacznę chodzić.

18

- Bardzo panu dziękuję, mało kto byłby gotów pomóc w takiej sytuacji.

Aż muszę się ugryźć w język, żeby nie dodać, że w ramach podziękowania zapraszam go na kawę. Pomijając już okoliczność, że jest żonaty, to najlepszy sposób, żeby spłoszyć faceta: okazać mu zainteresowanie, zanim dobrze się nie nachodzi. Problem w tym, że odkąd znalazłam się na wózku, faceci nie kwapią się, żeby za mną chodzić. Może to jest powód, dla którego niepełnosprawnemu mężczyźnie łatwiej znaleźć kobietę niż odwrotnie. On musi wykazać inicjatywę, musi ją zdobywać, więc ma szansę ją do siebie przekonać. Ona ma wzbudzić jego zainteresowanie, a trudno to zrobić, będąc uwięzionym w czymś tak wybitnie nieerotycznym jak wózek inwalidzki. Nie przedefiluję przed facetem, kręcąc biodrami. Kiedyś wystarczyło zrobić kilka kroków, odgarnąć włosy zalotnym gestem i chłopcy leżeli u moich stóp.

Próbuję gestu z włosami, ostatecznie ręce mam jeszcze

zdrowe, a włosy ładne, gęste i błyszczące, ale zostaje on odczytany zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażałam.

- Rozboliła panią głowa? No tak, z nerwów się zdarza.

- Trochę. Jeszcze raz dziękuję za pomoc.

Odchodzą w głąb parku. Patrzę, jak dziewczynka wsuwa swoją małą rączkę w dłoń ojca i zadaje mu jakieś pytania.

No tak, to ten wiek, wiek niezliczonych dziecięcych pytań.

Co ja bym dała, żeby zostać nimi zarzuconą.

Jem kolację przed telewizorem. Oglądam stanowczo za dużo telewizji, w tym seriale, z których naiwności zdaję sobie sprawę, na przykład „Klan”. Ale czym mam wypełnić pustkę dnia? Bo większość moich dni przypomina ten dzisiejszy: praca, samotny spacer, żadnych gości, żadnych telefonów. Czytaniem? Owszem, czytam bardzo dużo, ale nie można tym wypełnić całego wolnego czasu. Zawsze

19

dużo czytałam. Tata zaraził mnie miłością do książek i od najmłodszych lat podsuwał lektury a kiedy w liceum sięgnęłam po ambitniejsze pozycje, był szczęśliwy, że może ze mną o nich podyskutować. Wcześniej nie miał partnera do rozmowy o książkach, bo moja matka nie czyta nic, nawet harlequinów.

Tata był przekonany, że skoro tak pochłaniam książki, wybiorę studia wymagające czytania - polonistykę, jakąś filologię, ewentualnie bibliotekoznawstwo. Ale ja nie chciałam zamieniać przyjemności w obowiązek, poza tym pociągały mnie nowe wyzwania. Wiedziałam,

że w uczeniu się jestem dobra, bardzo dobra, chciałam udowodnić sobie, że będę równie dobra w sporcie.

Wybranie przeze mnie AWF-u bardzo tatę rozczarowało, nie uważał tych studiów za pełnoprawne studia wyższe, ale jak to mój tata, uszanował tę decyzję i nie próbował na mnie wpływać, żebym ją zmieniła. Moja matka na pewno by próbowała, ale jej było obojętne, co studiuję, dla niej było ważne, jakiego będę miała męża, a nie jakie wykształcenie.

Teraz żałuję, że tata nie namawiał mnie jednak do rezygnacji z AWF-u, chociaż wiem, że przy moim przekornym charakterze namowa tylko utwierdziłaby mnie w postanowieniu. A żałuję, bo może ludzie na innych studiach, gdzie sport nie stoi na pierwszym miejscu, nie odwróciliby się ode mnie po wypadku. Utrata władzy w nogach nie oznaczałaby braku możliwości uczestniczenia w tym, co dla nich interesujące.

Może dla towarzystwa powinnam udzielać się w jakichś stowarzyszeniach niepełnosprawnych? Nie, rozważałam to już wielokrotnie. Nigdy nie byłam osobą, która by się społecznie udzielała, dlaczego teraz miałabym to zmieniać i robić coś wbrew sobie? I nie chcę szukać kontaktu z ludźmi, z którymi łączy mnie tylko to, że jesteśmy kalekami. Czy jak

20

ktoś zachoruje na raka, to ogranicza swój krąg znajomych do ludzi z chorobą nowotworową?

Mój trener, bardziej chyba z poczucia obowiązku i bezrad-

ności niż z przekonania, zachęcał mnie, żebym wystartowała w igrzyskach paraolimpijskich. Stanowczo odmówiłam.

Bieganie było dla mnie czymś więcej niż sportem, zwłaszcza kiedy trenowałam w parku albo w lesie i nie ciążyła na mnie presja, że na ostatniej prostej muszę prześcignąć zawodniczkę przede mną. Pracowały wszystkie mięśnie ciała, oddychałam intensywnie, dostarczając organizmowi tlenu, wysiłek sprawiał, że namacalnie czułam, że żyję, istnieję, jestem młoda i silna, było to niemal ekstatyczne doznanie, widziałam siebie z góry, jak ludzie w stanie śmierci klinicznej, i napawałam się tym, jak zgrabnie i elegancko się poruszam, a potem zdyszana padałam na trawę, tarzałam się i krzyczałam od rozpierającej mnie energii. I to doznanie witalności, wręcz mocy, miałabym postawić na równi z przemieszczeniem bezwładnego ciała z punktu A do punktu B za pomocą przyrządu, którego nienawidzę? I po co? Żeby dostać krążek z metalu? Bo tylko tym jest medal na igrzyskach paraolimpijskich. Nie ma sławy, podziwu. Nie ma relacji telewizyjnych, nigdy nie widziałam książki „Polscy paraolimpijczycy”. Zdrowych nie obchodzi rywalizacja kalek, w najlepszym razie podchodzą do niej obojętnie, w najgorszym uważają za nieestetyczną.

Spoglądam z nienawiścią na wózek stojący obok kanapy i znowu wracam wzrokiem do telewizora. Przełączam na inny kanał, jakiś film, który już kiedyś widziałam, na razie zostawiam, usiłując sobie przypomnieć, o czym był i czy podobał mi się na tyle, żeby obejrzeć go ponownie.

Próbowałam znaleźć sobie jakieś hobby, pasję, nauczyłam się projektować strony internetowe i wzięłam się za robienie strony o polskiej lekkoatletyce, ale się zniechęciłam. Pasji nie można sobie znaleźć, to pasja musi dopaść człowieka.

21

A nie dopadnie, jeśli jego pierwotne potrzeby nie są zaspokojone. Trzeba być wyspanym i najedzonym, żeby wyjście do kina sprawiło przyjemność. Kiedy pracowałam nad stroną, miałam poczucie, że zajmuję się pierdołami, zamiast podjąć działania zmierzające do tego, żeby mieć dziecko i męża.

Kiedy zarzuciłam robienie strony, oczywiście żadnych działań nie podjęłam - bo niby jakie, najskuteczniejsze byłoby przywrócenie władzy w nogach - ale beczynność wydała mi się mniej bezsensowna. Zniknęło wrażenie, że mogę coś przegapić. Paradoksalnie, bo przecież jestem świadoma, że beczynne czekanie na cud nie przybliży mnie do celu ani o krok, a siedzenie przy komputerze wcale mnie od niego nie oddalało.

Po kolacji biorę do ręki telefon, chcę z kimś porozmawiać. Nie licząc mężczyzny, który pomógł mi w parku, i jego córki, nie zamieniłam dziś z nikim słowa. A wczoraj nie rozmawiałam nawet z przygodnymi znajomymi. Przedwczoraj jedyną konwersację odbyłam przy zakupie w kiosku „Twojego Stylu”, a polegała ona na powiedzeniu „dzień dobry” i podziękowaniu za czasopismo. Do Aldony jakoś nie mam ochoty dzwonić. To wprawdzie moja najlepsza przyjaciółka, co więcej, jej przyjaźń zwycięsko przeszła próbę mojego

wypadku, czym byłam mile zaskoczona - można powie-
dzieć, parafrazując Szymborską: tyle wiemy o innych, na ile
ich sprawdzimy - ale czasami muszę od niej odpocząć,
nabrać dystansu, przytłacza mnie jej energia, żywiołowość,
beźładna chwilami paplanina. Zaczynam wybierać numer
do rodziców, ale rezygnuję. Z tatą chętnie bym pogadała,
ale robi mi się niedobrze na myśl, że mam usłyszeć matkę
i wysłuchać kolejnej porcji pretensji, jakie ma do świata i do
taty. I do mnie, że jej nie słuchałam, kiedy mi tłumaczyła,
że jeżdżenie samochodem jest niebezpieczne, i nie poje-
chałam wtedy do Oławy autobusem. Jakby autobusy nie
ulegały wypadkom. Tyle że dla mojej matki świat składa się

22

z zagrożeń i gdyby zależało to wyłącznie od niej, trzymałaby
mnie w sterylnym zamknięciu, jak osoby, którym usunięto
szpik przed przeszczepem.

Sięgam po stare notesy. Może odezwać się do kogoś
sprzed lat? Do jakiejś kumpeli jeszcze z liceum. Co u ciebie
słychać? Wyszłam za męża, mam dwójkę dzieci, dobrą pracę,
a tobie jak się ułożyło w życiu? A nieźle, poza tym, że jestem
sparaliżowana, ogólnie jest super. Rzucam notesy w kąt.

Uświadamiam sobie, że tak naprawdę nie mam ochoty
z nikim rozmawiać, gdyby było inaczej, przeczekałabym
ględzenie matki albo zadzwoniła do taty bezpośrednio
na komórkę, choć mojej matce dałoby to później asumpt
do wielogodzinnych narzekań, jaką to jestem wyrodną córką,
bo unikam rozmowy z nią. Tak naprawdę chciałabym z kimś

pomilczeć. Ułożyć dziecko do snu, popatrzeć, jak zasypia,
i przytulić się do męża.

*

Aldona drżącą ręką podnosi filiżankę do ust i popija
tyk bezkofeinowej kawy. Z jakiegoś powodu jest zdenerwo-
wana, nie paple beztrosko jak zwykle, nie roztrząsa swoich
problemów sercowych, które tak naprawdę nie są dla niej
problemami. Zmienia facetów tak często jak bieliznę; jak
twierdzi, w poszukiwaniu wielkiej miłości, tyle że każdy
kolejny kandydat ma jakieś wady i nie nadaje się na tego
jedynego, ale myślę, że w gruncie rzeczy ten styl życia
jej odpowiada. Jest bezrefleksyjną trzpiotką. Zresztą czy
ja przed wypadkiem byłam inna? Niewiele się różniłyśmy,
zarówno charakterem, jak i wyglądem. Aldona podobnie
jak ja jest średniego wzrostu szatynką (choć teraz trudno
mówić o moim wzroście), lekko przy kości, ale siedzenie
na wózku sprawia, że niedługo ją dogonię.

Poznałyśmy się przez moją koleżankę ze studiów,
Gabi, z którą Aldona przyjaźniła się od liceum. Najpierw

23

spotykałyśmy się we trójkę, później Gabi się wykruszyła,
jakoś ja z Aldoną miałyśmy sobie więcej do powiedzenia
i lepiej się rozumiałyśmy.

Zastanawiam się, co ją gnębi. Wiem, że mi powie,
po to tu przyszła, ale musi znaleźć odpowiedni moment,
więc jej nie poganiam. Podziwiam jej nowy strój, beżowy
żakiet i spódnicę w tym samym kolorze oraz szpilki w ciem-

niejszym odcieniu. Aldona przyszła do mnie bezpośrednio po pracy, jest asystentką prezesa w firmie handlującej akcesoriami ogrodniczymi. Zastanawiam się, czy na ten nowy kostium wycygała premię od szefa, czy naciągnęła swojego obecnego chłopaka.

- Ładna garsonka...

- Co? Aha, tak, dziękuję. Powiedziałam Nowickiemu, że albo da mi podwyżkę, albo odchodzę. Wszędzie się słyszy, że zarobki rosną, tylko ja od pół roku jadę na tej samej pensji.

Gwoli wyjaśnienia, nie licząc okresu próbnego, Aldona przepracowała w tej firmie właśnie pół roku.

- No i dał. Teraz tak łatwo asystentki nie znajdzie, ma przecież wymagania: wyższe wykształcenie, angielski, prezencja...

Nowej musiałby i tak zapłacić tyle co mnie po podwyżce, a cały czas ma nadzieję, że pójdę z nim do łóżka.

Opowiadała mi już wcześniej o awansach prezesa, bezskutecznych, bo Aldona Joanną d'Arc wprawdzie nie jest, ale po pierwsze zawsze jest wierna swojemu aktualnemu chłopakowi i ściśle trzyma się zasady, że najpierw musi z nim zerwać, zanim pójdzie do łóżka z innym, a po drugie chodzi do łóżka tylko z tymi, w których widzi kandydatów na wielką miłość, a żonaci - według kryteriów Aldony

- bezwzględnie takimi kandydatami nie są. Prezes Nowicki ma tymczasem tego pecha, że jest żonaty. Pecha, bo Aldona uważa go za całkiem przystojnego i sympatycznego, poza tym jest zamożny, co dla mojej przyjaciółki niemniej ważne.

- A przecież powiedziałam mu jasno, że zaproszenie na randkę przyjmę, ale tylko w postaci wyroku rozwodowego. Jak woli się trzymać tego starego próchna, jego strata. Zamierzam poparadować trochę w półprzezroczystych bluzkach, żeby zobaczył, co stracił.

No to rzeczywiście prezes przekona się, że dużo stracił.

Aldona, w przeciwieństwie do mnie - pod tym jednym względem się różnimy - ma czym się pochwalić.

- Póki jeszcze brzucha nie będzie widać.

- Brzucha?

W pierwszej chwili nie łapię, ale już w następnej wiem to, co Aldona mówi:

- Jestem w ciąży.

Czyli to ją gnębiło. Wpadła.

- Jak to się stało?

Aldona zawsze się starannie zabezpieczała, dziecko owszem miała w planach, ale po znalezieniu wielkiej miłości i po ślubie.

- Najwyraźniej zawiodły pigułki, przeczytałam, że są skuteczne w dziewięćdziesięciu dziewięciu i pół procent, jak na złość znalazłam się w tej pozostałej połówce.

- A co na to Mariusz?

Mariusz to obecny chłopak Aldony i, jak się domyślam, znając jej zasady, ojciec dziecka.

- Jeszcze mu nie powiedziałam.

-I co zamierzasz zrobić?

Aldona miesza łyżeczką kawę, choć na dnie została tylko resztką napoju.

- No właśnie nie wiem. Najpierw chciałam usunąć.

Kupiłam sobie tabletki wczesnoporonne, trochę kasy na to wydałam, bo u nas zakazane...

- To skąd je wzięłaś? - zdziwiłam się.

- Ludzie przywożą zza granicy. Masz całe strony ogłoszeń w Internecie i gazetach „farmakologiczne wywoływanie

25

miesiączki". Jak się uchwała nieżyciowe zakazy, to ludzie i tak je obejdą, tyle że będzie ich to drożej kosztowało, co najwyżej biedni sobie nie poradzą. Ale o biednych to nasi rządzący martwią się wyłącznie werbalnie, a potem uchwalają takie przepisy, przez które właśnie biedni dostają w tyłek.

Dziwi mnie ta krytyka w ustach całkowicie apolitycznej

Aldony, która nie chodzi na wybory i zazwyczaj nawet nie wie, jakie partie rządzą.

- Mówię ci, Edytka, siedziałam chyba kilka godzin

ze szklanką wody w jednej ręce i pigułką w drugiej, podnosiłam je do ust, opuszczałam, i tak w kółko. I w końcu nie zażyłam. Potem chciałam zrobić skrobankę. Okazało się, że jedna trzecia moich koleżanek usuwała - ale ci katolicy i imamowie twierdzą, że po wprowadzeniu zakazu aborcji liczba zabiegów spadła - i bez trudu dostałam namiary na zaufanego ginekologa. Masz tysiąc na zbyciu, nie ma problemu. Byłam już umówiona, stałam pod gabinetem i zawróciłam. Nie wiem, co się ze mną dzieje, ale ja chyba

chcę mieć to dziecko. Mimo że Mariusz średnio nadaje się na męża, właśnie miałam powoli z nim zrywać.

Czuję ukłucie zawiści. Nie, nie ukłucie, wręcz świdrowanie. To ja nadaremnie marzę o malutkim dzieciątku, które mogłabym kochać, pieścić, przytulać, którym mogłabym się opiekować, któremu mogłabym poświęcić życie, a ona dostaje ten dar i nawet nie wie, czy go chce, próbuje się go pozbyć.

Czy to sprawiedliwe?! Żeby ją pokarało, myślę sobie, żeby teraz, kiedy zdecydowała się je zatrzymać, poroniła!

Nagle biją na mnie siódme poty. Skąd to podłe życzenie?

Przecież to moja przyjaciółka i to taka, na której naprawdę mogę polegać. Przecież to nie jej wina, że dla mnie perspektywa urodzenia dziecka wydaje się równie odległa jak rok trzytysięczny. I chociaż feministek nie znoszę, to przecież zawsze uważałam, że to kobieta decyduje o swoim ciele i powinna mieć prawo usunąć ciężę tylko z tego powodu,

26

że nie chce mieć dziecka. Dlaczego mam pretensje do Aldony, że z tego prawa chciała zrobić użytek? Dlaczego wołam o jakąś abstrakcyjną sprawiedliwość? Przypominam sobie mojego wychowawcę z liceum, siwego staruszka, któremu nadaliśmy przezwisko Matuzalem. Kiedy kwestionowaliśmy jakieś jego zarządzenia, argumentując, że są niesprawiedliwe, odrzucał nasze zastrzeżenia stwierdzeniem: „Życie jest niesprawiedliwe i należy przyzwyczajać się do tego już w szkole”. Wtedy, podobnie jak inni, traktowałam tę sentencję jako błyskotliwy bon mot mający zamknąć nam usta i nie

dopuszczyć do dyskusji. Dzisiaj uświadamiam sobie, że kryła się za nią przegrana egzystencja, że nasz wychowawca musiał boleśnie doświadczyć niesprawiedliwości życia.

Spoglądam z przestachem na Aldonę. Jeśli rzeczywiście poroni, nigdy sobie tego nie wybaczę, nigdy nie pozbędę się przekonania, że stało się to przeze mnie. Wierzę, że ludzka myśl może mieć siłę sprawczą, że jest to rodzaj energii, której oddziaływania jeszcze nie znamy i nie umiemy kontrolować.

Na szczęście Aldona dopija resztkę kawy, nie wykazując żadnych niepokojących objawów.

- Mam ochotę na słone - mówi, przegryzając pierniczkiem. - Masz coś w domu?

- Powinnam mieć, zaraz zobaczę.

Przełądam szafki w kuchni, znajduję paczkę słonych paluszków.

- Paluszki! - wołam do Aldony. - Mogą być?

- Niech będą!

Przez chwilę Aldona chrupie w milczeniu.

- No i co mam zrobić? Doradź mi.

Zastanawiam się nad odpowiedzią, starając się odrzucić swoje złe emocje. Moja rada nie może być podyktowana moim kalectwem.

-Jeśli czujesz, że chcesz urodzić to dziecko, to tak zrób. Ostatecznie nie musisz wychodzić za Mariusza. Nie

27

będziesz pierwszą ani ostatnią matką samotnie wychowującą dziecko.

-Wiem, ale zawsze planowałam dziecko po ślubie, ze sprawdzonym facetem. Moi rodzice byli rozwiedzeni, więc znam to piekło i nie mam najmniejszej ochoty fundować go swojemu dziecku.

- Tu nie byłoby rozwodu, wychowywałabyś samotnie od początku - zauważam.

- Mówiąc piekło, mam na myśli nie tylko to, że skakali sobie po rozwodzie do gardeł, ale też atmosferę w domu.

Czy ty wiesz, jak puste jest mieszkanie, z którego pewnego dnia znika ojciec? Jak przestaje być bezpieczne? Cały czas się bałam, bo miałam wrażenie, że zostałyśmy porzucone, że już nikt się nami nie zainteresuje, że jesteśmy skazane na zagładę.

Uspokajałam się tylko wtedy, gdy tata przychodził do mnie w weekendy - na szczęście nie należał do tych ojców, którzy po rozwodzie znikają z życia dziecka - albo gdy matka rozmawiała przez telefon lub odwiedzali nas goście, bo to świadczyło, że mamy jeszcze jakąś łączność ze światem.

- No ale twoje dziecko nie musiałyby przechodzić przez tę zmianę, dla niego sytuacja, że jest samo z matką, byłaby zupełnie naturalna.

- Mimo wszystko. Uważam, że dziecko powinno mieć ojca w domu. Kto wie, czy moje pokopane związki nie są właśnie wynikiem tego, że z tatą przebywałam tylko w weekendy albo podczas krótkich wyjazdów.

- Jeszcze kawy? - pytam, widząc, że Aldona podnosi do ust pustą filiżankę, z ulgą, bo rola gospodyni jest znacznie prostsza niż psychoanalityka, a naprawdę nie wiem, czy

moja przyjaciółka podświadomie oczekuje, że partner zastąpi jej ojca.

- Wolałabym sok.

Przynoszę Aldonie sok z czarnych porzeczek i z przerażeniem patrzę, jak po wypiciu łyka dosładza go.

28

- No, przyjaciółko, pomóż mi. - Aldona nie zamierza zwolnić mnie z roli życiowego doradcy. - Co mam zrobić?

Też nalewam sobie soku - nie dosładzam, choć nie miałabym nic przeciwko temu, żeby nabrać tak dziwnych upodobań żywieniowych jak Aldona - i popijam, porządkując w głowie możliwe rozwiązania. Zawód księgowej uczy jednak systematyczności. Mam tylko nadzieję, że nie staję się nudna jak klasyczna księgowa. Kiedyś jedna z moich koleżanek - właśnie ta, która po wypadku namówiła mnie na kurs - zabrała mnie na wycieczkę w gronie swoich przyjaciółek księgowych. Myślałam, że wścieknę się z nudów.

- Masz cztery możliwości: usunąć, urodzić i wychowywać samotnie, wyjść za Mariusza albo znaleźć innego kandydata na męża. Z tym że to ostatnie rozwiązanie będzie raczej trudne w realizacji, mało który facet chce wychowywać cudze dzieci, większość nie chce nawet wychowywać swoich.

Z tą większością chyba przesadziłam, z własnego doświadczenia znam wspaniałego faceta, dla którego córka była wszystkim i dobrze ją wychował, chroniąc przed nie do końca normalną matką: to mój tata. Gdyby moi rodzice

się rozwiedli jak rodzice Aldony i zostałabym sama z matką, byłabym nie tylko fizycznie, ale i psychicznie kaleką. A i tak moja matka dała mi ostro w kość. W liceum doprowadziła mnie do takiego stanu, że szukałam pomocy w grupowych seansach terapeutycznych.

- Wolałabym jakieś piąte. - Aldona strzepuje niewidzialny pyłek ze spódnicy.

- Jakie? - dziwię się.

- No właśnie nie wiem.

Dociera do mnie, że Aldona wie, że piątego rozwiązania nie ma, ale jeszcze nie dojrzała, żeby podjąć decyzję.

Siedzimy przez chwilę w milczeniu, słuchając muzyki, którą nastawiłam. Nick Cave - moje wielkie odkrycie sprzed

29

pół roku. Zduszony głos Australijczyka stanowi właściwe tło dla procesu, jaki przechodzi Aldona: od lekkomyślnej dziewczuchy do kobiety, która musi wziąć odpowiedzialność za swoje dziecko.

- No nic, pójdę już. - Podnosi się z fotela. - Muszę się z tym przespać.

Odprowadzam ją do drzwi.

-Aldona...

-Tak?

Chcę jej powiedzieć, żeby za wszelką cenę zatrzymała dziecko, że to przecież nowe życie, cud, radość, dar, o który modlę się każdego dnia, którego brak sprawia, że płacę po nocach, ale nic nie mówię. Moje pragnienia nie mogą

sterować jej życiem.

-Nie, nic...

Ale ona nie potrzebuje moich wyjaśnień, znamy się od lat i rozumiemy bez słów, poza tym doskonale zdaje sobie sprawę, jak bardzo pragnę dziecka, przecież nieraz jej się z tego zwierzałam.

Nachyla się i obejmuje mnie.

- Wiem, Edytka, wiem.

*

Jadący z naprzeciwka samochód wyrasta na moim pasie na linii horyzontu. Nie zdejmuję nogi z gazu, jest daleko, bez problemu zdąży wrócić na swój pas. Ale nie wraca. Upił się? Zasnął za kierownicą? Ogarnia mnie złość, ale nie strach, jeszcze jest dużo czasu i miejsca, żeby zareagować. Naciskam hamulec. Ale hamulec nie działa! Naciskam jeszcze raz, dalej nic. Samochód z naprzeciwka robi się coraz większy, coraz potężniejszy, pot występuje mi na czoło, usiłuję skręcić na lewy pas, który jest akurat wolny - gdzie się podział wyprzedzany samochód? - ale kierownica się zablokowała, wkładam wszystkie siły, żeby ją przekręcić,

30

jednak na próżno, samochód na moim pasie jest coraz bliżej, wypełnia całą przednią szybę, zaciskam oczy, słyszę huk zderzenia, miażdżonych blach, ale nic nie czuję, nawet lekkiego wstrząsu, czuję tylko, że leżę na trawie, ktoś się nade mną nachyla, woła:

- Proszę pani, proszę pani! Nic się pani nie stało?

Szarpie mnie za ramię, ale ja tego nie czuję - to skąd
wiem, że szarpie mnie za ramię? - odwracam głowę, bo z ust
śmierdzi mu wódką, ale mam tylko głowę, nie mam reszty
ciała, Jezu, gdzie się podziało moje ciało? Jezu!!!

Siadam na łóżku, a w uszach brzęczy mi mój własny
krzyk, krzyk ze snu, ale słyszalny na jawie, słyszany jeszcze
przeze mnie, gdy się budzę.

Głęboko oddycham, żeby uspokoić rozedrgane ciało,
wałące serce. Staram się nie myśleć „to tylko sen”, bo to nie
był tylko sen, ten sen wziął się z rzeczywistości. Sięgam
po komórkę, żeby sprawdzić godzinę. Wpół do czwartej.

Przesiadam się na wózek. Nie po raz pierwszy śni mi się
wypadek i wiem, że teraz nie zasnę. Zostawanie w łóżku
nie ma sensu, będę tylko przewracała się z boku na bok.

Idę do kuchni i wyciągam z lodówki mleko. Zimne mleko
działa na mnie uspokajająco. Przechodzę do pokoju i włą-
czam telewizor, ale o czwartej nad ranem trudno znaleźć
sensowny program, nawet jak się ma telewizję satelitarną.

Wciskam czerwony przycisk na pilocie, obraz gaśnie, sięgam
po leżącą na stole książkę, z zakładką wystającą mniej więcej
w połowie. „Dziewczyna z zapałkami” Anny Janko. Ostatnio
wzięło mnie na polskie autorki, poprzednio przeczytałam
„Kobietę i mężczyzn” Gretkowskiej. A właściwie przeleciałam,
tak płytka i powierzchowna, choć siłaca się na głęboką, była
ta powieść, co widzę dopiero teraz, kiedy zatrzymuję się
nad poetyckimi frazami Janko, jej przemyśleniami, którymi
dostaję jak obuchem w głowę, nad opisem jej osobowości.

Osobowości, w której dominuje refleksja, ona cały czas

31

spogląda na siebie z zewnątrz, nawet w chwilach zapomnienia, zatracenia. Czy na tym właśnie polega człowieczeństwo? Na zastanawianiu się, analizowaniu, roztrząsaniu? Ale w takim razie człowiek nie może być szczęśliwy. I kim się jest, jeśli do pełni zadowolenia wystarczają dobre jedzenie, zabawa, seks i zakupy w hipermarkecie?

Przed wypadkiem byłam Gretkowską, płytka i powierzchowna, tylko udająca głębię, teraz jestem Janko. I tęsknię za tamtą ja, nie tylko dlatego, że wtedy miałam władzę w nogach.

Odkładam książkę, nawet jej nie otworzywszy. Nie mam teraz ochoty na głębokie przemyślenia. Kieruję się na balkon, styczniowa noc jest chłodna, ale nie mroźna, owiewa mnie zimne, rześkie powietrze. Z lubością wciągam je do płuc, tutaj na Sępolnie nie czuje się spalin, skutecznie neutralizuje je wszechobecna zieleń. Z wdzięcznością myślę o tacie, który namówił mnie na Sępolno, kiedy rodzice kupowali mi mieszkanie na początku studiów. Sami mieszkają na Biskupinie, więc ja oczywiście nie chciałam przeprowadzać się do sąsiedniej dzielnicy, tylko jak najdalej od matki, najlepiej na drugi koniec Wrocławia.

- To złudne przekonanie, że przed nią uciekniesz.

- Tata przejrzał moje motywy i ku mojemu zaskoczeniu zdecydował się na szczerą rozmowę. Zwykle starał się udawać, że jesteśmy normalną, kochającą się rodziną.

- Może i rzadziej będzie cię odwiedzała, ale jak już się wybierze, to będzie ci siedziała na głowie cały dzień, żeby odbić sobie długi dojazd. Albo będzie chciała zanocować pod pretekstem, że nie ma czym wrócić. A tu może i częściej wpadnie, ale szybciej się wyniesie. Poza tym jak już człowiek ma coś w zasięgu ręki, to, paradoksalnie, niekoniecznie po to sięga. A szkoda rezygnować z tak ładnego mieszkania w tak ładnej okolicy. Oczywiście, możemy ci kupić, tak jak chcesz, świeżo

32

zbudowane na peryferiach, ale czy naprawdę chcesz tłuc się na uczelnię półtorej godziny, mieszkać przez parę lat na placu budowy, a do najbliższego parku organizować całą wyprawę? Teraz park w pobliżu może ci niepotrzebny, ale jak będziesz miała dzieci, to docenisz, jaka to wygoda. Jeśli zdecydujesz się na Sępolno, obiecuję nie puszczać mamy do ciebie zbyt często.

Uśmiechnęłam się na tę deklarację. Jakby tata miał jakiś wpływ na matkę. Nie tylko nie przejmowała się tym, co on mówi, ale w ogóle go nie słyszała, niezmiennie wsłuchana we własny słowotok, w litanię narzekań i pretensji.

Jednak argumenty taty mnie przekonały. Ten, że przed matką i tak nie ucieknę i że warto mieszkać blisko uczelni, bo zajęcia na studiach nie są jednym ciągiem, jak w szkole średniej, i na dłuższe przerwy można wrócić do domu.

I o tyle łatwo dałam się przekonać, że gdyby nie matka, wcale nie chciałabym się stąd wyprowadzać. Tu się wychowałam

i dobrze się tu czułam, nie bez kozery właśnie Biskupin
i Sępolno poza Krzykami uchodzą za najatrakcyjniejsze
dzielnice Wrocławia.

I doceniam teraz bliskość parku, choć nie mam dzieci.

Otulam się mocniej kocem i spoglądam w górę, ponad
zarysem budynku po drugiej stronie ulicy. Patrzą na gwiazdy,
a może planety, konstelacje, które nic mi nie mówią. Może
powinnam zainteresować się astronomią, ostatecznie tyle
nocy spędzam na balkonie. Sama nie traktuję tej myśli
poważnie i zamykam oczy. Próbuję oddać się marzeniom,
że włączę rano radio i usłyszę wiadomość:

„Amerykańscy naukowcy opracowali rewolucyjną metodę
leczenia osób, u których nastąpiło przerwanie rdzenia krę-
gowego i które w tej chwili skazane są na wózek inwalidzki.
Amerykanie wszczepili pacjentowi elektrody, skutecznie
przekazujące impulsy pomiędzy przerwanymi częściami
rdzenia. Sparaliżowany pacjent wstał i zrobił kilka kroków.

33

Jak powiedział stacji CNN, poczuł się jak kaleka z Listry
po uzdrowieniu przez świętego Pawła".

A potem sprzedam mieszkanie, żeby opłacić operację
w Stanach, wrócę biedna, ale zdrowa, szczęśliwa. Pewnego
dnia spotkam na ulicy Adasia, który wcale o mnie nie zapo-
mniał, weźmiemy ślub i urodzę dziecko. Nie jedno - dwójkę,
trójkę, czwórkę!

- Mamo, mamoo! - słyszę dziecięce głosiki, drobne rączki
obejmują mnie w pasie.

Wzdrygam się, otwieram oczy. Musiałam przysnąć. Pora wracać do łóżka, ale nie mogę ruszyć się z miejsca. Głos dzieci, ich dotyk był we śnie taki realny, taki prawdziwy. Nie potrafię się z tego otrząsnąć, czuję się nie tak, jakbym tęskniła za nienarodzonym dzieckiem, ale jakbym straciła urodzone. Potworne uczucie. Może powinnam dostrzec dobrą stronę mojej sytuacji: żaden pedofil nie zgwałci i nie zabije mojego dziecka. Tylko czy potencjalny ból - potworny, straszny, przerażający, ale tylko potencjalny - powinien nas powstrzymać przed działaniem? Moją matkę pewnie by powstrzymał. Aż dziw, że mnie urodziła. Choć w tamtych czasach o pedofilach głośno się nie mówiło, więc pewnie nie zdawała sobie sprawy z zagrożenia z ich strony. Powoli wracam do sypialni, kładę się z powrotem do łóżka. Zasypiam, mając nadzieję, że powtórzy się sen z balkonu, że jeszcze raz usłyszę te głosiki, które napełniły mnie taką słodyczą. Skoro nie mogę być szczęśliwa w rzeczywistości, niech choć przez chwilę będę szczęśliwa we śnie.

*

Budzę się i zastanawiam, jaki jest dzień tygodnia. Nie wiem. Nie wiem, bo do niczego mi ta wiedza niepotrzebna. Mój czas płynie w rytm terminów wyznaczonych przez fiskusa: deklaracja PIT-8 do siódmego, PIT-4 i PIT-5 do dwudziestego, YAT-7 do dwudziestego piątego.

34

Może jest weekend i mogę sobie zrobić wolne? Chociaż w tym tygodniu już dwa razy robiłam sobie wolne, więc

weekend powinnam przepracować. Tylko z czego ta powinność wynika? Przecież nie mam zaległości. Skąd u mnie w środku ten mały kapral, który zmusza mnie do robienia rzeczy, bo „powinno” się je robić? Przed wypadkiem go nie było. Skoro nie mam zaległości, to może powinnam zamieścić w Internecie parę ogłoszeń i poszukać dodatkowych zleceń.

O! Znowu! Na co mi więcej pieniędzy? Żeby kupić sobie dodatkową parę butów na bezwładne nogi?

Dzwoni telefon. To moja matka zapowiada się z wizytą.

Czyli jest weekend. Bo po latach walki udało mi się ograniczyć jej wizyty do weekendów. Podobnie jak lat walki wymagało, żeby zechciała wcześniej telefonicznie się umawiać. Prośby o to puszczała mimo uszu, uważając je za wielkopańskie fanaberie - sama pochodzi ze wsi, gdzie sąsiedzi zachodzą do siebie, jak im pasuje, a telefon służy do wzywania pogotowia ratunkowego. Przełom nastąpił, kiedy przyszła akurat, jak się kochałam z Adrianem. Oczywiście nie wpuściłam jej, ale zorientowała się, że jestem w domu, i twardo się dobijała. Miałam ochotę poprosić Adriana, żeby ze mnie wyszedł i nie ubierając się, otworzył jej. Zrobiłam później dziką awanturę i to poskutkowało. Do mojej matki prośby i argumenty nie trafiają, muszę wpaść w szal, żeby zrobiła coś po mojej myśli.

Podnoszę się z westchnieniem z łóżka. Kolejny dzień, w którym nie czeka mnie nic przyjemnego. Inni, owszem, mają problemy, bólączki, zmartwienia, ale rekompensowane przez radości, przyjemności, wesołe chwile. Kiedy

ja ostatni raz się śmiałam? Nie mogę sobie przypomnieć.

Staram się pocieszyć samą siebie, że przecież wizytę matki przeczekałam, przetrzymam i w końcu będę miała ją za sobą. Tylko tak patrząc, to przeczekałam i przetrzymam całe życie i w końcu będę miała je za sobą.

35

Ta refleksja sprawia, że z powrotem opadam na łóżko.

Ciekną mi łzy. Co mam zrobić? Co mogę zrobić? Przecież nie uwolnię się od tego kalekiego ciała, nie wymienię go na inne. Może nie czekać kilkadziesiąt lat - kilkadziesiąt lat na wózku w pustym mieszkaniu - aż moje życie dobiegnie końca, tylko samej je zakończyć.

Ta myśl mnie poraża. Nawet po wypadku nie myślałam o samobójstwie. Może wynikało to z mojej stosunkowo głębokiej wiary: samobójstwo jest grzechem. Poza tym po wypadku byłam oczywiście zrozpaczona, miałam chwile głębokiego zwątpienia, ale mimo wszystko byłam nastawiona na to, żeby walczyć, zrobić, co się da w położeniu, którego sobie nie wybrałam. Nie wiem, czy takie nastawienie też wynikało z wiary, z przekonania, że z przeznaczeniem człowiek nie wygra, czy po prostu okazałam się znacznie silniejsza psychicznie, niż myślałam, że jestem. Sama tragedia nie załamala mnie tak bardzo, jak teraz załamuje beznadzieja sytuacji, brak światełka w tunelu, szans, że moje życie przestanie być wegetacją. Naturalnie w chwilach zwątpienia mówiłam, że nie chcę żyć, że lepiej dla mnie byłoby, gdybym w wypadku zginęła, że po co mam

się męczyć, skoro mogę łyknąć jakieś tabletki i to wszystko zakończyć, ale gdy kiedyś tak jęczałam przy Aldonie, ta - akurat wybieraliśmy się na spacer - zepchnęła mój wózek ze schodów ze słowami:

- Nie chcesz żyć? No to giń.

Naprawdę myślałam, że się zabiję, kiedy wyleciałam z wózka i spadałam ze schodów, boleśnie się tłukąc. Śmierć zajrzała mi w oczy i wtedy dotarło do mnie, że nie chcę umierać, że jeszcze za wcześnie, jeszcze jestem młoda, sparaliżowana czy nie, ale życie ma wartość, z której dobrowolnie nie zrezygnuję. I kiedy wylądowałam na podścielisku, oberwawszy jeszcze wózkiem, który na mnie zleciał, nie chciałam się już zabijać. Tylko Aldonę. Byłam na nią

36

wściekła, darłam się na nią, że jest nienormalna, że doniosę na nią na policję, że pójdzie siedzieć, że odpowie za próbę morderstwa, ale ta wściekłość była tak naprawdę wyrazem ulgi, że nie rozbiłam sobie głowy o kant schodów, roztrzęsieniem człowieka, który cudem uniknął śmierci. I później jej za tę terapię szokową podziękowałam.

Drugim bezpiecznikiem chroniącym mnie przed samobójstwem jest tata. Nie mogłabym mu tego zrobić. Już teraz cierpi niewymownie, że jego ukochaną córkę spotkało nieszczęście - przez ostatnie trzy i pół roku niemal całkowicie posiwiął, a przecież wcale nie jest stary, ma dopiero pięćdziesiąt jeden lat - mojej śmierci prawdopodobnie by nie przeżył. A nawet jakby przeżył, to przecież nie mogę zo-

stawić go samego na pastwę matki.

Matka! Muszę wstać i przygotować się na jej wizytę.

Z niechęcią biorę się do sprzątan. Z niechęcią, bo zawsze dopatry się jakichś krzywo ułożonych poduszek na kanapie czy paska niestartego kurzu za szafą, zrobi minę „no, nie jest źle, ale żeby to do końca było posprzątane, to nie można powiedzieć”, po czym z miną cierpiętnicy („że też ja nie mogę nawet przez chwilę odpocząć”) poprawi poduszki i zetrze kurz. Tą metodą skutecznie wpoić mi, że nic nie potrafię zrobić dobrze, że zawsze trzeba po mnie poprawiać.

Paradoksalnie stąd bierze się moja rzetelność: tak się boję, że coś zrobię źle, tak mam zakonotowane, że odznaczam się nieudolnością, że po trzy razy sprawdzam, czy dobrze zrobiłam, co miałam zrobić.

Wyjmuję z kredensu mój najlepszy serwis - podanie kawy w kubku skończyłoby się półroczną gadaniną, jak to nie mam klasy i lekceważę własną matkę; moja pochodząca ze wsi matka przykłada niezwykle dużą wagę do „klasy” - i przecieram filiżanki. Szczególnie dokładnie tę, z której ma pić moja matka, bo wiem, że zlustrowe ją mikroskopowym spojrzeniem w poszukiwaniu odrobiny pyłku.

37

Nie dam jej tej satysfakcji. Bo przecież jej nie chodzi o ten pyłek, spokojnie mogłaby przymknąć nań oko, ale o udowodnienie sobie i córce, że ta bez niej nie daje sobie rady. Bo najgorszym nieszczęściem, jakie może przydarzyć się takiej kobiecie, która nic w życiu nie osiągnęła i nie

ma własnych planów ani ambicji, jest to, że swojemu dziecku nie jest już potrzebna. Zamyka oczy na fakt, że ono dorosło, i dalej chce rządzić i kierować jego życiem, wpija się w nie jak hirudo medicinalis i wysysa z niego krew, pozbawiając je energii. Matka, która nie potrafi odciąć po raz drugi pępowiny - a teraz musi zrobić to sama - i zadusza nią dziecko.

Idę do łazienki się wyszykować, kiedy mieszkanie już lśni, a stół jest zastawiony na przyjęcie rodziców - na szczęście tata też przyjdzie, moja matka wyznaje pogląd, że nie po to jest mężatką, żeby sama chodzić w gości. Czasami mam wrażenie, że był to główny powód, dla którego wyszła za męża. Natomiast zagadką pozostaje dla mnie, dlaczego wyszła właśnie za tatę, skoro bez przerwy na niego narzeka, zarzuca mu, że jest nieudacznikiem, ciamajdą i intelektualistą (w jej ustach to obelga). Może nie miała innych adoratorów albo, co bardziej prawdopodobne, na każdego narzekałaby tak samo. Większą niewiadomą jest, dlaczego tata jej się oświadczył. Jak mógł się zakochać w takiej kobiecie? Chociaż mężczyźni są jak ćmy lecące w zabijający je ogień, zakochują się w podłych, zołzowatych kobietach, nabierają się na skorupę ładnego wyglądu i nie dostrzegają kryjącego się pod nią bagna.

Czas pozostały do wizyty rodziców spędzam bezproduktywnie. Na książkę nie mam ochoty, a „Twój Styl” przeczytałam już od deski do deski. Włączam telewizor i przeskakuję po kanałach, ale żaden program nie przykuwa mojej uwagi.

Uruchamiam komputer, ale nie mam pomysłu, co wpisać do wyszukiwarki. W końcu wpisuję swoje nazwisko: „Edyta 38

Pilarczyk". Kilkanaście trafień, ale nie dotyczą mnie, jakaś dziennikarka radiowa nosi to samo imię i nazwisko. Ciekawe, czy Adaś ją zna. A może nie tylko zna, ale i ma romans z moją imienniczką. Los lubi czasem takie gierki. Wyłączam komputer. Postanawiam wyjść na balkon, ale rozmyślam się pod drzwiami i zawracam. Nie znoszę, kiedy wpadam w taki marazm - nie potrafię sobie znaleźć zajęcia i czas przecieka mi przez palce - ale dzieje się to coraz częściej. Jaki będzie kolejny etap? Objadanie się chipsami?

Dzwonek domofonu przyjmuję z ulgą - mimo że oznacza spotkanie z matką - bo przerywa moje nicnierobienie.

Wpuszczam ich do bramy i od razu otwieram drzwi wejściowe. Słyszę, jak matka coś peroruje tacie; w swoim stylu mówi, żeby mówić, nieważne, czy z sensem, czy ktoś chce jej słuchać. Jestem przekonana, że daleko większą tragedią byłaby dla niej strata języka niż na przykład ręki.

- Dzień dobry, córeczko, coś źle wyglądasz, nie zjadłaś śniadania?

- Dlaczego miałabym nie zjeść?

- Wyglądasz tak, jakbyś nie zjadła, ale przyniosłam ci trochę jedzenia.

Aha, czyli rzekoma troska ma usprawiedliwić dostawę prowiantu, mimo że dziesiątki razy prosiłam ją, żeby tego nie robiła, tłumaczyłam, że sama sobie kupuję, co mi potrzeba,

stać mnie na to, a więcej i tak nie zjem, tylko wyrzucę. Nie dociera do niej.

- Krakowską, bardzo dobra.

- No i po co? Przecież cię prosiłam, żebyś mi nic nie przynosiła.

- Nie lubisz krakowskiej?

Nie wiem, czy ona naprawdę jest tak głupia, że nie wie, o co mi chodzi, czy świadomie usiłuje mi wmówić, a może i sobie, że nie chcę przyjąć jedzenia, dlatego że akurat nie trafiła w mój gust.

39

- Nie w tym rzecz. Lubię, ale jak będę miała ochotę na krakowską, to sama sobie kupię.

- Dziwna jakaś jesteś. Żeby rodzona matka nie mogła ci przynieść kawałka kiełbasy!

Obrażona mina, drżąca warga, pełen dramatyzm; arsenał min i gestów mających w innych wzbudzać poczucie winy opanowała do perfekcji. A ja się ciągle daję na to nabierać i rzeczywiście miewam poczucie winy. Tyle że dopiero wtedy, kiedy zostaję sama, bo ustępować nie zamierzam.

- Nie musisz mnie dokarmiać, nie głoduję. Możesz przynieść na przykład ciastka do kawy. Czy do innych też chodzisz w gości z kiełbasą?

- Darek jakoś nie urządza scen, jak ciocia Małgosia podrzuci mu od czasu do czasu jakiś smakołyk.

Darek to mój kuzyn, trzydziestoletni maminsynek, który najchętniej w ogóle nie wyprowadzałby się z domu, a odkąd

został do tego zmuszony przez ojca, stara się utrzymywać ścisłe związki z domem rodzinnym polegające na tym, że przynosi rzeczy do prania, a wynosi wałówkę. Normalnie Darek, czy też Dareczek, jak wtedy o nim mówi, jest obiektem krytyki ze strony mojej matki, która swojej siostrze, cioci Małgosi, regularnie robi wykłady, jak to fatalnie wychowała swoje dziecko. Wykłady, o których momentalnie zapomina, kiedy stylu życia Dareczka może użyć jako argumentu przeciwko mnie. Jest wyjątkową hipokrytką, nawet jeśli uwzględnić, że konsekwencja nie jest mocną stroną gatunku ludzkiego.

- Bo Darek nie umie zarobić na swoje utrzymanie. Ile razy zmieniał pracę, bo w każdej mu za ciężko?

- Tylko ty jesteś taka niewdzięczna.

Dyskusja z moją matką nie ma większego sensu, bo ona nie słucha argumentów i z nimi nie polemizuje, celem dyskusji nie jest też dla niej osiągnięcie porozumienia i jakiegoś kompromisu, tylko narzucenie własnego poglądu. Kiedyś

40

próbowałam zastosować metodę z amerykańskich filmów: mamy problem, nasze oczekiwania są sprzeczne, usiądźmy i porozmawiajmy o tym. Spokojnie, bez nerwów, ustalmy zasady, jakich będziemy się trzymać. Odrzuciła tę propozycję, omal nie dostając hysterii. Jak to, ona chce dla mnie dobrze, a ja próbuję wyznaczać jej jakieś ograniczenia?!

Stawia reklamówkę z jedzeniem na podłodze koło fotela.

Reklamówkę tak wypchaną, że tej krakowskiej musi być

z pięć kilo albo, co bardziej prawdopodobne, określenie „krawkowska” było jedynie synekdochą. Oczywiście nie oznacza to, że się poddała. W pewnym momencie „dyskretnie” przejdzie do kuchni i „w tajemnicy” przede mną włoży przyniesione jedzenie do lodówki. Kiedyś tak „potajemnie” zostawione jedzenie wystawiłam na klatkę schodową i przy następnej wizycie moją matkę - znowu taszczącą reklamówkę pełną żarcia - powitał widok psujących się produktów. Obraziła się wtedy na mnie na cały miesiąc, ale po miesiącu doszła do wniosku, że bez jej pomocy niechybnie umieram z głodu i konieczność uratowania mnie od śmierci głodowej ma priorytet przed jej urażoną dumą.

Zajęta przepychanką z mamą dopiero teraz zwracam uwagę na tatę, kiedy usiadł w fotelu naprzeciwko mnie, i spostrzegam, że fatalnie wygląda. Ma opuchniętą twarz.

- Co ci się stało, tato? - pytam z niepokojem.

- Nic - próbuje się uśmiechnąć - miałem usuwaną ósemkę, a że przebiegło to z komplikacjami, to i opuchlizna większa.

- Ósemka w kanale żuchwowym, na dodatek bardzo duża, a korzeń większy od korony - matka wprowadza mnie w szczegóły. - To, co nie trzeba, jest u twojego ojca duże.

Staram się puścić tę uwagę mimo uszu i zręcznie zmienić temat, żeby nie wprawiać taty w zakłopotanie, ale nie mam wątpliwości, że nie jestem pierwsza, która usłyszała ten bon mot i że matka jeszcze nieraz chętnie go wygłosi, najlepiej

w większym towarzystwie, jak tylko wypłynie temat choćby odlegle związany z zębami i dentystami.

Patrzę na nich i zastanawiam się, dlaczego tata od niej nie odejdzie. No bo powiedzmy, że skusił się na ładny wygląd - mimo skończonej pięćdziesiątki widać po mojej mamie, że odznaczała się nieprzeciętną urodą - że pewne cechy charakteru w świetle tego wyglądu nie wydawały się tak straszne, ba, nawet dodawały jej uroku, frapowały, ale dlaczego po tylu latach, kiedy jej paskudne cechy tylko się nasiliły i stały nie do wytrzymania, wciąż przy niej tkwi?

Przecież jest w miarę przystojnym, wrażliwym i inteligentnym mężczyzną. Niejedna atrakcyjna czterdziestolatka, a nawet młodsza, z pewnością chętnie by się z nim związała.

Wizyta przebiega jak zwykle w rytm tokowania mojej matki, którą w tym tygodniu gnębi, że robotnicy krzywo położyli jej płytki w łazience, co oczywiście jest „winą ojca”, bo zamiast patrzeć im na ręce, „dłubał na tej swojej desce”.

Chodzi o rajzbret, z którego tata wciąż chętnie korzysta równolegle z komputerem. Matka gardzi zawodem ojca, bo chociaż całkiem przyzwoicie dzięki niemu żyją, a ona nie musi pracować, to ma pretensje, że tata po przełomie nie rzucił architektury i nie zajął się biznesem i w efekcie w jej przekonaniu pozbawił ją willi z basenem i corocznych wakacji w Tajlandii. Tata usiłował jej wytłumaczyć, że biznes nie jest dla każdego.

- Równie dobrze mógłbym zbankrutować, a wtedy nie miałabyś nie tylko willi z basenem, ale nawet tego

mieszkania.

- No tak, taka ofiara losu z pewnością by zbankrutowała.

- Ludzie mają różne uzdolnienia, nie każdy jest uzdolnionym biznesmenem. A ja lubię swoją pracę, jestem w tym dobry, nieźle zarabiam, więc nie widzę powodu, żeby to zmieniać.

42

- No właśnie, cały problem polega na tym, że ty nie chcesz nic zmieniać, nie chcesz, żeby było lepiej.

Może twoje szczęście, pomyślałam, przysłuchując się tej wymianie zdań, bo wtedy by się z tobą rozwiódł.

Oczywiście temat wielokrotnie wracał, bo moja matka nie potrafi zgłosić pretensji raz i uznać sprawy za zamkniętą, tylko powtarza je przy każdej okazji, a będąc z zawodu sprzedawczynią, nie rozumie, że ktoś może lubić swoją pracę i że wysokość zarobków nie musi być jedynym kryterium przy jej wyborze.

Matka tokuje, tata się wyłączył i pewnie konstruuje w myślach jakąś budowlę; no tak, musiał nabyć tę umiejętność, skoro jest zmuszony przebywać z nią pod jednym dachem, ta kobieta mówi bez przerwy. Ja, niestety, nie potrafię się wyłączyć, jestem zmuszona słuchać jej beztadnego wywodu, bo moja matka ma w nosie słuchacza, nie stara się opowiedzieć składnie historii zakończonej pointą, słowa są dźwiękową emanacją kłębiących się w jej głowie myśli, a nie sposobem na przekazywanie treści.

- ... krzywo kafelki pięćdziesiąt złotych za metr niebieskie
nie zielone i ma poprawić ale do dziś się za to nie wziął
to ja wołam fachowca bo nad fachowcem trzeba stać trzeba
się znać a ja się znam nie twój ojciec nie rozumiem dlaczego
za niego wyszłam chodził za mną ten i głupia byłam że go
odmówiłam dzisiaj ma sklepy w całym kraju... z tym no...
a ja głupia byłam i dałam mu się przekonać a nie potrafi
nawet fachowca przypilnować dwie lewe ręce...

Moje ciągle powtarzane uwagi, że zdanie powinno mieć
podmiot i orzeczenie, dopełnienie i kropkę, że określenia
„ten, z tym” nic rozmówcy nie mówią, że wielostopniowe
dygresje rozkładają opowieść, że jeśli zaczyna mówić o kimś
innym, niż mówiła, to powinna o tym jasno poinformować
rozmówcę, bo w języku polskim jest coś takiego jak podmiot
domyślny, nie robią na matce najmniejszego wrażenia. Nie

43

wiem dlaczego uważa, że ma prawo do niechlujstwa umy-
słowego i może nim katować innych.

Dzisiaj nie mam ochoty instruować jej, jak należy się
wystawiać, więc ograniczam się do półsłówek „aha, tak,
no”. Sama nic nie opowiadam, nawet gdyby matka dopuś-
ciła mnie do głosu, co zdarza się nader rzadko - ona nie
potrzebuje rozmówcy, tylko słuchacza, ofiary, do której
może mówić - to i tak nie mam ochoty nic jej opowiadać,
bo fakty z mojego życia interesują ją tylko, jeśli dają jej
asumpt do dłuższej wypowiedzi na swój temat albo do skry-
tykowania mnie, że robię coś źle. A według niej wszystko

robię źle, bo ona robiła inaczej, jej postępowanie zaś jest wzorcem, który powinien znajdować się w Sevres. Jeśli ona położyła w swojej łazience niebieskie kafelki, to zielone w mojej są wyrazem bezguścia.

- Jeszcze kawy, tato? - przerywam bezceremonialnie matce, widząc, że tata podnosi do ust pustą filiżankę.

- Co? Aha, tak, poproszę. Bardzo dobra kawa

- chwali.

- Taka sobie - sprzeciwia się matka. - To jacobs krönung?

Mówiłam ci, żebyś kupowała tchibo i nie w supermarkecie, tylko w tym spożywczym na Partyzantów.

Jakby producent dbał o to, żeby do sklepu na Partyzantów dostarczyć lepszy jakościowo produkt. Albo gorszy do supermarketu.

- Nie lubię tchibo.

- Jak możesz nie lubić, jak smaczna jest?

Bo smak, jak wiadomo, jest wartością obiektywną.

Wszyscy przecież lubią czekoladę.

Nie mam ochoty wdawać się z nią w polemikę, tylko próbuję nakłonić tatę, żeby coś opowiedział. Tata ma na porędku masę ciekawych i zabawnych historii albo takich, z których człowiek coś wynosi, jest odrobinę lepszy i mądrzejszy jak po przeczytaniu wartościowej książki.

44

- Jak tam, tato, twój nowy projekt?

- A rysuje się.

- Ale co to jest?

- Domek jednorodzinny, nic szczególnego.

No niestety. Tata wprowadzie o każdym projekcie po-
trafi opowiedzieć coś nowego, choćby to był setny domek,
a jeszcze więcej o ludziach, którzy go zamawiają, i to cza-
sami tak, że zrywam boki ze śmiechu, ale rzadko ma ochotę
opowiadać przy matce. Nie ciągnę go dalej za język.

- Aha, domek.

-I pewnie znowu cię oszwabili na honorarium ile za-
żądałeś na pewno mogłeś wziąć trzydzieści procent ale
z ciebie taka niedojda...

Nie wiem, czy chodzi jej o to, że tata mógł wziąć trzy-
dzieści procent zaliczki czy trzydzieści procent więcej,
tylko zgubiła słowo.

- .. .czemu ja w ogóle nie wiem że masz zlecenie tajem-
nice przede mną...

- Jak to nie wiesz? Przecież ci mówiłem, poza tym chyba
widzisz, że pracuję, skoro mam pracownię w domu?

- Ja tam myślisz się znam co ty tam dłubiesz na tej swojej
desce a nie mówiłeś mi pamiętałabym nie jestem sklero-
tyczką jak ona wczoraj zapomniała że miała mi przynieść
materiał na sukienkę...

Tym razem nie wytrzymuję.

- Kto?! Kto miał ci przynieść materiał? Jaka ona? Skąd
my mamy wiedzieć, o kim mówisz?

- No o cioci Małgosi, to chyba jasne.

Moja matka jest urażona, choć w jej wypowiedziach
w jednym zdaniu albo w tym, co powinno być jednym zda-

niem, pod tymi samymi zaimkami kryją się różne osoby.

- Muszę zrobić siku - stwierdza ze szczerością wyniesioną ze wsi i podnosi się, ale zabiera ze sobą reklamówkę. Czyli znalazła sobie pretekst, żeby „potajemnie” włożyć mi jedzenie

45

do lodówki. Słyszę, jak przesadnie głośno otwiera i zamyka drzwi do łazienki, a potem przemyka do kuchni. Ciekawe, jak zamierza spuścić wodę, żeby udowodnić, że faktycznie skorzystała z toalety. Drzwi od łazienki skrzypią, nie uda jej się tam bezszelestnie wejść.

- Co porabiałaś w tygodniu, córeczko? - Tata korzysta z nieobecności matki.

- To, co zwykle. Pracowałam, czytałam, Aldona mnie odwiedziła...

- Co u niej?

-Jest... - chcę powiedzieć „w ciąży”, ale w porę się powstrzymuję. Aldona nie upoważniła mnie do opowiadania innym o jej stanie, a że ostatecznej decyzji jeszcze nie podjęła, na razie lepiej zachować to w tajemnicy. W końcu usunięcie ciąży to przestępstwo, im mniej osób o tym wie, tym lepiej. Taty wprawdzie nie podejrzewam o plotkarstwo, ale może się zdarzyć, że powie matce, mimo wszystko to jego żona, a wtedy o ciąży Aldony niechybnie dowie się cała dzielnica. - Jest... w rozterce. - Co za słowo! Akurat się tata nie zorientuje, że powstrzymałam się przed powiedzeniem czegoś innego. - Nie wie, czy ma rzucić Mariusza, czy z nim zostać.

- Ach, ta Aldona. - Tata uśmiecha się i udaje, że nie dostrzegł mojego zawahania. - Nadal w poszukiwaniu tego właściwego?

-Tak.

Milkniemy Tata chciałby zapytać, czy i ja kogoś nie spotkałam. Nie z niezdrowej ciekawości, ale żeby zakłócić rzeczywistość, żeby zostać mile zaskoczonym, wywołać pytaniem inną odpowiedź niż tę, jakiej może udzielić sobie sam, nie pytając. Bo wie, że gdybym kogoś spotkała, to pierwszy by się o tym dowiedział. A wcześniej zobaczyłby to po mnie, wyczułby zmianę mojego nastroju, przejście od trwałego przygnębienia do radości. Ale nie pyta, wie, 46

jaką przykrością będzie dla mnie konieczność udzielenia przeczącej odpowiedzi.

Zamiast więc zapytać, podnosi się, obchodzi stół, przyklęka przy moim wózku i mocno mnie obejmuje.

- Och, Edytka.

W tym westchnieniu jest cały mój ból, który tata chciałby wziąć na siebie, przejąć go, odciążyć mnie. I na chwilę mu się to udaje, przez chwilę jest mi tak dobrze, zamknięta w jego ramionach czuję się taka bezpieczna, na moment znowu staję się małą dziewczynką, której do pełni szczęścia wystarczała obecność taty. Potem skrzypienie drzwi do łazienki przywraca mnie do rzeczywistości, przypomina mi, że mam dwadzieścia pięć lat i że tata, żeby mnie objąć, musi przykucnąć, bo siedzę na wózku inwalidzkim.

- Odgrywa swoją komedię - komentuję skrzypienie drzwi do łazienki. - Zaraz spuści wodę.

- Nie bądź dla niej taka surowa, przecież ona ma szlachetne intencje.

Nie wiem, dlaczego tata jej broni. Nie dość mu dopiekleć przez dwadzieścia sześć lat małżeństwa?

- A na czym polega ich szlachetność? Że nie chce przyjąć do wiadomości, że jestem samodzielna?

Tata wzdycha, ale od odpowiedzi ratuje go szum spuszczonej wody. Matka wraca do pokoju z miną świadcząca o tym, że jest przekonana, że jej fortel z toaletą nie został przejrany.

- Ręczniki musisz suszyć na balkonie, inaczej zobaczysz, załęgnie ci się grzyb... - ostrzega mnie po raz tysięczny, rozsiada się w fotelu i dalej tokuje. Po pół godzinie mam dosyć i teraz ja udaję, że muszę wyjść do toalety. To sprowadza tatę z odległych rejonów, w jakich znalazł się myślami.

Zarządza koniec wizyty. Może dziwić, że w obecności matki jest zdolny o czymś zadecydować, ale gdyby tego nie zrobił, siedziałyby do wieczoru.

47

Żegnam się z nimi, kłamiąc, że już się cieszę na ich wizytę w przyszły weekend, i przypominając tacie, że obiecał w nadchodzącym tygodniu zawieźć mnie do supermarketu.

Na to wyjście naprawdę się cieszę.

*

Wracam ze spaceru, już mam skręcić w przejście pro-

wadzące do mojej bramy, kiedy zatrzymuję się na widok nadbiegającego z naprzeciwka jamnika. Psów się generalnie boję - w dzieciństwie ugryzł mnie kundel sąsiadów - nie lubię ich, a moją niechęć potęguje chamstwo Polaków trzymających psy. Ludzie skądinąd kulturalni, w charakterze właścicieli psów zmieniają się w chamów, którzy nie rozumieją, że ich pupil może być uciążliwy dla otoczenia, a ich obowiązkiem jest zadbać, by tak nie było. Po psie należy sprzątać, bo psie gówno powoduje odruch wymiotny, należy prowadzić go na smyczy, a przynajmniej pilnować, żeby nie podbiegał do obcych ludzi, bo niektórzy psów się boją, a zachowania zwierzęcia nigdy do końca nie można przewidzieć, zresztą jeśli nawet ryzyko ugryzienia jest niewielkie, to nie każdy ma ochotę na kontakt z cudzym psem, uciszać, zwłaszcza w nocy, bo szczekanie to hałas jak każdy inny, nie wypada zostawiać go przed sklepem, jeśli nie potrafi spokojnie zaczekać - te wszystkie zasady polscy właściciele psów mają w nosie i uważają, że swoim zwierzęciem mogą tyranizować innych. Przy pełnej zresztą aprobacie ze strony straży miejskiej, bo choć przepisy nakazują prowadzić psa na smyczy i sprzątać po nim, a zakazują hałasów, to wrocławska straż nic nie robi, żeby je wyegzekwować.

Właściciele psów zaśmiewali się na „Dniu świra”, ale albo filmu nie zrozumieli, albo kompletnie nie przejęli się jego wezwaniem: przestańcie nas terroryzować swoimi kundlami.

Na widok biegnącego jamnika zatrzymuję się jednak nie dlatego, że się go boję, ale dlatego, że dostrzegam, jak biegnie. Tylne nogi ma umieszczone na małej platformie z kółkami. Pies na wózku inwalidzkim! Pierwszy raz widzę coś takiego. Pies kaleka. Zastanawiam się, czy takie zwierzę zdaje sobie sprawę, że jest niepełnosprawne, że różni się od swoich pobratymców. Czy pamięta, jak poruszało się wcześniej, i czy dostrzega różnicę. Na ile ta różnica jest znacząca dla psa. Chyba mniej niż dla człowieka, bo nie zmienił pozycji, w jakiej się porusza. Poza tym jest dużo mniejszy i to urządzenie, które umożliwia mu poruszanie się, ale które też trzeba ze sobą taszczyć i niejednokrotnie staje się przeszkodą, również jest dużo mniejsze, co na pewno sporo mu ułatwia.

Jakby na zaprzeczenie konkluzji, do której doszłam, jamnik usiłuje zejść z jezdni na chodnik, ale wysoki kra-
węznik blokuje wózek. Jamnik próbuje w innym miejscu i tym razem mu się udaje. Zatrzymuje się przede mną i spogląda mi w oczy. Na ile umiem ocenić, jest w miarę młody, więc kalectwo nie jest wynikiem starości, tylko choroby albo wypadku. Raczej wypadku, bo pies nie wygląda na schorowanego. Rozglądam się za właścicielem; skoro nie porzucił kalekiego psa, nie uspił, tylko zdobył dla niego wózek (takich rzeczy masowo u nas chyba nie produkują), jest człowiekiem dbającym o będące pod jego opieką zwierzę. Co też nie jest w Polsce regułą. Ale właściciela nie widać.

- Zgubiłeś się panu?

Jamnik patrzy na mnie dużymi mądrymi oczami. Z niechęcią przyznaję, że jest ładny.

- Czy raczej pani? - Mężczyzna nie zadbałby tak o ka-
lekiego psa, tu widać wyraźnie kobiecą rękę, może też nie-
zaspokojony instynkt macierzyński. Właściwie dlaczego
nie sprawię sobie jakiegoś zwierzaka? Psów nie lubię, ale
są jeszcze koty, teraz popularnością cieszą się też króliki

49

i tchórzofretki. Bo jeśli już brać zwierzaka, to większego,
takiego, z którym będzie jakiś kontakt, a nie świnkę morską
czy chomika. Ale może właśnie dlatego jeszcze nie zdecydo-
wałam się na zwierzę - skoro zdaję sobie sprawę, że ma wy-
pełnić pustkę, zastąpić rodzinę, to sprawienie sobie zwie-
rzaka byłoby równoznaczne z przyznaniem się do porażki,
z utratą nadziei. Stara panna mieszkająca z kotem - czy jest
wdzięczniejszy obiekt do pogardliwych kpin?

Kieruję się do bramy, jamnik rusza za mną.

- Nie, nie, ja nie jestem twoją panią. Wracaj do domu,
na pewno trafisz do siebie...

Czy rzeczywiście? Koty trafiają, ale psy chyba nie... No
tak, zawsze byłam zdania, wbrew powszechnie panującemu
przekonaniu, że psy są głupie. I niesamodzielne. Nie potrafią
obejść się bez swojego pana. Zdecydowanie wolę koty z ich
niezależnym charakterem.

Jamnik skomli, zbliża się do mnie i liże mnie po nogawce.

Odsuwam się z obrzydzeniem.

- Pogłaszcz go, wyraźnie cię lubi.

Nie poznaję głosu, więc podnoszę głowę, żeby zobaczyć, co za cham zwraca się do mnie per ty, i go zrugać. To, że siedzę na wózku, nie upoważnia nikogo do spoufalania się.

Adam!

Tak właśnie, nie Adaś, tylko Adam.

Wymoczek ze studiów przeobraził się w przystojnego mężczyznę. Twarz okala mu bródka, wcześniej gładko się golił, ale zarost tylko dodaje mu męskości. Rysy stały się jakby ostrzejsze, może z wiekiem, a może odcisnęło na nich piętno cierpienie, którego byłem źródłem. Łagodni je uśmiech, którym mnie obdarza, jakbyśmy rozstali się zaledwie wczoraj w najlepszej komitywie, a przecież kiedy ostatni raz go widziałam, stał w bramie na Witelona i płakał. Przeze mnie. Boże, jaka byłem głupia, że go nie chciałam.

50

Mogłabym teraz wtulić się w tę muskularną pierś rysującą się pod rozpiętym płaszczem, objęłyby mnie jego silne ramiona.

A może...

Iskierka nadziei błyska w mojej świadomości. Może przyszedł, bo nadal mnie kocha. Są tacy mężczyźni, którzy potrafią kochać przez lata bez względu na wszystko, dlaczego akurat ja nie miałabym trafić na takiego, mimo że nie zasłużyłam? Szczęście nie jest wynikiem zasług, tylko właśnie szczęścia. Błogosławię opatrzność, że właśnie dzisiaj wzięłam

się za siebie po trzech dniach czarnej rozpacz. Przez trzy dni leżałam w łóżku z głową schowaną w poduszkę, wsta-
wałam tylko do toalety i żeby napić się wody, nie jadłam,
nie myłam się, chciałam umrzeć. Ostatnio coraz częściej
zdarzają mi się takie depresyjne napady.

Dziękuję Bogu, że wyszłam na ten spacer, na spacer
zawsze w miarę elegancko się ubieram i lekko maluję w na-
dziei, że może jakiś chłopak nie zauważy mojego wózka
i zechce mnie zagadnąć. Ale nie interesują się mną nawet
pijacy ani zboczeńcy.

- Hej. - Adam wyciąga do mnie rękę, uśmiecha się.

- Dawno się nie widzieliśmy.

A na tej wyciągniętej ręce obrączka. Znak, że należy
do innej kobiety, że nie zczekał. To po co przyszedł? Na jaką
cholere zawraca mi głowę? Czy nie zdaje sobie sprawy,
że ja też mam uczucia?! Jestem bliska zignorowania jego
ręki, odwrócenia się, posłania go do diabła, ale reflektuję się.

Co ja bredzę? Na co miał czekać, przecież nigdy nie dałam
mu cienia nadziei, a jedynym uczuciem, jakie do niego
żywiłam i jakiego nie omieszktałam mu okazać, kiedy razem
studiowaliśmy, była pogarda. Skąd miał wiedzieć, że doce-
niłam jego miłość po tym, jak uległam wypadkowi?

- Przepraszam - mówię.

- Za co? - Adam jest zaskoczony.

51

- Za to, co na studiach.

Adam milczy, uśmiech na jego twarzy tężeje, na moment

znowu jest Adasiem, który zaraz się rozpłacie.

- Nie przyszedłem wprawdzie, żeby uzyskać od ciebie przeprosiny, ale... przyjmuję je.

- Dziękuję, bo wiem, że mam za co przepraszać. Wejdiesz?

- robię zapraszający gest w stronę domu.

- Chętnie, ale co z nim? - Adaś przykuca i głaszcze

psa. - Czy raczej z nią - stwierdza, zajrzawszy jamnikowi pod ogon.

- Nic, tak zadbany pies na pewno ma właściciela.

- Ale skoro się zgubiła, to może trzeba się nią zaopiekować i dać ogłoszenie.

To się zaopiekuj, ja nie znoszę psów, myślę sobie, ale nie mówię tego na głos. Adam wyraźnie lubi psy, a ja chcę korzystnie wypaść w jego oczach.

- Myślę, że sensowniej ją jednak zostawić, właściciel pewnie jej w tej chwili szuka, a z tym - pokazuję na pieską wersję wózka inwalidzkiego - daleko nie mogła odbiec.

Adam daje się przekonać moim argumentom i podąża za mną w stronę bramy. Zatrzymuję się przed schodkami.

Nagle jest mi głupio, że muszę skorzystać z dźwigu na oczach

Adama, wywiesić tak przed nim na ścianie budynku swoje

kalectwo. Nie ma w tym cienia racjonalności, bo przecież

widzi, że siedzę na wózku, ale moje odczucia nie muszą

być racjonalne, mam do tego prawo, jestem kobietą. Nie

wiem, czy dostrzegł moje wahanie, czy po prostu jest tym

ginącym gatunkiem mężczyzny, który potrafi się znaleźć

w każdej sytuacji.

- Skorzystasz z tego, czy pomóc ci wejść?

- Skorzystam, ale masz tu klucze i zaczekaj w środku.

Kiwa głową, że dobrze, i znika w bramie.

Docieram do mieszkania, ale Adama nie ma. Rozmyślił się! Uciekł! Łajza!

52

W tym momencie rozlega się dzwonek do drzwi. Idę otworzyć. Za drzwiami stoi Adam.

- Czemu dzwonisz? Przecież dałam ci klucze.

- No tak, ale pomyślałem, że to nieładnie tak wchodzić do mieszkania przed właścicielką, trzeba jej dać czas na sprzątnięcie kompromitujących rzeczy, jak się tak przyszło bez zapowiedzi, ja bym na przykład bardzo nie chciał, żeby niezapowiedziany gość zobaczył, że czytam Danielle Steel. Mogę tylko powtórzyć: Boże, ale byłam idiotką! Facet ma tyle taktu, a ja wybrałam mentalnego neandertalczyka.

- Wchodź i nie opowiadaj głupot, na pewno nie czytasz Danielle Steel.

- Dlaczego tak myślisz? Bardzo lubię tak zwaną literaturę kobiecą, uważam, że mówi mi coś o kobietach, czego moja męska percepcja nie jest w stanie zarejestrować. W podstawówce czytałem na przykład nie tylko Tomki i Pana Samochodzika, ale też „Anię z Zielonego Wzgórza”. Bardzo mi się podobała i byłem bardzo zadowolony, bo dowiedziałem się z niej, jak się oświadczać dziewczynie, a takich instruktażowych scen w Tomkach ani Panu Samochodziku

nie było. Pewnie to nienormalne na chłopaka w tym wieku, ale ja miałem świadomość, że w przyszłości się zakocham, i cieszyłem się, że wiem, jak należy postąpić. Pomijając już kwestię, że nie bardzo zdawałem sobie sprawę, że „Ania” została napisana blisko sto lat wcześniej i zwyczajnie są trochę inne, to nikt nie ostrzegł mnie, że można zakochać się bez wzajemności. Dziewczyny w „Ani” oczekiwały tych oświadczeń, mówiły „tak”, były szczęśliwe.

W jego oczach nie ma wyrzutu, jest tylko bezbrzeżny smutek.

- Ale w końcu się szczęśliwie oświadczyłeś. - Pokazuję na jego obrączkę. - Mam nadzieję, że ona wynagrodziła ci to, że spotkałeś na swojej drodze taką złą jak ja.

53

Adam macha lekceważąco ręką.

- To chyba bardziej ona mi się oświadczyła niż ja jej.

A ty jak, dalej jesteś z Adrianem?

Nie, skurwysyn pokazał swoją prawdziwą twarz, kiedy uległam wypadkowi.

-Nie, rzucił mnie po... po tym - pokazuję na swoje bezwładne nogi.

- Przykro mi.

Usiłuję dociec, czy naprawdę mu przykro, czy może jednak w duchu cieszy się, że do nikogo nie należy. Jeśli nawet, to jego mina nic nie zdradza.

Siadamy w pokoju, podaję herbatę, którą Adam wolał od kawy, i ciastka. Nastawiam muzykę, wybieram Beatlesów;

nie wiem dlaczego, bo nigdy nie zainteresowałam się jego muzycznymi gustami, ale jestem przekonana, że to jego muzyka. Z tym że starannie sprawdzam, żeby na płycie nie było All you need is love. Nie będę żebrać o miłość, skoro raz ją odrzuciłam.

Długo milczymy. Ale nie jest to krępujące milczenie.

Stanowi wstęp do poważnej rozmowy. Rozmowy nie dwojga dawnych znajomych, ale kobiety i mężczyzny, których coś łączyło. Bo nieodwzajemniona miłość też jest rodzajem więzi. I to taką, która na trwałe zmienia relacje między ludźmi. Potem nie można już wrócić do znajomości czy przyjaźni, można co najwyżej udawać. Tak samo po czekającej nas rozmowie nic już nie będzie takie jak przedtem. Chyba dlatego nie kwapimy się do jej rozpoczęcia.

- Dlaczego przyszedłeś? - To ja decyduję się zrobić ten krok w przepaść.

Adam odstawia filiżankę z herbatą.

- Przyjechałem do Wrocławia nagrać reportaż o korupcji w dolnośląskiej piłce. Normalnie czymś takim zajmują się nasze terenowe oddziały, ale dotarło do nas, że nasi

54

tutejsi dziennikarze są w niezłej komitywie z sędziami i piłkarzami.

Muszę mieć bardzo głupią minę, bo Adam wyjaśnia:

- Korupcja szerzy się wszędzie, dlaczego akurat dziennikarze mają być od niej wolni? Dysponują władzą, a dzięki

władzy można zdobyć pieniądze. To istota korupcji. Sęk w tym, że o korupcji wśród dziennikarzy nie ma kto pisać. Wraca stare pytanie, kto ma pilnować strażnika. Kto ma pilnować czwartej władzy.

Nie zastanawiałam się nad tym i szczerze mówiąc, niewiele mnie to obchodzi. Nie obchodzi mnie polityka, korupcja, globalne ocieplenie, głód w Afryce i wojna w Afganistanie. Ja chcę mieć dziecko!

- No i w ramach nagrywania tego reportażu - kontuuje Adam - rozmawiałem z Tomkiem Bielskim, nie wiem, czy go pamiętasz, był z nami na roku, a teraz jest działaczem piłkarskim. W sprawie kupowania meczów niewiele od niego wyciągnąłem, bo chyba sam jest umoczony po uszy i kręcił, starał się, żeby wywiad przerodził się we wspominki ze studiów, i powiedział mi, że miałaś wypadek. Nie wiem, czy wiedział, że się w tobie kochałem i że dotąd nie słyszałem o wypadku, ale trafił. Po tej wiadomości mój zapał do tropienia korupcji zdecydowanie opadł, nie mogłem przestać myśleć o tym, co ci się przytrafiło. I postanowiłem cię odwiedzić. Takie straszne przeżycia zmieniają ludzi, pomyślałem sobie, że może teraz nie potraktujesz mnie jak ostatnie ścierwo...

- Bo już sama nie należę do tych uprzywilejowanych w życiu?

- Przepraszam. Naprawdę wolałbym, żebyś zatrasnęła mi drzwi przed nosem, krzyżąc, że mam się odchrzanić,

bo jesteś szczęśliwa z Adrianem, gdyby to miało być ceną za to, żebyś była zdrowa.

55

- To ja przepraszam. Masz rację, tak cię traktowałam.

I teraz się tego wstydzę.

- Już przyjąłem przeprosiny, nie musisz ich powtarzać.

Tak, ale czy to oznacza, że naprawdę mi wybaczyłeś?

- Myślę, że przyjęcie przeprosin nie jest równoznaczne z wybaczeniem, że to wymaga czasu.

Adam patrzy na mnie z lekkim zdziwieniem.

- Edyta, ja ci już dawno wybaczyłem. I gdybym miał okazję, powiedziałbym ci o tym wcześniej. Nie chciałaś mnie, za to nie musisz przepraszać, bo człowiek nie może nakazać sobie miłości. Od ciebie zależała tylko forma odmowy i ta rzeczywiście mogłaby być mniej... brutalna, ale czy wtedy mniej bym cierpiał? Nie sądzę. Poza tym wyznaję filozofię, że każde cierpienie ma sens i prowadzi nas ku lepszemu. Może dzięki tej nieodwzajemnionej miłości stałem się lepszym człowiekiem, zrozumiałem, co znaczy odrzucenie i nie odrzucam innych. Nie mówiąc o praktycznych skutkach, wyjechałem z Wrocławia, żeby nie widywać ciebie z Adrianem, i trafiłem do Warszawy, gdzie mogę robić karierę, Wrocław z dziennikarskiego punktu widzenia jest i pozostanie prowincją, w Warszawie poznałem wspaniałą kobietę, która jest teraz moją żoną...

- Musi być szczęśliwa, że ma takiego męża i na pewno

jest z ciebie szalenie dumna, kiedy słyszy cię w radiu, ja też
sł...
- Nie może mnie słyszeć w radiu. Dominika jest głucha.

To znaczy, głuchoniema.

Szatan zanosi się teraz chichotem. A jednak dobrze go
oceniłam, w odróżnieniu od Adriana nie zostawiłby mnie
po wypadku, należy do tej garstki facetów, którzy nie od-
rzucają kobiety dlatego, że jest niepełnosprawna. Szkoda
tylko, że tej oceny dokonałam, kiedy było już za późno.

- Macie dzieci?

56

Nie wiem, po co zadaję to pytanie. Chyba tylko po to,
żeby pognębić siebie samą, żeby usłyszeć, że dziecko też
mógł mi dać.

- Tak, rocznego synka. Ma na imię Norbert. Strasznie
go kocham.

- Pewnie tak jak żonę.

Adam nie odpowiada. Patrzy mi w oczy. Długo, upor-
czywie. Nie odwracam wzroku. Tkwimy tak zatopieni
w siebie spojrzeniem. Wiem, co chce powiedzieć, i wiem,
że tego nie powie.

-Adaś... gdybyś dzisiaj powtórzył te słowa, co wtedy,
na studiach, odpowiedź byłaby inna... - Miałam nie żebrać
o miłość i dokładnie to właśnie robię. - Masz rację, że takie
przeżycie zmienia człowieka, ja rozumiałam, że naprawdę
mnie kochałeś.

-I dalej cię kocham. Ale swoją żonę lubię i szanuję, nie

odejdę ani od niej, ani od mojego syna. Wiesz, że moi rodzice rozwiedli się, kiedy poszedłem na studia? Głupie pytanie, skąd masz wiedzieć. Kiedy pytałem, co się stało po dwudziestu pięciu latach szczęśliwego małżeństwa, odrzekli mi, że nie byli ze sobą szczęśliwi od przynajmniej dziesięciu lat. Ale decydując się na dzieci - mam jeszcze starszą siostrę - wzięli na siebie zobowiązanie, którego mieli zamiar dotrzymać. Uznali, że mają obowiązek zapewnić dzieciom szczęśliwą rodzinę, o sobie mogą myśleć dopiero w drugiej kolejności. Kiedy dzieci wyjdą z domu. I ja tak samo: nie wycofam się z podjętych zobowiązań, chcę, żeby mój syn myślał o mnie z taką samą wdzięcznością, jak ja myślę o swoich rodzicach. Zresztą, gdybym ich zostawił, miałbym wyrzuty sumienia, które prędzej czy później skrupiłyby się na tobie i rozwały nasz związek.

- Możemy zostać kochankami...

Miało to zabrzmieć jak żart, a zabrzmiało jak błagalna prośba. Gdzie jest dno, na które mogę się stoczyć? Czy

57

jak odmówi, to poproszę go o nasienie do sztucznego zapłodnienia?

- Nie umiałbym oszukiwać Dominiki.

Adam zdaje się nie dostrzegać, jak się poniżam, odpowiada tak, jakby to była zupełnie naturalna propozycja, na którą należy udzielić wyważonej odpowiedzi.

Temat zamknięty, wszystko zostało powiedziane. W zasadzie mogłabym wściec się teraz na niego, po co przy-

szedł, skoro nie chce ani związku, ani romansu, ale
byłoby to małostkowe okazanie własnego rozczarowania.

Hipokryzja godna mojej matki. Zamknięcie oczu na to,
że sama jestem sobie winna. Nie mogę mieć do niego
pretensji, że nie zawsze da się wrócić do tego, co było.
Że nie czekał na mnie, tylko żył normalnym życiem,
że podjął nieodwracalne decyzje. Że nie chce włas-
nego szczęścia budować kosztem innych. Dziewięciu
facetów na dziesięciu nie miałyby żadnych skrupułów.
Dziewięć kobiet (w tym i ja) na dziesięć też nie. Motto
współczesnych: cudza krzywda to niska cena za moje
szczęście. Tylko dlaczego akurat on należy do tych po-
rządnych?!

- Jak ci się żyje?

Mogłabym zbyć to pytanie zdawkowym „w porządku”,
ale z tonu głosu wnioskuję, że Adam nie pyta z grzecz-
ności, tylko naprawdę obchodzi go moje samopoczucie.
A ja chcę mu się wyżalić. Już bez ukrytej myśli, że może
zmieni to jego decyzję. Choć czy na pewno?

- Źle - mówię cicho. - Bardzo źle. Ciągłe siedzę sama
w domu, jeśli puste cztery ściany można nazwać domem,
odwiedzają mnie tylko rodzice i Aldona. Niby pracuję,
jestem księgową, więc nie jest do końca tragicznie, ale
nie lubię tej pracy, no i jest to telepraca, czyli też nie
daje mi okazji do wyjścia z domu. A najgorsze, że chcia-
łabym mieć rodzinę, dziecko i męża...

Głos mi się łamie, nie dopowiadam, że „widoki na to są bliskie zeru”, ale Adam bez trudu domyśla się treści niedokończonego zdania. Patrzy na mnie z bólem w oczach, z niemym zapewnieniem, że gdyby nie sieć, którą zarzuciło na niego życie, z miejsca by mi się oświadczył. Nie mogę dłużej tego znieść. Wybucham płaczem.

Adam zrywa się z fotela, podbiega do mnie i mocno mnie obejmuje. Wtulam głowę w jego pierś. Głaszcz mnie po włosach.

- Tak mi źle... tak mi źle... - szlocham.

- Ciii, nic nie mów, popłacz sobie, to pomaga.

Więc płaczę. A potem usiłuję ustami poszukać jego ust.

Co mi tam, niech się do końca upodlę, jak stąd wyjdzie, zabiję się.

Delikatnie odsuwa moją głowę.

- To nie jest dobry pomysł.

Płaczę więc dalej. Długo, bardzo długo.

W końcu spazmy wstrząsające moim ciałem ustają.

Uspokajam się. Adam wypuszcza mnie z objęć, podnosi się, ale nie wraca na swój fotel.

- Pójdę już.

Nie usprawiedliwia się, że musi się jeszcze przygotować do jutrzejszych wywiadów, nie dodaje „będziemy w kontakcie”. Może tak lepiej, uczciwiej. Wizyta dobiegła końca, bo nie mamy już ani o czym rozmawiać, ani o czym milczeć. Oboje jesteśmy też świadomi, że kontaktów ze sobą

utrzymywać nie będziemy. Zwykła znajomość nie jest między nami możliwa, związek nie wchodzi w grę. Tak czasami bywa między ludźmi.

- Adaś - zatrzymuję go.

-Tak?

- Daj im szczęście. Żonie i synkowi.

Głaszcz mnie po policzku i wychodzi.

59

Słyszę trzask zamykanych drzwi. Długo siedzę, dotykając policzka, żeby złapać uciekające ciepło jego dłoni. Potem zanoszę do kuchni filiżanki i nieruszone ciastka. Niekiedy żołądek sznuruje się, jakby chciał zaprzeczyć tezie, że najważniejsze dla człowieka jest to, żeby być sytym.

Wjeżdżając do kuchni, zawadzam wózkiem o nogę stołu, tacka zsuwa mi się z kolan, salaterka i filiżanki lądują na podłodze, jedna się tłucze, resztki herbaty zalewają rozsypane ciastka. Patrząc na to pobjowisko i znowu zaczynam płakać.

- Boże, jak mi źle...

*

Tata przyjechał, żeby zabrać mnie do supermarketu.

Jedziemy do Korony, a po zakupach pójdziemy do kina.

Uwielbiam te wyjścia tylko z nim, bez matki, są właściwie moją jedyną rozrywką.

Tata kieruje swoje punto w stronę Partyzantów, ale zaparkowany na środku jezdni żuk blokuje przejazd. Migają światła awaryjne, kierowcy nie ma w zasięgu wzroku.

- Jeśli rzeczywiście mu się zepsuł, to przecież miał miejsce, żeby zepchnąć na chodnik. - Tata pokazuje na lukę między dwoma samochodami, w której zmieściłby się nawet star. - Przecież nie wolno stać na jezdni.

Tacie jest przykro, bo wierzy w ludzi i ich egoizm ciągle go zaskakuje. Nie nauczył się jeszcze i chyba nigdy nie nauczy, że Polacy traktują zakazy jako złośliwą ingerencję w ich niezbywalne prawa, a nie uregulowania mające ułatwić wspólną egzystencję. Wedle tej mentalności znak zakazu parkowania stawiany jest nie po to, żeby ktoś inny mógł przejść czy przejechać, tylko żeby zrobić na złość Polakowi, który akurat w tym miejscu chce zaparkować. No a skoro został postawiony z tak niskich pobudek, to można go ignorować.

60

Zawracamy, żeby pojechać przez Dembowskiego, objeżdżamy rondo na skrzyżowaniu ze Spółdzielczą, mijamy ulicę Monte Cassino, obieramy drogę przez most Chrobrego, potem skręcamy w Mydlaną i przejeżdżamy koło zakładów Volvo. Tata woli tę trasę, bo dojeżdżając do Korony ulicą Kowalską, ma się pierwszeństwo, gdy tymczasem jadąc od Brucknera, dość ciężko włączyć się do ruchu, żeby dostać się na wiadukt prowadzący do Korony.

Tata nie parkuje na miejscu dla niepełnosprawnych, choć ja uważam, że ma moralne prawo tam stanąć. Zwłaszcza że te miejsca zajmują w pełni sprawni kierowcy niemający nawet takiego pasażera jak ja. Tabliczki, „Czy naprawdę

chciałbyś być na naszym miejscu?", nie robią na nich najmniejszego wrażenia. Powinni je zamienić na „Głupota nie jest kalectwem”, może, urażając ego tych pacanów, okazałyby się skuteczne.

Najpierw chcę zajrzeć do butików, muszę sobie kupić sweterek. Penetruję kolejne sklepy, ale nie znajduję nic ciekawego. Tata cierpliwie pcha mój wózek. Przeszedł prawdziwy zakupowy survival z matką, która nie potrafi spędzić w sklepie mniej niż pięć godzin. I kupuje wszystko, co jest w promocji, czy jej potrzebne, czy nie. Bo się opłaca. Jestem przekonana, że gdyby w promocji sprzedawano kozie bobki, też by kupiła.

W końcu w Brice trafiam na bardzo ładny czarno-biały sweterek ze wzorem karo. Leży na mnie idealnie, podkreśla moją urodę i wyszczupla sylwetkę. Szkoda, że nie miałam go na sobie w czwartek, kiedy przyszedł Adam. Sporo kosztuje, ale mnie też coś od życia się należy, dostałam kosza od faceta i mam prawo się pocieszyć.

Płacę po krótkiej dyskusji, bo tata chce się dołożyć.

Stanowczo odmawiam. Tata nalega, ale przytaczam argument, że zachowuje się jak matka. Nie przyjmuje do wiadomości, że jestem dorosła i potrafię zarobić na swoje utrzymanie

61

i zachcianki. Tym go pokonuję. Amerykanie nie dysponowali równie potężną bronią przeciwko Saddamowi.

W doskonałym humorze każę się wieźć do hipermarketu.

To jednak prawda, że wbrew temu, co twierdzą feministki,

kobiecie do szczęścia wystarczy nowy ciuch albo nowa fryzura. No właśnie, zastanawiam się, czy nie zafundować sobie też fryzjera, ale zostawiam go sobie w odwodzie do czasu, kiedy pogorszy mi się nastrój.

Buszuję między półkami, zaopatrując się na najbliższe dwa, trzy tygodnie, bo w takich odstępach czasu tata zabiera mnie na zakupy. W zależności, jak jest obłożony zleceniami. Ja się z tym wychowałam, więc niejako naturalnie respektuję, że praca w domu jest równoznaczna z pracą poza domem, ale wiem, że tata musiał stoczyć ciężką walkę z przyjaciółmi i matką, żeby przyjęli do wiadomości, że mimo nieopuszczania domu jest w pracy i nie może sobie w każdej chwili zrobić przerwy czy wolnego dnia, a tym samym, jak ktoś ma do niego jakąś sprawę albo chce wyciągnąć go na piwo, to po godzinach jego pracy. Nieraz byłam świadkiem awantury, bo w tej jednej sprawie tata nie uległ matce i postawił na swoim.

- No i dlaczego mi przeszkadzasz? - irytował się, kiedy po raz kolejny wchodziła do jego pokoju z pytaniem typu, czy wieczorem pójdą do cioci Małgosi albo czy nie widział gdzieś jej nożyczek. - Jakbym był w biurze, to wydzwaniałabyś co pół godziny, pytając mnie, gdzie posiadaś nożyczki? Nie? No to przyjmij wreszcie do wiadomości, że jestem w biurze. I że moja praca wymaga skupienia. Powiedziałem, że pracuję do siedemnastej, więc do siedemnastej masz prawo wejść do tego pokoju tylko wtedy, gdyby Edycie albo tobie coś się stało!

Matka była oczywiście głęboko urażona, że tata ją wyrzuca, uważała, że z jego strony to czysta fanaberia i złośliwość, że przecież może na minutkę czy dwie oderwać się „od tej 62

swojej deski" i pomóc jej rozwiązać niecierpiący zwłoki problem zaginionych nożyczek. Nie dostrzegała, że miała takich problemów pięć na godzinę, a potrzeba skupienia się na pracy była dla niej - sprzedawczyni w socjalistycznym sklepie - całkowitą abstrakcją.

Tata zawieruszył się przy akcesoriach samochodowych, a ja kieruję się do działu z filmami DVD, żeby upolować jakąś okazję. Lustruję wzrokiem mijane działy, czy nie ma tam rzeczy, które mogłyby mi się przydać, kiedy moją uwagę przykuwa mniej więcej czteroletni chłopiec. Pożądliwie wpatruje się w model wozu strażackiego. Pragnienie posiadania tej zabawki dosłownie z niego emanuje. Zatrzymuję się rozbawiona. Dzieciom też niewiele trzeba do szczęścia. Malec z trudem odrywa wzrok od przedmiotu pożądania, jakby bał się, że jeśli spuści go z oka, ten zniknie, i rogląda się za ludźmi, którzy dysponują środkami, by zabawka stała się jego własnością - swoimi rodzicami.

- Kupcie mi! - Palec wskazuje na wóz strażacki, a adresatami prośby okazuje się dwójka przystojnych, dobrze ubranych trzydziestolatków. Uśmiechają się z rozbawieniem, po czym kobieta przyklęka przy chłopcu i tłumaczy mu, że w domu ma przecież podobny model, ten jest bardzo drogi, poza tym limit wydatków na zabawki i tak już w tym

miesiącu przekroczyli, a są dzieci, które nie tylko nie dostają takich zabawek, ale nawet nie mają co jeść.

Chłopiec jest rozczarowany, drżą mu kąciki ust. Mama obejmuje go i mocno przytula, mówiąc, że go kocha. Ponieważ ten emocjonalny argument nie wydaje się w pełni skutkować, na odsiecz podąża tata, głaszcze synka po jasnych włosach i zapewnia, że w przyszłym miesiącu wezmą pod uwagę zakup tego auta. Przyszły miesiąc jest dla czterolatka równie odległy jak epoka lodowcowa, ale dostrzegając, że tym razem rodziców nie uda mu się przekonać, zadowala się tym zapewnieniem.

63

A mnie się chce rzygać, jak widzę tyle wyrozumiałości, miłości i szczęścia. Tak im zazdroszczę. Tak chciałabym mieć czteroletniego synka, który domagałby się ode mnie drogich zabawek, tak chciałabym być odpowiedzialną matką, która umie przekazać dziecku, że są ważniejsze od zabawek rzeczy. Tak ich nienawidzę. Miałabym ochotę przewrócić na nich ten regał. Żeby przygniół chłopca. Zabił go. Żeby ci ludzie, mający wszystko, zdrowi, zamożni, szczęśliwi, zrozumieli, czym jest prawdziwa tragedia.

Kiedy w pełni dociera do mnie groza tego, co sobie pomyślałam, zaczynam płakać. Dlaczego kalectwo wyzwala we mnie najgorsze instynkty? Wiem, że nigdy nie przewróciłabym na nich tego regału, ale w ogóle nie powinnam mieć takich myśli! Chociaż, czy mogę być siebie pewna? Kiedyś takie myśli nie przychodziły mi do głowy, może to tylko

kwestia czasu, żebym przekuła je w czyn?

- Edytka! Co się stało?!

Tata jest przy mnie, przyklęka, obejmuje mnie, rozgląda się, szukając wzrokiem krzywdziciela, który doprowadził jego córunię do płaczu.

-Nic, tylko ja... ja... - szlocham - jestem takim złym człowiekiem!

- Nonsens. Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? Czy choć jedna osoba może twierdzić, że ją skrzywdziłaś?

Adam, ten chłopiec, którego chciałam zabić, mama, przecież jestem dla niej wredna, sama jest wprawdzie sobie winna, ale zawsze.

- No, już nie płacz, nie ma powodu, jesteś najlepszym człowiekiem na świecie.

Jak dobrze mieć tatę, który uważa, że jego córka jest idealna. Może w moim wieku nie powinnam czuć się podbudowana zapewnieniami taty niemającymi nic wspólnego z rzeczywistością, ale jestem podbudowana, dobrze mi z tym, więc mam gdzieś swój wiek.

64

Ocieram łzy i uśmiecham się do taty.

- Kupiłeś sobie coś do samochodu?

- Zapach. - Demonstruje mi zieloną choinkę.

- Zapowiadałeś, że kupisz sobie coś ekstra.

- Wybrałem najdroższą.

Teraz się śmieję.

- A jaka była różnica w porównaniu z najtańszą? Pięć

groszy?

Tata udaje, że przybiera urażoną minę. Faktem jest, że nie potrafi szastać pieniędzmi. Kiedyś dostał gigantyczne honorarium, zapowiedział, że idzie na zakupy i naprawę zaszaleje, po czym okazało się, że jedynym produktem, który odstawał od zwykle kupowanych, była musztarda za cztery pięćdziesiąt. Bierze się to chyba stąd, że tata pochodzi z bardzo biednej rodziny. Przy wyborze szkoły średniej - technikum żeglugi śródlądowej - kierował się tym, że szkoła zapewniała darmowy mundur, bo nie miał nawet porządnego ubrania. Do dziś wychodzi z założenia, że dwóch par butów na nogi nie włoży, więc wystarczy mu jedna. Musimy z nim walczyć, żeby kupić sobie spodnie czy koszulę, choć poprzednie jeszcze się nie podarły.

- Ja jestem gotowa z zakupami, możemy iść do kina.

Tata pcha wypełniony niemal w całości wózek w stronę kas i tam czeka nas niemiła niespodzianka. Otwartych jest zaledwie kilka, a do wszystkich ciągną się przeraźliwie długie ogonki. Zresztą nie mamy wyboru, bo ja muszę stanąć do kasy z szerokim przejściem. Mogłabym oczywiście wyjść zwykłym wyjściem, a tacie zostawić zakupy, ale sama chcę za nie zapłacić. Ustawiamy się więc karnie w ogonku, oceniając, że czeka nas co najmniej pół godziny stania.

- Najwyraźniej brakuje im kasjerów. Pewnie wszyscy uciekli do Londynu - diagnozuje sytuację tata. - Wiesz, jaki jest szczyt bezczelności? Zagłosować na PiS i wyjechać do Londynu.

Śmieję się. Tata na każdą sytuację zna odpowiedni dowcip i umie je opowiadać. Ja niestety nie odziedziczyłam po nim tej umiejętności. Kiedyś opowiedział mi dowcip o dźwigu - dźwi, gówniarzu, zamknij - który postanowiłam powtórzyć Adrianowi. Zapytałam go, czy zna dowcip o gówniarzu.

-Nie.

- To drzwi, gówniarzu, zamknij.

I nie mogłam zrozumieć, dlaczego Adrian się na mnie obraził, zamiast się roześmiać. Uznałam, że jest całkowicie pozbawiony poczucia humoru.

Kolejka idzie w miarę sprawnie, na szczęście nie ma przesto-
jów spowodowanych tym, że z kodami coś jest nie tak, co zwykle powoduje czasochłonne konsultacje telefoniczne z pracownikami stoisk i działów.

W końcu przychodzi kolej na nas, płacimy i zawozimy zakupy do samochodu, po czym idziemy do multikina. Nie wybieraliśmy z góry filmu, postanowiliśmy zdecydować na miejscu.

Przyglądam się plakatom reklamującym filmy. Nie mam ochoty na żadne dramaty ani tragedie, dziś już płakałam, chcę się pośmiać. Wybieram polską komedię pod tytułem „Testosteron”. Tata patrzy sceptycznie na plakat przedstawiający mężczyzn z opuszczonymi spodniami.

- Wolałbyś coś innego?

- Nie, nie, też mam ochotę na komedię, a innych nie

wyświetlają.

Trudno to uznać za wyraz entuzjazmu, ale dzisiaj nie jestem skłonna do uwzględnienia gustu taty, raz świat może się kręcić wokół mnie. Pozwolę mu wybrać film następnym razem.

Zajmujemy miejsca w salce kinowej, pracownicy kina ustawiają mój wózek na przedostatnim schodku, tata siada na pierwszym fotelu w rzędzie. Rozglądam się po sali, szukam

66

wzrokiem par. Po co ja to sobie robię? Skąd u mnie ten masochizm? Poprawi mi to humor czy jak? Na szczęście przygasają światła i zaczynają się reklamy przed filmem.

Tata mruczy do mnie, że zdecydowanie wolał Polską Kronikę Filmową.

Kiedy już prawie uwierzyliśmy, że po zakupieniu oferowanych produktów osiągniemy stan nirwany, czyli pełne wyzwolenie od cierpienia, pojawia się czołówka filmu. Akcja z początku toczy się niemrawo i już jestem skłonna przyznać, że sceptycyzm taty był uzasadniony, kiedy dialogi stają się coraz celniejsze, a ja raz po raz wybucham śmiechem. Szczerym, nieskrępowanym śmiechem. Słyszę, że tata tak samo. W połowie filmu jestem bliska posikania się po nogach.

Kiedy zapalają się światła, widzę, że tata ociera łzy.

Popłakał się ze śmiechu!

- Kobiety zmusiły nas do wymyślenia piłki nożnej, a jak człowiek chce obejrzeć Ligę Mistrzów, to przełą-

czają na „Złotopolskich” - powtarza rozweselony jedną z konkluzji, do jakiej doszli bohaterowie, że piłka nożna powstała, aby mężczyźni mogli imponować kobietom.

- Wiesz, córeczko - mówi, kiedy wychodzimy na parking - że nie byłem do tego filmu przekonany, bo czytałem druzgoczącą recenzję w „Wyborczej”, a tymczasem film kapitalny. Dawno się tak nie uśmiełem. Ja się chyba nigdy nie nauczę, że nie można kierować się gustem krytyków.

Moim zdaniem tata w ogóle za bardzo jest uzależniony od „Wyborczej”, nie tylko jeśli chodzi o wskazówki filmowe czy literackie. Czasami mam wrażenie, że jak „Wyborcza” o czymś nie napisze, to dla niego to się nie wydarzyło. Na przykład nie chciał wierzyć, że Kwaśniewski hołd pomordowanemu polskiemu oficerom oddawał w Charkowie po pijaku, bo „jaki «Wyborcza» miałaaby powód, żeby o tym nie pisać?”. Zakładał,

67

że Kwaśniewskiego pomawiają przeciwnicy polityczni, którzy nie mogli przeboleć, że postkomunista cieszy się tak dużym poparciem społecznym. Kiedy przekonał się, że to jednak prawda - znalazłam mu zdjęcia w Internecie, poza tym sam Kwaśniewski przestał się upierać, że miał „uraz gołeni prawej” i przyznał, że się upił - był bardzo rozczarowany, że gazeta wyrosła na sprzeciwie wobec zakłamania sama przemilcza niewygodne dla niej politycznie informacje. I choć od tego momentu z irytacją komentował artykuły, w których „Wyborcza” kreowała się

na autorytet moralny, to jednak nie przestał jej kupować i czytać. Myślę, że jego przywiązanie do „Wyborczej” przypomina jego małżeństwo: w pewnym momencie partnerka albo zmieniła się na gorsze, albo ujawniła swe prawdziwe oblicze, ale dla taty, który uważa, że trzeba ponosić konsekwencje swych życiowych wyborów, nie jest to powód, żeby ją porzucić.

- Ja w ogóle nie czytam recenzji.

- Bo jeszcze młoda jesteś. Człowiek w moim wieku musi czytać recenzje, żeby odrzucić rzeczy bezwartościowe. Nie ma już czasu na czytanie złych książek i oglądanie złych filmów.

- Ty aby lekko nie przesadzasz? Do starości jeszcze sporo ci brakuje. Myślę, że jakbyś rozwiódł się z mamą, to niejedna by na ciebie poleciała.

- Mówisz? - Tata jest polectany komplementem, ale po chwili się reflektuje. - Co ty gadasz? Dlaczego miałbym się rozwodzić z mamą?

- E, tak mi się tylko powiedziało, chodziło mi o to, że jesteś mężczyzną w sile wieku, a nie jakimś staruszkim. - Mogłabym wprawdzie wymienić kilka dobrych powodów, dla których miałby się rozwieść z matką, ale nie chcę psuć dobrego nastroju, w jaki wprowadziła nas komedia.

68

W drodze powrotnej w samochodzie przypominamy sobie kwestie i sceny z filmu i dalej się zaśmiewamy.

! Super! Gratuluję!

Siedzimy z Aldoną w kawiarni Pod Złotym Dzbaniem i z nad lodowych pucharów obserwujemy ludzi snujących się po wrocławskim rynku. Zanim zareagowałam na oświadczenie Aldony, patrzyłam na około trzydziestopięcioletniego mężczyznę, który kupił jedną pomarańczową różę, przeżegnał się i niepewnym krokiem ruszył w stronę pomnika Fredry. Jaka historia się za tym kryje? Jedna róża, a więc znacząca, wyznanie, jakim nigdy nie będzie cały bukiet, pomarańczowa, a nie czerwona, czyli na słowa o miłości za wcześnie, ale na powiedzenie „zależy mi na tobie” nie. Przeżegnał się, czyli nie jest pewien reakcji, błaga wszystkie siły nadprzyrodzone, żeby była pozytywna. A ona? Umówiła się z nim pod Fredrą. Czy to oznacza kosza, bo we Wrocławiu wyznaczenie chłopakowi spotkania pod Fredrą ma taką samą wymowę jak kiedyś podanie czarnej polewki. Aldona skwapliwie korzysta z tej symboliki, żeby oszczędzić sobie kłopotliwych rozmów „zerwaniowych”. A przynajmniej ko-

rzystała. Bo właśnie powiedziała mi, że wychodzi za Mariusza i że ustalili już datę ślubu na początek czerwca.

-Nie ma czego. Będę z brzuchem. Wstyd na całą parafię.

- No to czemu zdecydowaliście się na czerwiec, nie mogliście wcześniej albo później?

- Wcześniej nie było wolnych terminów, Oława to nie Wrocław, chętnych na ślub kościelny nie brakuje, a później

wypadało po urodzeniu dziecka, a jeśli jest coś gorszego od brania ślubu z brzuchem, to nieślubne dziecko. Jakbyś się czuła, gdybyś znalazła w papierach, że urodziłaś się przed ślubem swoich rodziców?

69

Z wykształconej, światowej Aldony nie po raz pierwszy wychodzi małomiasteczkowa mentalność, całkowicie mi obca.

- Normalnie. Już teraz seks przed ślubem nie jest niczym zdrożnym, tym bardziej nie będzie za dziesięć czy piętnaście lat. A poza tym, myślisz, że jak dziecko będzie potrafiło porównać metrykę urodzenia z aktem ślubu, to nie policzy sobie, że od ślubu do narodzin nie minęło dziewięć miesięcy?

- E tam, nie rozumiesz tego.

Muszę przyznać, że nie rozumiem. Obowiązki zasad, które są powszechnie łamane, co wszyscy akceptują, byleby głośno o tym nie mówić.

- A co w końcu przeważyło, że zdecydowałaś się wyjść za Mariusza?

Aldona nabiera lodów na łyżeczkę i delektuje się nimi, myśląc nad odpowiedzią. Pokazuje jej palcem, że bita śmietana utworzyła wąs nad górną wargą. Ściera ją wierzchem dłoni.

- Postawiłam sobie poważne pytanie, kogo lepszego oczekuję. I wyszło mi, że rycerza na białym koniu. A rycerzy na białym koniu u nas deficyt i niekoniecznie chcą

księżniczek z bękartami, na co ty mi zwróciłaś uwagę.

Nie przypominam sobie wprawdzie, żebym użyła słowa „bękart”, ale faktycznie mówiłam, że mężczyźni nie garną się do wychowywania cudzych dzieci.

- Wielka miłość nas nie łączy, nie umiem nawet powiedzieć, czy go kocham, ale czy to jest rzeczywiście niezbędną przesłanką do tego, żeby wyjść za mąż? Moja babcia poznała dziadka w dniu ślubu. Przeszła z nim na „ty” przed samą ceremonią, bo ktoś im zwrócił uwagę, żeby nie mówili do siebie per pan, pani, bo to w przypadku młodej pary głupio brzmi. Małżeństwo dosłownie jak królewskich dzieci: dwie rodziny - dwie najbogatsze rodziny we wsi - dogadały

70

się ze sobą, młodych nikt o zdanie nie pytał. Myślisz, że źle to wróży małżeństwu? To się dowiedz, że przeżyli ze sobą szczęśliwie czterdzieści lat, a kiedy dziadek umarł, babcia tak rozpaczła, że jestem pewna, że gdybyśmy żyli w Indiach, z chęcią splotęłaby z jego zwłokami na stosie. A dla odmiany masz moich rodziców: wielkie uczucie, a ojciec zabrał dupę w troki. To znaczy, mama mi ciągle powtarzała, że od nas odszedł, ale jak dorosłam, uświadomiłam sobie, że znam tylko jej wersję, że tata nigdy nie był skłonny do mówienia na ten temat i że równie dobrze mógł zostać przez nią wyrzucony.

Dociera do mnie, że Aldona nie jest na sto procent przekonana do swojej decyzji i próbuje w rodzinnej historii znaleźć potwierdzenie, że postępuje słusznie. W historii

interpretowanej dość jednostronnie, ale nie zamierzam jej tego wskazywać. Nie uważam, żeby ślub z Mariuszem był złym rozwiązaniem, mam wrażenie, że Aldona czuje do Mariusza więcej niż sobie uświadamia, i za jakiś czas z pełnym przekonaniem powie „kocham go”.

- To dowodzi, że miłość może pojawić się dopiero w małżeństwie i że małżeństwo może miłość zabić - konkluduje Aldona. - Nie ma reguł.

Z tym nie polemizuję, bo to akurat prawda. Widzę, że do mężczyzny z pomarańczową różą, niecierpliwie spoglądającego na zegarek, podchodzi kobieta w moim wieku. A jednak przyszła.

- A co Mariusz na to, że zostanie ojcem?

- No właśnie, ucieszył się. Tym też mnie do siebie przekonał. Nie podejrzewałam go o taką dojrzałość, biorąc pod uwagę jego czasami dziecinne zachowania. Dwudziestoosmioletni gołowąs, który nie może przeżyć, że w jakiejś grze komputerowej nie osiągnął jakiegoś tam poziomu. Wyobrażasz sobie? Myślałam, że jak takiemu facetowi, który sam jeszcze nie wydorósł, powiem o dziecku,

71

to będę miała pełną klasykę: najpierw zdziwienie, jak to się stało - oni na ogół na wiadomość o ciąży zapominają, skąd się biorą dzieci - potem żądanie, żebym usunęła, i wreszcie wymówki, że on jeszcze nie jest gotowy na dziecko, że najpierw musi odnaleźć siebie i takie tam dyrdymały, i tyle go będę widziała. A tu pełen entuzjazm, rozmarzył się, jak

to z synem będzie piłkę kopał, a córkę rozpieszczał, imię zaczął wybierać, jak będzie chłopak, to mam wybór między Pankracym a Ronaldem, to nie na cześć Reagana, tylko podobno jest jakiś brazylijski piłkarz, który tak się nazywa. Powinni przeprowadzić badania, czy facetom wskutek regresywnego rozwoju mózg nie zamienił się w futbolówkę.

- A Pankracy skąd, z „Nie-Boskiej komedii”?

- Żartujesz? Mój Mariuszek nie czytał lektur, wyłącznie bryki. Nie, jego ukochany dziadek był Pankracy. Phi, też mi imię. Po moim trupie. Będzie Rafał i tyle.

Jak znam Aldonę, będzie Rafał. Ewentualnie w ramach kompromisu Rafał Pankracy, bo drugiego imienia i tak się nie używa. Mój tata ma na drugie Archibald i lubi się pochwalić, że tak nietypowo.

Aldona wyciąga z torebki lusterko i sprawdza, czy makijaż w dobrej formie przetrwał porcję lodów, po czym uśmiecha się do mnie.

- No, przyjaciółko, oficjalnie niniejszym proszę cię na świadka i druhnę.

Mimo że w sumie się tego spodziewałam, jestem mile zaskoczona.

- Dziękuję.

- A za co? To ja dziękuję, bo rozumiem, że się zgadzasz?

- No jasne.

Aldona kiwa z zadowoleniem głową.

- No to z tej okazji, skoro pić mi nie wolno, jeszcze

po jednym pucharze.

72

Chce przywołać kelnerkę obsługującą właśnie parę spod pomnika Fredry, która zdecydowała się na ten sam lokal co my, ale protestuję:

- Oszalałaś? Przecież nie wcisnę ani grama więcej, a ty przy takim podwójnym jedzeniu szybko dojdiesz do stu kilo. I rzeczywiście osiągniesz, co chcesz, brzucha nie będzie widać, bo przykryją go zwały tłuszczu.

Aldona krzywi się, ale mój argument do niej trafia.

- Cięża to kanał, napić się nie mogę, jeść mi się chce za dwoje, tyle że dzieciak nic nie spala, wszystko idzie na moje konto. A jakby tego było mało, mdłości, dźwiganie brzucha, opuchnięte nogi, ucisk na pęcherz i tak dalej. Jakoś nie mam wątpliwości, że Bóg jest mężczyzną, bo gdyby był kobietą, to w ciążę zachodziliby faceci.

Z chęcią przesłałbym przez wszystkie te męczarnie, a nawet znacznie gorsze, żeby tylko mieć dziecko. Dlaczego coś, co dla innych kobiet jest takie łatwe i naturalne, dla mnie jest praktycznie nie do osiągnięcia? Przecież znam odpowiedź. A skoro znam przyczynę, czemu nie znajdę środka zaradczego? Rozpoznanie problemu to połowa sukcesu. No dobrze, mężczyźni nie myślą o zaciągnięciu mnie do łóżka, ale w dzisiejszych czasach seks nie jest niezbędny do zapłodnienia. Niepokalane poczęcie nie wymaga dziś boskiej interwencji, a jedynie lekarskiej. Może czas porzucić nadzieję, która najwyraźniej wciąż gdzieś

głęboko się we mnie tli, że jednak znajdę naturalnego ojca dla mojego dziecka, i zdecydować się na sztuczne zapłodnienie?

- Co się tak zamyśliłaś? - Aldona patrzy na mnie z niepokojem. - Chyba nie uraziłam cię tą herezją?

Aldona wie, że jestem znacznie bardziej religijna od niej i regularnie chodzę do kościoła. Na szczęście kościół Świętej Rodziny na Monte Cassino ma wejście dla niepełnosprawnych.

73

- Nie, skąd... Kto będzie świadkiem Mariusza? - wracam do tematu ślubu, żeby uniknąć dalszych pytań, o czym myślałam. Nie chcę dzielić się z Aldoną pomysłem sztucznego zapłodnienia, skoro dla mnie jest zupełnie świeży. Muszę najpierw go przetrawić.

- Najpewniej jego brat, jeśli jakaś gwiazda piłkarska się nie zaofiaruje.

Uśmiecham się.

- Nie wiedziałam, że z niego taki zapalony kibic.

- Straszny. Gdybym w trakcie meczu zrobiła przed nim striptiz, to powiedziałaby tylko, że zasłaniam mu telewizor, choć normalnie ręk nie może ode mnie oderwać, dowód tutaj

- Aldona głaszcze się po brzuchu. - Ale po ślubie postaram się to zmienić, jakieś ważniejsze imprezy proszę bardzo, przeboleję, ale każdego meczu, jaki puszczają w telewizji, na pewno nie będzie oglądał!

Zastanawiam się, jak zakończą się te próby wzięcia

Mariusza pod pantofel i skąd u Aldony takie ciągoty. Podobno jest to typowe dla kobiet, które miały dominujące matki.

- Uważaj, żeby nie wybrał piłki.

Aldona śmieje się.

- Nie dopuszczę go do siebie po meczu raz czy drugi, to szybko mu się ustawi właściwa hierarchia.

Milkniemy, Aldona kieruje wzrok na przechodniów, nie-spiesznie szukających odpowiedniej knajpki, spacerujących czy wracających z pracy. Ja obserwuję parę spod pomnika Fredry, siedzącą kilka stolików dalej. Nie słyszę, co mówią, ale z miny mężczyzny wnioskuję, że jego nadzieje się nie spełniły. Kobieta wzięła wprawdzie różę, ale mowa jej ciała wyraźnie sygnalizuje, że wzięła tylko kwiatek, nie przyjęła wyrażanych nim uczuć. Podnosi się - krótkość spotkania potwierdza, że nie myłę się w swoich wnioskach - powstrzymuje ręką mężczyznę, który chce pójść w jej ślady - i odchodzi. Mężczyzna chowa głowę w dłoniach.

74

Głupia! Dlaczego nie dała mu szansy? Przecież widziałam, że naprawdę mu na niej zależy. Ilu facetów daje dziś kwiaty?

Zastanawiam się, czy dostałam kiedyś kwiaty od Adriana.

Na początku na pewno nie, uważał, że jest tak atrakcyjny, że nie musi zdobywać mnie kwiatami, że i tak na niego polecę. I co smutne, nie pomylił się. Będzie wolała jakiegoś chama i gbura, choć mogła wybrać takiego porządnego faceta!

Nagle uświadamiam sobie, że nie zgłaszam pretensji

do tej nieznanym kobiety, tylko do siebie samej, że wybrałam Adriana, a nie Adama.

- Co, płacimy? - Aldona odrywa mnie od myśli o mojej życiowej pomyłce.

- Możemy zapłacić.

Sięgam po portfel, ale Aldona mnie powstrzymuje.

- Zostaw, teraz moja kolej, płaciłaś ostatnim razem.

Mamy taki układ, że płacimy w knajpach na przemian.

Aldona prosi o rachunek, po czym z kamienną miną czeka, aż kelnerka wyda jej co do grosza, choć ta długo szuka drobnych, wyraźnie sugerując, że chciałaby napiwek. Trochę mi jej żal, bo domyślałam się, że dostaje groszową pensję i napiwki stanowią dużą część jej wynagrodzenia. Aldona jest jednak pod tym względem nieugięta. Twierdzi, że napiwek należy się nie automatycznie, tylko za wyjątkowe podejście do klienta. Inna sprawa, że to wyjątkowe podejście dostrzega częściej u przystojnych kelnerów.

Aldona pcha mój wózek, musimy spory kawałek przejść, bo Aldona zaparkowała w Galerii Dominikańskiej, w okolicach rynku nie znalazłyśmy wolnego miejsca. Ale nie mam nic przeciwko spacerowi, zwłaszcza że niemal do samej Galerii prowadzi pięknie wykonany deptak. Z przyjemnością patrzę na mima wyginającego się w ukłonach, na ozdobną granitową kulę, którą pcha jeden krasnoludek, a drugi próbuje mu przeszkodzić, na latarnie stylizowane na te z czasów

oświetlenia gazowego, na kolorowe fasady kamieniczek,

na artystyczną instalację przedstawiającą chyba ośnieżone drzewo i myślę, że lubię to swoje miasto.

*

W domu od razu siadam do komputera i wpisuję do wyszukiwarki hasło „sztuczne zapłodnienie”. Pojawiają się strony ośrodków przeprowadzających ten zabieg i strony katolickie omawiające go od strony etycznej. Wiem, że Kościół uznaje sztuczne zapłodnienie za niemoralne, ale jestem ciekawa, czy ma jeszcze jakieś argumenty poza tym, że ta technika wymaga wytworzenia nadliczbowych embrionów, z których nie będzie dzieci.

Okazuje się, że tak i że argument o nadliczbowych embrionach wcale nie jest najważniejszy, jakby katolicy etycy zabezpieczali się na przyszłość, kiedy metoda zostanie na tyle udoskonalona, że do urodzenia dziecka wystarczy jeden embrion. Według papieskiego autorytetu Pawła VI, kiedy dwoje małżonków decyduje się na sztuczne zapłodnienie, to narusza ustanowiony przez Boga nierozzerwalny związek -którego człowiekowi nie wolno samowolnie zrywać, między dwojakim znaczeniem tkwiącym w stosunku małżeńskim; między oznaczaniem jedności i oznaczaniem rodzicielstwa. Za mądre to dla mnie, nie rozumiem tego. I choć dość dobrze znam Biblię - tata jako głęboko wierzący zadbał, żebym przeczytała Nowy i Stary Testament, bo uważa, że wiara bez znajomości jej świętych ksiąg nie zasługuje na to miano - nie przypominam sobie, żeby było tam coś o małżeństwie jako „oznaczaniu jedności i oznaczaniu rodzicielstwa”.

Dzielenie włosa na czworo, żeby udowodnić, że złe jest coś, co z góry uznajemy za złe.

Bardziej trafiają do mnie argumenty przeciw, jeśli dawcą nasienia ma być nie mąż, tylko postronny dawca. Jeden może być ojcem kilkorga dzieci, które o sobie nie wiedzą, bo zasada
76

jest, że dawca pozostaje anonimowy, więc istnieje niebezpieczeństwo, że w przyszłości drogi jego syna i córki przetną się i stworzą oni kazirodczy związek. Słusznie. Zastanawiam się, czy jakoś się temu zapobiega, bo przecież nie powinno się dopuszczać do takiej sytuacji. Innym argumentem przeciwko postronnemu dawcy jest to, że biologicznym ojcem jest kto inny niż mąż, co może być źródłem problemów psychicznych zarówno u dziecka, jak i u wychowującego go ojca. Ale w moim wypadku ten problem nie występuje: nie mam męża, któremu mogłaby sięść psychika, bo wychowuje dziecko, którego nie spłodził.

No właśnie! Przeglądam jeszcze raz strony gabinetów.

Wszędzie jest mowa o małżeństwach i parach, które nie mogą mieć dzieci. A co z osobami samotnymi? Czy to, że fizycznie jestem zdolna do urodzenia dziecka, tylko nie mam partnera, dyskwalifikuje mnie, zamyka mi drogę do sztucznego zapłodnienia?

Najprościej byłoby zadzwonić do kliniki, ale jakoś mi głupio. Zakładam sobie konto w portalu gazeta.pl jako Safona81 i na forum „Kobieta” pytam, czy samotna kobieta może poddać się sztuczemu zapłodnieniu. Przedstawiam się

jako lesbijka, która chciałaby mieć dziecko, a z oczywistych
względów nie może w naturalny sposób zajść w ciążę.

Po godzinie ponownie zaglądam na forum. Przekonuję
się, że oczywiste względy nie dla wszystkich są oczywiste,
normalna22 radzi mi, żebym spróbowała z mężczyzną
i przekonała się, jakie to przyjemne, to może pozbędę się
swoich fanaberii. Normalna22 jest przekonana, że jakiś facet
mnie skrzywdził i dlatego odwróciłam się od mężczyzn,
ale nie każdy musi okazać się taką świnią jak ten pierwszy.

W końcu normalna22 przechodzi do tematu i informuje
mnie, że w Polsce lesbijka nie może dostać nasienia z banku
spermy, musi to być para (jak rozumiem, mieszana) i bardzo
dobrze bo dziecko howane przez dwie lesbijki też będzie

77

skrzywione. Domyślam się, że normalna22 przez „skrzy-
wione” rozumie „o orientacji homoseksualnej” i zastanawiam
się, jak by wyjaśniła, że dzieci chowane w tradycyjnych
rodzinach bywają „skrzywione”. Następnie normalna22
informuje mnie, że jest bardzo tolerancyjna, ale tolerancja
musi mieć granice, bo nie można pozwalać gejom i les-
bijkom na wszystko co chcą bo inaczej trzeba by też uznać
prawa pedofilowi kleptomaniów, a w takiej Ameryce, która
jest bardzo tolerancyjna, każdy wie, gdzie jego miejsce:
Bogaci mieszkają na zamożnych przedmieściach. Mużyni
w slumsach. Polacy co nieznają dobrze języka na Green Point.
Geje i lesbijki mają swoją dzielnicę i jeśli nawet mieszkają
gdzieś wśród ludzi to nie afiszują się ze swoją orientacją

i ukrywają się żeby nie razić swoją innością. I uważam że to jest w porządku.

Irytuje mnie ten obskurantyzm strojący się w piórka tolerancji, starający się uzasadnić, że homoseksualiści to jacyś podludzie i powinni zostać zamknięci w getcie. Jest chyba nawet gorszy i bardziej niebezpieczny od tępej dyskryminacji na zasadzie, że gej to pedał, a Murzyn czarnuch i już. A może za taki go uznaję, bo moja matka jest podobna. Pamiętam, kiedy jeszcze byłem w liceum, jak w reakcji na dyskusję w telewizji o homoseksualistach stwierdziła, że ona jest szalenie tolerancyjna, nie ma nic przeciwko gejom i lesbijkom, bo istotne jest, czy partnerzy się kochają, a nie jakiej są płci.

Nie wiem, czy wyczułam hipokryzję tej deklaracji, czy postanowiłam matkę sprawdzić, w każdym razie podkusiło mnie, żeby oświadczyć, że to bardzo dobrze się składa, bo właśnie ja jestem lesbijką. Moja matka dosłownie dostała piany na ustach:

- Ty chyba oszalałaś! Jak to lesbijką, ty nie wiesz, o czym mówisz! Wybij to sobie z głowy! Jutro idziemy do lekarza, żeby ci coś przepisał! Chyba nie myślisz, że będę świeciła

78

oczami przed sąsiadami, że moja córka jest jakaś nie tego!

Co ja powiem Małgosi, jak mnie zapyta, czemu nie mam wnuków?! Wstyd na całą rodzinę!

- Przed chwilą powiedziałaś, że akceptujesz homoseksualizm i nieważne, jakiej partnerzy są płci, grunt, żeby

się kochali.

- Bo akceptuję i niech się kochają, ale przecież nie moja córka! Jezu...

Matka złapała się za serce, co miało dać mi do zrozumienia, że upierając się przy zostaniu lesbijką, wpędzam ją do grobu, i rozplakała się. Tata, który zwykle w utarczki słowne między nami starał się nie wtrącać, uznał, że musi interweniować.

- Uspokój się, ona wcale nie jest lesbijką, podpuszcza cię. A nawet jakby była, to też nie byłby powód do tragiczności.

Tata łączy głęboki katolicyzm z pełną tolerancją dla wszystkich „odszczępieńców”. Mogliby pokazywać go na zjazdach różnych prawicowych partii jako dowód, że coś takiego jest możliwe.

- Nie wtrą... Co?! Jak to podpuszcza? Nie jesteś lesbijką? -

Matka przestała płakać, odżyła w niej nadzieja na wnuki.

-Nie.

- Na pewno?

- Na pewno.

- Skąd wiesz?

- Bo przespałam się z wszystkimi chłopakami w klasie i sprawiło mi to przyjemność.

-Edyta!

No i mimo że nie jestem lesbijką, moja matka nie może doczekać się wnuków. Choć muszę oddać jej sprawiedliwość, że wyjątkowo nie stanowi to tematu jej zrzędzenia ani skarg

kierowanych do rodziny, psiapsiółek i sąsiadów (kiedyś skarżyła się sąsiadowi, że ma męża fajtlapę, bo tata nie potrafił

79

sam zreperować kranu, tylko musiał wezwać hydraulika).

Przynajmniej raz potrafi prawidłowo ocenić sytuację, że nie mam dziecka nie dlatego, że chcę jej zrobić na złość, tylko jest to spowodowane okolicznościami, na które nie mam wpływu. Co więcej, wyciąga z tej oceny konsekwencje dla swojego zachowania. W jej wypadku rzadkość i naprawdę jestem jej za to wdzięczna.

Sprawdzam pozostałe odpowiedzi na moje pytanie

i niestety potwierdzają one to, co napisała normalna22,

choć miałam nadzieję, że jej znajomość polskiego prawa

jest równie kiepska jak stosunków panujących w Ameryce:

w Polsce samotna kobieta nie może poddać się sztucz-

nemu zapłodnieniu. Ewka_nie_ewka doradza mi, żebym

znalazła sobie dawcę, który będzie udawał mojego part-

nera, i choć do obskurantyzmu normalnej 2 2 jej daleko,

też popada w stereotyp, twierdząc, że najlepiej geja. Innej

radę na obejście przepisów udziela mi sierotka.marysia,

pisząc, żebym skorzystała z usług jakiejś zagranicznej

kliniki, ale lojalnie uprzedza, że słono mnie to będzie

kosztowało.

W oczekiwaniu na dalsze wpisy odpowiadam nor-

malnej22, wczuwając się w rolę dotkniętej do żywego

lesbijki. Okazuje się, że normalna22 siedzi przed kom-

puterem, bo po dwudziestu minutach pojawia się jej

polemika. Jeśli polemiką można nazwać zignorowanie argumentów dyskutanta i powtórzenie własnych (skąd ja to znam?). Zirytowana odpisuję normalnej²², domagając się, by ustosunkowała się do przedstawionych argumentów. Normalna²² częściowo to robi, ale wyraźnie ma kłopoty z trzymaniem się meritum i obdarza mnie kolejną porcją swoich przemyśleń na temat tego, gdzie jest miejsce gejów i lesbijek. Nie odpuszczam i w efekcie dochodzi między nami do flame war. Kiedy przytomnieję, jest środek nocy i uświadamiam sobie, że spędziłam

80

ładnych parę godzin na kłótni z jakąś zacofaną babą. Głupio mi. Dotąd często obserwowałam takie utarczki, stwierdzając, że Polacy nie opanowali sztuki dyskusji - ignorują elementarne zasady logiki, nie potrafią formułować własnych argumentów ani analizować i odnosić się do argumentów kontradyskutanta, którego traktują jak wroga i usiłują pognębić - ale sama nie brałam w nich udziału. Może dlatego, że choć dość chętnie czytuję różne fora, to sama na ogół się nie wypowiadam. Nie odpowiada mi panująca w Internecie anonimowość. Tata wpoił mi, że należy ponosić odpowiedzialność za swoje czyny i wypowiedzi, a to oznacza, że również w Internecie powinnam podpisać swoją wypowiedź imieniem i nazwiskiem. Nie mam nic przeciwko temu, ale chciałabym wtedy wiedzieć, kto jest po drugiej stronie, a nie dyskutować z ludźmi, którzy kryją się za pseudonimami.

Szykując się do spania, wracam myślą do problemu, który dał asumpt do ostrej wymiany zdań z normalną²². Do tego, co napisały Ewka_nie_ewka i sierotka.marysia, bo więcej porad nie było. Muszę znaleźć kogoś, kto będzie udawał mojego partnera. Ale jak? Kogo można poprosić o taką przysługę? Ładna przysługa! Przecież to nie prośba o pożyczenie paru złotych czy pomoc przy wniesieniu mebla. Słuchaj, nie chciałbyś oddać spermy, żeby mnie nią zapłodnili? Robię przegląd swoich męskich znajomych. Wykluczam żonatych, zakładając, że żony niezbyt chętnym okiem patrzyłyby na to, że ich ślubny zostaje ojcem cudzego dziecka, nawet jeśli nie miałyby to nic wspólnego ze zdradą. Choćby z obawy, że jako biologiczny ojciec zostanie na przykład wezwany do płacenia alimentów. Ale to samo dotyczy przecież samotnych, mogą się bać, że będę próbowała im narzucić obowiązki wynikające z ojcostwa. Musiałabym podpisać jakąś deklarację, że zrzekam się wszelkich roszczeń. Ale czy taka deklaracja byłaby prawnie wiążąca, skoro wobec

81

kliniki będziemy występować jako para i mój udawany partner zostanie wpisany do aktu urodzenia jako pełnoprawny ojciec?

Usiłuję rozwikłać te prawnicze niuanse, kiedy nagle uświadamiam sobie, że rozważam czysto akademicki problem, bo i tak nie mam się do kogo zwrócić, wobec żadnego z moich znajomych, których lista jest nader krótka, podobna prośba nie przeszłaby mi przez gardło, nawet jeśli

oceniłabym, że są szanse na zgodę. Musiałby to być męski odpowiednik Aldony, a takowy nie istnieje. Do tego stopnia nie zaprzyjaźniłam się z żadnym mężczyzną. Nie spotkałam żadnego, który by na to zasługiwał, czy raczej nie wierzę w prawdziwą przyjaźń między kobietą a mężczyzną, erotyka zawsze będzie stała między nimi, choćby byli jak najdalej od myśli o pójściu ze sobą do łóżka. Stąd jedynym męskim przyjacielem, jakiego mam, jest tata.

Skoro znajomi nie, to może obcy? Na zasadzie usługi, za którą zapłacę. Tylko skąd wziąć usługodawcę? Przecież nie dam ogłoszenia do gazety. „Życzliwych”, którzy - rozpoznawszy mój numer telefonu - zadzwoniliby do mojej matki, powodowani oczywiście „wielką troską”, nie brakuje.

Musiałabym aktywować sobie dodatkowy numer telefonu.

To akurat nie problem. Odstręcza mnie, że mam kupować ojca dla swojego dziecka. Niby w dzisiejszych czasach wszystko jest na sprzedaż, ale jednak. To równie dobrze mogę zamówić sobie cali boya. Zdecydowanie prostsze niż znalezienie dawcy, który chciałby odegrać małą komedię w klinice leczenia niepłodności. Przez chwilę całkiem poważnie rozważam tę opcję, ale potem ją odrzucam. Abstrahując już od tego, że nie wyobrażam sobie seksu z facetem, do którego nic nie czuję, to przecież mogłabym się zarazić AIDS. No i nie chciałabym, żeby moje dziecko nosiło w sobie geny cali boya. Jakiej inteligencji można spodziewać się po mężczyźnie, który zarabia na życie penisem? Nie oczekuję wprawdzie,

że moje dziecko będzie miało ojca noblistę, ale to byłoby przegięcie w drugą stronę.

Nie wiem, dlaczego po cali boyu na myśl przychodzi mi Adrian. Kandydatura w pierwszym momencie wydaje mi się oczywiście absurdalna, ale po głębszym zastanowieniu się dochodzę do wniosku, że nie jest wcale taka głupia.

Mimo że mam do niego wielki żal o to, jak mnie potraktował po wypadku, to dość łatwo przyszłoby mi się do niego z tym zwrócić, ostatecznie byliśmy parą. No a właśnie za swoją postawę po wypadku jest mi coś winien. Tylko czy poradziłby sobie w klinice? Jest fatalnym kłamcą, na kilometr widać po nim, że kręci, wiedziałam, kiedy chciał mnie okłamać, zanim jeszcze otworzył usta. A w ogóle czy taka klinika opiera się na tym, co dana para jej mówi? Chyba robią badania, a wtedy wyjdzie na jaw, że z nami wszystko w porządku. Czy też iść w zaparte i twierdzić, że nie mogę zajść w ciążę, mimo że badania nie wskazują przyczyny? A jak lekarz każe nam przyjść po stosunku? Z kryminałów wiem, że można ustalić, czy zabita kobieta miała stosunek, to z żywą chyba tym łatwiej.

Otulam się szczelnie kołdrą, bo jestem straszna zmarzaczka, a nie potrafię spać przy zamkniętym oknie, gdyż dosłownie duszę się z braku tlenu. Przykładam głowę do poduszki i przed zaśnięciem dalej myślę, jak obejść nieżyłowy przepis. Jeśli nie fikcyjny partner, to zostaje klinika za granicą. Kwestia, ile to kosztuje. Ale chyba nie są to takie gigantyczne koszty, jak przy nietypowych operacjach, na jakie ludzie

zbierają pieniądze przez ogłoszenia gazetowe i fundacje. Mogłabym wziąć więcej zleceń, a nawet kredyt. Ciekawe, jaki kraj wchodziłby w grę? Mam nadzieję, że nie tylko USA, bo sama podróż tam byłaby sporym wydatkiem. Nie, przecież w Europie jest dużo postępowych krajów - nawet bardziej postępowych niż USA. Skoro na przykład w takiej Holandii zezwalają na miękkie narkotyki, eutanazję

83

i małżeństwa homoseksualistów, to pewnie nie mają nic przeciwko temu, żeby samotna niepełnosprawna kobieta sztucznie zaszła w ciążę. Muszę to sprawdzić. Usiłuję się podnieść, ale jestem już na granicy snu, oczy mi się kleją, ciało jest bezwładne. Zaspiam, ale po raz pierwszy od dłuższego czasu z uczuciem, że już nie mogę doczekać się rana, że muszę jak najszybciej przespać noc, bo rano mam po co wstawać.

*

Budzi mnie szczekanie psa za oknem. Otwieram jedno oko, żeby spojrzeć na zegarek: ósma. Cholera, chcę pośpać przynajmniej do dziewiątej, przecież zarwałam pół nocy! Nakrywam głowę poduszką w nadziei, że pies zaraz ucichnie i nie wytrąci mnie ze snu, ale szczekanie nie ustaje. Cholerni właściciele psów! Jak dzieciaki wrzeszczą albo ktoś głośno puszcza muzykę, to są oburzeni, że zakłóca się im spokój, ale jak ich kundel ujada, to nie wiadomo dlaczego uważają, że panuje niczym niezmacona cisza!

Odkładam poduszkę, odwracam się na plecy i rozkładam ramiona. Nic z tego nie będzie, już nie zasnę. Musiałabym zamknąć okno, mam plastikowe, które skutecznie wygłusza hałas, ale nie zrobię tego w dwie sekundy, muszę przesiąść się na wózek, podjechać do okna, wrócić, przetarabanić się na łóżko - po takiej operacji będę tak daleka od snu jak Alf po czterdziestu kawach. Przypomina mi się scenka z sitcomu z kosmicznym stworkiem, w której Alf potwornie się trząsł, a na pytanie Willy'ego, ile kaw wypił, odpowiada: „Czterdzieści”.

Rozbawia mnie ponownie, co tłumi moją wściekłość.

Podchodzę do okna, żeby mimo wszystko je zamknąć, bo irytujący psi koncert nie ustaje. Ale najpierw wyglądam na dwór, chcąc zlokalizować psa i obsztorcować właściciela,

84

jeśli będzie w pobliżu, choć domyślam się, że przywiązał zwierzę i gdzieś poszedł.

Mylę się jednak, źródłem hałasu okazuje się jamniczka na wózku. Zatrzymuję się z ręką na klamce okna. Czyżby na dobre zgubiła się właścicielce? I czemu tu przychodzi?

Czyżby pamiętała ostatnie spotkanie i uznała, że skoro też poruszam się na wózku, to będę dla niej idealną nową panią?

Nonsens. Nie potrafiłaby przecież tak rozumować, nie wiadomo nawet, czy widzi, że coś mnie różni od innych ludzi, nie mówiąc już o tym, żeby dostrzegała podobieństwo mojego i swojego losu. Pewnie kojarzy, że w tym miejscu spotkało ją miłe przyjęcie, ale nie z mojej strony, tylko ze strony

Adama. I pewnie to jego chce wywołać szczekaniem. No cóż, moja droga, też bym chciała, żeby Adam tu był, ale w życiu nie zawsze ma się to, czego się chce. Przeciwnie, na ogół życie nie daje nam tego, czego chcemy, nie mam nie tylko Adama, ale i zdrowia, dziecka... Dziecko! Miałam sprawdzić zagraniczne kliniki!

Momentalnie zapominam o jamniczce i ruszam do komputera. Kiedy zaraz po włączeniu zawiesza się, mam ochotę go kopnąć. Na szczęście jest to niemożliwe, bo wtedy pozbawiłabym się dostępu do Internetu. Resetuję komputer, każę mu pominąć sprawdzanie twardego dysku, co zaleca, twierdząc, że nie został prawidłowo wyłączony, i niecierpliwie czekam, aż ponownie uruchomią się wszystkie programy. Potem naciskam ikonkę Explorera i łączę się z Internetem.

Szukam na stronach polskich i obcych. Na polskich jest niewiele informacji, z obcych niewiele mogę wydedukować ze swoją kulawą znajomością niemieckiego z liceum i angielskiego z lektoratu na studiach. Języki jakoś nigdy nie były moją pasją, nie trafiłam też na dobrych i ambitnych nauczycieli, którzy wymagaliby ode mnie, żebym gramatyczne regułki i słówka z czytanek - które jako piątkowa uczennica rzetelnie wkuwałam - potrafiła zastosować w praktyce.

85

Mimo niesprzyjających warunków - najpierw budowy wieży Babel, a potem braku w polskich szkołach dobrych nauczycieli języków obcych - udaje mi się ustalić kilka rzeczy. Przede wszystkim nie muszę poddawać się zapłodnieniu in

vitro, wystarczy inseminacja, co jest zabiegiem prostszym, a przez to tańszym. Ceny w takiej Szwajcarii kształtują się w przedziale od 400 do 4000 euro, a jak rozumiem, byłabym bliżej tych czterystu, co nie jest żadną barierą. Zgodnie z moimi przypuszczeniami w Holandii nie ma przeszkód, żeby lesbijka poddała się sztucznemu zapłodnieniu, więc powinno dotyczyć to również innych kobiet, które z jakiegoś względu nie mogą lub nie chcą zajść w ciążę w tradycyjny sposób. Nie udaje mi się dojść, jak wygląda w Holandii odpłatność, ale znajduję informację, że w Danii również nie ma ograniczeń, a zabieg jest w pełni refundowany. Wzdycham, żałując, że nie urodziłam się Dunką.

Dalsze ustalenia natrafiają na barierę w postaci nieznamomości duńskiego - decyduję się na Danię, bo jest bliżej niż Holandia - ale trudno, żebym miała do siebie pretensje, że nie znam tak egzotycznego języka. Potrzebuję tłumacza. Wpisuję do wyszukiwarki „tłumacz języka duńskiego”.

Na pierwszej stronie wyświetlają mi się oferty biur tłumaczeń. Przeglądam je, jako księgowa błyskawicznie wyłapuję, że wysokie ceny są de facto jeszcze wyższe, bo biura - niezgodnie z prawem - podają ceny netto, a nie brutto. Mina mi rzędzie, bo tak wygórowanych cen się nie spodziewałam. Zapisanie się na kurs duńskiego byłoby i znacznie tańszym, i przy tych cenach wcale nie takim absurdalnym rozwiązaniem. Na dodatek wyszłabym z domu między ludzi. Tyle że to wyjście mogłoby się zakończyć jak w wypadku kursu na księgową: nikt nie miał ochoty nawiązać ze mną

prywatnej znajomości.

Chwilowo porzucam myśl o nauczaniu się duńskiego,
nie tylko dlatego, że wymagałoby to czasu, ale uświadamiam

86

sobie, że biura tłumaczeń są pośrednikiem i nakładają własną
marżę, u indywidualnego tłumacza powinno być taniej.

Przechodzę na dalsze strony z wynikami wyszukiwania.

Tłumacza duńskiego we Wrocławiu nie mogę znaleźć, nie
wiem, czy w ogóle nie ma, czy nie zamieszcza w Internecie
swojej oferty. Decyduję się na poznańskiego, bo jest najbliżej

Wrocławia, a co ważniejsze zamieścił swoje zdjęcie i swoją
trochę misiówatą aparycją wzbudził moje zaufanie. Około
czterdziestoletni mężczyzna, który ze swoim wyglądem
mógłby być seksuologiem. W każdym razie nie mam oporów,
żeby powiedzieć mu, z jakiego powodu chcę się zorien-
tować w cenach i zasadach korzystania z duńskich klinik.

Rezygnuję nawet z udawania lesbijki, choć nie sądzę, żeby
osoba, która studiowała język i kulturę tak tolerancyjnego
kraju, mogła mieć pod tym względem jakieś uprzedzenia.

Nakładam słuchawki i łączę się przez Skype'a, bo ikonka
tego komunikatora widnieje na stronie tłumacza.

- Tak, słucham?

Na chwilę się zacinam, bo chcę się przedstawić, co za-
wsze robię, jak do kogoś dzwonię, uważam, że jest to ele-
mentarny wymóg kultury, ale ponieważ Polacy generalnie
się nie przedstawiają, uznaję, że nic się nie stanie, jeśli
ze względu na delikatność sprawy pozostanę anonimowa.

Mówię, o jakie zlecenie mi chodzi, i pytam o cenę.

- Hm, musiałbym się zastanowić, bo zlecenie jest niety-
powe, właściwie nie tłumaczenie, tylko szukanie informacji,
normalnie biorę za stronę...

Kiedy słyszę cenę, wyliczam w pamięci, że marża biur
wynosi nawet trzysta procent i stwierdzam, że określenia
„zdzierstwo" czy „złodziejstwo" byłyby eufemizmem. No
ale w każdej branży pośrednik zarabia najwięcej, choć naj-
mniej wnosi.

- ... ale chociaż chętnie przyjąłbym od pani to zlecenie,
bo zdecydowanie ciekawsze niż tłumaczenie kolejnego

87

dowodu rejestracyjnego, to uczciwie muszę panią uprzedzić,
że chyba niepotrzebnie wyda pani pieniądze. Przecież taki
zabieg może pani zrobić w Polsce.

- Nie mogę, nasze prawo pozwala na sztuczne zapłod-
nienie tylko parom.

- Kto pani tak powiedział? Tłumaczyłem duńską ustawę
w tej kwestii i szukałem polskiej, żeby zapoznać się z termi-
nologią - na przykład fachowo nazywa się to nie sztuczne
zapłodnienie, tylko wspomaganie rozrodu - ale okazało
się, że u nas w ogóle nie jest to uregulowane. Nie ma u nas
żadnych przepisów dotyczących sztucznego zapłodnienia,
a tym samym nie ma zakazu, by skorzystała z niego samotna
kobieta.

- Na pewno? - Jestem nieco skołowana tym, co słyszę.

Dlaczego nikt na forum nie sprostował, że normalna22

udzieliła mi błędnej informacji?

- Na pewno. W państwie prawa obowiązuje zasada, że to, co nie jest zakazane, jest dozwolone. A Polskę wciąż jeszcze można uznać za państwo prawa, choć jesteśmy niebezpiecznie blisko uzyskania statusu republiki bananowej.

- To czemu kliniki nie przeprowadzają takiego zabiegu?

- A skąd pani wie, że nie przeprowadzają? Ja myślę, że się po prostu tym nie chwalam, żeby im zdrowa młodzież wszechpolska nie zrobiła demolki, a politycy nie doszli do wniosku, że Sodoma i Gomora i nie wprowadzili zakazu. Za społecznym poklaskiem, rozumie się. Nie czarujmy się, nasze społeczeństwo potrzebuje jeszcze ze stu lat, żeby dotarły do niego pewne oczywiste prawdy, jak ta, że geje i lesbijki mają prawo do swojej seksualności i do jej afiszowania bądź nie, jak każdy inny, i że na przykład komórki macierzyste mogą leczyć i ratować ludzi i warto poświęcić embrion, żeby żyjący już człowiek mógł powrócić do zdrowia bądź uniknąć śmierci.

88

Dopóki byłam zdrowa, opowiadałam się przeciwko komórkom macierzystym, bo uważałam, że konieczne dla ich pozyskania niszczenie embrionów jest niedopuszczalne. Po wypadku, kiedy to moje zdrowie stanęło na szali, dostrzegłam niekonsekwencję swojej postawy: byłam za prawem do przerywania ciąży, a przeciwko komórkom macierzystym. Uświadomiłam też sobie przyczynę

tej niekonsekwencji: niechciana ciąża mogła mi się przytrafić - zdarzało się, że byliśmy z Adrianem tak na siebie napaleni, że zapominaliśmy się zabezpieczyć - poważna choroba czy kalectwo wydawały mi się czymś równie odległym i nierealnym jak śmierć; zdrowemu człowiekowi, który dopiero co przekroczył dwudziestkę, wydaje się, że będzie żył zawsze, a choroby będą się go imały dopiero po siedemdziesiątce, co - biorąc pod uwagę, że czterdziestolatek jest dla niego zgrzybiałym starcem - oznacza nierealną przyszłość.

Dziękuję tłumaczowi, pytam go, czy mam mu coś zapłacić.

- Ależ skąd! - oburza się. - Przecież nic pani nie przetłumaczyłem. Gdyby okazało się, że nie mam racji i rzeczywiście u nas nie zrobią pani tego zabiegu, to wtedy proszę się zgłosić, poszukamy w Danii. Ale jestem pewien, że mam rację i załatwi to pani w Polsce. W każdym razie życzę powodzenia.

Jeszcze raz dziękuję i klikam w czerwoną ikonkę przedstawiającą położoną słuchawkę. Koniec połączenia.

Chcę od razu poszukać kliniki we Wrocławiu, ale czuję doskwierający głód. Przypominam sobie, że nic jeszcze tego ranka nie jadłam. Postanawiam ostatecznie przemyśleć rzecz przy śniadaniu.

Jedząc tosty z białym serem i miodem, dochodzę do wniosku, że nie mam o czym myśleć, bo jestem zdecydowana. Poza tym myśleniu nie sprzyja jamniczka, która

znowu rozszczełała się za oknem (w kuchni zostawiłam otwarte).

Zamiast zamknąć okno, schodzę na dół, żeby ją przepędzić. Niestety, nie pomyślałam o żadnych narzędziach do przeganiania - zresztą co to miałyby być? Najskuteczniejszy byłby straszak, ale nie mam - a na komendę „wynoś się” jamniczka nie reaguje. Tyle że ucichła. Przysiadła i patrzy na mnie.

- No i co się gapisz? Zabieraj się stąd!

Wychylam się z wózka i podnoszę z ziemi kamień. Przez chwilę ważę go w dłoni, potem rzucam, celując tak, żeby nie trafił w jamniczkę, ale przeleciał możliwie blisko niej. Jamniczka reaguje ogłuszającym skowytom, chociaż widzę wyraźnie, że trafiłam, to znaczy nie w nią, tylko tam gdzie chciałam. Odskakuje, zahacza wózkiem o wystającą kostkę chodnikową i przewraca się. Robi mi się jej żal. Podchodzę do niej. Jamniczka leży na ziemi, ale nie próbuje wstać.

Zaniepokojona biorę ją na ręce.

- Coś ci się stało? Pokaż.

Obmacuję ją, chociaż nie bardzo wiem po co, nie jestem weterynarzem, na studiach uczyłam się wprawdzie anatomii, ale ludzkiej, nie psiej, nie zorientuję się, czy coś jej się stało. W każdym razie z braku jakiejś gwałtownej reakcji mogę wnioskować, że nic ją nie boli. Podnosi tylko łeb i patrzy na mnie dużymi czarnymi oczami. W których dostrzegam prośbę.

- Co? Chcesz, żebym się tobą zaopiekowała? Ale ja nie lubię psów. Poza tym masz już panią.

Jamniczka kładzie mi głowę na kolanach, jakby chciała mi powiedzieć, że w tej ostatniej kwestii się mylę. Może właścicielka umarła i pies został sam. Albo dzieci właścicielki uznały, że kaleki pies to za dużo zachodu i wyrzuciły go za drzwi. Głaszczę ją po szorstkiej sierści. W tej chwili czuję, że muszę być z nią solidarna.

90

- No dobrze, na razie możesz zostać u mnie. Ale nie na stałe, tylko na jakiś czas.

Wracam do dźwigu, zastanawiając się, jakie nadać jej imię. Jakie mogła mieć. Kiedy dochodzę do wniosku, że starego nie odgadnę, decyduję się na „Fasolka”. Bo jamniczka jest taka podłużna, poza tym podoba mi się, że będzie miała imię na kolejną literę alfabetu w stosunku do mojego.

- Edyta... Fasolka. - Pokazuję palcem, jakbym nawiązywała kontakt z Aborygenem.

Jamniczka ignoruje mnie, zaciekawiona urządzeniem, które wwozi ją na górę. Ale nie jest przestraszona, że grunt ucieka jej spod nóg i nie usiłuje zeskoczyć.

W mieszkaniu po raz kolejny próbuję nauczyć ją nowego imienia, jednak Fasolka woli najpierw zwiedzić swój nowy dom, choć zapowiedziałam jej, że jest tylko tymczasowy. Obwąchuje wszystkie kąty, obawiam się nawet, że szuka miejsca do sikania, ale okazuje się, że do leżenia. Decyduje

się na przedpokój i wyraźnie zadowolona wyciąga się pod ścianą. Zastanawiam się, czy nie powinnam dać jej jakieś podkładki, koca albo czegoś w tym rodzaju. Nie wiem, czego potrzebuje pies, bo nigdy go nie miałam. Wyszukuję w szafie stary kocyk i podkładam go pod Fasolkę, bo ta nie chce odejść ze swojego miejsca. Dopiero kiedy udaje mi się wsunąć pod nią kocyk, zrywa się, odciąga go na bok i kładzie się z powrotem.

- Aha, wolisz leżeć na gołej podłodze. Proszę bardzo.

Spanie ma, teraz jedzenie i picie. Idę do kuchni po jakąś miseczkę, ale nie mam żadnych starych, muszę poświęcić jedną z używanego kompletu. Wybieram czerwoną, nalewam do niej wody z kranu, po namyśle wylewam wodę do zlewu i nalewam niegazowanej mineralnej. Stawiam miseczkę z wodą koło Fasolki, która od razu do niej sięga i chlepcze. Musiała być bardzo spragniona.

91

Picie to proste, wiadomo, woda, ale co taki pies jada?

Przypominam sobie reklamy karmy dla psów z telewizji.

Pedigri pal czy jakoś tak. Nie mam, musiałabym zejść do sklepu i kupić, ale chyba obito mi się o uszy, że nie każdy pies chce to jeść, tylko taki, który dostawał tę karmę od małego. Wracam do kuchni i przeglądám zasoby lodówki, zastanawiając się, co można Fasolce podać. Decyduję się zanieść jej parówkę. Fasolka spogląda na nią podejrzliwie, obwąchuje, ale nie rusza. Nie jest głodna? Rzeczywiście wychowała się na suchej karmie? A może nie odpowiada jej, że parówka

jest drobiowa, a nie wieprzowa? Ot i problem. Gorzej niż z dzieckiem, dziecko przynajmniej powie, co chce.

Dziecko! Czemu ja zajmuję się psem, a nie swoim macierzyństwem? Zostawiam Fasolkę, na wyposzczoną nie wygląda, więc z głodu na razie nie umrze, o jej jadłospis będę martwiła się później, i wracam do komputera. Szukam wrocławskiej kliniki leczenia niepłodności. Znajduję InviMed, który mieści się przy Bulwarze Iłkara. Daleko, bo to na drugim końcu miasta, ale zawsze bliżej niż do Danii.

Dzwonię tam i wyłuszczam swoją sprawę.

- Wszystko musi omówić pani z lekarzem. Mogę panią zarejestrować do doktora Wojciechowskiego - informuje mnie nieco oschłym głosem rejestratorka.

Chcę zaprotestować, że wołałabym wcześniej się dowiedzieć, czy klinika wykona mi zabieg, a nie jeździć, żeby na miejscu usłyszeć odmowę, a pewnie skasują mnie za wizytę.

- A ile kosztuje wizyta?

- Pierwsza sto złotych, jeżeli oczywiście zapadnie decyzja o podjęciu leczenia.

Już chcę powiedzieć, że się zastanowię i odłożyć słuchawkę, bo dodatkowo zniechęca mnie oschły głos rejestratorki, kiedy dociera do mnie, że jeśli będę zrażała się takimi drobnostkami, jak konieczność przejechania może

92

na próżno przez miasto czy zły humor podrzędnych pracowników kliniki, to nigdy nie zrealizuję swojego marzenia.

A przecież żeby mieć dziecko, gotowa byłabym pojechać nie tylko na drugi koniec Wrocławia, ale i na drugi koniec świata.

- To proszę mnie zarejestrować.

- Czy może być na pojutrze? Na godzinę czternastą.

- Może być.

- Pani nazwisko?

Podaję wszystkie swoje dane i odkładam słuchawkę.

Jestem rozemocjonowana. Nie zatrzymałam się na etapie, co powinnam zrobić, a tak nieraz mi się przecież zdarzało, tylko podjęłam konkretne działania. Na razie zepchnęłam zaledwie pierwszy kamyczek, ale za nim powinna pójść lawina. A wtedy będę mamą!

*

- O, masz psa!

Okrzyk cioci Małgosi nie jest wyrazem zachwyty, tylko niemal obrzydzenia. Widać niechęć do psów jest u nas rodzinna. A przynajmniej była, bo ja znalazłam się już po drugiej stronie barykady. Fasolka przez pół roku całkowicie mnie zawojowała. Co przyszło jej o tyle łatwo, że dopiero swoją obecnością uświadomiła mi, jak bardzo byłam przygnieciona pustką mieszkania, a jednocześnie nieco ulżyła temu ciężarowi. Pewnie, że pies nie zastąpi dziecka ani męża, ale ktoś, kto nie przesiedział trzech i pół roku w pustym mieszkaniu, nie zrozumie, co znaczy móc odezwać się do żywego stworzenia, choćby to był tylko pies, a nie do ściany, czy zasnąć, czując jego ciepło. Bo okazało

się, że miejsce w przedpokoju Faselka obrała do leżenia tylko w dzień, natomiast na noc bezceremonialnie pakowała mi się do łóżka. Mimo wózka próbowała na nie wskakiwać, aż serce mi się krajało na te jej uporczywe próby i brałam 93

ją do siebie, uprzedzając, że tylko na trochę. Nic sobie jednak z tych zapowiedzi nie robiła i potem nie dawała się już wygonić. Na szczęście, muszę powiedzieć, bo przyjemnie zasypiać, wtulając twarz w jej szorstką sierść.

- To suczka. Faselka.

- Nie gryzie? - Ciocię mniej interesuje płęć i imię Faselki, bardziej jej zęby.

- Gryzie, ale jej ślina ma właściwości lecznicze, więc rana szybko się goi.

Ciocia Małgosia cofa się przestraszona za próg, jakby uznała, że odwiedzenie siostrzenicy nie jest warte takiego ryzyka.

- Żartowałam - uspokajam ją. - Oczywiście, że nie gryzie.

Wchodźcie.

Ciocia jest ze swoim maminsynkiem, a moim kuzynem, Dareczkiem, który pyta:

- Czemu trzymasz kalekiego psa? Powinnaś wziąć sobie zdrowego, a tego dać do uśpienia.

- A może ja też powinnam pójść do uśpienia?

- Czemu? - Dareczek nadal nie dostrzega swojego nie-taktu. - Przecież to coś innego.

Obserwując jego chudą sylwetkę, żabie oczka w końskiej

twarży, nastroszone blond włosy, sposób poruszania się, jakby miał kończyny obwieszane dziesięciokilogramowymi ciężarkami albo właśnie wydobywał się z beczki ze smołą, stwierdzam - nie po raz pierwszy - że ciocia Małgosia trzydzieści jeden lat temu musiała mieć romans albo pozwoliła sobie na skok w bok. Do tego stopnia Darek zarówno z wyglądu, jak i charakteru jest niepodobny do swego ojca. Wujek jest korpulentnym brunetem, energicznym i zaradnym. Całe szczęście, że dzieci mają geny też po dziadkach, bo inaczej musiałyby rozwieść się z ciocią Małgosią. Zresztą nie tylko on, czytałam, że cztery procent mężczyzn wychowuje nie swoje dzieci.

94

- Dokładnie to samo. Jak ktoś jest sparaliżowany, to nie ma prawa do życia?

Dareczek jest wyraźnie zaskoczony moją reakcją, ale nie zamierza przyznać, że strzelił gafę i nie ma racji, nigdy się do czegoś takiego nie przyznaje, co jednoznacznie dowodzi, że jest narodowości polskiej i krewnym mojej matki.

- Pies to nie ktoś, tylko coś, a robienie wózka inwalidzkiego dla psa to cudowanie, dawniej się po prostu chore zwierzę usypiało.

- Co to za argument, co było dawniej? - oburzam się.

- Społeczeństwo się rozwija i pewne rzeczy dostrzega. Jak choćby właśnie tę, że zwierzę nie jest rzeczą.

- Nie mówię, że rzeczą, tylko że pies to jest coś. Według

zasad języka polskiego. - Dareczek uznał, że bezpieczniej uciec w semantyczne dzielenie włosa na czworo.

- Według zasad języka polskiego to ty jesteś idiotą! - zaperzam się.

- Nie kłóćcie się. - Ciocia Małgosia postanawia zaprowadzić rozejm. - Darek chciał tylko wyrazić obawę, czy poddasz opiece nad takim psem, bo na pewno wymaga to więcej wysiłku niż przy zdrowym.

- Akurat. - Nie przyjmuję tej jawnie fałszywej interpretacji do wiadomości, ale ponieważ Darek korzysta z furtki otwartej mu przez ciotkę, mówiąc „właśnie”, uznaję to za przeprosiny i nie ciągnę dyskusji.

Jestem zaskoczona ich wizytą. Niby to rodzina, ale odkąd przeprowadziłam się na Sępolno, ciocię Małgosię i Darka widywałam właściwie tylko podczas rodzinnych imprez.

Ciocia Małgosia odwiedziła mnie po wypadku może ze dwadzieścia razy, Darek nigdy, nad czym bynajmniej nie boję się. Nie przepadam za moim kuzynem i nie rozumiem, dlaczego więzy krwi, na które nie mamy wpływu, uznaje się za ważniejsze od świadomie nawiązywanych przyjaźni.

95

- Czego się napijecie? - Wprowadzam ich do pokoju i zapraszam gestem, żeby usiedli.

- Dla mnie cola. - Darek zajmuje miejsce na kanapie, przez dwie sekundy utrzymuje wyprostowaną pozycję, po czym osuwa się, jakby właśnie wrócił śmiertelnie zmęczony z podwójnej szycoty w kopalni.

- Nie mam coli. Niezdrowa jest. Mam sok pomarańczowy.

- To może być fanta.

- Fanty też nie mam ani żadnych innych sztucznych napojów. - Zastanawiam się, jakim cudem Dareczek skończył studia. Chyba na tym jego kulturoznawstwie za wiele nie wymagali.

Dareczek spogląda nieszczęśliwy na ciocię Małgosię, jakby oczekiwał, że ta nakrzyczy na mnie, że nie przygotowałam się odpowiednio na jego wizytę.

- Napijesz się herbaty, colę dostaniesz w domu. Ale ja zrobię... - podnosi się.

- Niech ciocia siada, herbaty nie robi się nogami, doskonale jestem w stanie nastawić wodę i zalać herbatę wrzątkiem, a nawet wam ją podać. - Treść, a jeszcze bardziej ton mojej wypowiedzi sprawia, że ciocia Małgosia przywiera swoją dość szeroką pupą do kanapy. Mam wrażenie, że nie odważy się jej oderwać już do końca wizyty.

- Dla cioci też herbata? - dopytuję.

- Poproszę.

Przygotowuję i serwuję herbatę. Podsuwam cioci cukierniczkę, ale ta kręci przecząco głową.

- Dziękuję, nie słodzę. Muszę dbać o linię, a że słodczy nie jestem w stanie sobie odmówić, zrezygnowałam ze słodzenia herbaty. Nawet łatwo mi to przyszło.

- He, he, ludzie dzielą się na inteligentnych i na tych,

co słodzą - przypomniał się Darkowi dowcip. Na takie

96

dictum cofam rękę z cukierniczką i odstawiam ją na bok,
bo ja też nie słodzę.

- Co robisz? Żałujesz mi cukru? - Darek sięga po cukierniczkę i wysypuje do swojej filiżanki trzy kopiaste łyżeczki.

Niemożliwe, żeby skończył studia o własnych siłach.

Wujek musiał przekupić egzaminatorów. Albo po prostu kupić mu dyplom. No właśnie, nigdy dyplomu Darka nie widziałam, może wcale go nie ma. Wyleciał ze studiów, a rodzice się wstydzą i opowiadają, że Darek ma wyższe wykształcenie. Wiedzą, że i tak nikt tego nie sprawdzi, dopóki ich synek nie będzie kandydował na prezydenta, a to mu naprawdę nie grozi. A jeśli wbrew wszelkim oczekiwaniom stałoby się inaczej, to Dareczek zawsze będzie mógł się tłumaczyć, że był przekonany, że ma wyższe wykształcenie.

Po prostu osoba, która miała załatwić mu dyplom, zawałiła sprawę, a on nie dopilnował, bo akurat wtedy dyplom nie był mu do niczego potrzebny.

- Co u ciebie słychać? - pyta ciocia Małgosia.

- Nic nowego, a u was?

Tym pytaniem stwarzam jej okazję do przedłożenia sprawy, z którą przyszła. Bo nie mam wątpliwości, że nie odwiedziła mnie bezinteresownie. Nie z Dareczkiem za rączkę.

- No właśnie, widzisz, Darek postanowił otworzyć działalność gospodarczą...

Akurat. Jedyne postanowienie, jakie Darek jest w stanie powziąć, to czy będzie oglądał „Tekszańską masakrę piłą mechaniczną”, czy pójdzie z kolegami na piwo. Ciocia musiała uznać, że po etatowych niepowodzeniach szansą dla Darka jest własna firma. Naiwność czy brak wyjścia? Matki nieudaczników zazwyczaj nie przyjmują do wiadomości, że ich syn wyrósł na nieudacznika, zwłaszcza że często jest to efekt ich wychowania. Ale ciocią może powodować desperacja. Wujek odmówił Darkowi synekury

97

w swojej firmie, nie wiem, czy nie chce pomóc mu z zasady, uważając, że dorosły mężczyzna powinien radzić sobie sam, czy dlatego, że podejrzewa, że Darek nie jest jego synem.

- ...etat mu nie leży, nie umie efektywnie pracować, mając kogoś nad sobą, a teraz jest dobra koniunktura, najlepszy czas, żeby wystartować z czymś własnym, można dostać dofinansowanie z Unii, przez pierwsze dwa lata płaci się obniżony ZUS...

Na wzmiankę o ZUS-ie zgrzytam zębami. Ja co prawda jako rencistka nie płacę ZUS-u, inaczej nie byłabym w stanie prowadzić własnej działalności przy zbójczej składce ubezpieczeniowej, którą trzeba płacić bez względu na to, czy ma się przychód czy nie, i której wysokość nie uwzględnia, że działalność może być na małą skalę, ale z racji tego, że zarabiam, ZUS zabrał mi rentę. Państwo karze mnie za to, że nie chcę siedzieć u niego na garnuszku

i zabiera mi pieniądze, które mogłabym przeznaczyć na rehabilitację. Środki są potrzebne na wypłaty dla „zdrowych rencistów”, tych, co potrafili załatwić sobie lewą rentę.

- A jaki miałby być profil tej działalności?

Spoglądam na przyszłego biznesmena, zaabsorbowanego skomplikowaną czynnością, jaką jest picie gorącej herbaty: właśnie poparzył sobie język, więc wpadł na pomysł, że będzie pił z łyżeczki, bo herbata w drodze od szklanki do ust zdąży ostygnąć.

- Myśleliśmy... to znaczy, Darek myślał - ciocia wygładza włosy, zdenerwowana, że wymusnęło się jej, czyj to naprawdę pomysł - o sklepie internetowym. Nie wymaga większych nakładów, nie trzeba kupować towaru, można brać z hurtowni dopiero po zamówieniu przez klienta, a coraz więcej ludzi ma dostęp do Internetu i wszystkie prognozy wskazują, że handel internetowy będzie się rozwijał.

98

- A co ten sklep miałby sprzedawać? - Celowo nie pytam, co Darek miałby sprzedawać. Osobiście mam wątpliwości, czy wie, gdzie znajduje się poczta, z której mógłby wysłać klientom towar. Nie mówiąc o tym, że musiałby poradzić sobie z wypełnieniem dwóch druczków, żeby wysłać paczkę za pobraniem.

- Darek jeszcze się nie zdecydował, ogłosił rodzinną burzę mózgów. Włodek - Włodek to mój wujek - proponuje części samochodowe, ja książki i muzykę. Czytałam,

że to najchętniej ludzie kupują przez Internet, bo książkę czy płytę niekoniecznie trzeba wziąć do ręki przed zakupem w przeciwieństwie do na przykład takich ubrań... Może ty podsuniesz mu jakiś pomysł?

- Najlepiej sprzedają się seks, broń i narkotyki.

Cioci zapiera dech ze zdumienia, natomiast Darek na słowo „seks” traci zainteresowanie herbatą i podnosi głowę.

- Handel bronią i narkotykami jest nielegalny, więc może sex shop?

Bawią mnie miny obojga: nieszczęśliwa cioci Małgosi, która nie wie, czy ma potraktować moje słowa jako żart, czy z całą powagą, i obleśna Dareczka. Już widzę, jak udałoby mu się poprowadzić sex shop, zaonanzowałby się na śmierć, wprowadzając filmy i świerszczyki do oferty.

- Sex shop, pasuje mi - oświadcza mój kuzyn. - Praca powinna być dla człowieka nie tylko źródłem zarobku, ale i przyjemności.

Z wyrazu twarzy cioci odczytuję „po moim trupie”, protest, którego nie wygłasza głośno, żeby nie zniszczyć pieczołowicie budowanej legendy, jakoby biznes był inicjatywą Dareczka i w jego gestii leżały wszelkie związane z tym decyzje. Tymczasem Dareczek zaskakuje nas merytorycznymi argumentami za sex shopem:

- Ludzie potrzebują seksu jak jedzenia, a nawet bardziej, więc to zawsze będzie dochodowy biznes. W takich Stanach

99

na przykład dochody branży erotycznej nie spadają nawet

w okresach recesji.

Ciekawe, skąd on to wie.

- A nie lepiej otworzyć agencję towarzyską? - podpuszczam go. - Praca z pięknymi, łatwymi kobietami...

Darkowi świecą się oczy, ale ciocia postanawia przeciąć te zmierzające w niepożądanym kierunku rozważania:

- To jeszcze jest do rozpatrzenia, nie przyszliśmy tu, żeby ustalać asortyment, tylko miałeś do Edytki prośbę.

Ciocia spogląda na Darka, rozkazując mu wzrokiem, żeby sam zabrał głos i przynajmniej stworzył pozory, że to on zakłada firmę.

- No bo tego... - zaczyna Dareczek niezbyt składnie.

- Czy księgowość byś mi poprowadziła? Niby gratis... na początek... potem... to znaczy jak firma się rozkręci... zapłacę więcej.

Aha, czyli jest aż tak źle. Wujek Włodek nie tylko nie chce zatrudnić Dareczka w swojej firmie, ale też nie zamierza pomóc mu finansowo w założeniu własnej.

I słusznie, nie trzeba być ani prorokiem, ani profesorem ekonomii, żeby przewidzieć, że to wyrzucone pieniądze.

Bodajże połowa zakładanych firm nie przeżywa pierwszego roku, mimo że ich właściciele pewnie nie są takimi ciamajdami jak Dareczek.

- Bo tego... - ciągnie mój kuzyn - sam nie dam rady, za dużo przepisów, stale się zmieniają...

Tu akurat ma rację. Przy takim gąszczu skomplikowanych i często ze sobą sprzecznych przepisów, przy których na dodatek ciągle się majstruje, i przy tej masie papierków, o których trzeba pamiętać, na samodzielne prowadzenie księgowości może się zdecydować tylko ktoś, kto z góry zakłada, że nigdy nie zawita do niego

100

; '

kontrola. Bo nie ma siły, żeby nie będąc zawodowym księgowym, gdzieś się nie rąbnąć, a każdą pomyłkę urząd skarbowy traktuje jak świadome oszustwo podatkowe. Mimo to nie bardzo mam ochotę prowadzić Darkowi księgowość. Z jakiego tytułu ja mam pracować dla niego za darmo, skoro własny ojciec nie chce dać mu kasy na rozkręcenie firmy? W to późniejsze wyższe honorarium oczywiście nie wierzę, jak jego firma przetrwa pół roku, to będzie dobrze, a ja tylko będę miała dodatkową robotę z jej zamykaniem.

- Nie chodzi o pieniądze, chętnie bym ci pomogła, ale w tej chwili mam tylu zleceniodawców, że jeszcze jednego nie wcisnę - wymawiam się. - A jak ciocia sama zauważyła, obecnie jest koniunktura, przez co każdy przynosi mi więcej faktur niż normalnie i po prostu się nie wyrabiam. Już nawet rozważałam, że będę musiała z jakiegoś klienta zrezygnować - kłamię w żywe oczy - choć oczywiście się przed tym bronię, bo to źle wpływa na reputację, a poza tym koniunktura nie będzie trwała

wiecznie, a w gorszych czasach każdy klient jest na wagę złota.

- Szkoda.

Z ciotki emanuje jednak nie zmartwienie, tylko niezadowolony, z czego wnioskuję, że przejrzała moje kłamstwo, ale była na nie przygotowana i ma coś w odwodzie. Domyślam się, że moją matkę, którą teraz na mnie naśle, żeby pomogła „kochanemu kuzynowi”. Nie uświadamiam jej, że ten desant z góry skazany jest na niepowodzenie. Kochany kuzyn przyjął natomiast moją odmowę z widoczną ulgą. Najwyraźniej nie ma najmniejszej ochoty na zakładanie firmy i będzie zadowolony z każdej przeskody, która może w końcu zniechęci jego matkę do tego pomysłu.

- Ale gdyby jakiś klient zrezygnował, to dam ci znać.

101

Ta pusta deklaracja wywołuje zaniepokojenie Dareczka, natomiast kuta na cztery nogi ciocia Małgosia nie daje się na nią nabrać, co widzę po jej minie. Ten, z którym zdradziła wujka Włodka, musiał być nieprzeciętnym idiotą.

- No cóż, trudno, nie będziemy zawracać ci głowy...

Pójdziemy...

- Posiedźcie jeszcze, tak rzadko mnie odwiedzacie.

Moja chęć, żeby zostali, jest absolutnie szczerą.

Co prawda ciocia Małgosia i jej maminsynek nie stanowią mojego wymarzonego towarzystwa, ale lepsze takie niż czterech ścian. Jest wprawdzie Fasolka, ale przecież

z nią nie porozmawiam, chociaż nie mam wątpliwości,
że rozumie, co do niej mówię.

Ciocia kiwa głową, że chętnie jeszcze zostanie.

Podobnie jak moja matka nie pracuje - dlatego nie posiada własnych funduszy na sfinansowanie działalności Dareczka - i ma dużo wolnego czasu, a też lubi sobie pogadać. Na szczęście nie mówi aż tyle co moja matka i o wiele skądniej. Bierze się to pewnie stąd, że ukończyła studium nauczycielskie i uczyła geografii w podstawówce, co wymogło na niej pewną dyscyplinę w formułowaniu myśli. Nawet jeśli w szkole najbardziej lubiła, wedle jej własnych słów, przerwy, ploteczki i picie kawy z innymi nauczycielkami, które decydowały się na ten zawód, bo do pracy chodziło się tylko osiemnaście godzin w tygodniu, a jeszcze miało się ferie i wakacje. Niska pensja nie miała znaczenia, skoro na dom zarabiał małżonek. Ciocia zrezygnowała z pracy w szkole, kiedy wprowadzono wymóg, że każdy nauczyciel ma mieć wyższe wykształcenie. Nie chciało się jej uzupełniać.

Darek jest średnio zachwycony, że ma zostać. Pewnie ciocia przywlokła go do mnie, odrywając od jakiejś gry komputerowej, w której kładł trupem wrogów albo wygrywał wyścig Formuły 1. Wraca do picia herbaty

102

łyżeczką, co jest o tyle niezrozumiałe, że herbata zdążyła już wystygnąć, ale może zacięły mu się synapsy i nie przekazały informacji, że znikła przeszkoda do picia

prosto z filiżanki.

- Skąd masz psa? - pyta ciocia.

-Przybłąkała się... - Opowiadam historię spotkań z Fasolką, pomijając oczywiście osobę Adama. Gdybym tego nie zrobiła, dziś wieczorem, a najpóźniej jutro miałabym na karku matkę z jej niezdrową ciekawością: „Co to za kolega cię odwiedzał? Dlaczego nic nie wspomniiałś? Dlaczego przed ciocią Małgosią nie masz tajemnic, tylko przede mną?”.

Fasolka, jakby czując, że o niej mowa, przychodzi do nas z przedpokoju, gdzie dotąd leżała, po powitaniu straciwszy zainteresowanie gośćmi. Przygląda się nam, po czym znenacka wydaje z siebie przeraźliwe szczerkanie. Darek, który nie zarejestrował wejścia Fasolki, zajęty transportowaniem herbaty na łyżeczce, zrywa się przestraszony, oblewając się herbatą.

- Kurwa mać!

- Darek! - Ciocia jest zbulwersowana, że jej Dareczek zna takie słowa.

- Przepraszam, ale ten kundel mnie wystraszył, o mało nie dostałem zawału, i jeszcze to... - pokazuje plamę na spodniach.

- Tylko nie kundel - oburzam się i biorę Fasolkę na kolana. - To rasowa jamniczka.

- Srajniczka.

- Darek, przestań - upomina go ciocia. - Nic się nie stało, spodnie dasz mi do prania, brudnych rzeczy już

się uzbierało, tak że szybko będziesz miał z powrotem
czyste.

To łagodzi gniew Dareczka, osuwa się z powrotem na ka-
napę i przymyka oczy. Zamierza u mnie spać czy jak? Przez
103

następne dwie godziny w ogóle się nie odzywa, kiedy całkiem
przyjemnie rozmawiamy sobie z ciocią Małgosią.

Po ich wyjściu stwierdzam, że mimo wszystko była
to wcale udana wizyta.

*

Siedzę naprzeciwko doktora Wojciechowskiego w jego
skromnie urządzonej gabinecie. Biurko, kozetka, szafka
z lekarstwami, na ścianach plakaty przedstawiające
układ rozrodczy kobiety i obrazujące zapłodnienie
in vitro.

Doktor Wojciechowski jest przygnębiony, ja załamana.
Atmosfera całkowicie odmienna od atmosfery pierwszej
wizyty. Wtedy, w styczniu, ten młody lekarz o wzbudza-
jącym zaufaniu uśmiechu i głębokim głósie po przejrzeniu
dokumentacji z mojego leczenia po wypadku promieniał
optymizmem:

- Oczywiście, że jesteśmy w stanie pani pomóc.

Przepraszam, że przy rejestracji mogła pani odnieść
wrażenie, że jest niemile widziana, ale boimy się dzien-
nikarskich prowokacji. A taką wesz kałamarzową mało
by obeszło, że przez jej artykuł ileś tam samotnych kobiet
nie zrealizuje swego największego życiowego marzenia,

grunt, żeby miała sensacyjny temat. Wie pani, skąd to określenie? Wolter tak nazwał dziennikarzy. Żeby jeszcze pisali z przekonania. Ale jakoś nie mam wątpliwości, że dziennikarka, która napiętnowałaby naszą działalność, pierwsza by chciała skorzystać z naszej pomocy, gdyby znalazła się w pani sytuacji.

Lekarz wyraźnie nie przepadał za przedstawicielami czwartej władzy.

- No właśnie, wracając do pani sytuacji...

Doktor Wojciechowski przesunął ręką po gęstej blond czuprynie, po czym splótł wypielęgnowane palce dłoni i oparł

104

na nich podbródek; nie miałabym nic przeciwko temu, żeby zadeklarował, że zapłodni mnie w sposób naturalny.

- ... nie widzę przeszkód dla sztucznego zapłodnienia.

Inaczej by było, gdyby poruszała się pani na wózku z powodu stwardnienia rozsianego, a to jest niestety najczęstsza przyczyna, że młode kobiety lądują na wózku inwalidzkim. Jest to choroba autoimmunoagresyjna, co wyklucza zostanie matką, a nawet jakby nie wykluczała sama choroba, to na pewno fakt, że nie da się jej zatrzymać i w pewnym momencie kobieta nie byłaby w stanie zajmować się dzieckiem. W pani wypadku stan zdrowia się nie pogorszy, a skoro obecnie jest pani samodzielna, nie widzę przeszkód.

I doktor przedstawił mi szczegóły techniczne. Miałam przejść rutynowe badania - dla pewności, bo nic nie wskazywało na to, że mogę być bezpłodna. Potem dokonano by in-

seminacji: sam zabieg jest prosty, polega na wprowadzeniu specjalnym cewnikiem plemników przez szyjkę do jamy macicy, w zasadzie bezbolesny, zaraz po zabiegu pacjentka wraca do domu. Dawca nasienia będzie dla mnie anonimowy, ale mogę być pewna, że to mężczyzna przynajmniej ze średnim wykształceniem, zdrowy, mający już zdrowe biologiczne dzieci, bo takie są kryteria dla dawców.

Przeszłam rutynowe badania, zgodnie z oczekiwaniami wszystko było w najlepszym porządku, dokonano inseminacji, praktycznie mnie nie bolało, poleżałam piętnaście minut po zabiegu i wróciłam do domu. W ciążę nie zaszłam, ale doktor Wojciechowski uspokoił mnie, że to normalne, większość ciąż jest wynikiem przynajmniej trzech prób. Kiedy po piątej nadal nie było efektu, przeprowadzono kolejne badania, w tym na drożność jajowodów, które wcześniej doktor Wojciechowski uznał za zbędne. Jajowody miałam drożne jak rury w nowym budynku. Abstrahując od tego, że siedziałam na wózku, byłam okazem zdrowia. A każdy podręcznik medycyny

105

wykluczał, by mój rodzaj kalectwa mógł być przyczyną bezpłodności. Mimo to nie zachodziłam w ciążę. To była przyczyna minorowego nastroju prowadzącego mnie lekarza i mojej rozpacz.

- Strasznie mi przykro, pani Edyto. Teoretycznie powinna pani być w ciąży, sęk w tym, że medycyna to nie matematyka, a ludzki organizm to nie maszyna, gdzie dany trybik

powoduje jednoznacznie określone działanie innego. W dziesięciu przypadkach na sto nie jesteśmy w stanie ustalić, co jest przyczyną bezpłodności, pozornie nie ma żadnego defektu, a mimo to... klops.

Cholerna statystyka. Ciekawe, czy jak zapadnę na jakąś chorobę wyleczalną w dziesięciu procentach przypadków, to też się załapię?

- To co, in vitro?

Doktor Wojciechowski wzdycha.

- Szczerze powiedziawszy, ja bym się wstrzymał, przede wszystkim jest to drogi zabieg, jak pani doskonale wie, nierefundowany...

- To bez znaczenia - przerywam mu - wezmę kredyt.

- Nie chodzi o samą cenę, wtedy bym pani nie odradzał, ostatecznie muszę dbać o to, żeby klinika zarobiła na moją pensję - uśmiecha się - ale uważam, że w pani wypadku in vitro jest przedwczesne. Z jakiegoś względu pani organizm broni się przed ciążą, nie wykluczam, że to nastawienie psychiczne...

- Jak to? - Jestem zdumiona. - Niczego bardziej nie pragnę jak tego dziecka.

- Tak, ale może podświadomie chciałyby pani, żeby dziecko było wynikiem miłości, miało kochającego ojca...

Można zapytać, jakie miała pani relacje z ojcem w dzieciństwie?

- Znakomite, byłam ukochaną córeczką tatusia, nic dziwnego, jestem jedynaczką.

- No widzi pani, i może chce pani zapewnić swojemu dziecku to samo. A psychika ma potężny wpływ na nasz organizm, myślę, że jeszcze cały czas nie uświadamiamy sobie, jak potężny. I kto wie, czy pani organizm nie zareaguje wrogo na zagnieżdżony zarodek. Poronienie przy sztucznym zapłodnieniu jest tak samo możliwe jak przy zwykłej ciąży.

- To co? Mam czekać, aż jakiś facet zainteresuje się mną mimo tego? - Ze złością uderzam ręką w wózek. - Czekam już cztery lata.

- Dałbym potencjalnemu kandydatowi jeszcze nieco czasu. W życiu jest trochę jak w meczu piłkarskim. To, że nie było bramki przez osiemdziesiąt dziewięć minut, nie znaczy, że nie padnie w dziewięćdziesiątej. I czasami pada.

- To mnie pan doktor pocieszył - mówię z lekkim sarkazmem.

- Nie proponuję całkowitej rezygnacji ze wspomaganego rozrodu. Zalecałbym tylko trochę odczekać, biorąc pod uwagę okoliczności. I na przykład za pół roku powtórzyć inseminację, jeśli w pani osobistej sytuacji nic się nie zmieni. Moja rada brzmiałaby inaczej, gdyby była pani po trzydziestce, ale pani ma jeszcze czas. Oczywiście, ma pani pełne prawo zignorować moją radę i zdecydować się na in vitro. Albo zasięgnąć opinii innego lekarza.

Moje rozczarowane „ja” krzyczy: „Rób in vitro, co jakiś konował będzie cię odwodził!”, ale moje rozsądne „ja” spogląda w oczy tego konowała. Jest w nich współczucie

i szczerze zapewnienie, że chce dla mnie jak najlepiej. Nie mogę odmówić racji jego argumentom, ale rozczarowanie jest tak ogromne, że rozsądek uzyskuje tylko odroczenie decyzji.

- Muszę to wszystko przemyśleć i dobrze się zastanowić.

-I słusznie. Co nagle, to po diable. I proszę rzeczywiście zasięgnąć opinii innego lekarza, na pewno nie potraktuję

107

tego jako braku zaufania. Jak powiedziałem, medycyna to nie matematyka, a w pani wypadku w ogóle spekulujemy, skoro z badań nic nie wynika.

- Dobrze - mówię machinalnie, choć decyzję o dodatkowej konsultacji też odkładam na później. Naprawdę muszę sobie to przemyśleć.

Wracam do domu taksówką, nie mam siły przechodzić gehenny podróżowania komunikacją miejską. Raz mogę sobie pozwolić na zbytek. Niewidomy, który mieszka w sąsiedniej bramie, jeździ taksówką codziennie. Ciekawe, skąd na to ma.

Stoimy na światłach na placu 1 Maja. To znaczy obecnie Jana Pawła II. Wciąż nie mogę przyzwycząić się do nowej nazwy. Patrzę na ludzi czekających na przystanku tramwajowym, mój wzrok przyciąga kobieta z dwójką dzieci, chłopcem i dziewczynką, które trzyma za ręce. Chłopiec, około ośmioletni, odwrócił się w stronę jezdni i przez pręty balustrady patrzy na samochody. Mówi coś do mamy, poka-

zując jeden z nich. Ta odwraca się i potakuje głową. Może synek prawidłowo rozpoznał markę albo powiedział, że tata ma taki sam model. Dziewczynka, trochę starsza, niecierpliwie wypatruje tramwaju. Ciągnie mamę za rękę, pewnie pyta, kiedy przyjedzie.

Światła zmieniają się na zielone, ale kierowca przed nami się zagapił. Zniecierpliwiony taksówkarz krótko naciska klakson. Niebieska fabia rusza i pociąga za sobą sznur samochodów w ulicę Ruską.

Myślę o kobiecie z przystanku. Czy docenia, jakie szczęście ją spotkało, że ma dwójkę zdrowych dzieci? Że może chodzić na własnych nogach? Dlaczego Bóg jest niesprawiedliwy? Dlaczego jednym daje wszystko, a drugim wszystko zabiera? Czy nie wystarczyło mu, że jestem kaleką, musiał jeszcze zrobić mnie bezpłodną?

108

Taksówka znowu się zatrzymuje, tym razem w korku, na wuzetce panuje popołudniowy tłok, ludzie wracają z pracy. Patrzą na przechodniów, mój wzrok wychwytuje w tłumie kobiety z dziećmi. Czy ja jestem jeszcze kobietą? Czy jakąś bezpłciową formą życia? Nikomu niepotrzebną, zbędną.

Czuję, że zaraz się rozplączę, a nie chcę płakać przy taksówkarzu. Staram się oderwać od swoich myśli i skupić się na trasie przejazdu. Bardziej na budynkach niż ludziach, a wśród ludzi widzieć też starych, brzydkich, kalekich, takich, którzy podobnie jak ja nie mają za co dziękować

Bogu i losowi. Udaje mi się to na tyle, że przynajmniej nie wybucham płaczem.

Na miejscu taksówkarz pomaga mi wysiąść i usadowić się na wózku. Narzeka, że koła wózka pobrudziły mu bagażnik, ale puszczam to mimo uszu. Nie moja wina, że nie pomyślał, żeby coś podłożyć.

Kiedy wchodzę do domu przez okno, Faselka jak zwykle przybiega i radośnie szczeka. Pochylam się i głaszczę ją.

- Niestety, nie mamy powodów do radości...

Biorę ją na ręce.

- Może ty mi powiesz, co mam zrobić?

Szczeka i usiłuje polizać mnie po twarzy.

- Tak, sama muszę podjąć decyzję.

Nie powiedziałam nic Aldonie o moich próbach zajścia w ciążę, tym bardziej rodzicom. Pewne życiowe przedsięwzięcia trzeba przeprowadzić samemu i nie da się o nich opowiedzieć najbliższym, nawet przyjaciółom ani rodzinie.

Wpatruję się w pustą ścianę, jakbym spodziewała się, że Bóg wypisze mi na niej ognistymi literami radę. Ale nic się nie dzieje. Niektóre decyzje trzeba podjąć też bez udziału Boga. Zestawiam Faselkę na podłogę, podchodzę do regału i wyciągam album ze zdjęciami. Ten najstarszy, ze zdjęciami z mojego dzieciństwa.

109

Otwieram na chybił trafił. Uśmiechnięta dziewczynka z zawadiacko przechylonym kapelusikiem siedzi na kucyku.

To ja na wycieczce w zoo. Pamiętam, że bałam się tego

kucyka, ale tata zapewnił mnie, że jak on mnie na niego posadzi, będę całkowicie bezpieczna. To mnie oczywiście uspokoiło. Kiedy ma się pięć lat, wystarczy zaufać tacie i świat staje się bezpieczny.

Kolejne zdjęcie. Tata trzyma mnie na barana, żebym mogła zobaczyć niedźwiedzie. Misie, bo wtedy oczywiście były to dla mnie misie. Krewni mojego pluszowego Barnaby. Przewracam stronę albumu. Tata leży na podłodze, trzyma mnie na wyciągniętych rękach i obraca w powietrzu, a ja zanoszę się śmiechem. Nic jeszcze nie wiem o wypadku, o Adrianie, o Adamie, o tym, że sama nie będę mogła mieć dzieci. Pewnie nawet jeszcze nie zdaję sobie sprawy, że mam kopniętą matkę. Dlaczego ze szczęśliwych dzieci wyrastają nieszczęśliwi ludzie? Kiedy odkryłam, że czekający na mnie świat nie będzie równie przytulny jak rodzinny dom? Gdy poszłam do szkoły? Patrzę na zdjęcie ze szkolnej inauguracji, klasa I „a” w galowych strojach, białe bluzki, granatowe spódniczki, białe podkolanówki. Tylko jedna dziewczynka jest w żółtych. Pamiętam, że inni ją wyśmiewali, zaczęli przezywać „Żółtaczka”, a ja stanęłam w jej obronie. Nie od razu; dopiero gdy opowiedziałam całą sytuację w domu i tata powiedział, że to bardzo nieładnie naśmiewać się z koleżanki dlatego, że jest inaczej ubrana. Następnego dnia, kiedy jeden z chłopców odezwał się do Oli - tak miała na imię - per „Żółtaczka”, przytoczyłam opinię taty i kategorycznie zabroniłam mu dalej przezywać Olę. Ponieważ autorytet mojego taty do niego nie przemówił, rozkwaśiłam mu nos.

Ola była mi bardzo wdzięczna za pomoc, zaprzyjaźniłyśmy się. Zapytałam ją o te żółte podkolanówki.

- Miałam tylko takie, a mama nie miała pieniędzy, żeby kupić mi białe.

110

- A tata nie mógł ci kupić?

Z własnego doświadczenia wiedziałam, że jeśli mama odmawia kupienia czegoś, należy zwrócić się do taty.

- Ja nie mam taty.

- Jak to nie masz taty?!

Członek sekty, który uświadamia sobie, że jego guru jest cwaniakiem i zwykłym oszustem, a jego wiara humbugiem, doznaje nieporównywalnie mniejszego szoku niż ja po tym oświadczeniu Oli. Jeden z filarów mojego świata runął, dotąd byłam święcie przekonana, że każda dziewczynka ma tatę.

Nie wiem dlaczego, ale nie uważałam tego za konieczne w wypadku chłopców.

- Mój tata umarł.

- Jak to umarł?

- No... zachorował i umarł.

- Ale dlaczego? - Wizja, że mój tata umiera, przepełniła mnie panicznym strachem, musiałam natychmiast ustalić przyczynę, żeby upewnić się, że nic podobnego mu nie grozi.

Ola rozdziawiła buzię, moje pytanie przerastało potencjał najtęższych filozoficznych głów, a co dopiero kilkuletniej dziewczynki.

Do domu wróciłam z płaczem, tata musiał mi przysiąc,

że nie umrze, a i tak przez dwa dni nie pozwoliłam się pośłać do szkoły, bo musiałam mieć go na oku i pilnować, żeby nic mu się nie stało.

Oli było mi strasznie żal; kiedy mi się zwierzyła, że jej największym marzeniem byłoby pójście z tatą w niedzielę do zoo, żeby wszyscy widzieli, że ma tatę, postanowiłam jej wypożyczyć mojego. Pomysł był dziecięco naiwny, ale do dziś uważam, że wcale nie taki zły. Wypożyczenie taty mogło doprowadzić do tego, że poznałby mamę Oli, może by sobie przypadli do gustu... Oczywiście wówczas o takim rozwoju wypadków nie myślałam, dopiero później dostrzegłam atrakcyjność tego scenariusza.

111

Nieopatrznie o swoim pomysle najpierw powiedziałam Oli, a dopiero potem skonfrontowałam z nim tatę. Moje rozczarowanie, że tak się nie da zrobić, było niczym w porównaniu z rozczarowaniem Oli. Stała przede mną, z całej siły powstrzymując się od płaczu i międląc rąbek fartuszka.

- Obiecałaś - powiedziała to tak cicho, że nie było w tym cienia pretensji, tylko jeden wielki zawód.

- Mój tata powiedział, że jak twoja mama pozwoli, to możesz pójść z nami, ja się wtedy gdzieś schowam i ludzie pomyślą, że to twój tata - próbowałam ratować sytuację.

- To nie to samo.

-Nie.

Zamykam album. Może doktor Wojciechowski ma rację, może rzeczywiście chcę, żeby moje dziecko miało tak samo

szczęśliwe dzieciństwo jak ja, chcę mu oszczędzić takich rozczarowań, jakie przeżywała Ola. I przecież nie jestem odosobniona, tym samym w znacznej mierze kierowała się Aldona, decydując się wyjść za Mariusza, taką samą motywację miał Adam, nie chcąc odejść od swojej rodziny.

Co powiem swojemu dziecku, kiedy mnie zapyta, kim jest jego tata i gdzie się podział? Że to dawca numer taki a taki? Przecież to gorsze niż zmarły ojciec, po którym zostają jakieś wspomnienia, zdjęcia, opowieści mamy.

Matka na wózkach, ojciec nieznany, dziecko spłodzone w wyniku masturbacji do pojemniczka i wprowadzenia nasienia za pomocą cewnika. Czy będę się mogła dziwić, jeśli będzie miało skrzywioną psychikę? Mając naście lat sięgnie po narkotyki? Ale przecież będę kochającą matką, a ono nie będzie ani pierwszym dzieckiem z próbówki, ani pierwszym wychowywanym przez samotną matkę. Tylko na ile moja miłość wystarczy? Nie wszystko da się nią wynagrodzić. Mama Oli bardzo ją kochała, a mimo to Ola nie była szczęśliwa. A większość dzieci z próbówki ma jednak oboje rodziców. Czy moje pragnienie dziecka

112

nie jest przejawem egoizmu? I w głębi duszy o tym wiem i dlatego mój organizm protestuje?

Wzdycham głęboko. Dlaczego nie mam charakteru kobiety, która rodzi dzieci jedno po drugim i w ogóle nie zawraca sobie głowy tym, jakie warunki może im zapewnić i co z nich wyrosnie? Dlaczego nie jestem tępą, bezrefleksyjną krową,

która wydała kolejne dzieci, nie przerywając przeżuwania trawy? Boże, ześlij na mnie łaskę niemyślenia, kierowania się wyłącznie instynktem, przecież innym ją dałeś. I oni są szczęśliwi, nie mają wyrzutów sumienia, nawet jeśli unieszczęśliwiają własne dzieci.

Podejmowanie decyzji nie jest moją najmocniejszą stroną.

Aldona jest jeszcze gorsza. Pamiętam, jak krótko po zawarciu znajomości szliśmy na imieniny i wstąpiliśmy do kwiaciarni, żeby kupić kwiaty dla solenizantki. Kwestia, jakie i ile, okazała się zbyt trudnym wyborem, każda z nas usiłowała przerwycić decyzję na tę drugą. Tkwiłybyśmy w tej kwiaciarni do dziś, gdybym nie zorientowała się, że Aldona jest jeszcze mniej zdecydowana ode mnie. Paradoksalnie, kiedy już podejmę jakieś postanowienie, realizuję je z żelazną konsekwencją. Ale może właśnie to stanowi przyczynę moich rozterek: wiem, że bardzo niechętnie wycofuję się z raz podjętych decyzji, stąd nie mogą być pochapne.

Odkładanie na później jest najgorszą rzeczą, jaką można zrobić, bo potem zwykle okazuje się, że jest już za późno, ale.... Ostatecznie w dzisiejszych czasach wiele kobiet decyduje się na dziecko po trzydziestce, a nawet dopiero przed czterdziestką, więc doktor Wojciechowski miałby rację, mówiąc, że mam jeszcze czas. Przecież za pół roku będę miała dopiero dwadzieścia sześć lat. Rozsądek podpowiada mi wprawdzie, że moja osobista sytuacja się nie zmieni, ale może podświadomie wciąż mam nadzieję i dlatego moje ciało nie jest gotowe na zapłodnienie w nienaturalny sposób.

Może za pół roku i ono zrozumie, że nie mam innego wyjścia.

113

Chociaż czy nadzieja kiedykolwiek umiera? Czy nie jest tak, że człowiek wierzy wbrew wszystkiemu do końca? E, chyba nie, wtedy ludzie nie popadaliby w depresję, nie popełnialiby samobójstw. Czy jednak aby na pewno? Czy depresja oznacza, że człowiek przestał wierzyć, czy że po prostu nie ma już siły walczyć? Czy samobójczyni nie liczy na to, że silne męskie ramiona powstrzymają ją od skoku z dachu, że schroni się w nich na resztę życia? Czy próba samobójcza nie jest tak naprawdę próbą zdobycia tego, czego nie udało się zdobyć w mniej drastyczny sposób?

Wzdycham jeszcze raz. Nic nie wymyślę. Wołam Fasolkę, która wróciła na swoje legowisko w przedpokoju.

- Chyba posłuchamy doktora Wojciechowskiego - komunikuję jej swoją decyzję czy raczej informuję, że zdaję się na decyzję lekarza - w końcu to fachowiec, powinien wiedzieć, co mówi.

Fasolka patrzy na mnie swoimi mądrymi oczami. Usiłuję znaleźć w nich potwierdzenie, że rozumie i pochwala moją decyzję, po to ją zawołałam. Kiedy dostrzegam to, co chcę dostrzec, mówię:

- Czyli uzgodnione, spróbujemy znowu za pół roku.

*

Oławski kościół wypełniony jest weselnymi gośćmi.

Ponad sto pięćdziesiąt osób zaprosiła Aldona mimo protestów Mariusza, że nie chce hucznego wesela, choćby

z tego względu, że to zbędny wydatek. Uległ argumentowi, że wesele nic ich nie kosztuje, bo płacą jej rodzice - na ten czas udający zgodne małżeństwo - a tych samych pieniędzy nie dadzą im do ręki na urządzenie się, a już na pewno nie na największe marzenie Mariusza: nowiutkiego opla asconę. Za to im więcej gości weselnych, tym więcej prezentów, z czego spora część z pewnością będzie w szeleszczącej gotówce.

114

Stoję za Aldoną - w sensie przenośnym, bo oczywiście siedzę na wózku - obok mnie stoi brat Mariusza, Marek, dziecinnie wyglądający dziewiętnastolatek, bardzo przejęty, że przypadła mu zaszczytna rola druha. Staram się słuchać słów księdza i aktywnie uczestniczyć w mszy, ale w uszach wciąż rozbrzmiewa mi rozmowa, którą podsłuchałam w domu ojca Aldony przed udzieleniem jej błogosławieństwa przez rodziców. Korzystałam z toalety, a w kolejce ustawiły się jakieś dwie ciotki, pewnie przygłuche, bo mówiły tak głośno, że słyszałam każde słowo, choć wołałabym nie słyszeć.

- Widziałaś, że druhna jeździ na wózku inwalidzkim?

- Widziałam, tłumaczyłam Grażynce - tak ma na imię mama Aldony - że to nie wypada, ale nie chciała mnie słuchać, powiedziała, że to najbliższa przyjaciółka Aldonki i że Aldonka decyduje.

- Najbliższa, nie najbliższa, ale głupio wygląda, jak za młodą parą siedzi kaleka. To, rozumiesz, moja droga, się gryzie, tu młodość, zdrowie, płodność, a zaraz za nimi

coś tak schorowanego. Poza tym nie wiadomo, czy jakiegoś nieszczęścia z tego nie będzie, przecież - tu ściszyła głos tak, że słysząc ją było tylko w pobliskiej okolicy, a nie w całej Oławie - widać, że Aldonka jest w ciąży, a wiadomo, że jak ciężarna zapatrzy się na kalekę, to takie samo może się urodzić.

- E tam, zabobony - druga ciotka okazała się bardziej światła. - A nieszczęście to byłoby dopiero, jakby taka na wózku chciała za mąż wychodzić. Syn Bobkowskich wziął sobie za żonę kalekę i ani słuchać nie chciał, że tyle zdrowych dziewczuch za nim oczy wypatruje. Co oni przeżywali, wstyd na całą wioskę, ani wesela wyprawić, tylko ślub chyłkiem.

Wyszłam z łazienki. Bez pośpiechu obejrzałam sobie zaskoczone ciotki. Dwie grube prukwy, którym ich własna nieestetyczna powłoka cielesna nie przeszkadza, bo tłumaczą

115

się, że mają złą przemianę materii, choć najlepsza nie byłaby w stanie zniwelować ton żarcia i słodczy, jakie pochłaniają, ale przeszkadza, że człowiek nie z własnej winy nie może przyjąć postawy stojącej.

-I co? Żle się to małżeństwo synowi Bobkowskich układa?

Ciotki poczerwieniały, po czym, nie odpowiadając, obie schroniły się przede mną w łazience, omal nie zakleszczając się w drzwiach.

Starłam się zrationalizować tę rozmowę. Wytłumaczyć

sobie, że skoro dwadzieścia dwa procent rodziców sprze-
ciwiałoby się, żeby ich dziecko wzięło ślub z niepełno-
sprawnym - na takie wyniki badań natknęłam się w jakiejś
gazecie - to gdzieś ci ludzie muszą być i nie ma nic dziw-
nego w tym, że spotkałam ich właśnie na weselu Aldony.
Tu prawdopodobieństwo było tym większe, że spora część
jej rodziny nadal mieszka na wsi. Staralam się przekonać
siebie samą, że paradoksalnie ta rozmowa powinna napełnić
mnie optymizmem, pokazała bowiem, że są tacy mężczyźni
jak syn Bobkowskich, który nie tylko nie miał nic przeciwko
niepełnosprawnej żonie, ale jeszcze potrafił przeciwstawić
się presji rodziny i środowiska. Tyle że rozum to jedno,
a uczucia drugie i nawet jak człowiek wytłumaczy sobie,
że nie powinno go boleć, boli mimo wszystko.

Zbliża się ten moment nabożeństwa, w którym rozpocznie
się właściwa ceremonia. Drugi wzruszający punkt kulmi-
nacyjny, pierwszym było niewątpliwie błogosławieństwo
rodziców. Nigdy wcześniej takiego błogosławieństwa nie
widziałam i wyobrażałam sobie, że rodzice młodej pary zrobią
znak krzyża i po sprawie. A to był cały rytuał: kościelna
muzyka w salonie z potężnego sprzętu nagłaśniającego,
specjalnie zawieszony obraz przedstawiający Madonnę
z dzieciątkiem Jezus w miejsce normalnie wiszącego ko-
biecego aktu, matka Aldony z krucyfiksem w dłoni, młodzi

116

kłęczący przed nią, rodzice kładący ręce na ich pochylonych
głowach i kreślący krzyż. Muszę powiedzieć, że byłam pod

wrażeniem.

W ogóle ślub Aldony różni się od tych, na których byłam wcześniej, a które sprowadzały się do krótkiej ceremonii w urzędzie stanu cywilnego lub dłuższej w kościele i uroczystego obiadu. Dużo zwyczajów, z jakimi dotąd się nie zetknęłam. Na przykład taka brama. Kiedy wychodziliśmy z domu panny młodej do kościoła, sąsiedzi zatarasowali wyjście, robiąc „bramę”, i pan młody musiał się wykupić butelkami wódki - ich liczba stanowiła właśnie przedmiot negocjacji - żeby zostać przepuszczonym.

Proboszcz rozpoczął przemowę poprzedzającą udzielenie sakramentu. Rozwodzi się, że Aldonę zna od dziecka, że udzielał jej chrztu i pierwszej komunii, że bardzo ceni ją sobie jako parafiankę. To był zresztą jeden z powodów, dla których proboszcz sam chciał udzielić młodym ślubu; drugim było sowite „co łaska” od ojca Aldony. Dyrektor huty Oława nie mógł przecież pozwolić, żeby związek jego córki błogostawił byle wikary.

- Tak, pannę młodą dobrze znam - podkreśla po raz kolejny proboszcz. - Za to pana młodego w ogóle...

Po kościele przebiegają śmiechy.

- ... gdzieś ze wschodniej Polski przyjechał... - mina proboszcza świadczy o tym, że ma wątpliwości, czy Mariusz aby na pewno jest prawdziwym katolikiem, a nie na przykład unitą - ale to musi być porządny człowiek, skoro zaskarbił sobie względy tak wspaniałej kobiety. Zresztą jeśli nie...

W kościele czuć narastającą panikę, co też proboszcz

znowu palnie, jaką sankcję wymyśli dla Mariusza, jeśli ten nie spełni jego wymagań, ale proboszcz nie kończy zdania, robi tylko gest, jakby chciał pogrozić Mariuszowi palcem, ale z tego też rezygnuje i schodzi z kazalnicy do młodych, żeby udzielić im ślubu.

117

Słucham, jak Aldona powtarza słowa przysięgi łamiącym się głosem, widzę jej szczęśliwą twarz, kiedy odwraca się do Mariusza, żeby wymienić obrączki. Co ja bym dała, żeby móc nałożyć taką szyfonową białą suknię z welonem. Czy kiedyś Bóg obdarzy mnie tą łaską, mimo że jakieś prukwy uważają, że kobieta na wózku przed ołtarzem to obraza boska? Patrząc na postać ukrzyżowanego Jezusa, ale nie otrzymuję od niego pozytywnej odpowiedzi, przeciwnie: „Ja niosłem swój krzyż, dlaczego ty nie możesz? Wszyscy nie mogą być szczęśliwi”.

Dlaczego nie?! - krzyczy coś we mnie. Jesteś wszechmocny, dlaczego nie dasz szczęścia wszystkim, dlaczego każesz ludziom cierpieć? „Nie słuchałaś kazania podczas mszy? Cierpienie uszlachetnia, czyni człowieka lepszym”. Bzdura, tak mówią szczęśliwi, żeby cudzy ból nie kładł się cieniem na ich szczęściu. A człowiek pod wpływem cierpienia staje się nie lepszy, tylko gorszy: jest zgorzkniały, rozgoryczony, pełen żalu i złości, którą wyładowuje na bliźnich, przez co oni się od niego odwracają, a to tylko pogłębia jego cierpienie.

Jezus chce mi coś odpowiedzieć, ale odwracam głowę.

Nie przekonuj mnie, nie tłumacz, nie wyjaśniaj, nie zastaniaj się tym, że boskie zamysły są nieprzeniknione dla zwykłego śmiertelnika. Po prostu Cię proszę, błagam, daj mi odrobinę szczęścia. Ciężko mnie doświadczyłeś, a mimo to nigdy w Ciebie nie zwątpiłam, wynagrodź mi to.

Moja prośba jest tak żarliwa, że w tej chwili wierzę, że zostanie spełniona. To sprawia, że mój uśmiech w odpowiedzi na uśmiech Aldony, która odwróciła się do wyjścia, jest całkowicie szczery. Dobrze, bo Aldona od razu wyczułaby fałsz, a przecież nie mogę zepsuć jej tego dnia, zatruć go moim kalectwem i samotnością. To jej dzień, dzień, o którym każda dziewczynka marzy, że będzie najwspanialszym dniem jej życia.

118

Przed kościołem weselnicy zasypują nas ryżem, a potem odbywa się ceremonia składania życzeń. Odbieram od Aldony kwiaty, prezenty będą wręczane później, w weselnej sali. Mariusz cierpliwie wysłuchuje standardowych formułek od ludzi, których nigdy wcześniej nie widział na oczy i pewnie ma nadzieję nigdy więcej nie zobaczyć, a Aldona stara się uratować makijaż przed obcałowującymi ją krewnymi.

Wreszcie goście ruszają do samochodów. Marek i ja jako drużbowie wsiadamy z nowożeńcami do ozdobionego balonikami i wstążkami mercedesa. Z tyłu ma przywiązane puste puszki, to chyba akurat amerykański zwyczaj, no ale skoro w Polsce obchodzimy już Halloween, to czemu nie.

Kolumna trąbiących pojazdów wolno rusza spod kościoła.

Przechodnie przystają, uśmiechają się, pozdrawiają nas gestami rąk. Dzieci biegną za samochodami i coś krzyczą.

- Patrzcie! - Marek wygląda przez okno i pokazuje na niebo.

Przelatujący samolot ciągnie wstęgę z napisem Szczęść Boże Młodej Parze!

-Kochany tatulek... - Aldona jest naprawdę wzruszona.

Zajeżdżamy przed hotel Marta, gdzie odbędzie się wesele.

Spoglądam na jasną fasadę budynku, który dotąd jakoś nie przyciągał mojej uwagi, choć przechodziłam koło niego, kiedy przyjeżdżałam do Aldony pociągiem.

Z parkingu jest bezpośrednie wejście do ogromnej sali bankietowej, która bez problemu pomieści stu pięćdziesięciu gości Aldony. Stoły czekają już nakryte, ale najpierw odbywa się wręczanie prezentów. Daję swój, ekspres do kawy. Nie musiałam się głowić nad wyborem, Aldona dała mi listę przedmiotów, które państwo młodzi chcieliby dostać, i wbrałam z niej właśnie ekspres. Z początku byłam lekko zdegowana taką metodą obdarowywania, ostatecznie

119

jedną z zasadniczych idei prezentu jest niespodzianka, nieświadomość obdarowanego, co też dostanie, ale doszłam do wniosku, że to bardzo praktyczne i właściwie niezbędne: w przeciwnym razie ze trzydziestu gości mogłoby uznać, że młodym przyda się ekspres do kawy i jeśli nie prowadzi-

liby sklepu ze sprzętem AGD, mieliby mały kłopot.

Zajmujemy miejsca przy stołach, ja siadam koło Marka, jesteśmy nie tylko drużbami, ale i parą na tym weselu; Marek nie ma dziewczyny, więc tak wyszło, że nas połączono.

Rozpoczynają się toasty z nieśmiertelnym „gorzko, gorzko”.

Kiedy młoda para się całuje, patrzę na ojca Aldony. W tym momencie, gdyby mógł, zamordowałby Mariusza. Dlaczego mężczyźni, zwykle dążący do tego, żeby przespać się z jak największą liczbą kobiet, oczekują, że nikt nie będzie dotykał ich córek?

Z ulgą dostrzegam, że Marek, podobnie jak ja, jedynie markuje picie. Nie tylko nie będzie próbował ciągnąć mnie na parkiet, żebym również i ja „zatańczyła”, ale mogę liczyć na to, że stanie w mojej obronie, kiedy któryś z pijanych gości uprze się, że wózek nie jest przeszkodą w tańczeniu.

Dla mnie akurat jest.

- Widzę, że nie przepadasz za alkoholem.

- Nie - odpowiada mi Marek. - Za często widziałem ojca pijanego.

Jestem zaskoczona. Tata Marka i Mariusza nie wygląda na alkoholika. Choć może tylko w tej chwili trudno to dostrzec, bo siedzi skulony, niepewny, przytłoczony mnogością potraw i trunków, i feerią dekoracji. Jakby zawstydzony, że nie byłoby go stać na wyprawienie takiego wesela. Bo przepych bije po oczach, a tata Aldony nie omieszkał kilka razy wspomnieć, ile wydali na wesele. Nie po to, żeby rodzicom Mariusza coś wypominać, jako tradycjonalista uważa organi-

zację wesela za obowiązek rodziców panny młodej, ale żeby się pochwalić. Nic dziwnego, że w atmosferze demonstracji,

120

na ile pana dyrektora huty stać, krewni Mariusza nie czują się najlepiej. Zresztą jest ich mało i wyraźnie odcinają się od reszty swoim milczeniem i onieśmieleniem oraz strojami: niemodnymi, poszarzałymi, pewnie te same odświętne suknie i garnitury wyciągają na wszystkie uroczyste okazje od dziesięciu lat.

- No to... muzyka! - zarządza ojciec Aldony, kiedy rosół i schabowy - na obiad musiało być tradycyjne polskie danie - znikają w brzuchach gości.

Orkiestra zaczyna grać, na moje ucho lekko fałszując.

Parkiet wypełnia się tańczącymi parami bardzo powoli.

Panowie nie kwapią się do proszenia partnerek do tańca, w oczach niektórych rysuje się prawdziwa panika, że trzeba dopełnić tego obowiązku, choć Bozia nie dała słuchu i wycucia rytmu, więc napełniają kieliszki, żeby szybciej doprowadzić się do stanu, w którym parkiet przestanie ich przerażać, a nawet zacznie przyciągać.

Po serii tańców kolejny posiłek, nietypowy jak na polskie wesele - na podanym mi przez kelnera talerzu identyfikuję małże i krewetki i zgaduję, że bezkształtna masa obok nich jest kawałkiem ośmiornicy. Odsuwam talerz z obrzydzeniem, nie lubię owoców morza. Widzę, że nie jestem odosobniona, ten pokaz luksusu wyraźnie nie trafił w gust gości; jeśli chcieliby coś z morza, to śledzie. Po które zresztą sięgają,

bo dzwonka śledzia przygotowano jako zakąski.

Tym razem tańce poprzedza zabawa, taniec na gazecie.

Pięć par staje do konkursu, muszą tańczyć na gazecie, która po każdym fragmencie piosenki składana jest na połowę.

Najzręczniejsi, a może najchudsi i potrzebujący niewiele miejsca okazują się Marek i jego mama.

Nie bawię się jakoś rewelacyjnie, choć na troskliwe zapytanie Aldony zapewniam, że „jest super”, ale też się nie nudzę. Marek obtańcowuje wprawdzie wszystkie panie i mało się mną zajmuje, ale siedzący po mojej drugiej ręce

121

mężczyzna stara się zabawiać mnie rozmową. Kiedy dowiedziałam się, że to stryj Aldony nie spodziewałam się, że tak fajnie będzie się z nim rozmawiało. Okazało się jednak, że ma trochę inne podejście do życia niż jego brat, z niechęcią skomentował na przykład wystawność wesela.

- Połowa tego jedzenia się zmarnuje. Nic też tym ludziom by się nie stało, gdyby wypili połowę mniej. - Zauważyłam, że sam pije tyle, żeby pozostawać na lekkim rauszu, ale się nie upić. - No ale mój brat musi pokazać, że nie jest aparatowym tlenku kadmu, tylko dyrektorem.

- Aparatowym...?

- Takie stanowisko w hucie, nasz ojciec, czyli dziadek Aldony, na nim pracował. Trzeba pilnować na aparaturze, czy tlenek kadmu nie przekracza określonego poziomu. Jeśli nie ma awarii, nie przekracza, więc można oglądać telewizję albo czytać książkę. Pracuje się tylko sześć godzin,

bo rzekomo jest się narażonym na styczność z niebezpiecznymi substancjami, a pensja całkiem przyzwoita. Czyli niezła synekurka. Jak byłem mały, bardzo chciałem zostać aparatowym tlenku kadmu, ale potem uznałem, że lepiej zostać rentierem.

Śmieje się.

- No i został pan?

-Niestety nie. Niestety, bo jak moja żona doszła do wniosku, że nigdy nie będę bogaty, rozwiodła się ze mną. Wyszła za mąż z miłości, a ja, drań, okazałem się być bez grosza. A wiadomo, że kobiety wychodzą za mąż z miłości... do pieniędzy.

- Teraz jest pan niesprawiedliwy. Nie wszystkie.

- Wiem, ale przecież człowiek patrzy na świat przez pryzmat własnych doświadczeń.

- To prawda - przyznaję ze smutkiem. Coś o tym wiem.

- To kim pan w końcu został? - wracam do pytania o zawód, bo nie mam ochoty na depresyjną konwersację.

122

- Uśmieje się pani. Jestem zawodowym klaunem.

- Tak. A ja akrobatką. Może mógłby zaprotegować mnie pan w swoim cyrku, bo chwilowo jestem bezrobotna?

Szeroko się uśmiecha, widocznie nie po raz pierwszy trafia na niedowiarka.

-Naprawdę pracuję jako klaun. Ale nie w cyrku.

Wynajmuję się na dziecięce przyjęcia, w grudniu robię za Mikołaja czy Gwiazdora, w zależności kto do kogo przy-

chodzi. Bardzo lubię dzieci, a że nie mam własnych, re-
kompensuję to sobie dzięki pracy.

Lubi dzieci! Spoglądam na niego innym wzrokiem.

Seksownie przyprószone siwizną ciemne włosy, niezbyt
przystojny, ale bez śladu tatusiowatej otyłości, inteligentny,
wrażliwy, z poczuciem humoru, ale... za stary. Owszem,
chciałabym starszego, ale trzy, cztery lata, a nie dwa razy
tyle co ja.

- Mój wysoko postawiony brat oczywiście nie może
zdzierżyć, że ktoś z jego rodziny para się takim niepoważnym
zajęciem. Zabronił mi nawet ujawniać moją profesję, bo, jak
stwierdził, podkopuje to jego autorytet. Ale wycofał zakaz,
kiedy zacząłem mówić, że jestem śmieciarzem.

Teraz ja wybucham śmiechem. Naprawdę mnie roz-
bawił.

- Pozory to jest w rodzinie Domańskich najważniejsze.

Na ślubie córki gramy małżeńską parę i oczekujemy, że lu-
dzie zapomną, że od kilkunastu lat jesteśmy po rozwodzie,
każdy widzi, że Aldona wpadła, i każdy udaje, że nie widzi,
bo jakby „zobaczył”, to miałby w moim bracie śmiertelnego
wroga, a mój brat jest i wpływowy, i mściwy.

Przypominam sobie, jak ciotki ściszyły głos, poruszywszy
temat ciąży panny młodej.

Dzięki stryjowi Aldony ani się spostrzegam, jak wy-
bija północ. Oczepiny! Symboliczne przejście od stanu
panieńskiego do małżeńskiego. Aldona siada na krześle

pośrodku sali, a goście śpiewają „Oj, chmielu, chmielu, ty bujne ziele, Nie będzie bez cię żadne wesele”. Jako druhnie przypada mi obowiązek zdjęcia pannie młodej wianka i nałożenia czepeczka. Podaję Aldonie wianek, żeby rzuciła go za siebie, gdzie zebrały się niezamężne panny. W ich oczach widzę święte przekonanie, że ta, która złapie wianek, pierwsza wyjdzie za mąż, co zapowiada zażartą walkę. Aldona robi zamach, po czym delikatnie rzuca wianek... na moje kolana i mruga do mnie, wyraźnie z siebie zadowolona.

- Teraz kolej na ciebie, przyjaciółko.

Jestem wzruszona. Niby nie wierzę w takie rzeczy, ale może pozytywna energia biorąca się z tego gestu Aldony popłynie gdzieś w świat i trafi do jakiegoś chłopaka, sprawiając, że ten dostrzeże we mnie kobietę godną pożądania, a nie kalekę na wózku. Przyciskam wianek do piersi i szepczę życzenie jak przy spadającej gwiazdzie.

O trzeciej jestem już mocno zmęczona, najchętniej wróciłabym do domu i położyła się spać, ale druhnie nie wypada urywać się z wesela. Patrzą na stoły coraz bardziej przypominające pobożowisko, na pary niemrawo kręcące się po parkiecie, na pijanych mężczyzn, walczących z chęcią zwalania się pod stół. Oceniam, że impreza pociągnie jeszcze ze dwie godziny i uzbrajam się w cierpliwość. Wołam kelnera i proszę go o kawę, nakładam sobie na talerzyk kawałek makowca.

O piątej goście z Wrocławia skrzykują się, że jest dla

nich transport do domu. Tym z odleglejszych miejscowości gospodarze zapewniłi nocleg, Wrocław jest na tyle blisko, że wrocławian bardziej oplota się odwieźć. Zgłaszam się, że też chcę jechać, i żegnam się z Aldoną.

- Jeszcze będą poprawiny - zaprasza mnie Aldona.

- Nie obrazisz się, jak się nie pojawię? Wesele miałaś udane, ale mnie jedna impreza wystarczy.

124

- Jasne, że nie, pewnie też się zmyję. Dziękuję, że przysłałaś i że byłaś moją druhną.

- Zrewanżujesz mi się - mówię bez przekonania.

- Na pewno.

Obejmujemy się i wychodzę na dwór. Owiewa mnie rześkie powietrze wstającego dnia. Pasażerowie czekającego busa machają do mnie, że to z nimi mam jechać.

*

- A cześć! To o tobie mówił Jacek!

Nie znam żadnego Jacka, nie znam również chłopaka, który zaczepia mnie przed moją bramą, kiedy wracam ze spaceru z Fasolką.

- Pies na wózku, ale jaja!

Nie wzbudza tym stwierdzeniem mojej sympatii, swoim wyglądem też nie: niby przeciętny mężczyzna po trzydziestce, ale wokół ust rysują się lubieżne zmarszczki, od razu wyczuwam w nim typa, dla którego kobiety są po to, by je zaliczać. Może doszedł do wniosku, że w jego kolekcji brakuje dziewczyny na wózku. Powinna się odwrócić i zignorować tę niezbyt

mądrą próbę nawiązania znajomości, ale moja natura nie pozwala mi puścić płazem uwagi o psie na wózku.

- Rozumiem, że człowiek na wózku to mniejsze jaja?

- No. Ludzi na wózkach normalnie się widuje, ale psa na wózku jeszcze nie widziałem.

Rozbraja mnie nieco tą bezpretensjonalnością, ostatecznie moja reakcja, kiedy pierwszy raz zobaczyłam Fasolkę, była podobna. Nie oznacza to jednak, że nabrałam ochoty, by bliżej go poznać. Chcę odejść, ale natręt głaszcze Fasolkę, a że tej zdrajczynie to się podoba, nie mam wyboru i muszę zaczekać.

- Jacek też ma psa. A ja jestem Romek.

Podnosi się z przykłąku i podaje mi rękę. Do tego stopnia nie spodziewałam się w tej chwili prezentacji, że mimo 125

niechęci do zawierania z nim znajomości machinalnie ścisnęłam mu dłoń.

- Edyta.

I tak jestem na siebie zła, że w następne pytanie wplątam przekleństwo.

- Kim, do cholery, jest Jacek?

- Ten niewidomy gość, który na ciebie wpadł, kiedy się tu wprowadzałem. Pytał mnie o ciebie, myślał, że wprowadzałaś się razem ze mną, że jesteś moją siostrą.

Przypominam sobie sytuację sprzed kilku tygodni, kiedy samochód z meblami zatarasował drogę niewidomemu sąsiadowi - temu samemu, który rozbija się taksówkami

- ten wpadł na mój wózek i przewrócił się. Z początku nie zorientowałam się, że to on, i go zwyzywałam, potem było mi głupio.

Nic dziwnego, że powiązał mnie z tą przeprowadzką.

Sąsiadami wprawdzie jesteśmy, odkąd tu mieszkam, ale widocznie nikt mu nigdy o mnie nie powiedział, a siłą rzeczy nie mógł mnie zobaczyć. Zastanawiam się, czy to nie jest gorsze kalectwo od mojego, wzrok jest przecież źródłem większości informacji, ale porzucam te rozważania: nawet jeśli obiektywnie można stwierdzić, że jedna niepełnosprawność bardziej utrudnia życie od innej, to dla niepełnosprawnego nie ma to większego znaczenia. Choćby tylko kulał, będzie to dla niego największa życiowa tragedia.

Konstatacja, że Jacek nie jest wymagowaną postacią, czyli że Romek nie próbował mnie podrywać, mimo wszystko sprawia mi przykrość. I potęguję moją złość na niego.

Odwracam się bez słowa.

- Fasolka, chodź!

- Wabi się Fasolka? - Romek wyraźnie nie przejmuje się moim wrogim nastawieniem. - Oryginalnie.

- Co w tym oryginalnego?

126

Romek patrzy na mnie, po czym niespodziewanie zgadza się ze mną.

- Może masz rację, kot mojej babci wabił się Pączek.

Zawsze jesteś taka opryskliwa czy po prostu masz okres?

Zatyka mnie z oburzenia. Co za cham! Najchętniej dałabym mu w twarz.

-Jak pan śmie!

- O, przeszliśmy na „pan” - stwierdza z ironią.

Nie dogadam się z nim. Jak ktoś nie wyniósł kinder-sztuby z domu, to w wieku trzydziestu paru lat się go nie wychowa. Wsiadam z Fasolką do windy, udając, że na niego nie patrzę, choć kątem oka widzę, że nie odchodzi, tylko obserwuje moje poczynania.

*

- Wchodź!

Uśmiechnięta Aldona otwiera szeroko drzwi i zaprasza mnie zamasztyłym gestem ręki do swojego nowego, dwupokojowego mieszkania. Nie kupili go bezpośrednio od dewelopera - bloki przy Strońskiej stoją już od kilku lat, chociaż osiedlowa ulica nadal nie jest zrobiona - tylko od młodego małżeństwa, które nie przetrwało próby wspólnego zamieszkania i niedługo po ślubie się rozeszło. Niemcy mają takie przysłowie: „Śmierć jednego chlebem drugiego”.

Coś w tym jest.

Mariusz, który wciągnął mój wózek na piętro, wprowadza mnie do środka, a ja rozglądam się z zaciekawieniem, bo choć Aldona i Mariusz kupili i urządzili mieszkanie jeszcze przed ślubem, jestem w ich gniazdku po raz pierwszy. Tak właśnie, gniazdku. Od razu wyczuwa się, że tu mieszka para - kiedy wchodzi się do mojego mieszkania, uderza atmosfera samotności. I nie jest to tylko kwestia tego, że ja po prostu

znam liczbę lokatorów, myślę, że postronna osoba też by się zorientowała. Ot, choćby przemieszane męskie i kobiece buty

127

na stojaku przy drzwiach, gospodyni prowadząca do pokoju i z zakłopotaniem sprzątająca koszulę, którą małżonek zostawił na oparciu fotela, dwie poduszki na łóżku w sypialni.

A kiedy Aldona zacznie szykować wyprawkę dla dziecka, nikt nie będzie mógł mieć najmniejszych wątpliwości.

Widzę, że Aldona ustawiła na komodzie zdjęcie ślubne.

Wybrała to, na którym opiera głowę na piersi przyszłego męża i podnosi ku niemu wzrok. Jej spojrzenie nie pozostawia wątpliwości, oczy mówią: nigdy tak nie kochałam.

Przygniata mnie ten ogrom szczęścia. Nie jest to zaświadczenie, życzę przecież Aldonie jak najlepiej, ale co poradzę, że na ten widok dotkliwie uświadamiam sobie własną niedolę. Dla człowieka nieszczęśliwego cudze szczęście jest szkłem powiększającym, pod którym dokładniej widzi swój los. Co ja mówię - nie szkłem powiększającym, tylko mikroskopem. Mam ochotę stąd uciec, skulić się w jakimś ciemnym kącie i sobie popłakać.

Zamiast tego uśmiecham się i mówię:

- ładnie się urządziliście.

Nie jest to czczy komplement, w wystroju znać pieniądze ojca Aldony, dobry gust jego córki i złotą rączkę zięcia.

Pomarańczowe skórzane fotele i kanapa idealnie współgrają z olchowymi półkami pokrywającymi całą ścianę, wykonanymi - czym nie omieszkał się pochwalić - przez

Mariusza. Podłogę pokrywa miodowa wykładzina, która zatrzymuje mnie w wejściu do dużego pokoju.

- Co robisz? - dziwi się Aldona. - Wchodź i zajmuj miejsce przy stole.

- Nie chcę ci pobrudzić wykładziny, wprawdzie nie pada, ale nie przyszedłam tu po czerwonym dywanie... Może Mariusz przeniesie mnie na fotel?

- Nonsens. Wiesz, że u mnie goście wchodzi w butach, a jak się nawet nabrudzi, to od czego ja mam wodny odkurzacz?

128

- Masz wodny odkurzacz?

-No!

W głosie Aldony brzmi duma gospodyni, że posiada najlepszy możliwy sprzęt do prac domowych. Nie spodziewałabym się tego po niej. Aldona realizująca się jako kura domowa to jak Osama bin Laden w charakterze działacza organizacji pokojowej. Choć nie byłaby to pierwsza nastawiona na karierę kobieta, która odkryła, że znacznie więcej satysfakcji sprawia jej ugotowanie mężowi obiadu.

Potrawy parują właśnie na stole, którego miedziany blat przedstawia, co stwierdzam po bliższym przyjrzeniu się, dawną mapę świata: dwie półkule z zarysami lądów.

- Oryginalny stolik.

- Wygrzebałam na giełdzie staroci.

- Wygrzebałaś i wycygałaś - stwierdza Mariusz, który

donosi kolejne półmiski. Nawet jeśli Aldona rzeczywiście gotuje, to dba o równomierny rozkład obowiązków i każe Mariuszowi podawać.

- Nie wycygałam, tylko wytargowałam dużą obniżkę.

Facet się odkrył, że bardzo mu zależy na sprzedaniu, a ja się nie zdradziłam, że bardzo mi zależy na kupieniu, reszta to był spacer.

- Fakt - przyznaje Mariusz. - Zjadła go na miękko.

Śmiejemy się.

- Jakby wzięli mnie do negocjacji przy przystępowaniu do Unii, to nasi rolnicy mieliby dziś sto procent dopłat, a nie pięćdziesiąt - nieskromnie podkreśla swoje talenty Aldona.

-I tak mają aż nadto, koszą kasę z Unii; też bym chciał dostawać kilkaset euro za to, że posiadam jakiś majątek - podatku dochodowego nie płacą, ZUS-u nie płacą, składki zdrowotnej nie płacą i ciągle im mało. Uprzywilejowana kasta, kurwa!

129

Patrzmy z Aldoną na Mariusza zdziwione, bo chociaż trudno nie przyznać mu racji, to emocjonalność wypowiedzi zdradza jakieś jego prywatne animozje do rolników. Może odnosi się do swoich rodziców? Na ślubie sprawiali wprawdzie wrażenie harmonijnej rodziny, ale chrzciny, wesela i pogrzeby to uroczystości, na których ludzie zawsze się kochają.

- Ej, ej - mityguje go Aldona. - Nie życzę sobie żadnych przekleństw. I lepiej przystąp do nauki panowania nad

sobą już teraz, bo jak ci się wyrwie przy dziecku, to nie ręcę za siebie.

Atmosfera przy stole na moment robi się ciężka, więc żeby ją rozproszyć, wyrażam zachwyt nad nakryciem stołu.

A jest nad czym: zarówno piękna porcelanowa zastawa, jak i jej zawartość stanowią ucztę dla oka. Co doceniam, tym bardziej że gotując tylko dla siebie, nie dbam o wizualną stronę posiłku i rzadko mam okazję poza żołądkiem nasycić oczy.

- Nakładaj sobie - poleca Aldona. - To chili con carne.

Sztandarowa i jedyna pozycja w kulinarnym repertuarze mojego mężusia.

Aldona chichocze, co przyjmuję z ulgą. Burza odeszła.

- Dzięki, nigdy jeszcze tego nie jadłam. - Nakładam na talerz brązową masę i próbuję. Potrawa jest ostra, ale zaskakująco smaczna. - Dobrze. Chyba nie powinieneś, Mariusz, rozszerzać swojego repertuaru, jeśli jakość miałaby przejść w ilość. Czasami wskazane jest robić mniej, za to lepiej.

- Nie za młoda jesteś na filozofa? - pyta z przekąsem

Aldona. - Ty mi go tu tak nie chwal, bo osiądzie na laurach, a chyba nie chcesz za każdym razem, jak nas odwiedzisz, jeść chili con carne?

- Nie, ale myślałam, że ty też coś ugotujesz.

- Moje potrawy nadają się tylko do karmienia rodziny, a nie gości. - Aldona śmieje się. - No nie rób, Mariuszu, takiej miny, przecież cię nie otruję.

Mariuszku. Kontekst wskazywałby, że w tym zdrobieniu powinna być lekka ironia, ale nie, słycać wyłącznie czułość i taki ogrom miłości, że trzeba dać jej upust nawet w kpiącym zdaniu. Czy ja kiedyś będę miała okazję tak się zwrócić do ukochanego mężczyzny, czy usłyszę kiedyś zdrobienie w jego ustach? Nie od taty, nie od Aldony. Uświadamiam sobie, że Adrian nigdy nie zdrabniał mojego imienia. Mówił do mnie „żabko”, „kotku”, „myszko”, ale po imieniu zawsze „Edyta”. Nigdy wcześniej nie zwróciłam na to uwagi i wcale mi tego nie brakowało. Może nie był tym mężczyzną, który miał się do mnie zwracać zdrobniale. Może to dobry omen, oznacza, że ten właściwy jeszcze się pojawi.

Nagle dociera do mnie, że coraz bardziej odrywam się od rzeczywistości, że nie widząc realnych szans na związek, dopatruję się jego zapowiedzi, zwiastunów w rzeczach niemających z tym nic wspólnego. Przecież to, jak zwracał się do mnie Adrian, w żaden sposób nie determinuje przyszłości, nie ma najmniejszego wpływu na to, czy jakiś chłopak się mną zainteresuje. Nie mogę się powstrzymać od westchnięcia.

- Co się stało? - Aldona zatrzymuje rękę z widelcem w połowie drogi do ust i patrzy na mnie z niepokojem.

Najwyraźniej moje westchnienie było zbyt donośne.

- Nie, nic, tak mi się tylko westchnęło.

Aldona patrzy na mnie dalej, nieprzekonana, ale nie dopytuje się. Zresztą pewnie się domyśla, dlaczego westchnęłam, mój problem od dawna jest taki sam. I mimo

upływu lat nie potrafię go rozwiązać.

Sięgam po kompot, żeby zatuszować swoje westchnienie i dać do zrozumienia, że naprawdę wszystko jest w najlepszym porządku. Jeszcze raz rozglądam się po pokoju, chcąc znaleźć jakiś punkt zaczepienia do zmiany tematu. Pusta ściana nie podsuwa mi żadnego pomysłu. Mogliby powiesić na niej jakiś obraz. Chociaż w gniazdku zakochanych pusta

131

ściana robi wrażenie mniej pustej niż moje obwieszone reprodukcjami, plakatami i makatkami.

- Moglibyście powiesić jakiś obraz - mówię.

- Powiesimy, ale jeszcze nie znalazłam nic sensownego.

Mariusz chciał obraz przedstawiający jakąś babę, wyobrażasz sobie? Ma świeżo poślubioną żonę, ale chce się gapić na inną babę na ścianie!

- No to zamów sobie portret - proponuję. - Wilk będzie syty i owca cała.

- To jest myśl - podchwytuje Mariusz.

- E tam. - Aldona nie jest przekonana. - Dziwnie bym się czuła, mając ciągle własny portret przed oczami.

-Dlaczego? Przecież na zdjęciu też siebie widzisz.

- Wskazuję na ślubną fotografię na komodzie.

- To co innego.

- Po prostu nie jesteś przyzwyczajona, bo fotografie zastąpiły portrety. Ale jakbyś żyła w XVIII wieku, byłoby dla ciebie zupełnie naturalne, że dookoła siebie masz swoje portrety, tak jak teraz zdjęcia.

- Mogłabym żyć w XVIII wieku. - Aldona odsuwa niemal pełny talerz. Jak wcześniej miała ochotę jeść za dwoje, tak teraz najwyraźniej straciła apetyt, mimo że dziecko jest większe. - Wtedy to były bale.

- Ja bym wolał starożytny Rzym. Podboje, marsze triumfalne - rozmarzył się Mariusz - niewolnice, or...
Zreflektował się, ale nie w porę.

- Co, kochanie? - podjęła z jadowitą słodyczą Aldona.

- Nie, nic. - Mariusz wrócił do jedzenia z takim zapałem, jakby właśnie zakończył strajk głodowy.

- Chciałeś powiedzieć, że masz ochotę na orgie z niewolnicami? - Aldona nie miała zamiaru mu odpuścić,

- Miałbym, gdybym cię nie spotkał, wystarczasz mi za wszystkie rzymskie niewolnice - starał się wybrnąć Mariusz. - Ale w starożytnym Rzymie na pewno bym cię

132

nie spotkał, skoro ty byś tańczyła na osiemnastowiecznych balach.

Po minie Aldony widzę, że ujął ją tą inteligentną odpowiedzią. Uciekł spod gilotyny. Tym razem.

Deser jest pod znakiem cynamonu. Ciasteczka z cynamonem i kawa przyprawiona cynamonem. Też recepta Mariusza. Nigdy jeszcze takiej nie piłam i bardzo mi smakuje.

Po deserze Aldona proponuje scrabble. Usiłuję się wymówić i zakończyć wizytę, świeżo poślubiona para ma na pewno ciekawsze zajęcia, niż bawić się w układanie

krzyżówek w towarzystwie postronnej osoby. Aldona domyśla się jednak, co mną kieruje.

- Ty się, przyjaciółka, nie wygłupiaj. Skoro cię zapraszamy, to nie po to, żebyś w drzwiach odwróciła się na pięcie i zaraz sobie poszła.

Siadamy do gry. Setki, a może nawet z tysiąc przeczytanych książek robią swoje i z dużą łatwością składam z dostępnych literek słowa, czasami tak wyszukane, że sama się dziwię, że je znam. Szybko obejmuję prowadzenie, którego nie oddaję do końca. Przychodzi mi to o tyle łatwo, że Aldona i Mariusz nie w pełni angażują się w grę, zajęci posyłaniem sobie uśmiechów i bardziej zależy im na układaniu „znaczących” słów w rodzaju „kocham”, niż dających duże zdobycze punktowe. Nawet nie domagają się sprawdzenia w słowniku niektórych moich słów, tylko pytają o znaczenie i zadowolają się moimi wyjaśnieniami.

Po skończonej grze nie dają się dłużej zatrzymywać, zresztą żadne z nich nie próbuje, tym razem chcą już zostać sami, co wyraźnie widać. Proponują, że odprowadzą mnie na przystanek, ale zapewniam ich, że to zbędne, że doskonale poradzę sobie sama. Nie muszę zbytnio się wysilać, żeby ich przekonać.

133

-

Znoszą mnie na dół, machają mi na pożegnanie i wracają do siebie. Do autobusu mam spory kawałek, zwłaszcza

że nie dam rady przedostać się przez niezrobioną ulicę
i muszę pójść naokoło. Niespiesznie przesuвам kółka wózka.
Dzień jest bezwietrzny, ciepły, akurat na spacer. Spoglądam
w okna mijanych mieszkań. Zastanawiam się, za iloma kryją
się takie szczęśliwe pary jak Aldona i Mariusz, a za iloma
tacy samotnicy jak ja. Przynajmniej rozumowo zdaję sobie
sprawę z ich istnienia, bo niejednokrotnie mam poczucie,
że jestem jedyną samotną i nieszczęśliwą osobą na świecie.
Kiedy po zmroku patrzę ze swojego balkonu na światła
okien, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że to płoną domowe
ogniska, a przy każdym grzeje się szczęśliwa rodzina. I tylko
ja jedna marznę na balkonie mimo ciepłego koca, bo chłód
płynie do mnie nie tylko z zewnątrz, ale przede wszystkim
ze środka.

Staram się porzucić te smutne rozważania, pomyśleć
o czymś weselszym, o psotach Faszki, o czekającym mnie
spotkaniu z tatą, o dobrym filmie dziś wieczorem w telewizji.

Bez powodzenia, myśl o telewizji tylko mnie przygnębia;
jeśli ktoś szuka pociechy w szklanym ekranie, to z jego
życiem jest naprawdę źle.

Zatrzymuję się przy jakimś ogródku. Nie ma w nim nic
interesującego - kilka drzew owocowych, kwiatowe ra-
baty, krzaki agrestu - ale nie mam ochoty wracać do domu.

Wizyta u Aldony i Mariusza wywołała u mnie melancholię,
a domyślałam się, że w czterech pustych ścianach ten stan
jeszcze się nasili. Paradoks: siedząc w domu, czuję się źle, ale
kiedy wyjdę do ludzi, czuję się jeszcze gorzej. Normalność

ich życia unaocznia mi tylko nędzę mojego.

Jeszcze raz spoglądam na ogród. Nic nie zyskam, stojąc tutaj. Chyba że z domu wyjdzie przystojny młodzieniec i zauroczony moją osobą podejdzie do ogrodzenia, żeby nawiązać ze mną rozmowę.

134

Z domu wychodzi nieogolony czterdziestolatek w brudnym podkoszulku, który podjechał w górę na wydatnym brzuchu.

- Ej, ty, co się, kurwa, tak gapisz na ten dom? Spierdalaj w podskokach!

Polska bezinteresowna uprzejmość i życzliwość. Oddalam się czym prędzej, zastanawiając się, skąd w Polakach tyle złości i agresji. Nie jesteśmy jedynym narodem, którego historia nie głąskała po głowie, ale chyba jedynym, który swoją frustrację wylewa na współrodakach. Prawdziwy Polak nienawidzi Niemca, Żyda i drugiego Polaka.

Zbliżam się do przystanku. Sprawdzam, że autobus dostosowany dla niepełnosprawnych będzie dopiero za godzinę, a sytuacja sprzed chwili napędza mnie obawą, czy znajdzie się ktoś, kto pomoże mi wsiąść. W niedzielę jest mniej ludzi, nie każdy ma ochotę pomóc, nie każdy jest też w stanie.

I rzeczywiście, kiedy podjeżdża pierwszy autobus, na przystanku razem ze mną są tylko dwie zasuszone staruszki. Garstka pasażerów nie kwapi się, żeby opuścić swoje miejsca. Podchodzę do przednich drzwi i proszę kierowcę,

żeby pomógł mi wsiąść.

- Zaraz będzie autobus dla niepełnosprawnych - od-
mawia i zamyka drzwi.

Kiedyś na takie zachowania reagowałam skargami
do MPK, ale w końcu uznałam, że to bezcelowe. Dostawałam
odpowiedzi, że kierowcy udzielono nagany i pouczono
go, że w takiej sytuacji ma obowiązek pomóc. Albo była
to standardowa odpowiedź na wszelkie skargi, żeby pozbyć
się malkontenta, albo kierowcy nic sobie z tych nagan i po-
uczeń nie robili, skoro znowu nie udawało mi się wsiąść
do autobusu.

Cofam się na przystanek. Usta wyginają mi się w pod-
kówkę. Najpierw ten cham w ogródku, a teraz nieusłużny

135

kierowca. Powinnam być odporna na takie sytuacje, ale
nie jestem. Brak mi pancerza w postaci szczęścia - szczęś-
liwego człowieka takie codzienne przykrości nie dotykają
albo dotykają w znacznie mniejszym stopniu. Złe słowa
zrekompensują mu czułe słówka ukochanej osoby, złośliwe
gesty zostaną zniwelowane przez pieszczoty.

Całą siłą woli udaje mi się powstrzymać od płaczu. Sięgam
do torebki po książkę. Nawyk noszenia ze sobą książki
i czytania podczas jazdy tramwajem czy stania w kolejce
mam jeszcze z czasów sprzed wypadku. Patrę, jaką książkę
wzięłam, bo śpieszyłam się i wrzuciłam pierwszą z brzegu,
a zwykle czytam kilka naraz. „Apokryf Agłai” Sosnowskiego.
Zanurzam się w losy namiętnego związku pianisty Adama

i jego ukochanej Lilki.

- Autobus ci ucieknie.

Podnoszę wzrok.

O nie. Romek. Ten cham spod mojego bloku. Najwyraźniej moje pole elektromagnetyczne przyciąga dziś chamów. Może powinnam czytać nie Sosnowskiego, tylko Orzeszkową.

Romek pokazuje na czerwony przegubowiec, który zatrzymał się na przystanku, a którego, zaczytana, nie usłyszałam.

- Czekam na inny.

- Nie jedziesz do domu?

- Jadę do domu, ale czekam na autobus z wejściem dla niepełnosprawnych.

- Nie ma sprawy, pomogę ci.

Nie mam właściwie nawet szansy, żeby zaprotestować.

Romek błyskawicznie chwyta za rączki mojego wózka, podjeżdża nim pod drzwi autobusu, młodzieńcowi w spodniach z krokiem w okolicy kolan, udającemu, że podziwia bloki po przeciwnej stronie ulicy, nakazuje: - Ej, ziomal, kopsnij się tu z pomocą - a w jego głosie brzmi ni to prośba, ni to groźba, która nie pozwala „ziomalowi” go zignorować, i po chwili siedzę w autobusie.

136

Romek najwyraźniej nie pamięta, że ostatnio rozstał się w nie najlepszej komitywie albo przeszedł nad tym do porządku, bo rozmawia ze mną, jakby łączyła nas długoletnia przyjacielska zażyłość, a nie jedno przypadkowe i niezbyt udane spotkanie.

- Zepsuł mi się samochód i podróżuję dziś po mieście komunikacją miejską. Fantastyczne doświadczenie! Miałem podjechać tylko w jedno miejsce, ale tak mi się spodobało, że już pół dnia jeżdżę. Co za galeria ludzkich typów. Fellini wysiada. To znaczy, odwrotnie, dopiero w tramwaju widać, jakie gość miał oko do podpatrywania rzeczywistości. Że te wszystkie dziwadła z jego filmów nie są ani odrobinę przesadzone.

Usiłowałam kiedyś oglądać jakiś film Felliniego, bodajże „Osiem i pół”, ale znudził mnie do tego stopnia, że nie dotrwałam nawet do połowy. Co nie znaczy, że nie lubię poważnych filmów, Bergmana na przykład oglądam z wypiekami na twarzy. Bergmanowi zresztą jestem wręcz osobiście wdzięczna za „Jesienną sonatę”, w której pokazuje konflikt między matką, będącą sławną pianistką, a zaniedbywaną przez nią córką. Obejrzałam ten film razem z moją matką, która ze łzami w oczach zaczęła się tłumaczyć i przepraszać, że nie wychowywała mnie, jak należy. Człowiek, który skłonił moją matkę, by dobrowolnie przyznała, że zawiodła w wychowaniu córki, bezwzględnie zasługuje na miano geniusza.

-Koło dworca wsiadło na przykład dwóch tysięcy

- ciągnie Romek. - Glany, tatuaże. No ładnie, myślę sobie, pewnie zaraz potną siedzenie w swastykę albo kogoś skopią.

Skuliłem się, jak koło mnie przechodzili, żeby nie znaleźć się w ich polu widzenia, i słyszę: „W destrukcie najlepszy jest Beksiński”. Łapiesz? Skini prowadzący dyskusję o ma-

larstwie współczesnym! Po prostu perełka!

Potakuję głową.

137

- A jakie laski można tu spotkać - zachwyca się Romek.

- I skoro jeżdżą tramwajami, a nie samochodami, to jeszcze wolne. Trzy numery telefonów zdobyłem.

Czyli trafnie go oceniłam poprzednim razem. Kobieciarz.

- Co tak nic nie mówisz? Boczysz się jeszcze za tamto?

Akurat mu się przyznam.

- Nie, generalnie jestem małomówna.

- Dziwne jak na kobietę. Choć to pewnie stereotyp. Ale jest taki dowcip: dlaczego kobiety puszczają bąki ciszej od mężczyzn? Bo nie potrafią zamknąć ust na tak długo, żeby wytworzyło się odpowiednie podciśnienie.

Romek śmieje się z własnego dowcipu. Nie wtóruję mu, bo dowcip wydaje mi się mało śmieszny.

- Ej, no nie bądź taka sztywna. Co z tobą? Okazujesz złość całemu światu, bo siedzisz na wózku? Jacek jest niewidomy, ale zachowuje się zupełnie inaczej niż ty, można z nim pogadać i się pośmiać. Wiesz co? Mam pomysł. Spotkajmy się w trójkę, poznacie się.

Gdybym wcześniej się odzywała, to zdumienie odjęłoby mi mowę. Ten człowiek nie ma za grosz wyczucia taktu, na jednym wydechu obraża mnie i proponuje spotkanie.

- W jakim celu?

- Bez celu. Ludzie spotykają się, żeby ze sobą pobycć,

bo samo wspólne spędzanie czasu, choćby bezproduktywne, sprawia im przyjemność.

Ma rację, ale zapomniał dodać, że warunkiem jest, abyśmy lubili osobę, z którą spędzamy czas. A ja go akurat nie lubię.

- No? Daj się namówić, Jacek to naprawdę wspaniały gość.

Aha, o to chodzi. Chce nas zeswatać. Kaleka z kaleką, coś bardziej naturalnego. Niedoczekanie!

- Nie, dziękuję.

138

Buzia w ciup, nawet nie zamierzam szukać usprawiedliwienia dla odmowy, przeciwnie, chcę, żeby była dosadna, żeby wreszcie dotarło do niego, że najzwyczajniej w świecie nie mam ochoty na jego towarzystwo.

Nie dociera. Ktoś inny poczułby się dotknięty taką odmową, przesiadłby się, zostawił mnie w spokoju, ale Romek reaguje tak, jakbym powiedziała coś zupełnie neutralnego, w stylu, że mijany właśnie most Grunwaldzki jest najładniejszym wrocławskim mostem.

- Okej. A czytałaś kiedyś ten ich regulamin? - Romek pokazuje na gęsto zapisaną tablicę umieszczoną z tyłu kabiny kierowcy. - W Warszawie był swego czasu zakaz przewożenia ostrych przedmiotów, „takich jak noże, piły czy kosy”. Nigdy nie widziałem na warszawskim przystanku chłopa z kosą, ale pewnie się ostrzegali: „Ino jak kumie do stolicy jedziecie, to kosy nie bierzcie, bo w tych ichniej

komunikacji nie wolno". - Romek parsknął śmiechem.

- Martwiło mnie tylko, że w tym regulaminie nie było zakazu przewożenia bomb atomowych. I taki terrorysta spokojnie mógł wsiąść do autobusu z bombą w walizce. Choć może warszawski ZTM wychodził z założenia, że jeden pies, gdzie on by tę bombę zdetonował, autobus i tak szlag by trafił. Wiesz, co należy zrobić po wybuchu jądrowym? Nakryć się białym prześcieradłem i poczołgać w stronę najbliższego cmentarza.

Romek znowu się śmieje, tak głośno, że aż ściąga na siebie niezadowolone spojrzenia innych pasażerów. Jeszcze nie spotkałam człowieka, którego tak by bawiły własne dowcipy.

Ponieważ jednak nie jest to cecha świadcząca o obyciu, utwierdza mnie tylko w przekonaniu, że nic nie tracę, nie chcąc zawrzeć z nim bliższej znajomości. Najchętniej bym się przesiadła i wróciła do lektury „Apokryfu Agłai”, ale nie potrafię być arogancka. Niecierpliwie liczę więc przystanki i śledzę trasę autobusu, jakbym w ten sposób

139

mogła przyspieszyć jego jazdę: plac Grunwaldzki, most Zwierzyniecki, zoo, na wysokości Teków, czyli akademików Politechniki, skręt w lewo na Dembowskiego.

Kiedy dojeżdżamy na miejsce, jestem tak szczęśliwa, że bez protestów pozwalam, żeby Romek pomógł mi wsiąść z autobusu i podwiózł mnie do mojej bramy. Grunt, że za moment zniknie mi z oczu.

*

Dziecko Aldony jest przecudowne, prześliczne. To chłopczyk, mały Rafał Pankracy. Aldona właśnie go nakarmiła i dała mi do potrzymania. Zabawnie mruży oczka, a na drobnych ustach wykwitł bąbelek śliny. Rozczulające. Przytulam go delikatnie do siebie, podtrzymując chwiejną jeszcze główkę. Ciepło jego ciała przenika mnie, przez chwilę stwarza ułudę, że to mój synek, że próby sztucznego zapłodnienia wcale nie zakończyły się fiaskiem.

Ułuda nie trwa jednak długo, bo Aldona nachyla się nade mną, wyciąga ręce, chce z powrotem Rafałka, chce mi go zabrać; dlaczego nie pozwoli mi dłużej się nim nacieszyć, dlaczego jest taka samolubna, dlaczego ona ma wszystko, a ja nic?!

Muszę zareagować na tę niesprawiedliwość, skoro Bóg nie reaguje, wyrównać krzywdy, zaprowadzić równowagę, bo świat pozbawiony równowagi zmierza ku zagładzie.

Muszę powstrzymać zagładę.

Błyskawicznie odwracam Rafałka głową w dół, chwytam go za nogi, robię zamach i z całej siły walę jego główką w ścianę. Miękkie kości czaszki nie stawiają żadnego oporu.

Mózg rozbryzguje się na ścianie, coś ciepłego opryskuje mi twarz, włosy, bluzkę. Puszczam bezwładne ciało, które z głuchym łoskotem spada na wykładzinę, i ścieram szaro-czerwoną masę z bluzki. Co to jest? Czymś się pobrudziłam.

Ale czym?

140

Słyszę wycie Aldony. Przerażliwe, dojmujące wycie,

jakby ktoś bez znieczulenia wykrawał jej kawałki ciała.

Dopada mnie i zaczyna dusić.

- Zabiłaś mi, kurwo, dziecko! Oszalałaś?!

Staram się od niej uwolnić. Wariatka. Co ją napadło?

O czym ona gada? Jak to zabiłam? Odpycham Aldonę i rozglądam się. Widzę ciało chłopca ze strzaskaną głową na podłodze. Jezu! Naprawdę zabiłam! Dlaczego w ogóle wzięłam go na ręce, przecież już wcześniej nachodziły mnie takie myśli, żeby zabić komuś dziecko! Jezu, nie!!!

Wtóruję Aldonie wyciem, wyjemy jak dwie śmiertelnie ranne samice.

Siadam na łóżku, serce wali mi jak oszalałe, jestem mokra od potu.

- Boże, Boże - szepczę z przerażeniem, chowając twarz w dłoniach.

Już wiem, że to był sen, ale tak realistyczny, że groza mojego czynu nadal mnie przepętnia. Poczucie winy dławi mnie za gardło, przekonanie, że nie odkupię jej inaczej jak własną śmiercią. Potrzebuję bardzo długiej chwili, żeby sobie uświadomić, że Aldona jeszcze nie urodziła, że Rafałka nie ma jeszcze na świecie, a tym samym nie mogłam go zabić.

Kiedy się urodzi, nigdy nie odważę się wziąć go na ręce.

Tylko jak ja to Aldonie wytłumaczę?

Jestem tak roztrzęsiona, że próba napicia się mleka - jak zwykle po koszmarnym śnie, choć dotąd koszmary dotyczyły wyłącznie wypadku - kończy się niepowodzeniem,

karton wypada mi z ręki i ląduje na podłodze. Nie podnoszę go ani nie ścieram rozlanego mleka, tylko szukam w domowej apteczce czegoś na uspokojenie. Znajduję jedynie melisę i choć wątpię, by okazała się skuteczna - w obecnej chwili potrzebuję potężnej dawki chemii, a nie ziółek - zaparzam ją z braku czegoś lepszego. Ze szklanką 141

gorącego naparu wychodzę na balkon. Popijam drobnymi łykami, parząc sobie wargi.

Wracam myślami do mojego przerażającego snu. Czy nie świadczy on o tym, że ewoluują we mnie krwiożercze instynkty? Jestem przekonana, że w rzeczywistości nie posunęłabym się tak daleko, ale czy aby na pewno mogę na sobie polegać? Czy mogę zagwarantować, że kiedy będę trzymała na rękach dziecko Aldony, nie znajdzie mnie taki impuls jak we śnie? Zastanawiam się. W tej chwili mogę zagwarantować, że jeśli taki impuls mnie znajdzie, na sto procent mu się oprę. Ale przez ile czasu jeszcze? Przecież to narasta. Od bladego wyobrażenia, że zrzucam regał na chłopca w hipermarkecie, po plastyczny obraz rozprysniętego mózgu na ścianie. I będzie eskalowało, bo ma pożywkę: niespełnioną tęsknotę za własnym dzieckiem.

Wzdycham. Co mam zrobić? Posunęłam się przecież nawet do rzeczy kiedyś dla mnie niewyobrażalnej, do sztucznego zapłodnienia, i to też nic nie dało. Czy żeby chronić siebie i innych mam się całkowicie odciąć od ludzi? Zamknąć się na przykład w klasztorze? Przez chwilę rozważam tę myśl.

Właściwie dlaczego nie? Setki kobiet wstępują do zakonów, nie mają dzieci ani mężów, a mimo to są szczęśliwe. Ja jestem wierząca, a świat najwyraźniej nie ma mi nic do zaoferowania - to chyba wystarczające podstawy, by zdecydować się na klasztorne życie.

Wzdrygam się, bo nagle coś ciepłego i szorstkiego przesuwają mi się po ręce. Niemal jak na filmowej przebitce widzę spływającą po ręce szaro-czerwoną masę ze snu, ale to tylko Fasolka, która przysłała za swoją panią na balkon, a że nie została zauważona, dała o sobie znać językiem. No właśnie, Fasolka... - biorę ją kolana - w klasztorze chyba nie wolno trzymać psów, a za nic jej nie oddam. Poza tym uświadamiam sobie, że nie umiałabym zrezygnować z wielu innych rzeczy, które jednak mam. Ze spotkań z tatą,

142

z przyjaźni z Aldoną, z przyjemności zakupów, z książek...

Chociaż w klasztorze wolno chyba czytać coś poza Biblią?

Ale pewnie nie wszystko, pewnie siostra przełożona cenzuruje lektury i nie przepuszcza tych z „momentami”

i wulgaryzmami. Prasa kobieca i Gretkowska byłyby raczej

na indeksie. Nie, sama wiara i ciągłe kopniaki od świata

nie są dobrym powodem, żeby wstępować do klasztoru,

do tego potrzeba prawdziwego powołania i odrobiny...

nienormalności. A ja zawsze byłam na wskroś normalną

dziewczyną. I nawet jeśli teraz prowadzę tylko namiastkę

normalnego życia, chociaż każda radosna chwila pod-

szyta jest świadomością, że jestem nieszczęśliwą kaleką,

to ta namiastka sprawia, że jednak jakoś funkcjonuję i dotąd nie zwariowałam. Przy klasztorным rygorze, modlitwach i umartwianiu się najpóźniej w drugim tygodniu zacząłabym gryźć ściany celi.

Głaszczę Fasolkę, która mruczy zadowolona. Czy dzięki temu, że przytulam się do żywego stworzenia, czy jednak melisa zadziałała, w każdym razie straszny sen jakoś wyblakł, oddalił się, skurczył do rozmiarów tego, czym był: nocną zmorą, a nie przepowiednią, prognozą, zapowiedzią.

Uspokajam się do tego stopnia, że kleją mi się powieki i zasnęłabym na balkonie, gdyby nie to, że u wylotu ulicy dostrzegam jakiś ruch, który przykuwa moją uwagę.

Pojawił się tam spory tłumek ludzi ubranych na czarno. Choć może to ciemność nocy sprawia, że nie rozróżniam kolorów. Ciekawe, dokąd się wybierają. Nie ma tu żadnego nocnego klubu. Nie wracają też z żadnej imprezy, bo trudno założyć, żeby spora grupa imprezowiczów mieszkała na jednej ulicy, poza tym ludzie wracający z imprezy śmieją się, przekrzykują, a ci idą w całkowitym milczeniu.

Widzę, że formują procesję, może to jakaś sekta odprawiająca jeden ze swoich rytuałów? Chyba najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie. Wyinterpretowali sobie z Ewangelii,

143

że Jezus został ukrzyżowany w nocy i na pamiątkę w nocy organizują drogę krzyżową.

Procesja zbliża się w stronę mojego balkonu i wtedy dostrzegam, że mniej więcej pośrodku kołysze się jakiś

podłużny kształt. Trumna! Z przerażenia wciskam pięść do buzi, żeby powstrzymać krzyk. Kondukt pogrzebowy w środku nocy na mojej ulicy! Czy ci ludzie zwariowali? Jakby tego nie było dość, kondukt skręca na ścieżkę prowadzącą do mojej bramy, zatrzymuje się w połowie, a mężczyźni niosący trumnę ustawiają ją na prowizorycznym katafalku. W poświacie księżyca widzę blade, skupione twarze żałobników, ale nikogo nie rozpoznaję. Jeden z nich unosi wieko trumny. Zmarłą jest drobna staruszka, której rysy są mi znajome, ale nie mogę skojarzyć skąd. Może powinnam, może dlatego, że ją znam, ceremonia żałobna odbywa się pod moimi oknami. Żałobnicy przystępują do uroczystego żegnania się ze zmarłą, podchodzą do niej po kolei, coś mówią bezgłośnie, kreślą znak krzyża, ale robią to bez zaangażowania, bez emocji, jakby z braku rodziny ceremonię - wyłącznie pro forma - odprawiali pracownicy zakładu pogrzebowego. Może zresztą tak jest, może staruszka przeżyła swojego męża i dzieci, wszystkich przyjaciół i przed śmiercią sama została na świecie. Czy to takie dziwne? Ja jestem młoda, ale kto przyszedłby na mój pogrzeb poza pracownikami zakładu pogrzebowego? Rodzice, ciocia Małgosia z wujkiem Włodkiem - Dareczek pewnie by się wymigał - Aldona z Mariuszem. A niech pożyję trochę lat i naturalną kolejną rzeczą rodzice i wujostwo odejdą przede mną, niech Aldonie - czego oczywiście jej nie życzę - zdarzy się jakiś wypadek, mój pogrzeb będzie taki jak

ten: umrę w samotności, a dla odprowadzających będę tylko kolejnymi zwłokami, przed którymi trzeba odegrać przedstawienie, a nie człowiekiem mającym historię,

144

człowiekiem, którego żegna się z żalem i bólem, który w życiu żałobników znaczył naprawdę wiele.

Nie, tak nie może być. Ktoś musi pożegnać tę staruszkę ze współczuciem, od serca, a nie dlatego, że mu za to płacą.

Zestawiam Fasolkę i zjeżdżam dźwigiem na dół. Moje pojawienie się wywołuje konsternację żałobników, patrzą na mnie rozszerzonymi ze strachu oczami, pokazują na mnie palcami i coś do siebie szepczą. Ignoruję ich, nie mam czasu zastanawiać się nad ich reakcją. Nachylam się nad trumną i z bliska wpatruję się w twarz staruszki. Skąd ja ją znam? I nagle wiem, nagle ją rozpoznaję, a moje ciało przeszywa lodowaty piorun. To jestem ja, to ja leżę w tej trumnie, to jest mój pogrzeb!

Nie widzę. Jestem niewidomy. Ślepak.

A dzisiaj kończę trzydzieści lat. Siedzę i wpatruję się w telefon. Złe słowo w przypadku niewidomego? Pewnie tak, ale go używam, jak setki innych ślepaków. Spokojnie można do nas mówić „do zobaczenia”. Urażeni czujemy się dopiero wtedy, gdy żegnający się poprawia: „Przepraszam, do usłyszenia”.

Wpatruję się w milczący telefon. Jest mi oczywiście przykro, że nikt nie dzwoni z życzeniami, ale pretensje

mogę mieć tylko do siebie. Nowych znajomych od dawna nie informuję, kiedy mam urodziny, a starsi albo się wykru-
szyli, albo z czasem przestaliśmy składać sobie życzenia.
Zostaje mój brat. Zadzwoń na pewno. Ze zdawkowymi
gratulacjami, żeby wypośrodkować między obowiązkiem
złożenia życzeń a moją niechęcią do ich wysłuchania, która
na pewno nie uszła jego uwagi.

Bo prawda jest taka, że nawet gdyby telefon się urywał,
czułbym się tak samo podle jak teraz. Wiedząc, że ta jedna
najważniejsza osoba nie zadzwoni. Nie ktoś konkretny.

Dziewczyna, której nie mam. Nigdy nie miałem. Jestem
prawiczkiem. Boże, jak ja nienawidzę tego słowa.

Argo trąca mnie nosem w rękę. Wyczuwa zły nastrój
swojego pana. Argo to sześćioletni labrador, mój pies prze-
wodnik. A bardziej przyjaciel niż przewodnik. Potrafię
również chodzić z laską, więc mógłbym obejść się bez
przewodnika. Ale nie bez psa. Nie bez Argona.

Głaszczę go po czarnej błyszczącej sierści.

- Co, zwierzaczku, chcesz pana pocieszyć?

Tak, o kolorach też można z nami rozmawiać. Dwa pokoje
mojego mieszkania są pomalowane na seledynowo. I seledyn
bardziej mi się podoba od ciemniejszego turkusu trzeciego
pokoju. Ten trzeci pokój wynajmowałem kiedyś studentkom.
Nie dlatego, żebym potrzebował pieniędzy. Jestem informa-
tykiem, mam pracę i bardzo dobrze zarabiam. Była to jedna
z moich prób znalezienia sobie dziewczyny.

Z pierwszą sublokatorką nie trafiłem, mimo że na wstępnej

rozmowie zrobiła sympatyczne wrażenie. Przede wszystkim patrzyła na mnie, kiedy do mnie mówiła - kandydatki, które zwracały się do ściany za mną, sufitu albo do Argona, z miejsca skreślałem. Jednak potem nigdy nie wyszliśmy poza poprawne relacje właściciel - lokator i to nie tylko z braku zainteresowania z jej strony, ale także z mojej. Okazała się tępą dziewczyną, dla której studia były takim samym obowiązkiem jak szkoła podstawowa, ich ukończenie było wymagane przez rodzinę, status społeczny i rynek pracy. Wewnętrznej potrzeby studiowania, rozumianego jako poszerzenie intelektualnych i kulturalnych horyzontów, nie odczuwała. „Prawiek i inne czasy” Olgi Tokarczuk, który jej pożyczyłem, oddała mi ze słowami, że przebrnęła przez zaledwie kilka stron i że nigdy nie czytała tak śmiertelnie nudnej książki. Poleciła mi Coelho, a zwłaszcza „Alchemika”. Przeczytałem. I z końcem roku akademickiego wypowiedziałem jej pokój.

Druga miała na imię Kinga. Studiowała psychologię.

Miała niski głos, który przyprawiał mnie o dreszcze. Czytała to samo co ja i słuchała tej samej muzyki. Nadawaliśmy na tych samych falach. Nieraz przegadaliśmy pół nocy, mimo że ja musiałem wstać rano do pracy, a ona na zajęcia.

150

Zwlekałem ze zrobieniem następnego kroku. Nie tylko dlatego, że wiedziałem, że w razie odmowy nie będzie powrotu do dawnej zażyłości. Bałem się tej odmowy, kolejnego odrzucenia, nie chciałem znowu znaleźć się w roli adoratora

żebrzącego o względy.

W końcu się zdecydowałem. Wybrałem dzień, w którym miała zajęcia do samego wieczora i przygotowałem romantyczną kolację. Co jak co, ale gotować umiem. Przyrządziłem solę w sosie kaparowym. Do tego białe Pinot Grigio, które kupiłem dużo wcześniej z myślą o tej chwili. Sto dwadzieścia pięć złotych butelka. Świece. Kłopot sprawił mi strój. Garnitur czy sweter? Uznałem, że garnitur wypadnie sztywno i tylko będzie krępował Kingę, której nie zdołam przecież nakłonić do włożenia wieczorowego stroju, nie mówiąc, o co chodzi.

Wróciła do domu z jakimś kolegą. Pech, bo gości nie przyjmowała zbyt często. No nic, musiałem uzbroić się w cierpliwość. Czym jest godzina albo dwie, kiedy potem człowiek całe życie może być szczęśliwy. Nasłuchiwałem głosu tego jej kolegi, ale go nie rozpoznawałem. Musiał odwiedzać Kingę pierwszy raz. Nie wyszedł po godzinie czy dwóch. Po pięciu też nie. Został na noc. Kiedy dobiegły mnie te odgłosy, doznałem szoku. Kinga nie miała chłopa i ani jej zachowanie, ani słowa nie wskazywały na to, że w ostatnim czasie coś się zmieniło. Wrobiłem też sobie o niej pogląd, że nie jest dziewczyną na jedną noc, że nie uznaje randek one-night-stand. Więc co? Wielka miłość od pierwszego wejrzenia? Te rozważania prowadziłem już na dworze. Nie miałem siły zostać w mieszkaniu i słuchać ich miłosnych jęków. Przełożyłem tylko solę do miski Argona i błyskawicznie sprzątnąłem nakryty stół, zawijając

po prostu wszystko w obrus - świece, talerze, kieliszki,
sztućce i wino za sto dwadzieścia pięć złotych - który wy-
rzuciłem do śmietnika. Nie chciałem, żeby Kinga ani tym
151

bardziej ten jej gach zobaczyli, co przygotowałem. Resztę
nocy spędziłem na ławce w Parku Szczytnickim przytulony
do Argona. Ten byłby szczęśliwy, bo zjadł kolację swojego
życia i to na świeżym powietrzu, gdyby nie jego empatia.
Lizał mnie po twarzy, próbując mnie pocieszyć, podczas
gdy ja rozpaczliwie starałem się zagłuszyć w sobie wes-
tchnienia i jęki Kingi. Odgłosy, które znałem dotąd tylko
z sekstelefonu, kiedy raz zdecydowałem się zadzwonić
(potem miałem takiego moralnego kaca, że nigdy więcej
tego nie zrobiłem), ale nie z własnego doświadczenia. Jaka
przebijała z nich rozkosz. Dlaczego to nie moje pieszczoty
ją powodowały?

Później stanąłem przed dylematem, co zrobić. Zakazanie
Kindze takich wizyt byłoby nie w moim stylu i złamaniem
umowy - wynajmując jej pokój, zezwoliłem na przyjmowanie
gości bez ograniczeń, a co z nimi robi, to jej prywatna sprawa.
Może przywyknę, myślałem. Nie, była dziewczyną, wobec
której miałem jakieś nadzieje, a zresztą nawet gdyby była
mi całkowicie obojętna, nie potrafiłbym znieść, że za ścianą
mojego pokoju dwoje ludzi uprawia seks, a ja, choć ciągle
o tym marzę i myślę, nie umiem doprowadzić do tego, żeby
znaleźć się z kobietą w podobnej sytuacji. Pozostawały
noce spędzane na parkowej ławce, co też mi się nie uśmie-

chało. Zdecydowałem się uczciwie z nią porozmawiać.

Powiedziałem jej o przygotowanej kolacji, że miałem nadzieję, że nasze stosunki z przyjacielskich przerodzą się w bardziej intymne, i w jaki sposób dowiedziałem się, że tak się nie stanie. I poprosiłem - zaznaczając, że nie mogę jej tego zakazać - żeby jej chłopak nie zostawał tu na noc. Spełniła moją prośbę. Ale skończyły się rozmowy do białego rana, a po ostatniej sesji egzaminacyjnej wyprowadziła się. Więcej tego pokoju nie wynajmowałem.

Dzwoni telefon. Argo unosi głowę i szczeka. Podnoszę słuchawkę.

152

-Halo.

- Cześć, bracholku - słyszę głos Krzyśka. - Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, no, zdrowia przede wszystkim, bo to najważniejsze. Basia się dołącza. - Basia to jego żona.

- No, trzydziecia to piękny wiek, człowiek jest ustawiony w życiu, a jeszcze młody i wszystko przed nim. Co ja bym dał, żeby mieć trzydzieści lat...

Mój brat ma czterdzieści pięć. Nie wiem, dlaczego moja matka zdecydowała się dobrze po czterdziestce na drugie dziecko. Nie będąc do tego najlepszego zdrowia. Efekt: moja całkowita ślepotą wskutek zaniku nerwu wzrokowego.

- Dzięki, podziękuj też Basi. - Zadowolony jestem, że część oficjalną mamy za sobą i że Krzysiek nie życzył mi, żebym znalazł sobie żonę. Zdaje sobie sprawę, że tylko by mnie tym zirytował i jeszcze bardziej zepsuł humor.

- Co tam u was?

Obaj z ulgą przechodzimy do codziennych tematów.

Co nie znaczy, że nie potrafimy rozmawiać o sprawach poważnych. Ale są takie, o których ja mówić nie chcę, a mój brat to respektuje. Mamy ze sobą znakomity kontakt mimo dzielącej nas różnicy wieku. A może właśnie dlatego. Krzysiek niejako zastąpił mi rodziców, którzy nie dość, że nigdy nie pogodzili się z faktem, że mają niewidomego syna, to jeszcze traktowali moje kalectwo jako wyrządzoną im osobiście przeze mnie złośliwość. Najchętniej oddaliby mnie do internatu w Laskach i odwiedzali z obowiązku raz w miesiącu albo jeszcze rzadziej. Krzysiek się temu sprzeciwił, bo uważał, że miejsce kilkulatka jest w domu, a nie w czymś na kształt koszarów i że oderwany od najbliższych na pewno się zmarnuje. Wywalczył, że posłali mnie do normalnej szkoły, co wymagało też przeprawy z władzami, bo w tamtych czasach zwykłe szkoły były dla niewidomych zamknięte i gdyby Krzysiek przez swojego kolegę ze studiów nie dotarł do I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego

153

PZPR, pewnie trafiłbym do szkoły specjalnej. Potem pomagał mi w rozwiązywaniu praktycznych problemów, chodził na wywiadówki, wspierał mnie psychicznie. Ściągnął nauczycieli z Polskiego Związku Niewidomych, którzy nauczyli mnie brajla i chodzenia z laską. Jego działania zmierzały do tego, żebym w przyszłości mógł prowadzić samodzielne życie jako pełnoprawny członek społeczeństwa, a nie za-

mknięty w getcie niepełnosprawnych, podczas gdy rodzice oczekiwali, że zajmie się mną państwo: da mi najpierw miejsce w internacie wśród mnie podobnych, a potem posadę w fabryce szczotek. Kiedy w 1989 roku rodzice zmarli - wypadek, zatrucie czadem z piecyka gazowego - Krzysiek i Basia, z którą krótko potem się ożenił, w pełni mi ich zastąpili. Może zabrzmiało to strasznie, zwłaszcza że mówimy o odczuciach dwunastolatka, ale byłem z tej zamiany bardzo zadowolony.

- To co, Jacek - kończy rozmowę mój brat - zobaczymy się jak zwykle w niedzielę?

Co niedzielę jestem zapraszany do nich na obiad. Lubię te rodzinne obiady, zwłaszcza spotkania z bratanicami, szesnastoletnią Marzeną i moją pupilką trzynastoletnią Klaudią. A obie uwielbiają wujka, także dlatego, że nie szczędzi im prezentów. Aż Krzysiek z Basią zażądali, żebym się ograniczył, bo nadmiernie rozpieszczam dziewczynki. Musiałem przyznać im rację. Rekompensowałem sobie to, że nie mam osoby, którą mógłbym rozpieszczać.

- Oczywiście, będę.

Żegnamy się i rozłączamy. Idę do kuchni, żeby przyrządzić sobie kolację. Nastawiam ekspres do kawy, kroję chleb. Argo przydreptał za mną i mnie obserwuje. Wie, że on też dostanie jeść.

Zastanawiam się nad tym, co powiedział Krzysiek, że trzydziestka to jeszcze młodość. Średnia długość życia mężczyzny wynosi w Polsce siedemdziesiąt lat, czyli rzeczywiście nie

dobiłem jeszcze do połowy. Ale mówienie o młodości jest chyba lekką przesadą, zwłaszcza że samotni żyją krócej. „Początki wieku średniego” byłoby właściwszym określeniem. Człowiek po trzydziestce jest dojrzały, atrybutem młodości jest niedojrzałość. Inna sprawa, że nie czuję się dojrzały. Przez to, że nie jestem za nikogo odpowiedzialny. No owszem, za Argona, ale to zwierzę, nie człowiek. Usamodzieliłem się, pracuję, dobrze zarabiam, ale ominął mnie ten etap, który dla większości ludzi przypada między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia: poważny związek lub małżeństwo. I tak stanąłem w rozkroku między samodzielnością dorosłego człowieka a typowymi dla nastolatka marzeniami o pierwszej dziewczynie.

Ekspres prycha, zasysając resztki wody. Nalewam kawę do filiżanki, brzęczyk - fachowo nazywa się to sygnalizator poziomu cieczy albo płynomierz - informuje mnie, kiedy jest pełna. Otwieram lodówkę i zastanawiam się, na co mam ochotę. Decyduję się na salami. Odpalam dwa plasterki Argonowi. Nie powinienem go tak rozpieszczać, ale co tam, on też nie ma kobiety, niech przynajmniej pocieszy się smakołykami. Argo połyka plasterki jak muchę i domaga się więcej. Nie mam serca odmówić. Daję mu jeszcze dwa plasterki, ale potem napełniam miskę karmą.

Zabieram jedzenie do pokoju. Sprawdzam na zegarku godzinę. Szwajcarskie cudeńko, które sam sobie kupiłem na poprzednie urodziny. Wcześniej miałem gadający zegarek,

ale darł się tak, że w miejscu publicznym było to trochę krępujące. Ten, w którym układ wskazówek wyczuwam palcami, jest o niebo lepszy. Dochodzi wpół do ósmej. Włączam telewizor na Wiadomości. Lustracja i jeszcze raz lustracja, nudzi mnie to i irytuje - dlaczego ściga się donosicieli, a zostawia w spokoju tych, którym donoszono? - chcę już zmienić kanał, kiedy zaczynają mówić o kłótniach między PiS-em a koalicjantami. Po Wiadomościach przełączam

155

na „Kropkę nad i”, żeby posłuchać, jak Monika Olejnik miażdży kolejnego polityka.

Kiedy polityk jest zmiażdżony, gwizdżę na Argona.

Nakładam mu zwykłą smycz, a nie uprząż, bo nie ma mnie nigdzie prowadzić, wybieramy się tylko na spacer. Biorę białą laskę, blondynkę, jak slangowo mówią na nią ślepacy, na prawdziwą blondynkę mnie nie stać, myślę z goryczą, i wychodzimy z Argonem na dwór. Owiewa nas ciepłe majowe powietrze. Jeszcze powinno być jasno, ale ja tego nie widzę. Takich całkowicie niewidomych jak ja jest stosunkowo mało, większość odróżnia jednak światło od ciemności albo dostrzega jakieś kontury. Kierujemy się wąskimi uliczkami Sępolna w stronę kina Światowid. Dla mnie pozostanie ono zawsze kinem, chociaż po osiemdziesiątym dziewiątym budynku zwrócono protestantom i teraz mieści się tu ich kościół. Brat zabierał mnie do Światowida na niedzielne poranki, na „oglądanie filmu”, jak zawsze podkreślał. Nauczył się tego na kursie rehabilitacyjnym w Jadwisinie pod Warszawą,

że jak film się ogląda, to ogląda go również niewidomy, choć treść między dialogami trzeba mu opowiadać. W ogóle ten kurs - pojechaliśmy na niego, kiedy miałem cztery czy pięć lat - zmienił postrzeganie przez Krzyśka moich życiowych perspektyw. Wcześniej mój brat też myślał, że jeśli nie okażę się muzykalnie wybitnie uzdolniony (każdy uważa, że utalentowany ślepek może zostać śpiewakiem, ale pisarzem już nie!), to szczytem kariery będzie dla mnie zdobycie zawodu masażysty. Tymczasem tam zobaczył, że na tle innych dzieci, nie tylko niewidomych, ale i upośledzonych umysłowo czy ruchowo, moja niepełnosprawność jest właściwie umiarkowana. A różne testy przeprowadzane przez instruktorów w formie gier i zabaw wykazały, że odznaczam się bardzo wysoką inteligencją. Wyszło też, że słuch muzyczny mam raczej przeciętny, ale tym Krzysiek już się nie przejął, bo zrozumiał, że tak naprawdę stoi przede mną

156

otworem wiele zawodów, w których zdobyciu przeszkadza niewidomym nie brak wzroku, tylko nastawienie społeczeństwa i ich własne. To po tym kursie rozpoczął z rodzicami wojnę o moją normalność.

Docieramy na skwer przed kino-kościółem. Nasłuchuję odgłosów innych ludzi, ale nikogo nie słyszę. Co nie wyklucza, że na ławkach siedzą jakieś pary. Pora i miesiąc odpowiednie. Ta myśl dodatkowo mnie dołuje.

-Nie obraż się, zwierzaczk, ale zamieniłbym cię na dziewczynę - mówię do Argona. - Mimo wszystko.

Argo szczeka ze zrozumieniem, wie, że mężczyzna potrzebuje kobiety i najlepszy nawet pies jej nie zastąpi. Obchodzimy skwer. Argo obwąchuje teren, może w poszukiwaniu śladów jakiejś ładnej labradorki. Potem wracamy, głównie ulicą, bo chodniki są zastawione przez parkujące samochody.

W domu włączam laptop i sprawdzam pocztę. Gadacz, czyli program mówiący, informuje mnie, że mam trochę reklam, trochę spamu, ale żadnej korespondencji. Przeglądam listę dyskusyjną ślepaków. Jak zwykle panuje na niej spory ruch i jak zwykle spora część wypowiedzi to gładzenie o niczym. Niektórym wyraźnie się nudzi. Moje zainteresowanie wzbudza temat o domofonach brajlowskich. Zastanawiam się, czy rzeczywiście są potrzebne. Jeśli do kogoś się wybieram, proszę o opisanie domofonu, czy przyciski umieszczone są rzędami, czy z góry na dół i na miejscu po prostu je liczę. Jeśli nie mogę sobie poradzić, dzwonię z komórki z prośbą o otwarcie drzwi.

Przeoglądam swój zbiór zeskanowanych książek, zastanawiając się, co poczytać sobie przed snem. Decyduję się na „Cały czas” Janusza Andermana. Najpierw przygotowuję się do snu i kładę się z laptopem do łóżka. Mógłbym też posłuchać książki z taśmy, ale wolę metaliczny, bezosobowy głos gadacza niż nagrane interpretacje aktorskie, które

157

właśnie przez to, że są interpretacjami, wpływają na mój odbiór powieści. No i z gadaczem czytam szybciej, gada

w takim tempie, że kiedy puszczam go widzącym, mówią, że nie rozróżniają żadnych słów. Powinienem więcej czytać brajlem, żeby nie zapomnieć ortografii, ale poza moim lenistwem na przeszkodzie stoi niewydolność PZN-u, który niewiele tym brajlem potrafi wydać, a ja jestem tradycjonalistą i książkę w brajlu zdecydowanie wolę czytać na papierze niż na komputerze.

Kiedy zaczynam przysypiać, wyłączam laptop.

*

Nieprzyjemny sen, w którym jestem odrzucany przez kolejną dziewczynę, czyli senną wersję rzeczywistości, przerywa dźwięk budzika. Szósta piętnaście. Budzik milknie po dwudziestu sekundach, a ja przewracam się na drugi bok. Dziesięć minut później odzywa się drugi budzik. Nakrywam głowę poduszką. Równie w pół do siódmej trzeci budzik informuje mnie, że odroczenia już nie będzie, muszę wstawać. Pomaga mi w tym Argo, który ściąga ze mnie kołdrę. Zwlekam się z łóżka i idę pod prysznic.

Pod strugami najpierw lodowatej wody, która ma mnie do końca obudzić, po raz n-ty zastanawiam się, czy nie rzucić etatu i nie przejść na telepracę w domu. Jestem nocnym markiem, wstawanie o w pół do siódmej rano jest dla mnie męką bez względu na to, jak wcześnie się położę. Długo byłem przekonany, że to rodzaj anomalii, społeczeństwo jest przecież zorganizowane pod skowronki, a do czasu wynalezienia sztucznych źródeł światła właściwie nie mogło funkcjonować inaczej, ale kiedyś wpadła mi w ręce

jakaś popularnonaukowa publikacja na ten temat. Wynikało z niej, że zegar biologiczny sporej części ludzi jest przesunięty w stosunku do rytmu dnia wyznaczanego wschodem i zachodem słońca. Ich późne wstawanie nie jest skutkiem

158

lenistwa. Co więcej, sówki działają efektywniej, śpiąc długo w dzień i pracując po nocach, natomiast przestawianie się na siłę na dzienny tryb życia może niekorzystnie odbijać się na ich zdrowiu. Niestety, muszę się z tym pogodzić. Skoro nie mam rodziny, praca w domu oznaczałaby, że całymi dniami nie widywałbym ludzi. Nie wytrzymałbym tego zbyt długo.

Przyrządzam sobie musli na śniadanie. Argo staje na tylnych łapach i dopomina się, żebym się z nim podzielił, więc podtykam mu talerz pod nos, żeby przekonał się, że nie jest to coś, na co miałby ochotę. Skomli zawiedziony.

- Tak, tak, masz rację, supersmaczne to to nie jest, ale zdrowe.

Nasypuję mu karmy do miski i jemy śniadanie, słuchając radia RMF. Janusz Radek i Małgorzata Markiewicz śpiewają akurat „Psalm dla Ciebie” Piotra Rubika:

Pytam się gwiazdy, co drogę wskazać błędzącym
miała,

Czemu ze wszystkich pragnień na świecie to ty mnie
wybrałaś,

Gwiazda, co w rzece wciąż się przegląda, też tego nie
wie,

Czemu ze wszystkich pragnień na świecie wybrałem
ciebie.

Czemu ja nie mogę zadać takiego pytania? Czemu ja nie
mogę zaznać tego cudu, że jestem dla kogoś najważniejszym
człowiekiem na świecie? Wzdycham. Nie mam siły podnieść
ręki z łyżką do ust. Ogarnia mnie poczucie beznadziejności.
Kładę się na łóżku, zwijam w kłębek, kciuk do buzi, będę tak
leżał, aż umrę, po co mam wstawać, przecież to wszystko nie
ma sensu, skończyłem trzydzieści lat, a jestem prawiczkiem,
nigdy nie miałem dziewczyny i mieć nie będę, żadna nie

159

chce ślebaka, więc po co mam chodzić do pracy, zarabiać
pieniądze, dla kogo?

Argo ciągnie mnie zębami za szlafrok.

- Zostaw! - odganiem go.

Warczy i ani myśli mnie posłuchać. Zapiera się łapami
o łóżko i ściąga mnie na podłogę. Uderzam się boleśnie
w łokieć. Krzyczę zły na Argona. Przestraszony chowa
się w kącie, ale swój cel osiągnął. Rozpacz ustąpiła złości,
a rozzłoszczony człowiek nie chce umierać, chce coś rozbić,
innymi słowy, działać. Rozcieram stłuczony łokieć i wstaję
z podłogi.

Ubieram się, sprawdzając testerem kolorów, co wkładam,
żeby nie wyglądać pstrokato. Czarne dżinsy, beżowa
koszula, brązowy sweter, szare skarpetki. Trochę za-
tuję, że nie pracuję w banku, bo nie ukrywam, że lubię
ubrać się elegancko w garnitur i pod krawat, no ale in-

formatycy podobnie jak dziennikarze pracują w stroju niedbałym. Może kiedyś zostanę posłem, wtedy będę chodził do pracy w garniturze. Posłowie na wózkach już są, dlaczego nie niewidomi. Tylko musiałbym zapisać się do jakiejś partii. Albo jakąś założyć. Gretkowska założyła partię kobiet, może ja założyłbym partię mężczyzn niemężczyzn, prawiczków. Ciekawe, ilu jest takich jak ja. Nie licząc księży.

Zabieram jeszcze Argona na szybki spacer, ale zakładam mu uprząż, bo kiedy wracamy, czeka już na nas taksówka, o czym powiadamia krótki klakson. To, że nie mogę prowadzić samochodu, nie oznacza, że mam się tłuc tramwajami czy autobusami, wystarczyło mi na studiach. Pomijając ścisk, wkurzało mnie, że ludzie ustępowali mi miejsca.

Nie jestem stary, niedołączny ani schorowany. Jestem niewidomy, ale nogi mam zdrowe, doskonale mogę stać.

Wsiadam do taksówki. Wynegocjowałem stałą umowę z firmą taksówkarską, tak że codzienny transport do pracy

160

i inne wyjazdy nie kosztują mnie więcej, niż gdybym utrzymywał własny samochód.

- Dzień dobry - witam się.

- Dzień dobry panie Jacku - odpowiada tubalnym głosem kierowca, pan Sławek, który wozi mnie najczęściej. - Jak tam zdrówko?

- Dziękuję, dobrze. A co u pana?

- Stara bida.

I pan Sławek zaczyna rozwodzić się nad własną niedolą, spowodowaną przez rządzących, co go tym bardziej irytuje, że ich nie wybierał, bo na wybory z zasady nie chodzi, polityką się nie interesuje. Ten brak zainteresowania nie przeszkadza mu w wyrażeniu opinii, że politycy to banda złodziei, myślących tylko o tym, jak dorwać się do koryta. Pan Sławek ma sześćdziesiąt lat, willę nieobciążoną hipoteką, niedawno zmienił samochód na nowy, wykształcił trójkę dzieci w intratnych zawodach i pomógł im na starcie, cieszy się garstką zdrowych wnuków, ale uważa się za pokrzywdzonego przez los, bo nie urodził się tysiąc kilometrów dalej na zachód.

- Wojnę, panie Jacku, przegrali i dobrze na tym wyszli - ciągnie swoją tyradę - a my ciągle pięćdziesiąt lat za Murzynami.

Nie komentuję tego i słucham go piąte przez dziesiąte.

Pan Sławek nie oczekuje zresztą odpowiedzi, woli wygłaszać monologi, co mi pasuje, bo z ludźmi jego pokroju

- przekonanymi, że wiedzą wszystko o świecie, chociaż ta ich wiedza stanowi zlepek przesądów i stereotypów

- nie mam wspólnych tematów. Krzysiek potrafi rozmawiać z każdym matołkiem. Kiedy słyszę, jak prowadzi poga-

wędki z ludźmi o inteligencji piżmoszczura (żeby zacytować Stefana Niesiołowskiego), nieodmiennie wywołuje to mój

podziw. Mój brat twierdzi - choć ja się z nim nie zgadzam

- że nie jest to wrodzona umiejętność, tylko nabyta w trakcie

wykonywania zawodu, który wymaga od niego styczności z ludźmi ze wszystkich warstw społecznych. Krzysiek jest okulistą. I mówmy o wolności wyboru, kiedy brat ślebaka zostaje lekarzem okulistą.

Wsluchuję się w odgłosy Wrocławia w porannym szczycie. Śledzę trasę na podstawie charakterystycznych dźwięków i zakrętów, i uwag pana Sławka.

- Tego placu Grunwaldzkiego to chyba nigdy nie skończą, a nawet jak skończą, to ta cała przebudowa psu na buty, przepustowość nie wzrosła ani o jeden samochód. W Chinach, panie Jacku, to by tego, co to projektował, zwyczajnie rozstrzelali, a u nas pewnie dostał zlecenie po znajomości i założę się, że jeszcze premię dostanie, choć na kilometr widać, że psom powinien buty szyć, a nie skrzyżowania projektować!

Zastanawiam się, dlaczego pan Sławek uwziął się na psy i buty i dlaczego psy występują w niepochlebnej roli w tylu frazeologizmach, kiedy to takie kochane zwierzęta.

Po jednym postoju na światłach - pozostałe musimy mieć zielone - zjeżdżamy w dół; tunel na placu Dominikańskim. Czyli już niedaleko. Firma programistyczna Grendel, w której pracuję, mieści się w rynku w Pasażu pod Błękitnym Słońcem. Pan Sławek wjeżdża swoim mercedesem na plac Solny i zatrzymuje się na miejscu dla niepełnosprawnych. Natychmiast pojawia się funkcjonariusz straży miejskiej, najwyraźniej jakiś nowo przyjęty, ale odchodzi zawiedziony, kiedy pan Sławek, szczęśliwy, że może utrzed

nosa przedstawicielowi władzy, pokazując na moją białą
laskę, udowadnia, że ma pełne prawo tu parkować.
Przechodzę z placu Solnego na plac Gołębi. Ponieważ
mam jeszcze chwilę czasu, obchodzę rynek dookoła.
Dodatkowa dawka tlenu nie zaszkodzi przed ośmiogo-
dzinnym siedzeniem przed ekranem laptopa. Argo zatrzy-
muje mnie przy fontannie. Nie wiem, co go w niej fascynuje,

162

ale zawsze tu przystaje i wspina się łapami na kamienne
obramowanie.

Docieramy do Pasażu pod Błękitnym Słońcem, mijamy
księgarnię na parterze i wspinamy się na pierwsze piętro.
Siedzibę firmy tworzą dość obszerny przedpokój pełniący
funkcję sekretariatu i dwa pokoje, z czego mniejszy zaj-
muje szef, a drugi czterech pracowników. Trzech mężczyzn
i jedna kobieta.

- Cześć, Jacek! - wita mnie sekretarka.

W firmie wszyscy jesteśmy ze sobą na „ty”.

- Cześć, Mariolka.

Z uwag pozostałych kolegów wiem, że Mariola mimo
że jest po czterdziestce to seksbomba, do której nie umywa
się niejedna dwudziestolatka. Zresztą sam to wyczuwam
po jej sposobie poruszania się i zmysłowym głosie, a jak
kiedyś na siebie wpadliśmy, to jej krągłe kształty wywołały
u mnie niemal bolesną erekcję. I niczego bym bardziej
nie pragnął, niż z nią być, ale po pierwsze jest mężatką
- a mam wrażenie, że skoro nie potrafię zdobyć wolnej

dziewczyny, to tym bardziej nie będę potrafił uwieść mężatki - a po drugie, odmawiając, pewnie litowałaaby się nademną, a ja nie mógłbym znieść ani jej litości, ani własnego rozczarowania, co popsułoby relacje między nami. Z tego względu nie startuję też do drugiej pracownicy w firmie, Anki, młodszej ode mnie o trzy lata szczupłej blondynki o perlistym śmiechu. Wyjątkowo od potrzeby znalezienia sobie kobiety ważniejsza jest dla mnie atmosfera w pracy. Bo to mój drugi dom. A tak właściwie jedyny, jaki mam.

- Zostawisz mi Argona? - pyta Mariola słodkim głosem.

- Przecież wiesz, że klienci się go boją.

- Schowam go pod biurkiem, a tak uwielbiam grzać sobie o niego stopy. No proszę cię. Mam bardzo proszącą minkę.

163

Daję się przekonać, zazdrozcząc Argonowi, że Mariola będzie pieściła go stopami i zastanawiam się, czy aby nie jestem fetyszystą.

Wchodzę do pokoju i witam się z pozostałymi, którzy dzisiaj pojawili się przede mną, zwykle nie przychodzę ostatni. Poza Anką są to Grzesiek i Robert. Grzesiek jest z nas najstarszy, ma 33 lata, jest żonaty, ma dwójkę dzieci, klasycznie, syna i córkę. Robert, rówieśnik Anki, jest ucieleśnieniem informatyka z dowcipów: chudy okularnik w wyciągniętym swetrze, żyjący w świecie komputerów. Kobiety wydają się go kompletnie nie interesować, nigdy nie komentował

wdzięków Marioli. Zastanawiam się jednak, czy tak jak w moim wypadku nie jest to poza nieudacznika, który nie potrafi sobie znaleźć dziewczyny. Ale jestem zadowolony z jego obecności, przynajmniej nie czuję się najgorszy.

Dzień pracy zaczynam od nastawienia elektrycznego czajnika i wsypania do filiżanki trzech kopiastych łyżeczek kawy, tyle potrzebuję, żeby mój umysł o ósmej rano nabrał niezbędnej do pracy świeżości - i jak tu się nie zgodzić z teorią, że walczenie z własnym zegarem biologicznym jest szkodliwe dla zdrowia.

- Pij taką siekierę, a jak będziesz w moim wieku, to karetka zabierze cię z zawałem. - W drzwiach swojego gabinetu stanął Adam, właściciel Grendela i nasz szef, przystojny czterdziestolatek. „Ciacho”, jak mówi o nim Anka. -I nie do szpitala, tylko prosto na cmentarz, bo wtedy w Polsce nie będzie już żadnych szpitali. Słyszeliście, co się wyprawia? Służba zdrowia jest zadłużona na sześć miliardów i tych pieniędzy rząd nie ma. Ale siedemdziesiąt miliardów na emerytury dla górników się znajdzie!

Adam nienawidzi socjalistycznej mentalności Polaków, stawiającej pracę fizyczną wyżej od umysłowej. I tęsknoty za PRL-em. Powtarza, że tych, którzy tęsknią za komuną, powinno się przymusowo przesiedlać tam, gdzie

164

idee komunistyczne w pełni wprowadzono w życie, czyli do Korei Północnej i na Kubę. I dziwi się, że ci krytykujący kapitalizm emigrują do krajów jeszcze bardziej kapitali-

stycznych. Sam przeszedł drogę typową dla ludzi, których zmiana ustroju zastała na studiach. Jak jego rówieśnicy, nie wybierał kierunku pod kątem przyszłej pracy, tylko kierując się zainteresowaniami. Zdecydował się na anglistykę (czego ślad mamy w nazwie firmy - Grendel to potwór z poematu „Beowulf”), bo w liceum angielski był jego ulubionym przedmiotem. Po studiach dostał pracę jako menedżer w dużym zachodnim koncernie, który wchodził na polski rynek, i potrzebował ludzi potrafiących się porozumieć z zagranicznymi pracodawcami, a jednocześnie nieobciążonych nawykami ze starego systemu. Był to paradoks tamtych czasów, ludzie po ekonomii odpadali w staraniach o posady menedżerskie, bo ze studiów wynieśli znajomość planowej gospodarki socjalistycznej i języka rosyjskiego, umiejętności, które na młodym wolnym rynku okazały się całkowicie nieprzydatne. Szansę dostali tacy jak Adam, bez kierunkowego wykształcenia, ale gotowi się doszkolić. I Adam swoją szansę wykorzystał, dorobił się mieszkania, dobrego samochodu i zebrał kapitał na otwarcie własnej firmy.

- Chcesz mieć pracownika śpiącego czy pracującego?

- pytam i zalewam kawę wrzątkiem.

- Żywego!

Adam pija wyłącznie zieloną herbatę i jest wegetarianinem, co zawsze wiąże się z przewrażliwieniem na punkcie zdrowego odżywiania. Jeśli o mnie chodzi, stosuję zasadę równowagi: musli na śniadanie i kawa szatan, drożdżówka,

ale za to obowiązkowo owoc. Ignoruję więc ostrzeżenia Adama, dolewam śmietanki i popijam gorącą kawę, parząc sobie wargi. To też niezdrowe, ale nie znoszę zimnej czy nawet ciepłej kawy, dla mnie musi być gorąca.

165

Siadam przy swoim biurku i podłączam do laptopa linijkę brajlowską. To urządzenie, które pozwala mi odczytywać treści z dysku w brajlu i tak samo je zapisywać. Gadacz nie nadaje się do programowania, bo nie jest precyzyjny, a przy programowaniu ważny jest każdy znak. No i korzystając z gadacza, muszę zapamiętać, gdzie co mam, a w brajlu po prostu to „widzę”.

Rozpoczyna się normalny dzień pracy, w skupieniu pracujemy przy swoich komputerach, od czasu do czasu ktoś rzuca jakąś uwagę, która niekiedy przeradza się w krótką rozmowę, słyszymy klientów rozmawiających z Mariolą, niektórzy przechodzą przez nasz pokój do gabinetu Adama, po takiej rozmowie Adam najczęściej wychodzi do nas i wydaje jakieś polecenia.

Ja pracuję obecnie nad oprogramowaniem małej księgarni internetowej. Drobne zlecenie od prywatnego klienta, ale Adam takich najbardziej sobie ceni i rzadko im odmawia, chyba że naprawdę nie możemy wziąć więcej zleceń.

- Dywersyfikacja to gwarancja przeżycia - powtarza ciągle Adam. - Jak masz jednego choćby gigantycznego klienta i zostawi cię na lodzie, to jesteś ugotowany. A przy wielu drobnych strata klienta nie oznacza bankructwa.

Moim zdaniem przesadza z tą wizją bankructwa. Grendel prosperuje świetnie, a zapotrzebowanie na usługi informatyczne nie maleje, przeciwnie, ciągle rośnie, ale nie wypowiadam się w tej kwestii. Ostatecznie to nie moja firma, tylko Adama i on decyduje o strategii jej prowadzenia. A że prowadzi ją skutecznie, czego namacalnym dowodem jest sowita pensja wpływająca co miesiąc na moje konto bez żadnych opóźnień od pięciu lat, wtrącanie się albo krytyka z mojej strony byłyby głupotą.

O drugiej schodzimy na obiad do chińskiej restauracji Green Papaya. Mamy na modłę zachodnią 45-minutową przerwę. Bardzo mi odpowiada ten zwyczaj. Do pustego

166

domu mi się nie śpieszy, a tak mogę pobyc dłużej z ludźmi, których lubię. Prywatnych kontaktów nie utrzymujemy. Zastanawiam się, dlaczego. Z tego, co się zorientowałem, oni między sobą też nie spotykają się po pracy. Czyli nie odrzucają mnie jako niewidomego. Może przyczyna leży w tym, że nie znalazła się wśród nas osoba, która wykazałaby taką inicjatywę. Dlaczego ja nie wykażę inicjatywy? Nie chcę narzucać się innym ze swoją ślepotą, nie chcę stawiać ich w niezręcznej sytuacji, że będą musieli skłamać, podając przyczyny odmowy. Czy słusznie postępuję? Pewnie nie. Licząc wyłącznie na inicjatywę innych, wiele tracę. Ale nie umiem tej blokady przełamać.

Składamy zamówienie i czekamy na podanie potraw.

Adam flirtuje z Mariolą, ale to niewinny flirt. Adam jest

gejem i nie robi z tego tajemnicy, a łatwo by się zakamuflował, bo nie ma w nim śladu ciotowatych zachowań.

Od kilkunastu lat jest w stałym związku i oczywiście wykłina nasza zacofane, homofobiczne państwo, które uznaje go za człowieka drugiej kategorii czy wręcz zboczeńca.

Mówi, że rozważał nawet przeprowadzkę do Holandii, gdzie mógłby wziąć ze swoim partnerem ślub, ale, jak stwierdził, nie potrafiłby na co dzień funkcjonować w obcym języku.

Czym, jako filolog, nas zaskoczył.

- Poza tym tu jestem u siebie - dodał wtedy - i mogę psioczyć, a tam nie miałbym moralnego prawa narzekać.

A jako nieodrodny Polak - choć patriotyzm mam gdzieś, czuję się Europejczykiem - lubię sobie ponarzekać.

Może Adam właśnie dlatego dał mi pracę, że zdaje sobie sprawę, co znaczy należeć do wykluczonych. Nigdy się do tego nie przyznał. Oficjalnie zadecydowały moje kwalifikacje, piątki w indeksie z góry na dół i roczna praktyka na stypendium w Austrii. Kiedy zadzwonił po otrzymaniu mojego CV, żeby zaprosić mnie na rozmowę kwalifikacyjną, byłem już po jednej rozmowie, na której pracodawca zaczął

167

od pretensji, że nie uprzedziłem, że jestem niewidomy, więc tym razem przyznałem się już przez telefon.

- Czy to w jakiś sposób obniża jakość pana pracy? - zapytał Adam.

- Absolutnie nie, dzięki synteze mowy programuję równie sprawnie jak widzący.

- No to po co mnie pan o tym informuje? Pan ma wykonać określoną pracę, a czy pan ją wykona oczami czy uszami, to mi jest naprawdę wszystko jedno. Oczekuję pana jutro o pierwszej.

I dostałem tę pracę. Adam, jeśli nawet nie kierował się względami merytorycznymi, nigdy tej decyzji nie musiał żałować. Jestem sumienny, a do tego, nie mając do kogo wracać, chętnie zostaję po godzinach, jeśli jest dodatkowa praca do wykonania. Zresztą gdyby Adam nie był ze mnie zadowolony, pewnie by mnie zwolnił. Bez skrupułów wyrzucił dwóch pracowników: jeden okazał się kiepskim programistą, drugi, mimo że był rewelacyjny, przez swój ciężki charakter wprowadzał paskudną atmosferę w firmie. Adam musiał stoczyć z nim małą wojnę, żeby się go pozbyć; klął przy tym na polskie prawo, które raz zatrudnionemu daje status świętej krowy, z żalem wspominał rozwiązania amerykańskie, gdzie złemu czy niechcianemu pracownikowi można po prostu powiedzieć: jest pan zwolniony, ale w końcu postawił na swoim.

Kelner podaje jedzenie. Adam z udawanym obrzydzeniem komentuje nasze mięsne dania.

- Jak możecie jeść martwe zwierzęta?

- A jak ty możesz jeść martwe rośliny? - paruje Anka.

- Myślisz, że roślina nie cierpi, jak się ją wrywa? Jak się nie potrafi przemieszczać, to uważasz, że nie jest żywym stworzeniem?

- Demagogia - stwierdza Adam, ale nie wyjaśnia, na czym

ta demagogia miałyby polegać.

168

- Człowiek został stworzony po to, żeby jeść mięso
- wtrąca Robert. - To wynika z uzębienia.
- Dobra, zamknij paszczę - mówi Mariola, bo Robert najwyraźniej zademonstrował, że człowiek posiada kły służące do rwania mięsa.
- Sok masz po prawej ręce - informuje mnie Grzesiek.
- Przyprawy na wprost za twoim talerzem. Pieprz po prawej, sól po lewej.
- Dzięki - mruczę i sięgam po przyprawy.
- Człowiek nie został stworzony, tylko wykształcił się w procesie ewolucji, a ewolucja trwa dalej, nie jest to proces mający jakiś koniec, i z czasem stracimy kły, bo następnym etapem rozwoju będzie pełny wegetarianizm. No chyba że uważasz jak ten jełop wiceminister, że ewolucji nie było.
- Nie nazywałbym go jełopem - oponuję. - Orzechowski to po prostu człowiek średniowieczny. W pozytywnym znaczeniu tego słowa, analogicznie do człowieka renesansowego - ironizuję.
- Widziałam go wczoraj w telewizji, jak perorował o homoseksualistach - mówi Anka. - Pardon, o zboczeńcach. Minę miał taką, jakby był bliski wymiotów. Czym ty, Adam, mu się naraziłeś?
- Pewnie co drugą noc ma sen, w którym jakiś umięśniony

przystojniak robi mu laskę, a facet odczuwa przy tym taką przyjemność, że budzi się zlany potem i cały czas na jawie poświęca udowadnianiu, że jest normalny.

- Adam, proszę cię, ja jem! - protestuje Grzesiek. - Czy ja ci podczas jedzenia opowiadam o seksie z kobietą?

- Brr! - wzdryga się Adam. - Przepraszam. Mówiąc „normalny”, Jacek, pokazałem cudzysłów.

Na takich rozmowach upływa nam obiad. Po obiedzie Robert wychodzi na dwór na papierosa, a my wracamy na górę, żeby przepracować dwie ostatnie godziny. Z tym

169

że ja i Grzesiek zostajemy dłużej. Ja nie wyrobiłem się z zaplanowaną na dziś częścią księgarni, a Grzesiek musiał zająć się usterkami w oddanym niedawno oprogramowaniu.

Klient zgłosił, że nie wszystko działa, jak należy, a w takich sytuacjach nanosimy poprawki od razu, choćby klient zadzwonił czy przysłał e-maila na pięć minut przed zamknięciem biura. Kiedy kończymy, dochodzi szósta. W firmie nie ma już nikogo poza nami. Biorę telefon, żeby wezwać taksówkę, ale Grzesiek mnie powstrzymuje.

- Miałbyś jeszcze chwilkę?

- Oczywiście - odpowiadam, zastanawiając się, czego może ode mnie chcieć.

- Jest taka sprawa... - zaczyna, ale milknie i przez długą chwilę nic nie mówi.

-Tak?

- Ewa ode mnie odchodzi.

Ewa to jego żona. Nie wiem, co powiedzieć. Nie wiem, dlaczego zwraca się z tym do mnie. Nigdy mi się nie zwierzał ze swoich rodzinnych problemów.

- Nie mam z kim o tym porozmawiać - wyjaśnia, jakby odgadł moje zdziwienie. - Wczoraj mi powiedziała.

- Dlaczego chce odejść?

- Mówi, że przestała mnie kochać, że oddaliliśmy się od siebie, że nie ma sensu, byśmy byli razem tylko z przyzwyczajenia. Ale to nieprawda, ja ją dalej Kocham. - Ton głosu Grzeska przechodzi w rozpaczliwe rejestry. - A nawet jakbym nie kochał, to przecież są dzieci, dla ich dobra powinniśmy zostać razem.

- Co ona na to? - pytam, bo domyślam się, że powtarza to, co powiedział swojej żonie.

- Że myślę rutynę z miłością, że dzieci czują, kiedy rodzice przestają się kochać i lepiej wtedy, żeby się rozeszli, niż udawali, bo to wbrew pozorom bardziej dzieciom szkodzi niż rozwód.

170

- Ma kogoś innego?

- Twierdzi, że nie.

Nie wiem, o co jeszcze zapytać, ale czuję, że to zbędne, Grzesiek odczuwa potrzebę zwierzenia się, wyrzucenia z siebie tego, co go spotkało. Wystarczy, że będę słuchał. I rzeczywiście, po chwili sam zaczyna mówić.

- Jedenaście lat jesteśmy małżeństwem, a wcześniej dwa lata ze sobą chodziliśmy. Trzydzieści lat razem, wszystko

wydaje się idealnie funkcjonować i nagle jak grom z jasnego nieba...

Słyszę, że jest bliski płaczu. Boże, żeby się tylko nie rozpłakał, dotąd żaden facet przy mnie nie płakał.

- Nigdy jej nie zdradziłem, dbam o nią i o dzieci, i taka nagroda...

W tej chwili jest bardziej rozżalony niż zły czy zrozpaczony.

- Pół nocy nie mogłem zasnąć, wszystko runęło, co ja pocznę, mam się wyprowadzić, ot tak po prostu, po jedenastu latach, jakby nie było tego małżeństwa, zamieszkać w jakiejś kawalerce jak dwudziestoletni szczył bez rodziny i zobowiązań?

Albo trzydziestoletni szczył, myślę sobie.

- Jeśli chcesz, możesz na jakiś czas zamieszkać u mnie.

Mam wolny pokój. - Żałuję tej propozycji, zanim skończyłem ją składać. Tęsknię wprowadzić za drugą osobą w mieszkaniu, ale nie jest nią kolega z pracy.

- Dzięki, ale nie w tym rzecz - odmawia Grzesiek ku mojej uldze. - Stać mnie na wynajęcie kawalerki, sęk w tym, dla czego mam to robić? Przecież nie można tak po jedenastu latach powiedzieć mężowi: „Weź się wyprowadź, bo przestałam cię kochać”!

Nie wiem, co na to odpowiedzieć.

- Byłeś kiedyś żonaty? - zaskakuje mnie Grzesiek pytaniem.

Żonaty? Ja nigdy nawet nie miałem dziewczyny.

-Nie.

- To może miałeś szczęście. Chyba czasami lepiej czegoś nie przeżyć, niż znaleźć się w takiej sytuacji jak ja teraz.

Zastanawiam się, czy rzeczywiście. Na pewno jest mu teraz strasznie ciężko, ale przez trzynaście lat był szczęśliwy. Pewnego dnia zauważył, że o jednej z koleżanek myśli więcej niż o innych, znacznie więcej, spostrzegł, że nie potrafi przestać o niej myśleć, uświadomił sobie, że ją kocha. Ku jego radości odwzajemniła jego uczucie, zgodziła się z nim chodzić. Kiedyś pierwszy raz się pocałowali, kiedyś postawili pierwszy krok w chmurach. Przed ołtarzem ślubowali sobie miłość. Potem rozpieęła go duma, kiedy urodził mu się syn. Kołysał w ramionach ukochaną córeczkę. To wszystko mnie ominęło. Czy zamieniłbym się z nim, nawet gdybym teraz miał cierpieć? Zamieniłbym się.

- No nic, niepotrzebnie zawracam ci głowę, skoro nie cierpiełeś, nie możesz tego zrozumieć.

Teraz jestem zły. Nie cierpiełem?! Zgadza się, że tak spektakularnej tragedii nie przeżyłem, ale za to dzień w dzień przeżywam tragedię samotności, odrzucenia. Kiedy on był szczęśliwy, ja cierpiełem, kiedy on się otrząsnie i znajdzie sobie nową żonę, ja będę nadal cierpieł. A mimo to jego cierpienie jest jakby bardziej uprawnione, może wyjść z nim do ludzi, poskarżyć się, zostanie zrozumiany. Ja bym się tylko ośmieszył, facet, który nie potrafi znaleźć sobie kobiety, zasługuje na pogardę, nie na współczucie.

- Myślę, że jednak rozumiem - mówię, opanowując złość. Ostatecznie Grzesiek niewiele wie o moim prywatnym życiu, odnosi się tylko do faktu, że nie zostałem porzucony przez żonę. - Spróbuj może namówić ją na terapię rodzinną. Przekonaj argumentem, że winna jest ci tę ostatnią szansę, i obiecaj, że jeśli pomoc psychologa nic nie da, wtedy nie będziesz sprzeciwiał się jej odejściu.

172

Grzesiek przez chwilę nic nie mówi. Broni się przed moimi słowami oporem zranionego człowieka, który nie dopuszcza do siebie żadnej rady, ale potem dostrzega w niej szansę, nadzieję, której może się chwycić.

- Jacek! Jesteś genialny? Dzięki, chłopie!

Obejmuje mnie znienacka, ściska i poklepuje po plecach, powtarzając: - Dzięki, dzięki.

Czuję się nieswojo. Nie jestem przyzwyczajony, żeby ktoś mnie tak obejmował i nie lubię tego. Dotyk jest dla mnie sposobem komunikacji, a nie wyrażania uczuć. Odkąd pamiętam, nikt mnie w domu nie obejmował. Nawet Krzysiek.

Na szczęście Grzesiek odsuwa się i szybko zbiera swoje rzeczy.

- Lecę, muszę jej natychmiast to zaproponować.

Zamkniesz firmę?

- Jasne.

Grzesiek wybiega. Obchodzę pokoje i sprawdzam, czy okna są zamknięte. Aktywuję alarm, wyprowadzam Argona na korytarz i zamykam drzwi na klucz.

*

Wieczorem, leżąc już w łóżku, wracam myślami do rozmowy z Grześkiem. Trzynaście lat razem. Ile to jest wspólnie spędzonych romantycznych chwil, ile upojnych nocy, ile szczęścia, radości. Co ja bym dał za to, żeby przeżyć z ukochaną dziewczyną trzynaście lat. Ba, dałbym wszystko za trzy lata, choćbym miał cierpieć przez resztę życia. Czy byłoby mi łatwiej niż teraz, bo miałbym co wspominać, czy, przeciwnie, trudniej, bo wiedziałbym, co straciłem? Trudno mi to ocenić. Na pewno miałbym lepsze wyobrażenie o sobie, nie czułbym się taką niedojdą.

A właśnie trzynaście lat temu podjąłem pierwszą poważną próbę zdobycia dziewczyny. Chodziliśmy razem do liceum. Miała na imię Magda. Nie wiem, czy byłem w niej

173

zakochany. Taką wielką, namiętną miłością, o jakiej czyta się w książkach, nigdy się nie zakochałem. Zastanawiam się, dlaczego nie. Tego rodzaju miłość nie jest wymysłem literatów, miałem okazję obserwować ją wśród najbliższych znajomych. Może to ostrożność? Strach przed okropnym cierpieniem, gdybym został odrzucony? Dopóki nie dostaję pozytywnej odpowiedzi, stawiam tamę i nie pozwalam, żeby uczucia zawładnęły mną w pełni. Czy to da się kontrolować? Czy można świadomie nie dopuścić do tego, żeby się zakochać? A może tu leży przyczyna moich niepowodzeń, dziewczyna czuje, że jej nie kocham, więc odmawia?

Na pewno nie był to powód, którym kierowała się Magda.

Skąd wiem? Powiedziała mi. Była to dziewczyna, która najpierw mówiła, a dopiero potem myślała. Kiedy nasza wychowawczyni, niezwykle wymagająca historyczka, którą niezbyt lubiliśmy, oznajmiła nam, że jest bardzo poważnie chora i kilka miesięcy spędzi w szpitalu, a zastąpi ją kto inny, Magdzie wyrwało się: „O, jak fajnie!” i zreflektowała się dopiero, gdy wychowawczyni spojrzała na nią dziwnym wzrokiem. Z jednej strony nie była głupia, z drugiej miała pstro w głowie. Teraz to dostrzegam. Wtedy chyba też dostrzegalem, ale mimo to mnie fascynowała. Żeby zaproponować jej chodzenie, uciekłem się do małego podstępu. W naszej klasie był zwyczaj, że solenizant zapraszał najbliższych kolegów na lody. Na swoje imieniny zaprosiłem Magdę i nikogo więcej. Kiedy pojawiła się w Tutti-Frutti na Świdnickiej, spóźniona, jak to ona, dobre dwadzieścia minut, ucieszyłem się, że przyszła (nie musiałem grać, bo już myślałem, że nie przyjdzie) i że nie wystawiła mnie do wiatru jak reszta.

- Nieładnie z ich strony - skomentowałem. - Jak nie mieli ochoty iść na lody ze ślepym, to wystarczyło odmówić, a nie najpierw się zgadzać, a potem nie przychodzić.

Współczucie może nie jest najbardziej chwalebłą formą zdobywania kobiety, ale co mi tam, grunt, żeby zadziało.

174

- Może rzeczywiście coś im stanęło na przeszkodzie - bez większego przekonania broniła Magda naszych kolegów, niemających pojęcia, jakimi świniami się okazali.

Spędziliśmy popołudnie we dwójkę. Staralem się ją roz-

bawić, słyszałem, że kobiety zakochują się uszami, a najchętniej w mężczyznach, którzy potrafią skłonić je do śmiechu.

I to mi się udawało, pod tym względem nie jestem od machochy, umiem opowiedzieć dowcip czy zabawną historię.

W końcu musiałem zapytać. I nie mogłem. Strach po prostu odebrał mi mowę.

- Co się stało? - przestraszyła się Magda. - Powiedziałam coś nie tak?

-Nie, nie, skąd. Tylko... chciałbym cię obejrzeć, mogę?

- Obejrzeć? Jak?

- No, palcami.

- Aha. No czemu nie.

Przesunąłem rękami po jej twarzy. Czoło, oczy, nos, policzki, usta, podbródek. Miała bardziej pociągłą twarz, niż myślałem. I taką gładką. Przeniosłem ręce na włosy. Jak jedwab. I takie długie. Zawsze chciałem mieć dziewczynę z długimi włosami.

-Magda...

-Tak?

- Nie chciałabyś ze mną chodzić?

- Dokąd? - parsknęła śmiechem.

- Przestań, wiesz, o co pytam.

Spowaźniała.

-Nie.

- Nie wiesz, o co pytam, czy nie chcesz ze mną chodzić?

- Nie chcę z tobą chodzić.

Nie wiem, jakiej spodziewałem się odpowiedzi. „Tak”
wydawało mi się nadmiernym szczęściem, nierealne,

175

nieprawdopodobne, a zarazem odmowy jakby nie brałem
pod uwagę. Przecież szczerze mi na niej zależało, miałem
wrażenie, że bardzo mnie lubi, dlaczego miałyby odma-
wiać?

A teraz byłem w szoku. Odrzucenie stało się faktem
i odczuwałem je znacznie boleśniej, niż mogłem sobie wy-
obrazić. Dopiero po jej słowach zrozumiałem, jak bardzo
mi na niej zależy. Gorączkowo szukałem w głowie słów,
zdań, które mogłyby zmienić jej decyzję.

- Dlaczego nie?

- No przecież jesteś niewidomy. - To była ta jej przekłeta
bezmyślna szczerść.

Zdumiałem się. Nie dlatego, żebym nie był świadom,
że rówieśnicy odrzucają mnie z powodu mojej niepełno-
sprawności. Mało kto chciał się ze mną przyjaźnić, w pod-
stawówce były to w ogóle jedna czy dwie osoby i na do-
datek też w jakiś sposób poszkodowane przez los: pierwszy
z moich przyjaciół był chyba lekko upośledzony umysłowo,
w każdym razie miał ogromne kłopoty z przechodzeniem
z klasy do klasy - dziwnie wyglądała ta przyjaźń, najlep-
szego i najślabszego ucznia - drugi miał niewładną lewą
rękę. Reszta dawała nam dotkliwie odczuć, że jesteśmy inni.
Okrucieństwo dzieci w tym wieku dorównuje okrucieństwu

hitlerowców.

W liceum było lepiej. Do liceum chodziła już wyselekcjonowana młodzież, inteligentniejsza, starsza, poza tym nastały nowe czasy, skończyła się komuna, która niepełnosprawnych najchętniej zamknęłaby w domach, żeby udowodnić tezę, że socjalistyczne społeczeństwo jest zdrowe i krzepkie.

O kalekach zaczęto mówić, pokazywać ich jako normalnych ludzi, pojawiło się określenie „sprawni inaczej”. Grupa tych, którzy uważali mnie za gorszego, niepełnowartościowego człowieka, nadal była spora, ale nie wypadało im tego głośno powiedzieć, nie tępilli mnie, tylko unikali ze mną

176

kontakty. Powiększyło się natomiast grono osób, które mnie akceptowały. Należała do nich również Magda. I dlatego zdumiał mnie taki powód odmowy. Nie zdawałem sobie sprawy, że ta akceptacja może być połowiczna. Wydawało mi się, że jeśli dla jakiejś dziewczyny moje ograniczenie nie stanowi przeszkody byśmy byli przyjaciółmi, to nie będzie również dyskwalifikować mnie jako chłopaka. Okazało się, że jest inaczej.

Nie wiedziałem, co mam zrobić. Gdyby powiedziała, że nie chce ze mną chodzić, bo śmierdzi mi z ust, mógłbym obiecać, że pięć, ba, dziesięć razy dziennie będę mył zęby i nie dotknę czosnku ani cebuli. Gdyby zażądała ode mnie, żebym udowodnił swoją miłość, zrobiłbym to, choćbym miał skoczyć ze spadochronem czy dać się zamknąć w terrarium z jadowitymi węzami. Wzroku przywrócić sobie nie mogłem,

zresztą gdyby istniała taka możliwość, przecież dawno bym z niej skorzystał. Nie jestem ślepy z wyboru.

Ogarnęła mnie taka rozpacz, niemoc, bezradność, że w jednej chwili Magdę znenawidziłem. Nie pamiętam dokładnie, co działo się później. Chyba wstałem bez słowa i skierowałem się do wyjścia. Zdaje się, że szła za mną i coś starała się tłumaczyć, ale jej nie słuchałem. Złapała mnie za łokieć, ale ją odepchnąłem.

- Nie dotykaj mnie, bo jeszcze się zarazisz!

Nie wiem, czy powiedziałem to na głos czy w myślach.

Jeśli na głos, były to ostatnie moje słowa pod jej adresem, nie odezwałem się do niej już do końca liceum.

*

Tym razem budzą mnie odgłosy krzątających się ludzi, głośne wskazówki mężczyzn pomagających kierowcy podejść pod samą bramę i przekleństwa tragarzy na klatce schodowej, taszczących ciężkie przedmioty. Sprawdzam godzinę, dziewiąta. Irytuję się, bo jest sobota i chciałbym

177

sobie pospać do dziesiątej. Ostatecznie tylko w weekendy mogę się porządnie wyspać.

Ktoś się wprowadza. Rzeczywiście, mieszkanie nade mną stało od jakiegoś czasu puste, a ostatnio odbywał się w nim generalny remont. Wcześniej zajmowała je para starszuchów. Bardzo cichych i spokojnych. Tak samo cicho i spokojnie odeszli. Najpierw on, a zaraz po nim ona. Pewnie byli takim małżeństwem, w którym gdy jedno z małżonków

umrze, drugie nie widzi sensu dalszego życia i umiera z tęsknoty. Zastanawiam się, czy mi przyjdzie umrzeć w samotności. Wszystko na to wskazuje. Nie znalazłem sobie żony do trzydziestego roku życia, dlaczego miałbym znaleźć teraz? Przecież nie będzie mi łatwiej, tylko trudniej. Jeśli nawet spotkam dziewczynę, która zaakceptuje, że jestem ślepy, to co jej powiem? Że całe życie byłem sam, że jestem prawiczkim, że nigdy nie dotknąłem kobiety? Wyśmieje mnie i odwróci się na pięcie.

Łomot upuszczonego mebla i połajanki rozzłoszczonego właściciela przekonują mnie, że próby ponownego zaśnięcia nie skończą się powodzeniem. Chcąc nie chcąc wstaję i szykuję się do wyjścia. W soboty jeżdżę z Argonem do lasu, żeby mógł się wybiegać. Dzisiaj pojedę tym chętniej, że ucieknę od hałasów, których na klatce schodowej i w sąsiednich mieszkaniach nie znoszę. Dobrze, że mieszkam na Sępólnie i mam tylko troje sąsiadów, nie wyobrażam sobie życia w dziesięciopiętrowym bloku na przykład na takim Kozanowie.

Wychodzę przed bramę i staram się wyminąć parkującą ciężarówkę, kiedy nagle słyszę tubalne:

- Z drogi!

Przestraszony robię krok do tyłu, natrafiam na jakąś przeszkodę, której tam nie powinno być, tracę równowagę i kiedy lecę na ziemię, starając się upaść tak, żeby nie zrobić sobie krzywdy, słyszę wściekły kobiecy głos:

- Uważaj, palancie! Ślepy jesteś czy co?!

Leżąc na ziemi, uświadamiam sobie, że wpadłem na kobietę siedzącą na wózku inwalidzkim. Nie słyszałem rumoru, więc chyba go nie przewróciłem. Moje przypuszczenia potwierdza ten sam kobiecy głos, bo nie ma już w nim wściekłości, a tylko przestrasz i zawstydzienie:

- Ojejkuś, strasznie pana przepraszam, pan naprawdę nie widzi. Nic się panu nie stało?

Podnoszę się, sprawdzając stan swoich kości. Są całe, ślepek jest jak judoka, musi umieć upadać.

- To ja przepraszam, nie zauważyłem pani. Nic mi nie jest, nie pierwszy raz się przewróciłem i pewnie nie ostatni.

Argo!

Przywołuję Argona, bo upadając, wypuściłem z ręki uprząż.

- Jest tutaj. Siedzi koło mnie. Śliczny pies. Ma na imię Argo? Ładnie.

- Tak, Argo - potwierdzam niezbyt inteligentnie. Zresztą nie mam ani czasu, ani ochoty na rozmowę, ucieknie mi autobus. -Jeszcze raz przepraszam. Śpieszymy się na autobus, do widzenia.

Chwytam za uprząż Argona i idziemy na przystanek na Dembowskiego. W soboty nie korzystam z taksówki, umowa nie obejmuje wyjazdów poza miasto. Do tego nie jestem pod presją czasu, w komunikacji miejskiej nie ma takiego ścisku, a po cichu liczę też na to, że może akurat w autobusie poznam jakąś dziewczynę, że na przykład zachwyci się Argonem, pogłaszczę go, nawiążemy rozmowę... Dotąd

nic takiego nie nastąpiło.

Podjeżdża autobus, wsiadamy i zajmujemy miejsce z tyłu.

Myślę o tej dziewczynie na wózku. Bo, wnioskując z głosu, była to młoda dziewczyna. I zachwycała się Argonem. No ale porusza się na wózku, byłaby z nas taka para, że boki zrywać: ślepiec i paralityczka. Nie chcę niepełnosprawnej kobiety. To dlatego tak szybko uciąłem rozmowę. Nawet nie

179

zapytałem, gdzie się pobrudziłem podczas upadku, tylko otrzepałem się na chybił trafił. A w sumie mogłem z nią porozmawiać. Nic by się nie stało, gdybym pojechał następnym autobusem. Przecież nigdzie nie jest powiedziane, że rozmowa ma prowadzić do stałego związku, równie dobrze może to być przelotny romans, seks bez zobowiązań. Posunąć paralityczkę, to dopiero byłoby doświadczenie! Ledwie ta myśl przeszła mi przez głowę, jest mi niedobrze z obrzydzenia do samego siebie. Jak mogłem pomyśleć o kobiecie jako o przedmiocie, towarze? I od kiedy to ze mnie taki Casanova? Przecież to ja chodzę i się proszę, żeby jedno z tych pachnących, słodkich, miękkich stworzeń chciało ze mną być. Żeby chciało ze mną robić to, co dla mnie jest razem miłości i przywiązania, a nie fizjologiczną czynnością. Przecież właśnie dlatego nie poszedłem do prostytutki, mimo że mnie stać. I dlaczego z góry skreślam dziewczynę z tego powodu, że jest niepełnosprawna? Uważam ją za gorszą? Ale jak wtedy mogę oczekiwać, żeby zdrowe dziewczyny traktowały mnie jako pełnowartościowego faceta?

Chociaż raz zainteresowałem się niewidomą. Może więc nie do końca jestem hipokrytą. Mam jakieś wyobrażenia na temat swojej przyszłej żony, właśnie żeby była zdrowa, ale też żeby nie paliła, lubiła psy, była odcytana i inteligentna, tymczasem te dziewczyny, o które się starałem, często daleko odbiegały od tego obrazu. Coś mnie w nich fascynowało, pociągało i uprzednie kryteria stawały się bez znaczenia. Tak właśnie było z Arlettą, tą niewidomą dziewczyną. Pracowała w kancelarii adwokackiej, którą wynająłem, żeby reprezentowała mnie przeciwko firmie handlującej sprzętem komputerowym dla niewidomych. Linijka brajlowska, którą kupiłem, okazała się felerna, notorycznie się psuła, aż w końcu znudziło mi się oddawanie jej do naprawy. Ostatecznie to nie zabawka, jaką sprawiałbym sobie dla rozrywki, tylko urządzenie po części zastępujące mi oczy.

180

Kupienie drugiej nie było takie proste, nazwa „linijka” (początkowa ze względu na podłużny kształt, właściwym określeniem jest „monitor brajlowski”) sugeruje coś taniego, tymczasem jest to urządzenie kosztujące kilkanaście tysięcy złotych. Mogłem wystąpić do PFRON-u o dofinansowanie, raz na pięć lat ślepek może ubiegać się o dotację na zakup sprzętu (biorąc pod uwagę tempo rozwoju techniki komputerowej, to mniej więcej tak, jakby człowiek na wózku miał prawo ubiegać się o dofinansowanie na zakup samochodu raz na trzydzieści lat), ale nie chciałem zabierać tych środków naprawdę potrzebującym, mało który niewidomy zarabia

tyle, żeby samodzielnie sfinansować sobie niezbędny albo ułatwiający mu życie sprzęt. Zresztą nawet jakby PFRON dawał pieniądze bez ograniczeń, nie było powodu, żeby sprzedawcy odpuszczać. Zażądałem wymiany linijki, a kiedy odmówił, spotkaliśmy się w sądzie. Arletta, będąca na aplikacji adwokackiej, dostała moją sprawę do prowadzenia. Zapewne także dlatego, że jako niewidoma znała się na akcesoriach dla niewidomych i nie musiała uzupełniać swojej wiedzy.

Sprzedawca - pozujący na przedsiębiorcę, dla którego prowadzenie firmy jest nie tylko metodą zarabiania pieniędzy, ale pewną filozofią, sposobem na życie i stąd handel sprzętem komputerowym dla niewidomych, a nie pietruszką - okazał się łobuzem, który nie zawahał się nawet przedstawić fałszywej faktury, żeby udowodnić, że linijkę kupiłem nie u niego, tylko gdzie indziej. Z powodu jego kruczków i ogólnej niewydolności naszego sądownictwa sprawa ciągnęła się bardzo długo, przez co miałem okazję do częstych spotkań z Arlettą. Imponowała mi jej przenikliwość, żelazna logika, z jaką wykazywała sprzeczności w zeznaniach sprzedawcy. A kiedy siedzieliśmy koło siebie na rozprawach, czułem ciepło jej ciała, zapach perfum, spod których czasami przebijał się ledwie wyczuwalny

181

zapach jej potu i miałem taką ochotę jej dotknąć, przytulić i pocałować, że musiałem powstrzymać się niemal siłą, żeby tego nie zrobić.

Zrobiłem to, kiedy sędzia ogłosił korzystny dla mnie wyrok. Objąłem ją, niby z radości, spontanicznie, ale był to gest, który obmyślałem i przygotowywałem przez wiele wieczorów. A i tak zaraz musiałem się odsunąć, bo dostałem potężnej erekcji i przestraszyłem się, że ją wyczuje. Pod pretekstem uczczenia zwycięstwa zaprosiłem Arlettę na kolację. Był to okres, w którym bałem się już zapraszać dziewczyny, wprost okazując zainteresowanie, bałem się odmowy, starałem się przedłużyć tę fazę wstępnej, przyjacielskiej znajomości w nadziei, że na tyle przekonam dziewczynę do siebie, że przynajmniej poważnie rozważy propozycję chodzenia, zamiast odruchowo powiedzieć „nie”. W efekcie zdarzało się, że zanim tę propozycję zdążyłem złożyć, dowiadywałem się na przykład:

- Strasznie się zakochałam, to w ogóle niesamowite, zaczepił mnie na ulicy, nigdy nie myślałam, że pozwolę się zaczepić na ulicy, dosłownie jak jakaś panienka, i jeszcze żeby zrobił to jakoś fantazyjnie, ale nie, po prostu zapytał, czy nie miałabym ochoty wypić z nim kawy. Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby się zgodzić. Ale to na pewno opatrność, ja wierzę w takie rzeczy, bo teraz wiem, że byliśmy sobie przeznaczeni, że mieliśmy się spotkać. Boże, ale jestem zakochana. A ty jak, poznałeś kogoś?

W tym momencie mało ją to obchodziło, ale pochwalisz się swoim szczęściem, czuła się w obowiązku zapytać o życie uczuciowe przyjaciela.

A ja jestem tym frajerem, pomyślałem sobie, który

od miesiący nie może zdobyć się na to, żeby powiedzieć ci, że chciałby mieć w tobie dziewczynę, a nie koleżankę. Może wspomnienie tej sytuacji, może świadomość, że nie będę miał dalszych pretekstów do spotkań z Arlettą, sprawiły,

182

że kiedy odprowadziłem ją po kolacji, pocałowałem ją.

Może byłem odważniejszy przez to, że ona, też będąc niewidomą, nie mogła zobaczyć mojej niezdarności, ślepiec pierwszy raz szukający ust dziewczyny musi stanowić zabawny widok.

Odwzajemniła pocałunek. Przyłgnęła do mnie. Nie na długo. Odsunęła się.

- To nie ma sensu.

- Dlaczego nie? Kocham cię.

- Jacek, jak ty to sobie wyobrażasz? Dwoje ślepaków to nie jest dobry pomysł.

- Dlaczego nie? Jest cała masa takich par.

- Wiem, ale... Może zabrzmi to dziwnie, ale ja chcę mieć widzącego chłopaka. Z czysto praktycznych względów. Ot, choćby po to, żeby jedno z nas mogło posortować pranie.

- Od tego jest tester kolorów.

- Sam wiesz, że nie do końca skuteczny, poza tym to był tylko przykład.

- To są praktyczne przeszkody, a praktyczne przeszkody zawsze można jakoś pokonać, kiedy dwoje ludzi się kocha.

- Ale ja cię wcale nie kocham.

- To czemu mnie pocałowałaś?

- Nie przesadzaj, kochasz się w każdej dziewczynie,
z którą się całujesz?

Zamilkłem zawstydzony. Nie miałem wcale ochoty przy-
znawać się przed nią, że ma do czynienia z prawiczkim,
który pierwszy raz pocałował dziewczynę. Pierwszy i ostatni.
Ten pocałunek, dotyk jej ciała do dziś przeszywa mnie
dreszczem. Tyle przyjemności, tyle zmysłowości przy tak
niewielkim kontakcie. Jaka to musiałyby być rozkosz, gdybym
mógł dotknąć jej piersi, pieścić ją całą. Nie dowiedziałem
się. Próbowałem ją zdobyć, przekonać. Dzwoniłem, przy-
chodziłem pod kancelarię z kwiatami, wysyłałem SMS-y,
183

e-maile. Chyba nawet przekroczyłem tę cienką granicę
między staraniem się o kobietę a narzucaniem się jej. Nic
nie wskórałem. Uparła się, że chce widzącego chłopaka.
Nie wiem, czy podany przez nią powód odmowy był
prawdziwy. Jeśli tak, to Bóg rzeczywiście perfidnie się
na mnie odegrał. Nie chciałem niewidomej dziewczyny,
więc sprawił, że w takiej właśnie się zakochałem i właśnie
niewidoma mnie odrzuciła.

Dojeżdżamy na plac Grunwaldzki, skąd przechodzę
na Wyszyńskiego. Wybieram się w okolice Szczodrego,
więc muszę się przesiąść na 904. Na przystanku zatrzymuje
się kilka autobusów, więc jestem zdany na pomoc innych,
żeby ustalić, czy podjeżdża właściwy. Nasze mające euro-
pejskie ambicje miasto pewnie nawet nie rozważało zain-

stalowania informatorów dźwiękowych. Szczytem techniki jest informacja głosowa w autobusie, gdzie się zatrzymuje. Ślepek może samodzielnie wsiąść z autobusu, pytanie, jak ma do niego wsiąść. Zwłaszcza wtedy, gdy na przystanku nie ma ludzi.

A w sobotę często nie ma. Dochodzę do końca zatoczki, żeby ustawić się na wysokości pierwszych drzwi. Będę musiał zapytać kierowcy, co może okazać się skomplikowane, jeśli będzie miał zamkniętą kabinę: nie mam gwarancji, że mnie usłyszysz i zwróci na mnie uwagę.

- Tak, piesku - mówię do Argona - ślepym nielekko w tym życiu.

Argo szczerka potakująco, a ja zastanawiam się, czy będzie jakieś następne. I czy w tym drugim życiu będę widział.

Z jednej strony wierzę w Boga, w jakąś sprawczą siłę, która stworzyła ten świat i sprawuje nad nim pieczę, z drugiej strony nie po drodze mi z wyobrażeniami piekła i nieba.

I nie chodzi tylko o ich naiwność, zawsze można twierdzić, że to jedynie symbole, ale o nazbyt prosty system:

byłeś dobrym człowiekiem - nagroda, złym - kara. Trudno

184

mi uwierzyć, żeby ta inna rzeczywistość była idealna, nawet jeśli ma być lepsza od obecnej.

Podjeżdża autobus. Argo prowadzi mnie do przednich drzwi, kiedy na przystanek wpadają biegiem, poganiający się nawzajem chłopacy.

- Czy to dziewięćset cztery? - rzucam w ich stronę.

- Nie, sto dwadzieścia osiem.

Cofam się.

- O kurwa, pomyliłem się, to jest dziewięćset cztery!

- dodaje ten sam głos, wyraźnie rozbawiony.

Słyszę śmiech pozostałych i syk zamykających się drzwi autobusu. Jestem wściekły, a zarazem rozżalony. Do jakiego stopnia trzeba być skurwysynem, żeby zabawiać się wprowadzaniem niewidomego w błąd? I uważać to za śmieszne?

Co ja bym dał, żeby takich gnojów pozbawiono wzroku choćby na miesiąc. Przekonałby się jeden z drugim, jakie to przyjemne.

- Chodź, zwieraczku, usiądziemy sobie, teraz będziemy musieli godzinę czekać na następny.

Las jest pełen wiosennych zapachów i odgłosów. Ptaki świergoczą. Sporo z nich rozpoznaję. Ostry, wabiący głos dzierzby - ge ge gek gek - przypomina gęś, stąd jej nazwa dzierzba gąsiorek. Nagle coś ją płoszy - gigigigig - czyżby krogulec? Chyba tak, bo ptaki milkną, zaniepokojone pojawieniem się drapieżnika. Po chwili jakiś wesołym śpiewem oznajmia, że niebezpieczeństwo minęło. Nie rozpoznaję go, zapamiętuję śpiew, żeby poszukać później w Internecie, co to za gatunek.

Zdejmuję uprząż Argonowi, niech sobie poszaleje. Argo, zamiast skorzystać z wolności, liże mnie po twarzy.

- No już dobrze, zwieraczku, wiem, że się cieszysz, że będziesz mógł sobie pobiegać, ale to zamiast mnie lizać, pobiegaj sobie.

Argo szczeka zachwycony, odwraca się i puszcza pędem przed siebie. Ruszam za nim, sprawdzając laską grunt przed sobą. Idę szybkim krokiem, dosyć długo, przynajmniej pół godziny. Argo podbiega do mnie od czasu do czasu i zapewnia szczeknięciem, że się nie zgubił i że w razie czego gotów jest wyprowadzić swego pana z lasu, gdyby ten z kolei stracił orientację. Co mi nie grozi, moja komórka wyposażona jest w GPS, dzięki któremu zawsze trafię z powrotem na przystanek. Zatrzymuję się, kiedy słyszę bębnienie dzięcioła. Obchodzę dookoła drzewo i znajduję pień, na którym mogę usiąść. Wsłuchuję się w to stukanie. Pewnie inne ptaki muszą zadać sobie równie wiele trudu, by wykarmić swoje pisklęta, ale fakt, że trud dzięcioła jest tak widoczny, napawa mnie do niego szczególną sympatią.

Staram się zorientować, czy poza ptakami mam w zasięgu wzroku inne zwierzęta, ale bez powodzenia. Nawet jeśli w pobliżu mnie uwija się wiewiórka czy przebiegnie jeleń, nie usłyszę ich. Wdycham głęboko powietrze, żeby dotlenić organizm na cały tydzień. Kiedy uznaję, że jestem wystarczająco dotleniony, wracam na ścieżkę.

Teraz idę znacznie wolniej, rozmyślając o tym, jakby to było przyjechać tu z dziewczyną. Na romantyczny spacer pełen przekomarzanek i uśmiechów, pełen przestojów na pocałunki i objęcia. Nigdy nie byłem na takim spacerze, nigdy nie szedłem z dziewczyną za rękę. Czasami brakuje mi tego

bardziej niż seksu. Czułości. Może świadczy to o tym, że nie do końca jestem normalnym facetem, może kobiecy pierwiastek mojej osobowości jest zbyt duży, kobiety to wyczuwają, a że wolą bardziej męskich facetów, wybierają ich? Coś w tym musi być. Kiedy mam depresję, zamiast kupić sobie pół litra wódki i schlać się jak prawdziwy mężczyzna, kupuję pół litra lodów i zjadam za jednym zamachem. Normalnie jak baba.

186

Próbuję otrząsnąć się z tych myśli, znaleźć przyjemność w przechadzce po lesie. Zgodnie z sentencją, którą gdzieś przeczytałem: uśmiechaj się, nie czekając na szczęście, bo możesz przejść przez życie, nigdy się nie uśmiechnąwszy. Ale nie w pełni mi się to udaje. Dobre rady mają to do siebie, że łatwo ich udzielać, trudniej je stosować. Przywołuję Argona. Podbiega, przypuszczalnie macha ogonem z prośbą, żeby jeszcze nie wracać. Nie, piesku, jeszcze nie wracamy, chcę się tylko do ciebie przytulić. Przytulam go tak mocno, że szczeka w proteście, że go uduszę.

- No już dobrze, już panu trochę lżej.

Puszczam go, a Argo rzuca się w przerwany pościg za jakimś zwierzęciem, nie przejmując się, że ścigane zwierzę dawno znikło w leśnych ostępach.

Dzwonek do drzwi mnie zaskakuje. Kto to może być?

W sobotę wieczorem? Na akwizytorów i pracowników administracji za późno. Mój brat i nieliczni znajomi zawsze się zapowiadają, a koledzy z pracy nie składają mi wizyt.

Chociaż może to Grzesiek; człowiek, któremu zawaliło się życie, nie kieruje się dotychczasowymi nawykami. Ale dzwoniłby domofonem, a nie bezpośrednio do drzwi. Może sąsiadka chce mi oddać pocztę, którą listonosz włożył do złej przegródki w skrzynce, co zdarza się nader często. Tyle że listonosz w soboty nie chodzi.

- Kto tam? - pytam, bo przez wizjer przecież nie sprawdzę.

- Nowy sąsiad.

Otwieram zaintrygowany, czego może chcieć.

- Voila! Co powiesz na to? - Najwyraźniej coś mi pokazał, ale nie zorientował się, że nie mogę tego zobaczyć.

Nie noszę ciemnych okularów, a po mieszkaniu oczywiście nie chodzę z laską. - Jestem Romek, wprowadziłem

187

się dzisiaj rano i usiłuję nawiązać przyjacielskie kontakty z sąsiadami, ale tu jakieś dziwadła mieszkają: ta baba z naprzeciwka patrzyła na mnie tak podejrzliwie, jakbym startował do niej w zaloty, co tylko powinno ją cieszyć, bo ten wiór jest dobrze po czterdziestce i jak będzie tak traktować facetów stojących pod jej drzwiami z piwem, to skończy jako frustratka, co ja gadam, już jest frustratką. No to jak, mogę wejść?

Aha, czyli chce się wprosić z piwem. Nie przepadam za alkoholem, nawet w niewielkich ilościach, razi mnie bezpośredni sposób bycia nowego lokatora (od kiedy to jesteśmy na „ty“?!), nie podoba mi się tak sformułowana

charakterystyka sąsiadki, choć muszę przyznać, że trafił w dziesiątkę, a mimo to zapraszam go do środka. Nie chcę też być uznany za frustrata, poza tym nie mam akurat nic ciekawszego do roboty niż oglądanie telewizji, a przyjęło się, że takie zajęcie w sobotni wieczór degraduje człowieka na skali towarzyskiej atrakcyjności. No i muszę przyznać, że mnie zaciekawił. Polak, który chce się zaprzyjaźnić z sąsiadami, musiał świeżo przylecieć z Ameryki albo z Księżycy. Nagle jestem ciekaw, jak zareaguje, kiedy dostrzeże, że ma do czynienia ze ślepakiem.

- O, masz psa! Lubię psy, bo są inteligentne, a to zupełnie tak jak ja, he, he. A człowiek lubi podobnych do siebie. Jak ma na imię?

- Argo.

-A ty?

- Jacek.

- No to dawaj szkło, Jacek. Kupiłem piasta, chciałem zobaczyć, jak smakuje to wasze wrocławskie piwo. Sprowadziłem się z Warszawy, miałem dosyć stolicy. W Warszawie trzeba się urodzić, żeby w niej wytrzymać, a ja pochodzę ze wschodniej Małopolski, z takiej wiochy, gdzie psy dupami szczekają. Kieruję się do kuchni.

188

- Co tak dziwnie chodzisz? Jezu mać, nie mów, że jesteś niewidomy!

- Jestem niewidomy.

- A niech to cioci masło! Super. Nie znam żadnego nie-

widomego. Coś ci pomóc? O Jezu mać, chyba walnąłem gafę. Jak jesteś u siebie na chacie, to pewnie nie potrzebujesz pomocy.

- Nie potrzebuję. Ale piwo możesz nalać ty.

Siadamy w pokoju. Romek rozlewa piwo i podaje mi szklankę. Zauważam, że ma pewien dryg do postępowania z niewidomymi. Większość osób postawiłaby szklankę na stole, nie mówiąc mi, gdzie ona jest. Ludzie często zachowują się tak, jakby podejrzewali, że jednak coś tam widzę, że jestem w sytuacji kogoś zamkniętego w ciemnym pomieszczeniu. Niby człowiek w ciemności nie widzi, ale jak wzrok się przyzwyczai, rozróżnia kształty przedmiotów. Tymczasem ja cały czas mam przed oczami nieprzeniknioną ciemność, w co inni nie potrafią się wczuć. To znaczy, nie mam nic przed oczami, ale widzący najczęściej pytają mnie, czy widzę ciemność, więc zakładam, że na ich wrażenia tak mogę to opisać. Jeżeli człowiek nie widzi od zawsze, nie wie, jak wygląda światło, a zatem i ciemność. Pewnie trudno to zrozumieć, mnie się też wydaje, że jak ktoś jest głuchy, to żyje w ciszy, ale jeśli nie słyszy od urodzenia, to nie wie, czym jest cisza, a czym dźwięk.

Włączam muzykę, Szopena, ale Romek natychmiast protestuje:

- Tylko nie te smęty, błagam, nie masz czegoś ludzkiego?

- Czego?

- Wszystko jedno, byleby nie muzykę na pogrzeb.

- Shakira może być?

- No pewnie. A jakbyś ją jeszcze miał wizualnie, to dopiero byłaby rewelacja. Podobają ci się takie babki?

189

Wyszukuję wśród płyt nagrania Shakiry - decyduję się na „Laundry Service” z moją ulubioną piosenką „Whenever, Wherever” - i nie odpowiadam na pytanie, nie chcę, żeby rozmowa zeszła na temat kobiet.

- Bo ja takie uwielbiam, z ładną buźką, zgrabne i szczupłe. Chociaż nie powiem, babeczki w typie Hanny Banaszak, zaokrąglone gdzie trzeba, też na mnie działają. No, Banaszak to w ogóle jest erupcja kobiecości, czy raczej była, bo teraz się już chyba zestarzała, ale jak paręnaście lat temu chodziłem na jej koncerty, to potem urządzałem sobie koncert na własnym flecie, jeśli wiesz, o czym mówię. A jak wyrwałem po koncercie laskę, to wyobrażałem sobie, że robię to z Hanią. No nic, stare dzieje, kiedy ja ją ostatni raz widziałem? Przynajmniej dziesięć lat temu. Teraz mam trzydzieści pięć, a ty?

- Trzydzieści - odpowiadam zadowolony, że ten wywód zakończył się pytaniem o wiek, a nie o kobietę.

- A co porabiasz zawodowo? Sądząc po wyposażeniu twojej chatupy, albo jesteś wziętym pianistą, albo pochodząłeś bogatą ciocię.

- Jestem informatykiem.

- Informatykiem? Naprawdę? A jak pracujesz na komputerze, skoro nie widzisz?

- Normalnie, na słuch. - Nie chce mi się wchodzić w szczegóły na temat linijek brajlowskich, z doświadczenia wiem, że widzącym ciężko załapać, jak funkcjonuje pisanie i czytanie w brajlu na komputerze. - A piszę na zwykłej klawiaturze tak jak ktoś, kto pisze bezwzrokowo. Nawet projektuję stronę graficzną swoich programów.

- Niemożliwe! Jak?

- Zwyczajnie. Kolor w informatyce to kod, więc nie mam problemu z wpisaniem go we właściwym miejscu, właściwości kolorów znam, wiem, że czarny i granatowy są ciemne, a biały i żółty jasne, więc nie daję granatowych

190 liter na czarnym tle czy żółtych na białym. Pewnie, że efektu końcowego nie widzę, ale klienci sobie chwalą, ci, co nie wiedzą, że jestem niewidomy, mówią, że moje połączenia kolorystyczne są bardzo świeże i powinienem spróbować sił w malarstwie.

Śmieję się. Romek też.

- To nie jest wcale głupia myśl. We współczesnym malarstwie liczy się nie to, co malujesz, tylko otoczka, dorobiona do tego ideologia. Weź takiego malarza abstrakcjonistę, przyzwoitego kiczu w postaci jelenia na rykowisku nie potrafi namalować, bo wymaga to znajomości perspektywy, umiejętności oddania oświetlenia i takich pierdoł, ale maźnie trzy plamy i pięć kresek, ogłosi, że wyraził ścieranie się jego id z superego, paru krytyków powtórzy te brednie i już obraz sprzedaje się za ciężką kasę. Pomachasz więc pędzlem,

coś tam nasmarujesz, wyjaśnisz, że wprawdzie kolorów nie widzisz, ale dobierasz je na podstawie energii, jaką ci przekazują, i łączysz w całość, która z kolei oddaje energię twojego jestestwa, ci debilni krytycy to kupią, o niewidomym malarzu będzie się rozpisywała cała prasa z „Wybiórczą” na czele i sprzedaż za grube miliony masz zagwarantowaną. Za miliony euro. Jak nie trafisz do Guggenheima, uznam to za osobistą porażkę.

- Mówisz o tym tak, jakbyś na malarstwie dobrze się znał.

-Jestem renowatorem mebli. Renowatorem artystą. Macham też oczywiście dla zarobku stare meble, nie tylko zabytkowe. Dlatego wybrałem ten dom, bo był tu do kupienia strych, w którym urządzam sobie atelier. No i dzielnica mi się podoba, miasto, niedaleko do centrum, a jakby nie miasto, zielono, cicho, atmosfera trochę kurortu.

- Też tu lubię mieszkać. Wiesz, że Sępolno zbudowano na planie orła z dolnośląskiego herbu?

- Nie wiedziałem.

191

- Widać to, jak się spojrzy z lotu ptaka. Czemu sprowadziłeś się akurat do Wrocławia?

- Bo go wylosowałem. Brałem jeszcze pod uwagę Poznań, Kraków i Gdańsk, zrobiłem cztery losy, sierotka pociągnęła, no może nie taka całkowita sierotka, bo miała biust piątkę, nogi po pas i kasowała dwie stówy za godzinę, i padło na Wrocław.

Pociągam potężny łyk piwa, zdumiony jego słowami. Jak można wybrać miejsce zamieszkania, kierując się ślepych losem? I to wyciągnięty przez prostytutkę, jeśli dobrze zrozumiałem. Dziwny człowiek. I chodzi do prostytutek, a na dodatek wcale się z tym nie kryje. Chociaż może całą tę sytuację zmyślił, a wyboru dokonał po starannym rozważeniu atutów i wad wszystkich tych czterech miast.

- Tylko sobie nie myśl, że regularnie chodzę do prostytutek - zaprzecza Romek, jakbym myślał na głos. - No ale nie zawsze człowiek coś poderwie, a z krzyża spuścić musi. A ręczne robótki, jak wiadomo, prowadzą do ślepoty. W szczenięcych latach musiałeś nieźle tam majstrować pod kołdrą.

Wybucham śmiechem. W pierwszym odruchu chcę wstać, rzucić w niego szklanką z piwem i go wyprosić. Zaraz jednak dociera do mnie, że przecież nie śmieje się ze mnie, tylko wyśmiewa stary przesąd. Na dodatek najwyraźniej zakłada, że prowadzę normalne życie seksualne, że pod kołdrą majstrowałem w „szczenięcych latach”. Nie ma to wiele wspólnego z prawdą, ale jakoś jest mi miło, że postrzega mnie jako normalnego mężczyznę. I wreszcie, co najważniejsze, uświadamiam sobie, że ma zupełnie naturalny stosunek do mojej ślepoty. Czy nie takich właśnie ludzi brakuje w moim otoczeniu? Akceptujących moją ślepotę, ale też nie robiących z niej tabu. Nie starających się pilnować na każdym kroku, żeby mnie nie urazić. Przyjmujących do wiadomości, że jestem niewidomy, że jest to element mojej osobowości,

który pewne rzeczy determinuje, ale nie zawsze musi być na pierwszym planie. Potrafiących nawet z tego zażartować, tak jak właśnie on w tej chwili.

- O nasmater, aż się popłakałem ze śmiechu - oznajmia Romek. - A na poważnie, jak to się stało, że nie widzisz? Opowiadam, zastanawiając się, skąd u niego takie bezprezycyjne podejście do niewidomych. Może ma jakiegoś ślepekę w rodzinie? Nie, powiedział, że nie zna żadnego niewidomego. No to inną niepełnosprawną osobę. Przypomina mi się poranne zdarzenie z kobietą na wózku. Musiała się wprowadzać razem z nim, może siostra.

- Ta dziewczyna na wózku to twoja siostra?

- Co? Jaka dziewczyna na wózku?

- Rano wpadłem przed bramą na kobietę na wózku, myślałem, że wprowadzała się razem z tobą.

- Nie, nie mam siostry, mieszkam sam. Raz byłem żonaty i raz mi starczy. Mam też dziesięcioletniego syna, ale teraz pewnie kontakt na dobre się urwie, zwłaszcza że już wcześniej Ksantypa* dbała o to, żebym za często go nie widywał. Nie powiem, żebym z tego powodu jakoś strasznie cierpiał, dziesięcioletni chłopcy to nie jest kategoria ludzkości, której towarzystwa mi najbardziej brakuje, nawet jeśli to mój syn. Zwłaszcza że ewidentnie wrodził się w matkę i jest po prostu niewydarzony. Smutne, ale prawdziwe.

Powoli się chyba przyzwyczajam do jego nieortodoksyjnych wystąpień, bo te słowa mnie nie szokują. Choć powinny,

bo ja dla moich rodziców też byłem niewydarzony.

- A ty masz dzieci?

Czy ja mam dzieci? Musiałbym się rozmnażać przez pączkowanie.

-Nie.

-No to przynajmniej nie musisz płacić alimentów.

Ta megiera zdiera ze mnie sześć stów miesięcznie! No ale za błędy młodości trzeba płacić, a patrząc, jaką niektórzy

193

ponieśli cenę za swoje wybryki, może powinienem uznać, że wykręciłem się tanim kosztem. Jeden mój kolega rozbił się motorem na nadwiślańskim wale. Testował maksymalne osiągi swojej nowej jawy. Wyrznął w drzewo, sparaliżowany od szyi w dół, zdaje się, że po rehabilitacji mógł poruszać małym palcem lewej ręki. Pewnie już nie żyje.

W głosie Romka pojawiła się zaduma. Przez chwilę milczymy, potem słyszę, jak bierze szklankę i dopija piwo.

- No nic, nie truję ci dłużej dupy, fajny z ciebie gość, będziemy musieli to powtórzyć.

Muszę przyznać, że podziwiam go za jego pewność siebie i przekonanie o własnej towarzyskiej atrakcyjności. Nie pyta, czy ja również uważam go za fajnego gościa, przyjmuje to za pewnik.

Podnosi się i po drodze do drzwi żegna się z Argonem, leżącym w swoim ulubionym miejscu pod ścianą.

-Czołem, Argo!

*

Pan Sławek w dzisiejszą niedzielę nie pracuje i do Krzyśka wiezie mnie antypatyczny typ, który protestował, że ma zabrać Argona.

- Zabrudzi mi całe siedzenie!

- Jest czystszy od niejednego człowieka, ale jak panu nie odpowiada pies w roli pasażera, to nikt pana nie zmusza, poproszę o przysłanie innej taksówki.

Ten argument okazał się przekonujący. Taksówkarz nie może sobie pozwolić na rezygnację z kursu, nie wie, kiedy będzie miał następny, konkurencja ze strony kolegów w firmie, innych firm i nielegalnych taksówek jest ogromna.

Krzysiek z Basią mieszkają na Grabiszynku, musimy więc przejechać przez całe miasto, ale w niedzielę nie ma korków, które w dni powszednie są zmorą Wrocławia.

Dziwi mnie, że prezydent miasta, który nie potrafi rozwiązać

194

tego problemu, zebrał w wyborach ponad osiemdziesiąt procent głosów. Choć nie powinno dziwić, bo sam na niego głosowałem. Pozostali kandydaci to był czysty folklor polityczny, a ja uważam, że kogoś trzeba wybrać, zawsze jakiś kandydat jest lepszy od innych. Niegłosowanie z tego powodu, że nie ma kandydata, który idealnie nam pasuje, jest niepoważne. W życiu też najczęściej nie mamy możliwości dokonywania idealnych wyborów. Poza tym czuję się moralnie zobowiązany do głosowania, ostatecznie parę osób poświęciło swoje zawodowe kariery, kilka lat wolności czy nawet życie, żebym miał prawo wybierania

rzządzających.

Po około dwudziestu minutach jesteśmy na Męcińskiego.

Rodzina mojego brata zajmuje przestronne mieszkanie w piętrowym poniemieckim domu na rogu. Będzie już z siedem lat, jak tu mieszkają. Tak, dokładnie siedem. Krzysiek bardzo dobrze zarabiał jako wzięty okulista i podjęli z Basią decyzję, że wezmą mieszkanie na kredyt, a mnie zostawią to po rodzicach. Przyznam, że byłem dość sceptyczny, niezbyt uśmiechała mi się perspektywa zostania samemu w czterech ścianach, bałem się, czy sobie poradzę.

- Wierz mi, Jacek, teraz jest najlepszy moment - przekonywał mnie brat. - Stać nas na kredyt, zresztą oprocentowanie będzie spadało, za to ceny mieszkań będą rosły, skoro mamy wejść do Unii. A tutaj z czasem zrobi nam się ciasno, dziewczynki podrosną i będą chciały mieć własne pokoje, ty się ożenisz i przecież nie pomieścisz się z żoną i dziećmi w jednym pokoju. A czemu masz sobie nie poradzić? Przecież nie potrzebujesz całodobowej opieki, w ogóle nie potrzebujesz opieki. Do sprzątania i gotowania obiadów zatrudnimy dochodzącą i będę ją opłacał, dopóki nie skończysz studiów i nie zaczniesz pracować. Zresztą obiady możesz jeść też w stołówce studenckiej, a na weekendy będziesz przychodził do nas.

195

- A nie możemy sprzedać tego mieszkania i wszyscy razem przeprowadzić się do większego?

- Może teraz wolisz mieszkać z nami, ale wierz mi,

z czasem się to zmieni i zacniemy działać ci na nerwy.

A dwie rodziny w jednym mieszkaniu to już w ogóle fatalny pomysł.

Ożenić się wprawdzie nie ożeniłem, ale z perspektywy czasu doceniam przenikliwość decyzji mojego brata.

Samodzielne mieszkanie podbudowuje moją samoocenę.

Jestem dumny ze swej samodzielności - nauczyłem się nawet

gotować, tak że dochodząca, pani Zyta, która dorabia sobie do renty, tylko sprząta i prasuje, ale taką pomoc zatrudniają

przecież też widzący - jestem dumny, że nie mieszkam

przy rodzinie, jak niejeden widzący maminsynek. Nie mówię

już o tych niewidomych, którzy nawet nie potrafią

sami obciąć sobie paznokci. Żałosne. A gdyby Krzysiek

odkładał tę decyzję na później, to dziś obudzilibyśmy się

z ręką w nocniku. Przy galopujących cenach wrocławskich

mieszkań stać by ich było co najwyżej na kawalerkę, a nie

sto metrów z okładem. Inna sprawa, że obecnie mógłbym

mu zapłacić połowę wartości mojego mieszkania. Zresztą

zaproponowałem, że to zrobię, jak tylko zacząłem zarabiać,

ale nie chciał o tym słyszeć.

Mijam furtkę, dom okala niewielki ogród, pokonuję

schody, żeby dostać się na wysoki parter i dzwonię do drzwi.

Otwiera mi Klaudia.

- Hej, wujek. - Obejmuje mnie i całuje w policzek, a potem

przyklęka, żeby przywitać się z Argonem. Marzena wita

mnie tylko słowami, bez obejmowania i całowania, no cóż,

wydoroślała, obie z Klaudią nie są już takie przylepy, jak

kiedyś, kiedy dosłownie wieszali się na wujku. Nie powiem, brakuje mi tego. Zresztą widzę, że Krzyškowi też.

- Cześć, bracholku, wchodzi. - Krzysiek staje w drzwiach pokoju.

196

- Witam pana ordynatora. - Mój brat niedawno wygrał konkurs na ordynatora okulistyki w szpitalu na placu Jana Pawła II. Czy właściwie awansował na ordynatora, bo jak mi ze śmiechem wytłumaczył, taki konkurs jest fikcją.

- Startuje ten, kto ma wygrać, a ponieważ przepisy nie pozwalają, żeby był tylko jeden kandydat, startuje też zając, któremu wydaje się, że ma szansę wygrać.

No i Krzysiek pokonał zająca.

- Cieszę się, że ciągle zastaję cię w domu, bo teraz ordynatorzy na państwowym wikcie. Tak się zastanawiałem, czy po drodze nie zajrzeć na Swiebodzką i nie zapytać o ciebie w areszcie, co miałem jechać na próżno - komentuję działania ministra Ziobry, który, żeby pochwalić się, jak skutecznie zwalcza przestępczość, wsadził do aresztu wybitnego kardiochirurga i postawił mu zarzut zabójstwa pacjenta, choć jedyną winą lekarza było to, że przeszczepił serce pacjentowi, który nie miał wielkich szans na przeżycie operacji, ale bez niej i tak by zmarł.

Krzysiek śmieje się.

- Dobrze, że ja przeszczepiam tylko rogówki i pacjent co najwyżej mi oślepie, a nie umrze, bo inaczej też paradowałbym w kajdankach. - Poważnieje i dodaje ze złością:

- Szkoda tylko, że nikt nie zamknie tego fiuta, przez którego teraz umierają ludzie, bo lekarze boją się przeszczepiać.

Jak to on powiedział o Garlickim? - Krzysiek zmienia głos i starając się udawać Ziobrę, choć niezbyt mu to wychodzi, jako parodysta raczej nie zrobiłby kariery, powtarza słowa ministra: - „Już nikt nigdy przez tego pana życia pozbawiony nie będzie”.

- Chodźcie do kuchni! - woła Basia, która krząta się po swoim królestwie. Basia też jest lekarzem, pediatrą, poznali się z Krzyśkiem na studiach, ale z zamiłowania kucharką. - Zrobię wam coś do picia. Dla ciebie, szwagrze, jako zagorzałego kawosza pewnie kawa?

197

- Kawa - potwierdzam.

- Dla ciebie, mężu?

- Dla mnie, żono, kieliszek sherry.

Tych na wpół oficjalnych zwrotów używają z taką czułością, że nie sposób przeoczyć, że po dwudziestu kilku latach nadal się kochają. Przychodzi mi na myśl Grzesiek. Jak to się dzieje, że jedne związki przechodzą próbę czasu, a inne nie, że w jednych miłość wygasa, a w innych ciągle trwa? Czy to kwestia charakteru i zaangażowania partnerów, pracy nad własnym związkiem, czy wyłącznie szczęścia? A przecież Basi i Krzyśkowi nie zawsze gładko się układało, cztery lata temu przechodzili poważny kryzys. Nie chcieli o tym mówić, więc nie wiem, co stało się jego przyczyną, ale Krzysiek chodził struty i zaczął pić, a Basia popłakiwała

po kątach. Rozwód wisiał na włosku, przynajmniej ja to tak oceniałem. Przez kilka tygodni nie zapraszali mnie nawet do siebie w weekendy, co było takim odstępstwem od normy, jakby papież przestał chodzić na msze. Ku mojej radości jakoś sobie poradzili. W mojej radości kryły się również egoistyczne motywy, ich małżeństwo jest dla mnie elementem rzeczywistości, który daje mi poczucie bezpieczeństwa. Gdyby się rozeszli, pewnie czułbym się tak, jakby rozbiciu uległa moja własna rodzina.

Basia szykuje kawę i nalewa Krzyškowi sherry.

- Dziewczynki! - woła w stronę pokoju. - Nakrywajcie do stołu! Na obiad, Jacek, mamy na pierwsze zupę rakową, a na drugie kotlet devolay. Do tego białe wino. Na deser puchar lodowy według oryginalnej kompozycji Klaudii i Marzeny.

Wszystko na cześć wujka z okazji jego urodzin.

Uśmiecham się, miło z ich strony, poza tym, nie ukrywam, jestem smakoszem i lubię dobrze zjeść. Pewnie po części rekompensuję sobie tym brak seksu, to dlatego księża zwykle są brzuchaci, a ci, którzy nie są, chyba wcale na brak seksu nie narzekają. Mnie jakoś udało się zachować szczupłą

198

sylwetkę, choć słyszałem, że mężczyźni po skończeniu dwudziestu pięciu lat zaczynają gwałtownie przybierać na wadze. Zawdzięczam to pewnie genom - Krzysiek jest chudy jak szczapa - i nader umiarkowanej, śladowej konsumpcji piwa.

- Wspaniale, ale zamiast wina wolałbym sok pomarań-

czowy.

- Wiemy, że jesteś prawie abstynentem, ale lampkę wina na własne urodziny... - przekonuje mnie Basia. - Ostatecznie trzydzieści lat kończy się tylko raz w życiu.

- No dobrze - ulegam temu argumentowi, choć brak w nim logiki: żadna liczba urodzinowych lat nie jest powtarzalna.

Siadamy do stołu. Niestety, przy akompaniamencie telewizora. Dziewczynki oglądają „Familiadę”. Nie dość, że to wyjątkowo infantylny teleturniej, to przecież włączony telewizor przeszkadza w rozmowie. Osobiście wyznają pogląd, że albo przyjmuje się gości, albo ogląda telewizję.

Krzysiek z Basią jednak tego poglądu nie podzielają, uważają, że jedno drugiemu nie przeszkadza.

Rozmawiamy o wydarzeniach politycznych zeszłego tygodnia, oczywiście na pierwszym planie jest zatrzymanie kardiochirurga pod zarzutem zabójstwa pacjenta.

-I oni się dziwią, że lekarze spierdalają z tego kraju

- żołądkuje się mój brat.

- Krzysiek! - Basia patrzy pewnie znacząco na dziewczynki, dając mężowi do zrozumienia, że nie powinien używać przy nich wulgaryzmów.

- Przepraszam. No ale jak tu się nie wściekać. Ten chłystek nie ma zielonego pojęcia o procedurach medycznych, nie dosłuchał, że pieniądze ze sprzedaży krowy, co Garlicki proponował rodzinie, miały pójść na opłacenie dodatkowej opieki pielęgniarskiej, a nie na łapówkę dla niego, ale w te

pędy leci do dziennikarzy, żeby ogłosić, że lekarz przestał

199

leczyć pacjenta i pozwolił mu umrzeć, bo nie dostał łąpówki.

Łajza! Mówię oczywiście o tej parodii ministra. A cała wina

Garlickiego polega na tym, że zamiast wyjechać do Anglii,

gdzie fachowca z jego doświadczeniem by hołubiono, chciał

leczyć w tym kraju, a w tym kraju ludzi coś potrafiących

bardzo łatwo wykańczają takie miernoty jak ten, pożałuj się

Boże, minister. Same niewiele potrafią, więc chcą się po-

kazać, niszcząc ludzi, którym do pięt nie dorastają!

Krzysiek zdenerwowany popija wino.

- Mówię ci, Basia, może jeszcze powinniśmy pomyśleć

o wyjeździe.

Teraz są to tylko słowa wyrażające złość Krzyśka, ale były

czasy, że poważnie rozważali wyjazd. Po upadku PRL-u byli

pełni nadziei, że skoro zlikwidowano ustrój ceniący nie

wiedzę i kompetencje, tylko fizyczną pracę, to zawód le-

karza stanie się lepiej płatny. Zawiedli się. Oboje są jednak

rzutcy i przedsiębiorczy, a Basia dostała niewielki spadek

po babci, której była ulubioną wnuczką, i z czasem otwo-

rzyli własne gabinety. Narzekali wprawdzie, że głównie

pracują, nie mają czasu dla rodziny, na doksztalanie się

i rozrywki, ale w porównaniu z innymi lekarzami dobrze

się urządzili w źle działającym systemie. Kryzys przyszedł,

kiedy władza postanowiła w końcu zreformować zły sy-

stem i wprowadziła jeszcze gorszy: kasy chorych. Gorszy

w praktyce, bo w założeniu właściwy, ale wypaczono go, nie

wprowadzając konkurencyjnych kas ani dodatkowych dobrowolnych ubezpieczeń. W efekcie lekarze, w tym Krzysiek i Basia, stanęli przed problemem, którego wcześniej nie mieli: nie mogli leczyć, bo kasa dała za mało pieniędzy. Świadomość, że muszą odprawiać z kwitkiem ciężko chorych, dysponując wiedzą, lekarstwami i sprzętem do ich wyleczenia, potwornie ich dołowała.

Akurat wtedy wybraliśmy się latem na wycieczkę rowerową na Bornholm. Byliśmy zauroczeni tą wyspą, Basia

200

i Krzysiek do tego stopnia, iż uznali, że jest to świetne miejsce nie tylko na urlop, ale i na osiedlenie się. Spodobał im się panujący tam spokój, niespieszny rytm życia i uczciwość Duńczyków. O tej ostatniej świadczyły nietypowe stoiska z warzywami. Kiedy pierwszy raz na takie trafiliśmy, znaleźliśmy się w kłopotcie. Chcieliśmy kupić szczypiorek i cebulkę, ceny - wypisane na kartonikach - były niższe niż w sklepie, a warzywa najwyraźniej świeżo zebrane. Kłopot polegał na tym, że nie było sprzedawcy. Nie wyglądało też na to, żeby opuścił stoisko na chwilę, znajdowało się ono w szczerym polu, a w zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Po bliższych oględzinach zafrapowała nas kamienna pokrywka w blacie stołu, okazało się, że kryje się pod nią pojemnik, w którym znajdowały się pieniądze. Jako turyści z kraju złodziei nie mogliśmy uwierzyć, że handel odbywa się w ten sposób: bierze się cebulkę, wkłada pieniądze do pojemnika i jedzie dalej,

sprzedawca niepotrzebny. No ale skoro właściciel nie likwidował stoiska, oznaczało to, że system działa, że nikt nie bierze warzyw za darmo.

- Wyobraźcie sobie, jaka to oszczędność roboczogodzin
- analizował Krzysiek, kiedy zdumienie przeszło w zachwyty.
- Rolnik nie musi nikogo zatrudniać, a sam może w tym czasie zająć się czymś innym. Przez to może sprzedawać taniej. Klienci nie kradną i na tym zyskują, mają tańsze warzywa. Dalekowzroczne myślenie. W Polsce rozkradliby mu to w trzy minuty, ciesząc się doraźną korzyścią. Jak w tym dowcipie: „Naród u nas uczciwy, jak postawiłem rower koło słupka i wróciłem po dwóch godzinach, to słupek jeszcze stał”.

Rowery a uczciwość to był inny temat. Nie mogliśmy przyzwyczaić się, że na Bornholmie można je zostawiać bez zamykania. Zwłaszcza ja bałem się o swój tandem. Nie chodziło, już nawet o to, że kosztował niemałe pieniądze,

201

ale wbrew pozorom tandem ciężko dostać. Swój musiałem sprowadzać aż ze Szczecina. No i strata tandemu oznaczałaby koniec rowerowej wycieczki. Dlatego pieczołowicie przypinałem go łańcuchem na każdym postoju, budząc zdziwienie Dańczyków (Krzysiek żartował, że tak powinni nazywać się mieszkańcy tego kraju: „Jest przecież Dania, a nie Dunia”).

Po powrocie Basia i Krzysiek zapisali się na kurs duńskiego. I właśnie język okazał się przeszkodą, która znie-

chęciła ich do wyjazdu do Danii. Nie można powiedzieć, że brakło im zdolności językowych - oboje władają biegle angielskim - ale nie poradziła sobie ze specyficzną duńską wymową.

- Wyobraź sobie, że niektóre słowa trzeba wymawiać na wdechu, w ogóle oni chyba mają inaczej zbudowaną krtań - narzekała Basia. - Demostenesowi łatwiej się mówiło z kamykami w buzi niż mnie po duńsku. Ciekawe, jakim cudem w Europie uchował się taki język. Niby ta sama rodzina co szwedzki i norweski, a różnica w wymowie jak między chińskim a angielskim.

Pewnie bez problemu opanowaliby duński w stopniu umożliwiającym porozumiewanie się, ale ponieważ oboje są perfekcjonistami, nie satysfakcjonowało ich, że będą mówić łamaną duńszczyzną. I porzucili plany wyjazdu do Danii.

- No a teraz prezenty dla solenizanta - przerywa Krzysiek moje wspominki.

Jestem autentycznie zaskoczony. Odkąd nie mieszkamy wspólnie, nie obdarowujemy się na urodziny. Widocznie uznali, że okrągłą rocznicę należy dodatkowo uczcić prezentami.

Od Basi i Krzyśka dostają docupen, skaner przypominający wyglądem długopis. Laptop wśród skanerów, można nosić go ze sobą.

202

- Skanujesz, przesuając docupen nad tekstem, a po-

nieważ ma szerokość kartki A-4, nie będziesz miał problemu z właściwym ustawieniem go nad kartką - instruuj mnie mój brat. Doskonale wiem, jak się obsługuje docupen, nosiłem się z myślą, żeby go kupić, ale się do tego nie przyznaję, nie chcę pozbawiać Krzyśka radości, jaką sprawia mu wprowadzanie mnie w tajniki działania urządzenia.

Dziewczynki wykonały dla mnie własnoręcznie figurkę słonia z gliny. Kiedy przesuwam po nim palcami, żeby zorientować się, co to jest, czuję wzruszenie. Obejmuję Klaudię i Marzenę, serdecznie dziękując im za prezent. Coś mnie ściska za gardło. Słonie przynoszą szczęście, może ten dziecięcy podarek sprawi, że w końcu i do mnie uśmiechnie się szczęście uśmiechem jakiejś ładnej dziewczyny.

Wieczorem, patrząc na słonia, dochodzę jednak do innych wniosków. Słoń jest symbolem Tajlandii, może to znak, że powinienem sprowadzić sobie jakąś Tajkę. Albo Rosjanę czy Ukrainkę. Taką żonę z katalogu. Tylko jak dokonać wyboru? Zdjęcie nic mi o dziewczynie nie powie, a nawet wyczerpujący opis niewiele więcej. Ale czy firmy oferujące żony z katalogu nie organizują najpierw spotkania z potencjalną kandydatką?

Włączam laptop i wyszukuję w Internecie ofertę takiej firmy. Rzeczywiście, „procedura” przewiduje spotkanie z kandydatką w miejscu jej zamieszkania. Przeglądam ogłoszenia dziewczyn. Jedno mnie zaciekawia. Roksana, Ukrainka ze Lwowa. Ładne imię. Blondynka, metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, waga czterdzieści dziewięć kilo-

gramów, biust trójka, szczupła budowa ciała. Kolor włosów jest mi obojętny, grunt, żeby były długie, ale z ogłoszenia to nie wynika, można zobaczyć na zdjęciu (kto może, ten może), wzrost akurat, ja mam metr siedemdziesiąt pięć, więc nawet jak włoży szpilki, to będziemy stanowić 203

dobraną parę. Tusza czy jej brak jakoś nigdy nie stanowiły dla mnie kryterium w przypadku starania się o dziewczynę. W każdym razie szczupła budowa ciała na pewno nie jest wadą. Biust trójka. Ile to jest trójka? Przeglądam pozostałe ogłoszenia, zestawiając wagę i wielkość biustu. Wychodzi mi, że skala jest wprost proporcjonalna, im większa liczba, tym większy biust, najmniejszy, jaki znalazłem, to jedynka, największy siódemka. Ja chyba wolę mniejszy, jeśli facet, który nigdy nie dotknął kobiecych piersi, może mieć jakieś preferencje.

Lat dwadzieścia sześć, cztery lata młodsza, idealnie, bezdzietna, to mi pasuje, nie chciałbym wychowywać cudzych dzieci. I najważniejsze: polonistka z wykształcenia. Wykształcenie nie zawsze implikuje inteligencję, ale prawdopodobieństwo, że osoba wykształcona okaże się inteligentna, jest spore. No i zna polski, nie mielibyśmy kłopotów z porozumiewaniem się nawet na początku. Oczywiście nauczyłbym się ukraińskiego, sytuacja, że mężczyzna bierze sobie żonę cudzoziemkę, ale nie uczy się jej języka, jest dla mnie nie do przyjęcia. No może dyspensę dałbym tym, którzy żenią się z Azjatkami, nauczenie się tajskiego czy

japońskiego rzeczywiście może być ponad siły przeciętnego Europejczyka.

Zainteresowania: film, książki, taniec. Zainteresowanie filmem nic mi nie mówi, teraz każdy ogląda filmy, kwestia, czy są to brazylijskie telenowele, czy Bergman i Fellini. To, że czyta książki, już więcej. A skoro lubi tańczyć, to musi być zgrabna albo przynajmniej poruszać się z gracją. Ja też dobrze tańczę, więc moglibyśmy razem wychodzić na tańcówki.

Sprawdzam cennik. Ceny za uzyskanie kontaktu i zorganizowanie spotkania z kandydatką są wygórowane, widać, że to oferta dla zamożniejszych, no ale ja akurat do takich należę. Zresztą te kobiety nie szukają miłości, tylko lepszych

204

warunków życia, więc siłą rzeczy oferta nie może być kierowana do tych, co wiążą koniec z końcem. Ta konstatacja sprawia, że dociera do mnie, co właściwie robię: rozważam zakup kobiety która chce się sprzedać. Wybieram jak krowę na targu.

No i co z tego? - szukam kontrargumentów. Wielu facetów znalazło sobie w ten sposób żonę. Że można ich uznać za nieudaczników, którzy nie potrafią sobie normalnie znaleźć kobiety? A ja kim jestem? Czas spojrzeć prawdzie w oczy. Skończyłem trzydzieści lat i nie miałem dziewczyny. A te kobiety, które się nie ogłaszają, też przecież nie kierują się czystym uczuciem, też patrzą, co mężczyzna może im zaoferować. Po prostu miały więcej szczęścia i mężczyznę

spełniającego ich wymagania znalazły na miejscu.

Jednak te kontrargumenty do mnie nie trafiają. Nie jestem jak inni faceci. Gdybym był, dawno poszedłbym do prostytutki. Dlaczego tego nie zrobiłem? Ochoty i sił witalnych, że tak powiem, mi nie brakowało. Bo człowiek to, owszem, stworzenie biologiczne, ale kontrolowane przez istotę kierującą się etyką, moralnością, normami kulturowymi? Ale dlaczego inni faceci nie mają oporów? Nawet żonaci chodzą do prostytutek albo mają kochanki. Mam wyższe od nich standardy moralne? I co mi to dało? Przecież kobiety wcale tego nie doceniają. Wolą takiego, co je będzie zdradzał, niż ślepego.

I jak miałbym żyć z taką żoną z katalogu? Co miałbym powiedzieć rodzinie i znajomym? Że poznaliśmy się z ogłoszenia? Każdy by się domyślił, z jakiego ogłoszenia. A ja nie należę do tych silnych, niekonformistycznych osobowości, które potrafią ignorować, co inni o nich myślą. Zresztą dlaczego zakładam, że taka Roksana w ogóle by mnie chciała? To by dopiero była porażka, gdyby się okazało, że nie chcą mnie nawet dziewczyny z katalogu! A jeśli by rzeczywiście doszło do małżeństwa, ile by ono przetrwało? Czy nie

205

byłbym jej potrzebny tylko po to, żeby dostać się do Polski, a tu na miejscu szybko zakochałaby się w innym?

Wzdycham, ogarnia mnie potworne zniechęcenie, poczucie beznadziei. Co mam zrobić? Każdy inny problem potrafię przeanalizować, określić, jakie działania mogą pomóc

w jego rozwiązaniu, podjąć je, a jeśli okażą się nieskuteczne, wiem, dlaczego się nie powiodło. Gdybym teraz stracił pracę, na pewno bym się podłamał, ale wiedziałbym, jak szukać następnej, jakie kroki poczynić. Przejrzeć ogłoszenia w prasie, wynotować firmy informatyczne z książek telefonicznych, porzysłać aplikacje, rozpuścić wici wśród znajomych, że rozglądam się za pracą, a jednocześnie wziąłbym więcej zleceń prywatnych, żeby mieć z czego żyć (teraz czasami piszę programy na prywatne zlecenia, ale nie z finansowej potrzeby, bardziej dla zabicia czasu). Wiem, jak się aktywnie szuka pracy, ale jak się aktywnie szuka dziewczyny? Gdzie mam pójść? Na dyskotekę?

Gdybym nie dostał pracy, potrafiłbym też pewnie ustalić przyczyny niepowodzenia. Na przykład, że inny kandydat miał wyższe kwalifikacje albo właściciel firmy jest rasistą, który niewidomych nie zatrudnia. W wypadku dziewczyn odmowy kładę na karb mojej ślepoty, ale czy to cała prawda? Przecież ślepaczy mają żony i to często widzące. Musi być coś jeszcze. Ale co? Może z moimi genami jest coś nie tak i kobiety to wyczuwają? Może moja ślepota jest dziedziczna? Albo zawierają inną usterkę, z której nie zdaję sobie sprawy? Wyglądam przeciętnie, Tomem Cruisem nie jestem, ale Qausimodo też nie, więc nie w wyglądzie przyczyna. W charakterze? Rzeczywiście, nie staram się udawać lepszego, niż jestem, nie gram; oczywiście, starając się o dziewczynę, chcę się pokazać z najlepszej strony, ale nie udaję anioła w ludzkiej skórze.

Może na tym polega mój błąd? Ale czy kobiety naprawdę byłyby aż tak głupie, że wybierałyby facetów, którzy potrafią

206

zagrać czułych, kochających i wyrozumiałych, a okazują się pijakami i damskimi bokserami?

Jeszcze raz wzdycham. Chcąc oderwać się od tych przykrych rozważań, wciskam na klawiaturze klawisz strony startowej, stronę biura matrymonialnego zastępuje Google, wpisuję słowo „humor” i przez chwilę czytam sobie dowcipy. Potem przeglądam portale informacyjne, strony gazet i tygodników w poszukiwaniu wiadomości i ciekawych artykułów. Na koniec przypominam sobie, że miałem ustalić, jakiego ptaka słyszałem wczoraj w lesie.

Zadanie nie jest proste, szukam chyba z godzinę i odsłuchuję masę nagranych głosów, żeby wreszcie dojść do wniosku, że musiał to być pełzacz leśny. Mały, ruchliwy, pełza na pniu drzewa jak dzięcioł - czytam w opisie. Pazur na tylnym palcu długi i słabo zakrzywiony. Aha. Pospolity w wysokopiennych lasach całej Polski. Zgadza się, las, do którego jeździmy w soboty z Argonem, tworzą wysokie drzewa.

*

Atmosfera w pracy jest senna. Wszyscy poza mną wyraźnie tęsknią do weekendu. Przez otwarte okna wpadają odgłosy rynku i rozgrzane powietrze - na dworze zrobiło się bardzo ciepło. Rynek był świadkiem jednego z moich upokorzeń. Konkretnie Piwnica Świdnicka. Oświadczyłem

się tam Helenie. Helenie o aksamitnym głosie i śmiechu jak dzwoneczki u kuligowych sań. Nigdy w życiu nie opowiedziałem tylu dykteryjek, co podczas znajomości z nią, ciągle chciałem słuchać tego jej śmiechu.

Poznaliśmy się na kursie niemieckiego. Po powrocie z Austrii zapisałem się na konwersacje, żeby utrzymać znajomość języka na poziomie, do jakiego wywindowałem go podczas pobytu na stypendium. Toporna znajomość, nabyta w liceum i na lektoracie na studiach, przerodziła się nagle

207

w biegłą: mogłem swobodnie się porozumiewać, dyskutować na poważniejsze tematy, a nawet czytać książki.

Helena wróciła właśnie z Niemiec i też nie chciała stracić kontaktu z językiem. Przez cztery lata była żoną bogatego Niemca.

- Miałam wszystko: komplet kart kredytowych do dyspozycji i otwarte rachunki w najdroższych butikach, jak mi się znudził kolor samochodu, to go zmieniałam, kąpiele brałam w szampanie, tylko co z tego, kiedy siedziałam w złotej klatce. I świrowałam, nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić. Nie pozwalał mi zapraszać do siebie moich polskich przyjaciółek, bo nie rozumiał, o czym rozmawiamy i denerwował się, że go obgadujemy. Jak tylko zamieniłam słowo z jakimś mężczyzną, zaraz dopatrywał się zdrady. Miał coś z głową i tyle.

Ponieważ Helena była już mężatką, postanowiłem, że zaproponuję jej nie chodzenie, a od razu małżeństwo.

W tym wypadku złożenie takiej propozycji nie było absurdalne. Miałem nadzieję, że jej ciężar gatunkowy - pokazanie, że nie szukam przygód, tylko zależy mi na trwałym związku - zwiększy moje szanse na pozytywną odpowiedź. Po cichu liczyłem też na to, że może poważniejszą propozycję trudniej będzie odrzucić, że może będzie wymagała większego namysłu niż propozycja chodzenia.

Kupiłem pierścionek. Pamiętałem o przykrych doświadczeniach Heleny z bogatymi, zresztą pod tym względem nie mogłem się z jej byłym mężem mierzyć, świadomie wybrałem więc raczej tańszy, za to bardzo gustowny. Tak przynajmniej twierdziła Mariola, która pomogła mi przy zakupie. O okazję do wręczenia i oświadczyn nie musiałem specjalnie zabiegać. Nasza grupa okazała się bardzo zgrana i po zajęciach często wychodziliśmy do knajpy. I tak się składało, że najdłużej zostawaliśmy my z Heleną. Ona dopiero szukała pracy, więc nie musiała rano wstawać,

208

a w domu też nie czekały na nią żadne obowiązki, natomiast ja każdą chwilę z nią gotowy byłem okupić niewyspaniem.

A to, że chętnie ze mną zostawała, nie uciekała, dodatkowo napawało mnie nadzieją.

Mimo to dwa razy stchórzyłem, nie przemogłem się, nie zdobyłem na wyjęcie pierścionka, na zapytanie, czy za mnie wyjdzie.

- Coś cię gnębi? - zapytała nawet. - Jesteś jakiś przygaszony, ostatnio też tak było.

- Nie, nic. Zwykły Weltschmerz - obróciłem sprawę
w żart.

Ale następnym razem postanowiłem działać, skoczyć
na głęboką wodę, nie mogłem dopuścić, żeby zniechęciła
się do rozmów ze mną i zaczęła wychodzić wcześniej, straciłbym okazję do oświadczeń. Kiedy więc poszliśmy z grupą
do Piwnicy Świdnickiej, mocno się starałem, żeby wypaść
normalnie, żeby brylować w rozmowie, choć od środka
zżerał mnie strach.

Kiedy zostaliśmy sami, zatkało mnie, nie mogłem wydusić
słowa. Ona też nic nie mówiła i milczenie stawało się kłopot-
liwe. Nagle uświadomiłem sobie, że jeśli znowu sprowadzę
rozmowę na neutralny temat, to już nie odważę się zapytać.
Źle, bo pytanie musiałem zadać trochę ni w pięć, ni w dzie-
więć, a liczyłem na to, że jakoś zgrabnie przejdę do niego
w błahej wymianie zdań. Ale nie miałem wyboru.

- Helena...

-Tak?

Wyjąłem pierścionek i wyciągnąłem w jej stronę. W tym
momencie gwałtownie potrąciła stolik, a że ręce i tak mi się
trzęsły, upuściłem pierścionek na podłogę. Przestraszony,
że go stracę, rzuciłem się na kolana, żeby go odszukać.

Na szczęście zadziałał wpojony odruch warunkowy,
że kiedy coś mi upadnie, nie rzucam się za tym - nomen
omen - na oślep, tylko staram się usłyszeć, dokąd się toczy.

209

Choć tym razem błyskawicznie znalazłem się na kolanach,

to jednak uszy nadstawiałem jak królik i wylądowałem we właściwym rejonie. Ledwie kilkakrotnie przesunąłem rękami po kamiennej podłodze i już miałem pierścionek z powrotem. Wstałem i odwróciłem się do naszego stolika. Siadanie w tej sytuacji byłoby zbyt ceremonialne, stać nie mogłem, skoro ona siedziała. Przyklęknąłem. Ostatecznie właściwa pozycja do oświadczyn. Jeszcze raz wyciągnąłem pierścionek w jej stronę.

- Heleno, czy chcesz zostać moją żoną?

Milczała. W takich chwilach przeklinałem swoją ślepotę.

Na pewno jej mimika, mowa ciała wystarczała za odpowiedź, ale ja musiałem czekać, aż się odezwie. Nie odzywała się.

- Wiem, że to poważna propozycja, ale się nie wygłupiam. Dobrze ją przemyślałem. Kocham cię i chciałbym, abyśmy byli razem.

Trudno mi powiedzieć, czy ją kochałem, na pewno mi na niej zależało, ale kobiecie trzeba wyznać miłość, jeśli chce się ją zdobyć. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Nadal milczała. Coś było nie tak.

- Proszę pana... - odezwał się zakłopotany męski głos od sąsiedniego stolika.

-Tak?

- Ta pani wyszła, kiedy szukał pan pierścionka.

Miałem wrażenie, że cała sala rechotała, kiedy stamtąd wychodziłem, choć tym ludziom było pewnie nie mniej głupio niż mnie. Ślepek oświadczejący się na kolanach pustemu krzesłu nie jest już śmieszny, jest żałosny.

Helena mnie później przeprosiła. Powiedziała, że kiedy zorientowała się, co chcę zrobić, wpadła w panikę. Nie ze względu na mnie. Poprzednie małżeństwo było dla niej traumatycznym przeżyciem, z którego jeszcze się nie otrząsnęła, i perspektywa samej propozycji wyzwoliła w niej chęć ucieczki.

210

Przyjąłem te przeprosiny. Zwłaszcza że przeprosiła mnie z własnej inicjatywy, choć nie wiedziała, na jaką kompromitację mnie naraziła. Nie mogła się spodziewać, że nie zauważę jej wyjścia (zresztą gdybym nie był tak podenerwowany, pewnie bym zauważył), a ja oczywiście nie miałem zamiaru jej opowiadać, jak się wygłupiłem.

Ale do samych oświadczeń już nie wracaliśmy. Ta reakcja wystarczyła mi za odpowiedź, a Helena nie powiedziała nic, co świadczyłoby o tym, że źle ją interpretuję.

- Jacek, coś się tak zamyślił? - wrywa mnie ze wspomnień głos Anki. - Jak będziesz duchem tak daleko, to jeszcze będziesz miał kłopoty, żeby trafić z powrotem do ciała.

- Sorry, o co pytałaś?

Omawiamy kwestie związane z programem, nad którym we dwójkę pracujemy. Grzesiek i Robert zajęci są innym projektem. Zresztą Grzesiek od tygodnia praktycznie się nie odzywa. Najwidoczniej rozmowa ostatniej szansy z żoną niewiele dała. Nic dokładniej nie wiem, bo więcej mi się nie zwierzał, a ja nie pytałem. Kiedy Grzesiek wyszedł do toalety, Robert i Anka komentowali, że coś musiało się stać, bo poza

tym, że zrobił się mrukliwy, ma podkrążone oczy od płaczu lub niewyspania. Udałem, że o niczym nie wiem. Grzesiek nie upoważnił mnie do opowiadania o jego kłopotach, a nawet gdyby to zrobił, i tak bym nie opowiadał: nie znoszę plotkowania i grzebania w prywatnym życiu innych ludzi. Może dlatego, że nie mam ochoty, żeby ktoś grzebał w moim. Dzień pracy dobiega końca. Z niechęcią myślę o weekendzie. Nie cieszy mnie perspektywa wypadu z Argonem do lasu ani wizyty u brata. Przytłacza mnie powtarzalność moich weekendowych rozrywek, pustka czekająca mnie w domu, świadomość, że w poniedziałek przyjdę do pracy równie samotny, jak wyjdę z niej w piątek, że przez te dwa dni nic się zmieni.

211

Łomot muzyki mnie ogłusza, w efekcie straciłem orientację. Uświadamiam sobie, że desperacja jest wrednym suflerem, kiedy podpowiada, co zrobić, gdy jest się pod ścianą. Stoję, a właściwie podryguję w rytm muzyki w tłumie dyskotekowiczów na parkiecie Dziewiętej Bramy. Co chwila kogoś potrącam, zaczynam się bać, że jakiś osiłek potraktuje to jako zaczepkę i mi przyłoży. Zastanawiam się, jak zejść z parkietu. Laskę mam wprawdzie ze sobą, ale nie rozłożę jej, bo mi ją połamią. A swoją blondynkę ściągałem aż z Kanady. Rozważam, czy teatralnie nie zemdleć - wtedy znieśliby mnie z parkietu - ale porzucam tę myśl: nie nadaję się do takich sztuczek, a poza tym jak mnie zdeptają, to wyniosą, ale nogami do przodu.

Decyduję się na prostsze rozwiązanie, choć obarczone
niemałym ryzykiem: chwytam za łokieć pobliską osobę,
mając nadzieję, że nie jest to dziewczyna tańcząca w parze
ze swym zazdrosnym chłopakiem.

- Przepraszam cię! - krzyczę. - Strasznie źle się poczułem,
chyba zaraz zemdleję, możesz odprowadzić mnie do baru?
Bardzo cię proszę.

Ostatnie błagalne słowa albo ton mojego głosu przekonują
tę osobę, że nie urządzam sobie kpin.

- Jasne! - odkrzykuje. Słyszę, że jest to dziewczyna.

Prowadzi mnie do baru. Zginam się wpół, udając czło-
wieka, którego dotkliwie rozboleł żołądek, przez co mogę
się na niej oprzeć, a ona nie spostrzega, że robię tak, bo nie
widzę, dokąd mam iść.

- Dasz sobie radę? - pyta, posadziwszy mnie przy barze.

- Może powinieneś wyjść na świeże powietrze?

- Dziękuję, już mi lepiej, musiałem tylko usiąść.

Zastanawiam się, czy nie zaproponować jej drinka. Może
jest cichodajką. Słyszałem o studentkach, które na dysko-
tekach oferują usługi seksualne facetom. Niby to też pro-
stytucja, ale jakaś taka łagodniejsza forma, jak ma klienta
212

raz w tygodniu czy w miesiącu, a nie pięciu czy dziesięciu
dziennie.

- Mogę się zrewanżować drinkiem za pomoc?

- Czemu nie.

- Co ci zamówić?

- Borodino.

Nie mam wprawdzie bladego pojęcia, co owo borodino zawiera, ale przywołuję barmana i powtarzam nazwę, która dotąd kojarzyła mi się wyłącznie z napoleońską bitwą. Dla siebie zamawiam wodę mineralną. Dobrze się składa: nie muszę pić alkoholu, a jednocześnie to zamówienie pasuje do pozorowanych dolegliwości żołądkowych.

- Jak masz na imię?

- Kaśka.

- Jacek.

I nagle rozumiem pojęcie „zapomnieć języka w gębie”. Odczucie dla mnie nowe, bo nigdy nie miałem kłopotów z prowadzeniem konwersacji; zdaniem niektórych mówię nawet za dużo i zdarza się, że nie dopuszczam innych do głosu. Ale o czym rozmawiać z dziewczyną na dyskotecie? O czym się mówi z osobą poznaną dwie minuty wcześniej? O pogodzie?

- Często chodzisz na dyskoteki? - Kaśka wybawia mnie z opresji.

- Tak po prawdzie to jestem na dyskotecę pierwszy raz w życiu. A ty?

- Nie, ja to lubię, często chodzę. Dziwnie jakoś mówisz.

- Czemu?

- „Po prawdzie”. Nikt z moich znajomych tak nie mówi.

Chichocze. Domyślam się, że postawiony przeze mnie

drink nie jest jej pierwszym ani nawet drugim. Kto wie, czy nie zażyła jakichś narkotyków, ecstazy albo coś podobnego.

213

To może też wyjaśniać, dlaczego nie spostrzegła, że jestem niewidomy. Bo chyba nie spostrzegła.

- Książkowe sformułowanie, więc pewnie czytam za dużo książek.

- Czytasz książki?

Jej zdumienie jest tak szczere, że w pierwszej chwili stwierdzam, że się pomyliłem, zauważyła, że jestem niewidomy. Zaraz jednak uświadamiam sobie, że jej zdumienie nie dotyczy technicznej możliwości czytania przeze mnie książek, a samego faktu oddawania się tej - w jej mniemaniu najwidoczniej bezsensownej - czynności.

- Ale dobrze się ukrywam, strażacy z „451° Fahrenheita” jeszcze mnie nie dorwali.

-Co?!

Teraz ona musiała dojść do wniosku, że jestem naćpany.

A ja mam chyba coś z głową. Jakbym przyszedł tu szukać partnerki do intelektualnych dyskusji, a nie dziewczyny, z którą mógłbym pójść do łóżka.

- Nieważne, nie przejmuj się, czasami gadam bez sensu.

Ktoś ci już powiedział, że jesteś prześliczna?

Znowu chichocze. Raczej nie z zakłopotania, tylko bawią ją moje niezdarne próby podrywu. Mój biorytm intelektualny najwyraźniej osiągnął niż. Co jej powiem, jak się zorientuje, że nie widzę? A zorientuje się, gdybyśmy stąd razem wycho-

dzili. A może wyobrażam sobie, że będziemy uprawiali seks tu przy barze? Inna sprawa, że nic sobie nie wyobrażam. Cała sytuacja jest dla mnie kompletną abstrakcją. Co mam jej powiedzieć, jak ją przekonać, żeby ze mną poszła? Czym jej zaimponować? Jakie mam atuty poza swoją inteligencją, która nie zrobi na niej najmniejszego wrażenia? Zastanawiam się nad tą ostatnią kwestią i dochodzę do wniosku, że pieniądze.

- Pracujesz gdzieś? - pytam, żeby doprowadzić do pytania o mój zawód i pochwalenia się, że dobrze zarabiam.

214

- W sklepie z butami. Tu niedaleko, na Świdnickiej.

-I jak?

- Fajnie, ale strasznie mało płacą.

No proszę, w rozmowie zawsze znajdzie się okazja, żeby powiedzieć, co się chce, tymczasem niektórzy, zamiast dyskretnie na tę okazję zaczekać, potrafią walnąć ni z gruszki, ni z pietruszki to, czego potrzebę ogłoszenia światu i rozmówcy akurat odczuwają.

- To odwrotnie niż u mnie: nefajnie, ale dużo płacą.

- A co robisz?

- Jestem informatykiem.

-I ile zarabiasz?

Niech żyje bezpośredniość.

- Pięć tysięcy.

Nie komentuje usłyszanej kwoty, więc staram się wy-czuć jej reakcję. Musiało to na niej zrobić wrażenie. W po-

równaniu do jej zarobków. Mało jest wprawdzie pojęciem względnym - dla mnie mało to byłyby dwa tysiące - ale ile może dostawać w sklepie? Tysiąc? Góra tysiąc dwieście.

I co teraz? Założmy, że pieniądze to potężny afrodyzjak, jak mam to wykorzystać? Zaproponować, żebyśmy następnego drinka wypili u mnie w domu? A jeśli to rzeczywiście cichodajka? I zaraz powie: „Może odpalisz mi trochę z tych pięciu kafli za numerek?”.

Ciekawe, jak bym się zachował. Kto wie, czy bym się nie przestraszył i nie uciekł z podwiniętym ogonkiem.

Zresztą może w mojej sytuacji nie byłaby to wcale taka głupia reakcja. Do tego stopnia brakuje mi seksu, czułości i dotyku drugiej osoby, że pewnie zakochałbym się w pierwszej dziewczynie, która by mi to zaoferowała, nawet jeśli ta czułość byłaby udawana. A czy chciałbym zakochać się w cichodajce? Albo choćby w dziewczynie, która puszcza się na dyskotekach?

- Dzięki za drinka. Chcę potańczyć. Na razie.

215

No i rozwiąła wszystkie moje dylematy. Cichodajka, puszczańska czy po prostu dziewczyna lubiąca chodzić na dyskoteki - ze mną nie ma ochoty się zadawać. Nawet na dyskotece nie umiem poderwać dziewczyny. Ofiara losu do dziesiątej potęgi.

Staram się przekonać samego siebie racjonalnymi argumentami, że przecież pierwsza próba nie musi być udana, że może naprawdę chciała tańczyć, a nie był to tylko pretekst,

by się ode mnie uwolnić, może założyła, że za nią pójdę.

Argumenty jednak do mnie nie trafiają, a świadomość, że nie mogę pójść za nią na parkiet, jeśli nawet tego oczekiwała, dodatkowo mnie dobija.

Zamawiam borodino dla siebie. Potem jeszcze jedno.

I kolejne. I upijam się pierwszy raz w życiu.

*

Budzi mnie potworny ból głowy i przeraźliwa suchość w ustach. Do tego żołądek podchodzi mi do gardła. Chciałbym wstać i napić się wody, ale mam wrażenie, że najmniejsza zmiana pozycji wywoła wymioty. Teraz rozumiem cierpienia skacowanych kolegów, z których zawsze się naśmiewałem.

Nagle oblewa mnie zimny pot. Gdzie jestem? Ostatnie moje wspomnienie pochodzi z dyskotekowego baru: perorowałem na stojąco, wymachując laską. Nie pamiętam, co mówiłem; mam nadzieję, że nie podzieliłem się z publiką tym, co mnie gryzie: że nie mam dziewczyny i mimo skończonych trzydziestu lat jestem prawiczkim. A potem urwał mi się film. Boże, co za wstyd.

Macam wokół siebie rękami. Leżę na łóżku, a nie gdzieś na trawniku, pytanie tylko, czy to moje łóżko.

- Argo!

Czuję szorstki język na twarzy.

Chwała Bogu, na dyskotekę poszedłem bez Argona, więc jestem w domu. Musiałem na tyle zachować przytomność

216

umysłu, że zdołałem wezwać taksówkę. Albo wezwał

mi ją personel Dziewiątej Bramy.

Pragnienie dokucza mi tak, jakbym trzy dni szedł przez Saharę, więc postanawiam zaryzykować i pójść do kuchni po wodę. Siadam na łóżku. Niestety, moje obawy były słuszne, żołądek wykonuje woltę, a ja ledwie zdążam do łazienki.

Wymiotuję pochylony nad muszlą klozetową. Ohyda. Jak można dobrowolnie doprowadzać się do takiego upodlenia?

Pierwszy i ostatni raz, obiecuję sobie, omal nie wypluwając żołądka. Dokładnie czyszczę zęby, żeby pozbyć się obrzydliwego smaku z ust.

Potem opróżniam do końca półtoralitrową butelkę wody mineralnej. A jeśli nawet nie, to niewiele w niej zostawiam.

Wracam do łóżka i kładę się na brzuchu. Żołądek zaprzestał wprowadzić wędrówek, za to rozboleł mnie na całego.

Powinienem zejść do kiosku po tabletki przeciwbólowe, w domu żadnych nie mam, niechętnie zażywam jakiegokolwiek leki, ale na razie brak mi na to sił. Sprawdzam na zegarku godzinę - mam go na ręce, w ogóle jestem w ubraniu.

Degrengolada. Wpół do drugiej. Z wycieczki do lasu nic dziś nie będzie.

- Przepraszam cię, Argo, ale pan jest umierający. Zawyż panu ładnie na pogrzebie.

Leżę tak chyba ze dwie godziny, momentami przysypiając, kiedy nagle dzwonek do drzwi wświdrowuje mi się w czaszkę.

- O nie!

Nakrywam głowę poduszką, nie mam najmniejszego za-

miaru nikomu otwierać. Intruz jest jednak nachalny, dzwoni drugi i trzeci raz. Najwyraźniej coś ważnego. Zwlekam się z łóżka i otwieram drzwi.

- Cześć, to ja, Romek. Sorry, że się tak dobijam, ale zosta-
wiłeś tu za drzwiami laskę. Pomyślałem, że byłoby kijowo,
gdybyś nie mógł jej znaleźć. No i ktoś mógłby ci ją podpylić.

217

Rzecz wprawdzie normalnemu człowiekowi nieprzydatna,
ale jak Polak może coś ukraść, to najpierw ukradnie, a potem
będzie się zastanawiał, na co mu się to przyda. Coś ty taki
czerwony jak jajko?

- Źle się czuję, trochę za dużo wczoraj wypięm. - Mówmy
o eufemizmach.

- He, he, kaca masz! Idę właśnie do kiosku po gazetę,
może przynieść ci alka-seltzer?

- Potrzebowałbym coś przeciwbólowego.

- Alka-seltzer jest też przeciwbólowy, a postawi cię
na nogi. Jak nie masz kotka, to polecam.

- Kotka? - Nie wiem, o co mu chodzi. - Mam psa, prze-
cież wiesz.

Romek śmieje się.

- Mrozek napisał kiedyś takie opowiadanie, bohater miał
kotka, który brał na siebie wszystkie objawy kaca. Bohater
się schlewał, a kotek cierpiał. Królestwo za takiego kotka!
Nie mam teraz ochoty na literackie zabawy.

- Dobrze, niech będzie ten alka-seltzer.

- Już się robi.

Zabieram laskę, kolejny dowód, do jakiego zamroczenia się doprowadziłem, ale nie wracam do mieszkania, tylko opieram się o ścianę i czekam, aż Romek wróci z kiosku.

- Ile za to? - pytam, kiedy wręcza mi lekarstwo.

- Razem z dostawą jedno piwo. Oczywiście nie teraz, tylko kiedy znowu będziesz mógł patrzeć na alkohol.

- Okej, dzięki. - Nie mam siły się upierać, że wolałbym zwrócić mu pieniądze. Dług stanowi dla mnie zawsze dyskomfort, czy to pieniężny, czy wdzięczności.

- To są tabletki musujące, do rozpuszczenia w wodzie

- instruuje mnie jeszcze Romek przed powrotem do siebie na górę.

Rozpuszczam od razu dwie tabletki w dwóch szklankach wody, wypijam i kładę się ponownie na łóżku w oczekiwaniu,

218

aż zaczną działać. O dobrym samopoczuciu nie ma wprawdzie mowy, ale po jakimś czasie mogę się podnieść i nakarmić Argona. Mnie samego na myśl o jedzeniu odrzuca, ale dochodzę do wniosku, że jak wmuszę w siebie kanapkę, dobrze mi to zrobi. Powinienem wyprowadzić Argona, ale odkładam wyjście na wieczór.

Włączam laptop i szukam w Internecie dalszych porad, jak zwalczyć kaca. Zalecany jest spacer, najlepiej na mrozie.

Skąd ja im w maju wezmę mróz? A prywatnego odrutowca, żeby wyskoczyć na Grenlandię, jeszcze nie posiadam.

Sprawdzam, co jest w telewizji. Pięć minut temu na ZDF zaczął się kryminał „Ein Fali fur zwei”. Zwykle nie oglądam

kryminałów, wolę poważniejsze filmy, ale w moim obecnym stanie lekki film będzie akurat. Czytam opis, żeby wiedzieć, co przegapiłem - niemieckie stacje w przeciwieństwie do polskich nadają programy punktualnie o podanej porze - i włączam telewizor.

Film jest przystosowany do samodzielnego oglądania przez niewidomych. W przerwach między dialogami lektor opisuje sytuację. W sposób niezwykle efektywny: kiedy na przykład jakaś osoba ma odebrać telefon, to w zależności od tego, czy po podniesieniu słuchawki się przedstawi, czy nie, lektor podaje, kto odbiera telefon albo tę informację pomija. Zazdroszczę niemieckim ślepakom takiej telewizji, polskie filmy mogą oglądać wyłącznie w czyjejs asyście, a nawet przy samorodnym talencie i najlepszych chęciach asystującego opis ad hoc nie dorówna takiemu przygotowanemu. Niestety, człon „publiczna” w nazwie naszej telewizji ma to samo znaczenie, co w określeniu „dom publiczny”. Kto zapłaci, ten dostanie. Niewidomi, jako grupa generalnie uboższa, nie są atrakcyjni dla reklamodawców, a tym samym polska telewizja publiczna, skupiona na misji pozyskiwania reklamodawców, ma ich gdzieś. Choć uczciwie muszę przyznać, że nie bez winy są sami ślepaczy: zwłaszcza starsi uważają,

219

że film jest rozrywką, bez której niewidomy doskonale może się obejść, powinny mu wystarczyć słuchowiska radiowe.

Po filmie wychodzę z Argonem na spacer. Jest wyraźnie rozczarowany, że przepadła wycieczka do lasu, idzie smętny

przy nodze, nie wykazując większego zainteresowania otoczeniem. Ogarniają mnie wyrzuty sumienia.

- W następną sobotę pojedziemy do lasu na ekstradługo

- obiecuję mu.

Nie odszczekuje. Naprawdę się obraził. Mądre zwierzę, wyczuwa, że nie dopadła mnie choroba, na co nie miałbym wpływu, tylko sam doprowadziłem się do stanu nieużywalności.

Stały niedzielny punkt programu - wizyta u Krzyśków

- nie wypadł, bo wszystkie objawy kaca, poza bólem brzucha, zniknęły.

Właśnie od nich wróciłem i leżę sobie na kanapie, a ze stereofonicznych głośników płynie muzyka. „Der unterbrochene Gedanke” Pendereckiego. Kwartet smyczkowy.

Wysłuchuję się w pełną wirtuozerii grę muzyków z Tale String Quartet, kiedy pociągnięcia smyczków zagłusza dzwonek do drzwi.

- Cześć, Stevie Wonder - poznaję głos Romka.

Reakcją na ten mało wyszukany żart jest kobiecy śmiech.

Dwóch kobiet.

- Może do nas dołączysz? - zaprasza Romek. Teraz słyszę, że jest podpity. - Powiedziałem Bożence i Eulalii...

- Emilii! Mam na imię Emilia! - poprawia urażony kobiecy głosik.

- Wszystko jedno. No więc powiedziałem dziewczynom, że mam supersąsiada i stwierdziły, że chcą cię poznać. No i byłoby nas po równo, bo ja już swoje lata mam i dwóm

mogę nie dać rady.

220

Emilia wydaje udawany okrzyk przerażenia, bo Romek, najwyraźniej chcąc zademonstrować, że jego słowa podytowane są wyłącznie skromnością, a w rzeczywistości jest w stanie skonsumować obie, gryzie albo całuje ją w szyję. Wnioskuje to z odgłosów, które przy tym wydaje, choć wcale nie są obliczone na to, żebym wiedział, co się dzieje.

- Raczej nie... - Zastanawiam się, jakiej wymówki użyć: że jeszcze źle się czuję po piątkowym przepiciu (co po części jest prawdą, nadal boli mnie brzuch), czy że jestem zajęty (ciekawe czym, w niedzielę pod wieczór).

- No szkoda. - Romek ku mojej uldze przyjmuje odmowę, nie oczekując uzasadnienia ani nie próbując mnie namawiać. - Chodźcie, dupeńki, właśnie odrestaurowałem łóżko biedermeiera, możemy je wypróbować przed oddaniem klientowi.

Panienki chichoczą z udawanym zakłopotaniem - przypuszczam, że dla nich biedermeier to nazwisko właściciela łóżka - a Bożenka dodatkowo piszczy, co, jak wnioskuje z odgłosów, jest reakcją na to, że Romek klepnął ją w tyłek.

Kierują się na górę, powodując przy tym niemały rumor.

Najwyraźniej Romek obejmuje dziewczyny wpół, przez co cała trójka ma ograniczoną swobodę ruchów.

Zamykam za nimi drzwi. Wracam na kanapę, ale nie mogę się skupić na muzyce, w uszach dźwięczy mi bezwstydnym, ociekającym seksem śmiech Bożeny i Emilii. Czuję,

że mam erekcję. Nie mogę się powstrzymać i zaczynam się onanizować.

Potem jest mi głupio i jestem na siebie zły. Tyle razy obiecywałem sobie, że nie będę tego robił. To dobre dla nastolatka, a nie faceta po trzydziestce. Właściwie czemu do nich nie dołączyłem? Teraz uprawiałbym prawdziwy seks. Bzdura. Odmówiłem, bo doskonale wiedziałem, że nic by z tego nie wyszło. Ja na doczepkę do towarzystwa, dla którego uprawianie seksu to czynność tak naturalna i oczywista

221

jak sen czy jedzenie. Przecież zjadłyby mnie nerwy. Może jeszcze jakoś zdołałbym je opanować, gdybym z jedną z nich miał pójść do drugiego pokoju, ale kto ich wie, czy dla nich równie oczywisty nie jest seks zbiorowy. Albo wymiana partnerów. I zaraz ta, z którą najpierw bym się przespał, opowiedziałaby Romkowi, że był to mój pierwszy raz, bo przecież przed doświadczoną kobietą nie zdołałbym tego ukryć. Albo co gorsza, nie sprawdziłbym się i by mnie wyśmiała albo poskarżyła się Romkowi, kogo to zaprosił do towarzystwa.

Wstaję, żeby się przebrać. Szukając w szafie czystych rzeczy, nie mogę przestać myśleć o Romku i kobietach, które sobie sprowadził. Skąd je wzięł? Jak to się dzieje, że on miał żonę, umie poderwać dziewczynę, że seks dla niego jest dobrą zabawą, a ja muszę sobie z tym radzić w sposób, który wzbudza we mnie pogardę dla samego siebie. A właściwie dlaczego? Przecież popularność pornografii i sekstelefonów

świadczy o tym, że inni faceci również sami sobie dogadzają. No tak, ale im to nie zastępuje seksu, najwyżej stanowi uzupełnienie. Wtedy mogą traktować to jako rozrywkę. Natrafiam w szafie na pudełko. Co to jest? Nie pamiętam. Otwieram je i wyciągam podłużny przedmiot jakby z lejącej się miękkiej gumy. Z dołączonym kabelkiem i pojemnikiem na baterie, stanowiącym jednocześnie przełącznik. Nie kojarzę. Oglądam go jeszcze raz. Podłużny, rozszerzający się na końcu w owal z otworem. Sztuczna pochwa! Wypuszczam ją z ręki. Z odrazy i wstrętu do siebie omal nie wymiotuję. Teraz sobie przypominam. Pod wpływem rozpaczony, że nie stać mnie na prawdziwą dziewczynę, kupiłem ją kilka lat temu w internetowym sex shopie. Ale nigdy nie zdecydowałem się użyć.

- Argo!

Argo zrywa się ze swego legowiska i podbiega do mnie.

222

- Idziemy się przejść.

Szczeka zachwycony, że czeka go nieplanowy spacer i przynosi mi smycz w pysku.

Zakładam mu ją, chowam sztuczną pochwę z powrotem do pudełka i biorę je pod pachę. Reflektuję się jednak i idę do kuchni po reklamówkę. Nie będę przecież wszystkim demonstrował, jakiego to zakupu dokonałem. Opakowanie miało wprawdzie być dyskretne, ale dotyczyło to pewnie

wyłącznie kartonu, w którym otrzymałem przesyłkę, a nie opakowania samego produktu. Wolę nie ryzykować.

Wychodzimy i kieruję się w stronę śmietnika. Już mam wrzucić reklamówkę do kontenera, kiedy słyszę, że ktoś buszuje po śmietniku. Tego tylko brakowało, żeby jakiś kloszard zaraz ją wyciągnął i podzielił się ubawem z okolicznymi mętami, czego to ślepek się pozbył.

- Wyrzuca pan coś? - słyszę przepity głos, a w nozdrza uderza mnie odór alkoholu i niemytego ciała.

-Nie.

- Szkoda. Moja stara ma urodziny i szukam czegoś na prezent, ale nic się, kurwa, nie nadaje. A jak nie dam jej prezentu, będzie mi, kurwa, truła dupę przez cały rok. Jakby mało zrzędziła.

Nie mogę go pocieszyć, że planowałem wyrzucić pochwę, a nie wibrator, więc też nie nadałaby się na prezent dla jego starej. Zastanawiam się, kogo rozumie pod tym pojęciem: żonę czy matkę? Chyba jednak matkę, jaka kobieta wysłaby za takiego zapijaczonego śmierdziela?

- Co mnie, kurwa, wzięło, żeby się z nią żenić - biadoli pijaczyna, wyprowadzając mnie z błędu.

Odchodzę do cna zdołowany. Są takie dni, w które świat jakby upiera się, żeby pchać mi przed oczy dowody, jakim jestem nieudacznikiem. Najpierw Romek ze swoimi flammami, potem przypadkowe odnalezienie pochwy, a teraz to. Nawet taki lump umiał znaleźć sobie żonę, przekonać

kobietę, żeby za niego wyszła. Śmieć, który nic sobą nie reprezentuje. Dlaczego ja nie potrafię? Dlaczego dla kobiet nawet taka kreatura jest atrakcyjniejsza ode mnie? Bo widzi? Przecież ja swoją żonę nosiłbym na rękach, starałbym się jej wynagrodzić tę moją „wadę”, na pewno prezentów dla niej nie szukałbym w śmietnikach. Myślę, że w moim wypadku poza miłością dochodziłoby uczucie wdzięczności, że zechciała ze mną być. Obce facetom, dla których to, że mają żonę czy dziewczynę, jest równie oczywiste jak fakt, że mieli matkę i ojca. Może i ja nie potrafiłbym tego docenić, gdyby mi się ułożyło, gdyby jedna z pierwszych dziewczyn, o które się starałem, powiedziała „tak”. Teraz wiem, że powiedziałbym „dziękuję”, „dziękuję ci, że ze mną jesteś”. I dziękowałbym nie tylko słowami, ale i swoim postępowaniem na każdym kroku.

Szukamy innego śmietnika. Kwartaty Sępolna są symetryczne, więc na następnej ulicy śmietnik powinien być w tym samym miejscu, co na mojej. Jest. Nasłuchuję, czy nikt w nim nie grzebie i czy ktoś nie kręci się w pobliżu.

Nikogo nie słyszę. Wyrzucam pudełko i odchodzę z Argonem tak szybko, jakbym podłożył ładunek wybuchowy.

*

Mimo że przebrzmiał dźwięk trzeciego budzika, nie wstaję. Nie dlatego, że nie mogę zwlec się z łóżka, bo dla mnie jest za wcześnie. Po prostu nie widzę sensu. Po raz pierwszy odkąd pracuję, zastanawiam się, co by było, gdybym

wszystko olał i został w domu. Ja, który swoją pracę i możliwość zarabiania traktuję jak dar niebios. Kiedy nasi rodzice zmarli, mieliśmy naprawdę ciężko, utrzymywaliśmy się z renty po nich i skromnej Krzyśkowej pensji początkującego lekarza. Kiedy poszedłem do liceum, chciałem dołożyć się do gospodarstwa i znaleźć sobie jakieś dorywcze zajęcie.

224

Bez powodzenia, moja ślepotą okazała się skuteczną barierą. Wtedy dotarło do mnie, że wcale nie jest przesądzone, że kiedyś będę miał pracę i będę mógł sam się utrzymywać. Widmo zależności i niedostatku, życia z groszowej renty ślepaką, zajrzało mi w oczy. Właściwie prześladowa mnie do dziś, czasami nie mogę uwierzyć, że mi się udało, że nawet należę do zamożniejszej części społeczeństwa, i postępuję lub rozumiem tak, jakbym klepał biedę. Na przykład nie głosuję na liberałów, tylko zawsze na partię, która ma rozbudowany program socjalny. Albo wręcz muszę się przemóc, żeby kupić sobie coś drogiego, bo gdzieś w podświadomości tkwi obawa, że zabraknie mi pieniędzy, chociaż stan mojego konta zdecydowanie wyklucza takie niebezpieczeństwo. No właśnie, staram się obliczyć na podstawie stanu mojego konta, przez ile czasu mógłbym nie pracować. Wychodzi mi, że dosyć długo. No to już. Odwracam się do ściany. Mam w dupie, nigdzie nie idę. Na cholere? Przecież ten kołowrót nie ma sensu. Pięć dni klepania w klawiaturę, spacer po lesie, obiad u Krzyśków. Bez drugiego człowieka, bez kobiety, bez miłości. Co to za życie? Niby funkcjonuję

normalnie, ale samotność kładzie się cieniem na wszystkim, wdiera się w każdą porę, bez przerwy o sobie przypomina. Kiedy się śmieję, przestaję się śmiać, bo śmiech głupio brzmi w pustych czterech ścianach, kiedy się cieszę, przestaję się cieszyć, skoro nie mam z kim podzielić się radością.

Pamiętam, jak na studiach po szczególnie trudnym egzaminie koledzy wyciągali komórki i dzwonili do swoich dziewczyn, żeby pochwalić się, że zdali, żeby uspokoić swoją partnerkę, która przed egzaminem denerwowała się razem z nimi. Gwoli sprawiedliwości, nie wszyscy. Były takie sieroty jak ja, którym pozostawało dzwonienie do rodziców, czy, jak w moim wypadku, do rodzeństwa.

Kiedyś takiego sierotę spotkałem w autobusie już po studiach. Ten to był wyjątkowym niedołęgą, na wuefie potykał

225

się o własne nogi, piłkę łapał tak, jakby miał paraliż rąk, kiedy w towarzystwie pojawiała się dziewczyna, nie potrafił wydusić z siebie słowa, nie mówiąc o tym, żeby zwrócić się bezpośrednio do niej.

Podszedł do mnie w autobusie, co mnie zdziwiło, bo nasza znajomość na studiach ograniczała się do zdawkowego „cześć” i ewentualnie omówienia jakiegoś problemu informatycznego. Od razu jednak wyjawiał przyczynę. Bez zbędnych wstępów oświadczył:

- Ożeniłem się.

Po prostu chciał się pochwalić. Radość, że odważył się podjąć próbę zdobycia kobiety, że ta próba wbrew

wszelkim przewidywaniom zakończyła się powodzeniem, wręcz z niego kipiła. Emanował z niego zaprawiony zdumieniem zachwyt, że jakaś kobieta mu się oddała, że jest coś tak fantastycznego jak seks i on może go uprawiać. Bez trudu domyśliłem się, że żona była jego pierwszą kobietą.

Nie umiałem sobie z nim poradzić, przytłoczył, przyniósł mi swoją radością. Chciałem zmienić temat, ale się nie dało, co chwila wracał do swojej żony. Oczywiście zapytał mnie, czy i ja się ożeniłem. Nic by mu nie sprawiło większej przykrości niż odpowiedź twierdząca. Bo wtedy jego ożenek nie byłby sukcesem, tylko normalną kolejną rzeczą, nie zdystansowałby innych nieudaczników w najważniejszym życiowym wyścigu.

Nie skłamałem. Odpowiedziałem, że nie. Krótko i wężłowato. Wcześniej opatrywałem taką odpowiedź aluzjami, że nie w moim stylu wiązać się na stałe, czasami szczeniackim tekstem, że nie ma potrzeby kupowania krowy, żeby pić mleko, ale sobie darowałem. Owszem, jest mi wstyd, że nie umiem znaleźć sobie dziewczyny, ale nie muszę się dodatkowo pogrążyć, udając Don Juana.

Nie dość, że pewnie te fałszywe przechwałki były łatwe

226

do przejrzania, to jeszcze powodowały u mnie moralnego kaca, że udaję kogoś innego, niż jestem.

Ktoś dzwoni domofonem. Na pewno taksówkarz. Spadaj!

Nakrywam głowę poduszką. Nic nie słyszę, nic nie widzę,

jestem głuchoniewidomy, może tak najlepiej, być całkowicie odcięty od świata, który nie ma człowiekowi nic do proponowania poza cierpieniem. Psychicznym i fizycznym. Dalej doskwiera mi ból brzucha i to wcale nie lekki, jak na efekt kaca utrzymuje się zbyt długo.

Leżę tak i w końcu ponownie zasypiam. Budzi mnie dzwoniąca komórka. Po melodii rozpoznaję, że dzwoni Adam. Ani myślę odbierać. Nie ma mnie. Umarłem. Weźcie, przeczytajcie za kilka dni gazety: „Niewidomy 30-letni mężczyzna został znaleziony martwy w mieszkaniu na Sępolnie. Sąsiadów zaalarmował ujadający bez przerwy pies. Zagadkowa pozostaje przyczyna zgonu. Ustalenia prokuratury wykluczyły morderstwo czy samobójstwo, a sekcja zwłok nie wykazała żadnej choroby. Zdaniem lekarzy, przyczyną śmierci mogła być samotność. Byłby to pierwszy przypadek w historii medycyny naturalnego zgonu spowodowanego stanem długotrwałej samotności”.

No i proszę, przeszedłbym do historii. Wprawdzie tylko do historii medycyny, ale zawsze coś.

Adam zrezygnował, ale na krótko. Po chwili telefon dzwoni ponownie. Uświadamiam sobie, że jeśli nie odbiorę, znajdą mnie nie sąsiedzi za kilka dni, ale moi współpracownicy jeszcze dzisiaj. Wiedzą, że mieszkam sam, a że dotychczas opuściłem w pracy łącznie może tydzień, zawsze o tym uprzedzając, muszą się zaniepokoić. Na pewno prędzej dojdą do wniosku, że coś się stało, niż że zrobiłem sobie wagary.

Wciskam przycisk „odbierz”. Adam jest wściekły.

- Gdzie się podziewasz, człowieku?! Nie łaska, do ciężkiej cholery, powiadomić, że nie stawisz się w pracy?!

227

Co ty sobie wyobrażasz?! Jak ci się nie podoba obowiązek chodzenia do roboty, to ja mam na twoje miejsce kilku chętnych!

Jego agresja mnie oszłamia i nie dostrzegam, że kryje się za nią ulga, bo przekonał się, że jeśli może nawet nie jestem cały i zdrowy, to na pewno żywy. Za to przeraża mnie groźba wylania z pracy: co innego teoretycznie rzucać pracę, mając zły nastrój, a co innego usłyszeć od pracodawcy, że naprawdę można wylecieć. Gorączkowo szukam usprawiedliwienia.

- Przepraszam cię, Adam. Tak strasznie bolał mnie brzuch, że z rana poszedłem do lekarza. Dosłownie mnie rozrywało i nie miałem siły nawet pomyśleć o tym, żeby cię powiadomić. A kiedy chciałem zadzwonić od lekarza, odkryłem, że... nie wziąłem ze sobą komórki.

W pierwszej wersji chciałem powiedzieć „ukradli mi komórkę”, co podniosłoby dramaturgię, a ja zasługiwałbym na większe współczucie i trudniej by mu było się na mnie wściekać, ale w porę zorientowałem się, że w takiej sytuacji by się do mnie nie dodzwonił. Kłamstwo wymaga jednak niesłychanej precyzji.

-I co ci jest? Jak się teraz czujesz? - pyta Adam spokojniejszym tonem.

- Dziękuję, dostałem zastrzyk i już mi lepiej. - Tak,
„zastrzyk” zdecydowanie nobilituje dolegliwość, musiało
być coś poważnego, skoro nie wystarczyły zwykłe tab-
letki. - Mam wprawdzie zwolnienie, ale jutro będę już
w pracy.

- To do jutra.

Trzask słuchawki. Typowe dla Adama. Sprawa omó-
wiona, wnioski wyciągnięte, plan dalszych działań zakre-
ślony, nie ma co debatować i dalej się nad tym rozwodzić,
skoro temat został zamknięty. Niewątpliwie takie podejście
ułatwia mu sprawne zarządzanie firmą.

228

Wstaję z łóżka i ubieram się, rozważając, co robić.
Dochodzę do wniosku, że muszę wybrać się do lekarza
i za wszelką cenę zdobyć zwolnienie, choćby na dzisiaj.
Adamowi pewnie nie przyjdzie do głowy, by się o nie
upominać, ale na sto procent upomni się o nie księgowa,
żeby wyliczyć pensję za dzień nieobecności. Mógłbym
wprawdzie odegrać scenkę, że zwolnienie gdzieś zapo-
działem i poprosić, żeby zaklasyfikowali ten dzień jako
urlop, nawet bezpłatny, ale zostawiam sobie tę furtkę
na wypadek, gdybym nie zdobył zwolnienia. Skoro już
wymyśliłem jedno kłamstwo, to póki się da, warto zadbać
o jego spójność. A poza tym brzuch naprawdę mnie boli,
więc upiekę dwie pieczenie na jednym ogniu.
Dzwonię do lekarza rodzinnego, żeby się zarejestrować.
Niestety, informuje mnie pielęgniarka przemiłym głosem,

wolne miejsca są dopiero pojutrze, jakbym zadzwonił przed ósmą, to bym się dostał, bo zawsze trzymają pewną pulę miejsc dla dzwoniących z rana. Ale, dodaje, słysząc, że bardzo mnie to zmartwiło, mogę przyjść i zapytać, czy pani doktor mnie przyjmie.

Nie mam wyboru, czasu za to pod dostatkiem, mogę posiedzieć u lekarza i poczekać, a jako ślepek mam chyba spore szanse, że zostanę przyjęty mimo braku rejestracji. Ostatecznie cała masa ludzi traktuje mnie jako przewlekłe chorego, choć jestem tylko niepełnosprawny; lekarze też nie są od tego wolni. Zresztą może jako niewidomy mam prawo do pewnych przywilejów. W publicznej służbie zdrowia byłem przyjmowany poza kolejką, w niepublicznej nie ma kolejek, pacjenci są zapisywani na konkretne godziny (przykład udogodnienia, które pokazuje, że w wielu wypadkach lepsze rozwiązania nie są kwestią pieniędzy, a wyłącznie dobrej organizacji), ale niewykluczone, że jakieś przywileje mi przysługują. Nie wiem, bo dotąd z nich nie korzystałem.

229

Kierujemy się z Argonem w stronę Biskupina. Wybrałem sobie gabinet na Olszewskiego, za starą przychodnią i akademikiem, w kompleksie osiedlowym dla emerytowanych pracowników naukowych. Prowadzą go dla odmiany dwie młode lekarki i to mi odpowiadało.

Jest bardzo ciepło, efekt cieplarniany daje znać o sobie, ale akurat - co może jest mało proekologiczną postawą

- to mnie cieszy. Nie znoszę zimna, deszczu, a przede wszystkim śniegu. Tego ostatniego ze względów praktycznych. Spadły śnieg utrudnia, a czasami uniemożliwia mi orientację. Ostatniej zimy poszedłem raz do pracy bez Argona - przeziębził się i wolałem zostawić go w domu - i w drodze powrotnej zgubiłem się. Chodniki były nieodśnieżone i nie wiedziałem, jak iść. Stałem chyba z godzinę i czekałem, aż ktoś mi pomoże. Okazało się, że znajdowałem się raptem pięćdziesiąt metrów od swojej bramy.

Idziemy spacerkiem, nie śpieszy nam się. Wiosną zawsze prowadzą mnie zapachy - intensywniejsze niż o jakiegokolwiek innej porze roku - smród spalin, kiedy przekraczamy Dembowskiego, woń skoszonej trawy między działkami i ogródkami.

U lekarza mam szczęście. Jeden z pacjentów wychodzi po trzech minutach, a że na każdego przypada kwadrans, robi się luka, w którą mogę wskoczyć.

- Dzień dobry, cóż to panu dolega? - Lekarka, podobnie jak pielęgniarka, ma przemiły głos. Taki kojący, jakby stworzony właśnie po to, żeby zwracać się nim do zbołałych pacjentów. Zastanawiam się, czy nie zaprosić któregoś z nich na kawę. Ale przecież nic o nich nie wiem.

No i co z tego? Cała masa facetów podrywa dziewczyny na ulicy i nie stanowi to dla nich przeszkody. No tak, ale oni przynajmniej widzą, jak dziewczyna wygląda, poza tym dzięki mowie ciała i kontaktowi wzrokowemu mogą ocenić, czy mają jakiegokolwiek szanse. Ja bym chyba jednak

tak nie potrafił, moje zainteresowanie dziewczyną pojawia się po jakimś okresie znajomości, kiedy lepiej ją poznam.

Zaczynać znajomość od okazywania zainteresowania, z punktem wyjścia „może coś między nami będzie”, to nie w moim stylu. Tyle że ten mój styl nie przyniósł efektów, najwyższy czas go zmienić.

Zastanawiam się, co by było, gdybym powiedział:

„Dolega mi samotność, nie chciałaby pani doktor umówić się ze mną na kawę, żeby znaleźć jakieś lekarstwo?”.

I uświadamiam sobie, że nigdy w życiu tego nie powiem, nie odważyłbym się, nie przemógł.

- Rozumiem, że jakieś dolegliwości z językiem i nie może pan mówić? - żartuje lekarka.

- Przepraszam. Boli mnie brzuch, pani doktor. Od soboty. Teraz trochę mniej, ale rano tak mnie rwało, że nie mogłem wstać z łóżka. - Dobrze, że nie jestem Pinokiem, bo wydtubałbym jej oko, w całym życiu tyle nie nakłamałem, co dzisiaj.

- Zobaczymy. Proszę zdjąć koszulkę i położyć się na koczecie.

Zdejmuję koszulkę i wieszam ją na poręczu krzesła.

- Gdzie jest kozetka?

- A, przepraszam. Na wprost pana. Już podprowadzę.

Ruszam sam, co okazuje się fatalną decyzją, bo na coś wpadam, prawdopodobnie na wieszak. Pretensje mogę mieć

tylko do siebie. Dawno powinienem się nauczyć, że jak widzący mówi „na wprost”, równie dobrze może to znaczyć „na wprost, nieco w lewo” i powinienem dopytać. Tłumaczenie ludziom, że jeśli ktoś mi mówi, że mam iść na wprost, to idę na wprost, a nie koryguję o kilka stopni w prawo lub w lewo w zależności od położenia celu, bo go przecież nie widzę, nie ma sensu.

- Proszę uważać.

231

Lekarka bierze mnie pod ramię i prowadzi na kozetkę. Kładzie mnie i delikatnie zaczyna obmacywać brzuch. Łaskocze.

- Strasznie pan wrażliwy na łaskotki.

No cóż, nie jestem przyzwyczajony, żeby kobieta głaskała mnie po brzuchu.

- To boli? - pyta, delikatnie uciskając w różnych miejscach.

- Boli, ale nie pod wpływem ucisku, tylko tak, jak bolało.

- Dobrze, proszę się ubrać.

Słyszę, że myje ręce, a potem siada z powrotem za biurkiem, naprzeciwko mnie.

- Nie dostrzegam nic niepokojącego, na pewno nie jest to wyrostek robaczkowy. Czy w ostatnim czasie miał pan dużo stresów albo spotkało pana coś nieprzyjemnego?

Poza tym, że skończyłem trzydzieści lat i nadal jestem

prawiczkiem, nic.

- Czy ja wiem? Normalny, codzienny stres, nic szczególnego.

- Mimo wszystko myślę, że te dolegliwości są na tle nerwowym. Dla pewności dam panu skierowanie na USG, do tego czasu nie będę przepisywała żadnych leków, proszę sobie kupić melisę. Jak pan wróci do mnie z wynikami badań, to zobaczymy, co dalej.

Dostaję skierowanie do ręki. Waham się. Nic nie wspomniata o zwolnieniu. A przecież głównie po nie tutaj przyszedłem. Pewnie zakłada, że nie pracuję. Pracujący ślepek to w świadomości społecznej oksymoron. A wykształcenie medyczne nie zwalnia od stereotypowego myślenia. Krzysiek nieraz z przekąsem wypowiadał się o szwankującej inteligencji swoich kolegów po fachu: „Lekarz z definicji ma być inteligentny? Niby dlaczego? Bo skończył studia
232

medyczne? To nie są żadne studia, to jest wyższa szkoła zawodowa!\".

-Pani doktor...

- Słucham?

- Jak już mówiłem, rano tak mnie bolało, że nie zdołałem wstać do pracy, to naprawdę nie jest wymówka, lubię swoją pracę, nawet bardzo, odkąd pracuję, opuściłem może tydzień, ale na dziś potrzebowałbym zwolnienia...

- Przepraszam, nie pomyślałam. Oczywiście, wypiszę panu, wystarczy na dziś czy chce pan też na jutro? Żeby

sobie odpocząć i zrobić badania?

Chyba faktycznie uznała, że żyję z zasiłku z opieki społecznej (i z tego zasiłku kupuję markowe ciuchy) i teraz chce się zrehabilitować.

- Wystarczy na dziś, badania zrobię po południu - mówię;
i tak nie mam zamiaru robić żadnych badań.

Dostaję zwolnienie, dziękuję i wychodzę. Wiem, że zaraz obok gabinetu jest apteka. Postanawiam zawrzeć kompromis między moją niechęcią do leków i badań a zaleceniami lekarki i kupić sobie melisę. Pewnie rzeczywiście to nerwy i melisa załatwi sprawę.

W drodze powrotnej wstępujemy do sklepu zoologicznego na osiedlu naprzeciwko jedenastki, mojego byłego liceum.

Argo korzysta z okazji i zanurza łeb w jednym z worków z karmą stojących przed ladą.

- Zostaw! - Ciągnę go. - Co to za darmowa wyżerka?

Chcesz, żeby nas stąd przegonili?

Sprzedawczyni, a zarazem właścicielka sklepu, śmieje się.

- Argo, jako mój pupil i stały klient, ma prawo do gratisów. Dać to, co zwykle?

- Poproszę.

Sprzedawczyni wychodzi zza lady i staje koło mnie.

Czuję ciepło jej ciała.

233

- No, Argo, odsuń się, żebyśmy mogła nabrać dla ciebie karmy.

Głaszcz go.

- Grzeczny piesek, chwali ci się, że dbasz o swojego pana.

Ostrożnie przysuwam się do niej bliżej, żeby doznanie kobiecego ciała było intensywniejsze. Sprzedawczyni pochyla się, żeby nabrać karmy. Mam erekcję. Zastanawiam się, co by było, gdybym zadarł jej spódnicę (jeśli ma na sobie spódnicę) i wszedł w nią od tyłu. Nic by nie było i nigdzie bym nie wszedł. Wezwałaby policję i tyle, a ja po wyjściu z więzienia za usiłowanie gwałtu nie mógłbym się więcej pokazać w tym sklepie. Namiętny, przypadkowy seks zdarza się w książkach i filmach, a nie w realnym życiu. Czasami mam wrażenie, że seks w ogóle istnieje tylko w książkach i filmach, taką jest dla mnie abstrakcją, i ci wszyscy ludzie dokoła też go nie uprawiają. Tylko skąd wtedy brałyby się dzieci?

- Tak gorąco tutaj? Cały pan czerwony na twarzy.

Nie, to tylko mnie jest gorąco, bo miałem kobietę na wyciągnięcie ręki. A jednocześnie jakby za stalową kurtyną.

- Trochę gorąco, poza tym nie czuję się najlepiej, właśnie wracam od lekarza.

- To proszę się kurować. Osiemdziesiąt złotych.

Wyciągam z portfela banknot i sprawdzam, jaki nominał wyciągnąłem. Poznają to po wielkości, umieszczając banknot we wgłębieniu między kciukiem a palcem wskazującym.

Wypukłe figury geometryczne, które w zamierzeniu miały służyć niewidomym do rozpoznawania nominałów, nie spełniają swej roli. Są zbyt płaskie i wyczuwalne praktycznie

tylko na nowych banknotach, przy bardziej zniszczonych nie jestem w stanie ocenić, czy pod palcami mam romb czy zagniecenia.

Ustalam, że trzymam w ręku setkę i podaję ją sprzedawczyni. Dostaję resztę, chowam ją w osobnej przegródce 234

portfela, żeby później sprawdzić, czy dobrze mi wydała.

Generalnie mam do niej zaufanie i dlatego nie sprawdzam od razu, ale jak mawiał bodajże Lenin: można ufać, ale lepiej skontrolować.

Właśnie się zastanawiam, co począć z niespodziewanie wolnym dniem, nie jestem przyzwyczajony, żeby w poniedziałek jeszcze przed południem mieć wolny czas, kiedy rozlega się dzwonek do drzwi. Ponieważ z tego dzwonka ostatnio regularnie korzysta Romek, domyślam się, że to on i nie mylę się.

- Cześć! Można? Widziałem z okna, że wracasz do domu, to pomyślałem, że zajrzę. Właśnie mnie zawrodup wytrącił z równowagi i nie mogę skupić się na pracy. Jezu mać, ja jestem artystą i muszę mieć wenę, a jak mam mieć wenę, kiedy nachodzą mnie zawrodupy!

-Kto?

- Klienci zawracający mi dupę. Tak zwani petenci, co pochodzi od czasownika „pętać się”. Po łacinie clientus upierdlivicus, gatunek uciążliwego klienta występujący w dorzeczu Odry i Wisły. Napijesz się piwa?

W pierwszym odruchu chcę odmówić, w poniedział-

kowe przedpołudnie człowiek powinien pracować, a nie pić piwo, jeśli nie jest menelem, ale stwierdzam, że skoro moje życie wypadło dziś z utartych kolein, to równie dobrze mogę biernie patrzeć, gdzie się stoczy.

- Mogę się napić.

- Ale chodź, usiądziemy sobie na zewnątrz, słoneczko tak przyjemnie grzeje.

Tego już za wiele. Ostatecznie jestem szanowanym informatykiem, jak mam pić za dnia, to na pewno nie na ławce.

- To może na balkonie?

Romek akceptuje ten kompromis i siadamy na balkonie.

235

- Czym cię ten klient zdenerwował?

- Dzwoni łajza, że mu się ramię od fotela oderwało, czy mu na miejscu przykleję. Pracuję akurat nad rokokowym lustrem, prawdziwe wyzwanie, a ten mnie odrywa, żeby mu klej z tubki wycisnął! Ale dobra, mówię do gościa, że takie drobne zlecenie do wykonania na miejscu drogo wyjdzie - albo spławię frajera, albo zgarnę trochę kasy.

Gość do mnie, że nie ma sprawy. Przyjeżdża z tym swoim barachtem, oglądam i mówię, że dwie stówy i do odbioru za dwie godziny. A ten do mnie, że za drogo i miało być na miejscu. Przecież idiocie debilnemu mówiłem, że będzie drogo, co on sobie wyobrażał?! Że zapłaci trzydzieści złotych?! Tłumaczę, że klej musi wyschnąć, że muszę podmalować, sama fizyka stoi na przeszkodzie,

żeby zrobić to w pięć minut. Myślisz, że dotarło? Gdzie tam. Obraził się i poszedł. I dobrze, bo inaczej sam bym go wykopał.

Podejście Romka do klientów zdumiewa mnie tylko trochę, bo chyba przyjąłem już do wiadomości, że nie jest to człowiek, którego obchodzą jakiegokolwiek konwenanse. Niby mu zazdrozczę - lekceważenie konwenansów, możliwość ich lekceważenia to oznaka charakteru i niezależności - ale jednak taką postawę potępiam, bo konwenanse regulują i ułatwiają życie.

- Klient nasz pan. Jakbyś obniżył cenę na przykład do stu złotych, to byś zarobił: sto złotych to więcej niż zero złotych.

- Mam w odwłoku. Demokracja jest, panowie byli za monarchii. I nie będę płaszczył się przed byle gnojkiem, żeby zarobić stówę, pieniądze to nie wszystko.

Czuję intuicyjnie, że to skądinąd prawdziwe stwierdzenie nie bardzo pasuje w tym kontekście, ale zanim udaje mi się dociec, gdzie tkwi haczyk, Romek zmienia temat:

- A ty czemu nie jesteś w pracy?

236

Opowiadam swoją historyjkę. Okazuje się, że niekonwencjonalny Romek ma zupełnie inne podejście do zaleceń lekarskich niż ja.

- Jak to nie wykonasz badań? Przecież ból brzucha może być symptomem poważnej choroby, a im wcześniej choroba wykryta, tym większe szanse na wyleczenie. Czekaaj!

Romek podrywa się i opuszcza balkon. Wraca po pięciu minutach. Słyszę, że wertuje jakąś książkę.

- Encyklopedia zdrowia - informuje mnie. - Niezbędnik dla każdego, kto nie lekceważy stanu swojego zdrowia.

Brzuch cię boli, mówisz? Biegunkę masz?

- No mam - mówię niechętnie. Niezbyt podoba mi się, że nielekarz wypytuje mnie o takie sprawy.

- Bóle brzucha i biegunka. Może być choroba Crohna, też miałem podejrzenie.

Nigdy o takiej chorobie nie słyszałem, ale Romek nie zamierza dłużej pozostawiać mnie w nieświadomości.

- „Jest to przewlekłe nieswoiste zapalenie jakiegoś odcinka przewodu pokarmowego” - czyta. - „Objawy rozwijają się stopniowo. Rzadziej początek choroby jest ostry i przypomina zapalenie wyrostka robaczkowego. Dominują bóle brzucha i biegunka bez domieszki krwi”. Masz krew w kale? Bo jeśli tak, to bardziej wskazywałoby na wrzodziejące zapalenie jelita grubego. Też kiedyś u siebie zdiagnozowałem, ale lekarz upierał się, że mam hemoroidy. Konował! No to jak, biegunka z krwią czy bez?

Nie wiem, bo przecież nie jestem w stanie tego sprawdzić, ale zorientowałem się już, że mam do czynienia z klasycznym hipochondrykiem i odpowiedź nie ma większego znaczenia: w każdym przypadku przypisze mi jakąś chorobę.

- Bez.

- To jednak choroba Crohna. „Dość często występuje gorączka, brak łaknienia i spadek masy ciała”. Chyba rze-

czywiście schudłeś, odkąd cię poznałem - zauważa Romek,

237

zapominając, że nie minęły jeszcze nawet dwa tygodnie, jak się poznaliśmy - a to piwo pijesz tak niemrawo, jakby odrzucało cię od płynów. Pij, bo przyniosłem po dwa na łebka.

- Po tym napomnieniu Romek wraca do czytania: - „Ważnym objawem są szczeliny, ropnie i przetoki okołodbytowe.

Charakterystyczną cechą choroby Crohna jest także samostne tworzenie się nieprawidłowych połączeń (przetok)

między jelitami albo między jelitem i ścianą brzucha". Brr,

nic przyjemnego. Chociaż choroba Crohna to jeszcze pół

biedy, bo mimo że nieuleczalna, nie jest śmiertelna. Gorzej,

jakbyś miał nowotwór.

Romek przewraca kartki, najwyraźniej zamierza uraczyć

mnie wyjątkami o raku. Dość tego, jeszcze rzeczywiście

zdoła mi wmówić jakąś chorobę. Hipochondria też jest

zaraźliwa.

- Okej, nie musisz czytać. Zrobię te badania.

Romek odkłada książkę na stół. Chyba jest rozczarowany,

że nie pozwoliłem mu wyciągnąć na światło dzienne opisu

kolejnych chorób, bo nic nie mówi, słyszę tylko, że bawi się

szklanką z piwem. Okazuje się jednak, że milczy z innego

powodu.

- Też mnie rozboleł brzuch. To oznacza, że mogłem

się od ciebie zarazić, a w takim wypadku byłoby to coś

wirusowego.

Znowu bierze encyklopedię do ręki, żeby poszukać,

jakie to groźne wirusy przeniosły się ze mnie na niego, ale go uprzedzam.

- Może po prostu rozboleł cię z nerwów przez tego klienta.

- A to możesz mieć rację, wkuźwił mnie nieziemsko.

W końcu przez takich jak on będę miał dość, rzucę wolny zawód i przeniosę się na ciepły etacik. Same zalety. Praca od dziewiątej do siedemnastej, potem masz wszystko w odwołaniu, stała pensja zamiast ścigania sukienek, którzy nie

238

raczą płacić w terminie, masa urlopu, ciągle długie weekendy, a będzie więcej, bo ten nasz pozał się Boże prezydent chce dołożyć jeszcze jedno święto, jakbyśmy już nie świętowali najdłużej w Europie i siedzieli na petrodolarach.

Akurat w tej kwestii się z nim zgadzam, choć nowym świętom przeciwny jestem nie ze względów ekonomicznych, tylko dlatego, że w wolne dni dotkliwiej odczuwam samotność.

- Powinni nie dokładać, tylko znosić święta - ciągnie Romek. - No bo weź na przykład taki pierwszy i trzeci maja. Święto Pracy i Święto Konstytucji. Ile osób idzie na pochód czy bierze udział w uroczystościach? Niedobitki. Reszta skwapliwie liczy, ile da się wygospodarować urlopu i spierza na wywczas. Nikt nawet nie nazywa tego świętem, tylko wszyscy mówią „długi weekend”. No to po co święto, jak ten naród wcale go nie obchodzi? A skoro ludziom nie chce się pracować, to wprowadzić dwudniowy tydzień

pracy: robocze sobota i niedziela, wolne od poniedziałku do piątku. Będzie prościej i uczciwiej. I szybciej wszystko pierdyknie. No ale głosowałem na tę parodię prezydenta, więc w zasadzie nie powinienem się pieklić o jego niewydarzone pomysły.

- Głosowałeś na niego?

Zaskakuje mnie tą deklaracją, która stoi w sprzeczności z jego niepochlebnymi określeniami Lecha Kaczyńskiego.

- Ze względów taktycznych. Jaruś, kiedy jego partia wygrała wybory, obiecał, że nie zostanie premierem, jeśli brat zwycięży w wyborach na prezydenta. Ponieważ premier ma w Polsce realną władzę, a ja nie chciałem, żeby miał ją Jarosław Kaczyński, uznałem, że głosowanie na Lecha będzie skuteczną metodą, żeby do tego nie dopuścić. Prezydent pełni u nas funkcje głównie reprezentacyjne, więc tu szkoda byłaby mniejsza. Tego, że zasłużony opozycjonista, człowiek mający moralny kręgosłup, robi z gęby cholewę, nie mogłem

239

przewidzieć. Zwyczajnie mnie oszukał. W następnych wyborach zamierzam obu bliźniaków spuścić z delikatnym szumem wody klozetowej.

Popijam piwo, dziwiąc się, że można głosować, kierując się takimi skomplikowanymi strategiami. Dotąd wydawało mi się, że o oddaniu głosu na jedno bądź drugie ugrupowanie decydują wyłącznie sympatie polityczne lub program.

- A ty na kogo głosowałeś?

- Na Borowskiego, a w drugiej turze na Tuska, choć

bardziej przeciw Kaczyńskiemu niż za Tuskiem.

- Aha. - Romek przyjmuje tę deklarację obojętnie i przy-
suwa sobie wolne krzesło, żeby położyć na nim nogi. - No
to za naszą beznadziejną klasę polityczną wybraną przez
ten beznadziejny naród - wznosi toast.

- Nie przesadzasz? Polityków mamy rzeczywiście nie
najwyższych lotów, ale generalnie Polacy mogą być z siebie
dumni.

- Tak? A niby z czego?

- No, z historii, z gospodarczych osiągnięć po osiem-
dziesiątym dziewiątym.

- Te gospodarcze osiągnięcia zawdzięczamy
Balcerowiczowi, człowiekowi, którego większa część tego
narodu szczerze nienawidzi i nazywa Mengelem polskiej
gospodarki. Poza tym gdyby różne lewicowe i pseudoprawi-
cove kmioty nie rzuciły mu kłód pod nogi i z zapalem nie
niszczyły tego, co zdołał zrobić, to z naszym potencjałem
wchodzilibyśmy dziś w skład grupy G8, czy wtedy G9,
a nie wlekli się w ogonie Unii Europejskiej. Jedyna na-
dzieja w tym, że w końcu będą rządzić nami ci z Brukseli,
bo właśnie historia dowiodła, że Polacy sami rządzić się
nie potrafią.

- Nieprawda. W wielu okresach byliśmy potęgą i dosko-
nale sami dawaliśmy sobie radę - protestuję. - Na przykład
za Jagiellonów.

240

- Władysław Jagiełło był Litwinem, zanim ochrzcił się

w Polsce na Władysława nazywał się Jogaila Algirdaitis.

Jagiellonowie to Litwini. I Litwini weszli do Unii równo z nami, choć startowali ze znacznie gorszej pozycji. Najlepszy dowód, że my potrafimy wszystko spięprzyć. To w ogóle cud, że nie znaleźliśmy się na poziomie Bułgarii i Rumunii, że Balcerowicz zdołał przeciwstawić się tym wszystkim pacanom, którzy gardłowali za stopniowymi reformami.

- Może koszty społeczne byłyby wtedy mniejsze.

- Teraz to ruszyłeś konceptem jak martwe ciało ogonem

- zaperzył się Romek. - A miałem cię za inteligentnego człowieka. Jakie koszty? Reforma Balcerowicza polegała, czy miała polegać, na zastąpieniu socjalizmu kapitalizmem.

Nie można zastąpić częściowo, tak jak nie można częściowo wyciąć raka, żeby pacjenta mniej bolało, bo rak da przerzuty. No i mamy kapitalizm z socjalistyczną tkanką nowotworową. Ponieważ Polacy są narodem tępym jak mała który i nie potrafią łączyć skutków z przyczynami, twierdzą, że cała masa bolączek jest winą zbyt pośpiesznych reform Balcerowicza, a tymczasem jest dokładnie odwrotnie. W tych dziedzinach, gdzie Balcerowiczowi udało się wprowadzić całkowity kapitalizm, wszystko funkcjonuje, jak należy, sypie się tam, gdzie zachowały się elementy socjalizmu.

- Na przykład?

- Na przykład banki. Sprywatyzowane radzą sobie elegancko, klient jest panem - co, nawiasem mówiąc, pogrobowcom socjalizmu przeszkadza i zamierzają to rozwalić

- dla przeciwwagi masz pocztę, dokładamy do niej ciągle

z naszych podatków, jakość usług leży, a klient dla nich to zło konieczne.

- Sam traktujesz klientów jak zło konieczne.

Słyszę po głosie, że Romek uśmiecha się na tę uwagę.

- Punkt dla ciebie. Ale to właśnie pokazuje, jak fatalny dla klienta jest monopol, a mimo to Polacy chcą zachowania

241

monopoli, na przykład Poczty i Telekomunikacji, w trosce o los pracowników tych instytucji i bliżej niesprecyzowany interes narodowy. Jak ktoś chce utrzymywać listonoszy, górników i inne grupy zawodowe, które uzurpują sobie prawo do życia na cudzy koszt, to proszę bardzo, niech utrzymuje, ale z własnych pieniędzy, a nie z moich podatków.

Bardziej niż listonosze i górnicy interesują mnie w tym momencie renowatorzy.

- Jak to ty masz monopol? Nie ma innych renowatorów mebli?

- Pacykarze. Ja jestem najlepszy. Biedermeier odrestaurowany przez Romana Jaworskiego to jest pełnoprawny biedermeier, a nie sztukowany odzysk.

Razi mnie ta autoreklama, też uważam się za jednego z lepszych programistów, ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby powiedzieć to na głos. Ale może właśnie tak trzeba: chwalić samego siebie, podkreślać własną wartość. Może właśnie tu tkwi przyczyna mojego niepowodzenia u kobiet: zamiast demonstrować swoje zalety, niemal przeproszam, że żyję. Pozytywną odpowiedź potraktowałbym jak

wyświadczoną mi niesłychaną łaskę, a nie coś, co mi się należy. Kobiety to czują i mnie odrzucają. A ja potulnie to akceptuję, bo innej odpowiedzi wcale się nie spodziewam.

W przeciwieństwie do wielu facetów, którzy nie przyjmują odmowy i w końcu osiągają swoje.

- Coś tak nagle zmarkotniał? Wyglądasz, jakbyś dźwigał na sobie losy świata.

- E nic, tak się zamyśliłem.

- Zostało ci jeszcze piwo w szklance. Dopijamy i zmywam się do roboty, nie mogę spędzać dnia przy piwku, jeśli mam zarobić na chlebek. To znaczy, na chlebek pewnie bym zarobił, ale na szyneczkę i paliwo już nie.

Romek się śmieje.

- Jechałeś kiedyś samochodem? - pyta.

242

- No jasne.

- Pytam, czy prowadziłeś kiedyś samochód.

-Halo! Jestem niewidomy! - Nie wiem, jakim gestem to podkreślić, gdybym nosił ciemne okulary, mógłbym je teraz zdjąć i nimi pomachać, ale nie noszę. W przeciwieństwie do wielu niewidomych źrenice nie uciekają mi w bok i nie muszę przesłaniać ich okularami.

- No i co z tego? Widziałeś „Zapach kobiety” ? Jak Al Pacino zaiwaniał samochodem?

- To tylko film.

- Na tym polega problem wielu ludzi, że chcieliby mieć jak w filmie, ale nic w tym kierunku nie robią. Chodź!

- Dokąd?

- Poprowadzisz samochód. Przecież to tak, jakbyś nigdy nie uprawiał seksu. No może trochę przesadzam, żeby porównywać to z seksem, musiałbyś wyciągnąć przynajmniej sto osiemdziesiąt, a na tych zapyziałych uliczkach się nie da.

Siedzę jak przykuty. Zwagarowałem z pracy, wypilem w środku dnia dwa piwa, a teraz mam prowadzić samochód, mimo że jestem ślepy i nie do końca trzeźwy. Równia pochyła.

Romek mnie namawia:

- No czego się boisz? Przecież prawa jazdy ci nie zabiorą.

- A tobie?

- Za co? Przecież nie ja będę prowadził. Poza tym nie mam prawa jazdy.

- To jak jeździsz?

- Samochodu nie uruchamia się prawem jazdy, tylko kluczykiem.

- A czemu nie masz prawka?

- Zabrali mi. Przekroczyłem te ich dwadzieścia jeden punktów. Ale i tak miałem kupione.

243

Z kim ja się zadaję? Do wczorajszego dnia porządny obywatel, który nie popełnił w swoim życiu nawet wykroczenia.

- A nie boisz się, że rozbiję ci samochód?

- Co masz rozbić? Będziemy jechać powoli, najwyżej lekko stukniesz. A ta moja bryka i tak jest poobijana. Poza tym to solidny wóz, nie rozsypie się przy byle stuknięciu.

Volkswagen passat rocznik 97. Niemiecka wytrzymałość.

Siedzę na fotelu kierowcy - po raz pierwszy w życiu

- a Romek instruuje mnie, jak się prowadzi samochód.

Wciskam sprzęgło i na sucho zmieniam biegi, hamuję, dodaję gazu, włączam migacze.

- No to co? Ruszamy - komenderuje Romek, kiedy opowiadałem podstawowe czynności. - Cała filozofia polega na tym, żeby równolegle zwolnić sprzęgło i dodać gazu.

Na początku ciężko to wyczuć i będzie ci gasł, ale się tym nie przejmuj. Przekręcaj kluczyk i dawaj wsteczny.

Uruchamiam silnik i w obawie, żeby mi nie zgaśł, za mocno wciskam gaz. Samochód ostro rusza do tyłu.

Romek krzyczy „stój”, gwałtownie wciskam hamulec, ale za późno, uderzamy w samochód za nami.

Romek odwraca się.

- Jezu mać, wałnąłeś w taki wóz, że jego właściciel musi mieć penisa nie większego niż trzy centymetry. Dajemy dyla, bo krótkopenisowcy są nerwowi. Migacz w lewo, lekki skręt w lewo, dobrze, teraz wyrównaj w prawo, świetnie, masz do tego dryg.

Samochód powoli się toczy.

- Dobra, wrzuć dwójkę, świetnie, nie ma żadnych przeszkód, trzymaj pion, znakomicie.

Ściskam kurczowo kierownicę, ręce mam całe spocone.

- Będziemy dojeżdżać do wylotu na Dembowskiego,
tylko spokojnie, powiem kiedy... Dobra, dawaj na luz i lekko

244

hamuj. Super. Jesteś urodzonym kierowcą. Teraz zatrzymaj.

Idealnie.

Romek rozgląda się, zastanawiając się, w którą stronę
pojechać.

- Pojedziemy w lewo, żeby nie jechać do miasta. To,
co prawda, trochę bardziej skomplikowany manewr niż
skręt w prawo, ale nie ma ruchu.

Wrzucam lewy migacz.

- No widzę, że z ciebie już stary wyga. Dobra, to teraz
szerokim łukiem.

Ruszam, ale dodaję za mało gazu, samochód rżęzi, szarpie
i staje.

- Bez nerwów, nic się nie stało. Droga nadal wolna.

Kluczyk, sprzęgło, jedynka i jedziemy - komenderuje Romek
spokojnym głosem, byłby idealnym instruktorem nauki
jazdy. - Łukiem, świetnie. Trochę bardziej w lewo, bo wje-
dziesz na ścieżkę rowerową...

W tym momencie czuję, że wjeżdżam kołem na krawężnik
i odbijam w lewo.

-Dobrze, wyrównaj, świetnie, trzymaj pion, dobra,
teraz dwójka, świetnie, dodaj gazu, przed nami i za nami
puścizna, dodajesz gazu, super, teraz trójka. Dodaj gazu,
nie bój się, super, jedziesz całe czterdzieści na godzinę,
jak na niewidomego prędkość rajdowa, naprawdę niezły

wyczyn.

Ogarnia mnie euforia, buzująca w żyłach adrenalina i alkohol sprawiają, że czuję się królem świata. Tak, chcę to móc. Jeszcze dodaję gazu.

-Dobra, nie szalej, zwolnij, dojeżdżamy do ronda, co za debil postawił tu rondo, przecież tu jest za mało miejsca na rondo.

- Jakiś czas temu pijany kierowca potrącił na tym skrzyżowaniu chłopaka, ucznia jedenastki, i włókł go przez całą Spółdzielczą aż do torów tramwajowych. Ostro go

245

pokieroszował, ale na szczęście nie zabił. Po tym wydarzeniu postawili rondo, żeby samochody tu zwalniały.

- Wylali dziecko z kąpielą, jak to u nas. Dobra, hamuj, na rondzie jest samochód, włącz, debil, migacz, jak zjeżdżasz z ronda, okej, jedziemy, leciutkim łukiem, okej, jesteśmy na środku, zamykamy łuk, świetnie, dobra, minęliśmy rondo.

Romek łapie kierownicę i ustawia tak, żeby jechał prosto.

- Jedenastka to ta buda po prawej?

-Tak.

- To liceum czy podstawówka?

- Liceum. Chodziłem tutaj.

- Strasznie odrapana, mogliby pomalować. Uważaj, przejście dla pieszych i jakaś jemiota zamierza na nie wejść, jakby nie widział, że niewidomy prowadzi samochód. - Romek

wybucho śmiechem. - Hamuj.

Zatrzymuję samochód.

- Dobra, polaż. Jedziemy dalej.

Ruszam. Czuję się za kierownicą coraz pewniej. Niezbyt długo.

- O Jezu mać! - wrywa się Romkowi.

- Co się stało? - pytam przestraszony.

- Adamy.

-Co za Adamy?!

- Ludzie z gliny, ale spokojnie, wzięli już jakąś lebiegę w obroty, tyle że blokują pas...

- Jacy ludzie z gliny? Policja?

- No przecież mówię, gliniarze... Musimy ich wyminąć, spokojnie, z naprzeciwka nic nie jedzie, migacz w lewo, skręt, jedziesz, spokojnie, migacz w prawo, skręt... O Jezu mać!

Tym razem wiem, dlaczego Romek zaklął - skręciłem zbyt ostro i zahaczyłem o radiowóz. Hamuję, ale Romek na mnie krzyczy:

246

- Nie stawaj! Jedź! Może nie zauważyli, zajęci są gościem, nie ma co się podkładać.

Ujeżdżamy kilkadziesiąt metrów, kiedy za nami rozlega się policyjna syrena.

- Jezu mać, zauważyli. Zatrzymaj się.

Nie musi mi tego dwa razy powtarzać.

- Idzie do nas, odkręć szybę.

Nerwowo szukam klamki, na szczęście szybko znajduję

i odkręcam szybę.

- Dzień dobry, panie kierowco, nie zauważył pan, że zaczęły o nasz radiowóz?

- To moja wina - wtrąca się Romek. - Akurat włączyłem radio, a że było nastawione na cały regulator, musiało zagłuszyć odgłos uderzenia.

- Prawo jazdy i dowód rejestracyjny. - Policjant jest wyraźnie rozeźlony, że Romek, mówiąc potocznie, robi z niego wała. Nawet jak nie usłyszeliśmy uderzenia, to musieliśmy je odczuć.

- No właśnie jest taka sprawa, że wybraliśmy się tylko na krótką przejażdżkę i zostawiliśmy dokumenty w domu, mieszkamy tu niedaleko, na Kasprzaka.

- Czemu pan się wypowiada w imieniu kierowcy? Pan się źle czuje? - zwraca się do mnie policjant.

„Źle” to mało powiedziane, jestem zmartwiałą z przerażenia, ale postawa Romka i pytanie policjanta, nie pozwalające mi dłużej pozostawać na uboczu, uświadamiają mi, że muszę powalczyć.

- Nie, brat mówi, bo to jego samochód.

- Hm. Brak dokumentów oznacza mandacik, no i odholowanie samochodu na policyjny parking, bo nie wiadomo, czy nie kradziony.

- Czy my wyglądamy na złodziei? Jesteśmy praworządnyimi obywatelami, ja jestem renowatorem artystą, a brat informatykiem. Wystarczy podjechać z nami na Kasprzaka, żeby

ustalić, że samochód nie jest kradziony. - Zirytowany Romek najwyraźniej zapomniał, że po podjechaniu na Kasprzaka nadal nie będę miał prawa jazdy. Poza tym jeśli to ja będę prowadził, policjanci na sto procent zorientują się, że coś jest nie tak, a jeśli zamienimy się miejscami, może to wzbudzić ich podejrzenia. - Chodzi o rozwiązanie sprawy, czy o pokazanie, że ma pan władzę?

Ups. To nie było zbyt dyplomatyczne.

- Pomyślimy. A na razie zbadamy pana na okoliczność alkoholu w wydychanym powietrzu.

To było chyba do mnie. A ta okoliczność też nie jest dla mnie zbyt korzystna.

- Proszę wysiąść z samochodu.

Wysiadam, starając się wymacywać rękami mniej niż to konieczne. Muszę udawać widzącego, póki się da, nawet jeśli mam to okupić guzem.

- Proszę wziąć alkomat i mocno dmuchnąć w ustnik.

Pięknie, żebym ja jeszcze wiedział, gdzie on ten alkomat trzyma. Staram się ocenić na podstawie głosu, jak daleko policjant ode mnie stoi, ile ma wzrostu (jest chyba dużo wyższy ode mnie, co zwiększa moje szanse na kamuflaż, bo nasze oczy nie są na jednym poziomie) i gdzie może być alkomat, zakładając, że trzyma go w wyciągniętej ręce. Sam wyciągam rękę w tym kierunku, niestety chybiam.

- Pan jest aż tak pijany? - Policjant wciska mi alkomat do ręki.

Dyskretnie szukam palcami ustnika, po czym dmu-

cham.

- 0,66 promila - odczytuje wynik funkcjonariusz.

- Przekroczył pan pół promila, a wtedy nie jest to wykroczenie, tylko już przestępstwo, pojedzie pan z nami na komisariat, proszę przejść do radiwozu. Pan też niech wysiądzie, samochód zatrzymujemy.

-Ale...

248

- Wiem, wiem, chce pan podjechać na Kasprzaka. A kto poprowadzi? Pan? Jak znam życie, pan też jest po kilku piwach. Stawi się pan z dowodem rejestracyjnym na naszym parkingu, uiści opłatę i dostanie samochód z powrotem...

Gdzie ty, kurwa, człowieku, idziesz?!

Wydawało mi się, że idę do radiwozu, ale najwidoczniej się myliłem.

- Co panu jest? - Policjant mnie dogania. - Przecież nie jest pan pijany w sztok, żeby nie widzieć, gdzie pan idzie.

Pan coś ćpał? Proszę pokazać oczy.

No i sprawa się rypla.

- Pan w ogóle nie reaguje na światło... Jezus Maria, pan jest niewidomy!

Owszem, choć z Jezusem ani Marią nie ma to akurat nic wspólnego.

-Waldek! Chodź tutaj! Niewidomy prowadził samochód!

Drugi policjant, dotąd zajęty czymś innym, może porządkowaniem papierów po poprzedniej kontroli, podbiega

do nas.

- Nie chrzań! Naprawdę pan nie widzi? To jak pan jechał, przecież nie ma pan prawa jazdy?!

No tak, tym, co przeszkadza niewidomym w prowadzeniu samochodu, jest brak odpowiednich dokumentów. Ciekawe, dlaczego nie mogą ich uzyskać.

- Ja pierdołę, takiej sprawy jeszcze nie miałem - odzywa się znowu pierwszy policjant. - Niewidomy po pijaku za kierownicą. Trzeba będzie pogłótkować, pod jakie paragrafy to podpada. Ale w tej sytuacji pana brata też musimy zatrzymać. Za to, że dopuścił, by prowadził pan samochód. Ciekawe, czy okłamywanie policji co do pokrewieństwa też podpada pod jakieś paragrafy.

Funkcjonariusz Waldek prowadzi mnie do radiowozu, a jego kolega, którego imię nie padło, wraca do Romka, żeby

249

przebadać go alkomatem. Słyszę, jak Romek protestuje, że nie prowadził samochodu, a na zarzut, że mi na to pozwolił, odpowiada, że nie jestem osobą ubezwłasnowolnioną i on nie ma prawa niczego mi zakazywać. Te protesty i argumenty nie robią na policjancie żadnego wrażenia i po chwili Romek siedzi koło mnie na tylnym siedzeniu radiowozu.

- Złożę na was skargę, zobaczycie. To jest dyskryminacja i szykanowanie osób niepełnosprawnych. Naruszenie konstytucji i Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka. Poczytajcie sobie: żaden człowiek nie może być dyskryminowany z powodu swojej niepełnosprawności. Brat raptem przejechał

kawałek, żeby zobaczyć, jak to jest, nikogo nie zabił, nie spowodował żadnego wypadku - Romek pominął niewygodny dla jego tezy fakt, że stuknąłem w dwa samochody - a wy go traktujecie jak przestępcę. Jutro przeczytacie o sobie w prasie, mam znajomego dziennikarza, to jest skandal, jak nie zajmujecie się dowożeniem urzędnikom hamburgerów, to szykanujecie porządnych obywateli, zamiast łapać gwałcicieli i morderców.

- Zamknij się pan - rozkazał Waldek.

- Moją swobodę wypowiedzi też chce pan kneblować?

No pięknie. Normalnie państwo policyjne.

Do komisariatu na Hubskiej, gdzie mieści się Wydział Drogowy, docieramy jednak po wizycie na Kasprzaka, żebyśmy mogli zabrać dowody osobiste.

Nasza sprawa wywołuje w komisariacie poruszenie i do pokoju, w którym mamy być przesłuchiwani, co chwila ktoś zagląda i zagaduje policjanta zajmującego się naszą sprawą. Pierwszy raz jestem na policji i dziwi mnie, że siedzimy nie w specjalnej sali, tylko w zwykłym pokoju. Przy biurku obok pracuje jeszcze jeden funkcjonariusz, słyszę, jak odbiera zeznania mężczyzny, który jadąc rowerem na nadodrzańskim wale, wpadł na innego rowerzystę, tamten

250

wywrócił się i poturbował na tyle poważnie, że wezwał policję.

- Siedemnastka jest dzisiaj słynna - odzywa się od drzwi kolejny policjant, który nie oparł się chęci wygłoszenia ko-

mentarza. - Wypadek rowerowy i niewidomy prowadzący samochód. Brakuje wam tylko wypadku z udziałem UFO!

He, he.

Czekamy na adwokata, bo przepisy przewidują, że obecność obrońcy jest w przypadku niewidomego obowiązkowa.

Potem rozpoczyna się powolna procedura składania zeznań; z niezbyt prędkich uderzeń w klawiaturę wnioskuje, że przesłuchujący pisze na komputerze dwoma palcami.

Jestem zrozpaczony, dopiero teraz w pełni dotarło do mnie, że to nie przelewki, będę miał w papierach, że byłem karany. Potulnie odpowiadam na wszystkie pytania, starając się wykazać pełną wolę współpracy. Romek też przestał gardłować, kiedy policjant czarno na białym udowodnił mu, pokazując odpowiedni przepis w kodeksie wykroczeń, że - co Romka mocno zaskoczyło - ustawodawca takie wykroczenie, pozwolenie niewidomemu na prowadzenie samochodu, przewidział.

Do tego okazało się, że Romek może zostać skazany za podżeganie lub pomocnictwo z tego samego artykułu co ja, mówiącego o prowadzeniu pojazdu w stanie nietrzeźwości.

Tutaj dochodzi do jedynej rozbieżności między naszymi zeznaniami, bo Romek mimo grożącej mu kary przyznaje się, że namówił mnie do prowadzenia samochodu, ja zaprzeczam, twierdząc, że była to wyłącznie moja decyzja.

Wprawdzie Romek mnie namawiał, ale uważam, że kara dla niego byłaby niesprawiedliwa: jestem dorosły, mam własny rozum i o to, że uległem niemądrym namowom,

mogę winić wyłącznie siebie.

Policjant nad tymi rozbieżnościami przechodzi

do porządku, najwyraźniej przejrzał moje motywy, kończy

251

protokołować nasze zeznania, drukuje je i daje nam do podpisu. Umieć się podpisać, zresztą nie tylko, potrafię napisać każdy tekst, zawsze byłem ambitny i w podstawówce chciałem umieć to samo, co inne dzieci, chociaż umiejętność ręcznego pisania nie była mi do niczego potrzebna, miałem maszynę brajlowską, na której mogłem napisać wszystko, co chciałem. Adwokat odczytuje mi moje zeznanie i składam podpis.

Potem policjant odbywa telefoniczne konsultacje z prokuratorem w sprawie kary. Z ulgą słyszę, że po krótkiej dyskusji zarzut spowodowania niebezpieczeństwa katastrofy w ruchu lądowym, za co grozi nawet osiem lat więzienia, upada, prokurator uznaje, że jechaliśmy zbyt wolno - przyznaliśmy się do prędkości 30 km na godzinę, to znaczy Romek się przyznał, a ja nie prostowałem - by taki zarzut był uprawniony. Dostajemy propozycję dobrowolnego podania się karze grzywny.

Godzę się skwapliwie. Wiem, że nie ma się o co wyklócać, kara się należy, a w sumie mogę uznać, że wykręcę się tanim kosztem: grzywna nie nadweręży znacząco moich finansów, poza tym nie dyskredytuje tak człowieka jak więzienie, nawet w zawieszeniu, a taką sankcję również przewiduje przepis, który złamaliśmy. Tę argumentację przedstawiam

Romkowi - też do biednych nie należy - bo zamierza jeszcze poderwać się do walki. Na koniec zostajemy pouczeni, że odbędzie się posiedzenie sądu, który ugodę musi zaakceptować, i dowiadujemy się, że zostaniemy obciążeni kosztami naprawy radiowozu. Na szczęście Romek zdążył wykupić ubezpieczenie, zanim zabrali mu prawo jazdy.

Tego wieczoru długo nie mogę zasnąć. Przez całe życie nie doznałem tylu emocji, co w ciągu tego jednego poniedziałku. Ku swemu zdziwieniu nie jestem na siebie zły, konsekwencje okazały się w sumie umiarkowane, na szczęście

252

nie jestem sędzią ani prokuratorem, tak że karalność nie pociąga za sobą utraty prawa do wykonywania zawodu, a kiedy przypominam sobie uczucie euforii, jakie ogarnęło mnie podczas prowadzenia samochodu, stwierdzam, że było warto. Romek chyba wiedział, co mówi, kiedy porównał jazdę z prędkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę do seksu, a w przypadku ślebaka spokojnie osiągniętą prędkość można przemnożyć przez pięć.

Pewnie inaczej bym na to patrzył, gdyby doszło do tragedii, gdyby jakiś rowerzysta albo pieszy wtargnął na jezdnię.

Raczej nie zdążyłbym zareagować, musiałoby najpierw dotrzeć do mnie polecenie Romka, a w takich sytuacjach decydują ułamki sekund. No ale nie mogę rozpatrywać wszystkich potencjalnych scenariuszy, liczy się to, co się zdarzyło, a nie co mogło się zdarzyć. Zachowałem się nieodpowiedzialnie, po szczeniacku, ale nikomu nie zrobiłem

krzywdy, a w efekcie przeżyłem coś, co sprawiło mi przyjemność, co mnie podbudowało. Odwrotnie z kobietami, podchodzę do nich z szacunkiem, starając się o kobietę, myślę o niej w kategoriach nie jednej nocy, tylko całego życia, czyli postępuję w pełni odpowiedzialnie i nie mam z tego żadnej przyjemności, jedynie ból i cierpienie.

*

We wtorek w pracy mam uczucie, jakbym wrócił z przynajmniej półrocznego urlopu. A w mojej głowie wciąż rozgrywają się wczorajsze wydarzenia. Czy całkowite szaleństwo nie byłoby dobrą metodą na zdobycie dziewczyny? Tylko jak „całkowite szaleństwo” przełożyć na praktyczne działania? W wypadku prowadzenia samochodu było to proste: wystarczyło usiąść za kierownicą i ruszyć. Proste, ale nie przyszło mi do głowy, żeby to zrobić, dopóki nie pojawił się Romek. A czy pójdzie na dyskotekę nie było dla mnie takim właśnie szaleństwem? I skończyło się fatalnie. Co jednak

253

niczego nie przesądza. Teoretycznie prawdopodobieństwo powodzenia wynosi pięćdziesiąt procent. Dlaczego nie spróbować zaszaleć jeszcze raz? Co mam do stracenia?

Wymyśl coś - napominam się. - Przy twoim IQnie powinieneś mieć najmniejszych problemów, żeby zaaranżować szaloną sytuację.

Myślę intensywnie, ale moja inteligencja jest wyraźnie natury testowej, a nie emocjonalnej i nic nie udaje mi się wymyślić, za to ściągam na siebie gniew Adama.

- Hej, człowieku, przyszedłeś tu spać czy jak?! Godzinę temu miałeś być gotowy ze swoją częścią, a z tego, co widzę, nawet na dobre jej nie zacząłeś!

- Przepraszam, zamyśliłem się, już nadrabiam.

- Co się z tobą od wczoraj dzieje?!

Pytanie jest retoryczne, więc zostawiam je bez odpowiedzi i staram się skupić na wyznaczonym mi zadaniu, a gniew Adama wydatnie mi to ułatwia, nie mam najmniejszej ochoty podpaść mu po raz kolejny.

W domu wracam jednak do pomysłu zastosowania metody całkowitego szaleństwa. Ponieważ moja własna wyobraźnia zawiodła, szukam inspiracji w Internecie, wpisując hasła typu „dziewczyny” czy „randki”. W zalewie stron pornograficznych moją uwagę zwraca oferta firmy oferującej tak zwane szybkie randki.

25 kobiet i 25 mężczyzn spotyka się w klubie - czytamy w opisie. Uczestnicy siedzą przy dwuosobowych stolikach i rozmawiają ze sobą przez trzy minuty. Potem panowie przesiadają się o stolik dalej i rozmawiają przez trzy minuty z kolejną panią, i tak dalej, aż w końcu każdy odbędzie 25 rozmów. Po zakończonej rozmowie dyskretnie zaznacza się na formularzu „tak” lub „nie” w zależności od tego, czy dana osoba przypadła nam do gustu i mamy ochotę umówić się z nią na dłuższą randkę. Formularze przekazuje się organizatorowi, który tylko w przypadku, gdy dwie osoby
254
zaznaczyły „tak”, podaje im numery telefonów, by mogły

się ze sobą skontaktować. W ten sposób nikt nie naraża się na bezpośrednie odrzucenie i nie musi się obawiać niechcianych telefonów.

Coś dla mnie. Oczywiście dowiem się, ile kobiet mnie odrzuciło, wystarczy wykonać proste odejmowanie, ale taka „zaoczna” odmowa chyba rzeczywiście jest mniej przykra niż odmowa wprost. Zresztą czemu w ogóle ma być przykra, skoro przeciwwagę będzie stanowiła zgoda innych? A chyba nie będzie aż tak fatalnie, że odrzuci mnie dwadzieścia pięć kobiet? To przecież więcej niż liczba tych, o które dotąd się starałem. Ile ich było? Zaczynam liczyć. Wychodzi mi, że trzynaście. Średnio jedna na rok. Dużo to czy mało? Chyba mało. Nic dziwnego, że jestem sam, powinienem był próbować przynajmniej dwa razy częściej. Albo jeszcze lepiej cztery razy częściej, co kwartał. Nie, to absurd, równie dobrze mógłbym codziennie jakiejś dziewczynie na ulicy proponować chodzenie. Jakby udało się za dwusetnym razem, czy miałbym wtedy jeszcze dla siebie jakikolwiek szacunek, mając świadomość, że zdobyłem dziewczynę dzięki zasadom rachunku prawdopodobieństwa? A poza tym przecież bym nawet tak nie umiał. Staram się o dziewczynę, kiedy ją lepiej poznam, kiedy coś mnie zafascynuje w jej osobowości. A takie poznanie wymaga czasu. No i po odmowie nie oglądam się od razu za następną. Wprawdzie nie tragizuję, nie płaczę po nocach, nie wieszam się, ale każdą taką odmowę mocno przeżywam, jestem zdołowany, czuję się bezwar-

tościowy, przez jakiś okres nie mogę i nie chcę oglądać się za dziewczynami, najpierw rana musi się zagoić. A z każdą następną odmową to gojenie dłużej trwało.

Sprawdzam, kiedy firma będzie organizowała najbliższe spotkanie we Wrocławiu. Dziś. Normalnie bym sobie odpuścił, nigdy nie robię niczego spontanicznie, bez odpowiedniego

255

przygotowania i odpowiedniej karencji, na przykład o wyjściu do kina muszę wiedzieć przynajmniej dzień wcześniej, ale po wczorajszych wydarzeniach mam jeszcze podwyższony poziom adrenaliny i nie czekając, aż opadnie, sięgam po słuchawkę telefonu.

Odbiera kobieta o piskliwym głosie. Dowiaduję się, czy są jeszcze wolne miejsca na dzisiejsze spotkanie.

- A ile ma pan lat?

- Trzydzieści.

Czekam na pytanie, czy mam jakieś widoczne kalectwo, ale najwyraźniej organizatorce nie przyszło do głowy, że ktoś z widocznym kalectwem chciałby wziąć udział w szybkiej randce. Zresztą jeszcze przedwczoraj mi też nie przyszłoby to do głowy. A nawet jakby przyszło, przyznałbym się, że jestem niewidomy i zapewne cała rzecz spaliłaby na panewce. Teraz nie mam najmniejszego zamiaru się przyznawać, a jak na miejscu nie będą chcieli mnie wpuścić, urządzę awanturę i pogrozę prasą, a jak groźba nie odniesie skutku, to rzeczywiście przejdę się do jakiejś redakcji.

- Z nieba mi pan spadł! Spotkanie jest w grupie wiekowej dwadzieścia pięć-trzydzieści pięć lat i ciągle brakuje mi dwóch mężczyzn. Tak więc zapraszam na dwudziestą do Pałacyku na Kościuszki. Płatność przy wejściu. Jak pana godność?

- Jacek Dyderski.

- To czekamy na pana.

Spoglądam na zegarek. Czasu jest akurat tyle, żeby się odświeżyć i wyszykować.

Kiedy w łazience spryskuję się dezodorantem, słyszę, jak Argo kicha: przywędrował za mną i aerozol dostał mu się do nosa.

- Co, zwierzaczkę? Pan ma randkę. I to z dwudziestoma pięcioma kobietami naraz. Nadrabiamy zaległości.

256

Uśmiecham się szeroko i uświadamiam sobie, że własny żart mnie bawi, że jeśli nawet pokrywam nim zdenerwowanie, to jest ono niewielkie. Dobry omen. Czyż nie taką właśnie postawę trzeba prezentować - optymizm i przebojowość bez obiekcji i zahamowań? Czyż wszystkie moje porażki nie wynikały z mojego wewnętrznego nastawienia, że tak naprawdę nigdy nie wierzyłem w zwycięstwo? Z wycofywania się wskutek niewiary, że mogę odnieść sukces? Bo przecież było kilka kobiet, które mi się podobały, a o które nawet nie próbowałem się starać. Potem zawsze plułem sobie w brodę, miałem wrażenie, że akurat one na pewno by się zgodziły, że wręcz sygnalizowały mi, że są mną zaintereso-

wane. Choć może to złudne wrażenie - jeśli nie podjęto się żadnych działań, człowiek zawsze myśli, że powodzenie było w zasięgu ręki.

Nieważne, to wszystko przeszłość. Grunt, że teraz ruszyłem do działania i mam punkt zaczepienia.

Przekraczam próg Pałacyku, prowadzony przez Argona.

Pałacyk wprawdzie znam - przychodziłem tu, żeby wywiesić ogłoszenie o pokoju do wynajęcia dla studentki - i mógłbym przyjść z laską, ale uznałem, że po pierwsze pies zrobi lepsze wrażenie na potencjalnych partnerkach niż laska, a po drugie - mimo że mam bojowy nastrój - wsparcie psychiczne, jakie mi daje, jest nie do pogardzenia. .

Co okazuje się od razu, ledwie wszedłem do sali, w której ma się odbywać szybka randka. Moja osoba wywołuje konsternację wśród organizatorów siedzących przy stoliku u wejścia.

- Dzień dobry. Nazywam się Jacek Dyderski. Dzwoniłem dzisiaj i zapisałem się na szybką randkę. Chciałbym zapłacić.

Po dłuższej chwili całkowitego milczenia odzywa się kobieta, z którą rozmawiałem przez telefon.

257

- Tak, to ze mną pan rozmawiał - stara się mówić bardzo głośno, tak że jej piskliwy głos świdruje mi w uszach - ale nie powiedział mi pan, że jest pan niewidomy.

- No właśnie, jestem niewidomy, a nie głuchy, więc niepotrzebnie pani krzyczy. A co, niewidomi nie mogą brać

udziału w randkach?

Ton mojego głosu nie pozostawia wątpliwości, że na odmowną odpowiedź jestem dobrze przygotowany i łatwo mnie się nie pozbędą.

Zapada kolejna dłuższa chwila milczenia, w której organizatorka najwyraźniej rozpatruje wszystkie za i przeciw.

- Nie, skąd - poddaje się. Musiała dojść do wniosku, że uniknięcie awantury i zarobek przeważają na szali z potencjalnym niezadowoleniem kobiet, które będą musiały gadać ze ślepym, a które i tak byłyby niezadowolone, że jedno miejsce jest puste. Albo dwa, bo nie wiem, czy znaleźli chętnego na ostatnie wolne miejsce. - Tylko jak pan wypełni formularz? Ktoś będzie musiał panu pomóc.

Może to być krępujące dla partnerki, która będzie słyszała, jaką opcję pan zaznacza.

- Nikt mi nie musi pomagać. - Demonstruję docupen i laptop. - Zeskanuję sobie formularz, wypełnię na laptopie i przekopiuję na państwa komputer. Macie przecież komputer?

- Jeśli naprawdę jest to możliwe...

Dzikus z Papui-Nowej Gwinei byłby mniej sceptyczny, gdyby go wsadzono do samolotu i oświadczono, że ten stalowy potwór wzbije się w powietrze.

- ... to w porządku. Dwieście złotych.

Płacę, obliczając w myślach, że przy pięćdziesięciu uczestnikach daje to równe dziesięć tysięcy przychodu, a w zasadzie jedyne koszty stanowią ogłoszenia i wynajęcie

sali na półtorej godziny. Nic, tylko otwierać taki biznes.

- Proszę, plakietka z imieniem dla pana.

258

Biorę plakietkę i przypinam ją sobie na piersi.

Organizatorzy sadzają nas przy stolikach i jeszcze raz

wyjaśniają zasady. Każda para ma na rozmowę ze sobą

trzy minuty, na dany sygnał - tu demonstracja, uderzenie

w gong - panowie przesiadają się do następnego stolika.

Po rozmowie zaznaczamy na formularzu, czy mamy ochotę

umówić się z tą osobą. Organizatorzy skontaktują ze sobą

pary w przypadku obustronnego „tak”.

-I proszę pamiętać, że zwracamy się do siebie po imieniu,

są państwo na randce, a nie na oficjalnej konferencji.

Pierwszą moją rozmówczynią jest Ewelina i dobrze tra-

fiam. Ma niezwykle ujmujący głos, a do mojej ślepoty pod-

chodzi naturalnie, zadaje pytanie o jej przyczynę i więcej

do tego tematu nie wraca. Opowiada mi, że ma trzydzieści

trzy lata i pracuje w dziale handlowym firmy produkującej

okna. Potem zachwyca się Argonem i zaczynamy mówić

o psach. Przerzywa nam gong. No tak, trzy minuty to bardzo

mało.

Albo bardzo dużo, o czym przekonuję się przy następnej

rozmówczyni. Renata jest wulgarna, pyta mnie, ile dotąd

miałem partnerek i jak uprawiam seks, skoro jestem ślepy.

Staram się bronić, mówiąc, że nie jest to chyba temat

na pierwszą rozmowę, ale nie wydaje się do niej docierać,

że nie mam ochoty o tym mówić. Z ulgą przyjmuję gong

i zaznaczam „nie”.

Następne są Agata, Patrycja, Danuta, Anita, Bożena i Karolina, a potem się gubię, mieszają mi się głosy i nie pamiętam, z kim rozmawiałem. Ostatnią rozmowę kończę trochę skołowany i zmęczony. Kopiuje swój formularz na laptop organizatorów. Nawet nie wiem, ile dokładnie razy zazaczyłem „tak”, pewnie coś około piętnastu, starałem się nie wybrzydzać i zwiększyć swoje szanse.

Dopiero w taksówce zastanawiam się, na której dziewczynie najbardziej by mi zależało, od kogo też chciałbym

259
dostać „tak”. Dochodzę do wniosku, że od Eweliny. Jest wprawdzie trzy lata starsza ode mnie, ale to mi nie przeszkadza. Jacek i Ewelina, to połączenie brzmi nieźle, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby dla innych stało się takim samym naturalnym zestawieniem, jak dla mnie jest na przykład zestawienie Krzysiek i Basia. Żebym nie był dłużej definiowany jako osoba samotna. Nie Jacek, tylko Jacek od Eweliny. Albo od Agaty. Jacek i Agatka. Uśmiecham się, choć dobranockę znam wyłącznie ze wspomnień Krzyśka, który jest jej rówieśnikiem.

Następnego dnia po pracy, jeszcze z firmy, dzwonię do organizatorki, żeby dostać numery telefonów kobiet, które wyraziły chęć spotkania ze mną.

- Muszę pana bardzo przeprosić, ale wydarzyło się małe nieszczęście, pracownik przez nieuwagę skasował pana formularz.

- Jak to? - Fytanie jest tylko wyrazem zaskoczenia, złości i rozczarowania, bo odpowiedź na nie nic mi oczywiście nie da.

- Strasznie pana przepraszam, oczywiście zwrócimy panu pieniądze.

- Nie chcę pieniędzy... zaraz, przecież mam kopię, chwileczkę...

Odkładam komórkę i sięgam po laptop, otwieram właściwy plik, ale formularza nie ma. Musiałem zamiast opcji „kopiuj i wklej”, użyć opcji „wytnij i wklej”. Cholera!

- ... nie, jednak nie mam, ale powiem z pamięci, przy kim zazaczyłem „tak” i państwo dopasują. Na pewno przy Ewelinie, Agacie...

- Ale kobiety odebrały już swoje formularze. Technicznie bowiem wygląda to tak, że jeśli chęć spotkania była obopólna, na formularzu danej kobiety wpisujemy numer telefonu mężczyzny i odwrotnie, sami tych danych nie

260
przechowujemy, byłoby to niezgodne z ustawą o ochronie danych osobowych.

- Nie mogła pani zadzwonić do mnie przed oddaniem im tych formularzy?

- Nie pomyślałam o takim rozwiązaniu, jakie pan proponował, przepraszam - jej piskliwy głos zrobił się płaczliwy.

- Ja... - mam ochotę wykrzyknąć jej, jaki jestem samotny, że przez swoje niechlujstwo pogrzebali moją szansę na zna-

lezenie sobie dziewczyny, może bezpowrotnie, ale milknę.
Nic to nie da, a już powinienem przyzwyczać się, że Polacy
to naród fuszerów, ci, którzy swoje obowiązki wykonują so-
lidnie i rzetelnie, są w zdecydowanej mniejszości. - Podjadę
po pieniądze, można teraz?

-Tak.

W taksówce złość ustępuje na tyle, że mogę spojrzeć
na tę sytuację chłodniejszym okiem. Jak skasował przez
nieuwagę? Przecież to nie takie proste, procedura jest dwu-
stopniowa, zawsze trzeba potwierdzić, że się chce usunąć
dane. Raz można klawisz wcisnąć przez pomyłkę, ale dwa
razy? Poza tym rozwiązanie, na jakie wpadłem w czasie
rozmowy telefonicznej, nie było wydumane, właściwie samo
się nasuwało, dlaczego nie nasunęło się organizatorce? Coś
jest nie tak z tym skasowaniem i w mojej głowie kiełkuje
straszliwe podejrzenie.

Stoję przez kilka minut przed Pałacykiem i przy akompa-
niamencie intensywnego ruchu samochodów na Kościuszki
obmyślam strategię, jak potwierdzić lub obalić moje po-
dejście.

Potem wolno wchodzę po schodach i kieruję się do tej
samej sali, w której wczoraj odbyła się szybka randka.

- A to pan - wita mnie organizatorka. - Szybko pan do-
jechał. Już oddaję panu pieniądze i jeszcze raz przepraszam.

Strasznie mi jest głupio.

261

- Wie pani co? Zastanowiłem się po drodze i jednak

nie chcę pieniędzy. Chcę wziąć udział w kolejnym spotkaniu.

- Ale w najbliższym czasie nic nie będziemy we Wrocławiu organizowali.

Spodziewałem się takiej odpowiedzi.

- Nie szkodzi. Dojadę, gdziekolwiek to będzie.

Wyczuwam konsternację organizatorki, zaskoczyłem ją tą deklaracją. Jej wysiłek myślowy, by wykoncypować jakąś wymówkę i nie dopuścić mnie do kolejnej szybkiej randki, jest niemal namacalny.

- Żadna nie zaznaczyła, że chce się ze mną spotkać, tak?

Długa chwila milczenia.

- Przykro mi, naprawdę.

Odwracam się.

- Chodź, Argo.

-Panie Jacku!

Podbiega do mnie.

- Czasami się tak zdarza, proszę mi wierzyć. Może zaznaczył pan za mało uczestniczek albo wyjątkowo pan nie trafił.

Zaznaczyłem z piętnaście kobiet, a gdyby naprawdę tak się zdarzało, że nie dostaje się ani jednej pozytywnej odpowiedzi, nie staraliby się za wszelką cenę tego przede mną ukryć.

- Pana pieniądze, proszę - wciska mi do ręki banknoty.

Machinalnie chowam je zmięte do kieszeni dżinsów

i odwracam się bez słowa.

- Panie Jacku!

Czego ona jeszcze ode mnie chce? Nie potrzebuję jej
współczucia ani litości.

- Jest pan naprawdę atrakcyjnym mężczyzną, przystojnym
i inteligentnym...

262

I ślepym.

- ... tylko po prostu nie spotkał pan właściwej osoby,
takiej, która by pana doceniła i byłaby pana warta, ale
na pewno taką kobietę kiedyś pan spotka.

Słyszałem to już nieraz. W większości kobiety, które
mi odmawiały, czuły się w obowiązku osłodzić mi odmowę
takim właśnie stwierdzeniem. Jakby nie dostrzegały zawartej
w nim hipokryzji. Dla ciebie nie jestem dość dobry, ale będę
nadawał się dla innej?

Kiwam głową.

- Na pewno. Do widzenia pani.

Zatrzymuję się z Argonem na dole. Odgłosy miasta do-
cierają do mnie jakby zza akustycznej zasłony, jakbym był
ogłuszony uderzeniem obucha. Piętnaście kobiet mnie nie
chciało. Nie chciało się nawet przekonać, jaki jestem. Od razu
mnie skreśliło. Bo ślepy. Z mojego punktu zaczepienia zrobił
się hak, na którym mam ochotę się powiesić.

Osuwam się na kamienny schodek. Argo kładzie mi łeb
na kolanach, ale jestem jak sparaliżowany, nie mam siły ani
chęci, żeby go pogłaskać.

Co mam zrobić? Porzucić marzenia o normalnym związku, rodzinie, zacząć chodzić do burdeli? Kupować surogat miłości i udawane zainteresowanie? Płacić prostytutce, żebym mógł jej opowiedzieć o wydarzeniach dnia, o swoich troskach i radościach? Skoro nie mogę swoimi pieniędzmi uszczęśliwić żony, mogę dać zarobić prostytutkom. Przynajmniej moja praca będzie miała jakiś sens, bo teraz zarabiam po to, żeby składować pieniądze na koncie. Dla kogo? Nie mam przecież dzieci, o których przyszłość musiałbym zadbać.

Do kogo trafią moje oszczędności, kiedy umrę?

Wyciągam z kieszeni pomięte banknoty stużłotowe. Ile może kosztować wizyta w agencji towarzyskiej? Sto złotych, dwieście, trzysta? Przypominają mi się słowa Romka z naszego pierwszego spotkania: „Miała biust piątkę, nogi

263

po pas i kasowała dwie stowy za godzinę". No to już. W tej dzielnicy są na pewno jakieś agencje, ostatecznie to okolice dworca. Polecenia mózgu nie przekładają się jednak na ruch nóg, nadal siedzę. Potem systematycznie drę oba zielone banknoty na drobniutkie kawałeczki.

- Proszę pana!

Unoszę głowę, a jednocześnie czuję chłód wieczoru.

Od chwili kiedy podarłem banknoty, musiało minąć parę godzin. Spałem przez ten czas czy co?

- Czy mógłby pan tu nie żebrnąć, bo wezwę policję!

Żebrać? Przecież nie żebrzę. Przeciwnie, drę pieniądze.

Ogarnia mnie złość. Jak ślepy, to zaraz żebrak. Nieraz już

mi się zdarzało, że kiedy na przykład z kimś się umówiłem i czekałem na niego na dworze, ludzie próbowali dawać mi jałmużnę. Jakby sami byli ślepi i nie widzieli choćby tego, że jestem dobrze ubrany.

- Nie żebrzę!

- Jak to nie? A czemu ma pan pieniądze na podołku?

Na podołku? Kto teraz używa takich słów? Wcześniej nie potrafiłem ocenić, czy chrapliwy głos należy do kobiety czy do mężczyzny, teraz dochodzę do wniosku, że zwraca się do mnie stara kobieta.

- Jakie pieniądze?

Wymacuję ręką i rzeczywiście natrafiam na banknoty.

Co się dzieje? Przecież je podarłem. Miałem halucynacje, śnię na jawie? Ale banknotów jest więcej niż dwa. To nie są te podarte. Kiedy tak siedziałem w jakimś zamroczeniu

- nie wiem jak długo - ludzie musieli kłaść mi pieniądze.

Podnoszę się, zrzucając je na ziemię - niech je sobie weźmie ta stara kobieta - i kieruję się w stronę bramy.

Musi być późno - słyszę, że ruch na Kościuszki wyraźnie zelżał - ale nie czuję potrzeby spojrzenia na zegarek, żeby sprawdzić, jak późno. Wyjmuję komórkę i wybieram numer.

264

- Poproszę taksówkę na Kościuszki, stoję przed Pałacym.

Jestem niewidomy, więc dobrze by było, jakby taksówkarz dał mi znać, że podjechał.

- W porządku, już wysyłam.

*

Budzę się rano z bólem głowy, a ból brzucha, który od poniedziałkowej wizyty lekarskiej niemal zanikł, mimo że ani razu nie napiłem się melisy, odezwał się ze zdwojoną siłą. Postanawiam jednak zrobić badanie USG, na które skierowała mnie lekarka.

Do wyjścia do pracy szykuję się jak automat, gdybym musiał wykonać jakąś nierutynową czynność, na pewno okazałaby się przeszkodą nie do pokonania. Jeszcze przed wyjściem dzwonię, żeby zarejestrować się na popołudnie do lekarza. Po pracy skoczę zrobić badania, a potem od razu zaniiosę wyniki mojej lekarce. Żeby jak najszybciej mieć to z głowy.

W pracy szukam na stronach Narodowego Funduszu Zdrowia, gdzie mogę wykonać badanie USG. Dzwonię pod jeden z podanych numerów, ale okazuje się, że trzeba czekać trzy tygodnie. Podobnie jest w innych miejscach.

Za płaconą składkę zdrowotną usługi nie dostanę. Dzwonię do prywatnej kliniki.

- USG dzisiaj po południu? Nie ma problemu.

Załatwiwszy tę sprawę, wracam do swoich obowiązków, przeglądam scenariusz gry, którą mamy zapisać w postaci programu komputerowego. Takie zlecenia są bardzo intratne, bo poza zwykłym wynagrodzeniem dostajemy jeszcze tantiemy od sprzedaży tych gier - większość z nich trafia na rynek niemiecki - a Adam nie należy do pracodawców, którzy starają się ograniczyć pensje

pracowników do niezbędnego minimum, i wypłaca nam
sowite premie.

265

Ból głowy sprawia, że pisanie programu idzie mi jak
po grudzie. Dziwny jest ten ból, wcale nie najsilniejszy,
ale obejmuje czaszkę obręczą, która jakby odcina mnie
od świata. Kiedy wstaję od biurka, żeby rozprostować kości,
mam wrażenie, że zaraz się przewrócę.

Staram się jednak maksymalnie zmobilizować, nie mam
najmniejszej ochoty po raz kolejny narazić się Adamowi.

Dzień pracy dłuży mi się jak nigdy i pierwszy raz z utęsk-
nieniem wyczekuję jego końca.

Kiedy wreszcie Anka uradowanym głosem obwieszcza:

- Fajrant! - jadę na Grabiszyńską na badania, a stamtąd
bezpośrednio do gabinetu na Olszewskiego.

Daję lekarce wyniki i skarżę się na intensywny ból
głowy.

- Hm, USG jest całkowicie w porządku, a że doszedł
ból głowy, potwierdzałoby to moją wcześniejszą diagnozę,
że mamy do czynienia z objawami na tle nerwowym. Biorąc
pod uwagę ich nasilenie, powiedziałabym, że nawet depre-
syjnym. Dam panu skierowanie do psychiatry.

-Do psychiatry?!

No ładnie. Jestem nie tylko prawiczkim, ale i świrem.

- Proszę się nie obawiać, nie uważam pana za wariata.

Ale wszystko wskazuje na to, że cierpi pan na depresję,
a ponieważ jest pan wyraźnie silną osobowością, nie

objawia się ona tym, że kładzie się pan do łóżka i nie reaguje na świat zewnętrzny, tylko fizycznymi dolegliwościami. Objawy depresji gdzieś muszą znaleźć ujście, a psychika i somatyka człowieka są ze sobą nierozzerwalnie związane.

- Ale do psychiatry? Pani doktor nie mogłaby mi czegoś przepisać?

- Depresja to bardzo poważna choroba i wołałabym, żeby o formie leczenia zdecydował specjalista. Nie jest pan wyjątkiem, mam wielu takich pacjentów, tu jest inteligencka
266

dzielnica, ludzie zastanawiają się nad sensem życia i często wnioski wpędzają ich w depresję.

Lekarka milknie i wypisuje skierowanie.

- Powiedział pan, że nie miał pan w ostatnim czasie większego stresu niż zwykle. Ale widzę, że niedawno skończył pan trzydzieści lat, to poważna cezura w życiu człowieka, może czegoś nie udało się panu osiągnąć albo po prostu przeżywa pan, że młodość ma już za sobą.

Więcej nie protestuję. Lekarka, mimo że zataiłem przed nią swój problem, trafiła w sedno.

Do domu wlokę się noga za nogą, aż Argo zniecierpliwiony ciągnie mnie do przodu, czego normalnie nie ma w zwyczaju robić, zawsze dopasowuje się do mojego tempa.

- No i gdzie ci się tak śpieszy, przecież nikt tam na nas nie czeka.

Czuję potrzebę porozmawiania z kimś, podzielenia się

moim problemem, że nie potrafię znaleźć sobie dziewczyny, ale nie mam z kim. Krzyškowi przecież o tym nie powiem, Romkowi tym bardziej nie. Niby właśnie dostałem skierowanie do psychiatry, żeby móc porozmawiać, ale wywnętrzać się przed obcym człowiekiem?

W domu włączam laptop, do Google'a wpisuję słowo „depresja” i studiuję strony poświęcone tej chorobie. Czytam, że aż piętnaście procent osób dotkniętych depresją popełnia samobójstwo, ale z testu, który sobie robię, wynika, że samobójstwem nie jestem zagrożony.

Przynajmniej na razie.

Trafiam na fora dyskusyjne poświęcone zdrowiu psychicznemu. Może to jest miejsce, gdzie mógłbym wyrzucić z siebie, co mi doskwiera? Bezpiecznie i anonimowo. Zaczynam nawet pisać post, ale w trakcie czytam inne wypowiedzi i rezygnuję. Gros wypowiadających się to prawdziwe świry, odpowiedzi i komentarze są często złośliwe i nieprzychylnie, a życzliwe nic właściwie nie wnoszą, sensowne porady

267

można zakwalifikować do dwóch kategorii: „walcz” albo „skorzystaj z fachowej pomocy”.

W jednej z takich życzliwych rad jest podany numer telefonu zaufania.

Co mi szkodzi? - myślę sobie. Tam po drugiej stronie linii też jest wprawdzie obcy człowiek, ale przynajmniej nie siedzę z nim twarzą w twarz, jestem anonimowy.

Sięgam po słuchawkę i wybieram numer.

- Telefon zaufania. W czym mogę pomóc? - odzywa się miękki kobiecy głos.

Na moment mnie zatyka, nie wiem dlaczego, ale spodziewałem się mężczyzny.

-E... tego - wydukałem niezbyt elokwentnie - mam problem.

- Proszę o nim szczerze opowiedzieć. Postaram się pomóc.

-Niedawno skończyłem trzydzieści lat, a... nigdy nie miałem dziewczyny. Żebym jeszcze był jakoś ekstremalnie nieśmiały i nie próbował... ale przecież próbuję - ciągnę nieskładnie. - Czasami mam wrażenie, że jestem kompletnie nieatrakcyjny...

- Każdy jest dla kogoś atrakcyjny, wyłączwszy osoby o widocznym kalectwie.

Buch! Cios Tysona byłby mniej bolesny.

Przez chwilę milczę, a potem po prostu odkładam słuchawkę. Nie ma o czym rozmawiać. Mam nadzieję, że w telefonie zaufania nie dysponują identyfikatorem numerów, a jeśli dysponują, nie oddzwaniają, kiedy rzuci się słuchawką.

Na wszelki wypadek wyłączam telefon.

Jest jeszcze w miarę wcześnie, ale nie mam na nic ochoty i kładę się do łóżka. Mam pełne prawo, ostatecznie zdiagnozowano u mnie depresję. Zapadam w jakiś półsen, który trwa do rana, w chwilach świadomości stwierdzam, że za wcześnie się położyłem i nie zasnę, przenika mnie lęk,

po czym znowu popadam w ten stan odrętwienia. Przerywa to dopiero dźwięk budzika. Wstaję już po pierwszym i szykuję się do pracy. Podobnie jak wczoraj, automatycznie, niemal bez udziału woli. Jak nakręcona lalka.

Dzień pracy znowu zaczynam od lektury stron Narodowego Funduszu Zdrowia, tym razem w poszukiwaniu psychiatry. Powinienem już być zrazić się do NFZ-u i szukać prywatnych praktyk, ale tłumaczę sobie, że leczenie psychiatryczne to nie badanie USG, z pewnością nie ograniczy się do jednej wizyty, a pewna zamożność nie musi oznaczać rozrzutności, przeciwnie, najbogatsi są ci, którzy oglądają każdą złotówkę, więc skoro należy mi się bezpłatne leczenie, muszę najpierw wykorzystać tę możliwość. Do drugiej motywacji, że kilkutygodniowy okres oczekiwania będzie dla mnie wygodnym pretekstem, żeby odwlec wizytę, na którą nie mam najmniejszej ochoty, wolę się przed sobą nie przyznawać. Tymczasem ku mojemu zaskoczeniu okazuje się, że na przyjęcie do psychiatry wcale nie czeka się tygodniami. W pierwszej poradni, do której dzwonię, mówią, że mogą mnie zarejestrować już na poniedziałek. Proszę więc o zarejestrowanie na poniedziałek, dziwiąc się, że tak łatwo dostać się do specjalisty, kiedy wszyscy narzekają na utrudniony dostęp właśnie do specjalistów. No ale może do psychiatrów ludzie się nie garną.

*

Przychodnia Ars-Medica mieści się na ulicy Brucknera, z Sępolną jest niedaleko. Przyjeżdżam za wcześnie,

bo wziętem poprawkę na korki, których wyjątkowo nie było. Zresztą nawet gdybym nie zdążył na czas, nic by się nie stało, bo lekarz zaczął przyjmować z dużym opóźnieniem, o czym informują mnie kolejkowicze, którzy byli umówieni na wcześniejszą godzinę niż ja, ale jeszcze nie zostali przyjęci.

269

Zastanawiam się, co sobie o mnie myślą. Ślepy świr.

To jak czarny Żyd. Jak w tym dowcipie: Murzyn w nowojorskim metrze czyta hebrajską gazetę. Współpasażer przygląda mu się z rosnącym zdziwieniem i w końcu pyta: „Słuchaj, tobie naprawdę nie wystarczy, że jesteś czarny?”.

Chociaż może nie myślą o mnie jak o świrze. Może też mają depresję. I co z tego? Ja mam depresję, a postrzegam ich jako świrów.

Siadam na usługnie wskazanym mi krześle. Argo kładzie się u moich stóp. Przez chwilę jest obiektem zachwyty kolejk, potem zapada cisza, jedynie zza drzwi gabinetu dobiegają pojedyncze słowa, a nawet całe zdania. Odnotowuję, że przy tej akustyce trzeba mówić w miarę cicho, żeby nie być słyszonym na zewnątrz.

Mija z pół godziny. Ja siedzę cierpliwie, czego jak czego, ale cierpliwości ślepaćwo uczy, natomiast w kolejce narasta zdenerwowanie.

- Ale się zasiedział!

To pod adresem pacjenta okupującego gabinet.

- Pewnie pierwszy raz - bierze go w obronę wyrozumiaty

męski głos. - Lekarz musi wypytać.

To mi się nie podoba, wcale nie mam ochoty być wy-
pytywanym.

- Ja tylko po leki, a tyle muszę czekać - do kobiety, która
zaczęła wymianę zdań, ten argument nie trafia. -I jeszcze ten
doktor przepisuje mi tylko na miesiąc. Poprzedni, do którego
chodziłam, przepisywał mi na dwa miesiące.

- U mnie tak samo - potwierdza druga kobieta. - On się
boi przepisywać na dłużej. Że niby człowiek zachomikuje
i połknie wszystko naraz. Ciągłe mnie pyta, czy nie mam
myśli samobójczych.

Przypominam sobie statystykę znaną w Internecie,
w świetle której - zakładając też depresję - pytanie jest
całkowicie uzasadnione.

270

- No a przez to trzeba częściej do niego przychodzić i jest
tłok, i kolejka. Na dodatek notorycznie się spóźnia. Niby
w szpitalu jeszcze pracuje i zawsze go tam coś zatrzyma
- narzeka pierwsza.

- Ciąć to ja się chciałam, jak miałam naście lat i byłam
nieszczęśliwie zakochana, ale nie teraz! - Druga najwy-
rażniej nie może przeboleć, że lekarz posądza ją o chęć
popętnienia samobójstwa.

Mężczyzna i ja milczymy, podczas gdy kobiety sobie
potakują.

- Tak, pani, w naszym wieku to człowiekowi fiu-bździu
już nie w głowie.

Domyślam się, że jeszcze chwila i zaczną opisywać swoje dolegliwości. Teraz doceniam, że znalazłem się u psychiatry, a nie u gastrologa, gdzie te opisy byłyby - nomen omen - mało smaczne. Jednak do tego nie dochodzi, bo - ku ogólnemu zadowoleniu - drzwi gabinetu wreszcie się otwierają, sygnalizując, że przydługa wizyta dobiegła końca.

Teraz idzie sprawnie. Kobiety wchodzą do gabinetu zaledwie na kilka minut, mężczyzna siedzi niewiele dłużej, też najwyraźniej przyszedł tylko po leki, i po niecałym kwadransie siadam naprzeciwko psychiatry. Z głosu wnioskuję, że to starszy pan, wyobrażam sobie, że ma siwą brodę, co mnie uspokaja. Cieszę się, że nie trafiłem na młodego lekarza, równolatkowi nie potrafiłbym opowiedzieć o swoim problemie.

Ale ten w ogóle nie interesuje się moim problemem.

Czyta skierowanie od lekarza rodzinnego i pyta jedynie o opisane w nim bóle brzucha i głowy.

- Kłopoty ze snem?

- Tylko w ostatnich dniach, budzę się nad ranem i nie mogę z powrotem zasnąć, ale normalnie dobrze śpię.

- Myśli samobójcze?

Kręcę przecząco głową.

271

-Przepiszę panu środek nasenny i antydepresanty, a jak pana trochę ustabilizują, przejdziemy do psychoterapii. Co by tu panu dać, żeby trafić za pierwszym razem? Spróbujemy może anafranil. Trzy razy dziennie, rano, po obie-

dzie i wieczorem, przepiszę panu dziewięćdziesiąt tabletek
i po miesiącu proszę się zjawić.

Po chwili stoję na korytarzu z receptą w ręku, zaskoczony
przebiegiem wizyty.

- Zobacz, Argo, jak gładko poszło, a tak się baliśmy.

Argo protestuje szczeknięciem, że się nie bał, tylko ja.

- Tak, tak, masz rację, ty wspierałeś pana duchowo.

Chodź, musimy wykupić ten anafranil, jak rozumiem, po nim
ma przestać mnie boleć głowa i brzuch.

Na dole w recepcji pytam o aptekę, ale okazuje się,
że żadna nie podpięła się pod tę przychodnię. Toteż panu
Sławkowi, który przyjechał, kiedy wezwałem taksówkę,
każę wieść się nie do domu, tylko do apteki przy gabinecie
mojego lekarza rodzinnego.

- Chorujemy? I niech mi pan powie, panie Jacku, kto
to wszystko wymyślił? Człowiek choruje, a potem umiera,
i tyle sobie tego życia użyje, co pies w studni.

Rzeczywiście, Argo zamknięty w studni nie byłby zbyt
szczęśliwy.

- Może wykupię panu receptę? - proponuje pan Sławek,
kiedy podjeżdżamy na miejsce.

- Nie, dziękuję - odmawiam. Doskonale mogę zrobić
to sam, znam tę aptekę, a poza tym nie chcę, żeby widział,
jaki lek kupuję. - I proszę na mnie nie czekać, do domu
pójdę na piechotę. Do widzenia.

- Do widzenia.

Słyszę, jak taksówka zawraca i odjeżdża.

Argo prowadzi mnie do apteki, przystaje przed drzwiami, otwieram je, brzęczyk informuje, że znaleźliśmy się w środku.

272

Podaję w okienku receptę.

- Ale poproszę tylko połowę tego, co zapisane.

Nie zamierzam się truć, a według mojego przekonania lekarze przepisują dawki co najmniej dwa razy większe niż naprawdę potrzebne. Niby ten, według kobiet w poczekalni, bał się przepisywać większe ilości, ale może wcale się nie bał, tylko chciał widzieć swoich pacjentów przynajmniej raz w miesiącu. Farmaceutka jednak inaczej interpretuje motywy mojej prośby o ograniczenie ilości lekarstw.

- Ale anafranil jest za darmo, a ten nasenny też niedrogi, nie musi się pan bać, że zabraknie panu pieniędzy.

Znika na zapleczu, zanim zdążę zaprotestować, bo mój protest opóźnia zaskoczenie. Jak to za darmo? Od kiedy to lekarstwa są za darmo?

Okazuje się jednak, iż rzeczywiście za anfranil nic nie płać. Objęty jest pełną refundacją. Z czymś takim jeszcze się nie zetknąłem i jestem mile zaskoczony, nawet mając świadomość, że de facto zapłaciłem już wcześniej i to słono, uiszczając składkę zdrowotną. No ale człowiekowi zawsze wydaje się, że usługę opłaconą w formie podatku ma za darmo, a jak dostanie coś za darmo, poprawia mu to humor. Może właśnie z tego powodu akurat antydepre-

santy objęto pełną refundacją.

Odbieram wszystkie tabletki anafranilu, bo dochodzę do wniosku, że da mi to możliwość manewru. Jak będę brał połowę dawki, leku starczy mi nie na miesiąc, tylko na dwa, a więc będę mógł odwlec wizytę u psychiatry, jeśli mimo tej kuracji okaże się niezbędna. Ta decyzja nie pozwala mi jednak ograniczyć środka nasennego i też realizuję pełną receptę, bo nie chcę, żeby aptekarka pomyślała sobie, że nie stać mnie nawet na tanie leki, a tak by to wyglądało, gdybym bezpłatny wziął w całości, a ograniczył się przy płatnym.

273

W domu skanuję i uważnie czytam ulotkę anafranilu.

Wygląda na to, że faktycznie lekarz przepisał mi końską dawkę, ulotka zaleca na początek jedną tabletkę 75 mg, a ja miałbym brać trzy. Nie ma mowy. Postanawiam ograniczyć się do tej jednej, no chyba, że nie zadziała, wtedy zwiększę sobie do dwóch. Łykam tabletkę i popijam sokiem z aronii. Teraz to oficjalne - jestem świrem jadącym na prochach.

*

Po trzech tygodniach brania leku - choć nadal ograniczam się do jednej tabletki - czuję się znacznie lepiej. Bóle brzucha i głowy ustąpiły, poprawił mi się też lekko nastrój. Chemia działa cuda do tego stopnia, że jest to przerażające. Jak łatwo podnieść poziom serotoniny pigułką, jak trudno o przeżycia, które podnosiłyby go w sposób naturalny. Jak

wielka pokusa, żeby pójść po linii najmniejszego oporu, zdać się na chemię. Zwłaszcza kiedy ma się za sobą trzynaście lat nieudanej pogoni za odrobiną szczęścia.

Jest sobotnie popołudnie, a ja po powrocie z Argonem z lasu szykuję małe przyjęcie. Ma przyjść Romek z kimś, kogo chce mi przedstawić. Musi być to dla niego bardzo ważna osoba, skoro zapowiedział wizytę i poprosił, żebym się „wyrzuchiła”, a nie przyszedł w swoim stylu znienacka, kiedy akurat miał ochotę albo cierpiał na niemoc twórczą. Domyślam się, że poznał dziewczynę, która z przelotnej przygody stała się wielką miłością. Nie byłby to pierwszy przypadek, że zdeklarowany poligamista zakochuje się po uszy. Zazdroszczę mu, ale nie ma w tym zawiści. Między nami wywiązała się prawdziwa przyjaźń - czego w ogóle się nie spodziewałem, biorąc pod uwagę, jak bardzo różnymi się charakterami. Przeglądam w pamięci swoje wcześniejsze znajomości i stwierdzam, że w ich wypadku nie można było mówić o przyjaźni, najwyżej o koleżeństwie.

274

Przygotowuję kurczaka w sosie śmietanowym z migdałami. Filety mam już gotowe, teraz tylko posypuję je uprażonymi płatkami migdałów. Do mięsa riesling, zgodnie z zasadą „ryba, drób i cielęcina lubią tylko białe wina”.

Na deser szykuję banany w cieście. Przeglądam swoją płytotekę w poszukiwaniu odpowiedniej muzyki. Skoro mam gościć parę, powinna być w miarę romantyczna, choć może jednak nie, bo to przecież nie randka. Uznaję, że Barry White,

którego odkryłem dzięki mojemu ulubionemu serialowi „Ally McBeal”, będzie akurat.

Kiedy jestem ze wszystkim gotowy, dopada mnie lekkie zniechęcenie. Dlaczego zawsze muszę przyjmować gości w pojedynkę? Dlaczego nie mam u swego boku żony, żeby para przyjmowała parę, jak się należy? Jak jest bardziej naturalnie. Kiedyś u Krzyśka na urodzinach było pięć par i ja na doczepkę. Kiedy się zorientowałem, że tylko ja jestem sam, ogarnęło mnie przerażenie. Siedziałem jak na szpilkach i modliłem się, żeby rozmowa nie zesłała na tematy damsko-męskie. Oczywiście nie mogła nie zejść i oczywiście na celowniku znalazła się moja samotność.

- A ty, Jacek, kiedy w końcu coś zapłodnisz?

Uratowała mnie gburowatość tego pytania, bo oburzone kobiety wręcz rzuciły się na pytającego - wówczas przełożonego Krzyśka - jak śmie o nich mówić per „coś” i o mojej osobie zapomniano.

Otrząsam się.

- No nic, zwierzaczkę - mówię do Argona - cieszymy się, że w ogóle mamy gości, którzy chcą z nami spędzać czas, za pięćdziesiąt lat nie zajrzy do nas nikt poza opłaconą pielęgniarzką. Będziemy wtedy sobie siedzieć, dwa takie siwe dziadki, i wspominać, jak to było wspaniale, kiedy jeszcze ktoś nas odwiedzał.

I właśnie odwiedzający dzwonią do drzwi. Idę otworzyć.

- Cześć, jesteśmy - słyszę głos Romka. - Poznajcie się,
bo chociaż już mieliście ze sobą bezpośrednią styczność,
to nie zostaliście sobie przedstawieni.

O czym on, do cholery, mówi?

- Jacek, Edyta. Dobrze przedstawiłem? Dobrze. Najpierw
przedstawia się osobę mniej ważną osobie ważniejszej,
w tym wypadku mężczyznę kobiecie.

Co się dzieje, odkąd z Romka taki salonowiec?

- Miło mi - słyszę gdzieś nisko kobiecy głos. Jakby
znajomy, choć nie mogę sobie przypomnieć, gdzie go sły-
szałem.

- Na Edytę miałeś okazję wpaść, zaliczając glebę, kiedy
ja się tu wprowadzałem - wyjaśnia Romek.

Teraz kojarzę, to ta dziewczyna na wózku. Ogarnia
mnie wściekłość. Romek nie kazał mi się „wyrzchtować”,
żeby przedstawić mi swoją nową dziewczynę, tylko po-
stanowił zabawić się w biuro matrymonialne. Wyswatać
dwie kaleki, cóż bardziej naturalnego, niech łączą się
ze sobą, niech pozostaną w getcie swojego kalectwa,
przecież nie wpuścimy ich do naszego świata ludzi peł-
nosprawnych.

Mam ochotę trzasnąć drzwiami, ale nie pozwala
mi na to moje dobre wychowanie. Poza tym nie chcę sprawić
przykrości Edycie. Ona pewnie też padła ofiarą intrygi Romka
i pewnie też dopiero teraz zorientowała się, co jest grane.
Otwieram szerzej drzwi, postanawiając, że z Romkiem po-
liczę się później.

- Również jest mi bardzo miło, proszę, wejdźcie.

Mimo fatalnych przesłanek - Edyta musiała być równie wściekła jak ja - wieczór okazał się nadspodziewanie udany.

Może dlatego, że Romek nie był konsekwentny w swojej roli swata i nie próbował zostawić nas po pewnym czasie samych. Nie wiem, czy uznał, że za wcześnie na ten krok, 276

czy po prostu żał mu było dobrego żarcia, wina i towarzystwa. W każdym razie swoją naturalnością i gadulstwem rozładował atmosferę i wieczór ze sztucznie aranżowanej randki przerodził się w niekrępujące spotkanie trojga ludzi, którym dobrze wspólnie spędza się czas i którzy mają wspólne tematy, a nie zawężają się one tylko do polityki i wysokości zarobków.

- Dawno się tak dobrze nie bawiłem. - Te słowa w ustach Romka brzmią co najmniej dziwnie, ale okazuje się, że ma na myśli intelektualną rozrywkę. - Tak posiedzieć przy winku do białego rana z ludźmi o ponadprzeciętnej inteligencji i pogadać na tematy egzystencjalne nie miałem okazji chyba od studiów. Przyznam, że mi tego brakowało.

- Studiowałeś? - dziwię się. - Co?

- A co ja mogłem studiować? Historię sztuki na uniwerku. Jakbym studiował na polibudzie, to na pewno nie wspominałbym egzystencjalnych dyskusji z akademika. Ci z politechniki byli tępyimi chłopaczkami, których pasjonowały gry komputerowe, a nie dyskusje o Bogu. Dla nich Bóg był figurą, jaką wtłoczono im do główek na lekcjach

religii przed pierwszą komunią: dziadzius z siwą brodą siedzący na chmurce, i nie widzieli powodu, żeby się nad tym obrazem zastanawiać czy go zmieniać.

- A kim dla ciebie jest Bóg? - pyta Edyta, prosząc mnie jednocześnie dyskretnie o dolanie wina.

- A ja w ogóle nie wierzę w Boga. Jestem ateistą.

- Jak to? - nie mogę ukryć zdumienia. Nikt z kręgu moich znajomych nie deklarował tak wprost niewiary w Boga, ci, którzy nie chodzili do kościoła i nie zawracali sobie głowy przykazaniami, najczęściej mówili, że wierzą po swojemu i że ich wiara niekoniecznie ma związek z doktrynami Kościoła katolickiego, a już na pewno nie z jego zakazami, albo że wierzą w jakąś nadprzyrodzoną siłę, którą trudno zdefiniować. Ja sam byłem gdzieś pomiędzy.

277

- Tak to. Straciłem wiarę, kiedy dostałem sraczki. Takiej, że trzy dni ze mnie leciało. Jakbym srał na łące, to zrobiłbym taką kupę, jaką dinozaur walnął w „Parku Jurajskim”. No i dotarło do mnie, że Bóg, który „stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo”, również musiałby dostawać sraczki.

Sorry, ale ja w srającego Boga wierzyć nie mogę.

- Przecież Bóg nie ma powłoki cielesnej - protestuje

Edyta.

- No to na czym polega to podobieństwo?

- Na podobieństwie duchowym! - wspieram Edytę.

- Aha. No to weźmy takiego przeciętnego Polaka. Drobny kombinator i cwaniaczek, który stara się dorobić parę groszy,

kantując kontrahenta albo fiskusa, jak nie zdradza żony,
to ją tłucze, a dla rozrywki schlewa się, oglądając, jak dwu-
dziestu dwóch facetów w gaciach gania za piłką. Sorry, ale
ja stanowczo sprzeciwiam się imputowaniu mi, że zostałem
stworzony przez podobną do niego kreaturę, ja pochodzę
od stworzenia wyraźnie nad nią górującą, to jest od szym-
pansa.

- Teoria ewolucji i teoria kreatywna wcale się nie wyclu...

- usiłuje polemizować Edyta, ale Romek się już nakręcił.

- Zresztą sami jesteście dowodem na nieistnienie Boga.

Albo na jego niezwykle okrucieństwo. Bo w jakim celu tworzy
niepełnosprawnych? Żeby napawać się ich cierpieniem?

- Przecież to nie ma nic wspólnego z Bogiem - oponuję.

- To, że nie widzę, jest spowodowane zanikiem nerwu
wzrokowego, a nie działaniem Boga. Ty, Edyta, czemu jesteś
na wózku?

- Miałam wypadek samochodowy, cztery lata temu.

- No właśnie, czyli efekt ludzkiego błędu, a nie bo-
skiego.

- Przecież Bóg jest wszechmocny - nie daje się Romek

- mógł nie dopuścić do zaniku twojego nerwu, mógł zadbać,
żeby skutki wypadku nie były tak tragiczne.

278

- To, że Bóg jest wszechmocny, nie oznacza, że wprost
ingeruje w przebieg wydarzeń - odbija piłeczkę Edyta. - Nie
ingeruje.

- Ale stworzył przesłanki do wystąpienia tak tragicznych

skutków. No bo jeśli stworzył człowieka i jest wszechmocny, to nic nie stało na przeszkodzie, żeby wyposażył go w regenerujący się nerw wzrokowy czy rdzeń kręgowy. I nie da się wytłumaczyć, dlaczego tego nie zrobił. Zupełnie inaczej sytuacja przedstawia się, kiedy przyjmujemy, że człowiek jest tworem ewolucji. Z punktu widzenia ewolucji ważny jest gatunek. Ewolucji nie interesują poszczególne jednostki, tylko przetrwanie gatunku. A ponieważ jesteśmy wyjątkowo skomplikowaną konstrukcją, naturze prościej poświęcić poszczególne osobniki - gatunek bez nich również przetrwa - niż tworzyć na pewno szalenie energochłonny system regeneracji poszczególnych narządów.

- Czyli co, jesteśmy odpadami?

Pytanie zadaje Edyta, ale mógłbym się pod nim podpisać.

- Z punktu widzenia natury tak, z punktu widzenia obecnego społeczeństwa nie. Przynajmniej oficjalnie, bo przecież ciągle stykacie się czy to z jawną, czy ukrytą dyskryminacją.

No ale nikt już nie zrzuca kalekich dzieci ze skały, choć wcale nie było to głupie rozwiązanie.

Założę się, że gdyby Edyta mogła, to wstałaby teraz z oburzenia. Ja już do wystąpień Romka przywykłem. Tylko on może się dobrze bawić z kalekami - cała masa osób deklarujących tolerancję wymówiłaby się od takiego spotkania - a jednocześnie powiedzieć, że Spartanie postępowali „niegłupio”, zabijając niepełnosprawne dzieci.

-Jak możesz?! - daje wyraz swojemu oburzeniu

Edyta.

- Takie małe dziecko nie wiedziało, że umrze - Romek
oczywiście broni swego zdania - więc nie przeżywało strachu

279

przed śmiercią, a oszczędzało mu się cierpień i upokorzeń
w przyszłości.

- Czy ty, Jacek, wolałbyś umrzeć? - Edyta postanawia
użyć mnie jako argumentu.

- Nie w tym rzecz. - Romek nie dopuszcza mnie do głosu.

- Wiadomo, że dorosły człowiek, czy inaczej: człowiek mający
świadomość chce żyć, nawet jeśli czasami twierdzi, że wo-
lałby się nie urodzić. Ale nie mówimy o dorosłym człowieku,
który może spojrzeć wstecz i podjąć świadomą decyzję, tylko
o dziecku, które jeszcze nawet nie wie, że żyje.

- A co z takimi jak ja, którzy nie są kalekami od urodzenia,
też byś nas zrzucił ze skały?

Choć trzymam stronę Edyty, muszę obiektywnie przy-
znać, że swoim pytaniem polemizuje z tezą, której Romek
wcale nie postawił.

- Dorosłych, na przykład inwalidów wojennych, Spartanie
nie zrzucali ze skały. Tylko dzieci. Zabicie istoty świadomej
swego życia i niepełnosprawności to morderstwo, zabicie
takiej, która jeszcze tej świadomości nie uzyskała, to akt
miłosierdzia.

- Pieprzysz jak potłuczony! - Edycie zabrakło argu-
mentów.

- No a jak istota świadoma swego życia i niepełnospraw-

ności chce umrzeć, to co wtedy? - włączam się. - Jesteś za eutanazją?

- Oczywiście. Człowieka, który chce umrzeć, można co najwyżej przekonywać, żeby się nie zabijał, ale nie wolno mu tego zakazywać. Nie wsadzamy już samobójców do więzienia za samobójcze próby ani nie grzebiemy ich za płotem cmentarza, ale zatrzymaliśmy się w połowie drogi i odbieramy człowiekowi prawo do podjęcia najbardziej fundamentalnej decyzji w życiu. O wszystkim mam prawo decydować sam, ale nie o tym, kiedy chcę umrzeć. Przecież to ubezwłasnowolnienie!

280

- Życie dał ci Bóg i tylko on może ci je odebrać. - Edyta wyraźnie jest katoliczką.

- Według jednej z teorii. Proszę bardzo, narzucajcie konsekwencje wynikłe z tej teorii tym, którzy w nią wierzą, ale nie pozostałym. Ja nie życzę sobie, żeby narzucano mi nakazy religii, której wyznawcą nie jestem. Dlaczego na przykład dla ciebie jest oczywiste, że jako niemuzułmanka nie masz obowiązku nosić czadoru, a nie jest dla ciebie oczywiste, że jako niekatolik nie mam obowiązku w upodleniu czekać, aż nastąpi coś, co wy nazywacie naturalną śmiercią?

- Bo Bóg stworzył cię, nawet jeśli nie jesteś katolikiem, masz wolną wolę i mogłeś pobłądzić.

- Tak samo Allah nakazał wszystkim kobietom nosić czador. To, że niektóre pobłądziły i nie wyznają właściwej

religii, nie jest usprawiedliwieniem, że go nie noszą. Pójdźmy na kompromis: jak zaczniesz nosić czador, ja wrzucę do niszczarki oświadczenie, że jak zostanę rośliną, mają mnie odłączyć od aparatury.

Romek wydaje z siebie przeciągły chichot świadczący o zadowoleniu, że zapędził Edytę w kozi róg, i o tym, że wypił za dużo wina.

Edyta milczy. Trochę mi jej żal. Wyczuwam, że jest szczerze wierząca, tylko w dyskusji okazała się mniej biegła od Romka. Podejrzewam, że gdyby przyszło mu bronić stanowiska przeciwnego, również wyszedłby z tego starcia zwycięsko.

Mówię to na głos, żeby odrobinę Edytę pocieszyć.

- No, od macochy nie jestem. - Moja opinia wyraźnie Romkowi pochlebia. - Ma się ten trening, jak mówiłem, przedyskutowało się w akademiku niejedną noc, jeśli tylko człowiek nie miał ciekawszego zajęcia w postaci małego tete a tete. No właśnie a propos, chciałem was zeswatać, co do czego się zorientowaliście i byliście na mnie wściekli.

281

Poznałem was, a co z tego zrobicie, to już wasza sprawa, nic na siłę.

- A dlaczego uznałeś, że do siebie pasujemy, bo jesteśmy kalekami? - nie wytrzymuję.

- Że co?! - W głosie Romka jest tyle zaskoczenia i zdumienia, że poniewczasie orientuję się, że on ze swoim bezpretensjonalnym podejściem do niepełnosprawnych w ogóle

nie wziął tego aspektu pod uwagę. - Co ty, Jacek? Przecież wcześniej chciałem spiknąć cię z Eulalią...

- Emilią.

- Co? Tak, Emilią, nieważne. Odmówiłeś, więc zorientowałem się, że puszczalskie cię nie interesują, tylko porządne dziewczyny. A Edyta taka jest, na ile mogę ocenić.

- Bardzo dziękuję, że traktuje się tu mnie jak niewolnicę do wystawienia na targu do sprzedaży - odzywa się urażona Edyta.

Udany wieczór zaczyna zmierzać do katastrofy.

- Wiecie co? Dójdzie się - irytuje się Romek. - Chciałem was poznać, bo Jacek jest równy gość, a ty niczego sobie laska, ale jak macie zamiar wyzywać się na mnie ze swoimi kompleksami, to możecie się doić.

Romek podrywa się, potrącając stół - Edyta krzyczy, najwyraźniej ochlapało ją wino z przewróconego kieliszka - i po chwili słyszę trzaśnięcie drzwiami.

Edyta wyciera plamę z wina, a potem siedzimy przez parę minut, nic nie mówiąc. Zastanawiam się, czy mam jej zaproponować randkę, czy tego chcę. Czy ona tego chce.

- Też sobie pójdę.

Najwidoczniej odczytała moje milczenie jako sygnał, że uważam imprezę za zakończoną, ale jakoś nie mam ochoty jej zatrzymywać.

- Późno się zrobiło. Przepraszam, że tak pod koniec wyszło, ale ogólnie było fajnie i dziękuję za wieczór.

-Tylko...

- Tylko co? - Może ona sama chce zaproponować kolejne spotkanie, powiedzieć, żebyśmy jednak spróbowali. Dlaczego nie? Dlaczego to mężczyzna ma ciągle wykazywać inicjatywę? Jestem już tym zmęczony, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby kobieta zrobiła pierwszy krok.

- Nie zjadę sama ze schodów. Dasz radę pomóc mi zjechać albo mnie znieść?

Zastanawiam się. Jestem wprawdzie podпиты, ale nie pijany. Schody znam jak własną kieszeń, zresztą to tylko zejście z wysokiego parteru. Ale znieść jej razem z wózkiem nie dam rady, do tego trzeba dwóch osób, z kolei pomoc przy zjeżdżaniu wymaga chyba dużej precyzji, nie widząc, łatwo mogę stracić kontrolę nad wózkiem. Albo samemu stracić równowagę, co na jedno wychodzi.

- Musiałbym znieść najpierw ciebie, a potem wózek.

- Raczej odwrotnie, żeby na dole miała na czym usiąść.

- Racja.

Szykujemy się do tej operacji. Edyta przesiada się na kanapę, a ja biorę wózek i znoszę go na dół. Co okazuje się o tyle proste, że wózek jest składany i niemal w ogóle mi nie zawadza. Wystawiam go na dwór, mając nadzieję, że nikt się na niego nie połakomi. Bardziej niż na uczciwość rodaków liczę na fakt, że jest środek nocy, a w środku nocy Sępólno jest wyludnione.

Wracam po Edytę. Biorę ją na ręce, ona obejmuje mnie

za szyję. Robi mi się gorąco, od czasu, kiedy całowałem się z Arletką, nie byłem tak blisko kobiety. Jest drobna i szczupła, a przez to lekka. Ze zniesieniem nie powinno być najmniejszych problemów. Ostrożnie wyszukuję nogą każdy kolejny stopień i bardzo powoli schodzę w dół. W połowie schodów stwierdzam, że idzie tak gładko, że spokojnie mogę przyspieszyć. Stawiam stopę, nie wymacawszy dokładnie miejsca, gdzie mam ją postawić, trafiam na kant schodka,

283

stopa ześlizguje się po krawędzi, czuję ostry ból w kostce, tracę równowagę, puszczam Edytę, ona krzyczy ja też, z rumorem zlatujemy ze schodów.

- Edyta! Edyta!

Jestem przerażony. Zabiła się? Pokaleczyła? Co ze mnie za oferma!

- Tutaj jestem. Nie krzycz, pobudzisz sąsiadów.

Jakby nasze spadanie ze schodów przebiegło w absolutnej ciszy. Ale jeśli nawet pobudziliśmy sąsiadów, żaden nie uznał za wskazane wyjrzeć i sprawdzić, co się dzieje.

Czołgam się w jej stronę i gorączkowo ją obmacuję, nadal przerażony, że zrobiłem jej krzywdę.

- Nic ci nie jest? Nic sobie nie złamałaś? Nie krwawisz?

Mocno się potłukłaś?

- Trochę się potłukłam, ale chyba nic mi nie jest. Czy krwawię, to nie wiem, bo nie zapaliłaś światła, ale nigdzie bardzo mnie nie boli, więc chyba okej. A ty?

- Ja? Co ja?

- Nic sobie nie zrobisz?

- Chyba skręciłem sobie nogę, ale to małe piwo.

-Jacek...

-Co?

- Naprawdę nie musisz dalej mnie obmacywać.

Moje ręce, gorączkowo krążące po jej ciele, zamierają. Ale ich nie zabieram. Innym już ruchem przesuвам dłonią po jej twarzy, po linii ust, nachylam się i całuję ją. Odwzajemnia pocałunek i obejmuje mnie. Kochamy się w ciemności u podnóża schodów.

Kocham cię kochanie moje.

Jacek zanucił cicho piosenkę Maanam, wsłuchując się w równomierny oddech śpiącej obok niego Edyty. Wciąż - mimo że minęły dwa miesiące - nie mógł uwierzyć, że ma dziewczynę, że zechciała go prawdziwa kobieta z krwi i kości, a nie wytwór jego marzeń, że stworzył z nią realny, a nie wymagowany związek. Wszystkie wrażenia, doznania były wielokrotnie intensywniejsze od tego, co wcześniej sobie wyobrażał. Teraz zdawał sobie sprawę, że gdyby nie zaznał miłości, w wyobrażeniach nawet nie zbliżyłby się do tego uczucia. Nie można go poznać z opisu czy opowieści, można jedynie przeżyć.

Z wdzięcznością pogładził Edytę po gładkim policzku.

Westchnęła lekko we śnie, ale się nie obudziła. Przesunął rękę po smukłej szyi, w dół ku piersiom, ale - chociaż poczuł narastające podniecenie - powstrzymał się. Niech

śpi. Kochali się przed zaśnięciem, a Edyta zaczęła delikatnie dawać mu do zrozumienia, że nie ma ochoty aż tak często.

- Jesteś strasznie nienasycony. Miałeś długą przerwę, co?

Ta niewinna konstatacja zakłopotowała go. Skłamać, powiedzieć prawdę? Za kłamstwem przemawiało to, że Edytę jego wcześniejsze doświadczenia seksualne wydawały

287

się w ogóle nie interesować, temat pojawił się wyłącznie dlatego, że ciągle było mu mało. Bąknąłby zdawkowe „tak” i sprawa byłaby zamknięta. A bał się jej reakcji, gdyby powiedział prawdę. Pół biedy, jeśliby się tylko zdziwiła albo roześmiała. Ale gdyby przestało jej na nim zależeć?

Dla kobiety mężczyzna jest interesujący jedynie wtedy, gdy chcą go inne kobiety. Takie w każdym razie żywił przekonanie.

Nie chciał jednak budować związku na kłamstwie.

Wiedział, że prędzej czy później przyznałby się Edycie do kłamstwa. A gdyby wtedy go rzuciła, twierdząc, że związek musi być oparty na zaufaniu, a ona nie może ufać człowiekowi, który ją okłamuje, sam byłby sobie winien. Dotąd nie ponosił winy, przecież nie od niego zależało, że nie chciała go żadna kobieta, we własnym przekonaniu zrobił wszystko, co się dało, żeby znaleźć sobie dziewczynę. Pewnie że nie stanowiło to żadnej gwarancji, bywa i tak, że skutki okoliczności, za które nie po-

nosimy winy, bywają dla nas tragiczne. Ale miałby w ręku argumenty, żeby namawiać ją do powrotu, w przypadku kłamstwa nie.

- Nie miałem kobiety przed tobą - powiedział tak cicho i niewyraźnie, że nie zrozumiała.

-Co?

Powtórzył głośniejszym głosem, czując, że krew napływa mu do twarzy. Czekał na jej reakcję z takim napięciem, jakby miał wysłuchać, czy w procesie przeciwko niemu zapadnie wyrok uniewinniający czy skazujący go na śmierć.

Usiadła mu na kolanach i objęła rękami za szyję.

- Dlaczego się tego wstydzisz? Każdy ma swój czas i nawet jeśli dla niektórych przychodzi później niż normalnie, nie jest to powód do wstydu. Poza tym powiem ci, że z tobą jest mi lepiej niż z moim poprzednim chłopakiem, mimo że tamten miał duże doświadczenie. Bo on

288

myślał przede wszystkim o sobie, a ty najpierw dbasz o mnie, a potem dopiero o siebie. Wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy, bo nie miałam porównania, ale jemu było wszystko jedno, jaką dziewczynę miał pod sobą.

Choć sformułowanie było zbyt plastyczne i Jacek poczuł silne ukłucie zazdrości - irracjonalnej, bo o przeszłość

- to jednocześnie rozpieszczała go radość i duma. Radość, że jego obawy okazały się bezpodstawne, i duma, że jest dobrym kochankiem, że potrafi zadowolić kobietę.

- Dziękuję.

- Za co? - zdziwiła się Edyta.

- Za to, że jesteś taka wyrozumiała. Że chcesz ze mną być. Kocham cię.

- Też cię kocham.

Zamilkli, pozwalając, by słodycz tych słów dotarła od neuronów mózgu do serca, wprawiła je w żywsze bicie, napełniła ciepłem całe ciało.

- Wyobrażałem sobie taką scenę setki razy, ale nie spodziewałem się, że w rzeczywistości będzie to aż tak cudowne - przerwał milczenie Jacek.

-Co?

-No... wyznawanie sobie miłości. Chyba tego najbardziej się bałem i najbardziej mi doskwierało przez te wszystkie samotne lata. Że nigdy nie usłyszę tych dwóch słów. Najważniejszych na świecie. Że ktoś mnie kocha.

A ty?

-Ja się bałam, że zabiję komuś dziecko...

- Jak to?

Edyta opowiedziała mu o swoim śnie, w którym zabiła synka Aldony.

- Bałam się też, że umrę w samotności, że kiedy przyjdzie na mnie pora, nikogo przy mnie nie będzie, moje dzieci nie potrzykają mnie za rękę, że bym nie bała się tak bardzo przejść na tamtą stronę, bo żadnych nie urodziłam.

289

Miałam inny potworny sen, który mi to uświadomił: śnił mi się mój własny pogrzeb, a wśród żałobników nie było

ani jednej znajomej twarzy - przyjaciół, rodziny, krewnych - tylko pracownicy zakładu pogrzebowego i stare babcie, które dla rozrywki chodzą na pogrzeby obcych sobie osób.

- Straszne.

- Te sny były dla mnie przestrożą, że muszę koniecznie coś zmienić, impulsem, żeby podjąć jakiegokolwiek działanie.

Dotarło do mnie, że jeśli mogę poznać kogoś nowego, to nie wolno mi z tego rezygnować, bo tylko poznając ludzi, mam szansę znaleźć chłopaka, a nawet jeśli z góry zakładam, że potencjalny kandydat nie będzie się nadawał albo nie będzie mną zainteresowany, to przecież przez niego mogę poznać kolejnych. I dlatego przyjąłem zaproszenie Romka, kiedy, jak to on, zignorował moją wcześniejszą odmowę i je ponowił.

- A czemu wcześniej odmawiałaś? Wykluczałaś związek z niewidomym? Czy zakładałaś, że niewidomy nie ma ciekawych znajomych?

- No co ty. Odmawiałam, bo zniechęciłam Romka, nie miałam ochoty na jego towarzystwo.

-Jak pierwsze wrażenie może mylić. Bo przekonałaś się do niego?

- Przekonałam się, poza tym teraz jestem mu wdzięczna, że okazał się taki... odporny na reakcje innych i otwarty na ludzi, bo inaczej byśmy się nie poznali. - Edyta zastanowiła się przez chwilę i wróciła do poprzedniego tematu.

- A ty? Myślałaś, że mógłbyś chodzić z niepełnosprawną

dziewczyną?

Jacek zawstydził się, przypomniał sobie, co pomyślał kiedyś o Edycie, kiedy jeszcze była dla niego anonimową dziewczyną na wózku, w jaką zestawili ich parę: ślepiec i paralityczka.

290

- Na pewno nie chciałem mieć niewidomej dziewczyny, ale z tego względu, że dwoje ślepaków musi pokonać dużo więcej praktycznych trudności niż mieszana para. Co nie przeszkodziło mi kiedyś zakochać się w niewidomej. Nawiasem mówiąc, odrzuciła mnie właśnie dlatego, że jestem ślepy. Myślę, że to jest tak, że dopóki nie spotka się właściwej osoby, przeszkadza każda drobnostka, każde odstępstwo od wymyślanego ideału, byle pieprzyk jest elementem rujnującym całą urodę i dyskwalifikującym kandydatkę, ale kiedy człowiek się zakocha, to ten pieprzyk tylko dodaje ukochanej uroku. I jakbym miał czysto teoretyczny wybór, pewnie dziewczyny na wózku bym nie chciał, ale owo kryterium stało się nieważne, skoro to jesteś ty: moja Edytka, moja ukochana.

Edyta uśmiechnęła się uszczęśliwiona i schyliła głowę.

Spotkali się w długim pocałunku.

- Dlaczego tak brzydko mówisz? - zapytała, kiedy lekko zadyszani oderwali się od siebie.

- Jak? - zdziwił się niepomnie Jacek. Co mogło być brzydkiego w słowach „moja ukochana Edytka”?

- Ślepacy.

Jacek zaśmiał się, ale bez rozbawienia.

- Mnie wolno. My tak po prostu na siebie mówimy.

*

Jacek źle chwycił talerz, który Edyta podała mu do wytarcia, ten wymusknął mu się z rąk i rozbił się o płytki kuchennej podłogi.

- Uważaj, niezdar! - Edyta była rozeźlona. - To z mojego najlepszego kompletu!

Zmywali razem naczynia przed wizytą rodziców Edyty, którzy dopiero teraz mieli poznać Jacka. O jego istnieniu dowiedzieli się dzień wcześniej.

291

Edyta i Jacek dotąd jakby ukrywali się przed światem, zatajali, że są razem. Jedynymi osobami, z którymi spotkali się jako para, nie licząc Romka, byli Aldona i Mariusz.

Kwestia przedstawienia rodzinie wypląnęła podczas jednej z długich rozmów, jakie ze sobą prowadzili, kiedy się nie kochali albo nie całowali - ciągle było im mało wiedzy na temat partnera. Edyta opowiadała o swoich rodzicach, kiedy Jacek zapytał:

- Dlaczego mnie im nie przedstawisz? Powiedziałaś im w ogóle o mnie?

Edyta zwlekała przez dłuższą chwilę z odpowiedzią.

- Nie zrozum mnie źle. Chodzi o moją matkę. Wiem, że nie tylko cię nie zaakceptuje, ale na pewno też da temu wyraz, i dlatego ani ich nie zapraszam, ani im o tobie nie

powiedziałam. Chcę chronić ciebie... nas, nasz związek.

Powiedziałabym oczywiście tacie, ale matka wyciągnęłaby to z niego. Tata zresztą dostrzegł, że jestem szczęśliwa, ale on szanuje moją prywatność i skoro sama nic nie mówię, nie pyta. Wiem, że tak się nie da w nieskończoność, ale chcę odwlec moment, kiedy staniesz oko w oko z moją matką.

- Edytka, ja mam trzydzieści lat, a niewidomy jestem od urodzenia. Wierz mi, że nie ma formy dyskryminacji, z którą już bym się nie zetknął.

- Nie znasz mojej matki. I nie miałeś okazji usłyszeć, że z racji tego, że jesteś niewidomy nie nadajesz się na czyjś zięcia.

- Ale jestem na to przygotowany, przecież wiem, wśród jakich ludzi żyję.

- Co ci tak zależy? Przecież ze swoim bratem mnie nie poznałeś. No właśnie, dlaczego? Wstydzisz się, że masz dziewczynę na wózku?

Jacek się zakłopotał. Rzeczywiście nie przedstawił Edyty Krzyškowi i Basi, nawet im o niej nie powiedział.

292

Przyczyną nie była jednak jej niepełnosprawność; ani się tego nie wstydził, ani nie miał powodu zakładać, że Krzysiek z Basią - lekarze mający ślepcę w rodzinie - wykażą się choćby odrobiną nietolerancyjności. Przeciwnie, był pewien, że przyjmą Edytę z entuzjazmem i otwartymi rękami, ciesząc się, że w końcu znalazł sobie dziewczynę.

Dlaczego więc się nią nie pochwalił? Musiał chwilę się zastanowić, żeby zgłębić własne motywy.

- To nie tak. Po prostu... nie odczuwam potrzeby mówienia o tobie, chwaleń się tobą. Jeszcze nie. Kiedyś myślałem, że jak w końcu znajdę sobie dziewczynę, z miejsca ogłoszę to całemu światu, żeby pokazać wszystkim, że mnie też stać na kobietę, że nie jestem takim nieudacznikiem, za jakiego mnie mają. A teraz... jestem z tobą tak szczęśliwy, że wystarczasz mi za cały świat, to szczęście jest tak idealne, tak doskonałe i pełne, że nie potrzebuje potwierdzenia w oczach innych. Gdybyś teraz ze mną zerwała, pewnie nikt nigdy by się nie dowiedział, że miałem dziewczynę. Bo gdybym wtedy o tobie opowiadał, każdy by uznał, że zmyślam, że skoro nie stać mnie na prawdziwą dziewczynę, stworzyłem sobie wymagowaną. Tak jak dzieci miewają wymagowanych przyjaciół. Tylko bym się ośmieszył.

Zamilkł na pół minuty, po czym dodał:

- Oczywiście, że poznam cię z moim bratem, tylko że... nie ma pośpiechu... to też przyjemne, takie odwlekanie chwili, o której człowiek wie, że będzie radosna.

Jednak po tej rozmowie doszli do wniosku, że czas się ujawnić. Na pierwszy ogień miała pójść rodzina Edyty, ponieważ z jej strony, a konkretnie ze strony matki Edyty, spodziewali się mniej serdecznego przyjęcia niż ze strony Krzyśka i Basi. Uznali, że lepiej będzie najpierw odbyć nieprzyjemne spotkanie, aby złe wrażenia pokryć dobrymi

z następnego, niż odwrotnie.

293

I tak przyszedł dzień wizyty rodziców. Edyta uprzedziła wprawdzie, że zaprasza ich, by poznali jej nowego chłopaka i że Jacek jest niewidomy, ale była potwornie zdenerwowana. Co skrupiało się na Jacku. Po raz pierwszy od tej nocy na klatce schodowej miała do niego pretensje i była na niego zła. A przecież to ona źle mu podała talerz, cofnęła rękę, zanim dobrze go chwycił i dlatego go upuścił.

Wolał jednak nie udowadniać swoich racji, zdawał sobie sprawę, że tylko ją tym rozjuszy.

-Przepraszam cię, kochanie... - Nawet w sytuacji grożącego konfliktu nie potrafił nie rozkoszować się tym słowem, które rozpływało się na języku jak pralinka i napawało radością, że ma kogoś, do kogo może się w ten sposób zwrócić. - Postaram się znaleźć identyczny i ci odkupić.

- Ciekawe, jak zobaczysz, że identyczny - burknęła Edyta.

Jacek zamarł. Przyszło to tak szybko? Ledwie skończył się ich miodowy miesiąc, a już zaczęło jej przeszkadzać, że związała się ze ślepcem? Miał ochotę wyjść z kuchni, trzasnąć drzwiami. Nie potrzebował jej łaski ani litości, jest ślepiakiem, ale nie człowiekiem pozbawionym godności, nie da się upokarzać za cenę bycia z kimkolwiek. Są gorsze rzeczy niż samotność.

Chyba dostrzegła jego reakcję, bo poczuł jej rękę na biodrze i usłyszał ciche:

- Przepraszam, Jacusiu.

I po chwili głośniejszym usprawiedliwieniem:

- To przez tę wizytę, wysiadam nerwowo.

Jeszcze się boczył, ale tak naprawdę złość przeszła mu od razu, kiedy Edyta przeprosiła. Zresztą, czy nie przesadzał ze swoimi reakcjami? Bycie ślepym to jedno, a wpadanie z tego powodu w kompleksy to drugie.

294

- No pocałuj mnie, że się już nie gniewasz.

Pociągnęła go w dół ku sobie. Na pocałunku się nie skończyło. Potem pomyślał, że jeśli przeprosiny zawsze mają być tak namiętne, to nie ma nic przeciwko temu, żeby Edyta częściej popełniała gafy.

- Wejdźcie.

Edyta otworzyła drzwi, zapraszając rodziców. Przepuściła mamę, a tacie rzuciła błagalne spojrzenie: powstrzymaj ją. Ten uśmiechnął się pocieszająco, pochylił nad córką i objął ją.

- Gratuluję, córeczko... i strasznie się cieszę, bo od jakiegoś czasu widzę, że jesteś naprawdę szczęśliwa.

Rodzice mimo protestów Edyty ściągnęli buty i weszli do pokoju. Jacek, słysząc wchodzących, podniósł się z kanapy. Wcześniej - w przeciwieństwie do Edyty - był zupełnie spokojny, toteż zaskoczyła go własna reakcja na dźwięk domofonu: żółądek dosłownie podjechał mu

do gardła.

Edyta dokonała prezentacji, powtórzywszy sobie w myśli zasadę, dotyczącą kolejności, wiedząc, że jej matka przywiązuje niesłychaną wagę do konwenansów: najpierw osobę mniej ważną osobie ważniejszej, najpierw osobę mniej ważną osobie ważniejszej.

- Jacek, mój chłopak, moi rodzice.

Słowa „miło mi” padły z trzech ust niemal jednocześnie.

Pani Pilarczyk podniosła rękę i pomachała nią na wysokości oczu Jacka, żeby sprawdzić, czy naprawdę nie widzi. Edyta zgromiła ją wzrokiem. Pan Pilarczyk podszedł do Jacka, położył mu rękę na ramieniu, sygnalizując, że podaje mu dłoń do uściśnięcia. Jacek zrozumiał ten gest. Wymienili mocny uścisk dłoni. Nie tylko powitania, ale i zawieranego porozumienia: przekazuję ci pod opiekę moją dziewczynkę, dbaj o nią, na pewno zrobię wszystko, żeby była szczęśliwa.

295

Usiedli do nakrytego uprzednio stołu, teraz Edyta doniosła tylko dzbanek z kawą.

- Częstujcie się - wskazała na morelowe delicje, pierniczki z adwokatem i zwykłe herbatniki.

- Dziękujemy.

Pani Pilarczyk sięgnęła po pierniczka, jednocześnie dziękując odmownie gestem za podsuniętą jej śmietankę. Wzięła za to cukier. Kawę pijała czarną, mocno słodzoną.

- To gdzie się poznaliście? - zagał pan Pilarczyk.

- Jesteśmy sąsiadami, Jacek mieszka w bramie obok.

- A jak cię zobaczył? Czy to ty go zagadnąłeś?

No i zaczęło się. Tego właśnie Edyta obawiała się najbardziej. Nie, że jej matka powie wprost: „Pan jest ślepy, pan się nie nadaje dla mojej córki”, ale właśnie takich niby neutralnych pytań, które deprecjonowały Jacka. I ta maniera mówienia przy niewidomym, jakby go nie było go w pokoju albo jakby nie słyszał.

Chciała upomnieć matkę, ale Jacek ścisnął jej dłoń - wzięli się za ręce, kiedy siedli do stołu - dając znak, że jest przyzwyczajony, że nie warto z tego powodu wszczynać awantury.

Uświadomiła sobie, że bardzo szybko zaczęli się rozumieć bez słów, że dotykiem potrafili powiedzieć równie wiele. Może świadczyło to o tym, że nie byli przypadkową parą - jak ona z Adrianem - tylko naprawdę sobie przeznaczeni.

- Poznał nas... wspólny przyjaciel.

Edyta chciała powiedzieć „przyjaciel Jacka”, ale w porę dotarło do niej, że takie wyjaśnienie sprowokuje pytanie: „Uznał, że jak jesteś na wózku, to będziesz dla niego odpowiednią partią?”.

Na chwilę zapanowało milczenie, przerywane tylko chrupnięciami i delikatnym siorbaniem. Kawa nie zdążyła jeszcze ostygnąć.

- Edytka mówiła, że jest pan informatykiem? - Pan

Pilarczyk postanowił przejąć inicjatywę.

296

- Proszę mi mówić po imieniu - zareagował spontanicznie Jacek, dopiero potem zastanowił, czy jego prośba

była uzasadniona. Gdyby był młodszy, na pewno tak, ale wiek, w którym po raz pierwszy powinien być przedstawiany rodzicom swojej dziewczyny, dawno minął. - Tak, pracuję w firmie programistycznej Grendel w Pasażu pod Błękitnym Słońcem.

- On pracuje? - zdziwiła się matka Edyty.

Jacek wzdrygnął się, nieprzyjemnie dotknięty formą i treścią pytania, ale pan Pilarczyk pośpieszył na odsiecz, bojąc się, że jego córka wybuchnie.

- Ależ Zosiu, czemu zwracasz się do pana Jacka w trzeciej osobie jak do służby?

- Przepraszam, to takie tego. Jak pan pracuje?

Jacek uznał, że prośby o zwracanie się do niego po imieniu nie będzie ponawiał, zresztą wyglądało na to, że tata Edyty zρέcznie zaproponował kompromis, formę „panie Jacku”.

Wyjaśnił, że pracę na komputerze umożliwiają mu specjalne programy, popularnie zwane gadaczami, które czytają wszystkie teksty, jakie znajdą się na ekranie.

Dzięki nim niewidomy może też swobodnie serfować po Internecie.

- A grafika? - zapytał pan Pilarczyk.

- Każdy plik graficzny ma nazwę, mniej lub bardziej dokładną. Na przykład „zdjęcie” albo „zdjęcie Churchilla”. Oczywiście z mojego punktu widzenia ta druga informacja jest niezbędna, nie zawsze domyśle się z kontekstu, czyje zdjęcie zamieszczono. Ale webmasterzy, zwłaszcza polscy,

rzadko myślą o niewidomych przy tworzeniu stron internetowych. Największym skandalem są te obrazkowe kody literowe, które trzeba przepisać, żeby założyć konto na różnych portalach. Mają one zapobiegać temu, żeby kont nie zakładały roboty, więc jest sam obrazek bez opisu. Dla

297

mnie rzecz nie do przeskoczenia. Na stronach angielskich czy niemieckich na ogół jest opcja, zrobiona właśnie pod niewidomych, że jeśli nie widzę kodu, mogę go odsłuchać, na polskich nie.

- A ja się zawsze zastanawiałem, po co są te kody. Nie ma to jak zetknąć się z fachowcem.

Temat się wyczerpał i zapanowało milczenie. Krępujące, przedłużające się. Cała czwórka sięgnęła po kawę i słodczyce, żeby pokryć zakłopotanie. Jacek, zdenerwowany, nie znalazł filiżanki, zahaczył o nią ręką i kawa prysnęła na obrus.

Edyta spojrzała na matkę, której mina mówiła: „no tak, czego się spodziewać po ślepym”.

- Jacek świetnie zarabia, pięć tysięcy.

Chciała tą informacją zaimponować matce, pokazać jej, na co Jacka stać, ale zabrzmiało to, jakby chciała powiedzieć: „Nie jest wcale taką niezdara, na jaką wygląda”.

Poczuła na sobie złość, najgorzej, jak człowiek nie jest wierny sobie, tylko przyjmuje świat wartości innych, żeby wkupić się w ich łaski. Dla niej pensja Jacka była przecież bez znaczenia, równie dobrze mógłby zarabiać tysiąc

pięćset, kochałaby go tak samo.

- Naprawdę?

Pięć tysięcy w oczach pani Pilarczyk rekompensowało niejedną wadę.

- Nie, żartowałam. A co, wtedy byłby dla ciebie do zaakceptowania?

Było to już otwarte wypowiedzenie wojny, przy którym zastrzelenie arcyksięcia Ferdynanda wydawało się sztubackim żartem.

- Przestańcie - wybuchowi konfliktu zapobiegł pan Pilarczyk. - Oczywiście, że mama akceptuje Jacka, skąd w ogóle przyszło ci do głowy, Edytka, że jest inaczej?

298

Dobrze wiesz - pomyślała Edyta. Ale ta interwencja ojca uspokoiła sytuację. Kłamstwo bywa czasami zbawienne, jeśli wszyscy udają, że w nie wierzą.

Tyle że znowu zapadło milczenie, jeszcze bardziej krępujące niż poprzednio. Jacek jako jedyny nie sięgnął tym razem po kawę czy ciastka, bał się, że znowu potrąci albo, co gorsza, wywróci filiżankę, a ponieważ wydawało mu się, że wszyscy na niego patrzą i właśnie tym tłumaczą sobie, że nie pije kawy, uznał, że musi podać temat do rozmowy, żeby odwrócić od siebie uwagę. Najpierw chciał powiedzieć coś o pogodzie, zawsze dobrej jako wypełniacz, tylko nie wiedział, jaka jest pogoda. W ogóle dzisiejszego dnia z Edytą nie wychodzili. Potem przyszła mu na myśl

polityka. Jak Polacy zaczną mówić o polityce, milczenie na pewno nie grozi. Za to konflikt. Edyta wspominała, że jej matka jest fanatyczną zwolenniczką jakiejś radykalnej partii. Nie mógł sobie tylko przypomnieć, prawicowej czy lewicowej. Za to przypomniał sobie o innej cesze, o której wspominała Edyta.

- Wcale nie mówi pani tak dużo, jak... - ugryzł się w język o kilka słów za późno. Boże, ale gafa! To już faktycznie lepiej byłoby, jakby powiedział, że jest ładna pogoda. Deszczu nie słyszał, śniegu o tej porze roku trudno było się spodziewać, najwyżej by sprostowali, że w rzeczywistości jest pochmurno.

Edycie dopiero ta niezręczna uwaga Jacka uświadomiła, że jej matka faktycznie jest dziwnie małomówna. Musiała w towarzystwie niewidomego czuć się wyjątkowo nieswojo, zwykle perorowała, nie przywiązując wagi do tego, kto jej słucha, nawet jeśli w audytorium były całkowicie obce osoby, a wypowiedź dotyczyła spraw mocno osobistych.

Atmosfera zrobiła się jeszcze cięższa. Edyta pomyślała, że w amerykańskim filmie ktoś rzuciłby teraz propozycję

299

„nie idzie nam, zacznijmy od początku”, po czym wszyscy by wstali i odegrali powtórne wejście gości. W amerykańskim filmie wypadłoby to pewnie naturalnie i przekonująco, w polskiej rzeczywistości trudno by chyba było o bardziej sztuczną sytuację. Na szczęście tata podjął kolejną próbę

ratowania wizyty.

- A pana rodzice, panie Jacku?

- Nie żyją...

- Przykro mi...

- ... ale od tak dawna, że właściwie nie odczuwam ich braku. Praktycznie wychował mnie mój brat, który jest dużo starszy ode mnie, piętnaście lat.

- A co porabia pana brat?

- Jest lekarzem. Podobnie jak jego żona. On okulista, ona pediatrą.

- Pięknie, pięknie. Informatyk, lekarz, chyba osiągnęliście coś, co można nazwać sukcesem. Zwłaszcza w świetle tego, co pan mówi, że nie mieliście łatwo.

Katastrofa została zażegnana, coś zaskoczyło i rozmowa potoczyła się bez dalszych zgrzytów. Może dlatego, że ciężar konwersacji wzięli na siebie Jacek i ojciec Edyty.

- Widziałeś? Nie akceptuje ciebie! - wybuchła Edyta, kiedy rodzice wyszli.

- Nie przesadzasz trochę? - zaproponował Jacek. - Była skrępowana, bo wydaje się jej, że nie umie zachować się przy niewidomym, myśli, że wymagam jakiegoś specjalnego traktowania. Ale przecież nie jest żadnym wyjątkiem, wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy, że nie trzeba się do nas dopasowywać, że najlepsze jest całkowicie naturalne zachowanie.

- W ogóle na ciebie nie patrzyła, jakby cię nie było.

Mówiła do ciebie, a patrzyła na mnie! - Edyta nie dawała

się przekonać.

300

- To rzeczywiście nie jest dla mnie przyjemne, ale też trudno uznać za jakiś wyraz wrogości ze strony twojej mamy, często się z tym spotykam.

- Nie broń jej! Nie widziałeś jej miny!

Jacek przysunął wózek Edyty do swojego krzesła, wziął ją za rękę i pogłaskał po policzku.

- Kotku, jeśli wziąć pod uwagę, jak się bałaś, to możemy być chyba zadowoleni. Przecież nie powiedziała wprost, że mnie nie akceptuje, nie wzięła na stronę i nie zażądała, żebym odczepił się od jej córki...

- Jeszcze wszystko przed tobą, pewnie teraz urabia tatę, że trzeba zrobić, co się da, żeby nas rozdzielić.

Edyta odsunęła rękę Jacka, nie była w nastroju do pieszczot.

- Ale twój tata nie da się urobić, prawda?

Edyta skinęła głową, dopiero po chwili uświadomiła sobie, że odpowiedź w tej formie do Jacka nie dotarła.

- Prawda.

- No widzisz. A twoja mama potrzebuje czasu, żeby się do mnie przekonać. Uważam, że skoro nie wystąpiła wprost przeciwko mnie, to możemy być zadowoleni.

- Mylisz się - Edyta obstawała przy swoim. - Taty nie urobi, ale na pewno coś jeszcze wymyśli.

*

Sierpniowe słońce lekko przygrzewało, dając wroc-

ławianom przyjemnie ciepłą, ale nie upalną niedzielę.

W ogóle lato tego roku, poza kilkoma dniami nieznośnych upałów, było raczej chłodne. Powód do zmartwienia dla tych, którzy urlop spędzali nad Bałtykiem, natomiast jeśli ktoś miał w planach wyjazd do Grecji, Chorwacji czy Turcji, raczej nie narzekał. Brzydsza pogoda nie krzyżowała mu urlopowych planów, gdy tymczasem temperatury powyżej trzydziestu stopni

301

były w nizinie położonym Wrocławiu naprawdę nie do zniesienia.

Przed wejściem do ogrodu zoologicznego kłębił się tłumek ludzi, a w jego stronę zarówno od mostu Zwierzynieckiego, jak i od akademików ciągnęli dalsi.

W tej drugiej grupie byli Jacek i Edyta. Jacek pchał wózek, dzięki któremu miał stabilne oparcie, a Edyta mówiła mu, którądy ma iść.

- Zobacz, ślepy prowadzi kulawą! - zarechotał umięśniony młodzieniec w koszulce polo, obejmujący tlenioną blondynkę o długich sztucznych rzęsach i dużym silikonowym biuście.

- Myślisz, że ty zawsze będziesz piękny i młody?

- zareagowała Edyta. - Ja miałam wypadek. Wiele nie trzeba, żebyś za tydzień siedział na czymś takim. Myślisz, że wtedy ta lalunia będzie pchała twój wózek? Śmiem wątpić.

Młodzieniec zamilkł speszony i czym prędzej odciągnął

swoją dziewczynę od niepełnosprawnej pary.

- Żebyś widział jego minę - zwróciła się Edyta do Jacka.

- Pewnie myśli, że rzuciłam na niego jakąś klątwę i teraz przez tydzień nie wsiądzie do auta.

Zaśmiała się gorzko.

Podeszli pod bramę zoo.

- Tego lwa mogliby już wymienić - skomentowała Edyta, zadzierając głowę.

- Jakiego lwa?

- Na bramie zoo jest lew z neonową grzywą, to chyba miało być podświetlane, ale nie pamiętam, żeby kiedykolwiek się świeciło. Socrealistyczna ozdoba. Ciekawe, że się ostała.

- Gucwińskim widocznie się podobał. Oni zdaje się w ogóle nie zauważyli, okopani w tym swoim zoo, że na zewnątrz zmienił się ustrój. Prowadzili je jakby
302

dalej były lata sześćdziesiąte i nie chcieli oddać zoo następcom.

- Rzadko kto chce przyznać, że jego czas już minął i dobrowolnie ustępuje - powiedziała sentencjonalnie Edyta. - Ale że miasto tyle ich trzymało, to się dziwię.

- Byli symbolem i legendą Wrocławia, a symboli nie da się tak łatwo usunąć. Zwłaszcza jeśli zapierają się rękami i nogami.

Stanęli w kolejce do kasy, żeby kupić bilety. Jak dowiedzieli się wcześniej telefonicznie, przysługowały im

wprowadzie ulgowe, ale każde z nich musiało mieć bilet.

Jacek był oburzony.

- Wszędzie przewodnik niewidomego wchodzi za darmo, tylko do zoo nie?

Edytę to zdziwiło.

- Dlaczego niewidomy płaci za bilet, a jego przewodnik, normalnie pełnosprawny, ma darmowy? Powinno być chyba odwrotnie.

- Idea jest taka - wyjaśnił Jacek - że niewidomy może chcieć coś zwiedzić, ale przecież sam sobie nie poradzi, musi mieć przewodnika. Przewodnik nie jest zwiedzającym, on tylko pomaga niewidomemu. A dodatkowy koszt mógłby go zniechęcić do pomocy.

Weszli do środka. Edyta rozejrzała się z ciekawością.

Ostatni raz zwiedzała zoo, kiedy jeszcze chodziła do podstawówki. Później jakoś nie miała okazji, w jej rodzinie nie było dzieci, które mogłyby tutaj przyprowadzać.

- Gdzie idziemy? - zapytał Jacek.

- W lewo, do niedźwiedzi.

Jacek posłusznie odwrócił wózek we wskazanym kierunku.

- Dokąd idziesz? Tam są jakieś kozy!

- No mówiłaś „w lewo”.

- Przepraszam, w prawo.

303

Jacek teatralnie westchnął.

- Ech, wy, kobiety, macie poczucie kierunków. To może

jednak nie w prawo, tylko prosto?

- Ty się tak nie wyzłośliwiaj, pomyliłam się. A wiesz, że jak byłam mała, to sama odkryłam, gdzie jest prawo, a gdzie lewo?

- A jak dorostaś, to zapomniałaś?

Pytanie było niby złośliwe, ale Edyta usłyszała w nim tyle czułości i radości Jacka, że ma się z kim przekomarzać, że tylko się uśmiechnęła i odpowiedziała żartobliwie:

- Ty wiesz, że złośliwcom odpadają języki? A wtedy cię zostawię, na co mi niemowa, który nie będzie mógł mi powiedzieć, jak mnie kocha?

- Ale będzie mógł pokazać. O tak! - Jacek błyskawicznie obszedł wózek, pochylił się i pocałował Edytę. Nie przejmując się przechodzącymi ludźmi, zarzuciła mu ręce na szyję i odwzajemniła pocałunek.

- No, nie będzie mógł pokazać, bo jak zauważyłeś przed chwilą, do całowania potrzebny jest język - zaśmiała się Edyta, kiedy odsunęli się od siebie.

- Poddaję się. - Jacek wrócił do pchania wózka.

- Przestaję się wyzłośliwiać. Więc jak to było z tym twoim odkryciem prawej i lewej strony?

To się Edycie w Jacku bardzo podobało. Zawsze słuchał, co mówiła, i się tym interesował.

- Bawiłam się z przyjaciółką i w zabawie potrzebne nam było wskazanie, że coś jest po prawej lub po lewej stronie. Mówię więc do niej: „Jeszcze nie wiemy, gdzie jest prawo, a gdzie lewo, więc na razie umówmy się,

że prawo będzie po prawej ręce, a lewo po lewej ręce".

Kiedy później zapytałam tatę, jak jest naprawdę, bardzo się zdziwiłam, że właśnie tak. Byłam święcie przekonana, że prawa i lewa strona są z góry określone i niezmiennie, a nie zależne od pozycji mówiącego. A ty miałeś takie

304

wyobrażenia w dzieciństwie, które potem okazały się nieprawdziwe?

- Oczywiście, chyba każde dziecko ma. Byłem pewien, że zakonnice są żonami księży, a ministranci to ich dzieci.

Dopiero kiedy dotarło do mnie, że wśród ministrantów nie ma dziewczynek, coś mi się zaczęło nie zgadzać. No bo dlaczego księżom i zakonnicom miałyby nie rodzić się córki? Kiedy podzieliłem się swoimi wątpliwościami z Krzyśkiem, o mało nie umarł ze śmiechu.

Jacek zamilkł, bo Edyta zaczęła się głośno śmiać.

- Bo to... bo to... - powtarzała chichocząc - strasznie...

ha, ha, ha... śmieszne. Zakonnice żonami księży, a ministranci... ha, ha, ha!

- Ciesz się, ciesz. - Jacek udał, że robi zagniewaną minę.

- Niektórzy dorośli myślą, że sarna to żona jelenia.

Edyta otarła łzy, które popłynęły jej ze śmiechu.

- A nie jest tak?

- Nie. Żoną jelenia jest łania. Sarna to inny gatunek.

Samiec sarny to kozioł.

- No zobacz, nie wiedziałam. Ale skoro jesteśmy przy zwierzętach, dochodzimy już do niedźwiedzi. Tu jest sto-

pień. Dasz radę podjechać?

- Jasne.

Jacek, manewrując wózkiem, wjechał nim na stopień.

Stanął obok Edyty i wziął ją za rękę. Mur okalający wybieg był jednak za wysoki i Edyta z pozycji siedzącej nic nie widziała. Musiałaby chwycić się barierki i wdrapać na murek, ale uznała, że nie będzie robić z siebie widowiska. Trzymali się więc tak za ręce i oglądali niedźwiedzie, których żadne z nich nie widziało.

- No? - zapytał po bardzo długiej chwili Jacek. - Powiesz mi, co robią?

- Nie widzę ich.

- Schowały się?

305

- Nie, mur jest za wysoki.

-Aha.

Nie ruszyli się jednak z miejsca.

- Edytka?

-Tak?

- Czemu nie przejdziemy do następnego wybiegu?

- Bo... tak mi dobrze, kiedy trzymasz mnie za rękę.

- To patrzemy dalej?

- Patrzemy.

Zwiedzający przechodzili koło nich, brali na barana dzieci, które krzychały, zachwycone misiami, ktoś opowiedział historię poborowego, który wymyślił sobie, że wskoczy na wybieg, niedźwiedzie go lekko poranią i w ten sposób

uniknie wojska, tymczasem one tak go zmasakrowały,
że ledwo przeżył - a oni stali trochę z boku, jak w życiu,
pozbawieni tych wrażeń, co inni, a mimo to szczęśliwi.
Edyta zwróciła uwagę na trzydziestoparoletniego męż-
czyznę, który z dziwnym wyrazem twarzy spoglądał na rów-
dzielący mur od wybiegu. Pod wpływem usłyszonej historii
o poborowym Edyta przestraszyła się, że mężczyzna chce
skoczyć na dół. Nie pasował do reszty zwiedzających:
rodzin z dziećmi, zakochanych par. Samotni faceci w jego
wieku idą do knajpy albo do agencji towarzyskiej, nie
do zoo.

Musiał poczuć na sobie jej wzrok, bo podniósł głowę
i ich spojrzenia spotkały się. I wtedy Edyta uświadomiła
sobie, że skądś go zna, że gdzieś już widziała tę twarz.
Ale nie mogła sobie przypomnieć gdzie. Zwłaszcza że za-
szła w niej jakaś zmiana: zmarszczki na czole i wokół
ust układały się w wyraz smutku, przygnębienia, cier-
pienia. A kiedy widziała go poprzednio na jego twarzy
rysowało się... szczęście?... nie... radość?... też nie...
nadzieja? Tak! To była nadzieja. I w chwili gdy to sobie
skojarzyła, wiedziała, skąd zna tego mężczyznę. To on

306

kupił pomarańczową różę, kiedy siedziała z Aldoną Pod
Złotym Dzbanem, i dostał kosza od dziewczyny, której
tę różę wręczył.

Pociągnęła Jacka za rękę.

- Pupciulku.

- Tak, kochanie?

- Chodźmy już dalej.

- Dobrze, kochanie.

Jacek ostrożnie zjechał wózkiem ze stopnia, a Edyta pokierowała go w stronę innego wybiegu dla niedźwiedzi, którego nie przesłaniał mur. Samotny mężczyzna długo śledził ich wzrokiem, a potem wolno poszedł w stronę wyjścia, jakby przeszła mu ochota na zwiedzanie zoo.

Stanęli przed wybiegiem z obniżonym murem i odgrodzonym od zwiedzających szybą z namalowanymi sylwetkami ptaków, żeby prawdziwe się o nią nie rozbijały.

Edyta opisała Jackowi baraszkujące trzy niedźwiedzie.

Dwa bawiły się ze sobą, pozorując walkę, trzeci trzymał się na uboczu.

- Myślisz, że niedźwiedzie też cierpią? - zapytała.

- Kiedy są samotne.

- Niedźwiedzie akurat żyją samotnie i nie tworzą stałych związków, ale te zwierzęta, które są monogamiczne, łąbędzie na przykład, rzeczywiście bardzo cierpią, kiedy stracą partnera.

Ruszyli na dalsze zwiedzanie. Lwy i tygrysy, hipopotamy, słoń, nosorożec, małpy, węże i krokodyle, a potem różne jeleniowate i drobne futerkowe zwierzęta o dziwnych nazwach, z którymi stykali się po raz pierwszy. Edyta opisywała Jackowi, co zwierzęta robią, a ten rewanżował się ciekawostkami o nich, których znał naprawdę sporo.

Zapytała, skąd to wszystko wie.

- Miałem taki okres w dzieciństwie, że zaczytywałem się Żabińskim. A ja, jak detektyw Monk, mało co zapominam.

307

Przydaje się, kiedy człowiek jest niewidomy. Wtedy marzyła mi się praca w zoo. Przy wężach.

- Dlaczego przy wężach?

- Przez solidarność. Żal mi ich było, że nikt nie chce ich głaskać ani podziwiać, myślałem, że czują się biedne i opuszczone, tak jak ja, bo inne dzieci nie chciały się ze mną bawić.

- Przepraszam - powiedziała cicho Edyta.

- Za co? - zdumiał się Jacek.

- Za tamte dzieci. I za siebie, bo jakbym cię wtedy znała, pewnie też nie chciałabym się z tobą bawić.

- Przestań. To ani twoja wina, ani ich, dzieci są, jakie są. Okrutne i bezrefleksyjne. To dorośli powinni je nauczyć, że nie można kogoś odrzucać tylko dlatego, że jest niepełnosprawny. Pytanie, kto ma nauczyć dorosłych.

Zastanowił się nad czymś przez kilka sekund

i dodał:

- No, przynajmniej my nie będziemy mieć tego problemu, nasze dzieci na pewno będą tolerancyjne.

Edyta poczuła się, jakby usłyszała niezwykle wzruszającą, przejmującą do głębi muzykę. „Nasze dzieci”!

Odkąd związała się z Jackiem, pragnienie dziecka zeszło jakby na drugi plan; nie zniknęło, ale przestało być tak palące. Zastąpiła je pewność - choć jeszcze tego tematu

nie poruszyli - że prędzej czy później będą mieć dzieci, więc najlepiej zostawić to naturalnemu biegowi rzeczy i nie przyśpieszać nic na siłę. Chciała, żeby Jacek najpierw nacieszył się jej ciałem, odbił sobie lata przymusowej abstynencji, nie wiedziała, czy w jej stanie ciąży nie byłaby przeciwwskazaniem do seksu. A teraz on sam powiedział o dzieciach, też uważał za oczywiste, że będą je mieli!

Minęli żubry i weszli na pomost nad wybiegiem dla wilków. Edyta w tej części zoo jeszcze nigdy nie była - choć

308

widziała ją z wałów nad Odrą - bo wybieg i pomost zbudowano już po jej ostatniej wizycie w zoo. Wilków nigdzie nie dostrzegła, bo pochowały się w zaroślach. Dzięki tak dużym wybiegom zwierzęta miały więcej swobody, ale też możliwość ukrycia się przed zwiedzającymi, z czego skwapliwie korzystały.

Edyta powiedziała o tym Jackowi i zaproponowała:

- Tu jest ławeczka. Usiądźmy, może wyjdą.

Jacek przesadził ją na ławkę, żeby mogli się do siebie przytulić.

Wystawili twarze na słońce i rozkoszowali się jego ciepłem.

-Jacusiu...

- Tak, kotku?

- Jesteśmy na samym końcu zoo, tam zaraz jest płot, a za nim wał przeciwpowodziowy i Odra. Czasami

spacerowałam po wale i z tamtej strony patrzyłam na ludzi na tym pomoście, na zakochane pary i tak sobie po cichu, niegłośno, marzyłam, że może i ja kiedyś znajdę się wśród nich ze swoim chłopakiem. A jednocześnie starałam się nie marzyć, bo przecież wiedziałam, że marzenia się nie spełniają, że zamarzyć sobie o czymś, to jakby zabić na to szanse w rzeczywistości. A jednak... Jednak marzenia się spełniają...

Spojrzała na niego i podała mu usta do pocałunku.

Wyczuł to i na długą chwilę zapomnieli o otaczającym ich świecie.

- Czy już ci mówiłem, jak bardzo cię kocham?

- Dzisiaj jeszcze nie. Już myślałam, że się nie doczekam.

- Bardzo, bardzo, bardzo. O tak - Jacek rozłożył ręce, jakby demonstrował wielkość złowionej ryby. i

Edyta zachichotała.

- Ta miara chyba nie do tego.

309

Ujęła jego ręce i położyła sobie na biodrach i plecach, żeby ją ponownie objął. Znowu się pocałowali.

Siedzieli potem jeszcze długo, mimo że wilki się nie pojawiły - najwyraźniej tłumek niedzielnych gości skutecznie je wypłoszył - rozmawiając półsłówkami, całując się i rozkoszując szczęściem, które spłynęło na nich tak niespodziewanie, a którego byli tak wygłodniali.

*

Jacek wsiadł do czekającej pod domem taksówki. Jeśli dotąd lubił swoją pracę, to teraz wręcz leciał do niej jak na skrzydłach. Bo wyjście do pracy oznaczało powrót do czekającej w domu Edyty, pełne czułości przywitanie, a czasem dużo więcej, kiedy byli siebie tak spragnieni, że nie potrafili wytrwać do wieczora. Oznaczało radość, bo pracował ze świadomością, że ma dla kogo, że zarabia pieniądze, za które będzie mógł coś Edycie kupić. Podnosiło poczucie własnej wartości, kiedy dyskretnie, na marginesie, mimochodem wspominał, że Edyta to czy tamto.

- Jaka Edyta?

- No... moja dziewczyna.

Nawet to, że Grzesiek błyskawicznie pocieszył się po odejściu żony i jeszcze przed sprawą rozwodową znalazł sobie nową kobietę, nie zrobiło na nim wrażenia.

Przed dwoma miesiącami bardzo by przeżywał, że oto kolega z pracy porzucony przez żonę niby rozpacza, a tak naprawdę niewiele sobie z tego robi i znajduje sobie nową dziewczynę, jakby to była najprostsza rzecz pod słońcem, a on mimo tylu starań wciąż jest sam.

Teraz jednak ograniczył się tylko do refleksji, że Grzesiek najwidoczniej nie kochał swojej Ewy, że należy do tych mężczyzn, którzy dla seksu, wiktu, opierunku i pozycji społecznej potrzebują żony, ale jest im właściwie obojętne, jaka kobieta nią będzie. I, co paradoksalne, wcale

310

jej nie zdradzają, bo taki układ w pełni zaspokaja ich

potrzeby. Dawniej byłaby to gorzka refleksja, że łatwiej mężczyźnie znaleźć kobietę, kiedy traktuje ją przedmiotowo, wyłącznie jako przedstawicielkę drugiej płci, kiedy szuka kobiety, a nie tej jedynej. Teraz w tej refleksji nie było cienia goryczy, wyłącznie stwierdzenie faktu, on miał swoją Edytkę, jedyną i wyjątkową, i to nastrajało go przychylnie do świata i ludzi: niech każdemu wiedzie się jak najlepiej. Niech nawet innym łatwo wszystko przychodzi, on przecież wygrał na tym, że musiał się tak długo starać, potrafił bowiem docenić to, co miał, potrafił się tym cieszyć i wiedział, że zrobi wszystko, żeby Edyty nie stracić, że w razie czego będzie walczył do końca, a nie jak Grzesiek podda się po jednej rozmowie. Kiedyś Aśka powiedziała, że „jak facet się nie nachodzi, to mu nie zależy” i teraz musiał przyznać jej rację. Za Edytą wprawdzie się nie nachodził, zostali parą tego samego dnia, kiedy się poznali, ale nie odbierał tego w ten sposób, że łatwo coś uzyskać. Przeciwnie, każde wcześniejsze staranie, każdą odmowę, każde niepowodzenie postrzegał jako etap na drodze do związku z Edytą.

Pomachała Jackowi z balkonu, chociaż nie mógł tego widzieć, ale podobał się jej sam rytuał; poza tym była szansa, że dostrzeże to pan Sławek i Jackowi przekaże.

Nie wracała już do łóżka. Odkąd Jacek w praktyce się do niej przeprowadził, dopasowała się do jego rozkładu dnia. Wstawała razem z nim, robiła mu śniadanie, nasypywała karmy Fasolce i Argonowi, które karnie czekały

każde przy swojej misce, a kiedy Jacek wychodził do pracy, siadała do komputera. Żeby mieć wszystko zrobione, kiedy Jacek wróci, nie zajmować się już wtedy fakturami, rozliczeniami i PIT-ami, tylko spędzać czas z nim bez przykrego poczucia, że wiszą nad nią jakieś obowiązki.

Fasolka pokwiliła trochę pod drzwiami, że zniknął Argo, jej przyjaciel, do którego bardzo się przywiązała, a potem ułożyła się pod biurkiem.

- Nie martw się - pocieszyła ją Edyta. - Rozłąka tylko osładza późniejsze wspólne chwile.

Trochę się niepokoiili, jak wspólne zamieszkanie przyjmą ich psy, ale Fasolka i Argo jakby wyczuli, że wzajemna antypatia byłaby dużym problemem dla ich państwa, i od razu się zaakceptowali. Jedyny konflikt wybuchł, kiedy Argo próbował zaanektować na swoje potrzeby legowisko Fasolki. Ta urządziła taki harmider, że Argo wycofał się jak niepyszny. Kiedy jednak początkowa akceptacja przerodziła się w zażyłą przyjaźń, Fasolka pozwalała Argonowi kłaść się koło siebie. W ogóle rzadko się rozstawali, po mieszkaniu też chodzili we dwójkę, Fasolka z przodu, to ona grała pierwsze skrzypce w tej przyjaźni, a Argo krok w krok za nią. Na dworze odwrotnie, bo Argo najwyraźniej czuł się w obowiązku - czy to z racji, że opiekował się swoim panem, czy też zdawał sobie sprawę, że Fasolka nie jest w pełni sprawna - dbać o jej bezpieczeństwo.

Edyta, skończywszy to, co sobie zaplanowała na ten dzień, zamknęła program księgowy i weszła do Internetu;

chciała sprawdzić, jakie są ceny wynajmu mieszkań.

Rozmawiali z Jackiem o tym, żeby wynająć jego mieszkanie, po co miało stać puste. Okazało się, że w związku z drożyzną na rynku mieszkań znacznie podskoczyły również ceny najmu. Natrafiła na artykuł o stancjach dla studentów, które zrobiły się tak drogie, że aż rektor uniwersytetu zwrócił się z apelem do mieszkańców miasta, żeby z żaków nie zdzierali.

- Wolny rynek, magnificencjo - mruknęła. - Jak mieszkań był nadmiar, nie apelował pan do studentów, żeby płacili więcej niż rynkowe stawki. Trzeba nie apelować, tylko budować akademiki.

312

Wizja dodatkowych pieniędzy skłoniła ją do przejrzania ofert wycieczek w dalsze zakątki świata. Bahamy, Malediwy, Tajlandia. Nie miała pojęcia, jak Jacek zapatruje się na podróże, jeszcze tyle o sobie nie wiedzieli. Ale na pewno nie był domatorem, sporo wychodzili i na ogół z jego inicjatywy: na spacer, do zoo, do ogrodu botanicznego, na koncerty, do teatru, do kina.

Wyłączyła komputer i ułożyła się na kanapie z książką.

„Prawiek i inne czasy” Tokarczuk, od Jacka. Mimo swego odczytania jakoś nie sięgnęła wcześniej po tę autorkę i teraz żałowała, bo „Prawiek” okazał się jedną z najlepszych powieści, jakie kiedykolwiek przeczytała. Już zamówiła w księgarniach i antykwariatach internetowych komplet pozostałych książek Tokarczuk i z niecierpliwością ocze-

kiwała przesytek.

Od lektury oderwał ją dopiero szcęk zamka w drzwiach. Jacek wracał! Tak się zaczytała, że nie zrobiła obiadu! Odkąd zamieszkali razem, Jacek zrezygnował z obiadów w pracy, bo jak stale powtarzał, wspólny posiłek był jednym z najważniejszych elementów życia rodzinnego. Rodzina. Jak to brzmiało w jej uszach. Uznawał, że są rodziną!

Pośpieszyła do drzwi, żeby się przywitać i o mało nie najechała na Fasolkę, która zdążyła w tę samą stronę, rozradowana, że wraca Argo.

Jacek nachylił się i przytulił Edytę.

- Jak to przyjemnie wrócić do domu, w którym ktoś czeka! - Musiał to powiedzieć głośno, żeby przekrzyczeć szczekające psy. - Cicho, zwierzaki!

- Pupciulku, nie będziesz zły?

- A co się stało?

- Tak się zaczytałam, że zapomniałam zrobić obiad.

Jacek uśmiechnął się i przyklęknął koło niej.

- A czemu miałbym być zły?

313

Edycie przypomniały się plakaty przedstawiające pobitą kobietę z napisem: „Bo zupa była za słona”.

- To nawet dobrze się składa, bo chciałem zaprosić cię gdzieś na wieczór, ale w takim razie możemy wyjść na obiad.

Edyta, ledwie spojrzała w kartę restauracji Alibi w Przejściu Zelaźniczym, zażądała, żeby przenieśli się

do innego lokalu.

- Kotku, sama po drodze mówiłaś, że mieszkania kosztują tyle, że jesteśmy bogaci. Starczy i na wyjazd, i na tę restaurację.

- Ale tak szastać pieniędzmi...

- Pieniądze są po to, żeby je wydawać, do grobu ze sobą nie weźmiemy.

- Nie, ale może pojawi się jakaś eksperymentalna technika leczenia, a wtedy oszczędności będą jak znalazł, bo NFZ na pewno jej nam nie sfinansuje.

- W moim wypadku o szansie na odzyskanie wzroku będzie można mówić za jakieś pięćset lat. A jeśli pojawi się szansa na wyleczenie ciebie, to nie będziemy wynajmować mojego mieszkania, tylko je sprzedamy i po problemie. Mam nadzieję, że jak już będziesz mogła chodzić, to mnie nie zostawisz.

- Jacek!

- Przepraszam. To co, możemy dziś tu zostać? Obiecuję, że w przyszłości będziemy wychodzili do mniej ekskluzywnych lokali. Co nie znaczy, że do fast foodów.

Edyta rozejrzała się po wnętrzu - zbytkowne, ale był to zbytek dyskretny, dla wprawnego oka, nie miał w sobie nic z nowobogactwa. Przytłumione światło sprawiało, że eleganckie elementy gość musiał sam wyłowić, nie biły po oczach.

No cóż, może Jacek miał rację, że im się też coś od życia należy, raz mogą zjeść w bardzo wytwornej restauracji, nie zaliczali się faktycznie do najbiedniejszych.

- No dobrze.

- Super - ucieszył się Jacek. - To gdzie ten kelner?

Kelner zbliżył się właśnie do ich stolika, wyraźnie zakłopotany.

- Bardzo państwa przepraszam - odezwał się lekko drżącym głosem - ale nie będziemy mogli państwa obsłużyć.

- A to dlaczego? - W głosie Jacka pojawiła się nuta, której Edyta nigdy dotąd nie słyszała.

- Bo... bo... - kelner zamilkł, udręczony, że ma udzielić odpowiedzi na to pytanie.

- Bo co? - ton Jacka nie pozostawiał wątpliwości, że nie da się tak łatwo wyprosić.

- Bo... pękła rura w kuchni i w tej chwili nie możemy przygotowywać posiłków.

Edyta ponownie rozejrzała się po sali.

- Dlaczego więc od tamtych państwa kelner właśnie przyjmuje zamówienie? - wskazała na gości zajmujących stolik pod przeciwnym oknem, dwóch mężczyzn w garniturach i kobietę w eleganckim kostiumie, którzy dyktowali coś kelnerowi, niewątpliwie zamówienie.

Ten, który usiłował ich wyrzucić, zmieszał się jeszcze bardziej. Był to młody chłopak, może dwudziestoletni, o bladej cerze, na której tym wyraźniej prezentowała się czerwień, sięgająca w tej chwili po koniuszki uszu.

- Proszę nie mieć do mnie pretensji - ściszył głos.

- Właściciel kazał mi państwa wyprosić, bo uważa, że państwo możecie odstraszyć innych gości... ja tak nie uważam... ale muszę robić, co mi właściciel każe, bo inaczej wyleje mnie z roboty... proszę na mnie... się nie gniewać - dokończył już zupełnie cicho.

- To poproś pan tu tego faszystę!

Jacek nie zamierzał dać za wygraną. Może odpuściłby, gdyby był sam. Różnie reagował w takich sytuacjach,

315

czasami walczył, czasami wybierał święty spokój. Ostatnio raczej to drugie, bo coraz częściej dostrzegał, że walczy z wiatrakami, teraz jednak nie mógł się poddać, w grę wchodził jego męski honor, zaprosił swoją dziewczynę do restauracji i nie pozwoli, żeby ich wyrzucano.

- Oczywiście, proszę pana. - Kelner wycofał się z ukłonem.

W milczeniu czekali na pojawienie się właściciela.

Dobry nastrój, w jakim tu jechali, przysł. Oboje przypomnieli sobie słowa Romka o odpadach. Właściwie było to sformułowanie Edyty, ale trafnie podsumowywało Romkowy wywód. I teraz tak się poczuli: jak trędowaci, od których nikt nie chce nawet pieniędzy, bo mogą się na nich znajdować prątki choroby.

Czekanie przedłużało się. Edyta pierwsza zorientowała się, jaką taktykę obrał restaurator.

- Jacek, on nie podejździe.

- To będziemy siedzieć do oporu.

- Jacusiu, to nie ma sensu. Chodźmy stąd. On stchórzył, moralnie wygraliśmy.

- A ten kelner?

- Też gdzieś zniknął.

Jacek poczuł narastającą falę złości na własną bezsilność. Powinien teraz wstać, odszukać właściciela i dać mu w mordę. Tylko jak? Był ślepy. Gdyby widział... Gdyby widział, nie byłoby tej całej sytuacji. Chociaż nie, przecież właścicielowi przeszkadzał nie tylko on, ale i Edyta. Bo poruszała się na wózku. Nawet nie mógł stanąć w jej obronie. Powiedział jej to.

- Wiesz co? Miałam cię za inteligentniejszego faceta.

Myślisz, że oczekuję, żeby jakiś buzujący testosteronem troglodyta bił restauratora dlatego, że ten wyrzuca mnie z knajpy, czym sam sobie wystawia świadectwo?

Jacek, zawstydzony, nie odpowiedział.

316

-I przecież to jest karalne - kontynuowała Edyta. -

Za pobicie dostałbyś wyrok. No, może w zawieszeniu, może sędzia przyjąłby jako okoliczność łagodzącą, że zachowanie właściciela mogło wyprowadzić cię z równowagi, ale zawsze!

- Masz rację. Przepraszam. Ale tak zostawić tego nie możemy, zadzwonię do gazet. Niech napiętnują tego fałszywą.

- Dobrze, tylko nie teraz. Chodźmy stąd.

Wyszli przed restaurację, odprowadzani obojętnymi

spojrzeniami gości, którzy albo nie zorientowali się, jaka scena rozegrała się obok nich, albo uznali, że lepiej się nie wtrącać. Interwencja w obronie bliźnich jest dobra w teorii, w praktyce można oberwać guza.

- Dokąd teraz? - zapytał Jacek takim tonem, jakby to była wina Edyty, że dali się wyrzucić, i teraz ona powinna im to zrekompensować.

- Nie krzycz na mnie!

- Nie krzyczę.

- Wiesz co, nie musisz się na mnie odgrywać, że nas wyrzucili.

- Co ty gadasz? Nic takiego nie robię!

- Właśnie że robisz!

Zamilkli oboje, źli, rozżaleni na siebie, Jacek - że Edyta zarzuca mu niestworzone rzeczy, Edyta, że Jacek wyładowuje na niej swoją frustrację.

- Myślę, że najlepiej będzie, jak wrócimy do domu

- powiedziała w końcu Edyta.

- Nie - sprzeciwił się zdecydowanie Jacek. - Wyszliśmy do knajpy, to pójdziemy do knajpy.

- Żeby nas znowu wyrzucili? Poza tym straciłam apetyt.

Kłótnia narastała, a przyroda jakby chciała zadbać o właściwą oprawę, bo niebo zaciągnęło się czarnymi

317

chmurami. I może padłyby słowa, których nie dałoby się cofnąć, gdyby z tych czarnych chmur nie lunął nagle

deszcz.

- Masz parasol?! - zawołał Jacek, bo na dodatek zerwał się wiatr, który porywał jego słowa.

- Nie! - odkrzyknęła Edyta. - Musimy się gdzieś schować!

- Prowadź!

Nawet przez sekundę nie przyszło im na myśl, żeby wrócić do restauracji, z której zostali wyrzuceni, mimo że wciąż stali pod drzwiami. Woleli zmoknąć. I rzeczywiście, zanim znaleźli jakąś osłonę - był nią daszek budki z hot dogami

- przemokli do suchej nitki. Daszek kiepsko chronił przed strugami wody i już chcieli szukać innego schronienia, kiedy deszcz ustał równie gwałtownie, jak się zaczął.

Jacek przesunął dłonią po ubraniu Edyty.

- Jesteś cała przemoczona, musimy szybko znaleźć taksówkę i wrócić do domu, bo mi się zaziębisz, ochłodziło się po tym deszczu. - Znowu mógł zaopiekować się swoją dziewczyną, więc przykre uczucie bezsilności z restauracji zelżało. - Nie słyszę samochodów, pewnie do ulicy musimy podejść?

- Tak, ale najpierw napiłabym się herbaty, żeby się rozgrzać, tu chyba sprzedają. - Edyta popatrzyła na wieszony jadłospis. - Tak, jest herbata.

- Już kupuję. Gdzie jest lada czy okienko?

- Dwa kroki w twoją lewą stronę. To budka z hot dogami. Możesz wziąć mi też hot doga?

-Mówiłaś... - „że straciłaś apetyt” chciał zacytować

Jacek, ale w porę uzmysłowił sobie, że było to stwierdzenie na potrzeby kłótni i nie ma co jątrzyć, tylko powinien się cieszyć, bo ta prośba oznaczała, że Edyta puściła kłótnię w niepamięć. - Jasne. Też sobie wezmę, bo głodny jestem jak wilk, mam nadzieję, że mój żołądek przetrzyma.

318

Kupił dwie herbaty - też było mu zimno - i dwa hot dogi. Zapłacił dwudziestozłotowym banknotem i poprosił Edytę, żeby sprawdziła, czy dostał odpowiednią kwotę reszty. Niektórzy sprzedawcy nie mieli żadnych skrupłów, oszukując niewidomego. Na szczęście ten okazał się uczciwy, bo kolejna nieprzyjemna sytuacja byłaby ponad ich siły.

- Świństwo - stwierdził Jacek, zjadłszy połowę parówki

- A mnie smakuje - oznajmiła Edyta. - Głód najlepszym kucharzem.

- Dlatego zjem do końca, ale jak można żywić się czymś takim?

Edyta zostawiła to retoryczne pytanie bez odpowiedzi, dokończyła swego hot dog'a i objęła dłońmi szklanę, żeby ciepło herbaty nie uciekało bezproduktywnie w przestrzeń, tylko ją ogrzało.

- Pupciulku...

- Co, kotku?

- Nie możemy się tak kłócić, nie możemy pozwolić, żeby wrogość innych podkopywała nasz związek. Takie

sytuacje powinny nas spajać, a my się pokłóciliśmy. Nie chcę, żeby tak było...

Jacek przykucnął koło Edyty i pogłaskał ją po mokrych włosach.

- Ja też nie. Masz rację, przepraszam.

Wziął ją za ręce, pocałował najpierw jedną, a potem drugą i położył je sobie na policzkach.

- To miała być zupełnie inna oprawa, ale skoro los tak chciał i jak mówisz, takie sytuacje nie powinny zakłócać naszego związku...

Edyta spojrzała na niego zdziwiona, nie wiedząc, do czego zmierza. Jacek sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął z niej małe pudełeczko.

319

Kupił mi jakąś biżuterię - pomyślała, najpierw ucieszona, a potem z rozczuleniem. Kochany.

Jacek otworzył pudełeczko i jej oczom ukazał się pierścionek, na ile umiała ocenić, z białego złota z brylantami. Wyglądał w każdym razie na bardzo drogi. Uznała, że znowu musi go ochrzanić za szastanie pieniędzmi, ale nie teraz, bo pierścionek był naprawdę piękny.

- Edytka, czy... - głos mu się lekko załamał, odchrząknął

- czy chcesz zostać moją żoną?

Oświadczyń! Tego się nie spodziewała. Coś ją ścisnęło za gardło. A więc jednak będzie biała suknia i ona też stanie na tym najważniejszym miejscu w kościele.

Jak Aldona.

- Tak - powiedziała ledwo słyszalnie, ale Jacek miał dobry słuch, na jego twarzy pojawił się uśmiech szczęścia.

- Bardzo - dodała równie cicho.

Jacek nasunął jej pierścionek na palec. Potem podniósł się i pocałował swoją od tej chwili już narzeczoną.

Kiedy skończyli się całować, pozostali przytuleni do siebie. Nie zauważali, że zimny wiatr przewiewa ich przemoczone ubrania, nie myśleli o tym, że się przeziębą.

Oboje rozgrzewało wewnętrzne ciepło płynące z poczucia, że obok jest drugi człowiek, który odwzajemnia żywione doń uczucie.

- Będziesz musiała coś wymyślić, kiedy Aldona cię zapyta, jak ci się oświadczyłem - odezwał się w końcu

Jacek. - Przecież nie powiesz jej, że oświadczyły od- były się pod budką z hot dogami, a my byliśmy jak dwie zmokłe kury.

- Właśnie że powiem, bo to najromantyczniejsze oświadczyły, jakie mogłabym sobie wyobrazić. A pierścionek jest przepiękny, Aldona tak się w niego zagapi, że w ogóle nie będzie słuchała, co mówię.

Jacek z zadowoleniem poklepał się po udzie.

320

- No ja myślę, przecież nie dam mojej dziewczynie na zaręczyny jakiejś niegustownej podróby Ostatecznie człowiek zaręcza się raz w życiu. - Zorientował się, że ta konstatacja nie całkiem odpowiada współczesnym obyczajom, więc wyjaśnił: - W każdym razie ja nie zamierzam zaręczać

się więcej niż raz.

*

Minęli Trestno, słynne od powodzi w 1997 roku, kiedy to większość wrocławian dowiedziała się, że właśnie tutaj znajduje się najważniejszy dla Wrocławia wodowskaz.

W Trestnie Odra płynęła bowiem jednym nurtem, a zaraz potem zaczynały się rozwidlenia i kanały przecinane jazami i śluzami.

Jacek powiedział o tym Romkowi, który jako świeżo upieczony wrocławianin mógł tego nie wiedzieć.

- Jak w ogóle ta powódź wyglądała od środka? - zainteresował się Romek.

- No, znacznie mniej groźnie niż w telewizji - powiedziała Edyta. - Do nas wydzwaniła rodzina z Torunia, przekonana, po tym co zobaczyli w telewizji, że właśnie się topimy albo przynajmniej głodujemy. Choć może ja to spokojniej odbierałam dlatego, że Biskupina nie zalało. Nawet prąd mieliśmy cały czas, tylko wody nie było. Ale jeździliśmy z kumpelami - na rowerach oczywiście, idealny środek lokomocji w czasie powodzi - na basen na Służnę. Strażacy podłączyli wodę z basenu do natrysków i dopóki się nie skończyła, można było brać prysznic.

- A Sępolno zalało?

- Też nie. Zdaje się, że te dzielnice stanowią naczynia połączone i jakby zalało Biskupin, to automatycznie i Sępolno. Zresztą pierwsza fala powodziowa szła na Biskupin i może właśnie dlatego się uratował. Bo ludzie od razu poszli

na wały układać worki z piaskiem. Jak byłam tam zobaczyć,

321

jak to wygląda, to woda rzeczywiście płynęła ponad wałem i przelałaby się, gdyby nie te worki. A tak tylko przesiąkła przez wał, ale wał nie został przerwany. Moja jedna kumpela, która mieszkała na Kościuszki, dzwoniła do mnie i się śmiała, że zaraz będę topielcem, a potem sama musiała się ewakuować pontonem, bo Trójkąt Bermudzki zalało, a nas nie. I wtedy ja się z niej śmiałam. Naprawdę wypływała z domu pontonem. Ledwo się zmieściła, bo woda zostawiła w bramie prześwit góra na pół metra.

- Trójkąt Bermudzki? - zdziwił się Romek. - To chyba nie we Wrocławiu?

- Tak nazywamy tamtą dzielnicę - wyjaśnił Jacek - bo jak człowiek zapuścił się tam po zmroku, to mógł zginąć bez wieści. Ale właśnie od powodzi zrobiło się bezpieczniej: woda do tego stopnia zniszczyła niektóre kamienice, zresztą już wcześniej na ogół w opłakanym stanie, że trzeba było je wyburzyć, na ich miejsce postawiono plomby, do których wprowadzili się zamożniejsi ludzie, tak że nazwa chyba przestała być aktualna.

- A pasowała, bo poza tym, że było tam niebezpiecznie, to ta dzielnica rzeczywiście jest trójkątna - zauważyła Edyta.

- Z Traugutta i Kościuszki jako ramionami i Pułaskiego jako podstawą. Uważaj, samochód! - krzyknęła, bo Romek wyjechał rowerem na środek jezdni, a zza zakrętu przed nimi wyłoniło się ciemnoczerwone volvo.

- Uważam. - Romek odbił w prawo.

Wybrali się na wycieczkę Jackowym tandemem, do którego Romek podczepił motocyklowy kosz. Argo biegł obok roweru, a Fasolka jechała z Edytą w koszu. Kiedy zaproponowali Romkowi wspólny wypad, myśleli o jego passacie, ale Romek zaprotestował:

- Samochód służy do przemieszczania się, a nie do podziwiania krajobrazów. Na wycieczkę najlepszy jest rower.

322

- Wszystko pięknie ładnie - powiedział Jacek. - Ja nawet mam tandem, ale przecież w trójkę się nie zabierzemy. Nawet jakby wziąć Edytę na bagażnik, to wyłożymy się na pierwszym zakręcie, a jakbyś nie zauważył, żadne z nas nie może samodzielnie jechać rowerem.

- Ech, ty człowieku małej wiary - zachnął się Romek.

-Jesteś jak baba, która jak ma zamieść podłogę, to zamiata, zamiast wynaleźć odkurzacz. Coś wymyślimy.

I Romek wymyślił kosz od motocykla. Kiedy Jacek wyraził wątpliwość, czy da się go podczepić do roweru, skoro był konstruowany z myślą o motorze, a motor jak wiadomo nie ma pedałów, dla których trzeba zostawić miejsce, Romek się obruszył.

- Człowieku, jak połączyłem chippendale'a z art deco, tak że klient myślał, że to secesja, to głupiego kosza z rowerem nie połączę? O co się założysz?

Jacek nie chciał się zakładać, pamiętając starą

prawdę, że jak dwóch się zakłada, to jeden jest głupi, a drugi świnia, i miał rację. Wyszedłby na głupiego, bo kosz od junaka, który kupili na giełdzie, Romek bez większego trudu połączył z tandemem. Konstrukcja nie uzyskałaby pewnie atestu wydziału komunikacji, ale była stabilna, a na błogosławieństwie urzędników Romkowi akurat najmniej zależało. Jacek okazał się bardziej sceptyczny.

- Żeby nie było tak jak z naszą jazdą samochodem. Niby w tej okolicy policji nie uświadczysz, a jak namówię mnie, żebym prowadził, to zaraz się napatoczyli.

- E tam, trudno zakładać, żebyśmy drugi raz mieli takiego pecha. Poza tym nie łamiemy żadnych przepisów.

- Ach tak? Wtedy też byłeś przekonany, że nie łamiesz żadnych przepisów, a dostałeś grzywnę.

Romek skrzywił się na to wspomnienie, ale zaraz potem się roześmiał.

323

- Ale ten gliniarz miał minę, jak się zorientował, że niewidomy prowadził samochód...

Jacek też się uśmiechnął.

- Zresztą teraz będziemy jeździli pod Wrocławiem

- Romek wrócił do tematu. - A z tego, co mówiła Edyta, tylko niewielkie odcinki szosą i na dodatek mało uczęszczaną, resztę po polnych drogach, więc chyba naprawdę nie ma powodu do obaw.

Jacek dał się przekonać i tak znaleźli się w Trestnie,

choć przez moment wydawało się, że wycieczka zakończy się na Wyspie Opatowickiej. Romek nigdy wcześniej tam nie był, Jacek nie wiedział, jak wygląda, a Edyta nie pomyślała, że wprawdzie na wyspę dostaną się szerokim jazem, ale żeby z niej zjechać po drugiej stronie, trzeba przejść przez śluzę, a wrota śluzy, tworzące mostek, były tak wąskie, że ledwo mieścił się tam człowiek ze zwykłym rowerem.

Minęli mały gaj - świeżo założony Park Przygody, przecięli otwartą przestrzeń dzielącą ich od wału, weszli na wał - podjazd był zbyt stromy - i stanęli jak wryci.

- Ojoj - powiedział Romek.

- Co jest? - zapytał Jacek

Romek wyjaśnił sytuację.

- Czemu nie uprzedziłaś? - zapytał Edytę. - Można się dostać jakoś inaczej na drugą stronę?

- Nie pamiętałam. Jak tu byłam poprzednio, sama prowadziłam rower, nie domyśliłam się, że następnym razem będę w czymś takim - Edyta z irytacją uderzyła rękami w kosz - i muszę sobie zakonotować, że wtedy się nie zmieszczę.

- Nie kłóćcie się - wkroczył Jacek. - To nic nie da.

Kładką chyba dostalibyśmy się na drugą stronę, dobrze kojarzę?

Kładka to był most dla pieszych na wysokości zoo.

324

- Tak - potwierdziła Edyta - tylko musielibyśmy wrócić

i...

- Daleko? - zapytał Romek.

- Jakiś kwadrans drogi.

- Czyli razem pół godziny, nie tak strasznie.

- Tak, ale od tej strony Odry wejście na kładkę jest po schodach, czyli trzeba będzie rower wnieść, a jak macie nosić tam, to czy nie da się przenieść go tutaj? - Edyta skinęła głową, pokazując na mostek.

- Masz rację, na wyciągniętych rękach, bo inaczej barierka będzie przeszkadzała - Romek ocenił możliwości przeniesienia. - I chyba nawet dam radę sam.

- Pomogę ci. - Jacek nie chciał, żeby wyglądało to tak, że Romek musi się nimi opiekować. - Ręce mam zdrowe.

- Wiem, ale wrota śluzy łączą się pod kątem i tam jest mała przerwa w barierce. Nie dość, że będziesz musiał skręcać, to jeszcze na upartego możesz włączyć się w tę przerwę, a wtedy znajdziesz się w wodzie. Pół biedy, że ty, ale rower też. Albo stracisz na tym skręcie równowagę i efekt będzie taki sam. A tandem nawet z koszem nie może być aż tak ciężki, żebym sobie nie poradził.

Wysiadaj, Edyta, sprawdzimy.

Posadził Edytę na trawie i uniósł ekwipaż. Lekko poczerwieniał, ale widać było, że ma jeszcze zapas, podniósłby większy ciężar; gorzej, że rower z koszem ze względu na swoją szerokość nie dawał się uchwycić stabilnie. Romek, nie przejmując się tym, ruszył na mo-

stek. Edyta i Jacek jej oczami przyglądali mu się z niepokojem, zwłaszcza że Romek, mijając skręt, wyraźnie się zachwiał. Ku ich uldze na tym jednak się skończyło i szczęśliwie dotarł na drugą stronę. Potem przeniósł Edytę i Fasolkę, Jacek i Argo przeszli na własnych nogach.

325

- Ta akcja przypominała mi, jak w czasie studiów byłem na wycieczce rowerowej na Kujawach - zaczął opowiadać Romek, kiedy już zmierzali w stronę Trestna.

- Jedziemy sobie pięknym szlakiem przez las, nagle mijamy jakiś zakręt i buch, przed nami rzeka. Dowcip polegał na tym, że bez mostu. Ale żeby nikt nie miał wątpliwości, że nie zabłądził i nie zjechał przypadkiem ze szlaku, na pierwszym drzewie za rzeką namalowano oznakowanie szlaku. Zdumieliliśmy. Potem pomyśleliśmy, że może w tym miejscu rzeka jest tak płytka, że most niepotrzebny. Ale guzik, tylko wptaw. No to zdumieliliśmy jeszcze bardziej. Pojechaliśmy kawałek do przodu szukać mostu, ale dalej też nie było, zresztą mapa nie przewidywała. Pewnie musielibyśmy zawrócić, gdyby nie napatoczył się jakiś leśnik i nie wskazał nam brodu: był kilkanaście metrów przed szlakiem. No i przechodziliśmy po pas w wodzie, taszcząc rowery, jak ja teraz.

Najlepsze zdjęcia z całej wycieczki. Pokazałbym wam, ale fajza, która wzięła je razem z filmem, żeby zrobić ludziom odbitki, nigdy mi nie oddała ani zdjęć, ani

filmu. To nie były czasy fotografii cyfrowej, że jednym kliknięciem robi się dziesiątki kopii.

- Ja mam wrażenie, że cyfrówka jednak wyszła na niekorzyść fotografii - zauważyła Edyta. - Kiedyś przywoziło się z wakacji trzydzieści sześć zdjęć, bo tyle miał film, sam film i odbitki były za drogie, żeby pstrykać więcej, bardziej się selekcjonowało ujęcia, a teraz pstryka się w każdej możliwej sytuacji, powstają setki zdjęć, tyle że nikt nie ma siły ich oglądać.

- A propos, pamiętałaś o aparacie? - zapytał Jacek.

Mimo że nie widział, lubił być fotografowany i dopominał się, żeby na wycieczkę zabrali aparat.

- Tak, wziętam. Zrobić wam zdjęcie, jak pedałujecie?

- Zrób.

326

Edyta odchyliła się w koszu i skierowała obiektyw w stronę chłopaków.

- Będzie fajne ujęcie, jakbym siedziała na wysięgniku, wiecie, takim do kręcenia filmu.

- Każemy ludziom zgadywać, gdzie był fotograf, ciekawe, czy się domyślą, że wykombinowałem coś tak genialnego.

- Romkowi nadmiar skromności na pewno nie utrudniał życia. - Jacek, hamujemy!

- Co się stało?

- Kozy - wyjaśnił Romek.

- Co? - nie zrozumiał Jacek.

- Kozy i owce. Całe stado blokuje drogę. Ale numer,

sprowadziłem się do miasta, po którym chodzą stada owiec.

Konkurujecie z Zakopanem, czy jak? A może to taka wizualizacja średniowiecznego Wrocławia dla turystów? - kpił sobie Romek.

- Trafiłeś kulą w płot. - Edyta poczuła się dotknięta w swoim lokalnym patriotyzmie. - Tabliczkę z napisem Wrocław minęliśmy jakieś pięćdziesiąt metrów temu.

- Nonsens, nie jestem ślepy, zauważyłbym.

- Ślepy akurat zauważył i Edyta ma rację - wtrącił się Jacek, machając swoją komórką. - Jesteśmy za Wrocławiem.

- Co, zadzwoniłeś do informacji miejskiej, gdzie jest granica miasta? - Romek nie chciał przyznać się do porażki.

- Nie, w komórce mam GPS-a i śledzę nim trasę. Wy myślicie, że ślepego to trzeba nadal prowadzić, jak nie przy mierzając baranka na rzeź, a wystarczy, że nie zapomni swojej komórki i wie lepiej od was, gdzie jest.

Romek musiał uznać się za pokonanego.

Kiedy przebili się przez kozio-owcze stado, szybko dotarli do Trestna, gdzie rozmowa zeszła na temat powodzi.

Potem jeszcze kawałek szosą i skierowali się w stronę

327

jeziorka, nad którym zaplanowali piknik. Szeroka z początku droga, wyłożona płytami, zmieniła się w wąską leśną ścieżkę, którą pokonywali z pewnym trudem.

- Chyba będę musiał pomyśleć o jakiejś nadbudówce

- zauważył Romek, kiedy po raz kolejny o mało nie wjechali koszem w krzaki.

- Albo wózek z tyłu - zaproponował Jacek. - Widzieliśmy takie na Bornholmie. Duńczycy wozili w nich dzieci.

- No to rychło w czas ci się przypomniało - rzucił z przekąsem Romek. - Trzeba było zgłosić się z tym pomysłem, kiedy kombinowaliśmy, jak skonstruować trzyosobowy rower.

- Z tyłu to nie mogłabym z wami rozmawiać - sprzeciwiła się Edyta. - Uwaga!

Romek odbił w lewo, dzięki czemu Edyta uniknęła chłoścnięcia zwisającymi gałęziami wierzby.

Nad jeziorkiem mimo ładnej pogody nie było nikogo.

Argo cierpliwie zaczekał, aż Edyta postawi Fasolkę na ziemi, a potem oboje z radosnym szczekaniem pognali na brzeg jeziora. Romek poszedł za nimi, żeby sprawdzić, jaka jest woda.

Rozebrali się, rozłożyli koc i zabrane wiktuały.

Zaprowiantowanie spadło na Jacka i Edytę, więc koszyk z jedzeniem zawierał kanapki z ciemnego pieczywa, owoce i soki. Romek popatrzył sceptycznie na ten podręcznikowy zestaw zdrowej żywności.

- Piwa nie ma? Ani kawałka jakieś porządnej tłustej kiełbasy?

- Piwa nie ma - odparł Jacek. - Chyba nie myślisz, że pozwolę ci pić piwo, kiedy zdrowie i życie Edyty, zresztą moje również, jest w twoich rękach. A brak kiełbasy też

dobrze ci zrobi, brzuch zaczyna ci się zaokrąglać.

Romek mimowolnie wciągnął brzuch i niezadowolony sięgnął po kanapkę z białym serem i ogórkiem.

328

- To dawaj tę zieleninę. Zupełnie jak krowa, Jezu mać, też tylko trawę żre. Skąd wiesz, że brzuch mi się zaokrągla? - Skojarzył nagle, że Jacek nie mógł dokonać tej obserwacji.

- Dedukcja, mój drogi Watsonie. Mężczyzna w twoim wieku przy twoim trybie życia i twoich zamiłowaniach kulinarnych na dziewięćdziesiąt osiem procent ma początki kałduna. - Jacek zaśmiał się. - Edyta mi powiedziała.

- Co dla ciebie, pup... słonko? - Edyta w ostatniej chwili zmieniła pieszczotliwe określenie, bo Jacek nie chciał, żeby nazywała go pupciulkiem przy ludziach.

- Zdaję się na ciebie, kotku. Wybierz mi coś.

- Wiecie co, nie dość, że muszę żreć trawę, to jak mi ją jeszcze tak dosłodzicie tym słonkowaniem i korkowaniem, to nigdzie więcej z wami nie pojedę. - Romek udawał oburzonego. - Następnym razem prowiant przygotowuję ja. Zrobimy sobie wtedy ognisko, pieczone kiełbaski i browarek.

Edyta podała Jackowi kanapkę z żółtym serem i rzodkiewką i sok porzeczkowy, sama ograniczyła się do soku, na razie nie była głodna.

- Fasolka, Argo, nie odchodźcie tak daleko - zawołała

psy, które zapędziły się aż na drugi brzeg jeziora.

- Ognisko to świetny pomysł - przyznał Jacek.

- Możemy zrobić na Wyspie Opatowickiej - dodała

Edyta. - Jest tam kilka miejsc na ognisko, a na wyspę możemy podejść, więc piwa napijesz się do woli.

Argo i Fasolka podbiegli do nich zziębnięci i ułożyli się przy kocu. Kiedy psy zamilkły, z zarośli i koron drzew tym głośniejsz buchnął świergot ptaków. Jacek zaczął nazywać poszczególne gatunki.

- Niezły jesteś - powiedział z podziwem Romek. - Ja potrafię rozpoznać tylko sowę i kukułkę.

329

- Tak nas fatalnie uczyli na biologii - wskazała przychylnie Edyta. - Zamiast nauczyć, jak rozpoznawać otaczające nas rośliny i zwierzęta, wbijali nam do głowy cykl rozrodczy ameby.

- Ameba to pierwotniak, nie ma cyklu rozrodczego, rozmnaża się przez podział - sprostował Jacek.

Edyta uderzyła go lekko piąstką w ramię.

- To był tylko przykład, zresztą doskonale pokazujący, że uczyli nas bez sensu, bo i tak człowiek wszystko zapomniał, a umiejętność rozpoznawania roślin czy zwierząt by została, bo stale by się ją ćwiczyło, mimochodem, wychodząc na przykład na spacer. Teraz idę i myślę sobie: dąb, kasztan i koniec, bo więcej drzew nie umiem rozróżnić, a tak bym szła i myślała: dąb, kasztan, klon, wiąz, jawor...

- To ja jestem lepszy od ciebie, bo rozpoznaję jeszcze
brzozę po białej korze i sosnę po szyszkach - droczył się
Romek z Edytą.

- Dowcipny jesteś jak świnia w trampkach - odgryzła
mu się.

- Powiedzonko z brodą po kolana - nie dał się Romek.
Przełknął ostatni kęs kanapki i odwrócił się w stronę je-
ziora, do którego siedział plecami. - Bajorko nie wygląda
na przyjazne dla krokodyli i piranii, więc wy sobie, go-
łąbki, pogruchajcie, a ja idę popływać. Chyba że wy też
reflektujecie?

Jacek pokręcił przecząco głową.

-Ja wolę nie. Jeśli mam gdzieś pływać, to w basenie.

W takich akwenach o nieokreślonych dla mnie kształtach
nie czuję się bezpiecznie.

Edyta też nie miała ochoty.

Romek nie próbował ich namawiać. Biegiem ruszył
w stronę wody, Faselka i Argo na ten widok zerwały się
i szczekając, pobiegły za nim, ale zatrzymały się na brzegu,

330

podczas gdy Romek, rozpryskując wodę, wpadł do jeziora,
zrobił kilka kroków, rzucił się na brzuch, zanurkował
i po chwili wychynął na środku, parskając i potrząsając
głową. Pomachał im ręką.

- Woda super!

Odwrócił się i kraulem popłynął na drugą stronę.

Edyta przytuliła się do Jacka i chciała właśnie coś

powiedzieć, kiedy jego telefon zabrzmiał melodią

Marsylianki.

- Co ty sobie ustawiłeś?

Jacek nie odpowiedział, zajęty wyławianiem telefonu z kieszonki spodenek, gdzie go zostawił. Zawsze bał się, że nie zdąży odebrać. Obawa całkowicie irracjonalna, wziąwszy pod uwagę, że dzwoniący na komórkę zwykle czekają dłużej, mając świadomość, że komórka musi najpierw zostać wygrzebana z torebki albo jej właściciel potrzebuje czasu na zatrzymanie samochodu.

- Halo?

- Pan Jacek? - zapytała jakaś kobieta.

- Tak...? - Głos wydał mu się znajomy, ale nie potrafił go przypisać do konkretnej osoby. Przypomniał mu się pomyłkowy telefon sprzed kilku dni.

- Pan Stanisław?

- Nie, pomyłka.

- Nie pan Stanisław? - zdziwienie dzwoniącej było tak wielkie, że niemal równoznaczne z oskarżeniem, że to na pewno pan Stanisław, tylko z jakiegoś powodu nie chce się do tego przyznać.

-Nie.

- Bo ja z biura dzwonię - kobieta nie zamierzała dać za wygraną.

Jacek pomyślał, że może szuka programisty, w pracy podano jej namiary do niego i rzeczywiście dodzwoniła się pod właściwy numer, tylko pomyliła imiona. Z głosu

wnioskował, że ma dobrze po pięćdziesiątce, toteż skleroza nie byłaby w jej przypadku niczym zaskakującym.

Zapytał więc:

- Z jakiego biura?

- Z matrymonialnego!

Edyta, która przysłuchiwała się tej rozmowie, bo Jacek miał włączony tryb głośnomówiący, parsknęła śmiechem i potem mu dokuczała, że gdyby nie chodzili ze sobą, to ten telefon byłby jak znalazł: mógłby skorzystać z okazji i umówić się z dzwoniącą. Jacek - bardziej, żeby się przekomarzać niż naprawdę dotknięty tymi docinkami - wyłączył tryb głośnomówiący, demonstrując Edycie, że skoro się z niego naśmiewa, nie będzie mogła więcej przysłuchiwać się jego rozmowom.

Teraz błogosławił tamto zdarzenie, kiedy usłyszał, kto do niego dzwoni:

- Mówi mama Edyty.

Jacek zamarł. Czyli Edyta miała rację: jej matka nie zaakceptuje ich związku, zrobi wszystko, żeby się rozeszli. Podczas wizyty nie wzięła go na stronę i nie kazała mu się odczepić od Edyty, pewnie bała się, że Edyta się wtrąci, więc teraz dzwoni, żeby mu powiedzieć, że ma zostawić jej córkę w spokoju. Ciekawe, po jaką metodę sięgnie: prośbę, groźbę czy przekupstwo?

- Skąd pani ma mój numer? - zapytał niemal wrogo.

- Podali mi w pana pracy. Dzwoniłam tam, ale mi po-

wiedzieli, że wziął pan sobie dzisiaj dzień urlopu.

Rzeczywiście uznali, że na wycieczkę lepszy będzie dzień powszedni.

- Mniej ludzi - przekonywał Romek, który wystąpił z propozycją, żeby wyłamać się z obowiązującego schematu praca w tygodniu, wypoczynek w weekend - a tłumy, jak wybieram się na łono natury, mnie wnerwiają. Kiedyś w „Karuzeli” była taka humoreska: narrator obserwował człowieka wchodzącego

332

codziennie na wieżę i patrzącego stamtąd z zadumą na ludzi.

Ponieważ ciekawiło go, jakie tamtego nachodzą refleksje i przemyślenia na ich temat, wszedł za nim i zapytał go, o czym myśli. „Myślę o tym, że jakby mieć karabin maszynowy, to można by stąd tych wszystkich ludzi wystrzelać”.

No więc ja czasami też tak mam.

Żeby więc nie narażać Romka na mordercze myśli, wybrali się na wycieczkę we wtorek. Na czym zresztą dobrze wyszli, bo w weekend było zimno, a w tygodniu zrobiło się tak ciepło, jakby był środek lata, a nie druga połowa września.

- Panie Jacku, jest pan tam?

- Tak. - Nie odzywał się, bo nie miał zamiaru matce

Edyty ułatwiać zadania. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że Edyta słyszy jego słowa, więc będzie mógł tylko wysłuchać, co jej matka ma do powiedzenia, bo jak zacznie się spierać, Edyta zorientuje się, z kim rozmawia, i na pewno wkroczy.

- No bo tego... dzwonię... my z Edytą nie zawsze się rozumiemy... jak to matka z córką... wiem, że Edytka ma do mnie dużo pretensji i zastrzeżeń... ale matka zawsze chce dla córki najlepiej... choć nie docenia...

Jacek domyślił się, że córki nie doceniają, że matki chcą dla nich jak najlepiej.

- ... a ma większe doświadczenie życiowe, bo jak człowiek młody, to nie ma doświadczenia i robi głupstwa i nie da sobie powiedzieć... a dopiero potem żałuje, że nie posłuchał...

Aha, pomyślał Jacek, najpierw przygotowuje grunt.

- ... do czego zmierzam...

Wiem, do czego zmierzasz, stara małpo, no mów!

- ... chcę powiedzieć, że ostatnio może źle wyglądało, ale ja nie znam nikogo ślepego... to znaczy niewidomego... i nie wiem, jak trzeba się zachować.

333

Głos pani Pilarczyk zrobił się niemal płaczliwy, a Jacek poczuł lekką konsternację. Na długą chwilę na linii zapadła cisza, Jacek zaczął nawet podejrzewać, że matka Edyty się rozłączyła, ale okazało się, że zbierała się do powiedzenia tego, z czym dzwoniła:

- To nie znaczy, że pana nie akceptuję... Jak się kochacie, to tylko mogę się cieszyć, że Edytka jest szczęśliwa.

Jacek z początku nic nie powiedział całkowicie zaskoczony tą deklaracją, potem wydukał:

- Dziękuję.

- To ja dziękuję, bo dla matki naprawdę najważniejsze jest szczęście dziecka... nawet jeśli dziecko myśli inaczej.

Lekkie kliknięcie obwieściło koniec rozmowy.

- Z kim rozmawiałeś? - zapytała Edyta. - Masz taką minę, jakby właśnie do ciebie zadzwonili, że dostałeś Nobla z informatyki. Ale Nobla z informatyki nie przyznają.

- Z twoją mamą.

- Co?! Czego chciała? Wiedziałam! Będzie nam rzucać kłody pod nogi!

- Nie, powiedziała, że mnie akceptuje i najważniejsze, że się kochamy.

-Co?!

Jacek przyciągnął do siebie Edytę.

- Widzisz, mówiłem ci. Naprawdę demonizujesz swoją matkę, nie jest wcale taka straszna. Poza tym nie potrafię wyobrazić sobie matki, która na poważnie chciałaby stanąć swojemu dziecku na drodze do szczęścia.

- To masz kiepską wyobraźnię, przykładów nie brakuje.

- No może, ale twoja mama nie, a dla nas tylko to się liczy. Romek jeszcze jest w wodzie?

- Tak, bo co?

- Bo chcę cię pocałować bez świadków.

A kiedy się pocałowali, dodał:

334

- No i znikła ostatnia przeszkoda dla naszego związku.

Jak się okazało, wymaginowana, ale wymaginowane

rzeczy mogą mieć realne skutki i na pewno się tym gry-
złaś, za to teraz nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy żyli
długo i szczęśliwie. Jak w bajce.

Edyta uśmiechnęła się i nic nie mówiąc, położyła głowę
na jego piersi. Miał rację.

*

Poniedziałek

My.

Wtorek

My.

Środa

My.

Czwartek

My - napisała Edyta w starym zeszycie, który dawno
temu służył jej za pamiętnik. Prowadziła go od ósmej
klasy, kiedy pierwszy raz się zakochała, do końca li-
ceum. Teraz przeglądała ze wzruszeniem, a często z roz-
bawieniem dawne zapiski na zbutwiałych kartkach;
na zeszyt natrafiła w piwnicy rodzinnego domu, kiedy
pomagała przy porządkach. Na koniec siódmej klasy do-
stała wprawdzie od mamy za świadectwo z czerwonym
paskiem prawdziwy elegancki pamiętnik, taki z twardą
lakierowaną okładką w różyczki, zamykany na kluczyk,
ale ten mimo swej elegancji - a może właśnie dlatego
- nie skłaniał do powierzania mu najskrytszych myśli.
Bała się też, że zamknięcie jest iluzoryczne, że mama
zachowała sobie jeden kluczyk z kompletu, żeby śledzić,

co córka pisze. Zwykły zeszyt wyglądający na brudnopis wydawał się znacznie bezpieczniejszy. Dla pełnego kamuflażu dokonała w podarowanym pamiętniku kilku nic nieznaczących wpisów. Te istotne zapełniały kartki 335

zeszytu. Duże krągłe litery dziewczęcego pisma głośiły na przykład:

Chłopcy powiedzieli, że Tomek przeżywa cielecą miłość do mnie. Może w końcu do niego dotrze, że powinien się we mnie zakochać!!!

Tomek był jej miłością z podstawówki, jak się jej wówczas wydawało wielką, wieczną i prawdziwą. Taką, której finał miał nastąpić na ślubnym kobiercu. Szkopuł polegał na tym, że Tomek w ogóle nie zwracał na nią uwagi i stąd jej irytacja widoczna we wpisie.

Uśmiechnęła się na wspomnienie całej sytuacji, z której wybrała sobie, co jej pasowało i zinterpretowała na swoją korzyść. Typowe dla dzieci. I z czego wielu dorosłych wcale nie wyrasta. Po godzinie wychowawczej śpieszyła się do matematyczki, bo chciała poprawić czwórkę ze sprawdzianu i miała zostać przepytana na przerwie, żeby więc nie biegać z torbą, poprosiła Tomka o przeniesienie jej do następnej sali. Wybór Tomka nie był przypadkowy, ale ten nic o tym nie wiedział, a zgodził się, bo podobna przysługa nie stanowiła nic niezwykłego. Pech chciał, że akurat na tę lekcję do ich klasy na pogadankę przyszła pani psycholog, a tematem

była szkolna miłość. Pani psycholog wymieniła różne rodzaje miłości przeżywanej w ich wieku, między innymi miłość cielecą, objawiającą się tym, że chłopcy noszą dziewczynkom torby. I kiedy Tomek po lekcji zgodnie z obietnicą wziął jej torbę, koledzy wyśmiali go, że zakochał się cieleco w Edycie.

- Co robisz, kotku? - zapytał Jacek od laptopa, na którym przez Gadu-Gadu umawiał się na spotkanie z Krzyśkiem, mocno już zaniepokojonym, że brat nie pokazał się u nich od czterech miesięcy. Bo Jacek zaprzestał cotygodniowych wizyt - nie był gotów do przedstawienia Edyty, a bez niej nie chciał iść. Po takich samotnych odwiedzinach

336

trudno by mu było twierdzić, że wcale nie ukrywa jej przed Krzyśkiem i Basią, a ponadto każdą chwilę dobrowolnej rozłąki z Edytą uważał za straconą.

- Przeglądam swój stary pamiętnik.

- Jesteśmy umówieni na niedzielę do mojego brata.

- No wreszcie, już myślałam, że nigdy nie poznasz mnie ze swoją rodziną. Powiedziałaś im o mnie?

- Napisałem, że przyjdę z kimś. Ze sformułowania chyba się domyślili, że nie chodzi o jakąś neutralną osobę.

- Ale się czaisz...

Jacek wsunął półeczkę z klawiaturą, wstał od biurka i usiadł koło Edyty na kanapie. Przytulił ją do siebie.

Zapadał już październikowy zmierzch, ale nie zapalili światła i w pokoju panował półmrok, rozpraszany tylko

mdłym światłem lampki, której abażur tworzyła bryła soli.

- Bo nie wiem, jak im powiedzieć, żeby wypadło naturalnie. Nie chcę, żeby zabrzmiało to jak jedno wielkie „wreszcie”, wreszcie się doczekałem, ale jeśli powiem, jakby nigdy nic, jakby chodziło o najnaturalniejszą rzecz pod słońcem, to zabrzmie właśnie nienaturalnie.

- Pucpiulku. - Edyta objęła go rękami w pasie, chłonąc jego zapach; bardzo lubiła takie chwile, kiedy siedzieli razem w półmroku, przytuleni, rozmawiając o błahostkach albo o problemach, które tak naprawdę nie były problemami, jak właśnie dylemat Jacka, w jaki sposób powiedzieć bratu, że ma dziewczynę; czuła się wtedy bezpieczna, szczęśliwa i beztroska. - Czy ty naprawdę nie masz większych zmartwień?

Jacek przesunął ustami po jej włosach.

- Ty wiesz - położył akcent na „wiesz” - że nie mam.

To się chyba właśnie nazywa szczęście. - Przez chwilę delectował się tym słowem. - I co wyczytałaś w tym swoim pamiętniku?

337

- A że byłam zakochana w pewnym Tomku.

-Kiedy?!

Jacek zapytał tak ostro i gwałtownie, że Edyta zdumiona uniosła głowę. A potem się roześmiała.

- Ty jesteś o mnie zazdrosny! - zauważyła z zadowoleniem.

- No pewnie, że tak. Co to za Tomek?

- Nie masz powodu, nigdy bym cię nie zdradziła.

I uspokój się, Tomek to moja miłość z podstawówki.

Kompletnie się mną nie interesował, a po skończeniu szkoły straciliśmy się z oczu. Za to w liceum zakochałam się w Atomku już całkiem na poważnie i z wzajemnością, nadal utrzymujemy ze sobą kontakt, dzwonił do mnie wczoraj...

Jacek wymierzył Edycie lekkiego klapsa.

- Auć!

- Nie podpuszczaj mnie. Może nie przeczytałem tylu książek co ty, ale Tytusa akurat czytałem.

Edyta zachichotała.

- Tytus był świetny.

-No.

Przez chwilę rozmawiali o lekturach z dzieciństwa i czasów licealnych. Ulubionymi książkami Jacka były relacje Centkiewiczów z polarnych wypraw i zakręcone powieści Niziurskiego, choć w czasach, gdy je czytał, słowo „zakręcone” jeszcze nie istniało.

- „Sposób na Alcybiadesa” czytałem tyle razy, że znam go praktycznie na pamięć.

Faworytkami Edyty były Chmielewska i Astrid

Lindgren.

- „Nazywam się Lisa. Jestem dziewczynką”. Do dzisiaj pamiętam, jak znalazłam „Dzieci z Bullerbyn” w szkolnej bibliotece. To było w pierwszej klasie, ja już dawno do-

brze czytałam, bo tata mnie nauczył, zanim poszłam

338

do szkoły. Nazwisko Astrid Lindgren nic mi nie mówiło: oczywiście oglądałam Pippi, ale nie kojarzyłam, że film nakręcono na podstawie powieści tej autorki. Nie wiem, czy wtedy w ogóle zdawałam sobie sprawę, że książka może być podstawą filmu. Przeczytałam to pierwsze zdanie i tak mnie zachwyliło, że zaraz przy półce zaczęłam czytać dalej. A że półki akurat w miejscu, skąd wzięłam „Dzieci”, tworzyły załam, bibliotekarka mnie nie widziała i nie wyrzuciła, kiedy zadzwonił dzwonek na lekcję. Ja byłam już tak pochłonięta książką, że w ogóle tego dzwonka nie usłyszałam. Ani następnych. Znaleźli mnie tam kilka godzin później, kiedy wybuchła panika, że zaginęłam. Wychowawczyni była bliska zawału, niemal widziała się w więzieniu za to, że dopuściła, by porwał mnie jakiś pedofil. Przeszukała całą szkołę i już miała wzywać policję i moich rodziców, kiedy - jak to bywa w takich przypadkach - na samym końcu zajrzała do biblioteki. A ja siedziałam sobie spokojnie na podłodze i czytałam, jak Lisa z Anną robiły zakupy, czy, jak to zostało ujęte w książce i szalenie mi się podobało, „załatwiały sprawunki”, i byłam strasznie zła, że mi przerwano, bo umierałam z ciekawości, czy kupiły „kawałek kiełbasy dobrze obsuszonej”, czy zapomniały. Tak zła, że do dziś to pamiętam.

- A ty wiesz, że ja „Dzieci z Bullerbyn” nie czy-

tałem?

Edyta aż wyprostowała się z wrażenia.

- Niemożliwe, przecież były lekturą w trzeciej klasie.

- Za moich czasów jeszcze nie.

- E tam, przecież nie jesteś znowu tak dużo starszy ode mnie.

- To może przegapiłem, w trzeciej klasie często choro-
rowałem i miałem dużo nieobecności. Bo zwykle lektury

339

czytałem bardzo sumiennie. I nie tylko dlatego, że jestem obowiązkowy, ale jakoś nigdy nie odbierałem lektur jako przymusu, raczej wskazówkę, że po te książki warto sięgnąć.

I taki „Giau” czy „Lalka” stanowiły dla mnie jedne z największych przeżyć czytelniczych.

-I pewnie tak samo byłoby z „Dziećmi z Bullerbyn”,
koniecznie musisz przeczytać!

Jacek uśmiechnął się.

- Kochanie, jestem już dużym chłopcem, obawiam się, że w tej chwili „Dzieci z Bullerbyn” nie zrobią na mnie wrażenia.

Edyta była rozczarowana, tym rozczarowaniem, które się odczuwa, kiedy bliska nam osoba nie podziela naszego zachwyty. Jacek dostrzegł jej reakcję.

- Kotku, tak już niestety jest, że pewne rzeczy mają w życiu swój czas i jeśli nie zrobimy ich w porę, nie da się tego nadrobić. A ja mogę tylko dziękować bogom,

że przegapiłem „Dzieci z Bullerbyn”, ale nie przegapiłem ich czytelniczki.

Wziął Edytę w ramiona.

- Bo najlepsza książka nie zastąpi takiej chwili jak ta.

- Pogłaskał Edytę po policzku i dodał: - Kiedyś zastałem Krzyśka z Basią, jak rozwiązywali krzyżówki. Strasznie się zdziwiłem. Wtedy wydawało mi się, że jak para zostanie sam na sam, to natychmiast uprawia namiętny seks albo przynajmniej się całuje, a ci rozwiązywali krzyżówki, na dodatek każde swoją, co jest przecież typowym zajęciem samotników. Byłem przekonany, że przechodzą poważny kryzys. A teraz wiem, że nieważne, co się robi, grunt, że wspólnie, że po prostu siedzi się razem, daje to tyle pozytywnej energii, też moglibyśmy teraz rozwiązywać krzyżówki...

- Albo czytać „Dzieci z Bullerbyn - przerwała mu lekko nadąsana Edyta.

340

Jacek przytulił ją do siebie jeszcze mocniej.

- Widzę, że nie darujesz mi tej książki. Umówmy się tak, że przeczytam ją naszemu dziecku.

Nie mógłby znaleźć lepszej deklaracji, żeby ją zobaczyć.

- Dobrze. - Zawahała się na moment, ale potem postanowiła zapytać: - Jacusiu, o tym naszym dziecku mówisz tak w nieokreślonej przyszłości czy może chciałbyś, żebym odstawiła pigułkę?

Jacek z początku nie odpowiedział. Jeszcze jakby nie w pełni uwierzył, że ma dziewczynę, że stworzył prawdziwy związek, że ten inny świat - bo to był inny świat - w którym się znalazł, jest realny, a już padało pytanie, czy chce zostać ojcem, czy mają przejść od etapu pary do etapu rodziny. Ale przecież od pierwszego dnia widział w nich rodzinę, to on mówił o dzieciach, nie Edyta. Choć rzeczywiście nie myślał przy tym o najbliższej przyszłości, w ogóle nie wyznaczał żadnych ram czasowych. Są takie wydarzenia, o których człowiek wie, że nastąpią, że muszą nastąpić, ale odsuwa je w przyszłość i dopiero pytanie „kiedy?” uświadamia mu, że właściwie nic nie stoi na przeszkodzie, by nastąpiły już teraz. I dlatego odpowiedział:

- Jeśli tego też chcesz, to odstaw.

*

Na Męcińskiego podjechali własnym samochodem.

Pomysł kupna wyszedł od Jacka.

- Edytka, masz prawo jazdy? - zapytał, zapominając, że Edyta prowadziła auto, kiedy uległa wypadkowi.

Przypomniała mu to.

- Zrobiłam jeszcze w liceum. Namówiła mnie koleżanka, nie chciało jej się samej chodzić na kurs. A straszna była z niej samochodziara, jak tylko skończyła siedemnastę lat, chciała zrobić prawko. Nie mogła wziąć swojej

341

najlepszej przyjaciółki, bo tej do siedemnastki brakowało paru miesięcy.

- Myślałem, że samochodziary to takie dziewczyny, które lecą na chłopaków z samochodami.

- To są blachary. Zresztą ta też leciała, z tą różnicą, że nie chciała być wożona, tylko sama prowadzić. Był w naszej klasie jeden taki, co strasznie się w niej kochał, ale nie miał szans, bo jego rodzice nie mieli samochodu. Ta dziwka wolała jakiegoś obleśnego typu, chyba z dziesięć lat starszego od nas, którego jedyną zaletą było to, że miał kasę na samochód. I żeby jeszcze na jakiś wypasiony model, ale gdzie tam, jeździł rzęchowatym polonezem.

- Oj, czemu tak nieładnie o niej mówisz?

- Bo kiedyś po kursie miała chwilę słabości i zwierzyła mi się, że tak naprawdę to kocha tego chłopaka z naszej klasy. A dla mnie to najgorszy szczyt kurewstwa.

- Edyta!

- No tak. Bo rozumiem jeszcze, jak kobieta do żadnego nie czuje mięty i wybiera faceta na podstawie innych kryteriów, to wtedy kasa jest tak samo dobrym jak każde inne. Ale kochać jednego, a pójść z drugim, tylko dlatego, że ten pierwszy nie ma kasy, to tak jak mówię. Żeby wiedziała, że z niej taka zdzira, w życiu nie zgodziłabym się pójść z nią na ten kurs. A czemu pytasz, czy mam prawo jazdy?

- Bo pomyślałem, że może byśmy kupili samochód.

Po co mamy wydawać pieniądze na taksówki, skoro ty możesz prowadzić. No właśnie, to twoje prawo jazdy jest

teraz ważne?

Jacek przeciągnął ręką po nogach Edyty, dając do zrozumienia, że chodzi mu o to, czy Edyta ma uprawnienia do prowadzenia samochodu dla niepełnosprawnych, skoro prawo jazdy zdobyła przed wypadkiem.

342

- Nie wiem, ale pewnie tak. Bo przecież to nie tylko kwestia technicznej obsługi samochodu, ale też czy raczej przede wszystkim umiejętności poruszania się zgodnie z przepisami i w sposób bezpieczny dla innych. A kierowanie samochodem samymi rękami nie jest chyba tak skomplikowane, żeby wymagało zdobywania odrębnych uprawnień.

- No to co? Kupujemy samochód?

- A masz pieniądze? Czy wzięlibyśmy na kredyt?

- Nie masz, tylko mamy, teraz to są nasze wspólne pieniądze.

- A co byśmy sobie kupili? Tico?

Jacek roześmiał się, był tak rozbawiony, że złapał się za brzuch i zaczął tarzać się po podłodze.

- Tico... nie mogę...

- No co? - Edyta była zdezorientowana. - Przecież to całkiem dobry samochód.

- Dobry samochód... ha, ha...

Edyta musiała przeczekać kolejny atak śmiechu, zanim Jacek podniósł się, otarł łzy, które pociekły mu z rozbawienia, i wyjaśnił:

- Przypomniało mi się, jak z Krzyśkiem i Basią na początku lat dziewięćdziesiątych kupowaliśmy tico, oczywiście nie dlatego, że to taki dobry samochód, tylko na nic lepszego nie było ich stać. Wybraliśmy się do salonu, gdzie natknęliśmy się na ordynatora Krzyśka. Cudaka, dla którego istniały tylko dwie rzeczy: praca i samochody. Lekarze pokpiwali z niego, że tyle samo czasu spędza w szpitalu i salonach samochodowych. No i jak zobaczył Krzyśka, to się ucieszył: „O, dzień dobry, panie kolego! Kupuje pan samochód? Bardzo dobrze. A jaki, jeśli można wiedzieć?”. „Tico” - powiedział Krzyśiek. Na to ordynator pokręcił z dezaprobatą głową: „Oj nie, nie, tico nie”. I dodał, z lubością przeciągając nazwę marki: „Mondeo. To jest samochód”.

343

Jacek ponownie się roześmiał.

- No i my właśnie kupimy sobie mondeo.

Była to przenośnia, ale rzeczywiście stanęło na fordzie mondeo mimo słabych protestów Edyty, że mogliby zadowolić się czymś skromniejszym. Jacek nie chciał słyszeć o jakimkolwiek oszczędzaniu czy ograniczeniach w wyposażeniu samochodu.

- ABS, stabilizator toru jazdy, poduszki powietrzne, boczne też - wymieniał pracownikowi salonu, czego oczekują.

- Ale... - usiłowała wtrącić swoje trzy grosze Edyta.

- Cii, kotku, przecież nasz samochód musi być bezpieczny, chyba nie chcesz, żeby naszemu dziecku coś

się stało.

Kiedy Jacek zamawiał skórzaną tapicerkę, podgrzewane siedzenia i automatyczną klimatyzację, Edyta już nie protestowała; nie mogła wprawdzie dostrzec związku tego luksusowego wyposażenia z bezpieczeństwem, ale domyśliła się, że ich dziecko musi również mieć odpowiedni komfort.

- Mocniejszy silnik też poprosimy - kontynuował Jacek swoją listę życzeń. - Jeden osiem jest akurat. Już dobrze ciągnie, a jeszcze nie żre paliwa jak smok. Trzeba myśleć ekologicznie i ekonomicznie.

W ramach myślenia ekonomicznego za samochód wyszło grubo ponad sto tysięcy. Którą to kwotę sprzedawca podał z wyraźnie złośliwą satysfakcją. Był przekonany, że Jacek - który nie pytał o ceny poszczególnych elementów - spodziewał się znacznie niższej kwoty i teraz zaczyna się rezygnowanie a to z tapicerki, a to z klimatyzacji, aż zostanie na powrót goła wersja.

- Bierzemy - powiedział Jacek.

Edyta tylko jęknęła, a sprzedawca odczuł nagły przyptyw szacunku dla tej kalekiej pary, której z początku nawet 344

nie chciał obsługiwać; nie spodziewał się, że cokolwiek kupią, tymczasem premia od sprzedaży stanowiła istotny składnik jego pensji; ale jego kolega akurat gdzieś zniknął, a on nie mógł dłużej ignorować klientów, wyraźnie czekających na obsługę, ani zniecierpliwionych spojrzeń

kierownika salonu.

- Oferujemy państwu rozmaite możliwości kredytowania. Kredyt pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Wpłacają państwo połowę wartości samochodu przy zakupie, resztę po roku bez żadnych odsetek. Gdyby po roku okazało się, że na przykład źle zainwestowali państwo pieniądze i nie będą mieli państwo na spłatę, współpracujący z nami bank zobowiązuje się udzielić państwu kredytu na najkorzystniejszych oferowanych w danej chwili warunkach.

Trudno było nie docenić inwencji sprzedawców samochodów, którzy mając pełną świadomość, że klient ledwie wskrobał na pierwszą wpłatę, a na drugą nie ma i wychodzi z założenia, że będzie się o to martwić za rok, potrafili się na taką ewentualność zabezpieczyć i jeszcze przedstawić to zabezpieczenie w formie podbudowującej ego klienta.

- Drugą możliwością jest zwykły kredyt, też może być korzystny, bo...

- Płacimy gotówką, nie potrzebujemy kredytu - przerwał mu Jacek. - Jaki wtedy dostaniemy rabat?

Sprzedawca wyglądał teraz tak, jakby chciał ukłonić im się w pas i gdyby nie siedział, pewnie by to zrobił. Edyta, której od początku kojarzył się ze szczurkiem, poczuła do niego jeszcze większą niechęć. Nie lubiła ludzi, którzy mierzyli innych miarą posiadanych przez nich pieniędzy. Na dodatek, kiedy okazywało się, że pieniądze mają ci, którzy na majątnych nie wyglądali, szczurkopodobni nie

potrafili ukryć zmiany swojego stosunku od lekkiej pogardy do pełnej uniżoności.

345

Jackowi natomiast imponowanie pieniędzmi sprawiało wyraźną przyjemność. Nie definiował się wprawdzie przez pieniądze, nie uważał, że jest lepszy od innych, bo więcej zarabia, ale Edyta pomyślała, że mimo to musi z tą jego postawą zaważać. I ze skłonnością do rozrzutności, która - wzięwszy pod uwagę oszczędności, jakie zgromadził - najwyraźniej pojawiła się u niego dopiero, kiedy się związali.

Choć prowadząc ich nowiutkie mondeo, była zadowolona, że Jacek nie posłuchał jej słabych protestów: tak przyjemnie kierowało się tym luksusowym samochodem, tak wygodnie w nim jechało.

Czujnik parkowania zasygnalizował, że do auta za nimi nie należy się już bardziej zbliżać, i Edyta wcisnęła hamulec, zaciągnęła ręczny i zgasiła silnik. Jacek wysiadł z samochodu, wyciągnął z bagażnika wózek, po czym pomógł wsiąść Edycie. Błysk świateł i krótki sygnał dźwiękowy poinformowały, że mondeo zostało zamknięte pilotem.

- Źle zrobiliśmy - zreflektował się Jacek. - Powinienem najpierw wnieść wózek, a dopiero potem wysadzić cię z samochodu i wnieść.

- Może lepiej nie, wiemy, jak się skończyło ostatnim razem, kiedy mnie niosłeś, a nie będziemy sąsiadom twojego brata robić widowiska - uśmiechnęła się Edyta. - Krzysiek

z Basią mieszkają na parterze czy na piętrze?

- Na parterze.

- No to na tyle schodków mnie wciągniesz. Albo zadzwoń po brata, żeby nam pomógł.

- Wciągnę cię - zdecydował Jacek; nie chciał, żeby Krzysiek zaczynał znajomość z jego dziewczyną od tego, że trzeba jej pomóc, bo on sam nie daje rady.

Kierowany przez Edytę podprowadził wózek do schodków przed bramą, odwrócił się razem z wózkiem i wciągnął go

346

tyłem. Potem powtórzył operację na wyższych schodach prowadzących na pierwszą kondygnację.

Lekko zdyszany zadzwonił do drzwi. Drugą ręką ścisnął Edytę za ramię, tak mocno, że aż ją zabołało. Stłumiła syknienie, świadoma, że powoduje nim zdenerwowanie.

W głębi mieszkania rozległy się szybkie kroki i drzwi gwałtownie otworzyła Klaudia.

-Wuj...! - Urwała, zaskoczona widokiem Edyty.

- O, dzień dobry - dygnęła.

- Dzień dobry - przywitała się Edyta, wyciągając rękę.

- Jestem Edyta, dziewczyna twojego wujka.

Ponieważ w tej chwili za Klaudią, która ponownie dygnęła i przedstawiła się, pojawiła się reszta rodziny, problem Jacka, jak ma zakomunikować bratu i bratowej, że znalazł sobie dziewczynę, rozwiązał się samoistnie.

- Strasznie się cieszymy - powiedziała Basia.

- Zapraszamy do środka. Basia jestem.

Nastąpiła ogólna prezentacja, po której Klaudia stwierdziła:

- Ale ja wolałam, jak wujek przychodził z Argonem.

Wszyscy się roześmiali, a Klaudia wyjaśniła, cała czerwona:

- To znaczy nie, że źle, że z panią, tylko fajnie było, jak był Argo, bo bardzo go lubię.

- Mów mi po imieniu - zachęciła Edyta. - I nie jest wcale tak, że jak twój wujek będzie przychodził ze mną, to bez Argona. Tylko że ja też mam psa, jamniczkę, wabi się Fasolka, i oboje z Argonem bardzo się lubią i nie chcą się rozstawać, a pomyśleliśmy sobie, że na pierwszy raz byłoby nas za dużo...

- Wcale nie - zaproponowała Basia. - Spokojnie mogliście je wziąć. Tak że następnym razem zapraszamy całą czwórkę.

347

- Jasne - dołączył się Krzysiek. - Cieszę się, że wreszcie poznaliśmy powód, dla którego Jacek przestał nas odwiedzać, bo już się martwiliśmy, że stało się coś nieprzyjemnego, a tymczasem okazuje się, że miał bardzo urodziwy powód.

Edyta podziękowała uśmiechem za komplement, a Jacek poczuł dumę i ulgę. Dumę, bo nie pierwszy raz słyszał, że ma ładną dziewczynę i wiedział, że nie był to czczy komplement, ulgę, bo mimo wszystko gdzieś w głębi obawiał

się tego, jak Basia i Krzysiek przyjmą Edytę, czy jednak nie będą zdania, że ze względu na swoje ograniczenie powinien znaleźć pełnosprawną dziewczynę, i czy tej opinii w jakiś sposób nie wyrażą. Nie wprost, ale sugestią, tonem głosu, chłodniejszym przyjęciem. Płonne obawy, jak się okazało; nikt nie mógł mieć najmniejszych wątpliwości, że Basia i Krzysiek nie tylko od razu zaakceptowali Edytę, ale i poczuli do niej niewymuszoną sympatię.

Co zresztą potwierdził Krzysiek, który przepuścił kobiecą część rodziny do pokoju, objął Jacka za ramię i powiedział mu na ucho:

- No, no, z wyglądu i z pierwszego wrażenia to mogę tylko powiedzieć, że warto było zaczekać. Gratuluję.

- Dziękuję.

Jacek chciał dodać coś w stylu, że owo pierwsze wrażenie jest trafne, że jest z Edytą bardzo szczęśliwy, ale poprzestał na tym jednym „dziękuję”. Zdawał sobie sprawę, że brat bardzo go kocha i przejmuje się jego samopoczuciem, a w tej chwili cieszy się razem z nim, ale jakoś kwestii szczęścia nigdy w rozmowach nie poruszali.

We wzajemnej relacji chyba łatwiej przychodziło im wyrażać uczucia czynami niż słowami. Zresztą nie musiał nic mówić. Krzysiek bez wątpienia dostrzegł zmianę jego nastroju: rezygnację, zniechęcenie, poczucie bezsilności, gorzką aurę będącą efektem samotności zastąpiły radość,

348

przekonanie o własnej wartości, wewnętrzna siła pozwala-

jąca przenosić góry, tchnąca na zewnątrz optymizmem. Jak niewiele trzeba człowiekowi, pomyślał Jacek, żeby zmienić swe nastawienie do świata. Albo jak wiele, wzięwszy pod uwagę, jak ciężko to zdobyć.

Weszli do pokoju za dziewczynami. Basia, Marzena i Klaudia zachwyciły się właśnie pierścionkiem Edyty.

- Śliczny!

- Przecudny!

- Piękny!

- Zobacz, Krzysiek, jaki Jacek dał Edycie śliczny pierścionek zaręczynowy.

- Zaręczynowy? No to macie niezłe tempo, dobrze że zdążyliście odwiedzić nas przed ślubem. - Krzysiek z udawaną pretensją zmierzwił Jackowi włosy. - Ale w takim razie dziewczynki nie mogą ci mówić „pani” czy po imieniu, tylko „ciociu”.

- A kiedy planujecie ślub? - zapytała Basia.

- W zasadzie jeszcze nie zaplanowaliśmy, ale chyba będziemy musieli... - Jacek urwał, nie uzgodnił z Edytą, czy może wyjawić, że zdecydowali się na dziecko. - Nie chcemy być narzeczonymi w nieskończoność.

Stół czekał już nakryty; usiedli do niedzielnego obiadu.

Rozmowa skupiła się na Edycie, bo Basia i Krzysiek ciekawi byli przyszłej szwagierki i bratowej. Wśród licznych pytań padło i to:

- Co się stało, że nie chodzisz?

Ale pytanie bez niezdrowej ciekawości, zadane z natu-

ralnością, która uderzyła Edytę od samego początku wizyty.

W tej rodzinie niepełnosprawny nie był czymś niezwykłym, jego pojawienie się nie zmieniało ustalonego porządku rzeczy, nie był kimś, przed kim zamykało się drzwi, ale też nie brało się go pod parasol ochronny. Niepełnosprawność postrzegano tu jak kolor włosów i fryzurę: coś tam mówi

349

o człowieku, o jego wyglądzie, ale nie o charakterze.

Dopiero teraz Edyta uświadomiła sobie, że Jacek, który cały czas przejmował się, jak powiedzieć swojej rodzinie, że ma dziewczynę, ani przez chwilę nie przejmował się, jak powiedzieć swojej rodzinie, że ma dziewczynę na wózku.

Wiedział - co się potwierdziło - że nie będzie miało to dla nich najmniejszego znaczenia.

- Miałam wypadek. Samochodowy.

- Dobrze, że dodałaś. Kiedyś, jak dorabiałam jeżdżeniem w pogotowiu, zostaliśmy wezwani do wypadku - Basia, widząc po minie Edyty, że ta nie ma ochoty rozwijać tematu, zręcznie przeszła od jej odpowiedzi do opowiadania historii. - Wzywający nie uszczegółowił, więc dyspozytor przyjął, że do samochodowego, bo zwykle taki rozumie się przez gołe określenie „wypadek”. Zresztą wezwanie było na ulicę, a nie do budynku. No i posłano naszą karetkę, bo jeździły w niej same żółtodzioby, a wypadek samochodowy to jednak rutyna. Przyjeżdżamy na podaną ulicę, nic tam nie ma, tylko fabryka, już zaczęliśmy ochrzaniać dyspozytora, zresztą i tak mu się należało, bo powinien

dopytać o szczegóły, a nie słać karetkę niemal w ciemno, kiedy z fabryki wypada jakiś mężczyzna, krzyczy, jakby go zarzynali, i woła nas do środka. Co się okazało. Niemcy montowali w tej fabryce taśmociąg, uruchomili go, pech chciał, że jeden z polskich robotników wlaź do środka, no i go poharatało.

- A po co on tam wlaź? - zapytał Jacek.

- Pewnie jakieś śrubki podokręcać. Oni podobno regularnie wchodzili do tego taśmociągu, problem polegał na tym, że przed wejściem należało odciąć dopływ prądu.

Niemcy odcinali, Polacy nie, nie chcieli im się, mieli za daleko do wyłącznika. No i jak Niemcy przystąpili do próbnego uruchamiania, nie przyszło im do głowy, żeby sprawdzić, czy ktoś jest w środku, prąd płynął i dla

350

nich było to wystarczające potwierdzenie, że nie. Skąd mogli wiedzieć, że polscy robotnicy będą do tego stopnia lekceważyć warunki bezpieczeństwa. Tak się tłumaczyli w prokuraturze, bo prokurator postawił im zarzuty.

- Zarzuty o co? - obruszył się Krzysiek. - Że polski robot jest ciężkim idiotą? I my się oburzamy, jak Niemcy mówią, że Germanów i Słowian dzieli przepaść cywilizacyjna.

- Już nie mówią - zauważył Jacek.

- Słusznie. Teraz się zrobili politycznie poprawni, wpuścili nas do Unii i udają, że naród, który wybrał sobie na przywódców bliźniaków mających kwalifikacje na kacyków afrykańskiego plemienia, jest na tym samym

stopniu rozwoju co oni. Choć teraz jest szansa, że za tydzień w wyborach przynajmniej jeden z Kaczyńskich wyleci, po tym jak przerznął debatę z Tuskiem.

- A co się stało z tym robotnikiem? - zapytała Edyta, po części z ciekawości, po części dlatego, że nie chciała, żeby rozmowa zeszła na politykę.

- Był tak pokiereszowany, że zmarł jeszcze w tym taśmociągu. Kto wie, czy nie na szczęście dla nas, bo nie jestem pewna, czy takie żółtodzioby poradziłyby sobie z jego skomplikowanymi obrażeniami. I też mielibyśmy na karku prokuratora.

- Jak skończyła się sprawa w prokuraturze? - był ciekaw Krzysiek.

- Nie wiem - powiedziała Basia. - Przesłuchano nas w charakterze świadków, ale potem już nie wzywano. Nie wiem, czy dlatego, że nasze zeznania nic nie wnosiły, czy dlatego, że do rozprawy w ogóle nie doszło.

- Jak znam życie, nie mogło nie dojść, przecież to byłoby sprzeniewierzenie się naczelnej zasadzie: „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz”.

- Przesadzasz, to się wydarzyło ładnych parę lat temu, wtedy nie było takiej antyniemieckiej fobii jak teraz.

351

- Może masz rację - zgodził się Krzysiek i podniósł kieliszek z winem. - To za naszą świeżo upieczoną parę... abstynentów - dodał, widząc, że do toastu dołączyła się tylko jego żona. Edyta nie piła, bo prowadziła samochód,

Jacek tradycyjnie unikał alkoholu.

Łyknął wina i pochwalił kulinarną maestrię swojej połowicy:

- Basiu, ten kurczak udał ci się wybornie.

- Dziękuję, ale to były medaliony z indyka.

- Wiedziałem, że drób. - Krzysiek nie dał się zbić z pan-
tałyku. - Co na deser?

- Przynieśliśmy wuzetki - powiedziała Edyta.

- Uwielbiam wuzetki. Tak bardzo, że sam je podam.

Krzysiek podniósł się od stołu i poszedł do kuchni.

Po chwili zawołał:

- Robię kawę! Dla kogo?!

Edyta z Jackiem lekko unieśli ręce.

- Dla wszystkich! - odkrzyknęła Basia.

Po jakimś czasie dało się słyszeć bulgotanie ekspresu
i Krzysiek ceremonialnie podał kawę i ciastka.

-Bratowo, pani doktor, panie magistrze... sfero bu-
dżetowa.

- Tato! - zaprotestowały dziewczynki.

- No co? Przecież jesteście sfera budżetowa: pieniędzy
do gospodarstwa domowego nie wkładacie, ale ciągle
krzyczycie o podwyżki. Kto narzeka, że ma za małe kie-
szonkowe?

- Bo jest za małe - powiedziała z naciskiem Marzena.

- Mam chyba najniższe kieszonkowe z całej klasy.

Krzysiek nie przejął się tym upośledzeniem własnego
dziecka w relacjach społecznych.

- Powiedziałem. Dorób do kieszonkowego, to dołożę tyle, ile sama zarobisz. Możesz roznosić ulotki albo popilnować komuś dziecka.

352

- Komu?!

- A mało to ludzi potrzebuje opiekunki? Wystarczy wejść do Internetu i poszukać ogłoszeń. Albo samej zamieścić. Mam nadzieję, że skoro od tylu lat łożę na twoją edukację, to czytać i pisać już potrafisz.

Marzena mruknęła, że w cywilizowanych krajach praca dzieci jest zakazana.

- Dzieci tak, ale nie leniwych szesnastolatek. Zresztą, jak ci dwoje się pobierają, to może niedługo nie będziesz musiała szukać zleceniodawców.

Edyta i Jacek uśmiechnęli się do siebie.

- Ale dobrze, że na dziecko czeka się dziewięć miesięcy, bo na razie nie mam, żeby ci dołożyć. Muszę się wykosztować na nowy fotel do gabinetu.

- Już zmieniasz? - zdziwiła się Basia. - Przecież ten stary wcale nie był stary.

- Stary nie był, ale poszedł w drzazgi, jak siadło na nim dwustukilowe babsko, to jest, pardon, pacjentka.

Na szczęście nie przy mnie, Andrzej wtedy przyjmował.

Andrzej to mój wspólnik, z którym razem prowadzimy gabinet - wyjaśnił Edycie. - Bo ja bym się wściekł, zwyzywał babę, a ten bardziej przejął się babskiem niż fotelem.

Pielęgniarka mówiła mi, że stał nad nią i wołał: „Proszę

pani, proszę pani! Nic się pani nie stało?", zamiast połamać na niej ten fotel do końca!

- Krzysiek! - Basia była wyraźnie zaniepokojona, jak Edyta przyjmie, że lekarz tak wyraża się o pacjentce. - Ty, Edyta, nie traktuj zbyt poważnie tego, co mój małżonek mówi, jest zły, że babka rozwaliła mu fotel, ale jakby był tam na miejscu, też najpierw by jej pomagał.

- Guzik bym pomagał. - Krzysiek nie zamierzał wypadać z roli. - Wykopałbym z gabinetu. Jak można spaść się do tego stopnia, że się meble łamią? Przecież to degrengolada. I nawet nie możemy pozwać jej o odszkodowanie.

353

Prawnik powiedział, że wcale nie jest pewne, że wygramy sprawę. A koszty sądowe i adwokackie są takie, że w Polsce na dochodzenie sprawiedliwości bez pewności wygranej stać tylko bogatych.

- Ja kiedyś korzystałem z usług dobrej prawniczki - powiedział Jacek, popijając kawę. - Wiesz, w sprawie linijki brajlowskiej. Mógłbym ci dać kontakt.

- Prawnika to my mamy dobrego, sęk w tym, że baba nie połamała nam krzesła celowo, więc sąd może uznać, że to wypadek, za który nie ponosi winy, nie musiała wiedzieć, że fotel nie wytrzyma jej ciężaru. I że to my powinniśmy sprawdzić, czy fotel się pod nią nie załamał.

- Krzysiek z oburzenia zamachał rękami. - Rozumiecie? Andrzej miał wiedzieć, że babsko waży dwieście kilo i że fotel tego nie wytrzyma. Co my jesteśmy, okuliści czy

wagowi mamucich bab?!

- To może pozwać producenta fotela? - zaproponowała Edyta.

- Też nam prawnik odradził. Taki numer przeszedłby w Stanach, bo oni są jeszcze bardziej pokopani od nas. Co zresztą mogło wyjść z mieszanki dwóch popierdolonych narodów?

- Krzysiek! - Basia miała za złe mężowi, że przeklina przy dziewczynkach i Edycie.

- Sorry, ale tak jest, bo tylko polscy i irlandzcy imigranci do spółki z włoską mafią i afrykańskimi niewolnikami potrafią zorganizować społeczeństwo, w którym firma, w tym wypadku McDonald's, buli milionowe odszkodowanie za to, że klient kretyn wylał na siebie herbatę i się poparzył.

- Ale latają na Księżyc - zauważył Jacek.

- To trzeba im przyznać - zgodził się Krzysiek. - My też miewamy sukcesy. Tyle że nie biorą się one z naszej normalności, ale jakby wbrew naszej nienormalności.

354

- Dogadałbyś się z Romkiem, moim sąsiadem, który poznał mnie z Edytą. Też za wysoko Polaków nie ceni.

- A są tacy, co cenią? Polonofile? To powinno zostać zakwalifikowane jako jednostka chorobowa.

- Dobrze, że ojciec dyrektor cię nie słyszy, wykląłby cię w radiu i powiedział, że plujesz na prawdziwych Polaków

- zauważyła Basia.

Krzysiek nie dostrzegł ironii.

- Jak ten klecha jest prawdziwym Polakiem, to ja na pewno jestem nieprawdziwym!

- Dobrze, już dobrze. Czemu nie powiedziałaś wcześniej o tym fotelu? Przecież to poważna sprawa.

- Wiem, ale tak się nadenerwowałem w pracy, że nie chciałem denerwować się w domu po raz drugi, opowiadając całą historię.

Nikt się do tego nie odniósł i przy stole zapanowało milczenie. Włączony telewizor zabrzmiał na tym tle głośniejszy, ale ponieważ akurat pokazywany był jakiś film przyrodniczy, nie dostarczył tematu do dalszej rozmowy.

- To mówicie, że macie teraz dwa psy? - ni to stwierdziła, ni zapytała Basia, kiedy odgłosy spożywania deseru zasygnalizowały, że milczenie zaczyna obecnym ciążyć.

- Tak - Edyta podjęła temat z wyraźną ulgą. - Fasolka też jest na wózku, jak ja. Przybłąkała się, pierwszy raz zobaczyłam wtedy psa wózku.

- Jak na wózku? - Klaudia nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

- Ma tylne nogi sparaliżowane i ułożone na takim specjalnym wózek, na przednich normalnie biega.

-Aha.

- Wiecie co, jak was jest teraz dwoje, to koniecznie musimy nauczyć was grać w brydża - wypalił Krzysiek, najwidoczniej w ogóle niezainteresowany tematem psów.

- Chyba że ty, Edyta, już umiesz?

- Nie, ale jak Jacek sobie poradzi?

- Żeby wiedział, że będziemy grali, zabrałbym z domu moje brajlowskie karty.

- Nie szkodzi, jedna z bratanic, które w niedziele chodzą po ścianach z nudów, będzie ci asystować. Każdy wykładający kartę mówi, co kładzie, a partner informuje cię, jakie karty ma dziadek.

- Dziadek? - zdziwiła się Edyta.

- Z pary, która wygrała licytację, rozgrywa tylko jedna osoba, druga wykłada swoje karty i jest tak zwanym dziadkiem. Instytucja dziadka jest rewelacyjna, dzięki niej można w brydża grać godzinami bez przerwy, bo będąc dziadkiem, można pójść do toalety czy zaparzyć innym kawę, nie trzeba w tym celu robić specjalnych przerw. To jak, macie ochotę na pierwszą lekcję?

Ani Edyta, ani Jacek nie pałali wprawdzie entuzjazmem, z typową dla większości ludzi rezerwą wobec rzeczy nowych, ale w niedzielne popołudnie podczas wizyty u rodziny nauka brydża była zajęciem równie dobrym jak każde inne.

- Czemu nie.

- Świetnie - ucieszył się Krzysiek. - Klaudia, przynieś karty. Są w pudełku na półce ze słownikami, tylko weź obie talie. Marzena, będziesz asystować wujkowi.

- Nie chcę - zaprotestowała Marzena. - Wolę poczatować z koleżankami, niż patrzeć, jak rżniecie w karty.

- Po pierwsze, nie rżnicie, bo brydż nie jest grą w karty, tylko za pomocą kart, po drugie, co to za słowo „pocztować”, czatować można w zasadzce, po trzecie, w tym domu niedziela jest dniem bez komputera, po czwarte, jak nie chcesz pomóc innym, to pamiętaj, że inni ci nie pomogą, kiedy ty będziesz tej pomocy potrzebowała, po piąte...

- Ale zrządzisz - przerwała mu Marzena. - Robisz się na starość zrządzą!

356

Poderwała się gwałtownie od stołu i po chwili usłyszeli huk zatrzaskiwanych drzwi jej pokoju.

- Nastolatki - mruknął Krzysiek.

- To swoją drogą - przyznała Basia. - Ale rzeczywiście jesteś wobec niej trochę zbyt apodyktyczny.

- Mówisz? Okej, postaram się nad tym popracować.

Porozmawiam z nią.

Krzysiek chciał się podnieść, ale Basia go powstrzymała.

- Teraz nie. Teraz jest rozżalona, zła na ciebie i na cały świat, nie trafisz do niej nawet przeprosinami. Wieczorem, jak ochłonie.

- Co ja bym bez ciebie, żoneczko, zrobił? - Krzysiek przechylił się przez stół i pocałował Basię. - Faktycznie niepotrzebnie na nią wsiadłem, bo na początku i tak będziemy grali w otwarte karty. O, jesteś!

Krzysiek wziął od Klaudii obie talie kart. Uprzątnęli stół i Basia przystąpiła do rozdawania, a Krzysiek do tłu-

maczenia. Wprowadził ich w tajniki licytacji, naturalnych i sztucznych odzywek, wyjaśnił pojęcia kontra i rekontra, szlem i szlemik, pokazał przykładową rozgrywkę, nauczył impasować.

Potem zagrali dwa rozdania, kierując się wskazówkami Krzyśka.

- Dobra, starczy na dziś tego brydża - zdecydował w końcu. - Najgorsze, co można zrobić na pierwszej lekcji, to wtłoczyć uczniowi do głowy tyle informacji, że wszystko mu się miesza. Następnym razem nauczę was zapisu.

- Masz dryg do tłumaczenia - pochwaliła Edyta. - Byłbyś dobrym nauczycielem.

- No i czemu ja mam talent do wykonywania prac, za które w tym kraju nie chcą dobrze płacić? Lepiej by było, jakbym się wrodził w mojego brata i miał uzdolnienia informatyczne.

357

- Tak? Pokaż lekarzu, co masz w garażu! - zaśmiał się Jacek. - Twój przyszły szwagier - zwrócił się tonem wyjaśnienia do Edyty - wóz zmienia co cztery lata, a obecnie jeździ nową hondą civic.

- No wiesz, Jacek, nie myślałem, że ty będziesz cytował demagogów - oburzył się Krzysiek. - Muszę robić na dwóch etatach, żeby na tę hondę było mnie stać. A przecież lekarz nie może być przemęczony, poza tym powinien się dokształcać. Kiedy, pytam się, jak ze szpitala gnam do prywatnego gabinetu, a stamtąd na dyżur?

- Wiem, wiem, ale akurat to powiedzenie mi się spodobalo. Są tacy, co muszą robić na dwóch etatach, żeby przeżyć, a nie żeby kupić sobie lepszy samochód.

- Ty mi tu nie wyjeżdżaj z socjalistycznymi ciągotami, tylko jak już mowa o dobrych samochodach, pokaż, co wy kupiliście.

- To chodź. Będziemy się chyba zbierać, Edytka?

- Okej.

- Posiedźcie jeszcze - zaprotestowała Basia.

- Tak jak Krzysiek powiedział, za pierwszym razem nie można przesadzać. - Jacek nie dał się namówić.

- Odprowadźcie nas do samochodu, to go zobaczycie.

Jacek i Edyta ubrali się i cała czwórka wyszła przed dom. Beżowe mondeo połyskiwało lekko w październikowym słońcu.

- Ładny kolor - zauważyła Basia.

Krzysiek i Jacek zaśmiali się.

- No i z czego się śmiejecie? - obruszyła się Basia, wkładając dłonie pod pachy; mimo świeżącego słońca było już chłodno.

- Z tego, że dla kobiety w samochodzie najważniejszy jest kolor lakieru - wyjaśnił Krzysiek.

- Tak? A kto pół godziny deliberował, w jakim kolorze wziąć hondę? - odcięła się Basia.

358

- Deliberował, deliberował. Nie deliberowałem, tylko dokonywałem wyboru po rozważnym namyśle.

- Aha, ciekawe, że elementy wyposażenia nie wymagały tak dogłębnego namysłu.

- Bo zastanowiłem się nad nimi wcześniej, nad kolorem nie mogłem, nie mając go przed oczyma.

- Chcecie się dalej kłócić - wtrącił się Jacek - czy może przystąpicie w końcu do podziwiania naszego samochodu?

I na zgodne zapewnienie, że całą uwagę skupiają na mondeo, z dumą opowiedział o wszystkich bajerach, po czym zaprosił na przejażdżkę.

- No, Jacek - odezwał się Krzysiek, kiedy usadowili się z Basią na tylnym siedzeniu. - Tylko ci pozazdrościć. Mężczyźnie do szczęścia potrzeba nowej kochanki albo nowego samochodu, a ty masz jedno i drugie.

Basia wymierzyła mu sójkę w bok.

- Au! Za co?

- Jak to za co? Za te szowinistyczne uwagi. Jeszcze jedna i będziesz dzisiaj spał na kanapie.

- Wtedy znajdę sobie nową kochankę i też będę szczęśliwy.

Basia ponowiła sójkę.

- No nie, kobieta mnie bije! - zawył Krzysiek, starając się naśladować Stuhra, co wyjątkowo mu się udało.

Edyta aż odwróciła się z wrażenia.

- Stuhr jak prawdziwy - powiedziała z uznaniem.

- No pewnie, gdybym nie dostał pracy w oświacie, mógłbym zostać aktorem - oświadczył Krzysiek z żartobliwą chępliwością. - Jako okulista naprawdę się marnuję.

- Nie marnujesz się - sprzeciwił się Jacek. - Pomogłeś
bardzo wielu ludziom. Myślę, że to daleko ważniejsze niż
zabawianie publiczności.

- Tylko tobie nie umiałem pomóc - powiedział Krzysiek
nagle zupełnie poważnie i z jakąś złością w głosie.

359

Teraz Jacek odwrócił się do tyłu.

- Nie wszystko jest w ludzkiej mocy.

- Co nie zmienia faktu, że człowiek czuje się podle,
kiedy jest bezradny.

Objechali osiedle, wymieniając zdawkowe uwagi. Kiedy
przejażdżka dobiegła końca, Basia z Krzyśkiem wygramolili
się z auta, zachwalając komfort jazdy.

- Dobrze wydane pieniądze, bracholku. Nie powiem,
zainwestowane, bo samochód to nie inwestycja, traci
na wartości zaraz po wyjechaniu z salonu, tylko przedmiot
użytkowy, a w naszym cudownym kraju wciąż jeszcze
luksus.

- Zapraszamy też w przyszłym tygodniu, może dla
odmiany wpadniecie wieczorkiem, obejrzelibyśmy sobie
razem „Wieczór wyborczy” - powiedziała Basia i dodała wy-
jaśniająco: - Jacek wcześniej przychodził do nas co niedzielę
i jeśli ci, Edyta, to odpowiada, nie ma przeszkód, żebyście
teraz przychodzili do nas co niedzielę we dwójkę.

- Zadzwońmy jeszcze - Jacek nie dopuścił Edyty
do głosu, żeby nie deklarowała z grzeczności wizyt, na które
mogła nie mieć ochoty; chciał najpierw omówić tę kwestię

we dwoje. - Dziękujemy za obiad i za naukę brydża.

- To my dziękujemy, że w końcu przyszliście. Bardzo miło było cię poznać, Edyta. Trzymajcie się.

Basia i Krzysiek pomachali rękami na pożegnanie, kiedy mondeo odjeżdżało w stronę ulicy Ojca Beyzyma.

*

- Wracamy już do domu? - zapytała Edyta, kiedy wyjechała na Grabiszyńską i korzystając z wolnej drogi, zdecydowanie przyspieszyła.

-A co?

- Bo jeszcze nie mam ochoty. Myślałam, że posiedzimy trochę dłużej.

360

- Chciałaś jeszcze zostać? Czemu nie powiedziałaś?

Przecież o tym, kiedy wychodzimy, powinniśmy decydować wspólnie.

- Niby tak, ale ty znasz lepiej swojego brata, myślałam, że może nie wypada, żebyśmy przeciągali wizytę.

-Ale skąd! Tak szczerze powiedziawszy, stęskniłem się, żeby pobyć z tobą sam na sam. - Jacek chciał położyć rękę na dłoni Edyty, ale w porę uświadomił sobie, że w ten sposób przeszkodzi jej w prowadzeniu samochodu. - No i byłem ciekaw, jakie wrażenie zrobili na tobie Krzysiek i Basia.

- Bardzo pozytywne. Strasznie mili. Możesz mówić o szczęściu, że masz takiego brata.

- Tak. Zastąpił mi rodziców, ale wcześniej, przed ich

śmiercią, właściwie chronił mnie przed nimi, bo nie akceptowali mojej niepełnosprawności. Widzieli we mnie narzędzie kary Bożej za winy, do których się nie poczuli. A trudno kochać bicz, którym cię chłostają. Na szczęście był Krzysiek, bo inaczej zostałamby pewnie też emocjonalnym kaleką. Może jakbyś miała rodzeństwo, łatwiej znosiłabyś swoją matkę, siostra czy brat stanowiliby swego rodzaju bufor.

Edyta skinęła głową.

- Zawsze chciałam mieć rodzeństwo, choć niekoniecznie starszego brata, jak większość dziewczynek. Może dlatego, że wszystko, co dałby mi starszy brat, dawał mi tata. Ale brak siostry odczuwałam. A jeszcze miałam w podstawówce taką głupią babę od matematyki, przez którą czułam się gorsza, bo ciągle robiła nam wykłady, jacy to jedynacy są okropni, egoistycznie nastawieni i tak dalej.

- Rzeczywiście głupia, jak można nastawiać jedne dzieci przeciwko drugim?

- Ale zawsze kończyła swój wykład sakramentalnym:

„Mój Piotruś jednak wcale nie jest taki”.

361

Edyta zachichotała, rozbawiona tym wspomnieniem.

- Musimy mieć przynajmniej dwójkę - powiedziała.

- Chłopca i dziewczynkę?

- No właśnie nie. Obojętne. Grunt, żeby było rodzeństwo. Rodzeństwo wspiera się i w dzieciństwie, i w dorosłym życiu.

- W dzieciństwie to się raczej tłucze, a w dorosłym życiu kłóci.

- Jak zawsze wśród bliskich, ale jednak stanowi dla siebie oparcie. Do brata czy siostry możesz zwrócić się z prośbą o pomoc, o którą nie chcesz zwracać się do rodziców, a postronnych, nawet przyjaciół, głupio ci prosić. W zwykłych codziennych sprawach, ale i w poważnych.

- Masz rację. Zresztą nie mam nic przeciwko dwójce, a nawet trójce dzieci, chyba najtrudniej podjąć decyzję co do pierwszego, bo to duży przeskok. Psychiczenie i w ogóle... sytuacyjnie, że tak powiem. Ale cieszę się, że taką decyzję podjęliśmy.

- Ja też.

Obdarzyli się nawzajem uśmiechami.

- Gdzie jesteście? - zapytał Jacek.

- Na skrzyżowaniu Piłsudskiego i Świdnickiej. Przy tej rzeźbie, która przedstawia ludzi wychodzących z chodnika.

- To może pojedziemy nad Odrę od strony terenów wodonośnych, tam nikt się nie kręci, i posiedzimy sobie nad wodą?

- Świetny pomysł. Tylko jak mam tam jechać?

- Dojedź do Pułaskiego i z Pułaskiego skręcimy w Na Grobli.

- Na groblę.

- Na Grobli. Tak się nazywa ta ulica. Za skrzyżowaniem

Pułaskiego z Traugutta normalnie do nas jedziesz prosto

362

do mostu Grunwaldzkiego, a my skręcimy w prawo, przez most Oławski.

- Jak na niewidomego jesteś niezłym pilotem. Wiem, o który most chodzi, ale nie wiedziałam, że nazywa się Oławski.

- Bo płynie pod nim Oława, a nie Odra, choć wielu wrocławian nie zdaje sobie z tego sprawy, myślą, że to jakaś odnoga Odry.

- Też tak myślałam - przyznała Edyta. - Człowiek mieszka i nawet nie wie gdzie. Do mnie jakoś późno dotarło, że mieszkam na wyspie, słyszałam oczywiście określenie Wielka Wyspa, ale wydawało mi się, że to taka nazwa bez związku z treścią jak na przykład...

Edyta zatrzymała samochód na czerwonych światłach przed skrętem w Pułaskiego.

- No zabrakło mi przykładu, pomóż.

- Jak Grenlandia, która wcale nie jest zielona?

- Mniej więcej. Chyba dopiero na studiach obejrzałam sobie dokładnie mapę i dotarło do mnie, że Biskupin i Sępólno rzeczywiście leżą na wyspie, a przynajmniej woda zamyka je ze wszystkich stron i żeby się stamtąd wydostać, trzeba przejechać przez jakiś most. A że tych mostów nie ma za dużo, ciągle tworzą się korki.

- Zmora - przyznał Jacek - i nie skończą się, dopóki nie zostanie zbudowany Most Wschodni. Ale planują

go dopiero na dwa tysiące trzynasty, a jak znam polskie realia, zbudują w dwa tysiące osiemnastym. A że wrocławianie, wbrew temu, co mówi Krzysiek, kupują coraz więcej samochodów, Wielka Wyspa się zatka.

- Tę drogę też mogliby naprawić - powiedziała Edyta, kiedy mondeo po raz kolejny podskoczyło na wybojach Pułaskiego.

Ponieważ w niedzielne popołudnie ruch był umiarkowany, szybko wydostali się z centrum na ulicę prowadzącą

363

wzdłuż Odry i wyprzedzając rowerzystów, dotarli do rozjazdu, gdzie Międzyrzecka przechodziła w Opatowicką.

Ignorując znak zakazu, wjechali na tereny wodonośne i zatrzymali się w zatoczce przed niewielkim mostem, przerzuconym przez rzeczkę, której nazwy tym razem Jacek nie znał.

- Będziemy wysiadać czy posiedzimy w samochodzie?

- zapytała Edyta.

Jacek otworzył drzwi, żeby sprawdzić, jak jest na dworze.

Owionęło go chłodne powietrze.

- Zimno się zrobiło, to może zostaniemy w samochodzie.

Posłuchamy sobie muzyki. Na co masz nastrój? - zapytał, wyłączając radio, w którym leciała kolejna idiotyczna reklama sklepu nie dla idiotów.

- Na Cave'a.

Jacek sięgnął do schowka po płytę i po chwili z głośników popłynęło:

And no more shall we part

It will no longer be necessary

And no more will I say, dear heart

I am alone and she has left me

- Prawdziwa jesień już... Lubię jesień... - Edyta przechyliła się w stronę Jacka, oparła głowę na jego piersi, a on objął ją ramieniem. - Zawsze lubiłam tę niesamowitą kolorystykę koron drzew, o, taką, jak tamtego dębu przed nami: żółć, czerwień przechodząca w brąz i odchodząca zieleń. A odkąd jestem na wózku i rzadko wychodzę z domu, jesienią nie czułam się tak podle z tego powodu, jesień jakby usprawiedliwia depresję, jesienią nie trzeba być młodym, zdrowym i aktywnym jak latem, jesienią można sobie popłakać, jesień to pora ludzi samotnych.

364

- Więc nie jest już twoją porą - zauważył Jacek i pocałował ją w usta.

- Tak - przyznała - dzięki tobie. Tego roku przeżyłam swoje najpiękniejsze lato. Myślisz, że następne będą dla nas równie piękne?

- Podobno pierwsza faza miłości, takiego silnego zauroczenia, trwa przez cztery lata, ale ja wierzę, że będę tobą zauroczony przez całe życie.

- Myślisz, że to możliwe? Że pewnego dnia nie staniemy się takim ohydny, nienawidzącym się małżeństwem, ty będziesz miał kochankę, a ja będę urządziła ci sceny,

wymyślała od ślepaków, a ty mi od kalek?

Jacek nie musiał się zastanawiać nad odpowiedzią.

- Nie. Na pewno nie. Jeślibym kiedykolwiek miał przestać cię kochać, uczciwie ci o tym powiem i tego samego oczekuję od ciebie. I nigdy nie potrafiłbym oszukać żadnej kobiety, mieć żonę i jednocześnie kochankę jest dla mnie nie do pomyślenia. Czasami miałem wrażenie, że to stanowi przyczynę mojego niepowodzenia u kobiet, że kobiety są z natury masochistkami, nie chcą mężczyzn, którzy będą je szanowali i kochali, wybierają tych, którzy je zdradzają i lekceważą. Bo tacy mężczyźni są silniejsi, lepiej przystosowani do przeżycia, czyli mający lepsze geny. I kobiety podświadomie to czują.

Edyta chciała powiedzieć „bzdura”, ale przypomniała sobie, jak padł jej wybór między Adrianem a Adamem i nic nie powiedziała.

- Mam jednak nadzieję - ciągnął Jacek - że będziemy jedną z tych par, które przeżywają ze sobą całe życie, kochają się do końca, choć ta miłość ma różne fazy i oblicza, i umierają niemal jednocześnie, bo nie są w stanie bez siebie żyć. W każdym razie zamierzam zrobić wszystko, żeby tak się stało. Żebyśmy za pięćdziesiąt lat mogli przyjechać w to miejsce, usiąść tak jak teraz, przytuleni do siebie,

365

i wspomnieć, jak pół wieku wcześniej, po naszym pierwszym lecie, szczęśliwi, patrzyliśmy na te jesienniejące drzewa, słuchaliśmy szumu wiatru i płynącej wody.

Edyta wpatrzyła się w ten obraz, obejmując Jacka rękami w pasie.

- Pięknie to ująłeś. Kocham cię. I przyjadę tu z tobą za pięćdziesiąt lat.

- Wiem. Czuję, że tak będzie. Bo cię kocham.

Pocałowali się. Jacek delikatnie wsunął rękę pod sweter Edyty, między guziki jej bluzki, rozpiął jeden i przesunął miseczkę stanika w dół, pieszczotliwie obejmując słodką wypukłość. Edyta zadrżała. Przyłgnęła do niego, wpiła się ustami. Aż jęknął. Wyjął dłoń spod bluzki i zaczął rozpinać resztę guzików, podciągnął sweter i stanik i pochylił się, żeby popieścić piersi językiem. Oddawała się pieszczocie z półprzymkniętymi powiekami, czuła, jak jego język przesuwają się ku górze, ku szyi, jak drażni płatek ucha, a potem znowu w dół, na dłużej zatrzymuje się na brodawkach piersi, by potem zostawić je rękoma, a samemu zsunąć się do pępka i jeszcze niżej. Podciągnęła spódnicę, by dostał się do epicentrum rozkoszy, i po chwili wstrząsnął nią gwałtowny dreszcz. Batuta języka wydobywała z jej gardła muzykę rozkoszy. Potem znowu ręce przyszły w sukurs, przejęły pieszczotę muszelki, a usta powędrowały ku jej ustom i przywarli do siebie pocałunkiem, namiętym, chciwym, żarłocznym.

Rozdzielili się na moment i rozbierali teraz szybko, gwałtownie, chaotycznie, chcąc jak najprędzej do siebie wrócić, spotkać się nagimi ciałami, jakby przestraszeni, że powietrze między nimi zamieni się zniecka w beto-

nową przeszkodę nie do przejścia. Usiadła mu na kolanach, objęła go rękami za szyję, wodził dłońmi po jej ciele, chrała go za włosy, był w niej, miała go w sobie, w pełnym zespoleniu, w jakie miłość fizyczną może przeobrazić

366

tylko uczucie. Bo nagle nie znajdowali się na przednim siedzeniu samochodu gdzieś na obrzeżach Wrocławia, tylko we wszechświecie, na planecie Miłości krążącej wokół gwiazdy Rozkoszy, na wyspie Namiętności pośród oceanu Odurzenia, na bezludnej wyspie, na której byli tylko oni dwoje, bo też nikogo nie potrzebowali, Adam i Ewa w Edenie, ale bez gniewnego Boga, bez owoców zakazanych.

Proszę pani, proszę pani! Nic się pani nie stało?

Te słowa wyrwały ją ze snu. Ale usłyszała je nie tylko we śnie, w rzeczywistości też. Cztery lata temu, ale i teraz, wczoraj. I wypowiedział je ten sam człowiek! Wiedziała, była pewna! Jacka brat! Krzysiek. To on pozbawił ją władzy w nogach, zabrał zdrowie, ukradł normalne życie. I nie miał zamiaru ponieść za to odpowiedzialności. Spojrzała na śpiącego Jacka. Nie zniesie ani chwili dłużej w jednym łóżku z człowiekiem, którego brat zrobił z niej kalekę!

-Wynoś się! - krzyknęła histerycznie, potrząsając

Jackiem. - Wynoś się! Nie chcę cię znać!

Co jest? Co się stało? Która godzina?

Rozbudzony Jacek nie wiedział, co się dzieje.

- To on! Twój brat! Wynoś się!

- Co mój brat? Co się stało?

Jacek otrząsnął się już ze snu, ale z beładnych krzyków Edyty nie mógł wywnioskować, o co jej chodzi. Tyle że zdał sobie sprawę, że dzieje się coś bardzo niedobrego.

- Najechał na mnie! Przez niego siedzę na wózku!

- Niemożliwe. - Jacek sięgnął po zegarek, żeby sprawdzić godzinę. - Uspokój się, jest środek nocy, miałaś jakieś koszmary, połóż się, rano wszystko będzie wyglądało inaczej.

371

-Nic nie będzie wyglądało inaczej! To jego słowa!

Pamiętam, jak wtedy mnie wołał!

- Jakie słowa? Gdzie cię wołał?

- „Proszę pani, proszę pani! Nic się pani nie stało?”.

Jacek przypomniał sobie opowiadanie Krzyśka o potłamanym fotelu w gabinecie okulistycznym.

- Cytował kolegę, który martwił się, czy ta pacjentka nic sobie nie zrobiła.

- Cytował siebie, jak wołał do mnie po wypadku! Boże! I udawał, że mnie nie poznaje, że nie wie, że to przez niego jestem na wózku! Wynoś się, nie chcę cię znać, a na niego doniosę na policję!

Ponieważ Jacek nie zareagował na żądanie, zepchnęła go z łóżka. Z rumorem spadł na podłogę.

- Oszalałaś?! - Usiłował wpaść w gniew, który stałby się jakąś przeciwwagą dla jej furii, ale był bardziej przestra-

szony niż zły, a impet jej wściekłości nie wskazywał na to, że ostałyby się przed nim jakiegokolwiek tamy. Postanowił więc na razie ustąpić, a rozmówić się z nią, kiedy ochłonie.

- Dobrze, już dobrze, pójdę sobie. Porozmawiamy jutro.

-Nie mamy o czym rozmawiać! Chciałeś, żebym ci powiedziała, jak przestanę cię kochać, to ci mówię! Wynos się i nie pokazuj mi się więcej na oczy. Ani jutro, ani za pięćdziesiąt lat!

Teraz się rozplakała. Jacek pozbierał swoje rzeczy i ubrał się, słuchając szlochającej Edyty. Podjął jeszcze jedną próbę, podszedł do niej i objął ramieniem, ale odepchnęła go.

- Zostaw! Nie dotykaj mnie!

Jacek odsunął się i powoli poszedł ku drzwiom.

Zawołał Argona, ale przypomniał sobie, że w spodniach nie ma kluczy od swojego mieszkania. Przestał je nosić, bo zaglądał tam nie częściej niż raz w tygodniu. Dobrze, że nie zdążyli go wynająć, inaczej musiałby teraz pewnie spać na klatce schodowej. Odnalazł klucze w szufladzie

372

nocnego stolika. Było tam więcej jego rzeczy. Zastanawiał się, czy też ma je ze sobą zabrać. Ale nie, przecież się nie wyprowadza, przecież to nie koniec ich związku, nie-możliwe, miłość życia tak się nie kończy, po prostu Edyta przeżyła szok, nie myśli w tej chwili racjonalnie, nie zdaje sobie sprawy, że nie może obciążać go za winy brata, nawet rzeczywiste, choć był przekonany, że to jakaś fatalna pomyłka, połączyła w jedno dwa odrębne zdarzenia, rano

uświadomi sobie, że niesłusznie, przeprosi go i wszystko wróci do normy.

- Chodź, Argo.

Poszli do drzwi, Faselka pobiegła za nimi.

- Nie, ty musisz zostać, ale jutro znowu się zobaczycie.

Na pewno.

Nie wiedział, kogo bardziej chce przekonać tymi słowami, Faselkę czy siebie.

Kiedy za Jackiem zamknęły się drzwi, Edyta sięgnęła po telefon i wybrała 997. Odczekała chyba ze dwadzieścia sygnałów, ale nikt nie odbierał. Wykręciła numer ponownie.

Teraz był zajęty. Wybrała po raz trzeci i tym razem miała szczęście, szorstki męski głos niemal natychmiast powiedział:

- Policja, słucham.

Szlochając, usiłowała wyjaśnić, z czym dzwoni, ale mówiła tak nieskładnie, że policjant niewiele z tego rozumiał. Próbował naprowadzać ją pytaniami, ale Edyta jakby się zacięła i powtarzała tylko w kółko: wypadek... uciekł... na wózku... był pijany... wypadek... uciekł... na wózku... był pijany.

- Kto? - usiłował dowiedzieć się policjant.

- Jego brat.

- Czyj brat?

- Krzysiek... najechał na mnie i uciekł...

373

- Potrzebuje pani pomocy lekarza?

W odpowiedzi Edyta rozplakała się na dobre i policjant postanowił rozwiązać problem inaczej.

- Gdzie pani jest?

Podawała adres.

- Niech pani chwilkę zaczeka.

Edyta usłyszała w tle trzask radiotelefonu czy czegoś podobnego, nie znała się na tym, i słowa policjanta:

- Mam zgłoszenie spowodowania wypadku w stanie nietrzeźwości z ucieczką, ale zgłaszająca jest tak rozdygotana, że nie mogę wyciągnąć od niej konkretów. Trzeba podjechać na Kasprzaka trzydzieści trzy przez jeden i zobaczyć, co jest. Posyłam też karetkę.

- Przyjąłem - oznajmił jakiś metaliczny trzeszczący głos.

- Jest tam pani jeszcze? Zaraz będzie u pani patrol i lekarz.

Edyta chciała powiedzieć, że lekarz niepotrzebny, nic jej już nie pomoże, medycyna nie jest tak zaawansowana, przerwanego rdzenia kręgowego nie potrafi wyleczyć. Ale nie miała siły, odłożyła słuchawkę i skuliła się w kłębek na łóżku. Nie wiedziała, jak długo leżała w tej pozycji, popłakując, zanim usłyszała dźwięk domofonu. Wzdrygnęła się, sięgnęła po wózek i poszła otworzyć.

W drzwiach stanęło dwóch policjantów, jeden rostry i barczysty, drugi dużo niższy i chudy. Normalnie Edytę rozbawiłby ten kontrast, ale teraz patrzyła na nich takim wzrokiem, jakby nie wiedziała, czego chcą.

- Pani dzwoniła, że jakiś wypadek... - zaczął ten bar-
czysty, głos miał podobny do głosu aspiranta Szczepana
Załody z „Kryminalnych”.

- Panowie, najpierw ja.

Zza pleców policjantów wyłoniła się młoda kobieta
w białym fartuchu. Ta z kolei przypominała lekarkę Sarę

374

ze „Skazanego na śmierć” i Edyta pomyślała, że zasnęła
i w jej śnie serialowe postacie odgrywają scenę, której się
spodziewała.

Lekarka przyklęknęła przy niej, zadała kilka kontrol-
nych pytań, zmierzyła ciśnienie.

- Fizycznie nic pani nie dolega, ale jest pani w szoku,
dam zastrzyk uspokajający.

Ukłucie igłą nie przerwało snu i do Edyty dotarło,
że nie śni, że wszystko to dzieje się naprawdę.

- Zaraz zacznie działać, będzie mogła pani odpo-
wiedzieć na pytania policjantów, a potem pani zaśnie
i bez problemów powinna spać do rana - wyjaśniła
lekarka.

Rzeczywiście, po chwili Edyta odczuła pewną ulgę,
jak wtedy, kiedy ostry ból przechodzi w przytłumiony,
ćmiący, i w miarę składnie zdołała wyjaśnić policjantom,
dlaczego ich wezwała.

- Kiedy dokładnie i gdzie miał miejsce ten wypadek?

- Drugiego maja dwa tysiące trzeciego roku
za Siechnicami.

- Jest pani pewna, że to on?

- Całkowicie. Dokładnie ten sam głos i te same słowa...

pewnie jak opowiadał tę historię z fotelem, nie zacytował dokładnie kolegi, tylko... tylko użył słów, które wryły mu się w pamięć.

- Psychologicznie prawdopodobne - potwierdziła lekarka, reagując na pytające spojrzenie chudego policjanta.

- Myślę, że to nam wystarczy - powiedział barczysty.

- Jak ten brat pani chłopaka się nazywa?

- Krzysztof... - Edyta potrzebowała sekundy, żeby skojarzyć, że musi mieć takie samo nazwisko jak Jacek.

- Krzysztof Dyderski.

- Adres?

375

- Męcińskiego, numeru nie wiem, ale pierwszy dom na rogu, po lewej, bliżej Grabiszyńskiej, na parterze, tam jest tylko jedno mieszkanie.

- Dobrze, poradzimy sobie.

- Co zrobicie?

- Pani zgłoszenie stanowi wystarczającą podstawę, żeby tego pana zatrzymać i przesłuchać. Spowodowanie w stanie upojenia alkoholowego wypadku, w którym byli ranni, ucieczka z miejsca wypadku, nieudzielenie pomocy poszkodowanemu to poważne przestępstwa. A ludzie zatrzymani w środku nocy bywają rozmowni, zwłaszcza jeśli nie spodziewają się zatrzymania. Myślę,

że jak go zgarniemy na komisariat, wyśpiewa wszystko w pół godziny.

- Pomogę się pani położyć - zaofiarowała się lekarka, widząc, że policjanci zbierają się do wyjścia.

- Nie trzeba - zaprotestowała Edyta.

- Trzeba, trzeba. To dość silny środek, jeszcze zaśnie mi pani na wózku, a musi się pani wygodnie ułożyć i porządnie wyspać.

Lekarka zawiozła Edytę do pokoju i pomogła jej przesiąść się z wózka na łóżko. Kiedy Edyta zdjęła szlafrok, okryła ją kołdrą i pogłaskała po głowie.

- Śpij, dziecinko. - Choć była niewiele starsza, miała wrażenie, jakby układała do snu biedne, opuszczone dziecko. Potem wyszła, zatrzaskując za sobą drzwi. Edyta trzasku zapadki już nie usłyszała.

*

Jacek nie położył się spać, wiedział, że tej nocy już nie zaśnie. Stał przy oknie, słyszał podjeżdżające pod bramę obok samochodu, trochę się zdziwił, kto i po co podjeżdża w nocy pod samą bramę, nie domyślił się, że to radiowóz i karetka, ale też nie poświęcił temu szczególnej uwagi,

376

zarejestrował je niejako na marginesie kłębiących się w głowie myśli.

Bał się. Kiedy wszedł do swojego mieszkania, kiedy przywitała go pustka, którą znał od lat, a która w ostatnich miesiącach znikła, bo wchodził tu, wiedząc, że tylko

na krótko rozstał się z Edytą, ogarnęło go przerażenie, że będzie musiał do tej pustki wrócić. Kiedy zawołał „Edyta” i odpowiedziała mu głucha cisza, opuściła go pewność, że to nieporozumienie, że rano wszystko się wyjaśni, że ich związek przechodzi wprawdzie pierwszy poważny kryzys, ale go przewyciężą i będą się kochać jeszcze mocniej niż poprzednio. Nawet jeśli oskarżenia Edyty były prawdziwe. No właśnie...

Rozważał, czy nie zadzwonić do Krzyśka, ale zrezygnował. Nie mógł wyrwać go ze snu w środku nocy i zarzucać absurdalnymi oskarżeniami tylko dlatego, że jego dziewczynie coś się przyśniło. Przecież to niemożliwe! Krzysiek był uczciwym człowiekiem, umiejącym ponieść konsekwencje swoich czynów; gdyby rzeczywiście spowodował wypadek, na pewno nie uchylałby się od odpowiedzialności. Poza tym poznałby Edytę, nie zapomniałby twarzy człowieka, którego posłało się na wózek, a nie poznał jej, widział ją wczoraj po raz pierwszy, Edyta sama to powiedziała, twierdziła wprawdzie, że Krzysiek udawał, ale nie udawał, wcale nie był dobrym aktorem, gdyby ją wcześniej widział, gdyby spowodował ten wypadek, na pewno by się z czymś zdradził, zobaczywszy teraz nagle swoją ofiarę. Zwłaszcza że nie mógł się jej spodziewać, nie wiedział, kogo Jacek przyprowadzi, nie wiedział nawet, że Edyta porusza się na wózku. Tym bardziej powinien się zdradzić, skoro nie mógł się na jej wizytę psychicznie przygotować.

Nie, z tym wypadkiem to absurd. Dlaczego więc tak się bał? Dlaczego był śmiertelnie przerażony? Przecież

377

wszystko wskazywało na fatalną pomyłkę, jakiś nieszczęśliwy zbieg skojarzeń, przypadkową identyczność słów użytych przez sprawcę wypadku i współnika Krzyśka, wcale nie zaskakującą, wręcz przewidywalną, najpierw wzywanie osoby, która uległa wypadkowi, a potem zupełnie naturalne pytanie, czy nic się nie stało, pewnie takich pytań padają setki w setkach wypadków, nie jest to jakaś charakterystyczna fraza, która pozwoliłaby zidentyfikować sprawcę. Dlaczego więc ogarnęły go wątpliwości, czy Edyta do niego wróci? Bzdura, nie ma do czego wracać, bo wcale go nie rzuciła, przechodzi chwilowy kryzys, załamanie nerwowe, w pełni zrozumiałe, skoro wydaje się jej, że odkryła sprawcę wypadku, sprawcę najbardziej traumatycznego przeżycia, jakim jest utrata pełnosprawności, on tego nie przeżył, był niewidomy od urodzenia, pewnie, w którymś momencie uświadomił sobie, że jest inny, że pozostałe dzieci postrzegają go jako kogoś gorszego, ale co innego uświadomić sobie, że jest się upośledzonym, a co innego stać się upośledzonym.

Argo podbiegł, stanął obok, położył łapy i pysk na parapecie, popatrzył na pana. Jacek nie zareagował. Argo zaskomlał, osunął się z powrotem na podłogę, skomląc okrążył mieszkanie, po czym ponownie stanął na tylnych łapach koło Jacka. Tym razem zdołał przyciągnąć jego

uwagę.

- Nie ma powodu do niepokoju, zwierzaczkę, najmniejszego. Kochamy się, a miłość przewycięża największe przeszkody, a to nawet nie jest przeszkoda, no może taka jak na bieżni, łatwa do pokonania.

I znowu, wbrew tym słowom, ogarnął go paniczny strach, serce ścisnęła żelazna obręcz, poczuł niemal fizyczny ból. A jeśli Edyta rzeczywiście go rzuci? Kobiety są nieobliczalne, potrafią z drobnostki zrobić aferę, z wymagowanych wyobrażeń wyciągać rzeczywiste

378

konsekwencje. Co, jeśli Edyta wbrew faktom nie chce uwierzyć, że Krzysiek jest niewinny? Przecież nierzadko ludzie ignorują fakty, przyjmując za rzeczywistość własne fałszywe przekonania. Ale przecież nie Edyta - inteligentna, wykształcona; to nie ciemna baba ze wsi żyjąca w przekonaniu, że światem rządzą Żydzi. Problem w tym, że tu nie chodzi o obiektywną ocenę sytuacji politycznej, tylko własnego losu, głęboko osobistej sprawy, o poczucie krzywdy, że sprawca jej nieszczęścia pozostał bezkarny. Tak bardzo chce znaleźć winowajcę, tak jest przekonana, że go znalazła, że będzie bronić się przed kolejnym rozczarowaniem, przed przyjęciem do wiadomości, że się pomyliła. I co wtedy? Świącie wierzył, że znalazł miłość na całe życie, że ich związek jest na długie lata, a sypało się po czterech miesiącach. Ma sobie szukać nowej dziewczyny? Nastawić się na ko-

lejných trzynaście lat odmów i upokorzeń? Czy może teraz pójdzie mu łatwiej? Zechciała go jedna dziewczyna, zechcą i inne, nie jest już jak ten nieatrakcyjny ciuch, którym żadna się nie interesuje, bo wystarczy, że jedna go ubierze, a pozostałe zaczynają jej zazdrościć. Ale jeśli nawet, to co z tego? Przecież nie chciał jakiegokolwiek dziewczyny, chciał Edytę, to ją kochał. Po tym, co razem przeżyli, nie wyobrażał sobie związku bez miłości, to ona nadawała mu sens, czyniła wszystko takim pięknym. Wzbogacała wszelkie doznania, jak przyprawa, bez której danie jest mdłe i niesmaczne, łagodziła i niwelowała zatargi, spory i nieporozumienia. Bo dwoje ludzi zawsze tworzy mieszkankę wybuchową, ale miłość jest katalizatorem gwarantującym, że do wybuchu nie dojdzie. Jak mógłby związać się z dziewczyną, której by nie kochał? Przecież taki związek nie miałby szans przetrwać. Jak mógłby spędzać dni i noce z jedną, stale myśląc o drugiej? Bo nie miał wątpliwości, że bez

379

względu na to, co się stanie, Edyta jeszcze długo nie opuści jego myśli.

Czy te rozważania oznaczały, że się poddawał? Godził z myślą, że Edyta od niego odchodzi? Ogarnęła go fala bezdennej rozpacz, na nowo wróciły ból i strach. Nie, to przecież niemożliwe, jest chyba jakiś Bóg, który na to wszystko patrzy i nie dopuszcza, żeby ludziom działa się niezastużona krzywda? Przecież nie zrobił nic złego. Nie zdradził

Edyty, nie okłamał, nie zawiódł jej zaufania, dlaczego miałaaby go opuścić?

- Boże - wyszeptał - kazałeś mi na nią czekać trzynaście lat, nie zabieraj mi jej.

Osunął się na kolana, złożył ręce i zaczął się modlić.

Gorąco i żarliwie jak nigdy w swoim życiu.

- Panie Boże, kiedyś, jeszcze jako dziecko, prosiłem cię, żebyś przywrócił mi wzrok. Zapomnij o tamtej prośbie.

Jeśli jakąś mogę mieć, jeśli mogę mieć tylko jedną, to oddaj mi Edytkę. Błagam.

Bezwładnie zwałił się na podłogę, jakby ktoś wstrzyknął mu lek zwiotczający mięśnie.

Nie wiedział, jak długo tak leżał. Jak przez mgłę sły-
szał Argona, który zaniepokojony biegał po mieszkaniu,
czuł, że szarpie go za ubranie, liże, ale miał wrażenie,
że obserwuje tę scenę z góry, jakby znajdował się w stanie
śmierci klinicznej.

Z odrętwienia wyrwał go dźwięk telefonu.

Edyta! Ochłonęła! Bóg wysłuchał jego prośby!

Zerwał się, żeby odebrać telefon, ale ręce tak mu się
trzęsły z nerwów, że wcisnął przycisk nie odebrania, tylko
anulowania rozmowy. Odłożył słuchawkę wściekły na siebie
i zrozpaczony. I co teraz? Ona do niego dzwoni, a on odrzuca
rozmowę - jeśli chciała się pogodzić, to teraz na pewno
z nim zerwie. Boże! Już miał z powrotem przewrócić
się na podłogę, kiedy nagle dotarło do niego, do jakiego

stopnia rozpacz odebrała mu zdolność logicznego myślenia. Jak to, co teraz? Wystarczy, że do niej oddzwoni. Sięgnął po słuchawkę, ale nie zdążył, telefon odezwał się ponownie.

- Pan Jacek Dyderski? - zapytał męski głos.

Czego jakiś facet chce od niego w środku nocy? Dlaczego blokuje mu linię, kiedy Edyta dzwoni?

- Tak, ale nie mogę teraz rozmawiać, czekam...

- Aspirant Zenon Błaszczak z Komisariatu Wrocław-

-Śródmieście. Zatrzymaliśmy pańskiego brata. Przyznał się do wszystkiego i będziemy go przewozić do aresztu, ale proszę, żeby pana powiadomić i umożliwić wam przedtem spotkanie. Bo jak trafi do aresztu, to nieprędkiem dostanie pan pozwolenie na widzenie.

Przyznał się? Przejechał Edytę? Miała rację? Nie, pewnie go bili albo nawet nie musieli bić, mieli swoje sposoby, żeby wyciągnąć takie zeznania, jakie chcieli. I Krzysiek prosił o spotkanie, bo chciał go zapewnić, że oskarżenia są fałszywe, uspokoić, że nie można w nie wierzyć. Najlepszy dowód, że wsadzają go do aresztu. Za wypadek nie wsadza się do aresztu, to ten słynny „areszt wydobywczy”, kiedy nie mają przeciwko człowiekowi dowodów, więc go zamykają, żeby coś z niego wydobyć.

- Jest tam pan?

- Za wypadek do aresztu?

- Za jaki wypadek? Pana brat przyznał się do morderstwa!

Wszystko było jasne. Sprawa polityczna. Rządząca ekipa nie zdołała dowieść Garlickiemu, że zamordował pacjenta, ani nawet uprawdopodobnić tego oskarżenia, a w trwającej kampanii wyborczej PiS potrzebowało takiego sukcesu, żeby udowodnić ludziom, że walczy z przestępcami wśród lekarzy i nie formułuje gołosłownych oskarżeń. Gdyby udało im się znaleźć lekarza mordercę,

381

przynajmniej postawienie zarzutów Garlickiemu można by przedstawiać jako uzasadnione, no bo jeśli wśród lekarzy są mordercy, oznaczałoby to, że Ziobro z Mariuszem Kamińskim, szefem Centralnego Biura Antykorupcyjnego, pomylili się tylko co do osoby, ale w sprawie samego zjawiska mieli rację: degrengolada lekarzy sięgnęła tak głęboko, że zamiast ratować życie, odbierają je z niskich pobudek. I najwidoczniej policja, prokuratura i służby specjalne, które w tej kampanii chodziły na pasku rządzących i bez żenady walczyły dla nich o głosy, szukały takiego właśnie haka, a Krzysiek stał się kozłem ofiarnym. Nic dziwnego, nie należał do osób, które to, co myślą, mówią wyłącznie w domu, na pewno nazwał Ziobrę fiutem także w swoim gabinecie, gdzie najwyraźniej CBA założyło mu podłuch, a tajemnicą poliszynela było, że minister sprawiedliwości ma mściwą naturę. No i padło na Krzyśka. A powiązanie lekarza z jakimś przypadkiem śmiertelnym nie stanowi przecież żadnego problemu. Ludzie umierają, lekarze starają się ten moment odwlec,

kiedy im się nie udaje, przy złej woli zawsze można twierdzić, że nie odwlekli celowo. Podobno po sprawie Garlickiego ukuto w CBA powiedzenie „każdy lekarzyk ma swój cmentarzyk”.

- Halo! - policjant był wyraźnie zirytowany tym, że jego rozmówca zamyśla się na długie sekundy.

-Już jadę.

*

Było jeszcze ciemno, ale rozpoczynający pracę najwcześniej już do niej wyszli i Jacek słyszał, jak miasto budzi się do życia, kiedy taksówka zmierzała w stronę ulicy Grunwaldzkiej, gdzie mieścił się komisariat policji. Doskonale znał to miejsce, bo zaraz obok miał swoją siedzibę wrocławski oddział PZN-u, ale w samym 382

komisariacie nigdy nie był i pan Sławek musiał pomóc mu wejść.

- Pan do kogo? - zapytał bez silenia się na uprzejmość policjant dyżurujący za kontuarem, kiedy Jacek po odejściu pana Sławka dał o sobie znać chrząknięciem, bo nikt się nim nie interesował.

- Aresztowano mojego brata, Krzysztofa Dyderskiego, miałem się z nim zobaczyć.

- Bzdura, aresztowani są na Świebodzkiej, a widzenia tylko za zgodą prokuratora.

- To znaczy... - Jacek zająknął się zdeprimowany tak szorstkim przyjęciem - jakiś policjant do mnie dzwonił,

że brat będzie przewieziony do aresztu i że mam przyjechać.

- Proszę pana, tu pracuje ze setka policjantów, a zatrzymanych mamy od groma, skąd ja mam wiedzieć, kto do pana dzwonił?

Jacek usilnie starał się przypomnieć sobie nazwisko dzwoniącego policjanta. Coś na B, Błaskowski, Błachowski, nie, to brzmiało bardziej jak kwiat, Bławatek, Bła...

Błaszczak!

- Policjant Błaszczak! - Jacek pamiętał, że funkcjonariusz, przedstawiając się, podał stopień, ale nie pamiętał jaki, a na stopniach policyjnych w ogóle się nie znał, więc wolał nie zgadywać.

- Aspirant Błaszczak. Pokój dwadzieścia dziewięć. Tam ma pan telefon - dyżurny wskazał na aparat zawieszony na ścianie koło kontuaru - i listę z numerami, proszę sobie zadzwonić.

Jacek zakręcił się bezradnie.

-Aleja...

- Kartka jest, na niej numery telefonów do pokojów, przeczytać, wykręcić numer, poprosić aspiranta Błaszczaka, czy to taka wielka filozofia?

383

- Jestem niewidomy.

Dyżurny westchnął, jakby podłamany zdolnością ludzi do utrudniania mu życia, po czym sięgnął po słuchawkę telefonu stojącego na biurku.

- Masz klienta - rzucił bez wstępów. - Pana nazwisko?

- zwrócił się do Jacka.

- Dyderski. Jacek Dyderski.

- Dyderski - powtórzył dyżurny do telefonu i odłożył słuchawkę. - Proszę zaczekać, zaraz ktoś po pana zjedzie.

- Potrafię sam wejść po schodach! - obruszył się Jacek, wnioskując ze słowa „zejdzie”, że ma udać się na górę.

- Wystarczy, że mi pan powie, gdzie są.

- To nie jest kwestia, czy pan potrafi wejść po schodach, tylko kwestia, żeby nie pałętał się pan bez dozoru po komisariacie. Taka jest procedura.

Jacek odsunął się pod przeciwległą ścianę, na której wisiał plakat przedstawiający uśmiechniętego funkcjonariusza, a niżej hasło: Policja bliżej obywatela. Ale Jacek nie zobaczyłby go nawet, jakby nagle odzyskał wzrok, jego myśli całkowicie zaprzątnięte były Krzyśkiem i Edytą.

Nie czekał dłużej niż dziesięć minut, ale po raz pierwszy w życiu nie potrafił czekać cierpliwie i przez te dziesięć minut kręcił się nerwowo po holu. Dyżurny rzucał mu od czasu do czasu zniecierpliwione spojrzenia, ale nic nie powiedział. W końcu za przeszklonymi drzwiami prowadzącymi w głąb komisariatu pojawił się blondyn w mundurze, mniej więcej w wieku Jacka, otworzył je i skinął na Jacka ręką.

- Pan Dyderski? Przepraszam, że tak długo pan czekał, ale musiałem znaleźć kogoś, żeby mi popilnował aresz-

tanta. Proszę ze mną.

Albo w przeciwieństwie do dyżurnego dostrzegł białą laskę, albo był uprzedzony przez Krzyśka, bo podał 384

Jackowi łokieć, żeby poprowadzić go na górę. Jacek złożył laskę i podążył za policjantem. Pokój nr 29 znajdował się na drugim piętrze.

Kiedy weszli do środka, usłyszał szurnięcie krzesła i po chwili poczuł, że brat go obejmuje. Takie czułości były Krzyśkowi obce, naprawdę musiał być załamany.

- Nic się nie martw, sprawa jest ewidentnie polityczna, zaraz załatwię adwokata, zadzwonię do Arletty, wiesz, tej prawniczki, żeby poleciła mi najlepszego obrońcę, niech natychmiast złoży zażalenie na areszt, ale może nawet to nie będzie potrzebne, do wyborów tylko tydzień, jest duża szansa, że PiS przegra, a wtedy skończy się ta nagonka na lekarzy...

- Jacek - Krzysiek niemal krzyknął - cicho bądź. To nie ma nic wspólnego z polityką ani z tym, że jestem lekarzem.

Ja rzeczywiście spowodowałem ten wypadek.

- Co? Jak to? Niemożliwe.

Nie chciał dopuścić do siebie tej myśli, Edyta nie mogła mieć racji, nie mogła go rzucić tylko dlatego, że Krzysiek przyznawał się do czegoś, czego nie zrobił, pewnie przyjął łagodniejszy zarzut, żeby uniknąć bardzo poważnego.

- Morderstwo - wyjąkał. - Ten policjant mówił coś o morderstwie.

„Ten policjant" usiadł w kącie pokoju, żeby mieć braci na oku, ale nie przeszkadzać im w rozmowie.

- Rodzice - powiedział Krzysiek, dla odmiany prawie nie-słyszalnie. - Nie mogłem znieść, jak cię traktują, że własne dziecko jest dla nich dopustem bożym... Chcieli cię oddać do internatu i nie słuchali żadnych moich protestów, próśb, powiedzieli, że plują sobie w brodę, że wcześniej mi ustąpili, że mają cię dosyć, że jak mi się nie podoba, to mogę wziąć cię do siebie; doskonale wiedzieli, że nie miałem warunków, gnieździłem się w klitce dwa na trzy metry na poddaszu szpitala, to nawet nie był pokój, tylko 385

składzik, który ordynator pozwolił mi na jakiś czas zaadaptować, ale wolałem ciasnotę od ciągłych kłótni i awantur...

Basia waletowała w akademiku, a w tamtych czasach coś takiego jak kredyt na mieszkanie nie istniało, zresztą jako początkujący lekarze zarabialiśmy grosze i kredyt byłby poza naszym zasięgiem. Zaofiarowałem się, że przeprowadzę się z powrotem do domu i tobą zajmę, ale odmówili.

Powiedzieli, że w ich wieku chcą już mieć spokój, a nie dzieci na głowie, na dodatek takie krnąbrne jak my. Więc im go zapewniłem... wieczny spokój... ten nieszczelny piecyk to ja...

Jacek stał zmartwiały.

- Usiądź. - Krzysiek pociągnął go na krzesło. - No i jak przyjechali po mnie za ten wypadek, coś we mnie pękło, nie byłem w stanie dłużej milczeć i wszystko powiedziałem.

Choć oczywiście o nic mnie nie podejrzewali. Ani teraz, ani wtedy. Za komuny nieszczelne piecyki były na porządku dziennym, wiadomo, jak wtedy produkowano, bubla za buble, i co rusz zdarzały się takie wypadki, nikt nie widział nic niezwykłego w tym, że starsze małżeństwo zatruto się czadem.

Krzysiek zamilkł i obejrzał się na policjanta.

- Mógłby mnie pan poczęstować papierosem? Jeśli tu wolno palić.

- Jasne. - Aspirant poderwał się ze swojego miejsca.

- Palisz? - zapytał Jacek bez zainteresowania.

- Chyba zacznę. W celi i tak będę narażony na bierne palenie, nie sądzę, żeby w więzieniu mieli osobne cele dla niepalących. Dziękuję. - Wyjął jednego papierosa z paczki podsunętej przez policjanta. - Dziękuję w ogóle, że pozwolił mi pan porozmawiać z bratem, bo chyba jeszcze tego nie zrobiłem.

- Nie ma sprawy. - Aspirant podał Krzyśkowi ogień.

- Nie odmówił pan leczenia mojej mamie, chociaż limit

386

z NFZ-u mieliście już wyczerpany, to się odwdzięczyłem.

Szkoda, że padło na pana. Wolałbym, żeby padło na tego skurwiela, który ją odesłał.

Policjant wrócił na swoje miejsce, a Krzysiek zaciągnął się dwa razy głęboko, zanim podjął opowiadanie.

- Oczywiście miałem wyrzuty sumienia. Jak człowiek pośle matkę i ojca na tamten świat, nie sływa to po nim

jak po kacze, jeśli nie jest jakimś kompletnym degeneratem. Tego się spodziewałem. Nie spodziewałem się, że będą tak ciężkie. Nawet z motywacją miałem problem, uratowałem cię przed internatem, w którym byś się zmarnował, sam wiesz najlepiej, że te internaty wypuszczają ludzi niezdolnych do funkcjonowania poza środowiskiem niewidomych, że są dobrym rozwiązaniem tylko dla dzieci z biednych, zacofanych rodzin z zabitej dechami wsi, ale śmierć rodziców definitywnie zakończyła moje i Basi kłopoty mieszkaniowe i nie mogłem uciec od wątpliwości, czy był to tylko korzystny skutek uboczny, czy drugi motyw, do którego się przed sobą nie przyznałem. Były okresy, że śnili mi się co noc, niejedną raz miałem ochotę pójść na policję i wszystko z siebie wyrzucić, wyznać się, ponieść karę i zacząć życie od nowa z poczuciem, że odpokutowałem za swoje grzechy. Musiałem normalnie się powstrzymać, tłumaczyć sobie, że te wyrzuty są dostateczną karą, że na moim przyznaniu się nikt nie zyska, a stracą Basia i dziewczynki, piętno męża i ojca mordercy będzie im towarzyszyć przez całe życie, że po dwudziestu pięciu latach więzienia nie ma żadnego nowego początku, w najlepszym razie namiastka normalnej egzystencji.

Krzysiek przerwał i spojrzał na brata, który popadł w jakieś odrętwienie.

- Jacek, ty mnie w ogóle słuchasz?

- Sł... - zaczął mówić Jacek, ale głos go zawiódł.

Odchrząknął i powiedział: - Słucham.

- Wtedy, pod koniec kwietnia cztery lata temu, miałem wyjątkowo ciężki okres. Pojawiali mi się nie tylko w snach, ale i na jawie, myślałem, że wariuję. To był piątek, pojechałem do pracy niewyspany, bo przez całą noc męczyły mnie koszmary. W szpitalu jedna stresująca sytuacja za drugą, jakby wszyscy się zmówili, pielęgniarki opryskliwe, pacjenci upierdliwi, byłem na granicy wybuchu, ledwie się powstrzymałem, może szkoda, bo jakbym wybuchł, nie zebrałoby się we mnie, nie napiłbym się. To było już w gabinecie w Oławie. Pamiętasz, pracowałem tam wtedy dla spółdzielni lekarskiej, po tym wypadku zrezygnowałem. Na wizytę przyszła starsza dystygowana pani, pomyślałem, że musi być arystokratką, normalnie nie uznaję żadnej takiej tytułatury, uważam, że o człowieku świadczy to, do czego doszedł własną pracą, a nie urodzenie, ale w jej postawie było coś, co kazało się domyślać, że w żyłach jej rodziny od kilkuset lat płynęła błękitna krew. W pozytywnym znaczeniu. Okazało się, że reprezentowała sobą znacznie więcej, była malarką. Porozmawialiśmy chwilę o malarstwie, przyjemna odmiana po pacjentach, którzy nigdy w życiu nie odwiedzili muzeum, a o istnieniu „Damy z łasiczką” wiedzą z filmu Machulskiego. Już myślałem, że się odprężyłem, ta pogawędka dobrze mi zrobiła, kiedy zapytałem, z czym przyszła. Objawy mnie zaniepokoiły, a badanie potwierdziło podejrzenia. Wysiękowe AMD, zwyrodnienie plamki żółtej, na dodatek mokra odmiana,

czyli praktycznie wyrok. Nie wiem, ile razy w ciągu swojej praktyki musiałem powiedzieć pacjentowi, że straci wzrok, skłamałbym, twierdząc, że za każdym razem przeżywam to tak samo, że równie mocno jak na początku, że przy starszych ludziach nie traktuję tego jako naturalnej kolei rzeczy, ale mimo wszystko każda taka diagnoza mnie przygnębia. A do tej kobiety naprawdę zapalałem sympatią, zresztą wcale nie była stara, mogła mieć pięćdziesiąt pięć

388

lat, trochę za wcześnie na utratę wzroku, no i dobiła mnie jej reakcja...

Krzysiek rozejrzał się za popielniczką, ale nie znalazł, sięgnął więc po leżącą na biurku czystą kartkę, zwinął ją w trąbkę i do niej strząsnął popiół.

- Nie chciała okazać rozpacz - podjął. - Nie licowało to z jej godnością, ludzie tego formatu nie okazują słabości nawet przed lekarzem. Ale spłynęła jej jedna łza, wyrwało się: „Boże, przecież jestem malarką”. Gdyby krzyczała, rozpacziała, zdemolowała mi gabinet, może uruchomiłaby tym i moją negatywną energię, wyładowałbym ją, rozbijając na przykład lustro czy szafkę z lekarstwami, a tak stres, który się we mnie tamtego dnia kumulował, znalazł kolejną pożywkę. Miałem dosyć. Kiedy wyszła, napiłem się koniaku. Jak każdy lekarz miałem w gabinecie baterię butelek, bo za komuny utarło się, że doktorowi w dowód wdzięczności daje się koniak i pacjenci maniakalnie dalej ten koniak znoszą, lekarze dla świętego spokoju przyjmują,

bo szkoda czasu i nerwów na wyjaśnianie, że ani tego nie wypiję, ani nie sprzedam, a liczbę znajomych, których mogę obdarować, też mam ograniczoną, i tylko durnie z CBA mogą uważać, że to jest łapówka. „Myszowatych” alkoholi nie znoszę, więc piłem ten koniak jak vistulę - w latach osiemdziesiątych była taka wódka, potworne świństwo w smaku - żeby się nim upić, a nie delektować.

Krzysiek zgasił papierosa i wrzucił niedopałek do prowizorycznej popielniczki. Otworzył usta, żeby mówić dalej, ale nie wydobył z nich żadnego dźwięku. Jakby nie miał odwagi przejść do najtrudniejszej części opowieści. Dopiero kiedy Jacek niespokojnie się poruszył, reagując na przedłużającą się przerwę w opowiadaniu, odchrząknął i podjął opowieść:

- Lekarz pijący w pracy to oczywiście granda, ale miałem na tyle przytomności umysłu, żeby odesłać resztę pacjentów

389

pod pretekstem, że źle się poczułem. Na tyle przytomności umysłu, że nie zrobiłem tego osobiście, któryś z pacjentów mógł wyczuć ode mnie alkohol i wezwać policję, tylko zadzwoniłem z komórki do rejestratorki, żeby się tym zajęła. I zabrakło mi tej przytomności umysłu, żeby nie wsiąść do samochodu. Pierwszy i ostatni raz w życiu prowadziłem po pijanemu, ba, w ogóle po alkoholu, dotąd z żelazną konsekwencją przestrzegałem zasady, że po kieliszku nie siadam za kierownicą. I jak to bywa w takich przypadkach: ktoś ciągle jeździ podпиты, nie powoduje

wypadków, policja go nie łapie, a tobie zdarza się raz i kończy się nieszczęściem. I Bóg mi świadkiem, że wołałbym, żeby to nieszczęście polegało na złapaniu mnie przez policję

- A spowodowałeś wypadek.

Krzysiek omal nie podskoczył, do tego stopnia nie spodziewał się, że brat zabierze głos.

- Tak. Jechałem zbyt brawurowo, alkohol dodał mi fałszywej pewności siebie, przekonania, że w pełni kontroluję samochód, nie brałem pod uwagę, że to półtonowa masa żelastwa rozpędzona do ponad stu kilometrów na godzinę, zresztą mało który trzeźwy kierowca bierze to pod uwagę, inaczej nie byłoby wypadków... Zahaczyłem ją przy wyprzedzaniu, ja miałem strasznie dużo szczęścia, potańczyłem na szosie, ale z niej nie wypadłem, innych samochodów poza wyprzedzanym nie było, a z tym jakimś cudem uniknąłem zderzenia, kierowca zwyzywał mnie i pojechał dalej. Edyta miała mniej szczęścia, uderzyła w drzewo.

Najpierw oczywiście pobiegłem jej pomóc, w pierwszym odruchu byłem lekarzem, który wypełnia swój obowiązek, pomaga rannemu w wypadku, ale potem przyszła refleksja, że przecież jestem jego sprawcą, a spowodowanie wypadku po pijanemu oznacza poważne konsekwencje, wyrok, kto wie, czy nie utrata uprawnień, bo policja bez trudu ustali,

390

że piłem w pracy. Wziął we mnie górę tchórz, konformista, łajdak, który nie potrafi ponieść konsekwencji swoich

błędów. Upewniłem się tylko, że jej życiu nie zagraża bezpośrednio niebezpieczeństwo, że bez natychmiastowej pomocy doczeka przyjazdu karetki. A najgorsze jest, że nie wiem, jak bym się zachował, gdyby okazało się, że nie może czekać, że muszę zostać i ją ratować. Boję się, że tego egzaminu też bym nie zdał. W każdym razie straciłem wtedy dla siebie cały szacunek. Zacząłem pić na dobre, co oczywiście odbiło się na naszym małżeństwie z Basią. Ty wtedy myślałeś, że przechodzimy kryzys i dlatego piję, ale nie. Małżeński kryzys był skutkiem, a nie powodem, powodu nie mogłem nikomu zdradzić, nie mogłem się przyznać, że piję ze wstydu, z pogardy dla siebie, ze strachu, że lada dzień po mnie przyjdą. Ale nie przyszli. I powoli wszystko wróciło do normy, bo człowiek jest taką świnia, która wyrządziwszy drugiemu największą nawet krzywdę, z czasem przechodzi nad tym do porządku.

- Dlaczego... - zachrypiął Jacek. - Dlaczego udawałeś, że jej nie znasz?

- Co? - zdziwił się Krzysiek.

- Jak was odwiedziliśmy, dlaczego udawałeś, że jej nie poznajesz?

- Nie udawałem, nie wiedziałem, że to ona. Nie widziałem wtedy jej twarzy, głowę miała opartą na kierownicy.

- Ale powiedziała, że miała wypadek samochodowy cztery lata temu! Nic cię nie tknęło, nie skojarzyłeś, że to może być ona?!

- Chyba przy nas nie mówiła, kiedy zdarzył się wypadek.

Ale to bez znaczenia, bo naprawdę trudno by mi było zakładać taką złośliwość losu, że dziewczyna, która przeze mnie jest na wózku, zejdzie się z moim bratem. Poza tym wmawiałem sobie i uwierzyłem, bo chciałem uwierzyć,

391

że wyszła z tego wypadku bez szwanku, z obrażeniami, które nie pozostawiły po sobie trwałych skutków. To był jeden z powodów, dla których nie próbowałem jej odszukać; drugim był strach, że ktoś mnie z tym wypadkiem powiąże; nie chciałem przekonać się, że jest inaczej, że młodą dziewczynę, mającą przed sobą całe życie, na resztę tego życia zrobiłem kaleką.

- Zerwała ze mną, rzuciła mnie przez ciebie - oznajmił oskarżycielsko Jacek. I dodał żalonym już tonem: - A ja tak ją kocham.

- Przecież nie może obarczać odpowiedzialnością ciebie za coś, co ja zrobiłem!

- Ale obarcza.

Krzysiek położył bratu dłoń na kolanie.

- To pierwsza, spontaniczna i niekontrolowana reakcja, kiedy ochłonie, dostrzeże, że nie jesteś niczemu winien.

I do ciebie wróci.

- Jesteś pewien?

Mina Krzyska wskazywała, że nie jest niczego pewien, ale Jacek jej nie widział, a Krzysiek postarał się, żeby ta niepewność nie pojawiła się w jego głosie. Jacek potrzebował

siły do walki i przekonania, że się uda.

- Tak. Widziałem, jak na Ciebie patrzyła, kiedy byliście u nas. Tak patrzy tylko kobieta, która kocha. Bardzo mocno kocha. Z takiej miłości łatwo się nie rezygnuje. Ale o kobietę, o jej miłość trzeba zawalczyć. Albo na początku związku, albo w trakcie, bez tego ta miłość nie będzie trwała.

Jacek nie odzywał się. Nie był przekonany, inni nie walczyli, a mieli żony, dziewczyny, on zaś znowu musiał się starać, choć wszystkie jego starania kończyły się niepowodzeniem. Nie podzielał wiary brata, że teraz na pewno mu się uda, że Edyta do niego wróci. Krzysiek wyczuł ten pesymizm.

392

- Wierz mi, Jacek, kiedy do niej dotrze, że zostałem ukarany, na długie lata zamknięty w więzieniu, wprawdzie za coś innego, ale to bez znaczenia, bo chodzi o świadomość, że sprawca nie rozkoszuje się życiem, tylko cierpi, będzie to dla niej wystarczającym zadośćuczynieniem, nie będzie musiała z Tobą zrywać.

- Mówisz?

- Zobaczysz, że tak się stanie. Doczekasz z nią nie tylko dzieci, ale i wnuków. Ja akurat wyjdę na ich chrzest i wtedy wspomnisz moje słowa, jeśli oczywiście zechcesz brata kryminalistę wpuścić na chrzciny.

- Przestań!

Zamilkli. Krzysiek obejrzał się na policjanta, czy

ten nie wykazuje oznak zniecierpliwienia z powodu przedłużającej się rozmowy, ale aspirant wyglądał przez okno, pod które się przeniósł, i obserwował ruch na Grunwaldzkiej.

- Kiedy się już pogodzicie, przekaz jej, że naprawdę żałuję, że mam wyrzuty sumienia... - urwał. - Wiem, że są takie sytuacje, kiedy słowa niewiele znaczą, są krzywdy, których nie zniweluje się przeprosinami, że te przeprosiny brzmią wręcz jak obelga, ale mimo wszystko... przepraszam.

- Ją przeproś, nie mnie.

- Masz rację... zrobię to, jeśli tylko będę miał okazję.

Jacek...

-Co?

- Powiedz Basi, że zostałem aresztowany, ale na razie nic więcej nie mów. Sam jej muszę wszystko powiedzieć. Ona myśli tak, jak ty myślałeś, że to pomyłka, sprawa polityczna. I na razie niech tak zostanie.

- To nie w porządku... - słabo zaprotestował Jacek.

- A co? Ty chcesz jej wszystko opowiedzieć? Czy jednak powinna prawdę usłyszeć ode mnie? A jeśli powiesz,

393

że nie pomyłka, nie sprawa polityczna, że siedzę słusznie, ale nie będziesz chciał wyjawić, o co chodzi, to przecież umrze z nerwów, zanim doczeka widzenia.

- Racja.

Znowu zamilkli. Tym razem na długo. Nie było już nic

więcej do powiedzenia.

- No, braciszku, czas na mnie. - Krzysiek ponownie

objął brata i poklepał po plecach.

- A... jakiś adwokat? Potrzebujesz adwokata.

- Co tu adwokat poradzi? Szkoda pieniędzy. Z urzędu

w zupełności wystarczy.

Policjant widząc, że bracia się żegnają, podszedł

do nich.

- To co, możemy iść?

- Tak - potwierdził Krzysiek.

- Pan niech tu zaczeka - zwrócił się aspirant do Jacka.

- Zaraz kogoś podeślę, żeby sprowadził pana na dół.

Założył Krzyśkowi kajdanki i opuścili pomiesz-

czenie.

Kiedy wyszedł na ulicę, nocne przerażenie, że stracił

Edytę - przytłumione emocjami związanymi z areszto-

waniem brata i osłabione zapewnieniami Krzyśka, że nie

zerwała definitywnie - chwyciło go za gardło ze zdwojoną

siłą. Teraz wiedział, że Edyta się nie myliła, nic sobie nie

wmawiała, że słowa, które przypisała Krzyśkowi, rzeczy-

wiście od niego usłyszała. Czy ukarze go za winy brata?

Jego i siebie, bo przecież go kocha. Czy też jej miłość

ulotniła się bez śladu pod wpływem tego odkrycia? Takiej

ewentualności bał się najbardziej. Miłość nie jest przewi-

dywalną wypadkową określonych czynników. Wszystko

może ją obudzić i wszystko może ją zniszczyć, choćby

na pierwszy, czy nawet na drugi rzut oka nie miało z nią

nic wspólnego.

394

Wstrząsnął nim dreszcz zimnego, lodowatego strachu.

Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek w życiu tak się bał. Czuł taką rozpacz, jakby Edyta odchodziła od niego nie w wyniku własnej decyzji, ale zabierana przez śmiertelną chorobę, której nie można przemówić do rozsądku, nie można prosić, błagać, żeby zmieniła zdanie.

A to właśnie teraz musiał zrobić: prosić, błagać o zmiłowanie, o litość, o miłość. Musiał do niej iść i przekonywać, że szczęśliwa miłość jest darem tak rzadkim, że nie można jej odrzucać. Nawet z poważnego powodu. Tak, musi jak najszybciej pójść do Edyty, zanim ona nieodwołalnie utwierdzi się w swoim postanowieniu.

Sięgnął po telefon, żeby wezwać taksówkę, i w tej samej chwili komórka rozdzwoniła mu się w rękę. Melodia brzmiała znajomo, ale nie potrafił jej skojarzyć, wiedział tylko, że to nie Edyta, tak daleko był w tej chwili od wszystkich swoich pozostałych spraw.

- Halo?

- Cześć Jacek. Tu Adam. Coś się stało, że nie jesteś w pracy? - W głosie Adama czaił się hamowany gniew. No racja, był poniedziałek, powinien teraz znajdować się w firmie.

- Tak, w nocy aresztowali mojego brata, właśnie wyszedłem z komisariatu. Bardzo cię przepraszam, że nie

zadzwoiłem, ale jestem w takim szoku, że dopiero twój telefon uświadomił mi, że jest dzień powszedni i godziny pracy.

- Za co go aresztowali?

- Jakieś wydumane oskarżenia. Nagonka na lekarzy przed wyborami.

- Sukinsyny. Potrzebujesz jakiejś pomocy? Namiarów na dobrego adwokata?

- Tylko wolnego dnia, żebym mógł wszystko załatwić.

395

- Weź nawet dwa, tylko mnie uprzedź.

- Nie, nie, jeden dzień mi wystarczy.

- Dobra. Pomyśl o prasie, nagłośnienie takiej sprawy powinno być skuteczne.

- Pomyślę, dzięki, na razie.

- Na razie.

Nie wiedział, dlaczego okłamał Adama. Wstydził się?

Nie chciał wchodzić w szczegóły? Obawiał się, że jednak z tego pierwszego powodu, że znowu dała o sobie znać jego konformistyczna natura. Ale ciekawe, czy ci, którzy twierdzą, że nie obchodzi ich opinia innych, byliby tacy skłonni do ogłaszania, że mają brata mordercę. Albo męża.

Basia! Musi najpierw pojechać do Basi.

*

Tą samą taksówką, którą pojechał do bratowej, wracał do domu. Nie zwolnił jej pod pretekstem, że się śpieszy, rzeczywiście się śpieszył, tyle że do Edyty, a nie do pracy,

ale prawdziwym powodem był strach, że Basia go zatrzyma, zacznie wypytywać, a on z czymś się zdradzi i wyjdzie na jaw, że kłamie. Przez chwilę nawet rozważał, czy po prostu nie zadzwonić, byłoby to prostsze i bezpieczniejsze, Basia nie widziałaby jego miny, nie mogłaby skonfrontować jego słów z mową ciała, ale uznał, że musi zaryzykować, bo pewnych spraw nie załatwia się przez telefon.

Przysiadł jednak tylko na brzeжку krzesła, nie chciał się nawet rozbierać, powiedział, że rozmawiał z Krzyśkiem, że Krzysiek dobrze się czuje, dzielnie znosi całą sytuację, że został aresztowany i Basia ma się starać o widzenie, ale nic nie załatwiać, nawet adwokata, bo Krzysiek uważa, że sprawa jest tak oczywista, że wystarczy adwokat z urzędu - jak to można skłamać, mówiąc prawdę - że na pewno wszystko będzie dobrze.

396

Na szczęście Basia nie zapytała o temat rozmowy, o wypadek, widocznie policjanci nie podali przy niej powodu, dlaczego zabierają Krzyśka, tak była pewna wersji o nieporozumieniu, o politycznym tle sprawy, że nie oczekiwała od Jacka dodatkowego potwierdzenia.

Zresztą właściwie nie dał jej okazji do pytań, zaraz zerwał się z krzesła, mówiąc, że czeka na niego taksówka, że nie odsyłał, bo śpieszy się do pracy, objął tylko dziewczynki, przerażone jeszcze nocnym najściem policji - Basia pozwoliła im zostać w domu, sama też wzięła wolny dzień,

wychodząc z założenia, że w takiej chwili potrzebują siebie nawzajem, wszystkie trzy - i nawet nie czekając na podprowadzenie, tylko posiłkując się laską, już był przy drzwiach i żegnał się, jeszcze raz powtarzając, że Basia ma się jak najszybciej, najlepiej jeszcze dziś, zacząć starać o widzenie.

Jedną trudną rozmowę miał za sobą, teraz czekała go druga, o niebo trudniejsza. Z Edytą. Jej nie mógł okłamać, musiał powiedzieć prawdę, że nie myliła się, że faktycznie jego brat spowodował ten wypadek, że przez niego jest na wózku. I przekonać, że nie może karać go za brata, karać siebie, karać ich oboje, niszczyć ich miłości tylko dlatego, że sprawca wypadku okazał się z nim spokrewniony. Jeśli Edyta tego zażąda, odetnie się od Krzyśka, nie odwiedzi go nigdy w więzieniu, nie napisze, tę ofiarę gotów jest złożyć w zamian za jej miłość. Krzysiek na pewno to zrozumie, przyjmie jako dodatkową, zasłużoną karę za swoje przewinienie, nie będzie chciał stawać swojemu bratu na drodze do szczęścia, ba, gdyby przyszło mu to do głowy, gdyby uważał, że Jacek, składając taką deklarację, przekona do siebie Edytę, pewnie sam by mu kazał ją złożyć. Tak, jeśli inne argumenty jej nie przekonają, będzie musiał sięgnąć nawet po tę ostateczność, nie ma wyboru. Ale może nie będzie takiej potrzeby. Podczas gdy taksówka przebiegała

397

się przez wrocławskie korki, argumenty w jego głowie nabierały mocy, wydawały się nie do obalenia, pojawiały

się ładne, przekonujące sformułowania, nie jakieś puste gładkie słówka, tylko wypełnione po brzegi treścią, treścią jego uczucia. Edyta nie mogła pozostać na nie głucha, obojętna, wystarczy, że będzie miał okazję je przedstawić, wypowiedzieć. Okazję! Nagle dotarła do niego z całą mocą ta straszliwa ewentualność. Co zrobi, jeśli Edyta w ogóle nie zechce z nim rozmawiać?! Co wtedy? Wyśle e-maila, w którym wszystko napisze, nie jednego, dziesiątki, setki, miliony! Niech wie, że on ją kocha, nie pozwoli jej o tym zapomnieć nawet na sekundę. Nie, nie może się tak zachowywać, jest jakaś granica między staraniem się o kobietę a nękaniami, czasami trudno ją wyznaczyć, ale musi się pilnować, żeby jej nie przekroczyć, bo wtedy straci Edytę na zawsze.

Z duszą na ramieniu stanął przy domofonie i wymacał właściwy przycisk. Pierwszy od góry. Wcisnął go. Rozległ się przerywany dźwięk. Odczekał chwilę, ale nikt nie zareagował. Wyszła? Nie ma jej w domu? Domyśla się, że to on i nie chce go wpuścić? Nie ma ochoty widzieć kogokolwiek? A może sprawdza, wyglądając przez okno, kto dzwoni? Uniósł głowę w jakiejś beznadziejnej nadziei, że zdoła ją zobaczyć. Wyszeptał: Edyta - jeśli patrzy, niech dostrzeże, że ją prosi, błaga, by go wpuściła; jeszcze raz wcisnął palcem przycisk.

- Kto tam?

Aż się wzdrygnął, słysząc najukochańszy głos, bo choć spodziewał się, miał nadzieję, że go usłyszy, to nie był

wcale przekonany, nie wierzył, że ona podniesie słuchawkę domofonu.

- Edyta? To ja, Jacek, wpuść mnie, proszę, muszę z tobą porozmawiać.

Usłyszał szcęk odkładanej słuchawki.

398

Nie wpuści go! Sprawdzą się jego obawy, że w ogóle nie będzie chciała z nim rozmawiać! Co teraz? Zadzwoń jeszcze raz domofonem? Nie, to już będzie narzucanie się. Wysłać SMS-a z prośbą o rozmowę? Tak, to jest dobry pomysł. Sięgnął do kieszeni kurtki po komórkę, kiedy rozległ się brzęczyk otwierający drzwi. Tak go zaskoczył, że nie zdążył ich pchnąć. Wcisnął guzik.

-Tak?

- Nie zdążyłem...

Ponownie rozległ się brzęczyk. Pchnął drzwi i wszedł po schodach.

Edyta już na niego czekała.

- Postanowiłam cię wpuścić, bo musisz zabrać swoje rzeczy. Proszę, tu są kluczyki od samochodu, ale rozmawiać z tobą nie zamierzam.

Jacek nie wyciągnął ręki, żeby wziąć kluczyki, które mu podawała.

- Edyta, proszę cię - jęknął.

- Dobrze, jak nie masz w tej chwili ochoty, możesz wziąć swoje rzeczy później. A teraz żegnam!

Przesunął się do przodu, żeby uniemożliwić Edycie

zatrzaśnięcie drzwi, ale te gnały już mu naprzeciw. Nie wiedząc o tym, nie zablokował ich nogą i uderzyły go w twarz. Poczuł, że z nosa cieknie mu krew, ale nie przejął się tym, grunt, że nie dał się wyrzucić.

- W porządku, wezmę teraz część rzeczy... - Postanowił uciec się do wybiegu, żeby zyskać na czasie. - To znaczy, ile zdołam, nie szukam pretekstu, żeby przyjść tu drugi raz, chociaż gdybyś pozwoliła mi się ze sobą rozmówić, nie musiałbym szukać pretekstu.

Edyta nic nie powiedziała, więc Jacek, przechylając głowę w tył, żeby zatamować ciekącą krew, przeszedł do sypialni i zaczął wyciągać z szafy swoje ubrania.

Układał je na łóżku, bo nie miał żadnej walizki, przynosił

399

je tu stopniowo, w zasadzie nigdy nie zapadła decyzja „przeprowadzasz się do mnie” i na jej mocy nie przenióst rzeczy jednego dnia, tylko przeprowadzka odbyła się jakby mimochodem, naturalnie, sama z siebie, bo tak było wygodniej, bo zaspokoili ich potrzebę bycia razem. Edyta nie zareagowała na to jego bezsensowne pakowanie.

- No to mów! - warknęła. - Żeby nie musiała cię więcej widywać.

Jacek odwrócił się w jej stronę.

- Miałaś rację, Krzysiek rzeczywiście spowodował twój wypadek.

Edyta prychnęła.

- A nie mówiłam! A ty usiłowałeś mi wmówić, że coś mi się przyśniło!

- Ale nie udawał, że cię nie poznaje, wtedy nie widział twojej twarzy, aresztowali go, poniesie karę...

- Jaką karę?! Złamię mu kręgosłup, posadzą na wózku do końca życia?! Czy tylko dostanie wyrok w zawieszeniu, z którego będzie śmiał się w kułak?!

Edyta się rozpląkała. Jacek chciał zaprzeczyć, wyjaśnić, że jego brat zrobił coś jeszcze i na pewno trafi do więzienia, ale się powstrzymał, teraz nie był wcale przekonany, że ta informacja nastroiłaby Edytę przychylniej, obawiał się, że wręcz przeciwnie.

- To nie tak, Edytka, on naprawdę żałuje...

- Żałuje?! Tak żałuje, że przez cztery lata się nie zgłosił?!

Przecież nie miał zamiaru ponieść odpowiedzialności!

I nie mów do mnie Edytka!

- Chciał wierzyć, że nic ci się nie stało, bał się przekonać, że jest inaczej.

- Akurat!

Jacek czuł, że traci grunt pod nogami. To, co mówił Krzysiek, co w jego ustach brzmiało wiarygodnie i przekonująco,

400

powtarzane wypadało blado wobec jej gniewu i rozgoryczenia. Bardzo blado.

- Tylko co ja jestem temu winien? Przecież nie wybiera się sobie rodziny, sama powinnaś wiedzieć o tym najlepiej.

Dlaczego mnie karzesz za winy mojego brata? To tak, jakbym

ja nie chciał z tobą być, bo masz okropną matkę.

- Nie oślepieś przez moją matkę! Jakbyś stracił przez moją matkę wzrok, nie chciałbyś mnie znać!

Jacek miał wrażenie, że spada w przepaść, jakby skalna półka, której rozpaczliwie trzymał się omdlewającymi z wysiłku dłońmi, wysunęła się z ich uścisku. Uświadomił sobie, że Edyta ma rację, tak by właśnie było, nie miałoby znaczenia, że to ona, liczyłby się tylko fakt, że ktoś z jej rodziny, krew z jej krwi, zrobił z niego kalekę. A człowiek jest na swoją rodzinę skazany, chce tego czy nie, bo tak głęboko w naszej psychice tkwi przeświadczenie, że więzy krwi są najważniejsze.

- Kocham cię!

Nie było to wyznanie, próba przekonania, pozyskania miłości, lecz krzyk człowieka spadającego w przepaść, który wie, że nic go nie uratuje, że trasy jego lotu nie przetnie zabezpieczająca siatka, że nieuchronnie zginie, roztrzaskując się o skały na dnie otchłani.

- Wiem. - Edyta, dotąd wściekła, wyrzucająca z siebie zdania jak warknięcia, zabrzmiała nagle łagodniej, niemal czule. - Ale nic nie poradzę na to, że twój brat zabił we mnie miłość do ciebie.

- Widocznie ta twoja miłość niewiele była warta. -

Jacek kąsał jak zwierzę złapane w pułapkę, bez szans na przeżycie, ale mimo to broniące się do ostatka.

- Teraz jesteś niesprawiedliwy i doskonale o tym wiesz.

Jacek stał bez ruchu. Więc to koniec? Nieodwołalnie?

Tak nagle, tak boleśnie, tak... niezastuzenie?

401

- Idź już, proszę cię - powiedziała Edyta zmęczonym głosem.

Chciał zaproponować, bronić się, zmienić niezmiennalnym jednym z argumentów, które sobie przygotował, jednym z pięknych sformułowań, które powinny skruszyć mur, wyrosły nagle między nim a Edytą, ale kiedy przywoływał je teraz w myślach, żadne nie miało siły, jaką wydawało się mieć, gdy jechał taksówką. Zebrał w naręcze ubrania, które wcześniej wyłożył na łóżko, i ruszył do wyjścia.

Usłyszał, jak Edyta odsuwa się z wózkiem, żeby zrobić mu przejście. Zatrzymał się przy niej. Chciał się jakoś pożegnać i nie wiedział jak. Podać rękę, pocałować?

Pocałować! I wtedy ze straszliwą siłą uderzyła go świadomość, że ona nie pozwoli mu się pocałować, że nigdy więcej nie będzie mógł dotknąć tej kobiety, którą kocha nad wszystko na świecie, nigdy więcej jej nie przytuli, nie poczuje ciepła jej ciała. Coś ścisnęło go w gardle.

Zrozumiał, że zaraz pociekną mu łzy i jeśli szybko nie wyjdzie, stanie się to przy Edycie. Upuścił trzymane w ręku rzeczy na podłogę i rzucił się do drzwi.

Usiadł przy kuchennym stole. Czy raczej zastygł przy nim, a jedynie w głowie kłębił się natłok myśli. Wróciły zgrabne sformułowania, argumenty, które miały przekonać Edytę, pojawiły się nowe, ale wiedział, że to na nic,

że gdyby nawet podarowała mu jeszcze jedną rozmowę,
żadne z tych słów jej nie przekona, bo do miłości nie
można przekonać, miłości nie zdobywa się argumentami;
jeśli klimat jej sprzyja, nie trzeba słów, jeśli nie, żadne,
nawet najpiękniejsze, najwymyślniejsze nic nie dadzą.

Ale ta rozumowa konstatacja też na nic się nie zdała, jego
mózg cały czas rozmawiał z Edytą, przełamywał jej opór,
przypominał wspólnie spędzone chwile, chwile uniesień,
oczarowań, szczęścia, namawiał, by tak łatwo z nich nie

402

rezygnowała i tworzył obrazy, jak ona ulega, kładzie głowę
na jego piersi i mówi: „Kocham, kocham cię, Jacusiu”.

A potem docierało do niego, że to przeszłość, mrzonki,
niespełnialne marzenia, jak wszystkie te, które wyma-
rzył przez kilkanaście lat, odkąd zapragnął dziewczyny
u swego boku, nieziszczalne, dopóki nie spotkał Edyty,
a owo spełnione marzenie trwało tak krótko, okazało się
takie kruche.

- Czy człowiek zostanie wypędzony z każdego raję,
w jakim się znajdzie? Czy taki jest jego los? - zapytał
głośno. - Czy to tylko mój los, a raj jest dla innych?

Argo, usłyszawszy głos Jacka, podbiegł do niego, oparł
się przednimi łapami na jego kolanach i zaskomlił, jakby
chciał zapytać, co się stało, dlaczego pan jest taki smutny,
ale Jacek odepchnął go zniecierpliwiony. Po raz pierwszy
pies swoją obecnością nie przynosił mu ulgi, tylko powo-
dował irytację. Jakby swoim „zwierzęctwem” podkreślał

klęskę jego międzyludzkich kontaktów. Bo zwierzę nie ma wyboru, nie może zażądać, żeby sprzedano je akurat tej, a nie innej osobie, sprzeciwić się, że nie chce trafić w dane ręce. Nie może odejść, kiedy właściciel okaże się łajdakiem. Drugi człowiek ma wybór i właśnie tego wyboru dokonał. Najważniejszy dla niego człowiek! Czy jego stać tylko na psa, bo psa zwyczajnie się kupuje, a nie stać na kobietę, którą trzeba do siebie przekonać?!

Schował głowę w ramionach opartych na stole. Usiłował się rozpłakać, płacz powinien przynieść ulgę, ale mimo że u Edyty omal się nie popłakał, teraz łzy nie popłynęły. Może dlatego, że nigdy nie należał do płaczących, nawet jako dziecko. Dotąd był z tego dumny, ale teraz dałby wiele za kojące łzy.

Zamiast tego poczuł ból, który wbijał się strzałą w serce, a potem schodził w dół ku trzewiom i rozrywał je, jakby obracał w nich samurajskim mieczem. Wstał, żeby napić

403

się wody, ale zachwiał się, jakby nagle zrobiło mu się słabo. Zaskoczony, przytrzymał się krzesła. Co się z nim dzieje? Skąd ta drętwota całego ciała? Nie siedział przecież długo. A może jednak? Może tych fal rozpacz i bólu było więcej, dużo więcej, a on kojarzył tylko dwie ostatnie?

Pomyślał, żeby sprawdzić godzinę, ale nie mógł otworzyć szybki zegarka. Zacięła się. Rozłozszczony zerwał zegarek z ręki i rzucił nim o ścianę. I tak nie wiedział, o której usiadł, od nocnego wezwania na policję ani razu

nie spojrzął na zegarek, nie miał pojęcia, ile trwały poszczególne rozmowy.

Sięgnął po wodę mineralną, ale w miejscu, w którym normalnie stały butelki, ręka przecięła pustą przestrzeń.

Przestawił je? Niemożliwe, nigdy tego nie robił. Zapomniał

kupić? Starał się sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz kupował wodę. Przedwczoraj! No to woda powinna być!

Ze złością kopnął pustą przestrzeń. Potem uświadomił sobie, że owszem wodę kupił, ale zaniósł ją do Edyty, bo do wczoraj mieszkał u niej.

Wyciągnął szklankę z szafki i odkręcił kran. Pił łapczywie, chciwymi łykami. Jedną szklankę, drugą, trzecią. Kiedy dopijał czwartą, sieknięcie ostrego bólu w żołądku aż zgięło go w pół. Nie wiedział, czy spowodowała go taka masa nieprzegotowanej wody, której normalnie nigdy nie pijał, czy tęsknota za Edytą. Tęsknota to mało powiedziane - tęsknica! Przez chwilę opierał się nad zlewem. Ból zeliżał, a w zamian zaczęła w nim wzbierać żałość, rozpacz, desperacja. Co ma zrobić? Zabić swojego brata, żeby ona do niego wróciła? Jest jeden morderca w rodzinie, może być dwóch. Odwrócił się, zamachnął i z całą siłą rzucił szklanką w przeciwległą ścianę. Rozprysła się na drobne kawałki z takim impetem, że niektóre doleciały z powrotem do niego i poraniły mu twarz. Argo, zaniepokojony, że łoskot oznacza napaść na jego pana, chcąc go bronić,

404

wbiegł ze szczekaniem do kuchni, dopadł Jacka i wsparł

się na nim przednimi łapami.

-Zjeżdżaj!

Jacek odepchnął psa i wymierzył mu siarczystego kopniaka. Argo zaskomlał i cofnął się, ale nie uciekł z kuchni, tylko legł na potłuczonym szkle. I dalej skomlał, brzmiało to bardziej jak płacz dziecka niż odgłos wydawany przez dorosłego labradora.

Jacek zreflektował się.

- Jezu, zwierzaczk, przepraszam, Boże, co ja zrobiłem, strasznie cię przepraszam, ugryź pana za karę.

Padł na kolana i nie zważając, że rani sobie ręce i nogi na rozbitej szklance, doczołgał się do Argona, objął go, utulał, głaskał i ciągle przepraszał:

-Przepraszam, przepraszam, przepraszam...

Pies nie przestawał skomleć.

- Już dobrze, nigdy więcej tego nie zrobię, przysięgam, przysięgam...

Głaszczące ręce przesunęły się po brzuchu Argona, pies zawył z bólu.

- Boże, coś ci zrobiłem, do weterynarza, musimy do weterynarza!

Złapał psa na ręce, poderwał się i szybko skierował do wyjścia. Za drzwiami uświadomił sobie, że nie włożył kurtki, nie wziął laski. Tyle że był w butach, bo nie zdjął ich po przyjsciu do domu. Pewnie dlatego zrobił Argonowi krzywdę. Jezu, dlaczego nie ściągnął butów, gdyby kopnął go, mając na nogach kapcie, nic by mu się nie stało. Niemal

zbiegł po schodach, nie ma czasu wracać po laskę, musi jak najszybciej dotrzeć do weterynarza, jakoś sobie poradzi. Odgiął dłonie w dół, żeby natrafiały na ewentualne przeszkody, unióś lekko ramiona, żeby pies nie zsunął się, skoro dłonie nie tworzyły już barierki, i ruszył półbiegiem. Z dojściem do samej ulicy i przejściem przez

405

Kasprzaka poradził sobie bez problemu, te chodniki znał na pamięć. Kiedy skręcił w Pierwszej Dywizji, poczuł, że Argo przelewa mu się przez ręce.

- Wytrzymaj, zwierzaczku, błagam...

Przyśpieszył kroku, rzucił się biegiem, szybko, bo Argo umiera, bo trzeba go ratować, zapomniał, że ślepiec nie może poruszać się samodzielnie biegiem, że bez laski nie uda mu się utrzymać linii prostej, a jak zboczy, to rozbije się o najbliższą przeszkodę, ale kalectwo nie zechciało opuścić go ani na chwilę, nie zechciało pomóc w ratowaniu zwierzęcia, nie zobaczył leżącej na drodze gałęzi, zahaczył o nią nogą, stracił równowagę, wypuścił Argona

- usłyszał głuchy odgłos padającego ciała - i sam uderzył twarzą o ziemię.

Zerwał się natychmiast, niemal nie czując bólu w rozoranej twarzy, i na czworakach zaczął szukać Argona; po raz pierwszy w życiu nie udało mu się zlokalizować odgłosu, nie miał pojęcia, gdzie Argo upadł.

-Argo... Argo... piesku...

Delikatny skowyt dobiegł go z przodu, od razu ruszył

w tamtą stronę, nie podnosząc się z klęczek.

- Jeszcze zrobiłem ci krzywdę... o Boże... może upadłeś na coś miękkiego... wytrzymaj, zwierzcisku, błagam...

Gdzie jesteś, Argo? Powiedz panu...

Pies znowu zaskomlał.

Jego nadzieje, że Argo upadł na miękką ziemię podjazdu przed którymś z garaży, rozwiały się, kiedy poruszając się w stronę tego dźwięku, wciąż trafiał ręką na beton. Dotarł do Argona, wziął go na ręce i zaczął obmacywać, chcąc sprawdzić, czy upadek nie spowodował dodatkowych obrażeń, ale wywołał tym tylko atak bólu, kiedy natrafił na ranę spowodowaną kopniakiem. Musiał uszkodzić mu jakiś ważny organ, może wątrobę... czy psom przeszczepia się wątroby? Jeśli nie, to Argo będzie pierwszy,

406

zmusi do tego weterynarza, choćby siłą, uratuje Argona za wszelką cenę!

Chciał się podnieść i biec dalej, ale Argo jęknął niemal jak człowiek, protestując przeciwko zmianie pozycji, bo sprawiało mu to ból. Przesunął łeb i Jacek poczuł szorstki język na swojej twarzy, jedno liźnięcie, drugie jakby niedokończone - zrozumiał, że Argo żegna się ze swoim panem. Ze swoim mordercą.

- Argo, nie umieraj!

Jednak sztywniejące ciało nie pozostawiało wątpliwości, że Argo nie posłuchał tego wezwania.

-Nieeee!

Przytulił, przycisnął psa do piersi, jakby chciał na nowo
tchnąć w niego życie.

- Nieee!

Krzyczał w proteście, że zawsze dbał o Argona,
że za jedno, jedyne przewinienie Bóg nie może karać go
śmiercią przyjaciela, zabierać Argonowi życia. Krzyczał,
żeby zagłuszyć głos sumienia mówiący, że to on zabił
swojego psa, swojego wiernego druha.

Ten krzyk przeszedł w wycie, w skowyt rozpaczny,
a potem w płacz. Jacek kołysał martwego Argona, jakby
usypiał go do wiecznego snu, i płakał.

Nie umiał ocenić, czy minęło pięć minut, czy pięć go-
dzin, kiedy usłyszał kroki, poczuł czyjąś rękę na ramieniu
i dobiegł go kobiecy głos:

- Proszę pana, czy coś się stało? Potrzebuje pan po-
mocy?

Uniósł twarz w stronę głosu. On nie, Argo potrzebuje
pomocy. Umarł.

Kobieta odsunęła się przestraszona i zniesmaczona
widokiem martwych oczu i zakrwawionej, niemal zma-
sakrowanej twarzy. Chęć pomocy wyparowała z niej
w jednej chwili. Oddaliła się pośpiesznie; szybkie kroki,
407

powstrzymywane, żeby nie przeszły w paniczną ucieczkę,
rychło znalazły się poza zasięgiem słuchu Jacka.

Podniósł się i z Argonem w objęciach poszedł w prze-
ciwną stronę niż kobieta, z powrotem do domu. Nogi ledwo

go niosły, zataczał się, jeszcze raz się przewrócił, myślał, że schodów nigdy nie pokona, ale w końcu dotarł do mieszkania. Ułożył Argona na łóżku, usiadł obok niego.

W ciągu kilkunastu godzin jego życie legło w gruzach, stracił ukochaną dziewczynę i ukochanego przyjaciela.

Czy jeszcze cokolwiek miało sens? Czy dalsze życie miało sens?

I nagle wszelki ból, fizyczny i psychiczny, ustąpił.

Wiedział, co ma zrobić. Cierpienie zniknęło jak ręką odjął.

Pojawił się spokój. Czy nie tego potrzebował? Spokoju, a nie szczęścia. Gonienie za szczęściem przysparza cierpienia, a przecież chodzi o to, żeby nie cierpieć.

Tylko jak?

O czymś sobie przypomniał i poszedł do kuchni.

Wysunął szufladę z lekarstwami. Środki nasenne i antydepresanty. Powinien mieć ich jeszcze sporo, z zakupionej partii anafranilu zażył góra dwadzieścia tabletek, bo najpierw brał dawkę mniejszą niż przepisana, a potem związał się z Edytą i przestały być potrzebne. Nasennych w ogóle nie ruszył, bo sam anafranil działał usypiająco, tak że nie tylko dobrze spał w nocy, ale i jeszcze za dnia musiał się położyć i zdrzemnąć przez kwadrans.

Nie mylił się, poza alka-seltzerem, melisą i plastrami pozostałe pudełka w szufladzie miały naklejony pasek z brajlowskimi kropkami układającymi się w słowo ANAFR lub NASEN. Całych nazw nie chciało mu się pisać.

Nalał wody do garnka, żeby nie chodzić ciągle do kuchni

z pustą szklanką, zabrał leki i wrócił do sypialni. Usiadł na łóżku, otworzył pudełko z tabletkami nasennymi i powoli, metodycznie zaczął je połykać, popijając wodą

408

z garnka. Zużywszy wszystkie opakowania środka nasennego, sięgnął po anafranil. Kiedy nie zdołał wmusić w siebie kolejnej tabletki, odstawił garnek i położył się koło Argona.

Leżał przez chwilę, kiedy poderwała go pewna myśl. Tak, był mu to winien, symboliczne zadośćuczynienie za zbrodnię, której się dopuścił. Poszedł do kuchni i wyszukał na podłodze większy kawałek szkła z rozbitej szklanki, nie bacząc, że ostre brzegi kaleczą mu ręce.

Ukląkł na łóżku i w skupieniu wrył na ścianie swoją ostatnią wolę. Zakrwawione szkło zabarwiło na czerwono drukowane litery, które ułożyły się w koślawy, bo pisany niewprawną ręką niewidomego, ale czytelny testament: Argona pochowajcie ze mną.

Potem przytulił się do swojego przewodnika i przyjaciela. Zamknął oczy, a pod powieki przywołał obrazy wspólnych chwil z Edytą i Argonem. Obrazy, bo w tej przedśmiertnej chwili miał wrażenie, że widzi, że na koniec dane mu było zobaczyć, jak wyglądali jego ukochani. I umarł, patrząc na tych, których kochał.

Prószył śnieg. Delikatne płatki, tanecznie wirując, opadały na ziemię i pokrywały ją białym puchem. Edyta wy-

szła przed bramę i zachwycona chłonęła rozpościerający się przed nią widok. Biel, wszędzie biel. Wszędzie śnieg, jeszcze czysty, jeszcze nierozdeptany, nierozjeżdżony, pokrywający dachy, drzewa, samochody. Przypomniała sobie, jak w dzieciństwie wybiegała na dwór, rzucała się z tatą śnieżkami, lepiła bałwana. A potem godzinami patrzyła na niego przez pokrytą kwiatami mrozu szybę, na jego węgielkowe oczy i groszkowy uśmiech. I oczywiście na czerwony marchewkowy nos. Lepienie kończyła zawsze uroczystym zatknięciem marchewki, do czego tata musiał ją podnosić, bo zwykle bałwan był tak duży, że nie sięgała jego głowy. Tak, śnieg stanowił dla niej jeden z najważniejszych atrybutów dzieciństwa. Pamiętała, że dzieci w Afryce najbardziej było jej żal nie z tego powodu, że głodują, tylko dlatego, że nie mają śniegu.

Ze śniegiem wiązały się i późniejsze, często zabawne wspomnienia. Kiedyś spacerowała z Adrianem po zajęciach w Parku Szczytnickim. W pewnym momencie Adrian puścił jej rękę. Nie przejęła się tym, bo akurat żywo coś mu opowiadała i zwolniona ręka przydała się do gestykulacji. Dopiero po paru krokach zorientowała się, że Adrian nie słucha, że w ogóle nie ma go koło niej. Odwróciła się i zobaczyła,

413

że wyłożył się jak długi na oblodzonym śniegu. Uśmieiała się wtedy do łez, z niego i z siebie, że nie zauważyła, jak wykopyrtnął się u jej boku.

Posmutniała, że myśląc o śniegu, myśli o Adrianie, a nie

o Jacku, że w żadnych wspomnieniach Jacek nie będzie kojarzył się jej ze śniegiem. Nie doczekali zimy Przez nią. Otrząsnęła się. Nie, nie może się oskarżać. Psychiatrzy przez miesiąc napominali ją, że nie wolno jej się obwiniać, tłumaczyli, że miała prawo zareagować tak, jak zareagowała, ba, nienormalne byłoby, gdyby zareagowała inaczej. Jacek też nie był niczemu winien. Samobójstwo wprawdzie nigdy nie jest rozwiązaniem, ale czasami człowiek czuje się tak osaczony przez życie, że nie widzi innego wyjścia. Jeśli wtedy nie przyjdzie pomoc z zewnątrz, staje się nieodwracalne.

Pomoc z zewnątrz. Gdyby rzeczy odniosła mu parę godzin wcześniej... Bo zebrała ubrania, które rzuciła na podłogę, spakowała też resztę rzeczy, nie chciała mieć ich dłużej w domu, czuła, że udusi się od ich zapachu, od świadomości, że są w jej szafach, w łazience. W tamtej chwili go nienawidziła. To też było normalne, wyjaśnił jej psychiatra. i narysował okrąg, zaznaczając na nim dwa krótkie łuki, zbiegające się w górnym punkcie. Nad jednym napisał „miłość”, nad drugim „nienawiść”.

- Od miłości do nienawiści jest bardzo daleko - powiedział, przesuwając ołówkiem po linii łączącej oba łuki od dołu - a zarazem bardzo blisko - stuknął ołówkiem w górny punkt okręgu.

Z torbami na kolanach zjechała dźwigiem, przeszła do bramy Jacka i wcisnęła domofon przygotowanym wcześniej kijkiem, bo dostępu broniły jej schodki. Nie zgłosił

się. Pomyślała, że gdzieś wyszedł. Zastanawiała się, co zrobić.

Wrócenie do siebie z jego rzeczami nie wchodziło w grę.

Mogła zostawić je pod bramą, ale nawet jeśli nikt by ich

414

nie ukradł, dla Jacka i tak byłyby niewidoczne, nie zorientowałyby się, że tu są. To byłoby nie w porządku. Nienawiść nie usprawiedliwiała drobnych świństw. Co innego, gdyby położyła mu te rzeczy pod samymi drzwiami mieszkania, wtedy nie mógłby ich przeoczyć, musiałby się zainteresować, co za przedmioty tarasują mu wejście do domu. Ale to było niewykonalne - gdyby nawet ktoś otworzył jej drzwi, nie zdołałaby pokonać schodów.

A gdyby zadzwoniła i poprosiła jakiegoś sąsiada, żeby jej pomógł? Zły pomysł. Jeśli nawet nie spotkałaby się z odmową, nie uniknęłaby dociekliwych pytań i dziwnych spojrzeń.

Romek! Przecież w tej bramie mieszkał też Romek. W pierwszej chwili odrzuciła tę myśl, Romek miał jeszcze większe prawo do pytań niż obcy. Ale potem doszła do wniosku, że z kolei przy nim łatwiej będzie się wykręcić od odpowiedzi.

Powie po prostu, żeby o nic nie pytał, że wszystkiego dowie się później, żeby teraz tylko jej pomógł. Powinien to uszanować. Albo może w ogóle skłamałaby, że chce się dostać do mieszkania Jacka, którego teraz nie ma w domu. Nie, kłamstwo zaraz wyszłoby na jaw, bo przecież Romek musiałby ją też znieść, więc nie mogłaby go odesłać, położyć rzeczy pod drzwiami, a potem zawołać jeszcze raz i spodziewać się, że ich nie zauważy. A kluczy do mieszkania Jacka nie

miała, nie mogła sama się do niego dostać, więc nie były jej do niczego potrzebne. No właśnie, klucze. Jacek nie oddał jej kluczy, musi się o nie upomnieć.

Zadzwoiła do Romka. Był w domu.

-Tak?

- Cześć, Romek. Tu Edyta, mam do ciebie prośbę w delikatnej sprawie. Żebyś zszedł tu do mnie i zaniósł Jackowi rzeczy na górę...

-Ale...

- ... i żebyś nie zadawał żadnych pytań, później ci wszystko powiem.

415

- Dobra, nie ma sprawy.

Po chwili brama się otworzyła i wyrzał z niej Romek, rozczochrany, w wyciągniętym dresie poplamionym farbą

- musiała oderwać go od pracy.

- Daj. - Romek wziął torby i nie zatrzymując się, żeby pokazać Edycie, że nie zamierza dociekać, co zaszło między nią a Jackiem, pognał z powrotem po schodach.

Edyta odwróciła się i skierowała w stronę swojej bramy, kiedy zatrzymało ją wołanie Romka, który wychylał się z okna klatki schodowej.

- Edyta, Jacka nie ma w domu.

- To połóż mu te rzeczy pod drzwiami. Albo weź do siebie i dasz mu później.

- Okej, wezmę do siebie. Przekręcę do niego, żeby wstąpił do mnie, jak wróci, pewnie poszedł na spacer z Argonem.

Romek wyłowił z kieszeni dresu telefon i wcisnął skrót klawiszy wybierający numer Jacka.

Edyta spojrzała na niego zdziwiona.

- Zawsze masz przy sobie komórkę, nawet jak wychodzisz z domu na dwie minuty?

- Jak każdy. Nie wiesz, że współczesny człowiek czuje się nieswojo bez swojej komórki pod ręką?

Podniósł telefon do ucha, odsłuchał pierwsze sygnały i nagle odwrócił się od okna, jakby ktoś z tyłu dźgnął go nożem, i znikł na klatce schodowej. Minęło kilka długich chwil, zanim pojawił się z powrotem.

- Edyta, jego komórka dzwoni w mieszkaniu. Nasłuchiwałem pod drzwiami, nie ma wątpliwości. Rozłączyłem się i zadzwoniłem jeszcze raz, to na pewno jego komórka.

- Może po prostu jej zapomniał.

- Nie, to co powiedziałem przed chwilą. Mało kto rozstaje się ze swoją komórką, a już na pewno nie Jacek. Przecież wiesz, że ma w niej GPS-a do orientacji. Na sto procent jej nie zapomniał.

416

- Pokłóciliśmy się, pewnie nie ma ochoty z nikim rozmawiać.

Mina Romka świadczyła o tym, że również takie wyjaśnienie go nie przekonuje.

- To dlaczego jej nie wyłączył?

Ponownie znikł na klatce schodowej i teraz Edyta usłyszała, jak łośoce w drzwi i woła: - Jacek! Jacek! Otwórz!

Potem znowu wyjrzał przez okno.

- Wyważam drzwi. Coś się stało. A nawet jak nie, to wolę mieć na sumieniu drzwi niż człowieka.

W napięciu czekała na rezultat tej operacji. Udzielił się jej niepokój Romka. Chyba Jacek nic sobie nie zrobił? Nie byłby przecież taki głupi, żeby zabijać się z jej powodu.

Ale kiedy zobaczyła wyraz twarzy Romka po tym, jak opuścił mieszkanie Jacka, wiedziała. Nie musiała pytać.

Pamiętała, że gdy dotarło do niej, co się stało, że nie znaleźli go w porę, była jednym wielkim krzykiem. Pamiętała ludzi w białych kitlach, którzy gdzieś ją wieźli, coś do niej mówili, czymś ją kłuli.

Miesiąc spędziła w klinice psychiatrycznej.

Wychyliła się z wózka i zebrała śnieg w kulkę, żeby otrząsnąć się z tych wspomnień. Nie zmieni przeszłości, nie odwróci tej tragedii, ale dziś miała dla Jacka dobrą wiadomość i na tym powinna się skupić. Cieszyć się, że życie przyniosło coś dobrego, zamiast ciągle rozpaczać nad jego okrucieństwem. Rzuciła śnieżynką w Fasolkę, która szczeniła, zła, że pani ją zaczepia, po czym ruszyła przed siebie, tnąc kołami wózka gładką taflę śniegu.

Szła na cmentarz przy Smętnej, gdzie pochowano Jacka.

Pogrzebem zajęła się Basia. Romek włączył się, kiedy się okazało, że księża z parafii Świętej Rodziny, do której należał cmentarz, nie godzą się, by zgodnie z ostatnią wolą Jacka pochować go razem z Argonem. Pies nie ma duszy i nie może spoczywać w poświęconej ziemi, brzmiało uzasadnienie,

a poza tym jest to niezgodne z prawem. Romek pofatygował się do księży z pismami św. Tomasza z Akwinu i ustawą o cmentarzach. Argument prawny upadł, bo zakaz wydawał się tak oczywisty, że nigdzie w ustawie go nie wpisano, a tym samym w państwie prawa nie mógł obowiązywać. Burzliwa dyskusja teologiczna zakończyła się kompromisem: Argo zostanie pochowany razem z Jackiem, ale trumna nie będzie przed pogrzebem otwarta, a napis na nagrobku nie będzie informował o tym fakcie. Jak Romek wyjaśnił później Edycie, która uznała takie rozwiązanie za zgniły kompromis, Basia nie chciała słyszeć o zmianie cmentarza, a jemu z kolei zależało, aby Jacek został pochowany blisko, tak żeby Edyta mogła swobodnie go odwiedzać - na Osobowice czy inny cmentarz komunalny musiałyby organizować całą wyprawę - natomiast od księży więcej nie dało się uzyskać. Pewnie, że pochówek bez informacji o pochowanym jest jakby niepełny, ale przecież rodzina i przyjaciele wiedzieli, że Jacek i Argo spoczywają w jednym grobie, a nic nie stało na przeszkodzie, by obwieszczać to w inny sposób niż napis na nagrobku, na przykład robiąc pamiątkową stronę w Internecie.

Szła wolno alejką wzdłuż Dembowskiego, nie śpieszyła się, bezwietrzny, niezbyt mroźny dzień idealnie nadawał się na spacer. Uśmiechała się do przechodniów, którzy, najpierw zaskoczeni, w końcu zwykle odwzajemniali uśmiech. Świat jest piękniejszy, kiedy ludzie się do siebie uśmiechają, pomyślała Edyta, dlaczego Polacy tak rzadko to robią, dlaczego

ciągle jesteście naburmuszeni?

Fasolka biegła z nosem przy ziemi, jakby usiłowała wywąchać, skąd pochodzi ten biały puch, który nagle pokrył ziemię, albo zapędzała się pod drzewa, uśpione pod śniegową kołderką. Edyta skracła długą smycz, żeby ściągnąć ją z powrotem na ścieżkę.

Kiedy minęła kościół, uśmiechnęła się, przypominając sobie opowieść Jacka, jak na rondzie między kościołem

418

a liceum prowadził samochód „po niewidomemu”. Wzdłuż przedwojennej szeregówki dotarła do Bacciarellego, „nowej ulicy”, jak ją nazywała na swój użytek, i skręciła w lewo.

Kolejna szeregówka po lewej, potem po prawej cmentarny płot, pod którym ustawili się nieliczni sprzedawcy kwiatów i zniczy, brama, i znalazła się na cmentarzu. Jacek leżał po drugiej stronie, niemal przy nadodrzańskim wale. Edyta, chociaż musiała przejść przez cały cmentarz, była z tego zadowolona. Uważała, że przyjemniej, jak Jacek spoczywa w ładnej okolicy, niż gdyby wokół były tylko groby. Przyjemniej dla niego i dla niej.

Zbliżyła się do kamiennej płyty. Ułożone w kształcie serca czerwone znicze wygasły. Wymieniła w nich wkłady i zapaliła ponownie, a do wazonu stojącego w sercu włożyła świeże kwiaty. Spojrzała na nagrobek, którego łukowate zwieńczenie obramował śnieg: pod tradycyjnymi literkami „Sp.”, o których w dzieciństwie myślała, że oznaczają „śpiący”, widniało:

Jacek Dyderski 7.05.1977-15.10.2007. A pod spodem napis:

Choć odszedłeś, zostałeś.

Nigdy te słowa nie były bardziej prawdziwe niż dziś,
pomyślała. Odetchnęła głęboko, zbierając się do powiedzenia
tego, z czym przyszła.

- Jacusiu! Będziemy mieli dziecko.

Odczekała chwilę, żeby usłyszał ją tam w niebie, żeby
w pełni dotarła do niego ta radosna wiadomość.

- Już drugi miesiąc nie mam okresu, poprzednio byłam tak
otumaniona prochami, że ledwo zwróciłam na to uwagę, ale
dzisiaj zrobiłam sobie test. Nie ma wątpliwości. Dwie kreski.

Co? No tak, jesteś facetem. Dwie kreski oznaczają ciążę.

Wiedziała, kiedy w nią zaszła. To był ich najpiękniejszy
raz. Wtedy w samochodzie, na terenach wodonośnych, przy
muzyce Cave'a. I nie myślała tak dlatego, że, jak się okazało,
wówczas kochali się po raz ostatni, nie idealizowała prze-
szłości, powiedziała mu to już wtedy.

419

- Było cudownie. Zawsze jest mi z tobą dobrze, ale dzisiaj
było najcudowniej. Myślę, że nasze małżeństwo za dziewięć
miesięcy ujrzy świat.

A teraz wiedziała, że odczucia jej nie zawiodły.

Sięgnęła do krzaka rosnącego w pobliżu, ułamała gałązkę
i napisała w śniegu na nagrobnej płycie: Jacek-tata.

- Jak będzie dziewczynka, damy jej na imię Lisa. Jak
bohaterka „Dzieci z Bullerbyn”. Dlatego, że miałeś poczytać
jej tę książkę. Nie szkodzi, ja poczytam. A jeśli urząd stanu
cywilnego się nie zgodzi, pójdę choćby do sądu. Wywalczę,

że będzie Lisa i już. Jak urodzi się chłopak, damy mu Jacek.

Na cześć taty.

Wychowam go tak, że będziesz z niego dumny, pomyślała.

A on z ciebie. Opowiem mu, jakim byłeś wspaniałym człowiekiem, jak dzielnie znosiłeś swoje kalectwo, ile mimo niego osiągnąłeś. Opowiem, jak potrafiłeś dać szczęście kobiecie, bo to w życiu najważniejsze i najtrudniejsze: uszczęśliwić drugą osobę.

Szkoda tylko, że nie zdążyliśmy się pobrać, westchnęła.

Nic to, i tak będzie nosił twoje nazwisko.

Rozpaczliwy pisk przerwał jej rozmowę z Jackiem.

Obejrzała się za siebie. Fasolka zaklinowała się swoim wózkiem między krzyżami rodzinnego grobowca i nie mogąc się wydostać, wzywała panią na pomoc.

Edyta podeszła do niej, żeby ją uwolnić.

- No i gdzie włączysz, sieroto? - zapytała bardziej dobrotliwie niż z przyganą. - Nie ganiaj po grobach, ja mam jeszcze jedną sprawę do omówienia z Jackiem, a potem będziemy szły.

Z lekką obawą pomyślała o czekającej ją wizycie u ginekologa. Doktor Madejski był chimeryczny, jak miał dobry humor, żartował, był opiekuńczy i troskliwy, dosłownie skakał wokół pacjentek, ale jak coś go wyprowadziło z równowagi, robił się oschły i opryskliwy, pacjentki traktował tak, jakby

420

przeszkadzały mu w pracy, co było o tyle absurdalne, że bez nich nie mógłby jej wykonywać. Czasami myślała, żeby

go zmienić na innego, ale miała świadomość, że w pełni zasłużenie uchodził za jednego z najlepszych ginekologów we Wrocławiu, a że na dodatek przyjmował na Sępolnie, w gabinecie z podjazdem dla niepełnosprawnych, wybór nasuwał się sam.

Wróciła do grobu Jacka.

- Tak sobie pomyślałam, że samochód sprzedam, ja go za bardzo nie potrzebuję, a te pieniądze włożę w jakiś fundusz, nie będę ich ruszała i nasze dziecko, jak dorośnie, będzie miało na studia i na mieszkanie.

Mogła dysponować samochodem, bo kupili go na jej nazwisko. Wprawdzie protestowała, ale Jacek przekonał ją argumentem, że skoro się pobierają, jest to ich wspólna własność, a poręczniej, żeby dowód rejestracyjny był wystawiony na nazwisko kierowcy.

Mieszkanie odziedziczył Krzysiek, a w praktyce Basia, skoro Krzysiek siedział w areszcie, oczekując procesu. I nie miała zamiaru dzielić się z Edytą, czego zresztą ta nie oczekiwała, choć teraz w imieniu dziecka mogłaby wysuwać jakieś roszczenia do spadku po jego ojcu. Ale nie chciała mieć z nimi nic wspólnego. Nie, za mondeo dostanie tyle pieniędzy, że zainwestowane zapewnią jej dziecku przyzwoity kapitał na start w dorosłość. Pewnie że za mieszkanie byłoby jeszcze więcej, ale zbyt dużo pieniędzy w młodym wieku może zaszkodzić, zamiast pomóc.

Obrzuciła jeszcze raz grób pożegnalnym spojrzeniem, westchnęła. Jakże Jacek ucieszyłby się z tej wiadomości,

gdyby żył. Nie gdybać, napomniała się. Cieszy się, przecież głęboko wierzysz, że gdzieś tam z góry na ciebie spogląda, szczęśliwy, że zostanie ojcem.

Popatrzyła na zegarek. Musiała iść, żeby zdążyć do doktora Madejskiego na umówioną godzinę. Przywołała Fasolkę

421

i wróciła na ścieżkę. Po kilkunastu krokach zatrzymał ją szeroki pas lodu, komuś musiała wylać się woda niesiona na grób.

Oceniła szerokość ślizgawki: zmieści się na niej wózkiem.

- Poślizgamy się? - zapytała Fasolkę.

Puściła smycz, ostro szarpnęła kołami, jak paraolimpijczyk w biegu na sto metrów, i wpadła na ślizgawkę.

-Uhu!

Koła zawirowały, straciły przyczepność, jedno zahaczyło o śnieg i Edyta poczuła, że leci. Jak ptak. Uskrzydłona radością: będę miała dziecko! A potem wylądowała w zaspie, zaśmiewając się do łez. Fasolka dopadła do niej, szczekając, i polizała ją po twarzy. Edyta przytuliła jamniczkę.

- Teraz muszę postawić wózek i z powrotem się na niego wgramolić. Nie będzie to proste, ale teraz mam tyle sił, że pokonam każdą przeszkodę.

Do ginekologa spóźniła się kilka minut, ale trwało jeszcze badanie poprzedniej pacjentki. Czekala cierpliwie, studiując plakaty na ścianach, przedstawiające różne fazy ciąży. Będzie musiała przeczytać wszystko o ciąży, o rozwoju dziecka.

Chce być świadomą matką. Przypomniała sobie rozmowę z Aldoną o samotnym macierzyństwie - musi się pilnować,

nie zaszkodzić dziecku nadopiekuńczością, nie powiększać traumy spowodowanej tym, że wychowuje się bez ojca. Drzwi gabinetu otworzyły się, Edyta spojrzała pytającym wzrokiem na wychodzącą pacjentkę, ta zrozumiała pytanie i skierowała kciuk w dół. Niedobrze, doktor Madejski wstał lewą nogą. Trudno, przetrzyma go. Tego dnia nic nie zepsuje jej nastroju. Potwierdzi, że jest w ciąży i ucieka.

Weszła do gabinetu.

-Przepraszam, że musiała pani czekać - przywitał ją Madejski - ale poprzednia pacjentka się spóźniła. Ten naród nigdy nie nauczy się punktualności...

Aha, już zrędzi, pomyślała Edyta.

422

- ...i nie dociera do niego, że niepunktualność to brak kultury i wymierne straty dla tych, którzy muszą czekać. Wie pani, że kiedy Japończyk się spóźni, czekający go przeprosza? A wie pani dlaczego? Bo czekający zdaje sobie sprawę, że spóźniony jest do tego stopnia zażenowany z powodu swojego spóźnienia, że czekającemu jest aż głupio, że jego gość tak strasznie się wstydzi. A Polacy? Jakby jeszcze nie wynaleźli zegarka. Jeśli wizyta jest na trzynastą czterdzieści pięć, to jest na trzynastą czterdzieści pięć, a nie plus minus dwie godziny, jak uważa większość pacjentek. A jak ktoś nie jest w stanie zdążyć, to sto trzydzieści lat temu wynaleziono telefon, żeby można było o spóźnieniu poinformować, a od dziesięciu lat w powszechnym użyciu są komórki i można zadzwonić nawet z samochodu, stojąc

w korku, ale zdaje się, że Polacy wynalezienia telefonu też nie zauważyli.

Edyta zadowolona, że złość Madejskiego nie kieruje się na nią, tylko na poprzednią pacjentkę, słuchała tego wywodu w milczeniu.

- Z czym przychodzimy? - Lekarz niespodziewanie przeszedł do wywiadu.

Edyta powiedziała, że nie ma okresu, że test ciążowy wypadł pozytywnie i chciała to potwierdzić.

- Dziecko oczekiwane?

- Bardzo.

- Zaraz zobaczymy. Pani Aniu - zwrócił się do pielęgniarki

- proszę mi pomóc posadzić pacjentkę na fotelu.

Kiedy rozpoczęło się badanie, Edyta przymknęła oczy i zaczęła się modlić. Testy ciążowe miały niemal stuprocentową skuteczność, ale jeszcze jedna prośba do Boga nie mogła zaszkodzić.

Badanie się przeciągało. W końcu doktor Madejski powiedział:

- Dobrze, proszę się ubrać.

423

Edyta ubrała się przy pomocy pielęgniarki, przesiadła się na wózek i przysunęła do biurka. Lekarz postukał długopisem w blat i zmarszczył czoło.

- Nie jest pani w ciąży.

Edyta nie wierzyła. Pomylił się?! Złośliwie ją okłamuje?!

- Niemożliwe, test...

- Choruje pani na nerki? - przerwał jej pytaniem.

-Nie.

- Nadczynność tarczycy?

- Też nie.

- Bierze pani leki antydepresyjne?

- Tak, effectin.

- Tu pani ma. Przy antydepresantach test ciążowy wariuje, pokazuje ciążę, której nie ma. Antydepresanty mogą też skutkować brakiem menstruacji.

-Ale...

- Dlaczego wy nie czytacie ulotek? - zezłościł się doktor Madejski. - Tam jest wszystko napisane! Na jaką cholereę firmy dołączają do leków ulotki, skoro nikt ich nie czyta. A potem są rozczarowania.

Spojrzał na Edytę, ale widząc, że jest bliska płaczu, powiedział łagodniejszym tonem:

- Proszę się nie martwić, na pewno jeszcze zajdzie pani w ciążę.

- Mój chłopak nie żyje - wyrwało się Edycie.

Zapanowało milczenie. Dojmujące milczenie. Bo co można było powiedzieć.

Edyta odwróciła się i opuściła gabinet. Wyszła na ulicę.

Zdruzgotana nie patrzyła przed siebie i omal nie najechała wózkiem na kobietę prowadzącą za rękę kilkuletnią dziewczynkę. Odprowadziła je wzrokiem. I wtedy się rozplakała.

Nie szlochała, nie łkała. Łzy spływały bezgłośnie. I nie chciały

przestać. Łzy, same łzy. Tyle łez.

Koniec.